



SZARY  
MUNDUR

MOCNA  
SERIA

TRUSCOTTIV



Sensacyjna powieść, która jest tym  
dla Akademii Wojskowej,  
czym *Ojciec chrzestny* dla mafii.

„New York Post”

W zamkniętym świecie prestiżowej Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych West Point obowiązują żelazne zasady, z których podstawowa głosi, że przełożony ma zawsze rację. A jednak czasem ktoś próbuje złamać reguły gry...

Dziewiętnastoletni kadet David Hand utonął, kąpiąc się w pobliskim jeziorze. Władze uczelni utrzymują, że był to nieszczęśliwy wypadek. Z oficjalną wersją śledztwa nie zgadza się dowódca jego drużyny i zarazem bliski znajomy z cywila Ry Slaight. Obdarzony buntowniczą naturą, wszczyna dochodzenie na własną rękę. Wnioski, do jakich dochodzi, są zaskakujące dla niego samego. W tej sytuacji przełożeni Slaighta postanawiają uczynić wszystko, by zniszczyć człowieka, który zamierza wydobyć na światło dzienne ciemne sekrety West Point.

Lucian K. Truscott IV – pisarz amerykański, absolwent West Point, autor m.in. powieści *Duch walki*.

ISBN 83-7227-881-6



9 788372 278814

Cena 23,90 zł

Nr 2951

Lucian K.  
TRUSCOTT IV

*SZARY*  
*MUNDUR*

Z angielskiego przełożył

*Michał Wroczyński*

LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann

Tytuł oryginału DRESS GRAY

Projekt serii

*Cecylia Staniszevska*

*Ewa Łukasik*

Zdjęcie na okładce

*Jacek Kopalski*

Redakcja

*Maria Radzimińska*

Redakcja techniczna

*Mirosława Kostrzyńska*

Korekta

*Marianna Filipkowska*

*Grażyna Henel*

Copyright © Lucian Truscott Co.Inc, 1978

All rights reserved

© Copyright for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp, z o.o.,  
Warszawa 2000

Bertelsmann Media Sp, z o.o.

Libros

Warszawa 2000

Druk i oprawa:

Zakłady Graficzne im. KEN S.A.

Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 1,

tel. (0-52) 322-18-21

ISBN 83-7227-881-4

Nr 2951

*Książkę te dedykuję  
Davidowi Hallowi Vaughtowi  
Robertowi Lornemu Lesliemu  
Richardowi Lee Swickowi  
Kadetom, oficerom, dżentelmenom, przyjaciołom*

# *Księga I*

25 maja 1968

## 1.

Do Rya Slaughta wieść dotarła w chwili, gdy odbywał karny marsz. Wszyscy ukarani kadeci, którzy przemierzali tego dnia plac apelowy defiladowym krokiem, z karabinami M-14 na ramionach, przekazywali sobie tę wiadomość. Na placu obowiązywała regulaminowa cisza, plotka zatem roznosiła się niczym gorący wiatr, niczym fala morska, i w końcu dotarła również do Slaughta. Kadet, maszerując, przemierzał wątył cień rzucany po zachodniej stronie placu przez tarasy ograniczające z obu stron główną bramę wypadową, sklepione przejście między budynkami koszar.

- Dziś rano wyłowiono z jeziora Popolopen zwłoki - dotarł do Slaughta głos.

Kadet przekazał tę wieść, poruszając jedynie kącikiem ust; oczy miał nieruchomo wbite przed siebie.

- Czyje? - spytał Slaughter, nie patrząc w stronę maszerującego obok kolegi.

- Rekrut. Nie wiem, kto to był.

- Kiedy? Co się stało?

Zabrzmiało to krótko - jak komenda, nie jak pytanie. Slaughter gwałtownie odwrócił głowę w stronę kadeta. Ten obrzucił go szybkim spojrzeniem, po czym znów utkwił wzrok w jakiś punkt przed sobą. Tak należało zachowywać się na placu apelowym: spoglądać tylko przed siebie. Słońce świeciło jasno, promień odbił się od daszka czapki z lakierowanej skóry i jego refleks pokazał się na kamiennej ścianie za tarasami. Kadet nie widział twarzy Slaughta, jedynie jego lewe ramię i zaciśniętą

pięć. Zatrzymali się, wykonali powolny zwrot w przeciwną stronę. Mogli chwilę zwlekać, ponieważ byli „krowami” - studentami przedostatniego roku. „Krowy” nawet podczas marszów karnych zachowywały godność. Ruszyli przez plac w kierunku północnym.

- Wyłowili go z wody z samego rana - szepnął kadet. - Nie wiem dokładnie, kiedy. Chyba o świcie. Mówią, że to wypadek.

Slaight przemaszerował jeszcze kilka kroków w stronę burzowca, a następnie skierował się na południe. Chciał być sam. Już trzeci weekend maja spędzał na karnym marszu. I to nie dlatego, że był niezdara. Po prostu niechcący zwrócił na siebie uwagę oficerów z wydziału taktycznego, tak jak mundur kadeta przyciąga wzrok przechodniów na ulicach Nowego Jorku.

Wydział taktyczny stanowił w West Point odpowiednik dziekanatu cywilnej wyższej uczelni. Poprzez skomplikowaną hierarchię dowodzenia kontrolował dosłownie każdy aspekt życia kadetów. Na samym dole stało trzydziestu dwóch majorów, oficerów taktycznych, z których każdy dowodził stu sześćdziesięcioma kadetami. Następny szczebel stanowili czterej pułkownicy, dowódcy pułków, i każdy z nich miał pod swoją komendą osiem kompanii kadetów. Na samej górze stał komendant, generał brygady. Stanowisko to tradycyjnie było kluczem do kariery wojskowej. Wielu poprzednich dowódców awansowało na szefów sztabu i zostało szczyhami w Pentagonie.

Choć mogło się to wydawać dziwne, Slaight, mimo że odbył już ponad dwadzieścia karnych marszów, odczuwał osobliwy komfort i zadowolenie, ilekroć miał do czynienia z wydziałem taktycznym. Wydział był matką i ojcem Korpusu Kadetów. To on, przez cztery lata studiów w akademii, beształ i karał wychowanków z akuracją, jakiej nie powstydziliby się sam Pawłow. Slaughter często nachodziła refleksja, że gdyby rozpoczął studia na cywilnej wyższej uczelni, dawno by już go z niej wykopano. W West Point od kadetów oczekiwano, że będą łamać regulamin. Stanowiło to część gry w nieustannej walce między kadetami a akademią.



Slaight doskonale znał plac apelowy. Kara jak kara, nie zno-  
sił jej, lecz po pięćdziesięciu godzinach przemaszerowanych po  
placu zaczął podziwiać jej koncepcję. Z samej swej istoty miał  
to być czas stracony, dobry czas, czas weekendu, który kadeci  
spędzali na odbywaniu bezsensownego marszu. Czas stracony  
na dobre. Slaight nie czerpał najmniejszej satysfakcji z tego, że  
na swój sposób sprzeniewierza się karze i zamiast maszerować  
i tylko maszerować - rozmyśla.

Przemierzał miarowo wyznaczony teren, wchodząc do wą-  
tłego cienia i wychodząc zeń, za każdym razem przyzwyczajając  
oczy do jaskrawego, późnomajowego słonecznego blasku, który  
zamieniał wciśnięty między budynki koszar prostokątny plac o  
wymiarach pięćdziesiąt na sto metrów w rozpalony kamienny  
piec.

Karę na placu apelowym kadeci odbywali w różny sposób.  
Niektórzy chodzili w nieformalnych grupach, w odległości kil-  
ku metrów od siebie, tak jakby towarzystwo kolegów przynosi-  
ło im ulgę. Inni szli szybko, w płonnej nadziei, że przyśpieszą  
zegar. Jeszcze inni przemierzali rozpalony słońcem prostokąt  
krokiem zdobywców. Odcinek nieopodal bramy wypadowej  
Slaight pokonywał zawsze w ten sam sposób. Posuwał się krętą  
ścieżką po zasmolowanych pęknięciach w betonie, układają-  
cych się w osobliwie nieliniowy wzór, dając kroki to w lewo, to  
w prawo, tak by nie nastąpić na pęknięcie.

Koszary tętniły sobotnim popołudniowym życiem. Z okien  
dobiegała muzyka radiowa i z płyt. Wylegujący się na słońcu na  
dachach głośno pozdrawiali maszerujących po placu apelowym  
kumpli. Z łazienek dobiegał plusk wody i warkot elektrycznych  
golarek, a od kwater Trzynastej Dywizji - wzmacniany echem  
śpiew „The Association”. Z kasyna znajdującego się w połu-  
dniowym skrzydle, już za bramą wypadową, dochodził szcze-  
k naczyń. Słysząc było głosy hiszpańskich kelnerów nawołują-  
cych się w wielkiej jak sala gimnastyczna stołówce. Kotlety  
cieleące. Slaight czuł ich aromat. Po trzech latach potrafił roz-  
różnić każdy zapach. Kotlety cieleące, fasola i tłuczone ziemnia-  
ki.

Slaight wiedział, że nazwisko martwego kadeta szybko

wypłyne na powierzchnię mętnego, nieustannie płynącego potoku plotek i spekulacji. W akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych śmierć była nieodłączną częścią życia. Rzadko się o niej mówiło, ale ona tkwiła uporczywie w świadomości każdego żołnierza. Pośród twierdzeń i aksjomatów nauki stosowanej, jaką są taktyka i strategia wojskowa, nie było wiedzy o śmierci. Nie uczyli się o niej, ale stanowiła część niewypowiedzianego języka, szyfr kadetów. Śmierć wszyscy skwapliwie od siebie odsuwali, a jednak codziennie wyobrażali sobie, że stają z nią twarzą w twarz, i na swój sposób mieli rację. Wietnam czekał. Śmierć czekała cierpliwie. Slaughter i jego koledzy nie chcieli tej pierwszej prawdziwej wojny od czasów Korei; nie na rok przed ukończeniem akademii.

Wiosną 1968 roku West Point był zapewne jedynym miejscem w Ameryce, gdzie wojnę w Wietnamie uważano za dobry interes. Dzięki wojnie akademie zaczęła pracować pełną parą, w ciągu trzech lat spędzonych przez Slaughtera w akademii niepomierne wzrosło znaczenie kadetów, wojna sprawiła, iż atmosfera na uczelni stawała się coraz bardziej napięta. Była niczym rozkładówka w „Playboyu”; stanowiła rację bytu West Point. Wszystko inne pełniło funkcję zwykłego wypełniacza. Na wojnę kadeci szli w nagrodę, powinna więc stanowić przedmiot ich ambicji i pożądania; mieli pragnąć jej, tak jak absolwenci Harvardu czy Yale pragną pracować w wielkich korporacjach, studiować w ekskluzywnych szkołach prawniczych, zdobywać tytuły naukowe. Mówiono, że na wojnie poznaje się prawdę o człowieku. Oficerowie z akademii nieustannie przyrównywali wojnę do seksu. Stosunki płciowe służyły do pomnażania gatunku; wojna ten gatunek uszczuplała. Do licha, towarzyszyła człowiekowi od zarania dziejów. Poświadczają to dwa tysiące lat pisanej historii. Doktryna akademii wojskowej głosiła, iż wojna ustanawia jednostki liczące się, tworzy takie pojęcia jak „polityka” i „stosunki międzynarodowe”. Była to wizja świata, w którym kadeci, nieobeznani jeszcze z ciałami poległych, czuli się komfortowo.

- Chłopak nazywał się David Hand - rozległ się głos. - Utonął. Leżał w wodzie kilka dni. Mówią, że wyglądał okropnie.

Slaight przystanął, zdjął czapkę i szorstkim rękawem munduru otarł pot z czoła. Znał Davida Handa.

Do West Point przybył z Nowego Orleanu. Był rok niżej od Slaighta. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał nic do stracenia. Było w nim coś, co wyraźnie wskazywało, że znalazł tu swoje własne, prywatne miejsce, do którego nikt nie ma dostępu. Czegoś takiego nikt się po rekrucie nie spodziewał. Slaight, dowódca jego drużyny przez pierwszy miesiąc „chlewni”, doskonale o tym wiedział. Wiedział o tym również David Hand. To ich do siebie zbliżyło.

W każdej formacji wojskowej, zwłaszcza małej, takiej jak drużyna składająca się z jedenastu mężczyzn, żołnierzy łączą silne więzy, dzielą ze sobą intymność, z jaką poza wojskiem trudno się spotkać. W ostatnich latach na określenie tego zjawiska wymyślono termin: „męskie więzy”. Język używany na co dzień w koszarach West Point był bardziej zwięzły. Od lat mieszkańcy akademii określali swych towarzyszy z pokoju słowem „żony”. Zdaniem Slaighta termin ten miał swe korzenie we wspólnych doświadczeniach rekrutów. „Być rekrutem - myślał - to tak jak być przez rok kobietą”.

Często też rok rekrucki w West Point jest niesłusznie porównywany z pierwszym rokiem na zwykłej uczelni. To prawda, w West Point było coś z atmosfery studenckiej - figle, wesołość, radość w obliczu wspólnej ciężkiej doli, ale być rekrutem w West Point znaczyło włączyć się do systemu tak obcego, tak absorbującego i dominującego nad wszystkim innym, że trudno mówić o jakichkolwiek podobieństwach między rekrutem a pierwszorocznikiem z uczelni cywilnej. Rekrucki rok zaciera różnicę między rekrutem a prawdziwym kadetem. Rok rekrucki nasycy serce kadeta mieszanką dumy i wstydu, którą na mocy niepisanego prawa, starego jak sama akademia, na zawsze zachowa w sercu.

David Hand znał w najdrobniejszych szczegółach życie rekruckie. Nikt nie umiał wypucować butów lepiej od niego. Jego mundury wyglądały, jakby były szyte na miarę; koledzy w takich samych mundurach przypominali ostatnie ciury. Potrafił do znudzenia recytować bezlik zasad obowiązujących rekruta.

Zawsze i wszędzie był na czas, nigdy nie snuł się bez celu jak inni. Najwyraźniej rekrut David Hand czuł się w akademii jak ryba w wodzie. Zachowywał osobliwą wyniosłość, jakby na przekór niepisanemu prawu nakazującemu całkowitą pokorę.

Slaight, dowódca drużyny, szybko spostrzegł, że David Hand zachował dla siebie pewną prywatną strefę, miejsce, do którego ani Slaight, ani system rekrucki nie mieli dostępu. W skrytości ducha Slaight podziwiał go za to. Doszedł do wniosku, że bierze się to z odwagi Handa. Odmawianie czegoś, co zdaniem uczelni bezwzględnie się jej należy, gwałciło najświętsze reguły obowiązujące w West Point. W zamian za ów największy dar akademia oferowała swym wychowankom szczególną wiedzę o wewnętrznych mechanizmach władzy funkcjonujących w męskim świecie; najpierw jednak każdy musiał się poddać i stać się bezbronny. David Hand nie uczynił tego, no i teraz był martwy.

Ry Slaight nałożył czapkę, przełożył karabin z prawego ramienia na lewe i ruszył przez plac. Popatrzył na zachodni zegar, jeden z czterech znajdujących się na kwadratowym słupie tkwiącym pośrodku placu apelowego. Dochodziła siedemnasta. Mijała pięćdziesiąta trzecia godzina spędzona na karnym przemierzaniu placu. Zaczął studiować otaczające go kamienne budynki koszar. Większość z nich wzniesiono w roku 1850, w stylu zwanym wojskowym gotykiem - sutereny, tarasy, partery, trzy piętra, na każdej kondygnacji cztery sale, w korytarzu toalety, płaskie dachy ograniczone krenelażem. Budynki przypominały zwykle czynszówki.

Próbował nie myśleć o Davidzie Handzie. Po raz czwarty zetknął się bezpośrednio ze śmiercią. Każdy kolejny raz był gorszy. Wiedział dużo o rekrucie Davidzie Handzie, ale nie wszystko. Dopiero teraz pojął, że wcale go nie znał i zbyt pochopnie wypchnął z pamięci. Dopiero teraz, gdy David nie żył, zaczynał to rozumieć. Nie dawało mu to spokoju, dręczyło, martwy rekrut coraz bardziej go intrygował. Tak zatem Slaight, przemierzając w kółko plac apelowy z jednego końca na drugi, postanowił zająć się sprawą, o której sądził, że nic go nie obchodzi. Być może powinien zamówić sobie na ten temat

książkę. Zawsze, ilekroć był czegoś ciekaw, zamawiał książkę. Tym razem będzie musiał przeprowadzić prywatne śledztwo, by zaspokoić ciekawość o Davidzie Handzie, chłopaku, który utonął w wieku dziewiętnastu lat.

## 2.

Po drugiej stronie Thayer Road, w biurze na drugim piętrze kwatery głównej West Point, generał dywizji Axel W. Rylander, główny inspektor akademii wojskowej, podniósł telefon i nacisnął guzik.

- Daj mi Hedgesa!

Charles Sherrill Hedges był generałem brygady i komendantem kadetów.

Sekretarka wykręciła czterocyfrowy numer i połączyła się z biurem komendanta, które mieściło się sto metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, w budynku kwatery głównej brygady, w południowo-wschodnim rogu placu apelowego. Słuchawkę podniosła sekretarka komendanta. Obie kobiety pośredniczące w kontaktach swych szefów niejednokrotnie już ze sobą rozmawiały. Teraz też przez chwilę pogwarzyły, zanim przełączyły aparaty telefoniczne. Sekretarka Hedgesa nacisnęła odpowiedni guzik.

- Panie generale, przełożony na drugiej linii.

Hedges schował lornetkę do futerału z czarnej skóry, poprawił na sobie mundur, policzył w myślach do dziesięciu i sięgnął po słuchawkę.

- Generał Hedges - zameldował się, zdając sobie sprawę z tego, że po drugiej stronie usłyszy jedynie głos pani Moore, sekretarki głównego inspektora.

- Chwileczkę, generale - powiedziała pani Moore.

Hedges skrzywił się. Nie cierpiał tych wszystkich formalności, interkomów i czekania. Dlatego też, gdy podniósł słuchawkę, z rozmysłem pomiął słowo „sir”. „Generał Hedges”. Lubił te dwa słowa. Brzmiały jak „słucham”. Pocierał kciukiem nos i

czekał; marnotrawstwo czasu. Hedges miał własny stosunek do marnotrawienia czasu. W Wietnamie, kiedy w helikopterze sięgał po mikrofon i łączył się z operującym na ziemi batalionem, domagał się od razu rozmowy z porucznikiem lub kapitanem. To nie była polityka; to była ewangelia. Podlegający mu dowódcy nigdy nie korzystali z pośrednictwa operatorów radiowych w przekazywaniu wiadomości.

Kiedyś zdegradował porucznika, dowódcę plutonu, za to, że na wezwanie z samolotu dowódczego nie zgłosił się osobiście. Hedges polecił wtedy operatorowi radiowemu połączyć się z sierżantem, któremu kazał poinformować porucznika, że jest skończony. Nie chciał go nawet widzieć w bazie. Nie chciał go nigdzie widzieć. Ów porucznik powinien natychmiast udać się do dywizji i rozejrzeć za biurkiem, za którym mógłby się ukryć... Sierżant nic tylko *jessir, jessir i jessir; jessirował*, łamiąc wszelkie procedury radiowe, lecz generała niewiele to obchodziło. Był tak wkurzony na porucznika, że nie zważał na uchybienia sierżanta.

Teraz Hedges znów musiał czekać. Czekać, aż w słuchawce usłyszy głos głównego inspektora. Pół życia strawi na czekaniu, aż główny inspektor będzie łaskaw podejść do telefonu. Zastanawiał się, co Rylander, kiedy był dowódcą dywizji w Wietnamie, robił przy radiostacji. Zniecierpliwiony, stukał gumką na końcu ołówka w blat biurka. Cisza w słuchawce paliła mu ucho. Gotował się w środku.

Dlaczego zastanawiał się, co Rylander robił w Wietnamie? Słyszał wystarczająco dużo o wszechpotężnej Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej, by wiedzieć, jakim dowódcą był Rylander. Pochodził ze starej szkoły, należał do tych najwyższych postawionych sukinsynów, którzy nigdy nie przyjęli do wiadomości, że Wietnam to nie Normandia, a żółtki to nie hitlerowcy. Służył w Drugim Korpusie ze swymi wszechpotężnymi żołnierzami kawalerii powietrznej, dokonując sławetnych manewrów tak, że pierwszy z brzegu bojownik Wietkongu na tydzień wcześniej wiedział, co Pierwsza Dywizja porabia i gdzie zamierza uderzyć. W telewizji pokazywano go nieustannie, raz nawet jego podobizna zdobiła okładkę „Life'u”. Wielka barwna fotografia

Rylandera ze złotą apaszką na szyi i w odblaskowych przeciw-słonecznych okularach obserwującego wzgórze, na których zapewne roilo się od bojowników Wietkongu i regularnych sił Wietnamu Północnego. I te wszystkie odzywki Rylandera o „nowym wrogu” i przemianowaniu Pierwszej Dywizji Kawalerii na „nową jednostkę bojową”. Gadał zupełnie jak jakiś jajogłowy przedstawiciel Pentagonu.

Hedges dowodził Pierwszą Dywizją Piechoty, formacją wchodzącą w skład Wielkiej Czerwonej. Prosił o przydział na najtrudniejszy odcinek Żelaznego Trójkąta i rejon taki otrzymał. W promieniu pięćdziesięciu mil nie było żółtka, który by nie znał Diabłów Hedgesa. Kiedyś schwytano miejscowego przywódcę Wietkongu. Podczas przesłuchania Wietnamczyk zeznał, że jego ludzie ukuli własne określenie Hedgesa - „Czerwony Diabeł”.

- Charlie? - Ciszę przerwał głos generała Rylandera. - Charlie, co z tym rekrutem znalezionym dziś rano w Popolopen? Masz dla mnie jakieś nowe informacje? Muszę sporządzić raport.

- Lada chwila stawi się u mnie Terry King. Niebawem dowiem się wszystkiego.

Hedges miał na myśli dowódcę Trzeciego Pułku, pułkownika Phineasa Terrance'a Kinga, z którym służył w Wielkiej Czerwonej. Obaj pełnili funkcję dowódców batalionu, zanim Hedges nie przejął brygady Diabłów. Terry'emu przypadli Piraci... „To dopiero były czasy”- pomyślał odruchowo Hedges, lecz natychmiast wrócił do rzeczywistości i jeszcze raz uderzył gumką na końcu ołówka w blat biurka.

- Terry jest najlepszym człowiekiem, jakiego mamy, sir. On już wszystko dokładnie zakituje. Absolutnie mu ufam, sir. Zamkniemy tę puszkę tak, że nikt nie zdoła jej otworzyć.

- Do cholery ciężkiej, Charlie, musicie dobrze zamknąć tę puszkę. Pojutrze zaczyna się Czerwcowy Tydzień. Z Waszyngtonu przyjedzie sam szef sztabu. Dobrze o tym wiesz. Jeśli pojawią się jakieś pytania na temat...

- Nie będzie żadnych pytań, sir - uciął krótko Hedges.

Doskonale wiedział, jak rozmawiać z Rylanderem. Uspokoić starego sukinkota, jeszcze raz uspokoić, po czym przerwać

rozmowę i dać mu czas na zastanowienie się, na jakiej łące przyjdzie mu się paść, gdy przestanie już być głównym inspektorem. Ta metoda skutkowałą zawsze.

- Tak, oczywiście - powiedział główny inspektor. - Zadzwoń do mnie, gdy zapoznasz się z raportem Terry'ego.

Chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Zadzwoń - zapewnił Hedges, celowo opuszczając słówko „sir”.

Odłożył słuchawkę na widelki i sięgnął po lornetkę. Rozmowa z głównym inspektorem akademii wojskowej przypominała mu zakupy z jego własną żoną. Czekanie i czekanie. Czekanie w sklepie przy Piątej Alei, aż zmierzy jedną sukienkę, potem drugą, a on tylko „tak, kochanie”, zachęca starą raszplę do zakupu, by na koniec bez słowa otworzyć portfel i wręczyć jej kartę kredytową. Zawsze tak samo.

Chryste Panie, to żalosne, gdy główny inspektor przypomina człowiekowi własną żonę. Jezu! Żle się działo w armii, skoro taki tchórzliwy mamut jak Rylander potrafił przedrzeć się i zostać głównym inspektorem! Cóż, Rylander miał piekielnie dużo fartu, że jego koledzy, absolwenci West Point z rocznika czterdziestego, zajmują kluczowe stanowiska w Pentagonie. Każdy wiedział, że zastępca szefa sztabu do spraw personalnych podczas studiów w akademii mieszkał z Rylanderem w jednym pokoju. W CIA też wiedziano, że „zwycięstwa” Rylandera ze szpalt „Life'u” były dymem, którym Westmoreland i LBJ\* dmuchali w twarz narodu i Kongresu. Wszyscy w Agencji wiedzieli, że Rylander i Pierwsza Dywizja Kawalerii kręcą się w kółko za własnym ogonem i marnują amunicję, wysadzając w powietrze krzaki. Johnson wrzeszczał w Westmoreland, że potrzebuje nowej twarzy, nowego symbolu, nowych generałów, którzy przed kamerami telewizyjnymi zaświadczyliby, że kraj wygrywa wojnę.

\* Lyndon Baines Johnson - prezydent Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Teraz to już przeszłość. Wietnam się skończył. Hedges do brze o tym wiedział. O bałaganie, jakiego narobiła wojna,



rozmawiał przed kilkoma dniami z pułkownikiem Addisonem Thompsonem, szefem wydziału nauk społecznych w akademii. Często ze sobą rozmawiali. Hedges, gdy był kadetem, cieszył się wielkimi względami Thompsona, który bacznie śledził - niektórzy nawet twierdzili, że wspomagał - karierę przyszłego generała. Żaden z oficerów nie był tak dobrze ustawiony politycznie jak Thompson. Jego koneksje były stare, głębokie i opierały się na licznych długach wdzięczności. Thompson miał wpływowych przyjaciół w obu partiach i co ważniejsze - pomógł zrobić karierę biurokratom zasiadającym w każdej ważniejszej agencji rządu federalnego. Teraz, o czym Hedges dobrze wiedział, najbliżsi przyjaciele Thompsona decydowali o polityce Departamentu Stanu, CIA i supertajnej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, nie wspominając już o absolwentach West Point, których porozmieszczał we wszystkich kluczowych wydziałach Departamentu Obrony. Słowem, pułkownik Addison Thompson miał znaczną władzę i ogromne wpływy. Ponadto powszechnie wiadomo, że siwowłosy szef wydziału nauk społecznych West Point jest naukowcem o bardzo liberalnych poglądach. To właśnie od Thompsona Hedges dowiedział się prawdy o Bobbym Kennedym. Zaledwie na kilka dni przed wstępnymi wyborami w Kalifornii Kennedy startł z mapy politycznej Huberta Humphreya. Thompsonowi najbardziej doskwierał fakt, że do rozgrywki z Humphreym Kennedy wykorzystał wojnę. Do diabła, przecież to jego własny brat, JFK\*, rozpoczął tę wojnę, a zgodnie z tym, co mówił Thompson; to właśnie Bobby Kennedy bardzo naciskał na rozpętanie tej zawieruchy, kiedy dzierżył urząd prokuratora generalnego. Od swych przyjaciół w CIA Thompson sporo się dowiedział o metodach stosowanych przez prokuratora generalnego. Kennedy nieustannie wściubiał nos w sprawę Agencji. Bawił się światem, zupełnie jakby JFK dał mu na to *carte blanche*. Zresztą obaj bracia, zwłaszcza Bobby, mieszały się do spraw Centralnej Agencji Wywiadowczej. Wietnam stanowił pretekst. Musieli wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi kraiku. Wbrew radom ekspertów zmuszali CIA do

podejmowania ryzykownych operacji. Później Kennedy oparł się na żołnierzach - nazywano ich oficjalnie doradcami, lecz powszechnie wiadomo było, że mieli stanowić klin.

\* John Fitzgerald Kennedy - w latach 1961-1963 prezydent Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

I tak Bobby Kennedy wykorzystał swoją małą wojnę do zniszczenia Humphreya. Udało mu się wykraść McCarthy'emu sprawę wojny i nikt już - dosłownie nikt - nie znał całej prawdy o Bobbym Kennedym, CIA i wojnie w Wietnamie. Nikt poza pułkownikiem Addisonem Thompsonem i kilkoma jego akolitami. Należał do nich również Hedges. Pamiętał, jak w 1962 roku Bobby Kennedy nakładał na głowę zielony beret i odbywał helikopterem podróże w tajnych misjach, które miały na celu zwiększenie popularności jego brata jako prezydenta. Hedges należał do oficerów wchodzących w skład jego eskorty. Wspomnienie tamtych chwil wciąż było żywe i dostarczało Hedgesowi wiele satysfakcji.

Miał za sobą dwie tury w Wietnamie. Pierwszą w latach 1962-1963 jako jeden z „doradców” Kennedy'ego. Wtedy też poznał prawdę o tej wojnie. Poznał prawdę o śmiesznym zielonym berecie Bobby'ego i jego zamięrowaniu do militariów. Drugą wyprawę odbył w latach 1966-1967, kiedy awansował z podpułkownika na generała (omijając stopień pułkownika) i został dowódcą brygady wchodzącej w skład Wielkiej Czerwonej.

Wtedy też zaczął zabezpieczać sobie flanki. Zaliczył całą kolekcję podstawowych medali, a nawet zdobył sławę. Pewnej nocy jego batalion został zaatakowany przez regularną armię Wietnamu. Nie ponieśli wtedy żadnych strat w ludziach, a zabili dwustu żółtków. W Wietnamie przeżył chwile wielkiej chwały, lecz wojna się skończyła. Addison Thompson przepowiadał to od dwóch lat. Hedges przygotowywał się do kolejnego ruchu. Pierwszy do odstrzału miał być główny inspektor.

Generał brygady Hedges zawsze uważał się za administratora. Kiedy w 1948 roku kończył studia w West Point, kolega, z którym dzielił pokój, powiedział mu, że powinien studiować

księgowość, nie taktykę. Ilekroć bowiem Charlie Hedges rozważał jakąś kwestię, zdawało się, że liczy wszystkie za i przeciw. Oczywiście jego towarzysz z pokoju nie miał racji. On kalkulował. Był jedną z tych rzadkich indywidualności, które mają zwierzęcą wręcz zdolność wyczuwania innych ludzi. Nie musiał liczyć własnych szans. Wiedział, tak jak wiedział teraz, że wojna dobiega niechlubnego końca. Nieprzypadkowo Charles Sherrill Hedges pierwszy z rocznika 1948 dochrapał się szlifów generalskich.

Generał Hedges, rozmawiając przez telefon z głównym inspektorem, wyczuł jego lęk. Był zgoła namacalny, widoczny jak... jak para uchodząca z zaworów przy Thayer Road. Każdy starałby się zignorować ten strach, zwłaszcza że okazywał go przełożony. Ale nie Hedges. On zawsze, w przeciwieństwie do innych, wykorzystywał ten lęk do własnych celów. Oczyma duszy widział głównego inspektora akademii wojskowej przechadzającego się nerwowo po dywanie przed biurkiem, nieustannie podnoszącego do ucha słuchawki dzwoniących telefonów, wyglądającego nerwowo przez okno, za którym rozciągała się rzeka Hudson, i czekającego, czekającego... Ludzie pokroju Rylandera zawsze czekają. Czekają i boją się. Rylander był panikarzem. Całe jego życie przypominało chwile w Wietnamie, kiedy ktoś wołał „nadchodzą” i wszyscy czmychali, szukając schronienia. Rylander, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, ciągle czmychał i szukał schronienia.

Hedges cenił siebie nie za odwagę - za którą zresztą został hojnie obdarowany medalami - lecz za zmysł synchronizacji. Co po odwadze, kiedy nie wiadomo, jak ją wykorzystać? Co po brawurze, której nikt nie zauważy? Generał Hedges cyzelował w sobie zmysł synchronizacji, tak jak Rylander cyzelował uderzenia podczas gry w golfa. Hedges wiedział, że pewnego dnia stokrotnie mu się to opłaci. Co więcej, zdawał sobie sprawę z tego, że dzień zapłaty zbliża się szybkimi krokami.

Rozparł się na obitym skórą krześle i przeciągnął krótkimi, grubymi palcami po przerzedzonych włosach.

W wieku czterdziestu dwóch lat i przy wzroście metr osiemdziesiąt był wzorem wojskowego. Jego czerstwa twarz przypominała oblicze Jimmy'ego Cagneya. Codziennie rano przez pięć minut płał się w promieniach lampy słonecznej, którą trzymał w najniższej szufladzie biurka po prawej stronie. Na piersi nosił osiemnaście baretek uformowanych w siedem rządków; dwa rządki po cztery, dwa po trzy, dwa po dwie, zwieńczone wstęgą Orderu za Ofiarną Służbę, drugiego pod względem ważności odznaczenia Stanów Zjednoczonych, nadawanego za wyjątkowe bohaterstwo w obliczu wroga. Dostał je za akcję, w której jego batalion odparł atak regularnych sił Wietnamu. Gamę barwnych baretek uzupełniała Odznaka Piechoty Bojowej, umieszczona nad Orderem za Ofiarną Służbę. Całość tworzyła tak kolorową i imponującą kompozycję, iż Hedges bardzo niechętnie zdejmował marynarkę, mimo że została uszyta ze sztywnego materiału i była niewygodna. Gdy już ją zdejmował, wieszal na widocznym miejscu, tak by każdy widział feerię baretek. Generał Hedges nie mitrężył czasu na sprawy, które nie służyły bezpośrednio jego zawodowej karierze, ale pozwalał sobie na partyjkę tenisa w porze lunchu. Grywał z dwóch powodów: po pierwsze, by wygrywać; po drugie, tenis doskonale robił jego sylwetkę i pozycji zawodowej.

Zapomniał już o mało istotnym telefonie głównego inspektora. Teraz myślał wyłącznie o własnym wizerunku. Patton miał pistolety, McArthur ciemne okulary, on - lornetkę. Siedząc w gabinecie o ścianach wyłożonych boazerią i z zielonym dywanem na podłodze, zaczął obserwować przez instrument marki Nikon (kupił go na wyprzedazy w bazie lotniczej Ton Sun Hout, gdzie czekał na samolot, który miał go zabrać na trzydziestodniowy urlop na Hawaje) dwudziestu kilku kadetów maszerujących po placu apelowym. Generał trzymał lornetkę w lśniącym skórzanym futerale na widocznym miejscu na biurku. Każdy interesant widział ów pokrowiec ze śladami noszenia go przez właściciela na szyi podczas walki; jeden z licznych dowodów i pamiątek kariery generała, do których zaliczało się sześć oprawionych w mosiężne ramki emblematów jego pułku,

plastyczna mapa Żelaznego Trójkąta zawieszona nad kanapą obitą skórą, dwa skrzyżowane, lśniące chromem bagnety nad flagą Wietkongu oraz miniatura uzbrojonego w karabiny maszynowe M-60 helikoptera Huey model D w skali 1:25, stanowiącego wersję jego dowódczej maszyny w Wietnamie.

Hedges podniósł lornetkę do oczu i nastawił ostrość. Obserwował usta maszerujących po placu kadetów. Jedni zmierzali na północ, drudzy na południe. Generał zauważył, iż żołnierze, mijając się, coś do siebie szepczą. Sięgnął po telefon i wywołał posterunek straży, mieszczący się dokładnie pod jego gabinetem. Nie komunikował się przez zwyczajny telefon. Podniósł słuchawkę telefonu polowego na baterie, sprzężonego z takim samym aparatem w wartowni. Zakręcił korbką i przez chwilę słuchał miłego dźwięku generatora w słuchawce.

- Tu dyżurny posterunku straży.

- Mówi dowódca - powiedział Hedges. - Dajcie mi sierżanta dyżurnego.

Kiedy już sierżant sprawujący komendę nad odbywającymi karę kadetami zgłosił się na linii, Hedges polecił mu stawić się przy swoim biurku. Po trzydziestu sekundach podoficer zameldował się w gabinecie generała. Hedges wskazał palcem kadetów, którzy dopuścili się przewinienia, i kazał dostarczyć sobie ich imiona i nazwiska. Sierżant dyżurny bez chwili zwłoki wykonał rozkaz. Komendant wyjął z szuflady biurka odpowiednie formularze i swym wystudowanym, starannym piśmem wpisał naganę kadetom za rozmowy na placu apelowym. Dodatkowe osiem godzin marszu.

Po dziewięciu miesiącach sprawowania funkcji komendanta kadetów generał Hedges stał się znany z tego, że poluje z lornetką na niesfornych kadetów, którym następnie wpisuje karę regulaminową na formularzu dwa-kreska-jeden. Swoją drogą, było to zdumiewające, że oficer takiej rangi i pozycji - generał, komendant West Point - zajmuje się drobnymi wykroczeniami podwładnych. Wychowankowie nadali mu przezwisko Dwa-Kreska-Hedges, co stanowiło szyderczą aluzję do formularza i lornetki, które zawsze miał pod ręką. Mimo to kadeci wciąż

rozmawiali podczas karnych marszów na placu apelowym.

Stanowiło to nieustanną troskę generała. Gdy rozpoczynał kampanię poskramiania kadetów, sądził, że szybko sobie z nimi poradzi. W dziewięć miesięcy później ciągle jeszcze śledził przestępców. Jeśli zauważył, że ten sam kadet, lub kadeci, znów prowadzi rozmowy, wyciągał formularz dwa-kreska-jeden i dopisywał w raporcie słówko „niepoprawny”. Słowo to oznaczało zwiększenie kary do dwudziestu godzin. Jeden z kadetów za rozmowy prowadzone podczas marszów karnych wędrował po placu w każdy weekend już od dziewięciu miesięcy. Generałowi Hedgesowi nie zaświtał jednak w głowie pomysł, by wezwać go do swego gabinetu i zadać proste pytanie, dlaczego to robi. Tak zatem żołnierz maszerował, generał go obserwował i gra ciągnęła się w nieskończoność. Tego dnia, obserwując przez lornetkę usta kadetów odbywających karny marsz, generał Charles Sherrill Hedges zdał sobie sprawę z tego, że jednak osiągnął swój cel. Kadeci akademii wojskowej brali surową lekcję. Odbywali karę.

### 3.

Do gabinetu Hedgesa zajrzała trzydziestopięcioletnia Althea Shanks.

- Pułkownik King. Czy mam go wpuścić?

Hedges odłożył lornetkę i spojrzał na sekretarkę.

- Tak, proszę - powiedział.

W progu stanął szczupły, wysoki - miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu - pułkownik Phineas Terranee King. Pochodził z Oklahomy. W Wietnamie został trafiony w nogę szrapnelem i odtąd lekko utykał.

- Wchodź, Terry! Masz coś nowego?

Hedges dźwignął się z krzesła, obszedł biurko i obciągnął marynarkę munduru. Phineas Terranee „Terry” King był jego łącznikiem z resztą świata, prawą ręką, najbardziej zaufanym

podwładnym, i nie tylko. Stanowił strefę buforową między Hedgesem a wszystkimi stojącymi niżej na drabinie hierarchii służbowej oficerami. Mimo że miał wielu podkomendnych-zastępcę, S-1, S-2, S-3 i S-4, kilkunastu specjalnych asystentów, oficera do spraw kadetów oraz podoficerów, w tym starszego sierżanta - Terry King był jego człowiekiem. Brał udział we wszystkich delikatnych politycznie spotkaniach i naradach. Był przez komendanta wtajemniczany w ważne kwestie dotyczące akademii, armii i narodu, a co najważniejsze, Hedges wykorzystywał go jako majordoma do specjalnych poruczeń. Na tym zresztą polegała szczytność polityki Hedgesa; dzięki Terry'emu mógł omijać sztywne zasady obowiązujące w hierarchii służbowej. I to właśnie jego wybrał spośród czterech pułkowników dowodzących czterema pułkami kadetów. Terry King należał do Wielkiej Czerwonej. Był Terryem i Piratem, człowiekiem zaprawionym w boju. King to rozumiał i doceniał fakt, że został przez Hedgesa wybrany. Wiedział, że generał zadba o jego interesy. Hedges gonił za stanowiskami, a więc i Kinga nie ominą stanowiska.

Pułkownik King przeszedł dwanaście kroków i zatrzymał się przed Hedgesem, który czekał na niego tuż przed kanapą obitą skórą. Lewym łokciem, służbiście, przyciskał do boku garnizonową czapkę. Generał wyciągnął prawą rękę. Stanowiło to jeden z ich sygnałów. King nie musiał mu salutować, jak czynili to inni oficerowie meldujący się u komendanta kadetów, bez względu na szarżę, pozycję i stosunki łączące ich z generałem (wyjątek stanowił, oczywiście, główny inspektor). Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Hedges, jak zwykle, zasiadł na kanapie. King, jak zwykle, zasiadł w fotelu naprzeciwko. Na kolanach trzymał manilową teczkę z raportem dotyczącym nieżyjącego kadeta.

- Nie wygląda to dobrze, sir - zaczął. - Chce pan przeczytać, sir?

Mimo nieformalnego powitania King pilnował się, żeby nie pominąć formułki „sir”. Wyrażał tym coś więcej niż szacunek. Wyrażał tym gorącą wdzięczność i podziękowanie.

- Nie muszę, Terry. Znasz mnie. Niby dlaczego właśnie tobie zleciłem tę sprawę? Mów prosto. O co chodzi? Od rana

siedzi mi na karku główny inspektor. Zanim pójdzie na kolację z miejscowymi notablami w gospodzie „Bear Mountain”, muszę mu coś powiedzieć. Jest wkurzony jak wszyscy diabli.

- Wygląda na to, że ten chłopak... niech sprawdzę... o, mam... David Hand... kompania F-4... Wygląda na to, że został zamordowany, sir.

- Do licha! Powtórz to!

- Wszystko wskazuje na to, że został zabity, sir. Zaraz po pańskim porannym telefonie zająłem się tą sprawą. Znalezione go około wpół do szóstej rano. Pan zatelefonował do mnie za kwadrans szósta. W biurze pojawiłem się piętnaście po szóstej, a na miejscu zdarzenia - o wpół do siódmej.

- Doskonale. I czego się dowiedziałeś?

- Na zwłoki natrafiono podczas porannego biegu. Unosiły się na wodzie jakieś trzy metry od brzegu Popolopen. W pierwszej chwili sądzono, że to spadochron. Trup pływał plecami do góry; wyglądało to jak kawałek białego nylonu. Spadochroniarzom często każą skakać do jeziora. Któryś z kadetów z najstarszego rocznika ściągnął buty i wszedł do sięgającej mu do piersi wody. Kiedy wyciągnął rękę, natrafił na plecy chłopaka. Człowiek nie żył od dwóch dni. Był spuchnięty i biały jak papier. Mówią, że kadet wyrzygał się do jeziora.

- Naprawdę?

- *Yessir!!!* Później do wody wszedł jego kolega i razem wyciągnęli zwłoki na brzeg. Martwy kadet należał do jakiejś innej kompanii. Nie znali go. Nie wiedzieli nawet, czy był kadetem. Równie dobrze mógł być mieszkającym w okolicy cywilem, który utopił się podczas wędkowania. Zostawili więc zwłoki na brzegu, wrócili do koszar w obozie Buckner i złożyli meldunek oficerowi dyżurnemu. Do czasu mego przybycia nie ustalono tożsamości ofiary. W wodzie całkowicie wygniła mu twarz. Wyglądał okropnie.

- I co dalej?

- Przede wszystkim usunąłem kadetów zgromadzonych przy zwłokach. Wezwałem podpułkownika Evansa Fitzgeralda, komendanta żandarmerii, z rocznika pięćdziesiątego ósmego,



który polecił swym ludziom dokładnie przeszukać teren. Fitzgeraldowi nakazałem zachować sprawę w najgłębszej tajemnicy. Okazał się bardziej niż chętny do współpracy. Choć trup był nagi, obaj doszliśmy do wniosku, że mamy do czynienia ze zwłokami kadeta.

- Nagi? Kompletnie nagi?

- Tak, sir. Przykryliśmy ciało brezentową płachtą, położyliśmy na nosze i załadowaliśmy na dżipa. Po co kadeci mieliby oglądać trupa? Sam pan wie, jak szybko roznoszą się tu plotki, sir.

- Wiem. Słucham ich całymi popołudniami.

- *Yessir!!!* Wróciłem do kwatery głównej obozu w Buckner, zwołałem dowódców wszystkich kompanii najwyższego rocznika i poleciłem przejrzeć poranne raporty. Nic. Kazałem im zatem posłać żołnierzy na śniadanie i jeszcze raz dokładnie zająć się raportami. Sprawdzali nazwisko po nazwisku. Po dziesięciu minutach mieliśmy go. Hand. David. Z Nowego Orleanu. Kompania F-4. Szósta kompania treningowa w Buckner. Rekruci przybyli tam zaledwie dwa dni temu i w ogólnym bałaganie chłopak gdzieś się zawieruszył. Utonął pierwszej nocy. Panowało wielkie zamieszanie. Tysiąc rekrutów roilo się bez przydziału do konkretnych drużyn i plutonów, zajmowało miejsca w barakach quonset\* oraz w namiotach, gdzie wyznaczono im kwatery na lipcowe szkolenie rekrutów... Cóż, chłopak zaginął, lecz nikt tego nie zauważył. To wszystko.

\* Półkoliste baraki z blachy falistej. Nazwa pochodzi od bazy lotniczej Quonset Point w Rhode Island, gdzie w roku 1941 postawiono pierwszy taki barak (przyp. tłum.).

- Cóż, ktoś za to beknie. Terry, chcę mieć winnego zaniedbania. Tutaj, przed moim biurkiem. Ktoś musi dostać kopa w dupę. I to dzisiaj.

- Proszę posłuchać dalszego ciągu, sir.

- Jest dalszy ciąg?

- Sir, nie wiem, czy warto podnosić aż taki raban. Pozwalam sobie zauważyć, że w tym stanie rzeczy sprawę należy wyciszyć. Jeśli damy kopa dowódcy kompanii za to, że stracił z

oka Handa, w korpusie zacznie się zamęt. Kadeci mogą podejrzewać, że to jakaś grubsza afera, i koniecznie zechcą wiedzieć, o co chodzi.

- Zgoda, rozumiem. Mów szybko. Lada chwila zatrąbi główny inspektor.

- *Yessir!!!* Przez cały dzień towarzyszyłem Evansowi Fitzgeraldowi. Najpierw odtransportowaliśmy zwłoki do szpitala. Tam podpułkownik skontaktował się z lekarzem przeprowadzającym sekcje zwłok ofiar nieszczęśliwych wypadków. Doktor nazywa się George Consor i jest majorem. Rocznik pięćdziesiąty dziewiąty. Fitz twierdzi, że to człowiek godny zaufania. Consor osobiście przeprowadził sekcję. Zwłoki przebywały w wodzie prawie dwa dni; dokładnie trzydzieści sześć godzin, a to znaczy, że chłopak utopił się o dwudziestą pierwszą wieczorem tego dnia, w którym rekruci przybyli do Buckner na Czerwcowy Tydzień.

- Gdzie dokładnie znaleziono ciało? Tego mi jeszcze nie powiedziałeś.

- Proszę mi wybaczyć, sir. To moje niedopatrzenie. Popatrzymy... o tu, na końcu Ścieżki Flirtu, obok Skały Roczników. Wie pan, sir, każdej wiosny rekruci malują tam farbą cyfrę oznaczającą rok, w którym ukończą West Point. Siedemdziesiąt jeden. Wymalowali ten numer po południu; tego dnia, kiedy zginął Hand. Fitz dyskretnie wypytał chłopaków. Handa nie było przy malowaniu. W tym czasie leżał na swojej pryczy i czytał.

- Co wykazała sekcja?

- Śmierć przez utonięcie. Żadnych śladów walki. Woda w płucach. Brak wewnętrznych obrażeń. Lekarz nie stwierdził zawału serca ani nie znalazł żadnych obiektywnych przyczyn, które mogłyby spowodować śmierć. Fitz skontaktował się z biurem wychowania fizycznego. Twierdzą, że Hand był wyśmienitym pływakiem; na egzaminie z ratownictwa dostał dwa koma osiem punktów na trzy koma zero możliwych. Pływał jak ryba.

- Stąd przypuszczenie, że został zabity? Alkohol? Narkotyki?

- Nic z tych rzeczy. Lekarz przeprowadził dokładną sekcję.

Oczywiście nie brałem w niej udziału. Posłałem tam Fitzgeralda z poleceniem, by na wszystko miał oko. Lekarz przeprowadził sekcję osobiście, bez pomocy pielęgniarek i asystentów. Od razu pomyślałem, że zechce pan tę sprawę zachować w ścisłej tajemnicy.

- Bardzo dobrze, Terry. Znakomicie. Coś jeszcze?

- Lekarz stwierdził, że tuż przed utonięciem chłopak odbył stosunek seksualny.

- Stosunek seksualny? Skąd lekarz mógł o tym wiedzieć?

- W przewodzie moczowym odkrył ślady nasienia. Major Consor twierdzi, że jeśli po stosunku płciowym mężczyzna nie odda moczu, w przewodzie zostają resztki spermy. Cóż, chłopak najwyraźniej nie wysikał się. Lekarz twierdzi, że w chwili śmierci puszcza pęcherz, ale w tym przypadku niska temperatura wody sprawiła, że chłopakowi wciągnęło kuśkę jak kaczkowowi i nie wypłynęła z niej kropla moczu. Dlatego w przewodzie zostały ślady nasienia. Tak utrzymuje doktor. Hand tuż przed utonięciem zdrowo sobie popieprzył.

- Może tylko się onanizował? A później wlał do wody i utonął? Może dręczyły go wyrzuty sumienia, że trzepał kapucyna? Jezu, wszystko mogło się zdarzyć! Dlaczego więc sądzisz, że to było morderstwo?

- Fitzgerald to bardzo czujny żandarm. Podczas kryzysu dowodził Checkpoint Charlie w Berlinie. Przeprowadził wtedy wiele dochodzeń w sprawie morderstw dokonanych w Niemczech przez kurwy lub alfonsów. W Szwablandzie zginęło w takich okolicznościach wielu naszych żołnierzy, ale o tym z pewnością pan wie, sir.

- Jasne, pamiętam. Podobny wypadek miał miejsce w mojej kompanii. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. W Stuttgarcie. Pewna niemiecka kurwa, leżąc z chłopakiem w łóżku, wbiła mu nóż między żebra. Coś okropnego.

- *Yessir!!!* Fitzgerald zwrócił uwagę na dwa fakty. Pierwszy, że chłopak był nagi. Nikt nie ściąga z siebie ubrania, żeby walić konia. Drugi: żandarmi Fitzgeralda odkryli nieopodał, niecałe trzydzieści metrów od jeziora, ubranie Handa. Leżało na kamieniu. Mundur był schludnie złożony, w butach tkwiły

skarpetki. Niczego nie brakowało. Portfel, pieniądze, książeczka wojskowa; wszystko nietknięte. Okolica jest skalista, dużo mchu. Żadnych śladów stóp. Fitzgerald to prawdziwy zawodowiec. Przez dwie godziny badał teren. Stwierdził, że były tam dwie osoby, a tą drugą bynajmniej nie młoda panienka.

- Skąd o tym wie?

- Stąd. - Pułkownik King sięgnął do kieszeni i wyciągnął epolet od polowego munduru kadeta - szary wełniany trójkąt.

Epolet, który King trzymał w ręku, był z dwóch powodów znaczący: po pierwsze, ozdobiony jasnoszarym grzebieniem, należał do kadeta z przedostatniego roku, do „krowy”; po drugie, widniał na nim złoty wężyk oznaczający kaprała, szarzę zarezerwowaną dla dowódców drużyn studentów drugiego roku.

- Nie należał do Handa - oświadczył po długiej chwili Hedges.

- *Nosir!!!* - zgodził się King. - Jego dystynkcje były nietknięte. Znaleziony przy ubraniu Handa epolet należał do „krowy”.

- Nie dało się ustalić nazwiska?

- *Nosir!!!* Fitzgerald przeprowadził wnikliwe śledztwo. Wynik zero. Nie istnieje przepis nakazujący kadetom oznaczać epolety swym nazwiskiem, gdyż mundury przechodzą z rocznika na rocznik.

- A może epolet zgubił ktoś inny, ktoś, kto odwiedził tamto miejsce, powiedzmy, przed tygodniem?

- Fitzgerald wyklucza taką możliwość, sir. Dzień przed śmiercią chłopaka padało, a epolet był suchy. Poza tym jest jeszcze inny problem. Miejsce, gdzie go znaleziono.

- Gdzie?

- Pod mundurem chłopaka. Fitzgerald twierdzi, że ktoś, kto był z Handem, zgubił epolet i później, po ciemku, nie mógł go znaleźć.

- Ach tak?

Obaj mężczyźni z niedowierzaniem spoglądali na kawałek szarej wełny.

- Sir, według Fitzgeralda sprawa wygląda następująco.

Hand udał się po zmroku Ścieżką Flirtu w towarzystwie kogoś z drugiego roku. Nieważne, kim był. Najwyraźniej obaj nie chcieli, by widziano ich razem. Wspięli się na skały, a nie jest to łatwe przedsięwzięcie. Hand rozebrał się. Tamten, wnioskując z epoletu, uczynił to samo. Kochali się. W każdym razie Hand spuścił się. Postanowili wziąć kąpiel. Być może zabójca wziął go przez zaskoczenie. Nie wiadomo. Hand był wyśmienitym pływakiem i cieszył się doskonałym zdrowiem, a jednak nie bronił się. Po prostu opił się wody i utonął.

- A może dostał skurczu? Kto to wie?

- Lekarz wyklucza taką możliwość. Twierdzi, że skurcz utrzymuje się nawet po śmierci. U Handa nic takiego nie zauważył. Zdaniem Consora zabójca zaatakował go od tyłu i utopił. W płucach Handa odkrył dużo wody. Poza tym pod paznokciami denata nie było śladów naskórka napastnika. Zdaniem lekarza Hand został całkowicie zaskoczony. Fitzgerald jest tego samego zdania.

- W porządku. Hand zginął podstępnie zamordowany. Co dalej?

- Zabójca wyszedł z wody, wspiął się na skały, ubrał się i pozacierał ślady. Mundur Handa zostawił, żeby wszystko wskazywało na przypadkowe utonięcie. Opuścił scenę. Zdaniem Fitzgeralda morderca zauważył brak epoletu dopiero po powrocie do koszar. Kadeci często gubią dystynkcje. W zeszłym tygodniu osobiście ukarałem czterech kadetów za brak dystynkcji przy koszuli.

- Brzmi to rozsądnie.

- *Yessir!!!* Bardzo rozsądnie. Aż za bardzo. A czy wie pan, co mówi Fitzgerald, sir? Sugeruje, że to dzieło jakiegoś psychologa, który pojawił się w okolicy i zamordował Handa. Tak jednak nie było... Nie można ignorować śladów nasienia w jego członku, braku oznak walki i faktu znalezienia tego przeklętego epoletu.

King ponownie wyciągnął rękę, w której trzymał pasek materiału.

- Fitzgerald twierdzi, że sprawa jest jasna, sir. Dokonano morderstwa z premedytacją. Utrzymuje, że morderca dobrze znał Handa i zapewne łączyły ich intymne stosunki. Generale,

wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z morderstwem na tle seksualnym, lecz nie mamy podejrzanego. Tamego wieczoru nikt nie widział Handa na Ścieżce Flirtu. A później, przez trzydzieści sześć godzin, nikt nie spostrzegł jego nieobecności. Nikt nic nie widział. Mamy ogromny problem.

Hedges wygładził na sobie marynarkę i popatrzył na swego zastępcę Phineasa Terrance'a Kinga. Wiedział, że pułkownik wykonał dobrą robotę. Odwalił kawał dobrej roboty. Czuł, że King ma rację. Czuł lęk i podniecenie, jak zawsze, ilekroć do głowy uderzała mu adrenalina. Rozchylił usta w lekkim uśmiechu. Tak samo uśmiechał się na fotografiach robionych w helikopterze w Wietnamie. Zawsze miał na twarzy taki uśmiech, ale tylko do chwili powrotu do bazy. Później uśmiech gasł. Nigdy nie pozwalał sobie na uśmiech w lustrze. Uśmiech służył wyłącznie do tego, by przed obiektywem ukryć zakłopotanie.

- I co zrobimy z tą sprawą, sir? - przerwał milczenie King.
- Ile zrobiłeś kopii tego raportu?
- Tylko jedną, sir.
- Czy Fitzgerald wie, że rano do ciebie dzwoniłem? Czy wie, że wezwałem cię dziś po południu?
- *Nosir!!!* Sądzi, że pełniłem rano dyżur... coś w tym rodzaju. Bardzo Fitza lubię.
- Rozumiem. Ktoś jeszcze? Chodzi mi o to, czy ktoś jeszcze wie o twoim raporcie?
- Pańska sekretarka, sir.
- Ją pomińmy. Ten lekarz, Consor, wie?
- *Nosir!!!* Zaraz po sekcji kazałem mu wrócić do zwykłych obowiązków, jakby nic się nie wydarzyło.
- Czy przyjechałeś tu służbowym samochodem?
- *Nosir!!!* Własnym. Rano powiedział mi pan przez telefon, że przeczuwa kłopoty. Wołałem zachować ostrożność. Pamiętam, że w Wietnamie nigdy nie mylił pana węch, sir. Jezu słodki!

Uśmiezek Hedgesa przeszedł w szeroki uśmiech. General rozparł się wygodniej na kanapie i przeciągnął palcami po kancie spodni.

- Dobra robota, Terry. Cholernie dobra! Osobiście pochwalę cię przed głównym inspektorem. A teraz słuchaj. Dasz mi raport i epolet. To jest dowód rzeczowy i inspektor z pewnością zechce na niego rzucić okiem. Natychmiast się z nim skontaktuję. A ty wracaj do Fitzgeralda. Powiedz mu, że sprawa jest śmierzcząca i ma trzymać język za zębami. To samo dotyczy doktora i żandarmerii. Ani pary z gęby!

- Żandarmerii, sir?

- Właśnie. Ilu żandarmów jest zamieszanych w śledztwo? Ilu widziało zwłoki?

- Fitzgerald zajął się tym osobiście. Wydaje mi się, że był z nim jeden, najwyżej dwóch funkcjonariuszy.

- A więc powiedz Fitzgeraldowi, żeby ich gdzieś wysłał. Do Korei. Do Niemiec. Słowem, niech opuszczą kraj. Powiedz mu, że to dyrektywa z góry. Nie wymieniaj mojego nazwiska ani nazwiska inspektora generalnego. Nie obchodzi mnie, co sobie pomyśli. Żandarmi mają jutro opuścić posterunki, a w przyszłym tygodniu zameldować się w jakimś zamorskim kraju. Zrozumiano?

- *Yessir!!!* Nie będzie żadnych problemów. Fitz ma dobre stosunki w dziale personalnym żandarmerii w Pentagonie. Załatwi tę sprawę.

- Więc daj mi ten raport i epolet. Muszę niezwłocznie zobaczyć się z głównym inspektorem. On myśli już tylko o Czerwcowym Tygodniu. Mam dobrego nosa do takich afer.

- Rozumiem, sir. Pamiętam, jak w Wietnamie...

- Posłuchaj, Terry - przerwał mu bezceremonialnie Hegdes. - Na temat tej sprawy cicho, sza! To był wypadek. Chłopak utopił się. O jego śmierci należy wszystkich powiadomić, tak jak o tych pierwszorocznikach, którzy w zeszłym tygodniu zabili się w corvette. Tragedia. Korpus Kadetów prześle rodzinie kondolencje. Nabożeństwo. Rób, co uważasz za słuszne.

- *Yessir!!!*

- Przeprowadź dyskretne dochodzenie. Masz na to dwa tygodnie. Chcę znać wszystkie szczegóły na temat tego Handa. Chcę wiedzieć, z kim się przyjaźnił, kto go nie lubił, czym się zajmował w czasie wolnym od zajęć. Muszę dokładnie

prześwietlić tego chłopaka. Chcę to wszystko mieć na piśmie. Nazwiska, kontakty, daty, dwa-kreska-jeden, kumple z pokoju, dokąd chodzili na przepustkę. Wszystko, co wykryjesz. Chcę mieć kadeta Davida Handa przed moim biurkiem w pozycji na baczność. Terry, chcę znać całe jego życie, do ostatniego oddechu. Chcę czuć jego zapach. Kapujesz, Terry?

- Może pan na mnie polegać, sir.

- W porządku. I morda w kubel! Śpiesz się. Zgłoś się do mnie, jak tylko będziesz gotów.

- *Yessir!!!*

- A teraz biegnę do głównego inspektora. Będziemy w kontakcie. Gdybyś czegoś potrzebował, zgłaszaj się do mnie.

Pułkownik Phineas Terranee King przyjął postawę zasadniczą i zaszalutował. Hedges nawet tego nie zauważył. Studiował z uwagą wyglansowane na wysoki połysk buty. Czekala go krótka droga na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się gabinet głównego inspektora. Musiał jeszcze przemyśleć wiele spraw, a czasu miał mało. Czuł się jednak wyśmianie. Wydawało mu się, że czas się skurczył, ale on myśli szybko. Odnosił wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, jakby otaczało go nie powietrze, lecz gęsty olej... Kompresja czasu umysłowego, psychologicznego... Jakby rzeczywisty czas mknął do przodu, a on... To właśnie ta cecha sprawiała, iż na polu walki był wspinałym dowódcą. Kiedy sytuacja pozornie nie pozwalała ani na chwilę zwłoki, on wynajdywał czas na podjęcie decyzji. Hedges poczuł, że usta znów krzywią mu się w lekkim uśmiechu. Ciśnienie. Czuł to. Czuł je, tak jak mężczyzna wyczuwa zapach perfum kobiety. Zupełnie jakby był zamroczony alkoholem albo na haju. W dłoniach czuł swędzenie, myśli galopowały. Charles Sherrill Hedges wsunął rękę do kieszeni i wymacał epolet kadeta. Przekroczył Thayer Road. Był urodzonym generałem. W wojsku rozkwitał, upajał się nim, oddychał jego podniecającym powietrzem...

Gdy wszedł na dziedziniec przed głównym biurem akademii, przypomniał sobie sierżanta, który pełnił funkcję dowódcy drużyny w czasach, kiedy on był jeszcze porucznikiem. Po raz pierwszy dowodził wtedy własnym oddziałem. Na jakichś



manewrach na pokrytych czerwoną gliną poligonach w Georgii sierżant upił się do nieprzytomności. W pierwszej chwili porucznik Hedges nie wiedział, czy ma go ukarać, puścić zdarzenie w niepamięć, skarcić jak dziecko czy odprowadzić do łóżka... Do licha, nie wiedział, jak postąpić. Chciał wtedy być starszy, a był zupełnie zielony i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Sierżant - stary wyga, którego w ciągu dwudziestu lat służby wielokrotnie degradowano i ponownie awansowano - objął młodziutkiego porucznika i wyszeptał mu do ucha: „Armia jest jak kobieta, sir. Jak pizda. Czuje się jej zapach. Należy tylko pamiętać o jednym: jeśli jej nie pieprzysz, ona pieprzy ciębie”.

## 4.

- Yyyy, Slaight!

Nosowy, niewyraźny dźwięk przypominał warknięcie foki. Dotarł doń, kiedy szedł długim, szerokim korytarzem na pierwszym piętrze nowych południowych koszar, kierując się do znajdującego się na końcu budynku pokoju numer dwieście dwadzieścia sześć, którego okno wychodziło na szpital.

- Yyyy! Francowaty Slaight!

Wolał go kolega, z którym dzielił pokój, Leroy Buck. Zawołanie stanowiło sygnał z czasów rekruckich. Na terenie koszar, poza własnym pokojem, nie wolno im było odzywać się do siebie, więc wymyślili takie warknięcia; głuche, nosowe, nikt nie potrafił określić, kto je wydaje ani co to znaczy. W trzy lata później wciąż się tak do siebie zwracali.

- Yyyy! - odwarknął Slaight. - Jezu Chryste, plac apelowy wychodzi mi już bokiem. Stopy mam jak skwierczący na patelni hamburger, a cholerne ramię boli, jakby przez cały dzień ktoś walił w nie kijem. Pierdzielony plac apelowy.

- Slight, nie uwierzysz, co usłyszałem od tego durnia Grimshawa - powiedział Buck.

Mówił z przeciągłym południowym akcentem, który sprawiało, że słowa ciągnęły się niczym brona po rżysku. Buck pochodził z Burning Tree w stanie Indiana, wioski liczącej około czterdziestu głów, leżącej na południu stanu, nad rzeką Wabash. Urodził się w tak zapadłej dziurze, że w jego pojęciu miasteczko Leavenworth w Kansas, liczące dwadzieścia tysięcy mieszkańców, skąd pochodził Slight, było metropolią.

Ojciec Bucka pracował na roli jako dzierżawca, co stanowi współczesne określenie najmity, a przed nim dziadek uprawiał cudzą ziemię za jedną piątą plonów. Leroy Buck dopiero w 1957 roku dowiedział się, że domy można ogrzewać nie tylko piecami kaflowymi. Przez całe życie sypiał pod robionymi ręcznie przez matkę pierzynami. Kiedy więc w sześćdziesiątym piątym roku trafił do West Point, wełniany wojskowy koc stał się jego najcenniejszym skarbem. Zabierał go do domu, gdy wyjeżdżał na przepustkę.

- A ty, Buck, nie uwierzysz w to, co ja słyszałem podczas marszu na placu. Po prostu nie uwierzysz.

- Cholera, cholera...

Buck szybciej myślał, niż mówił. Słowa nie nadążały za jego procesami myślowymi i w takich chwilach Buck posługiwał się słówkiem „cholera”.

- Pamiętasz rekruta z „chlewni”? Tego cwaniaczka z Nowego Orleanu, którego poznaliśmy przed rokiem?

- Chodzi ci o tego głupola Handa? Jak mógłbym nie pamiętać?

- No właśnie.

- I co z tym kutasem? Próbował wszcząć rebelię w czwartym pułku?

- Nie żyje. Dziś rano znaleźli go w Popolopen. Utopił się dwa dni temu. Był kompletnie nagi. Mówią, że wyglądał okropnie. Fasolarz Hand, rekrut gwiazdor.

- Cholera... cholera...

Buck rozparł się wygodnie na swojej pryczy zarzuconej stronicami nowojorskiego „Timesa”. Przez całe popołudnie studiował dział finansowy gazety. Z magnetofonu płynęła

muzyka Merle'a Haggarda. Akcent Leroya Bucka, jego chód przypominający człapanie kury, sterczące niczym pierze krótkie, jasne włosy... pokój pełen gazet, czasopism i brudnych łachów - wszystko to wskazywało, kim był Buck: wieśniakiem.

Slaight rozejrzał się po pokoju. Natychmiast zorientował się, co Buck zamierza: szykował się do zejścia do centrum komputerowego w podziemiach Thayer Hall, w głównym budynku akademii. Leroy sam napisał skomplikowany program dla komputera IBM 360, dzięki któremu mógł ustalać podstawowe trendy giełdowe. Slaight już przed rokiem zauważył, że Buck, zanim zasiądzie do komputera, pisze własny program na temat wykładów z zakresu termodynamiki, mechaniki ciał stałych, mechaniki cieczy, techniki jądrowej i nauk stosowanych - wiedzy wchodzącej w zakres nauki „krów”. Leroy Buck był jedyną znaną Slaightowi osobą, która sprawnie poruszała się zarówno w dziedzinie wyższej matematyki, jak i literatury angielskiej. Zachłannie czytał książki, czasopisma, gazety i studiował podręczniki. Znał się dosłownie na wszystkim.

- I co jeszcze słyszałeś o Handzie? - zapytał Buck, odkładając „Timesa”.

Slaight ściągnął białe rękawiczki i odstawił karabin M-14. Z czoła i po szyi spływał mu pot.

- Nic. Mówią, że to był wypadek. Chłopcy z Czwartego Pułku, którzy też odbywają rundy na placu apelowym, o niczym innym nie mówią. W końcu pojawił się sierżant dyżurny i przypomniał nam o Dwa-Kreska-Hedgesie. Komendant siedzi w gabinecie i wycina ciągle ten sam pierdzielony numer. Wiesz, obserwuje nas przez lornetkę.

- Pierdzielony Hedges. Głupol, może nam naskoczyć. Słyszałeś coś jeszcze?

- Nic... Ej ty, leniwy, tępy nicponiu, pomóż mi ściągnąć te cholerne buty. Tak mnie grzbiet boli, że nie mogę się schylić.

Rozmawiali ze sobą jak sierżanci. Nabrali tego nawyku podczas letnich ćwiczeń polowych, kiedy nie mieli nic lepszego do roboty niż słuchać pogwarek dowodzących nimi podoficerów. Po dwóch sezonach letnich spędzonych w towarzystwie „prawdziwych wojskowych” przejęli ich żargon. Była to

prostacka, chamska, prymitywna mowa najgorszych amerykańskich szumowin, język pełen jadowitych zwrotów, świadczący o osobliwej pewności siebie. Sierżanci, znudzeni musztrą prowadzoną na placu apelowym palili liche cygara, popijali cienką kawę z kantyny. Mieli instynktowną, wręcz magiczną zdolność manipulowania podwładnymi, których społeczność „zwykłego świata” oceniała jako lepszych i inteligentniejszych od sierżantów. Koślawy żargon pełen aforyzmów i wyświechtanych komunałów, pogardzanych przez innych, w ustach sierżantów nabierał życia i znaczenia.

Mowa sierżantów przypominała Buckowi ludzi, których ojciec najmował do żniw, robotników pojawiających się sezonowo w nizinnej Indianie w okolicach Burning Tree. Slaughter z kolei sierżanci przypominali ludzi, których znał z Leavenworth - starca prowadzącego klub bilardowy, nocnego stróża ze stacji benzynowej Apeo i czarnego gogusia, kumpla z liceum, który był szefem gangu we wschodniej części miasta, leżącej nad Missouri. Dla obu kadetów mowa sierżantów miała czar egzotyki. Kadeci byli dżentelmenami. Sierżanci prostakami. Miało to swój urok.

- No, pomóż mi z tymi cholernymi butami!

Slaughter, leżąc na pryczy, położył obute nogi na brązowym welnianym kocu, jaki przysługiwał każdemu kadetowi. Buck rozwiązał mu sznurowadła. Slaughter miał okropnie spuchnięte stopy. Kiedy kolega ściągnął mu ciężkie bucior, westchnął z ogromną ulgą. Zaczął poruszać zdrętwiałymi palcami. Buck ściągnął mu skarpetki. Stopy były zakrwawione, pełne otarć i pęcherzy, w niektórych miejscach zdarte do żywego ciała. Wyciekała z nich krew i bezbarwny płyn. Trzygodzinne marsze po betonie przez pięć dni z rzędu brały swój haracz. Slaughter popatrzył z lekkim niesmakiem na okaleczone nogi. Bywały w gorszym stanie. Przed rokiem przez podobny karny marsz o mało nie trafił do szpitala. Nie wylądował w lazarecie tylko dlatego, że oficer taktyczny, major Nathan E. Grimshaw, wydał zarządzenie, że żadne względy medyczne nie mogą zwolnić kadeta od karnego marszu. Zagroził, że każdego, kto pod pretekstem obtartych nóg uda się do szpitala, czeka dodatkowo dzień kary za każdy dzień pobytu w lecznicy.

Tak więc Rysam Parker Slaughter III leżał teraz na pryczy w pokoju numer dwieście dwadzieścia sześć w nowych południowych koszarach i z zainteresowaniem patrzył na własne stopy, które przypominały krwiste befsztyki. Postanowił udać się do lecznicy, by chorymi nogami zajął się dyżurny lekarz: przemyje mu stopy wodą z solą, obandażuje moleskinem, zaaplikuje darvon i da fiolkę z tabletkami kodeiny. Bez tabletek przeciwbólowych nie dawało się żyć i wszyscy kadeci z kompanii Grimshawa trzymali zapas tych leków na wypadek, gdyby przyszło im odbywać karny marsz.

Wyraźnie rozbawiony Buck szturchnął kolegę i powiedział, że jego stopy najlepiej świadczą o tym, co dzieje się z „miastowym chłopakiem”, kiedy sobie trochę pochodzi. Slaughter odprowadził zaczepkę: poradził Buckowi, żeby wysmarował sobie stopy czarną pastą i na bosaka pospacerował po placu apelowym.

- Takie czereśniaki jak ty, pierdoło, chodzą bosy za pługiem.

Buck roześmiał się, namoczył w umywalce ręcznik i stał z nóg kolegi krew.

- Więc co, twoim zdaniem, przytrafiło się Handowi? Samobójstwo? Sądzisz, że specjalnie wykręcił taki numer? To w jego stylu. Jak w teatrze. Pierdzielony pływak. Jezu!

- Nie wiem, chłopie. Nie mam zielonego pojęcia. Mogę tylko powiedzieć, że w kwaterze głównej brygady wrze jak w ulu.

- Tak?

- Szkoda, że ciebie tam nie było, Buck. Kiedy kończyliśmy musztrę i to kozie gównu, sierżant, wrzasnął „Druuuży-yynaaa, rozejść się!”, na plac zajechał niebieski chevrolet i wyskoczył z niego nasz ukochany pułkownik, dowódca Trzeciego Pułku Phineas T. King. W ręku trzymał wielką teczkę. Galopem, ucieszenie podskakując, popędził do biura. Buty miał zakurzone, czapkę przekrzywioną i był nieogolony. Szczecinę na jego ryju widziałem z drugiej strony placu. Założę się, że od rana zajmował się sprawą Handa.

- Ale dlaczego King? - zapytał z niekłamanym zdumieniem Buck. - Przecież nie jest dowódcą pułku Handa. Hand służył w Czwartym.

- Jasne, że w Czwartym. Nie słyszałeś o Phineasie T.? To przyboczny Dwa-Kreska-Hedgesa. Zrobi dla niego wszystko. Nawet wytrze mu tyłek.

- No tak, przykumplowali się w Wielkiej Czerwonej. Razem służyli w Wietnamie.

- Właśnie. Kiedy zobaczyłem, że Phineas T. taszczy swoje dupsko do kwatery głównej, od razu wyniuchałem, że szykuje się jakaś draka. Zajrzałem do wartowni pod pretekstem, że chcę sprawdzić rozkład zajęć na poniedziałek. Wyszedłem stamtąd tylnym wyjściem na Brewerton Road i udałem się do budynku kwatery głównej. Na schodach spotkałem sekretarkę Hedgesa. Zapytałem ją, czy pułkownik King bez kłopotu trafił do gabinetu generała... Wiesz, taki żarcik, że niby nie wiem, iż King często odwiedza Hedgesa. Roześmiała się i odparła, że pułkownik rozmawia już z generałem.

- A więc Hedges zlecił śledztwo w sprawie Handa swemu koleźce Phineasowi T.

Leroy Buck usiadł na łóżku i przełożył na stolik „Timesa” oraz notatki z notowaniami giełdowymi.

- Tego nie wiem. Nie wiem, co niósł w tej teczce. Może najnowszy numer „Playboya”? Kto to wie? Chcesz znać moje zdanie? Otóż sądzę, że mamy podobną aferę do tej z zeszłego roku, z niesławną Wspaniałą Siódmką. Pamiętasz?

- A... W-7. Jezu, prawie o nich zapomniałem.

- Sprawę W-7 zajmował się ten sukinkot Phineas T. Zeszłego lata przyłapali na ćpaniu pierwszorocznika z obozu Buckner. Od razu posłali go na odwyk i wypierdzielili z akademii. Sprawę zatuszowano, ale naszemu miłemu Phineasowi T. to nie wystarczyło. Siedmiu najbliższych kumpli tego gościa dostało zakaz opuszczania koszar przez rok.

- Teraz sobie przypominam. Jeden z tej siódmki trafił do mojej kompanii i o wszystkim opowiedział. W drużynie nikt nie wiedział, że ten świrus ćpał. Chłopak przyznał się, że tylko on ćpał nocami, ale Phineas T. powołał „sąd wojskowy”, w którym sam był oskarżycielem, sędzią i ławą przysięgłych. Nie przyjął do wiadomości, że nikt o niczym nie wiedział. Odebrał chłopakom przepustki i kazał siedzieć w koszarach. Jezu, nawet

się nie obejrżeli, jak zostali zapuszkowani na cacy.

- Wiesz, że sprawa W-7 nigdy nie ujrzała światła dziennego?

- Więc skąd znasz szczegóły?

- Daj spokój, Buck. Masz kurzą pamięć? Nie pamiętasz rozmowy ze starszym sierżantem Eldridge'em w budynku numer siedemset dwadzieścia w kwaterze głównej pułku?

- No tak, stary osioł miotał się po korytarzach jak opos w klatce.

- Oświadczył, że sprawa W-7 jest zamknięta. Ciekawe, bo ona nigdy nie została otworzona. Powiedział, że główny inspektor nie wiedział, co wydarzyło się w Buckner. Zdaniem starszego sierżanta stał za tym Hedges. To on kazał Kingowi wszystko załatwić. Nikt się nigdy nie dowiedział, co się naprawdę wydarzyło, i nikt nie zadawał pytań. Starszy sierżant był tym poruszony do żywego. W West Point Hedges robi takie same numery jak w Wietnamie.

- No tak, pamiętam. Sierżant Eldridge był wstrząśnięty tą historią.

- Jak jasna cholera. W stosunku do Hedgesa zawsze zachowywał lojalność. W Wietnamie służył pod jego rozkazami. Kiedy generał został komendantem West Point, ściągnął starszego sierżanta, aby miał oko na jego przyjaciela Phineasa T., ale teraz to już nieaktualne.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Buck.

- Nie znasz historii starego Eldridge'a?

- Nie. Opowiedz.

- Dowiedziałem się o tym od pewnego kadeta z budynku siedemset dwadzieścia. Zaraz po Czerwcowym Tygodniu Hedges da mu kopa w dupę. Ma to związek z kłopotami syna Eldridge'a. Chłopak wyleciał z Fort Dix. Znaleźli w jego szafce prochy. Eldridge przysięga, że jego syn został w to wrobiony. Oficjalnego oskarżenia nie wniesiono. Po prostu wykopali dzieciaka administracyjnie, nawet nie miał szans się bronić. Stary Eldridge jest załamany. Marzyło mu się, że syn po służbie wojskowej rozpocznie naukę w West Point. Jezu, tragedia! Samo życie.

- I Hedges nie kiwnął palcem, żeby mu pomóc?
- Chyba żartujesz. Starszy sierżant prosił komendanta, żeby pociągnął za kilka sznurków i spowodował normalną rozprawę, podczas której jego chłopak mógłby się bronić. Wiesz, co zrobił Hedges? Nie ruszył palcem w bucie. Powiedział Eldridge'owi: „Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego”. I to wszystko. „Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego”. Dasz wiarę?

Buck gwizdnął przez zęby i zapatrzył się w podłogę.

- Matko Boska - mruknął. - Starszy sierżant był przecież legendą. W naszej pieprzonej armii wszyscy wiedzieli, że w czasie wojny służył w plutonie Audiego Murphy'ego w Trzeciej Dywizji. Dochrapał się, pierdzielony, Medalu Honoru. To on ładował działo Audiego Murphy'ego, kiedy ich pluton zmiotł z powierzchni ziemi cały batalion Niemców. Widziałeś ten cholerny film. Pozwolono mu nawet nosić na prawym ramieniu niebiesko-białe szewrony Trzeciej Dywizji. Większość z nich nosi epolety z Wietnamu, ale nie Eldridge. On pozostał wierny barwom Trzeciej Dywizji.

Ostatnio widziałem Eldridge'a na Brewerton Road. Wyglądał, jakby rozjechała go ciężarówka. Podobno odchodzi na emeryturę. Z wielką pompą. Udekorują go Krzyżem za Szczególne Zasługi, tak jakby potrzebował kolejnej baretki. Słyszałem, że całą sprawę załatwią już po Czerwcowym Tygodniu, gdy kadeci rozjadą się na przepustki i większość oficerów pójdzie na urlop. Jezu Chryste, trzydzieści lat służby w cholernej armii, a Hedges chce wykopać sierżanta, kuchennymi drzwiami. Nie sądzę, by Eldridge nadal darzył sympatią Dwa-Kreska-Hedgesa. Założę się, że chętnie dopierdzieliliby komendantowi. Kadet, z którym rozmawiałem, twierdził, że starszy sierżant miał mord w oczach.

- Sądzisz, że dowiemy się od niego, w jakiej sprawie Phineas T. pojawił się dziś u Hedgesa?

- Jasne, Eldridge wszystko nam wyśpiewa. Co ma do stracenia? Krzyż za Szczególne Zasługi? Za dwa tygodnie już go tu nie będzie; w ogóle nie będzie go w wojsku. Ten skurwysyn Hedges sam nadepnął sobie na fiuta, kiedy wykręcił Eldridge'owi ten numer. Założył, że starszy sierżant pozostanie mu



wierny. Nie mógł popełnić większej omyłki. Dostał się na czarną listę Eldridge'a. Już mu sierżant zrobi koło pióra. Wiesz, jak te stare pierniki trzymają ze sobą. Jeden pierdnie w Korei, a wszyscy o tym wiedzą. Starszy sierżant Eldridge należy do najtwardszych. Jestem pewien, że Hedges dostanie w dupsko.

- Więc jak będzie z Eldridge'em?

- Najpierw podaj mi z szuflady czyste skarpetki. Dosyć już pieszczona się z tymi nogami.

Buck dźwignął się z pryczy i wręczył Slaightowi parę schludnie zwiniętych czarnych bawełnianych skarpetek. Ry z grymasem bólu wciągnął je na obolałe, spuchnięte stopy.

- Powiem ci, co zrobimy. Pogadamy z nim. Niech wie, że jesteśmy zainteresowani sprawą. Pułkownik King zapewne ganiał go przez cały dzień. Jestem przekonany, że wie, co w trawie piszczy. Poprosimy, by zwracał uwagę na wszystkie plotki związane z tą sprawą. I tak zawsze znosił nam takie wieści. Starszy sierżant Eldridge to istna kopalnia sensacyjnych pogłosek. Pamiętasz, jak w styczniu przyniósł wiadomość o pobudce? Zarobiliśmy trzysta dolców na zakładach, że pobudka będzie trochę później.

- Plociuchy!

Buck znów gwizdnął przez zęby i rozejrzał się po pokoju. Dwieście dwudziestkaszóstka przypominała składowisko wszelkich oficjalnych dokumentów akademii. Istny skład makułatury. W pokoju panował zorganizowany chaos. Zupełnie jak w salonie rodzinnego domu Bucka, kiedy jego ojciec prowadził kampanię wyborczą kandydata partii demokratycznej do lokalnych władz w Burning Tree. Pokój w West Point wyglądał teraz podobnie. Stosy papierów i książek piętrzyły się na parapecie, na półkach, na obu metalowych biurkach, a w szafach po obu stronach okna wychodzącego na Nowy Południowy Plac mieściły się plociuchy. Plociuchy w wojskowym żargonie oznaczały wszelkie oficjalne dokumenty dotyczące najprzeróżniejszych spraw - od banalnych, jak rozkłady dziennych zajęć, po wiekopomne sprawozdania z zebrań komendantury West Point.

Ani Buck, ani Slaight nie pamiętali już, dlaczego postanowili gromadzić plociuchy. Zapewne niczego nie postanawiali, po

prostu zaczęli je zbierać i teraz, po trzech latach, nie potrafili już tego procesu powstrzymać. Zawilými drogami, w których pośredniczyli kadeci i podoficerowie, do pokoju dwieście dwadzieścia sześć trafiały wszystkie plociuchy: oficjalne memoranda, protokoły, rozkazy, biuletyny, rozporządzenia i inne wojskowe śmiecie. W całym korpusie wiadano, że pokój dwieście dwadzieścia sześć stanowi magazyn plociuchów. Buck je czytał, a Slaughter segregował. Buck przesiewał nieistotne informacje i podczas wieczornego prysznica o wszystkim informował Slaughtera. Zapewne wiedzieli więcej niż brygadier z Si i oficer kancelista odpowiedzialny za dokumentację West Point. Fascynowało ich bogactwo biurokracji akademii, jej głębia, podejrzewali, że można w niej znaleźć klucz do mechanizmu napędzającego koła tej maszynierii.

- Mam plan, Buck. Pójdę do Eldridge'a. Poczekam, aż wleje w siebie kilka piw, i nadam mu sprawę. Opowiem wszystko o Handzie. Jak wiesz, chłopak miał kilku wrogów. Zasugeruję, że zyska naszą wdzięczność, jeśli przekaze nam plociuchy związane ze śmiercią kadeta Davida Handa. Dam mu na to trzy dni. Mogą sobie zakorkować tę puszkę, już on znajdzie sposób, żeby ją otworzyć. Odplaci im pięknym za nadobne i nic go przed tym nie powstrzyma. Jeśli Hedgesowi odbije się po kanapce z tuńczykiem, starszy sierżant powie nam, w jakiej tonacji beknął. Musimy tylko cierpliwie czekać.

- Spryciula z ciebie, Slaughter. - Buck uśmiechnął się szeroko.  
- A teraz zabieraj się i idź do lecznicy. Niech lekarz obejrzy twoje stopy. Tym razem chyba zwolni cię od dalszej kary.

- Mam gdzieś jęgo zwolnienie. Potrzebuję solidnej dawki darvonu i kodeiny. Zostało mi tylko siedem pieprzonych godzin. Buck, siedem pieprzonych godzin! Daj mi sześć darvonów i końską dawkę kodeiny, a zawędruję stąd do Nowego Jorku. Jezus, do czego to doszło! Darvon, kodeina i mole-skin.

- Przynajmniej nie pławisz się w Popolopen - odrzekł Buck i zagłębił się w papierach.

- Jezu Chryste, Hand nie żyje! Kiedy dowiedziałem się o tym na placu apelowym, o mało nie wypuściłem z rąk karabinu. Wprost nie mieści się to w głowie.

- Zgadza się.

- Co tam jeszcze masz? Pokaż.

- Ha, kolejne rozporządzenie Grimshawa. Kolejna mądrość oficera taktycznego, żeby tak ścierpła mu pod mundurem dupa. To jest naprawdę pyszotka.

Wręczył Slightowi kołnotatnik.

Rozporządzenie było na oficjalnym formularzu Departamentu Obrony i nosiło numer trzysta czternaście. Rozporządzenia w tym stylu Grimshaw pldził codziennie.

## ROZPORZĄDZENIE

DOTYCZY: Małżeństwo

DO: Każdego z pokoi kadetów 1” i 2”

KLASYFIKACJA: Bez

1. Jak wiecie, panowie, zbliża się Czerwcowy Tydzień. Mam przed sobą listę kadetów i”, którzy po święcie Czerwcowego Tygodnia i Promocji zamierzają zawrzeć związek małżeński. Dotarło też do mojej wiadomości, że kilkunastu kadetów 2” „zaręczyło się”. W związku z tym komunikuję, co następuje:

2. Wybierajcie sobie żony godne oficera armii. Nie wolno wam tej sprawy traktować lekko. Dobra żona niezbędna jest w waszej dalszej karierze. Słyszeliście zapewne, że musiałem zmienić żonę na nowy model. Panowie, moja pierwsza żona nie spełniała wymogów. Musiała zatem odejść. Obecna partnerka spełnia wszelkie wymagania. Jest bardziej niż chętna. Nazywam ją tkliwie Pieszczochą Grimshaw. Ale jako kadeci nie macie prawa... powtarzam, nie macie prawa... zwracać się do niej w taki sposób.

3. Niech nigdy nie zwiedzie was Zręczne Pakowanie (sądzę, że wszyscy wiedzą, co mam na myśli).

4. Nie pozwólcie, by Czerwcowy Tydzień odebrał wam to, „co w was najlepsze”. Wiecie dobrze, co mówiłem swoim

żołnierzom w Triple Deuce w Wietnamie. Trzymajcie go w spodniach, a pozostanie między nogami. To dobra rada, panowie. Możecie się ze mną śmiać, lecz przyjdzie dzień, kiedy przyznacie mi rację.

GRIM

Nathan E. Grimshaw

Maj./Inf.

Oficer taktyczny, dow. Trzeciej Dywizji

- Pojebany Grimshaw. To ci dopiero model - mruknął z nieskrywanym zdumieniem Slaight.

- Masz rację. Nikt nie przebiję starego Nathana E. - zgodził się Leroy Buck i znów zagłębił w studiowanie rubryk finansowych „Timesa”. - A ty zabieraj się do lecznicy. Płociuchy nie wyleczą ci nóg.

## 5.

Axelowi W. Rylanderowi, generałowi dywizji w armii Stanów Zjednoczonych, zdarzyło się podczas studiów w West Point przetrzymać trzeci rok, kiedy oblał egzamin z matematyki. Po egzaminie poprawkowym został wprawdzie przyjęty w poczet Korpusu Kadetów, ale musiał powtarzać rok. Tak więc generał Rylander, rocznik czterdziesty, powinien był należeć do rocznika trzydziestego dziewiątego. W ten sposób miał dwa komplety kolegów z roku - tych, z którymi studiował, i tych, z którymi został promowany - i dwukrotnie więcej niż jego towarzysze z akademii przyjaciół na wysokich stanowiskach, którzy pilnowali jego interesów.

Jako drugoroczny nie błyszczał w akademii i jego promocji z rocznikiem czterdziestym nikt nie nadawał rozgłosu. Po ukończeniu West Point ożenił się z córką właściciela wielkiego browaru w północnym New Jersey. Była „koniara” - zajmowała

wysoką pozycję w sferach towarzyskich Nowego Jorku, które jazdę konną traktują z należytą estymą. Młodemu porucznikowi Rylanderowi nie zaszkodziło to, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku prezydent Roosevelt powołał jego teścia na zastępcę sekretarza obrony do spraw produkcji przemysłowej. Wiele można powiedzieć - wiele powiedziano - o Axelu W. Rylanderze i jego waszyngtońskich koneksjach podczas wojny. Prawda była taka, że w roku 1945 wciąż dowodził tą samą kompanią, którą objął na początku kariery oficerskiej, półtora roku wcześniej. Pozycja teścia w Departamencie Wojny była mu wręcz przykra, gdyż wywoływała podejrzenia, że ktoś wysoko postawiony pociąga dla Rylandera za odpowiednie sznurki. Wkurzało go to, bo był zwykłym dowódcą piechoty bojowej. Jedyną przysługą, jaką wyświadczył mu teść, była para butów od L.L. Beana, którą zimą roku 1943 przysłał mu w paczce z Departamentu Wojny do kwatery Piątej Armii. Tak było.

Generał Rylander przechadzał się po szafirowym dywanie w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na Hudson. Rozlewały pokój - miał trzy i pół metra wysokości, a strop wspierały drewniane belki grubości czterdziestu centymetrów. Ściany były wyłożone dębową boazerią, rozsuwane drzwi wiodły prosto na klatkę schodową, prowadzącą na dziedziniec kwatery głównej akademii. Generał podejrzewał, że jego gabinet pełnił niegdyś funkcję sali konferencyjnej, dopóki któryś z głównych inspektorów nie postanowił przeprowadzić się do niej z ciasnego biura mieszczącego się w rogu budynku, które od blisko stu lat służyło za gabinet głównym inspektorom. Nie był szczególnie zachwycony tym pomieszczeniem. Wydawało się takie... wydrążone, zbyt przestronne, nieprzytulne. Nie można się w nim było rozsiąść, by zapalić cygaro, otoczyć wonnym kokonem dymu i zagłębić w myślach.

Podczas dwóch lat spędzonych na stanowisku głównego inspektora Rylander nie w tym pokoju nie zmienił. W gabinecie nadal stało to samo biurko z fotelem i skórzaną kanapą, w oknach wisiały te same szare zasłony. W rogu niewielki, otoczony krzesłami stół do narad. Na ścianie portret Sylvanusa

Thayera, rocznik 1808, piątego głównego inspektora akademii, zwanego Ojcem West Point, człowieka, który ustanowił system akademicki obowiązujący również w roku 1968. Niewielkie klasy, codzienne ocenianie kadetów, główny nacisk studiów na nauki stosowane i technikę. Staruszek Thayer wisiał sobie spokojnie na ścianie i gapił się nieruchomym wzrokiem na każdego, kto wchodził do biura inspektora. Zupełnie jakby to miejsce wciąż należało do niego, jakby przebywając w niebie, czy gdzie tam trafił po śmierci, czuwał, by akademica na jotę nie zmieniła swego oblicza. „Ma oczy psychopaty” - pomyślał Rylander. A może był tylko zły na malarza, który uwiecznił błysk szaleństwa w źrenicach i sprawił, że oczy Sylvanusa Thayera nigdy nie były takie same. Rylander krążył po gabinecie, pozbawionym wszelkich „śmieci”, jak to określał, czyli standardowych pamiątek i atrybutów mówiących o przebiegu kariery zawodowej użytkownika. Przed rokiem, kiedy Armia pokonała Marynarkę, próbowano wstawić mu do biura „piłkę meczową” na stojaku z drewna orzechowego, z odlanymi z miedzi graczami w akcji. Rylander polecił umieścić trofeum w szklanej gablocie w hali sportowej, obok emblematu Towarzystwa Atletycznego Armii, żeby „płacący za bilety widzowie mogli je sobie oglądać”.

Generał dywizji przechadzał się po szafirowym (barwa piechoty) dywanie w gabinecie i z troską myślał o sprawie martwego kadeta, którego zwłoki wyłowiono tego ranka z Popolopen. O zdarzeniu dowiedział się około dziewiątej rano od swego adiutanta, który jak burza wpadł do jego biura z meldunkiem telefonicznym od oficera dyżurnego z obozu Buckner, gdzie rekruci przebywali podczas Czerwcowego Tygodnia, przygotowując się do letnich ćwiczeń. Oficer dyżurny zgłosił się na kwadrans przed przybyciem Rylandera do biura. Teraz generał spodziewał się lada chwila zamieszania - dzwoniących telefonów, posłańców, żandarmerii, policji, wysłanników z wydziału taktycznego. Czekał.

Chwilowo jednak nic się nie działo.

O dziesiątej trzydzieści, w półtorej godziny po nadejściu meldunku o śmierci kadeta, zatelefonował zastępca komendanta kadetów, pułkownik Theodore Reed z rocznika

pięćdziesiątego, i poinformował, że generał Hedges, komendant, pragnął osobiście złożyć głównemu inspektorowi raport, ale musiał niezwłocznie udać się do obozu Buckner. Prawdopodobnie do obozu Buckner. Pułkownik nie był tego pewien. Został niejasną notatkę od komendanta, by zadzwonił do inspektora „i powiadomił go o wydarzeniach”. Martwy kadet nazywał się David Hand, rocznik siedemdziesiąty pierwszy. Utonął w jeziorze Popolopen. Tylko tyle było wiadomo.

Rylandera bez reszty pochłaniały sprawy związane z przygotowaniem do Czerwcowego Tygodnia. Pracował nawet w sobotę. Odnosił wrażenie, że z każdym rokiem przybywa mu pracy związanej z przygotowaniem do Czerwcowego Tygodnia. Większość dnia poświęcił na rozmowy telefoniczne z Waszyngtonem. Chodziło o szefa sztabu połączonych roczników z lat trzydziestych (on sam należał do trzydziestego ósmego). Prywatne spotkanie w biurze głównego inspektora kolegów z rocznika szefa oraz wykład dla nich zatytułowany „Akademia wojskowa przyszłości”, jak też piknik nad Round Pond, zorganizowany specjalnie na cześć dostojnego gościa i jego małżonki - wszystko to wymagało dodatkowych przygotowań, tak jakby mało było roboty związanej z Czerwcowym Tygodniem. Inspektora przyprawiało to o zawrót głowy, a tu jeszcze wynikła sprawa Handa. Na trzy dni przed rozpoczęciem Czerwcowego Tygodnia miał martwego rekruta. Tylko tego brakowało do szczęścia. Generał, czując palenie w żołądku, przypomniał sobie, że po lunchu nie zażył maaloxu. Sięgnął do najwyższej szuflady biurka, wyciągnął srebrną flaszkę i pociągnął tęgi łyk. Blee! Lekarstwo smakowało zawsze tak samo, niezależnie od tego, z czego je pił.

Rylander przez cały dzień czekał na pełny raport komendanta w sprawie śmierci kadeta. Kiedy do siedemnastej nic się nie wydarzyło, sam zadzwonił do Hedgesa. Nie znosił tego. Ich biura znajdowały się w odległości niecałych stu metrów od siebie i z pewnością istniały lepsze metody komunikowania się generałów ze sobą. W pierwszej chwili chciał po prostu nałożyć czapkę, przejść do biura Hedgesa i zapytać, co, do licha, jest z tą sprawą martwego kadeta. Zapanował jednak nad odruchem.

Powinnością Hedgesa było pojawić się z raportem u głównego inspektora. Hedges miał obowiązek dwa razy dziennie - przed południem i po południu - galopem przebiegać na drugą stronę Thayer Road i spotykać się osobiście z szefem, dla którego pracował. Rylander sporządził dla siebie prywatną notatkę: „Codzienne spotkania z Hedgesem - przed południem i po południu”.

Telefon do Hedgesa nic nie dał. Komendant obiecał jedynie, że za godzinę raport znajdzie się na biurku inspektora. Rylander zresztą nigdy niczego nie załatwił z Hedgesem przez telefon porządnie. Odnosił wrażenie, iż komendant używa telefonu jako broni taktycznej. Wyobrażał sobie Hedgesa, jak kręci nad głową telefonem... wypuszcza go... telefon pruje powietrze niczym pocisk z moździerza... czarny, powolny, zabójczy. Rylander usłyszał burczenie w żołądku, przypominające dźwięk, jaki wydają koła samochodu na szutrowej drodze. Znów sięgnął po maalox. Tego roku, jak w poprzednich latach, w Czerwcowy Tydzień musi dać z siebie wszystko.

Na Czerwcowy Tydzień wszystko ma być zapięte na ostatni guzik. Były to dla akademii najważniejsze dni w roku. W rześkie letnie poranki West Point był świeżutki, pachnący kwiatami lipy i w osobliwy, trudny do zdefiniowania sposób młody. Thayer Road, koszary, Równina, zwieszające się nad doliną rzeki Hudson skały będą zatłoczone „starymi elewa, mi”, pałającymi się po-całym terenie i sprawdzającymi, czy akademie, jakkolwiek zmieniająca swe oblicze z roku na rok, niezłomie utrzymuje wielkie tradycje Długiej Szarej Linii, Być może West Point w dni Czerwcowych Tygodni wygląda tak młodo, bo elewowie wyglądają coraz starzej.

Ludzie pojawiający się w Czerwcowy Tydzień w akademii stanowią Długą Szarą Linie. Tradycje West Point są ich tradycjami. Tak w każdym razie uważają starzy absolwenci. Czerwcowy Tydzień był czasem ogromnych emocji, wtedy bowiem akademie stawała na baczność przed tymi, którzy już ją mieli za sobą. Czerwcowy Tydzień celebrował przeszłość, darzył ją najwyższą atencją i powagą, gdyż przeszłość wytyczała ścieżki przyszłości.

W Czerwcowy Tydzień West Point prostował ramiona i dumnie unosił głowę. W tych dniach akademie była na pokaz, w



pełnym galowym mundurze, przystojna, fotogeniczna, królewska, nieskończenie wytworna na swój wojskowy sposób. Czerwcowy Tydzień stanowił najwspanialszą paradę doskonałości. Rokrocznie w akademii pojawiali się reporterzy nowojorskiego „Timesa”, „Daily News” i innych gazet oraz sprawozdawcy trzech sieci telewizyjnych. Wszystkie media odbywały w tym czasie pielgrzymkę do akademii, by pokazać światu, że przynajmniej tutaj, w wielkich budynkach z szarego kamienia, wśród kadetów o krótko obciętych włosach i nienagannych manierach, wśród obwieszonych orderami korpusu oficerskiego życie płynie niezmałomym przez zewnętrzne wydarzenia nurtem. Podczas Czerwcowego Tygodnia wszystkie gazety i agencje informacyjne pisały zgodnym chórem: West Point wciąż jest godzien najwyższej wiary.

W Czerwcowy Tydzień wszystko musiało być idealne. Cały rocznik rekrutów przeniesiono więc do obozu Buckner, wielkiego ośrodka szkoleniowego, oddalonego od głównej bazy akademii o dziesięć mil, gdzie później, latem, rekruci przejdą dwumiesięczne, gruntowne ćwiczenia polowe. W maju rekruci należeli już do West Point, lecz kadetami jeszcze nie byli. Nie zostali dopuszczeni do udziału w oficjalnej ceremonii po defiladzie promocyjnej, gdzie każdy z nich miałby okazję uściskać dłoń kolegów- ze starszych roczników. Rekruci nie kwalifikowali się jeszcze do publicznej prezentacji. Czerwcowy Tydzień mieli spędzić we własnym towarzystwie, przygotowując się do letnich ćwiczeń. Był to dla nich czas beztroski. Po raz pierwszy od roku nie znajdowali się pod nieustannym ostrzałem wyższych roczników. Jezioro Popolopen umożliwiło im różne rozrywki: kąpiele, wiosłowanie, żagle, narty wodne, wędkarstwo oraz, po raz pierwszy od chwili wstąpienia do akademii, dostęp do sławetnej Ścieżki Flirtu i przygód miłosnych z przedstawicielkami płci odmiennej.

Właśnie na końcu tej Ścieżki znaleziono utopionego w Popolopen rekruta Handa. Zastępca komendanta utrzymywał, że to wypadek. Przypadki śmierci kadetów podczas Czerwcowego Tygodnia zdarzały się, aczkolwiek rzadko. Każdego roku przy

trafiało się to jednej lub dwóm osobom. Tego roku miał już miejsce podobny wypadek. Dwóch pierwszorzeczników zginęło w corvette, którą pośpiesznie wracali do akademii od „Snuffy-ego”, niewielkiego przydrożnego lokaliku, znajdującego się w odległości piętnastu mil od bram West Point. Był to najbliższy bar, do którego wolno było kadetom jeździć. O wypadku nie poinformowano prasy. Rylander przypominał sobie, że przed rokiem pijany kadet, prowadząc samochód, zabił dziecko w pobliskim małym miasteczku Highland Falls. Kadeta oskarżono o nieumyślne zabójstwo, lecz później uwolniono od zarzutów, a całą sprawę wyciszono. Wielu kadetów nie słyszało nawet o „przypadkowej” śmierci dziecka.

„Gdzie jest ten przeklęty Hedges? - zzywał się w duchu Rylander. - Dlaczego tak długo zwleka z raportem?” Generał brygady Charles Sherrill Hedges pełnił funkcję komendanta kadetów od dziewięciu miesięcy; Rylander głównym inspektorem był od dwóch lat. Współpraca obu oficerów nie układała się najlepiej.

Główny inspektor zasiadł za swym ogromnym dębowym biurkiem i podrapał się po głowie z krótko ostrzyżonymi włosami. Był muskularny i wysoki, liczył sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył sto pięć kilogramów, niewiele więcej niż w czasach, gdy był kapitanem drużyny footballowej. Twarz miał gładką, pozbawioną zmarszczek, prawie młodzieńczą mimo pięćdziesięciu pięciu lat i udziału w trzech wojnach. Cechowały go bezceremonialne maniere człowieka, który uważa się za lepszego od innych. W przypadku Axela Rylandera nie była to prawda. Pochodził z farmy w Wisconsin i przed wstąpieniem latem 1935 roku do akademii pracował w niewielkiej mleczarni należącej do ojca. Wielki Kryzys doprowadził do śmierci jego matki. Początkowo więc, w roku jej śmierci, powołanie do West Point i okazja zostawienia farmy pod opieką ojca i siostry wydawały mu się najszcześniejszym zrzędzeniem losu, niebывałą gratką... lecz później, już jako kadeta, dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia. Spoglądając wstecz, dochodził do wniosku, iż

to poczucie winy sprawiło, że musiał powtarzać rok. Nie potrafił się skupić na nauce, wyładowywał frustrację i spalający go gniew na boisku piłkarskim, na którym dzięki wrodzonej tężyznie fizycznej i posturze odnosił wielkie sukcesy.

Jego kariera przebiegała zwyczajnie - dowództwo, sztab, wojna, wszystkie szkoły wojskowe, dyplom z zakresu stosunków międzynarodowych uzyskany na uniwersytecie George'a Washingtona w czasach, gdy w latach pięćdziesiątych pracował jako porucznik w Pentagonie. Od karier innych oficerów odróżniało go dowództwo Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej w latach 1965-1966, kiedy to Amerykanie jeszcze wygrywali wojnę. W tamtych latach wszystko mu wychodziło. O wyczynach Pierwszej Dywizji pisano w czołówkach gazet. Prasa potrzebowała przekonujących dowodów, że w Wietnamie, w odległości dziesięciu tysięcy mil od najbliższego amerykańskiego miasteczka, toczy się najprawdziwsza wojna. Korespondenci obsługujący tę wojnę, w każdym razie Cronkite i kilku innych starszych gości z branży, pamiętali Rylandera z czasów drugiej wojny światowej. Pamiętali Bastogne i odmowę złożenia broni przez żołnierzy Sto Pierwszej Dywizji Powietrznodesantowej. Rylander tam był. Niewątpliwie Bastogne przywodziło na myśl wiele wspomnień... i wspomnienie innej bitwy, innej wojny... Wspomnienia nadające Rylanderowi wiarygodność.

Zachciało im się innej wojny, więc on ją im zapewnił - taką jaką pamiętał: zakrojone na szeroką skalę operacje bojowe, obejmujące swym zasięgiem całe masywy górskie, ciągnące się aż do granicy z Laosem. Generał Rylander zatrudnił w bojowych manewrach większą liczbę żołnierzy niż jakkolwiek inny generał w Wietnamie. Pierwsza Dywizja Kawalerii Powietrznej prowadziła ofensywę przez dwa miesiące, po czym „wycofała się” na tyły na krótki odpoczynek od życia w dżungli. Dywizja Rylandera stanowiła wojsko, jakie społeczeństwo amerykańskie pamiętało z czasów drugiej wojny światowej, z Korei... z filmów w telewizji. Rylander dowodził dywizją, która udała się na front i w pełni wykonała powierzone jej zadanie.

Zadanie to miało niewiele wspólnego z realiami politycznymi oraz sytuacją militarną i przeszło zupełnie nie zauważone przez media, polityków i zwykłych obywateli. W latach 1965-1966

Ameryka wygrywała wojnę w Wietnamie. Pierwsza Dywizja Kawalerii Powietrznej była tego niepodważalnym dowodem, a generał Rylander symbolizował postać wojskowego z kart podręcznika historii i filmów hollywoodzkich. Uosabiał typ wojskowego, którego „Life” z upodobaniem przez całe lata prezentował na swych okładkach. Rylander również trafił na okładkę „Life'u”. Wkrótce po tym wydarzeniu w kwaterze głównej jego dywizji pojawił się osobiście prezydent w towarzystwie całej chmary specjalistów od spraw prasowych z Sajgonu. Wszędzie kręciły się ekipy telewizyjne. Prezydent zwiedził kwaterę główną, a następnie wyszedł na zewnątrz i uściśnął kilka dłoni. Rylander pamiętał, że odniósł wówczas wrażenie, jakby szef państwa prowadził kampanię wyborczą gdzieś w Teksasie - w powietrzu unosiły się tumany kurzu, prezydent był zgrzany, pod pachami i na plecach jego białej koszuli ciemniały plamy potu. Następnie zbliżył się do Rylandera i zapytał, czy mógłby odbyć przejażdżkę helikopterem. Właśnie tak! Rylanderowi odebrało wprost mowę. Prezydent przypominał dziecko, które prosi rodziców o pozwolenie pokręcenia się na karuzeli. Wręcz mówił tonem takiego dzieciaka. W jego słynnym przeciągłym teksaskim akcencie Rylander wyczuł fascynację, strach i zachwyt malucha, który po raz pierwszy w życiu usiądzie na karuzeli. Wsiedli zatem do śmigłowca i odbyli niewielką rundę. Któraś z towarzyszących prezydentowi osób odciągnęła Rylandera na bok i powiedziała, żeby nie leciał z prezydentem nigdzie daleko. „Proszę tylko pokręcić się po okolicy. Sam pan zresztą wie najlepiej” - oświadczył ów człowiek. Szum kamer. Tego wieczoru cała Ameryka ujrziała na własne oczy, jak jej prezydent odlatuje bojowym helikopterem na linię frontu bratać się z żołnierzami. Sam Rylander bardzo rzadko używał zaparkowanego nieopodal kwatery głównej helikoptera. Wolał na własnych nogach pokonać teren, by poczuć to samo, co czuli żołnierze - własnymi stopami poczuć tę przeklętą ziemię.

Teraz, w trzy lata później, prezydent, którego wiozł helikopterem, zrzekł się urzędu. Nie można było tej wojny wygrać przy użyciu kilku wyszczerbionych w walkach jednostek kawalerii powietrznej i jednej czy dwóch dywizji piechoty morskiej, jak

spodziewał się Pentagon. Teraz tamtą „wojenkę” nazywano przeciągającą się batalią. Oficjalny język armii Stanów Zjednoczonych zaadaptował polityczny slang przewodniczącego Mao na określenie wojny, która wlokła się bez końca. Powoli kraj zaczynał tracić zainteresowanie wojskiem. Ludzie pokroju Axela W. Rylandera dosłownie z dnia na dzień stali się dinozaurami. Generał doskonale zdawał sobie z tego' sprawę. Za rok, gdy przestanie pełnić funkcję inspektora generalnego akademii wojskowej, nastąpi koniec jego kariery. Rylander rozparł się w fotelu i zapatrzył na rozciągające się za oknem zielone wzgórze po drugiej stronie Hudsonu. Za rok zostanie zwolniony ze służby, uhonorowany trzecią gwiazdą i wyznaczony na jakieś mało znaczące stanowisko, na którym z godnością przetrwa swój ostatni rok służby wojskowej. Taki tryb postępowania obowiązywał w armii. Splata. Emerytura. Pastwisko.

Rylander zdawał też sobie sprawę z tego, że armię z roku 1968 od tamtej sprzed trzech lat dzielił lata świetlne. Obecnie Pentagon poszukiwał nowego człowieka, którego będzie można przedstawić publiczności jako wzór Generała Nowej Armii. A Rylanderowi najbardziej doskwierał fakt, że obecny komendant kadetów Hedges idealnie pasuje do tego wizerunku. Był młody. Ambitny. Miał doświadczenie na polu walki. Najgłębszy instynkt podpowiadał Rylanderowi, że Hedges jest bardzo dobrze ustosunkowany. Podejrzewał, że generał armii nowej generacji będzie po prostu politycznym zwierzęciem, a Hedges takim zwierzęciem właśnie był. Posuwał się do przodu z niebywałą szybkością, bezwzględnie posłuszny obecnej linii Pentagonu. Podczas wykładów na temat wojny bajdurzył kadetom o „mobilności lotniczej” (konsepcaja przerzucania jednostek na linię frontu drogą lotniczą) oraz o „szacowaniu ofiar”. Do licha, przez szacunek dla taktyki helikopterowej jego starą jednostkę nazywano teraz Pierwszą Dywizją Kawalerii Powietrznodesantowej (mobilność lotnicza). Taktyka ta była nową doktryną Pentagonu, desperacko poszukującego jakiejś formuły, dzięki której zadano by Wietkongowi miażdżący cios, militarny i polityczny. Magiczną ingrediencją, kluczem do natychmiastowego sukcesu miało być szacowanie ofiar. Helikoptery i szacowanie

ofiar. Rylander znów podrapał się po głowie i wybuchnął głośnym śmiechem.

Do diabła, walczył przecież w Afryce Północnej, na Sycylii, we Włoszech, brał udział w bitwie w Ardenach i na koniec w samych Niemczech. Na własnych nogach przemaszerował prawie wszystkie fronty drugiej wojny światowej. A teraz latają helikopterami nad Wietnamem... Podczas oficjalnych przyjęć i bankietów wszystkie opowieści wojenne Hedgesa ograniczały się do jego „helikoptera dowódczego”. Mówił o nim jak o jakiejś świątyni, o miejscu, w którym zanoszą się modły. Latają helikopterami, noce spędzają w szałasach, w miejscach, które nazywają bazami, i liczą ciała. I to miało doprowadzić do zwycięskiego końca wojny. Cóż... A jeśli wojny nie wygrają, to z całą pewnością awansują ci, którzy odbyli najwięcej takich misji i naliczyli najwięcej ciał.

Hedges promieniał, gdy mówił o szacowaniu ofiar. Jego ludzie z jednostki układali trupy nieprzyjaciół niczym sagi drewna, fotografowali je, a zdjęcia przekazywali mediom. Hedges polecił wykonać z dykty specjalny przymiar do mierzenia wysokości stosu trupów. Pewnego wieczoru, podczas przyjęcia, które Rylander wydał na cześć rady nadzorczej Boston College, Hedges wyciągnął z kieszeni marynarki kolorowe zdjęcie z wyjątkowo wysokim sągiem poległych bojowników Wietkongu, na którego tle stał dumnie przymiar z dykty. Członkowie Boston College byli przerażeni. To, co zademonstrował Hedges, nie było jedynie barwną fotografią, lecz również jego kartką świąteczną na Boże Narodzenie, której zrobił wiele odbitek. Jeden z członków rady nadzorczej Boston College podszedł do Rylandera i zapytał, czy to jakiś makabryczny żart. Rylander poprosił Hedgesa o pokazanie fotografii. Hedges podał mu zdjęcie i przy okazji wyjaśnił, że wraz z żoną dołączył odbitkę tej fotografii do dwustu listów wysłanych znajomym z okazji świąt. Nie był to żaden makabryczny żart. Był to cały Charles Sherrill Hedges, generał brygady armii Stanów Zjednoczonych. Człowiek sukcesu.

Liczenie ciał było przestępstwem. Wróg był wrogiem i należał mu się szacunek. Liczenie poległych i fotografowanie zwłok, w opinii Rylandera, gwałciło naturę wojny. Każdy żołnierz wie,

że w wojnie chodzi o zdobycie wrogiego terytorium. Rozwija się armię, wykonuje manewry i operacje bojowe, zabija żołnierzy przeciwnika i okupuje zdobyte tereny. Wojnę wygrywa się wtedy, gdy przejmie się kontrolę nad całym terytorium... Tak jak zrobili to alianci podczas drugiej wojny światowej, jak zrobiono to podczas pierwszej wojny światowej, podczas wojny domowej, jak zrobili to Napoleon, Cezar i Aleksander Wielki. Teren, na którym operował dowodzony przez Hedgesa Drugi Korpus, przeszedł pod pełną kontrolę Wietkongu, a to znaczyło, iż wojna prowadzona od trzech lat przez Stany Zjednoczone została przegrana. Rylandera czekającego w swym gabinecie na Hedgesa i raport na temat śmierci rekruta ogarniał niesmak, ale musiał dobrze ów niesmak ukrywać. Tak naprawdę niesmak powoli zamieniał się w palący wstyd, a generałom takie uczucie powinno być obce. On, Axel W. Rylander, nie zamierzał okazywać wstydu przed Charlesem Sherrillem Hedgesem, obrotnym komendantem kadetów. Rylander wyprostował się w fotelu. Jego wzrok znów przykuły ciągnące się po drugiej stronie Hudsonu wzgórza. Doszedł do wniosku, że West Point nie pójdzie drogą wskazaną przez Hedgesa. W każdym razie nie pójdzie tak długo, jak długo on będzie głównym inspektorem. Zaklął cicho pod nosem. Po dwudziestu ośmiu latach służby w wojsku musiał zrezygnować z ochrony akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych, jakby to była jedna z uliczek w Bronksie, o którą biją się miejskie gangi. Gdyby naród miał pojęcie, co naprawdę dzieje się z jego uświęconym West Point...

## 6.

- Generale, w recepcji czeka komendant - rozległ się głos pani Moore, sekretarki Rylandera.

Główny inspektor odwrócił się wraz z fotelem przodem do dębowego biurka, dał głową znak sekretarce, z szuflady po lewej stronie wyjął blok z żółtymi kartkami papieru, ze stojaka

obok telefonu wybrał ostro zatemperowany ołówek. Otworzyły się drzwi i do gabinetu głównego inspektora wmaszerował Hedges. Natychmiast podszedł do krzesła ustawionego nieco po lewej stronie biurka, krok od jego skraju. Był to bardzo subtelny gest, którego znaczenie Rylander natychmiast pojął. Zgodnie z regulaminem komendant powinien najpierw stanąć w postawie zasadniczej na wprost głównego inspektora, służbiście zameldować swe przybycie i czekać na pozwolenie zajęcia miejsca na krześle. Hedges natomiast najwyraźniej miał zamiar usiąść i natychmiast przystąpić do rzeczy.

- Generale, mam raport Terry'ego Kinga. Przed chwilą pułkownik wręczył mi go w moim biurze. Przybyłem niezwłocznie.

Rylander popatrzył na Hedgesa. Komendant nie miał przy sobie ani teczki, ani manilowej koperty, ani charakterystycznego niebieskiego pojemnika na tajne dokumenty, żadnych papierów... Nie miał ze sobą zupełnie nic. Rylander policzył w duchu do czterech i dopiero wtedy odezwał się.

- Gdzie jest ten raport?

- Jestem gotów przekazać panu wszystko ustnie, sir. Podczas naszej rozmowy telefonicznej odniosłem wrażenie, że bardzo się panu śpieszy. Pomyślałem więc, że zanim uda się pan na kolację do „Bear Mountain”, zechce pan zapoznać się z faktami.

W twarzy Rylandera nie drgnął ani jeden mięsień. Nie miał zamiaru wskazywać Hedgesowi krzesła. Niech postoi i chwilę się podenerwuje. Nie przyniósł raportu. „Odniosłem wrażenie, że bardzo się panu śpieszy”.

- Generale Hedges, to ja decyduję, kiedy, jak pan to ujął, „bardzo mi się śpieszy”, a kiedy wcale „bardzo mi się nie śpieszy”. - Zamilkł na chwilę, by do komendanta kadetów dotarł sarkazm jego słów. - Tak się składa, że teraz, w tej akurat chwili, wcale „bardzo mi się nie śpieszy”. Czy wyrażam się jasno, generale?

- *Yessir!!!* Myślałem tylko...

- Generale Hedges, nie oczekiwałem, że cały dzień spędzi pan w swoim gabinecie na myśleniu. - Znów sarkazm. - Oczekiwałem, że dostarczy mi pan na biurko raport o śmierci



rekruta. Tak się zdarzyło, że przez cały dzień, jak pan to był łaskaw ująć, „bardzo mi się śpieszyło”. Mam wiele obowiązków związanych ze zbliżającym się Czerwcowym Tygodniem. Z całą pewnością doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę. A prawda jest taka, że nie usłyszałem od pana słowa od godziny siedemnastej, to znaczy dokładnie od czterdziestu pięciu minut, kiedy to poleciłem sekretarce połączyć mnie telefonicznie z panem. Nie szanował pan mego czasu, mimo że, jak sam pan oświadczył, wiedział, iż „bardzo mi się śpieszy”. A teraz, jeśli mogę spytać, gdzie jest raport?

- W moim biurze, sir - odparł krótko Hedges, wyprężył się jak struna i obciągnął na sobie marynarkę.

Rylander znał ów nerwowy nawyk Hedgesa; nieustannie wyglądał na sobie mundur, jakby najmniejsza fałdka na ubraniu nie pozwalała mu prawidłowo funkcjonować. Główny inspektor często myślał o Hedgesie jak o maszynie i był zapewne bliski prawdy. Maszyny, aby sprawnie działać, muszą znajdować się w nienagannym stanie. Tak samo Hedges.

- Czy mogę spodziewać się tego raportu na biurku jutro o trzynastej? - zapytał Rylander.

Choć zabrzmiało to jak pytanie, tak naprawdę było poleceniem.

- *Yessir!!!* Jutro o trzynastej, sir- odrzekł Hedges, mierząc Rylandera wzrokiem.

Czuł, jak do głowy uderza mu krew, miał pełną świadomość tego, że na policzki wystąpiły mu rumieńce. Myśl ta doprowadzała go do wściekłości, co z kolei sprawiało, że jeszcze bardziej czerwieniał. Z doświadczenia wiedział, że za chwilę jego twarz barwą zacznie przypominać piwonię.

- W porządku. - Rylander znów odliczył w duchu do czterech. - Proszę usiąść i powiedzieć wszystko, co pan wie. Chcę poznać najdrobniejszy szczegół przekazany panu przez Kinga.

Hedges ulokował się na krześle, obciągnął marynarkę munduru i wyrównał kłapy. Rylander obserwował te zabiegi z lekkiem, nieodgadnionym uśmiechem. Po chwili sam poprawił na sobie mundur. Twarz Hedgesa przybrała kolor dojrzałego pomidora. A więc doszło do tego, że żołnierz, jak manekin na

wystawie sklepowej, przebrany w zielony, szyty na zamówienie mundur, zachowuje się jak kukielka, którą jego córka pociąga za sznurki, wydaje nieartykułowane mruknięcia i chrząknięcia, które mają oznaczać mowę. A teraz ta... maszyna... Hedges... sam się pociąga za sznurki. Poprawia sobie krawat, przeciąga palcami po guzikach, upewniając się, czy wszystkie są pozapinane, czy wszystko jest w nienagannym porządku... Za chwilę lalkarz wypuści sznurki i Hedges bezwładnie osunie się i zamieni w żalospną kupkę zmiętego ubrania. Żołnierz przyszłości z *papier-mâché*. Rylander sięgnął po zaostrzony ołówek w zamiarze robienia notatek.

- Sir, mamy tu... - Hedges powędrował wzrokiem w prawo, gdzie za oknem rozciągała się rzeka, po czym znów przeniósł spojrzenie na głównego inspektora. - Sir, mamy do czynienia z prostą sprawą, z tragicznym wypadkiem, przypadkowym utonięciem. Ofiarą jest David Hand z kompanii F-4, lat dziewiętnaście. Kąpał się nago w jeziorze Popolopen, co stanowi pogwałcenie każdego paragrafu regulaminu. Pływał samotnie. Nieopodal Ścieżki Flirtu, po ciemku... Kąpał się nago. Ten młody człowiek był trudnym rekrutem. Sam szukał kłopotów. I znalazł je. Albo my znaleźliśmy jego. To zależy od punktu widzenia. Sądzę, że nadaża pan za tokiem mego myślenia.

Na twarzy Hedgesa pojawił się dziwny uśmiech, który Rylander widywał już wcześniej. Uśmiech zupełnie nie na miejscu. Nie było nic śmiesznego w śmierci kadeta, przypadkowej czy nie. Hedges najwyraźniej pod tym uśmieszkiem krył coś, co tkwiło w nim... coś dziwnego, nieludzkiego. Rylander nabrał nagle pewności, że Charles Sherrill Hedges nie zdaje sobie sprawy z tego, że się uśmiecha. Człowiek ten zupełnie stracił nad sobą kontrolę.

- Proszę dalej - ponaglił. - Chcę usłyszeć wszystko.  
- Generale, to był tragiczny wypadek - powiedział Hedges. - Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej zawiadomić jego bliskich. Rodzina zechce zapewne rozpocząć przygotowania do pogrzebu, a my nie możemy pozwolić na to, by sprawa ta miała jakikolwiek wpływ ma Czerwcowy Tydzień...

- Pozwoli pan, że to ja będę się martwić tym, czy będzie mieć wpływ, czy nie będzie mieć wpływu na Czerwcowy Tydzień. Czy wyrażam się jasno, generale Hedges?

- *Yessir!!!* Przyjąłem.

Na twarzy Hedgesa rozlał się pełen samozadowolenia uśmiech. Rylander poczuł niesmak, gdy usłyszał przechwycone od radiowców słówko „przyjąłem”.

- Czy to już wszystko? - zapytał Rylander, przewiercając wzrokiem wciąż uśmiechającego się lekko Hedgesa. - Czy to wszystkie informacje dostarczone przez Terry'ego Kinga?

- *Yessir!!!*

- Doskonale. Proszę zatem jutro o trzynastą dostarczyć mi na biurko pisemny raport. Zanim powiadomię rodzinę, chcę się z nim dokładnie zapoznać. A teraz, generale, możesz się odmeldować.

Rylander nie podniósł głowy znad notatek. Hedges zerwał się z krzesła i służbiście zasalutował.

- Życzę panu i pańskiej małżonce miłego wieczoru w „Bear Mountain”.

Hedges wykonał przepisowy zwrot i odmaszerował do drzwi.

Rylander odwrócił się z fotelem i popatrzył za okno, na rzekę Hudson. Słońce stało już nisko i tafla wody przybrała zielonkawoniebieską barwę. Rzeka nigdy się nie zmieniała. Wyglądała tak samo jak w czasach, kiedy był jeszcze kadetem. Mieli wtedy określenie na ludzi pokroju Hedgesa. Tacy ludzie uważali, że „są ponad wszystko”.

„Już ja mu pokażę, kto tu jest ponad wszystko” - pomyślał. Złożył notatki i wsunął je do wewnętrznej kieszeni munduru. Sięgnął po czapkę, minął rozsuwane drzwi, zszedł po kamiennych schodach, przekroczył Thayer Road, plac apelowy, Ścieżkę Przekątną i Równinę. Spacer sprawiał mu wielką przyjemność. Po pięciu minutach był już w domu.

## 7.

Osiemnasta trzydzieści. Telefon.

- Tu pułkownik King, sir.

- Terry? Mówi Hedges. Jestem w biurze. Przyjdź jak najszybciej. Zapomnij o kolacji. Widziałem się właśnie z inspektorem. Sprawa z utopionym rekrutem doprowadziła go do wściekłości. Wyraźnie powiedział, że mamy tę sprawę załatwić błyskawicznie.

- Czy mam coś ze sobą przynieść, sir?

W słuchawce zapadła cisza. King słyszał, jak Hedges przerywa jakieś papiery.

- Dokument, który dostarczyłeś mi dziś po południu... Czy to jedyna kopia raportu z sekcji zwłok tego chłopaka?

- *Yessir!!!* Tylko my mamy dokumentację. Jestem pewien, że Fitzgerald oddał mi wszystkie papiery, a od Consora odebrałem je osobiście. Kopie zniszczyłem.

- Doskonale, biegnij do mnie, Terry. Czeka nas trochę pracy. Inspektor wpadł w złość i polecił wszystko unormalnić i wypolerować tak, by sprawa stała się lśniąca niczym lustro do golenia. Chce mieć wszystko na swoim biurku jutro o trzy-nastej.

- Sir?

- Tak, Terry?

- Sir, co dokładnie miał na myśli inspektor, mówiąc „unormalnić”?

- Miał na myśli to, że pragnie, by śmierć Handa była wypadkiem, tragicznym, pożałowania godnym wypadkiem. Czy wiesz, co odrzekł, gdy powiedziałem, że chłopak był pedziem i prawdopodobnie zabił go jakiś kadet? Otóż powiedział... przysięgam, Terry, takie były dokładnie jego słowa... „Nie chcę o tym słyszeć”. Szkoda, że nie widziałeś jego twarzy. Była zielona.

- A zatem musimy napisać raport od początku? Wszystko zmienić?

- Zgadza się. Musimy mieć nowy raport z sekcji. Inspektor

nie chce nic wiedzieć o morderstwie i spermie. Pomyśl więc, jak uporać się z tym nowym raportem.

- To żaden problem, proszę pana. Poradzimy sobie.

- Jak?

- Prosto. Gdy rano Consor wręczał mi raport z sekcji, zażądałem wszystkich kopii. Zaplątało się między nie kilka pustych blankietów.

- Chcę je mieć u siebie, Terry. Potrzebuję tych formularzy. A co z Consorem? Czy można mu zaufać? Może powinniśmy skontaktować się z nim i postawić sprawę otwarcie?

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł, sir. Zna pan lekarzy. To nie to, co my, oficerowie liniowi. Sądzę, że poradzimy sobie sami. Usuniemy z raportu to, co nam nie odpowiada, przepiszemy wszystko na maszynie i puścimy przez fotokopiarkę nad podpisem doktora. Będzie wyglądać jak oryginał. Teraz wszyscy używają fotokopiarek. Inspektor nawet się nie zorientuje. Tak, to żaden problem, sir.

- Świetny pomysł, Terry. Znakomity. Cóż, oczekuję cię za... powiedzmy: za pół godziny. Przyjąłeś?

- Przyjąłem, sir.

- Terry?

- Tak jest?

- Nie mów nic żonie. Powiedz, że wezwał cię przełożony czy coś w tym rodzaju. Do zobaczenia za trzydzieści minut.

Generał brygady Hedges odłożył słuchawkę na widelki. Przeciągnął palcem wskazującym prawej dłoni po mosiężnych guzikach marynarki. Instynktownie wyczuwał wytłoczone na nich wizerunki orła; jeśli skrzydła nie znajdowały się w pozycji poziomej, poprawiał guzik. Zatemperował ołówek. Elektryczna temperówka brzęczała cicho, zupełnie jak generator w Wietnamie, ukryty w drewnianej chacie i obłożony workami z piaskiem. Postukując w blat biurka gumką na końcu ołówka, czekał.

Cała sprawa przypominała polowanie na kaczki, do których strzelał jako dziecko w Maryland nad Chesapeake. Siedzieli na małych stołeczkach na brzegu i czekali. Czekali na cholerne kaczki. Kiedy pojawiał się klucz, wstawali i strzelali. Najpierw ojciec, później Harry, starszy brat Hedgesa, a na koniec ze swej jednostrzałowej śrutówki mały Charlie. Strzelał najszybciej,

jak pozwalały mu na to niewprawne palce, którymi wsuwał do komory kolejne naboje i pociągał za spust. Zawsze wkurzało go, że musiał strzelać ostatni, że ojciec i brat wołali nań „mały Charlie”; zawsze był najmłodszy, najmniejszy. Teraz sprawy wyglądały inaczej; teraz był komendantem.

Znów zamierzał strzelać do kaczek. Czuł to samo, co wtedy. Siedział w swoim gabinecie i czekał. Zawsze czekał. Lecz tym razem to on wystrzeli pierwszy. I będzie tylko jedna kaczka: główny inspektor akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych. Hedges zaczął szybciej uderzać gumką ołówka w blat biurka. Obciągnął na sobie marynarkę, dotknął węzła krawata, musnął palcami spinkę spinającą końcówki kołnierzyka szytej na miarę zielonej koszuli, jeszcze z czasów Wietnamu. Przeciągnął dłonią po włosach, aż do sztywnego kołnierzyka koszuli na opalonym karku.

W historii akademii nie zdarzyło się, by komendant kade-tów wyrugował ze stanowiska głównego inspektora. Tradycyjnie każde z tych stanowisk stanowiło istotny krok w karierze wojskowej. Zazwyczaj komendanci odchodzili z West Point w stopniu generała dywizji. Główny inspektor otrzymywał promocję na generała armii i zajmował jakieś wysokie stanowisko w Pentagonie lub w kwaterze głównej NATO. Zarówno komendanci, jak i główni inspektorzy, opuszczając West Point, opuszczali go na zawsze.

Hedges rozważał sytuację. Bez względu na to, kto w listopadzie wygra wybory, wojna zmierza ku końcowi. Addison Thompson przewidywał to od dawna. Nastroje w Kongresie uległy całkowitej zmianie. Już niedługo senatorowie tworzący koalicję antywojenną przejmą kontrolę nad funduszami na obronę i zażądają od Białego Domu koncesji na sprawy wojenne - takich jak redukcja liczby żołnierzy w Wietnamie, ograniczenie ataków lotniczych, zmniejszenie pomocy wojskowej dla reżimu południowowietnamskiego. Thompson, szef wydziału nauk społecznych w West Point, bacznie śledził karierę swego protegowanego. Hedges wiedział, że na liście pułkownika znajduje się na pierwszym miejscu. Zdawał też sobie sprawę z tego, że Thompson ma rację: bez względu na wynik listopadowych

wyborów dowodzenie wojskami w Wietnamie nie jest dobrym interesem dla generała.

W głowie Hedgesa zrodził się plan. Wykorzysta morderstwo kadeta Davida Handa do wysadzenia z siodła głównego inspektora. Ten upierdliwy, drobiazgowy sukinsyn, którego żona należy do dobrego towarzystwa, siedział w swoim biurze, bawił się telefonami, sekretarkami i cieszył się na towarzyskie spotkanie w nadchodzącym Czerwcowym Tygodniu... Co, do licha, taki bęcwał może wiedzieć, co naprawdę dzieje się w West Point? Nic. Rylander tak był przywiązany do etykiety, tak napawał się władzą, że nic nie wiedział o prawdziwej władzy, o tym, jak jeden człowiek może kontrolować życie drugiego człowieka. Nie miał o tym zielonego pojęcia.

Ta banda dupków z kwatery głównej dobrze izoluje go od rzeczywistego życia... Rozpaplani, rozgadani, i po co? Dla większej chwały Axela W. Rylandera. Wydaje mu się, że może bezkarnie bić po głowie Charlesa Sherrilla Hedgesa.

Hedges drobiazgowo rozważał plan, szukał w nim słabych punktów... Podobał mu się pomysł, by wysadzić Rylandera z siodła i z komendanta zostać głównym inspektorem, po raz ostatni przejść przez ulicę... Hedges czuł się tak, jakby trzymał w rękach strzelbę, nacierał olejem lnianym łożysko, ustawiał celownik, majstrował przy trzonie zamka, wsuwał do komory pocisk... Tak, to do złudzenia przypominało strzelanie do kaczek! Strzał nie będzie łatwy, ale szykował się do niego przez całe życie. Dostarczy Rylanderowi fałszywy raport dotyczący morderstwa dokonanego na kadecie, a następnie usiądzie i będzie patrzeć, jak zwierzchnik zaczyna się smażyć, kiedy rozpała pod kuchnią... Będzie patrzeć, jak sukinsyn wije się, skręca, skwierczy, a smród skandalu unosi się gęstą mgłą nad Hudsonem... Rylander siedzący w swym biurze, otoczony dzwoniącymi telefonami, nie wie, co robić... Hedges stuknął gumką ołówka w blat biurka i układał szczegóły planu... Czas znów się skurczył... Ogarnęło go owo znajome, rozkoszne uczucie unoszenia się nad ziemią. Jak w helikopterze dowódczym, przypięty pasami, w lewej ręce mikrofon, prawa dłoń zaciśnięta na

poręczy, unosi się nad polem walki i przekrzykując warkot rotorów, wrzeszczy do mikrofonu, kieruje ogniem, strzela do kaczek...

## 8.

O osiemnastej trzydzieści Slaight siedział zanurzony po szyję w gorącej wodzie *jacuzzi* w gabinecie fizykoterapii szpitala w West Point. Postanowił zrezygnować z kolacji, co było dozwolone jedynie w soboty. Pomocnicy pielęgniarzy, wychodząc z pracy, zostawiali specjalnie dla niego wannę napełnioną wodą. Umówił się z nimi jeszcze w poniedziałek i teraz codziennie po zejściu z placu apelowego przez godzinę taplał się w wodzie. Był to przywilej „krowy”.

Slaight rozebrał się, wszedł do stalowej wanny, usiadł na drewnianej ławeczce, włączył wirniki, głowę odchylił do tyłu i oparł na zrolowanym ręczniku, głęboko odetchnął i wyrzucił z płuc gorące, śmierdzące powietrze - powietrze placu apelowego, smród potu, zaduch betonowego kurzu, odór własnego szarego wełnianego przepoconego munduru, koszar, atmosfery akademii. W miejscu, gdzie znajdowała się dysza wirnika, woda zaczęła bulgotać. Ostry, gorący wir najpierw objął nogi, później rozkoszna fala natarła na dolne partie pleców, masowała obolałe mięśnie, wyciągając z nich napięcie i ból po wielogodzinnym łożeniu po placu z ważącym pięć kilogramów przeklętym M-14 na ramieniu. Jeszcze później wiry wodne dotarły do karku. Było to cudowne, kojące uczucie. Powoli tracił poczucie rzeczywistości. Unosił się w jakiejś szarej przestrzeni, nogi wydawały się z gumy, a on sam tracił i odzyskiwał równowagę jak w nowojorskim metrze, kiedy wagoniki z trzaskiem objają się o siebie buforami. Unosił się łagodnie na fali, odpływał coraz dalej i dalej...

Czuł się cudownie. Postanowił pozostać w wodzie tak długo,



aż zacznie odnosić wrażenie, że nasączone wilgocią palce u nóg zrastają się i puchną. Wtedy owinie się ręcznikiem i poczłapie do lekarza dyżurnego, który opatrzy mu na noc chore, obolałe stopy.

Szpital w West Point przypominał świat zewnętrzny; był całkowicie odseparowany od reszty akademii. Tu zmieniały się reguły gry; tu spotykali się tylko lekarze i pacjenci, nie oficerowie i kadeci. Oczywiście, akademie robiła wszystko, co w jej mocy, by jak najbardziej ograniczyć owo karygodne rozluźnienie dyscypliny wojskowej w czasie pobytu pacjenta w szpitalu. Dbał o to osobiście komendant szpitala, który wchodził w skład rady akademii złożonej z członków zarządu West Point.

W szpitalu kadeci musieli na przykład myć podłogę wokół swych łóżek i obowiązani byli codziennie rano składać pościel; nie dotyczyło to tylko chorych z gorączką powyżej czterdziestu stopni. Pozornie umyć podłogę koło własnego łóżka i starannie je posłać to niewielki wysiłek. Kiedy jednak Slight jako rekrut dostał zapalenia płuc i spędził dwadzieścia osiem dni na oddziale trzecim, czuł się zupełnie jak w koszarach. Przed porannym obchodem, przypadającym o siódmej trzydziści, musiał, chwiejąc się na nogach, umyć podłogę, nasączyć kapcie roztworem amoniaku i nieskazitelnie poskładać pościel. Nawet w szpitalu West Point miał na niego baczne oko. Nigdy jeszcze nie był tak ciężko chory jak wtedy, lecz dobrze wiedział, że dla wydziału taktycznego szpital, lekarze, pielęgniarki i ich pomocnicy stanowią śmiertelnych wrogów.

Wrogowie! Jezu! Wrogami mieli przecież być przekłeci Wietnamczycy. Każdego dnia wrzeszczeli o pieprzonym Wietkongu, nędznych komuchach Wietnamcach, pierdzielonych żółtkach. Od oficerów z sił szybkiego reagowania słyszeli tylko: Wietkong, Wietkong, pierdzielony Wietkong. Wietkong nie był jedynym nieprzyjacielem. Nieprzyjaciel czaił się wszędzie. Słuchając facetów z sił szybkiego reagowania, można było odnieść wrażenie, że nieprzyjacielem jest każdy gość z wydziału akademickiego. Słuchając goryli z Biura Zdrowia, każdy, kto nie potrafił się podciągnąć na rękach, był nieprzyjacielem. Słuchając profesorów od prądu, profesorów od cieczy, profesorów

od ciał stałych - profesorów wszelkich nauk stosowanych - wszyscy specjaliści od nauk społecznych lub literatury byli pieprzonymi wrogami. Słuchając absolwentów zajmujących się obecnie różnymi dziedzinami, od fizyki jądrowej poczynając, na wrywaniu zębów kończąc, dochodziło się do wniosku, że każdy, kto nie jest absolwentem West Point, znajduje się po stronie pieprzonych nieprzyjaciół. Słuchając gości z piechoty, każdy artylerzysta był wrogiem. Słuchając pancerniaków, wrogami byli sygnaliści. Słuchając wielogwiazdkowych oficerów bojowych, każdy z wydziału niebojowego był wartym ptasiego łajna nieprzyjacielem.

Chryste! Jeśli naprawdę słuchasz wszystkiego, co mówią w West Point, jeśli wierzysz w cały ten stek bzdur, jakim cię raczą, jeśli naprawdę wierzysz, szybko dostaniesz sraczki i paranoi! Slight zmienił pozycję na drewnianej ławeczce i ostry strumień wody z bąbelkami uderzył go prosto w stos pacierzowy. Dobrze, że chłopaki nie biorą codziennie *jacuzzi*. Gdyby brali, po miesiącu w West Point nie zostałyby ani jeden kadet. Wszyscy uciekliby z uczelni, gdzie pieprz rośnie. W Wu Pe wszystko to skalkulowano. Zabierają ci z życia cztery francowate lata, codziennie organizują marsze, zbiórki, parady, inspekcje, raporty, naukę i problemy, tak że na myślenie nie zostaje człowiekowi czasu. Myślenie rozmiękcza mózg. Na tym zasadza się polityka West Point. Taktyczny zawsze mówił: „Nikt panu nie płaci za myślenie, płacą panu za to, byś wykonywał pan rozkazy”.

Zabawne, stary tępak miał rację.

- Proszę, proszę. Pan Slight. Tak też i myślałem, że tu właśnie pana zastanę.

Głos dobiegał gdzieś z tyłu. Kadet odwrócił się na ławeczce, by zobaczyć, kto go odwiedził.

- Widzę, że pożytecznie wykorzystujesz sobotnie wieczory.

Głos należał do Consora, lekarza, z którym Slight miał do czynienia jeszcze w czasach rekruckich. Doktor przez dwadzieścia osiem dni opukiwał mu klatkę piersiową, zaglądał do

gardła i wstrzykiwał antybiotyki. Dwadzieścia osiem dni pod opieką lekarza, absolwenta West Point. Że też w ten sobotni wieczór on właśnie pełni dyżur... Slight przeklinał pecha. Nigdy nie udało mu się wydebić od Consora kodeiny. Lekarze, którzy sami ukończyli akademię wojskową, byli zbyt cwani na to, by dawać się kadetom wodzić za nos.

- Jak leci, majorze Consor? - zagadnął Slight. - Nie widzieliśmy się kupę czasu.

- Może się i nie widzieliśmy, panie Slight, ale od czasu do czasu wyczuwałem tu pański smrodek. Zauważyłem, że na przeziębienie i grypę zapada pan zawsze w czasie egzaminów. Sprawdźmy. Ile dni spędził pan w łóżku w ciągu ostatniego roku? Dziesięć? Dwadzieścia?

- Miał mnie pan na oku, sir?

- Oczywiście, Slight. Może potrafi pan przechytrzyć trzech kapitanów, jakich tu mamy, lecz gdyby wezwano akurat mnie, zaaplikowałbym panu w tyłek tyle zastrzyków z wody destylowanej, że nie mógłby pan siedzieć przez tydzień.

- Sir, przecież pan wie, że nigdy nie symulowałem choroby. W ostatnim roku byłem tu tylko raz, kiedy złapałem grypę. Zaordynowano mi stosowne leki i na kilka dni położono do łóżka. Ale ja byłem chory. Naprawdę.

- Ile dokładnie dni, Slight? Ile dni w tym roku spędziłeś w łóżku? Powiedz, jestem tego niezmiernie ciekaw.

- Osiem, sir. Cztery razy po dwa. Są w naszej kompanii chłopcy, którzy potrafili załatwić sobie tydzień, ale nie ja, sir. Kiedy byłem bardzo zmordowany, załatwiałem sobie dwa dni, to wszystko. Nie jest to wielkie przestępstwo.

- No tak, a co ty tu robisz dzisiaj? Szykujesz mięśnie na letnią przepustkę?

Major stał obok metalowej wanny *jacuzzi*. Na zielony mundur zarzucony miał biały fartuch. Uśmiechał się szyderczo, jakby przyłapał kadeta na drobnym wykroczeniu, którego zresztą Slight się dopuścił. *Jacuzzi* przepisać mógł tylko lekarz; w karcie zdrowia był wymagany jego podpis. Slight załatwił sobie z łaźniebnymi tygodniowe kąpiele za rocznik „Playboya”.

- *Nosir!!!* Przez cały tydzień maszerowałem po placu apelowym. Mam skierowanie na ostry dyżur, żeby lekarz obejrzał moje stopy. Czy to pan, majorze, pełni dziś dyżur?

- Zgadłeś, Slight. A zatem bolą cię nóżce? - Z szerokim uśmiechem pochylił się nad wanną.

Slight wysunął nogę z wody i oparł ją o metalową krawędź wanny. Masaż zmiękczył skórę wokół popękanych pęcherzy i powstrzymał krwawienie, ale i tak jego stopa przypominała krwisty befszytk. Major gwizdnął pod nosem.

- Chryste, Slight, dlaczego nie pojawiłeś się wcześniej? Twoje nogi są w strasznym stanie. To zbrodnia!

- Przychodziłem na opatrunki codziennie, prosto z placu apelowego, sir. A teraz po prostu zdarłem moleskin i bandaże i dlatego tak fatalnie wyglądają.

Już obie stopy trzymał oparte o krawędź wanny, od której wibrowania lekko swędziały go palce.

- Twierdzisz, że już od tygodnia się tu pojawiasz i nikt ci jeszcze nie wystawił zwolnienia od marszów? - zapytał z niedowierzaniem major, ujmując nogę kadeta.

- Przychodzę tu codziennie, sir, i lekarze chcieli mi wystawić takie zaświadczenie, ale nie wziąłem. Nie mogłem. Muszę wymaszerować swoje godziny. Pozostało mi już tylko siedem. Skończę we czwartek, sir.

- Co to znaczy, że nie chciałeś wziąć zwolnienia, młody człowieku? Jeśli lekarz ci je wystawia, powinieneś brać je z radością.

- Nie mogę, sir. Mój oficer taktyczny, major Grimshaw, nie pozwala nikomu w kompanii pod żadnym pozorem unikać marszów. Ostatniej zimy wielu z nas maszerowało z temperaturą trzydziestu dziewięciu stopni. Grimshaw za każdą godzinę zwolnienia lekarskiego dodaje dwie. Nikt nie ma ochoty chodzić dodatkowych godzin. Chłopcy z kompanii wołają już czołgać się po placu. W zeszłym roku, w maju, kadet z ostatniego roku wziął zwolnienie i Grimshaw kazał mu później maszerować przez cały Czerwcowy Tydzień po siedem godzin dziennie. Chłopak maszerował aż do dnia poprzedzającego promocję. Tak był skonany, że nie miał już siły pójść na bal elewów. Nie zaprosił nawet rodziny na Czerwcowy Tydzień. Złamano go.

Obserwowaliśmy, jak dzień po dniu kurczy się. Miał hemoroidy, ponaciągane ścięgna, a kiedy już wychodził swój limit, przyplątało się zapalenie torebek stawowych. Grimshaw zaaplikował mu osiem dni marszu po siedem godzin; w sumie pięćdziesiąt sześć. Niewiarygodne. Wolę nie zaczynać z Grims-hawem.

- Wychodź z wody, wytrzymaj się i przyjdź do gabinetu. Obejrzymy dokładnie twoje stopy.

Doktor opuścił gabinet fizykoterapii, a Slight niespiesznie wyszedł z parującej wanny. Ostatecznie stary Consor nie był najgorszy. Nałożył szare, letnie spodnie od munduru polowego, na nogi wsunął bawełniane szpitalne kapcie, które dostał od jednego z pielęgniarzy, i poczłapał korytarzem. Consor czekał za biurkiem w niewielkim pokoiku przylegającym do sali zabiegowej, gdzie spotkali się już raz przed dwoma laty. Ściany pozbawionego okien pomieszczenia zdobiły fotografie, ryciny i plakaty z motywami narciarskimi. Nad biurkiem wisiały oprawione w ramki dyplom Consora i zaświadczenie o specjalizacji z interny oraz dyplomy ukończenia szkół powietrznodesantowej i jednostek szybkiego reagowania.

Major George Consor był niski, mierzył niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, co stanowiło absolutne minimum dla kandydatów do West Point. Miał trzydzieści dwa lata i zaczynał łysieć; na czubku głowy prześwitywał placek gołej skóry. Twarz miał kanciastą, po picassowsku nieregularną, lecz na swój sposób przystojną. Na pierwszym roku, kiedy Slight był jego pacjentem, Consor dwukrotnie zaprosił go do domu na kolację. Ry pamiętał, że major ma ładną ciemnowłosą żonę i trójkę uroczych dzieciaków, które nieustannie biegały po domu, poubierane w kolorowe, wzorzyste pidżamy. Za drugim razem, kiedy przeszli do salonu na kawę, pani Consor powiedziała, że jej mąż i Slight są niezwykle do siebie podobni. Uwaga ta speszyła ich obu, gdyż rzeczywiście istniało między nimi pewne podobieństwo; jak między braćmi, których dzieli różnica dziesięciu lat. Slight miał wystające kości policzkowe i spiczasty podbródek, a złamany dwukrotnie w dzieciństwie nos wyraźnie przekrzywiony w lewo, ze zgrubiałą chrząstką na

grzbiecie. Istotnie, byli nieco do siebie podobni, co wywoływało docinki i kpiny, kiedy widziano ich razem na trybunie sportowej podczas meczu lub przed salą kinową. Po tym wieczorze Consor nigdy już nie zaprosił Slaighta do domu. Uwaga żony majora spowodowała ochłodzenie stosunków między nimi. Miała wyraźny podtekst erotyczny.

- Niech pan siada, panie Slaight - odezwał się major. - I proszę położyć stopę na taborecie.

Slaight wykonał polecenie. Major pracował w milczeniu, szybko i sprawnie. Natarł pokaleczone stopy płynem odkażającym i osuszył je gazą. Następnie z szafki stojącej obok biurka wyjął coś, co przypominało grubą, szeroką białą taśmę.

- To nowy środek opatrunkowy. Dopiero co go dostaliśmy - wyjaśnił. Pociął plaster nożyczkami na węższe paski. - Samoprzylepny moleskin, z grubą na pół centymetra poduszeczką ze specjalnej, bardzo gęstej pianki. Lepszy od tradycyjnych bawełnianych opatrunków. Stworzyli go z myślą o Wietnamie, ale w dżungli okazało się, że chłonie wilgoć, i odesłali cały transport z powrotem, no i trafił do nas.

Z wielką wprawą, delikatnie nałożył opatrunek na stopy Slaighta, zostawiając w kilku miejscach przerwy, żeby skóra mogła oddychać. Kiedy skończył, nogi kadeta wyglądały jak z filmu Walta Disneya albo u kosmonautów. Spowijający jego stopy biały opatrunek układał się w osobliwy, artystyczny wzór... Slaight dźwignął się z krzesła. Ból całkowicie ustąpił. Z takim napięciem obserwował czynności Consora, że zupełnie zapomniał, jakim wyśmienitym jest on lekarzem.

- Co ci dawali w tym tygodniu? - zapytał major z wyraźną troską w głosie.

- Darvon sześćdziesiąt pięć i kodeinę, sir- wyjaśnił Slaight.

Lekarz otworzył szufladę biurka i wyjął z niej dwie żółte manilowe koperty, które wręczył Slaightowi. W każdej z nich znajdowało się po dwanaście kapsułek darvonu i kodeiny.

- No dobrze, co mogę jeszcze dla ciebie zrobić? Morfina?

Doktor wybuchnął charakterystycznym dla siebie śmiechem i znów przysunął się z krzesłem do biurka. Slaight był zaskoczony. Wszyscy wiedzieli, że Consor, jako jeden z nielicznych lekarzy, zamierza robić w wojsku karierę i bardzo niechętnie przepisuje narkotyki.

- Sir, mógłby mi pan wyświadczyć pewną grzeczność?

- Niech pan siada, panie Slaight - odrzekł major, wskazując krzesło.

Zawsze zwracał się do kadetów przez „pan”, nie po imieniu, jak większość młodych oficerów. W zachowaniu Consora Slaight wyczuwał... szacunek. Właśnie tak. U Consora nie było tej iluzji równości, tego gównianego „my, mężczyźni” jak u niektórych oficerów. Czuło się, że Consor szanuje człowieka jako kadeta i swego podwładnego. Sprawiało to Slaightowi przyjemność, mimo że wyczuwał subtelną różnicę.

- Co masz na myśli, młody człowieku? - zapytał. - Chcesz, żebym zrobił coś z Grimshawem? Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co on wyprawia z waszą kompanią, jest karygodne...

- *Nosir!!!* - przerwał mu bezceremonialnie Slaight. - *No-sir!!!* Tego właśnie nie powinien pan robić. Obecnie tylko ja z całej kompanii maszeruję i jeśli zacznie pan robić afery, on natychmiast wywęszy prawdę. Weźmie mnie na ząb i do końca swych dni w akademii nie zaznam już spokoju. Nie chcę spędzić całego roku na placu apelowym.

- Rozumiem. No to o czym chce pan ze mną porozmawiać?

- Sir, pełni pan dzisiaj dyżur. Czy słyszał pan o rekrucie znalezionym w Popolopen? Utonął. Nazywał się David Hand. W zeszłym roku trafił do mojej drużyny. Wiemy tylko, że zginął, ale nic ponadto.

- Znam sprawę. Dziś o dziewiątej przeprowadziłem sekcję jego zwłok. Dziwny wypadek. Bardzo dziwny. Kiedy godzinę później skończyłem, natychmiast pojawił się jakiś pułkownik z kwatery głównej brygady i zażądał wszystkich kopii raportu. Powiedziałem, że to niezgodne z przepisami, ale komendant żandarmerii, Fitzgerald, który towarzyszył pułkownikowi, kazał mi przekazać całą dokumentację. Dziwna sprawa.

- I co? Oddał pan ten raport, sir?  
- Widzę, że cię ta sprawa naprawdę interesuje, panie Slaughter.

- *Yessir!!!* Dobrze znałem tego chłopaka. Pochodził z Nowego Orleanu. Miał siostrę w Vassar. Gdy byłem rekrutem, spotykałem się z nią. To ta dziewczyna, która odwiedzała mnie w szpitalu, kiedy przechodziłem zapalenie płuc. Może pan pamiętać?

- Coś sobie przypominam. Wysoka, o kasztanowych włosach. Całkiem, całkiem.

- To właśnie ona.

- Cóż, widzę, że nie kieruje panem niezdrowa ciekawość. Mogę opowiedzieć o nieżyjącym Handzie. Musi pan jednak wszystko zachować dla siebie. Sekcja zwłok to zawsze sprawa delikatna. A ta, zważywszy na dziwne okoliczności śmierci tego młodego człowieka, jest wyjątkowo delikatna. Pułkownik i komendant żandarmerii byli niezwykle poruszeni.

- *Yessir!!!* Rozumiem.

Zaintrygowany Slaughter pochylił się w stronę lekarza.

- Cóż... - Consor, podobnie jak Jack Benney, zaczynał zdanie od słówka „cóż”, a potem milkł na chwilę, żeby pobudzić uwagę i ciekawość słuchacza.

- Cóż... - Znów zawiesił głos. Okulary w stylu Bena Franklina zsunęły mu się na czubek nosa i wyglądały, jakby miały lada chwila spaść. - Oczywiście, przekazałem im ten raport. Właśnie skończyłem przepisywać go na maszynie. Nam nie wolno trzymać żadnych dokumentów. Wszystkie papiery są przechowywane w wydziale taktycznym lub w Thayer Hall. Zażądali wszystkich kopii, więc musiałem je dać. Dopiero gdy opuścili moje biuro, przypomniałem sobie o pierwszej wersji, którą napisałem ręcznie.

Consor poklepał dłonią rozłożone na biurku papiery.

- I co pan ustalił, sir? Co było przyczyną śmierci?

- Nie jestem pewien, czy powinienem panu o tym mówić.

W normalnych okolicznościach wiadomości te są tajne tak długo, dopóki nie nadejdzie inne rozporządzenie.

- Niech pan da spokój, sir. Znałem chłopaka. Znałem go bardzo dobrze. Nie pytam z pustej ciekawości, podejrzewam, iż mam z tym pewien... związek.



Ostatnie słowo zawisło między nimi jak gęsty dym.

- Cóż...

Conсор znów zawiesił głos i poprawił okulary. Okulary nie pochodziły z wojska. Podobnie jak jego dopasowany biały fartuch, który przywiózł ze sobą zapewne jeszcze z akademii medycznej. Ód innych fartuchów używanych przez lekarzy w West Point różnił się tym, że nie był wykrochmalony i sztywny. W Consorze też nie było nic ze sztywności. Zresztą jakąkolwiek łatkę Slaughter próbowałby przyszyć Consorowi, ta do niego nie pasowała. Był tu jedynym lekarzem, który oprócz medycyny ukończył również West Point. Zrezygnował z prestiżowej służby w formacjach bojowych i zajął się wyłącznie medycyną, a to stawiało go w osobliwej sytuacji. Był nie tylko inny. Był, jak określali to tacy, „obcym ptaszkiem”. Było to określenie pejoratywne i wcale nieśmieszne. Consor doskonale to wyczuwał i dlatego starał się jeszcze bardziej podkreślać swoją odmienność. Mieszkał we własnym domu, choć przysługiwało mu mieszkanie służbowe. Nie bywał w klubie oficerskim „Happy Hour”. Wszyscy uważali go po trosze za samotnika, po trosze za dziwaka. Staroświeckie okulary doskonale pasowały do tego wizerunku. Slaughter wyczuwał, iż ambiwalencja doktora w stosunku do West Point wynika z czegoś głębszego. Z własnego doświadczenia wyniesionego z dzieciństwa i młodości spędzonych na brudnych, nędznych, niebezpiecznych uliczkach Leavenworth wiedział, że czyjś wizerunek składa się po części z prawdy, po części z mitu. Mit służy temu, by chronić rzeczywistość. Stworzenie i utrzymanie własnego wizerunku było niezbędne. Slaughter już w bardzo młodym wieku zrozumiał, że mit może dać siłę, jakiej brakuje rzeczywistości. W Consorze wyczuwał ową starannie wyważoną równowagę między obrazem „obcego ptaszka”, popapranego absolwenta West Point i samotnika znajdującego się poza nawiasem społeczności. Ale Consor nigdy - nigdy - nie dał tego Slaughterowi odczuć. Odgrywał rolę lekarz pacjent, oficer kadet i odgrywał ją uczciwie. Ta jego część była prawdziwa, wiarygodna. Reszta, staroświeckie okularki i pozostałe atrybuty, stanowiła mit, w każdym razie w przeważającej części. Używając ich, Consor maskował swe prawdziwe uczucia, których Slaughter nie potrafił zrozumieć.

Popatrzył czujnie na lekarza. Nie wiedział, czy major wyjawi mu wyniki sekcji zwłok. Doktor wiercił się na krześle. Spoglądał w stronę drzwi i ciągnący się za nimi korytarz, jakby się kogoś spodziewał. Nie był nerwowy. Nie był też dwulicowy, „porąbany” - jak kadeci określali oficerów, którzy w jednej chwili zachowywali się jak kumple, a w następnej pisali notatkę służbową o niesubordynacji. Consor zawsze zachowywał się tak samo. Jego ruchy, spojrzenia, sposób trzymania rąk, splatania palców... Wszystko było zaplanowane i wykonywane z precyzją. Slight podejrzewał, że doktor Consor planuje precyzyjnie swe zachowanie z tych samych powodów, dla których stworzył dwuwymiarowe wyobrażenie siebie. Doszedł do wniosku, że lekarz całym sercem kocha West Point, ale nie chce się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. Dla Consora zapewne najkoszowniejszy był rok, który spędził jako rekrut, a to z tego powodu, że był Żydem. W tamtym okresie, pod koniec lat pięćdziesiątych, kadeci dręczyli Żydów. Było to dziedzictwo akademii, o którym wszyscy już zapomnieli, z wyjątkiem samych ofiar. Consor sygnalizował swoją indywidualność jako lekarz, jako absolwent i jako mężczyzna; ze zmagania tych wyszedł zwycięsko. Okrzepl. Z powodów niejasnych dla Slighta czerpał ze swych doświadczeń osobliwą, ogromną siłę. W oczach, powiększonych przez szkła staroświeckich, pozbawionych oprawek okularów, miał błysk, którego nie wolno było lekceważyć. Oczy te - łagodne, jasnoniebieskie, o lekko opadających zewnętrznych kącikach - mówiły wyraźnie: „Nie próbuj robić ze mnie palanta”.

- Cóż... - powtórzył Consor i głęboko odetchnął.
- Powiedziano nam, że zdarzył się wypadek. Wieść już się rozniosła, że Hand się utopił. Mają to ogłosić oficjalnie podczas kolacji w stołówce.
- Osobliwe - mruknął Consor, oglądając z uwagą swoje paznokcie.
- Dlaczego pan tak mówi, sir?
- Byłem przekonany, że władze akademii wszczęły już wnikliwe śledztwo. Sądziłem, że odszukali wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli o Handzie, i dokładnie ich wypyтали.

- Żadnego śledztwa, sir - podpuszczał go Slaight. - Żadnego wypytywania.

- On oczywiście utonął.

- *Yessir!!!*

- Ale ja nie wierzę, że był to zwykły wypadek, i wyraźnie wykazałem to w raporcie z sekcji.

- Nie był wypadek? - wydukał Slaight, bez powodzenia próbując ukryć podniecenie.

- Moim zdaniem to morderstwo, panie Slaight. Miał w płucach za dużo wody, jak na zwykle, przypadkowe utonięcie. Miałem do czynienia z wieloma topielcami. Ktoś znacznie silniejszy od niego przytrzymał mu głowę pod wodą tak długo, aż chłopak utopił się.

- Pan żartuje, sir, prawda?

- Nie. Ten młody człowiek został zamordowany. Istnieje zresztą dodatkowy, bardzo przekonujący dowód na to, że było to zamierzone morderstwo. Jest też motyw. To zdumiewające, że władze akademii nie ruszyły dotąd palcem, by znaleźć zabójcę. Zastanawia mnie cisza wokół tej sprawy. Jakby cały wydział taktyczny udał się na wakacje.

Slaight czekał. Teraz był już prawie pewien, że Consor wszystko mu powie, tylko trzeba dać mu trochę czasu. Major niespokojnie zerknął na korytarz, po czym kopniakiem zatrzasnął drzwi.

- Cóż, nie jestem pewien, czy powinienem ci o tym mówić, Slaight.

- Niech pan mówi, sir. Jeśli rzeczywiście Hand został zamordowany, zabójca w końcu zostanie wykryty i cała prawda wyjdzie na jaw. Pan znajdzie się na świeczniku i żaden sąd wojskowy nie będzie z litości kryć prawdy ani przed rodziną Handa, ani przed nikim innym. Może mi pan wszystko spokojnie powiedzieć, sir.

- Panie Slaight, doskonale wiem, do czego pan zmierza, ale to, co odkryłem podczas sekcji, jest tak delikatnej natury, że ominąłem to nawet w napisanym na maszynie raporcie; choćby przez szacunek dla rodziny. Nic to nikomu nie da, jeśli rodzina będzie cierpieć więcej, niż wymaga tego sytuacja. Niemniej przekazałem wszystko ustnie pułkownikowi Kingowi. On zna całą prawdę.

- Jaką prawdę, sir? Dlaczego nie chce mi pan o tym powiedzieć? Znałem tego chłopaka. Przez dwa lata chodziłem z jego siostrą. Muszę poznać prawdę, sam pan to rozumie, sir.

Conсор odwrócił głowę i przez chwilę wiercił Slaughtera wzrokiem.

- Rozumiem, młody człowieku. Wiem też, że jeśli wyjawię ci szczegóły sekcji, pogwałcę regulamin armii.

Slaughter czekał ze wstrzymanym oddechem. Conсор położył dłoń na leżących przed nim na biurku papierach. Okulary znów zsunęły mu się na czubek nosa. Odruchowo je poprawił. Rozparł się na metalowym szarym krześle i skrzyżował nogi.

- Jak pańskie stopy?

- Doskonale, sir.

- Wciąż jesteś zdecydowany jutro maszerować?

- *Yessir!!!* Muszę. Chyba pan to rozumie?

- Naturalnie - mruknął Conсор i popadł w głęboką zadumę. Niewiele się zmieniło od czasu, kiedy on sam był kadetem. West Point zmienił się, ale również niewiele. - Tak, rozumiem. Ale zrobisz to wbrew moim radom i zaleceniom. To też pan rozumie?

- *Yessir!!!*

- Tak długo...

- Wróćmy do sprawy Handa, sir - przerwał mu Slaughter.

- Uparty z ciebie drań, Slaughter.

- *Yessir!!!*

Doktor Conсор wybuchnął śmiechem.

- W porządku. Cała sprawa jest tak nietypowa, że nie sądzę, by ktokolwiek poniósł szkodę, jeśli powiem ci, dlaczego moim zdaniem Hand został zamordowany. Swoje wnioski opieram na trzech konkretnych dowodach. Czy pan mnie słucha?

- *Yessir!!!*

Oczywiście, słuchał, i to z najwyższą uwagą. Pytanie Conso-ra było typowe; z góry określało ich wzajemny stosunek. Rządził Conсор.

- Pierwszy dowód: woda w płucach. Świadczy to, że Hand utonął. Jej ilość natomiast wskazuje na walkę, a zatem na

obecność drugiej osoby. Drugi dowód: ślady nasienia w przewodzie moczowym. Tuż przed śmiercią Hand odbył stosunek płciowy. Dowód trzeci: ślady podrażnienia w okolicach odbytu, przekrwienie mięśni, narośla hemoroidalne, zapalenie dolnej okrężnicy, duża liczba białych ciałek we krwi; wszystko to wskazuje na przewlekłą infekcję... - Consor urwał i przerzucił kilka kartek z notatkami. - Wniosek jest prosty - Hand odbył stosunek analny. Wskazuje na to duża ilość nasienia w kiszce stolcowej. Czy wszystko jest dla pana jasne, panie Slaight? Ten pański Hand był homoseksualistą. Wiedział pan o tym?

- *Nosir!!!*

Tępo patrzył na obandażowane stopy. W ciasnym biurze zaległa głucha cisza. Gdzieś z oddali dobiegał szczeł naczyń w szpitalnej zmywarce.

- Majorze Consor, czy mogę o coś zapytać?

- Niech pan strzela.

- Czy napisał pan o tym w oficjalnym raporcie z sekcji?

- Nie. Chciałem oszczędzić rodzinie... Cóż, już o tym mówiłem. Przekazałem wiadomość pułkownikowi Kingowi ustnie. Że Hand został zamordowany. Że najprawdopodobniej zamordował go człowiek, który uprawiał z nim seks.

- *Yessir!!!*

- Dlatego dziwi mnie, że nie wszczęto jeszcze oficjalnego śledztwa w celu wykrycia zabójcy.

- *Yessir!!!* Majorze Consor, wierzę, że opiera się pan na faktach. Sądzę zatem, że to gównno, proszę mi wybaczyć wyrażenie, wcześniej czy później wypłynie na powierzchnię. Jestem pewien, że polecą głowy, ale pańskie notatki, sir, sprawią, że nie będzie to pańska głowa.

- Rozumiem, panie Slaight. Nie podobała mi się dzisiejsza poranna postawa Kinga. Wmaszerował do prosektorium, jakby to było jego udzielne księstwo. Kazał pielęgniarzom opuścić salę, a następnie czekał pod drzwiami, aż skończę. Zachowywał się, jakby był szefem szpitala. Nieustannie otwierał drzwi i poganiał mnie. Poganiał! Po co ten pośpiech? Chłopak nie żył od trzydziestu sześciu godzin. Czy to moja wina, że nie znaleźli go wcześniej?

- Pułkownik King był na służbie? Chodzi mi o to, czy to jemu wręczył pan przepisany na maszynie raport.

- Taki wysoki, z piechoty, utyka na jedną nogę. Zna go pan?

- Jest dowódcą mego pułku, sir. To on właśnie wysłał mnie na plac apelowy. To on podpuszcza Grimshawa, mego taktycznego. Pewnego ranka pojawił się w koszarach. Miałem właśnie w zajęciach okienko, więc postanowiłem się zdrzemnąć. Spisał mnie za „nieoddanie oficerowi honorów” oraz za to, że „podczas służby byłem bez munduru”. To fakt, byłem w kalesonach, leżałem pod kocem i spałem. Dwa-kreska-jeden dało piętnaście i dwadzieścia. Piętnaście punktów karnych, dwadzieścia godzin marszu. A ja liczyłem najwyżej na osiem i osiem. Jezu! Stary Grimshaw bardzo wziął sobie do serca moje dwa-kreska-jeden. Rozesłał notatkę służbową, że w ciągu dnia nikomu nie wolno podsypiać.

- A więc to dlatego chorzy proszą nas o wydanie zezwolenia na leżenie w łóżku w przerwach między zajęciami. W zeszłym tygodniu pełniłem dyżur i miałem co najmniej pół tuzina takich zgłoszeń. Nie wszyscy kadeci należeli do tej samej kompanii.

- Bo nie należą. Wszyscy w pułku próbują ratować się podkładkami lekarskimi. Każdy chce w ciągu dnia, w czasie wolnym od zajęć, położyć w łóżku. Jestem przekonany, że jesienią King wymyśli coś i ograniczy zwolnienia. Na przykład zażąda, by zwolnienie było wystawione tylko na jeden dzień. Nikt nie będzie codziennie latał do lekarza. Człowieku, w pułku Kinga nie wolno ani na chwilę tracić czujności. Na pańskim miejscu, sir, bardzo bym z nim uważał. Nie chcę nic panu radzić, ale...

- Panie Slight, rozumiem, do czego pan zmierza. Uważam na niego. Naprawdę nie chce pan, bym coś przedsięwziął w sprawie Grimshawa? Jako lekarz oświadczam, że z takimi stopami nie powinieneś maszerować po placu. Może się pan nabawić trwałych uszkodzeń. Nie widzę więc powodu...

- Sir, pozostało mi już tylko siedem godzin. Wytrzymam. A Grimshawem proszę nie zawracać sobie głowy, powinien pan raczej zwrócić uwagę na pułkownika Kinga. To szakał w ludzkiej skórze.

- Slaughter, nie życzę sobie, żebyś w mojej obecności obrzucał inwektywami swoich przełożonych.

- *Yessir!!!*

- Proszę stawić się w moim gabinecie w przyszłym tygodniu. Zaraz, zaraz... trzy godziny w poniedziałek, trzy godziny we wtorek i godzina w środę. Proszę więc wpaść kiedykolwiek. Będę tu każdego dnia.

- *Yessir!!!*

I nie nadużywaj tabletek przeciwbólowych.

- *Yessir!!!*

- Do zobaczenia na początku przyszłego tygodnia.

- *Yessir!!! Dobranoc, sir.*

Slaughter wrócił do gabinetu fizykoterapii. Szybko się ubrał, wyszedł drzwiami prowadzącymi do suterenu szpitala, wspinał się po metalowych stopniach i znalazł na Nowym Placu Południowym. Zegar wskazywał dziewiętnastą trzydzieści. Buck zapewne wrócił już z kolacji. Slaughter wbiegł na pierwsze piętro, pokonując po dwa schodki naraz. Stopy prawie wcale mu nie dolegały. W pokoju numer dwieście dwadzieścia sześć zastał Bucka rozciągniętego na pryczy z „The Wall Street Journal” w rękę. Obok leżało kilka egzemplarzy wychodzącej w Burning Tree „Weekly Gazette”, najnowsze wydanie „National Live-stock Producer” oraz gruby prawie na dziesięć centymetrów plik wydruków komputerowych. Najwidoczniej Buck Leroy, wracając z kolacji, wstąpił do centrum komputerowego.

- Powiedzieli dziś o wszystkim w kantine. Ogłosili wiadomość o tym fasolarzu Handzie. Adiutant rozgłosił pociucha. Przypadkowe utonięcie... z żalem zawiadamia... Hand z F-4... Korpus Kadetów prześle kondolencje... tragedia... Na koniec wygłosił tyradę o bezpiecznej kąpeli podczas letnich przepustek. Wprost w pale się nie mieści.

- Wierzę. Ale ty nie uwierzysz, czego ja się dowiedziałem.

- Co takiego, ty sukcin...

- Znam treść raportu z sekcji zwłok Handa. Nie uwierzysz. Lekarz, który jej dokonał, powiedział, że to nie był wypadek. David Hand został zamordowany. Poza tym lekarz wyznał mi w sekrecie, że Hand był ciotą i tuż przed jego śmiercią ktoś go

fest posunął w dupsko. Lekarz twierdzi, że ten właśnie gość go zabił.

- Jacyś podejrzani?

- Podejrzani? Chyba żartujesz? Tego nie wie nawet komendant żandarmerii. Doktor usunął z oficjalnego raportu wszelkie wzmianki o pierdoleniu. Wiadomość tę przekazał Kingowi ustnie. Pamiętasz, rozmawialiśmy o Phineasie T. Kingu? Strzał w dziesiątkę. Pojawił się dziś rano u doktora, zabrał raport i wszystkie kopie. Lekarz oświadczył, iż w raporcie zaznaczył, że jego zdaniem Hand został zamordowany. Proszę, a dziś wieczorem ogłoszono, że to zwykły wypadek!

- Tak powiedzieli.

- Buck, to nie jest tak jak ze Wspaniałą Siódmką. To całkiem nowa gra. Phineas T. siedzi w tym gównie po uszy, a ponieważ niezwłocznie poleciał z raportem do pieprzonego Dwa-Kreska-Hedgesa, to i komendant tapla się w tym samym gnoju. Lepiej trzymajmy gęby na kłódkę. Może ogłosili, że to był wypadek, bo nie znaleźli zabójcy?

- Wątpię, Ry.

- Dlaczego?

- Gdyby szukali zabójcy, wszyscy by już w korpusie o tym wiedzieli. Wszędzie kręciłyby się te gnidy z wydziału taktycznego. Dostalibyśmy zakaz opuszczania koszar. Posłuchaj. Słyszysz, jak jest cicho? W Grant Hall nie włączono nawet szafy grającej. Założę się, że te patafiany zajmują się sprawą Handa. Chcą znów tę puszkę zakrećić. Czy zamierzasz dziś wieczorem, jak mówiłeś, odwiedzić starszego sierżanta Eldridge'a?

- Już nie. Jak na jeden dzień dosyć się nasłuchałem. Odwiedzę go w poniedziałek, przed poranną zbiórką. Będziemy mieć dosyć czasu. Na razie muszą odpocząć mi nogi.

Rzucił się na łóżko i nie zdejmując miękkich kapci, położył stopy na kocu. Na adapterze Bucka obracała się płyta Waylona Jenningsa. Śpiewał coś o kobietach i samotności. Buck, po gwizdując cicho pod nosem, czytał „The Wall Street Journal”.

- Skończyłem studiować notowania giełdowe - przerwał



w pewnej chwili milczenie. - Może pójdziemy do kina? Puszczają jakiś western z Clintem Eastwoodem.

- Dobrze - odparł Slaughter, zamknął oczy i jeszcze przez chwilę słuchał głosu Waylona Jenningsa. - No to chodźmy.

## 9.

Dziewiętnasta trzydzieści. Telefon.

- Oficer dyżurny major Consor. Słucham?

- Majorze, mówi pułkownik King.

- *Yessir!!!* Czym mogę służyć?

- Majorze, ani pary z ust na temat rekruta, którego zwłoki znaleźliśmy dziś rano w Popolopen. Rozumie pan? Sprawa jest ściśle tajna. To polecenie najwyższych władz. Czy wyrażam się jasno?

- *Yessir!!*

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że jest to kwestia bardzo, ale to bardzo delikatna. Jest sprawą najwyższej wagi, by nie nastąpił najmniejszy przeciek. Jeśli mamy wszystko doprowadzić do pozytywnego końca, rzecz należy utrzymać w najściślejszej tajemnicy. W najściślejszej! Oczywiście rozmawiał pan o tym wyłącznie ze mną?

- *Yessir!!!*

- W porządku, mam tu wszystkie kopie pańskiego oficjalnego raportu z sekcji, czy tak? Mam przed sobą czterostronicowy, napisany na maszynie raport na formularzu dwieście dwadzieścia. W trzech egzemplarzach. Czy dokładnie to wręczył mi pan z rana?

- *Yessir!!!* Formularz dwieście dwadzieścia. To oficjalny raport z przeprowadzonej sekcji zwłok. Sekcje należą do jedynych operacji medycznych, z których raporty składa się na formularzach dwieście dwadzieścia. Reguluje to przepis...

- Nie interesują mnie przepisy, majorze. Interesuje mnie tylko to, czy dokumenty, które mam w rękę, dotyczące śmierci

kadeta Davida Handa, pochodzą od pana.

- Zgadza się, sir. To oficjalny raport. Ma pan komplet formularzy dwieście dwadzieścia, sir. Co zaś do ciała, to zgodnie z pańskim poleceniem zostało włożone do worka i o czternastej przewiezione samochodem firmowym do domu przedpogrzebowego w Highland Falls. Osobiście dopilnowałem załadunku ciała, sir.

- Dobrze. Świetna robota, Consor. Świetna. Pamiętaj, mamy do czynienia z bardzo delikatną sprawą. Wszystko musi pozostać w rodzinie. Rozumie pan?

- *Yessir!!!* W rodzinie. Rozumiem, sir.

- Bardzo dobrze. Consor, nic więcej nie rób, z nikim na ten temat nie rozmawiaj, nie sporządzaj żadnych nowych raportów, nie rób nic bez uprzedniej konsultacji ze mną. Łapiesz?

- *Yessir!!!*

- Znakomicie, majorze. Świetna robota.

- Dziękuję, sir.

- King rozłącza się.

W słuchawce zapadła martwa, głucha cisza. Major Consor popatrzył na stojący na biurku zegarek. Wskazywał dziewiętnastą trzydzieści pięć. Dziękował Bogu, że pułkownik King nie spytał, czy major nie rozmawiał z kimś o Handzie wcześniej. Kadet Slight opuścił gabinet przed niespełna dziesięcioma minutami i teraz lekarz zadumał się, czy przypadkiem nie popełnił błędu, wtajemniczając go we wszystko. Slight był dziwny, w jakiś osobliwy sposób nie pasował do West Point, a jednocześnie miał wszelkie, podręcznikowe wręcz cechy znakomitego dowódcy: zrównoważony, opanowany, dzielny, inteligentny, z potężnym, nie do przebiccia ego. Jeśli Slight miał jakąś negatywną cechę, to właśnie świadomość własnej tożsamości. Taka właściwość w wieku dwudziestu jeden lat prawie całkowicie odbierała młodemu człowiekowi szansę poznania siebie, a w przyszłości zrozumienia słabości wieku dojrzałego. Slight do perfekcji opanował umiejętność zastawiania pułapek, w które, gnany ciekawością, wciągał innych; a kiedy już człowiek otwierał się przed nim, zatrząskiwał pułapkę i dzięki mieszanecy chytrości oraz sprytu wyduszał z człowieka całą prawdę.

Major Consor doskonale pamiętał dzień sprzed trzech lat, kiedy po raz pierwszy zetknął się ze Slaughtem. Rekrut leżał na oddziale trzecim z obustronnym zapaleniem płuc. Ponieważ był rekrutem, wszyscy odradzali mu zgłoszenie się do szpitala. Długo ukrywał swoją chorobę, aż w końcu zemdlał w koszarach. Do lecznicy trafił w stanie półśpiączki. Przez sześć dni karmiony był dożylnie, przytomność odzyskiwał tylko na parę chwil, a i wtedy niezupełnie wiedział, co się z nim dzieje.

Siódmego dnia gorączka spadła z czterdziestu jeden do czterdziestu stopni. Okładano go lodem, by obniżyć ciepłotę ciała. Kiedy Slaight, bardzo ciężko chory rekrut, obudził się i spostrzegł, że pochyla się nad nim zatroskany lekarz, wychrypiał:

- O, kurwa! Fajnie tu. Od jak dawna tak leżę?

Kiedy poinformowano go, że w szpitalu przebywa już tydzień, zapytał, jak długo zamierzają go jeszcze trzymać. Gdy wyjaśniono mu, że leczenie tak ciężkiego przypadku zapalenia płuc może potrwać nawet miesiąc, rekrut zastanowił się chwilę i powiedział:

- Ej, ominie mnie szesnaście defilad!

Consor zachichotał na to wspomnienie. Jako kadet również nie znosił parad. Stanowiło to zresztą część gry. Może więc Slaight nie jest wcale takim odmieńcem. Może jest zwykłym amerykańskim kadetem, prawdziwym, dzielnym amerykańskim zuchem? Jakkolwiek na to spojrzeć, w pełni ufał Rysamowi Parkerowi Slaightowi III.

Lepszy Slaight niż King. „King rozłącza się”. Boże wielki, do czego to doszło!

# *Księga II*

26 czerwca 1968

## 10.

Środa rano. Nowy Jork.

Rya Slaughta zbudził dobiegający zza ściany szum nalewanej do wanny wody. Podparł się na łokciu i zerknął poprzez panujący w pokoju półmrok na stojący na nocnym stoliku radiobudzik. Wskazówki na świecącej tarczy ustawione były na godzinie dziewiątej. Grube zasłony w oknach nie wpuszczały do środka promieni porannego słońca. Cztery tygodnie upłynęły od chwili, gdy opuścił West Point. W ciągu trzech tygodni odwiedził sześć posterunków wojskowych w sześciu stanach. Majówka zwana Wyprawą Najwyższego Roczника miała na celu unaocznić najstarszym kadetom z West Point, czego mają się spodziewać po każdym z sześciu ośrodków wojskowych, gdy w następnym roku zostaną promowani na oficerów.

Była to długa na sześć tysięcy mil strata czasu kadetów i pieniędzy podatników. Wiedzieli o tym kadeci z najwyższego roku. Wiedziała o tym armia. Wiedział West Point. Za obopólnym porozumieniem podróż ta stanowiła okazję dla sześciu ośrodków wojskowych do wydania sześciu oficjalnych balów dla najstarszych kadetów. Na balach tych pojawiały się córki miejscowych oficerów w charakterze ewentualnych przyszłych żon wojskowych mężów. Teraz rocznik Slaughta wrócił z wyprawy i był to pierwszy poranek letniego urlopu Rya - trzydziści dni wolności, które kadet zamierzał spędzić dokładnie tu, w tym łóżku, w tym mieszkaniu, w tym mieście i z tą kobietą. Nazywała się Irit Dov.

Poznali się, gdy Slaughter był pierwszorocznikiem. Po roku razem spędzonych weekendów i przepustek beznadziejnie zakochał się w tej dziwnej smagłej kobiecie, która właśnie brała za ścianą kąpiel.

Rozejrzył się po znajomej sypialni. Pod ścianą stało biurko zawalone listami, rachunkami, rodzinnymi fotografiami, starymi magazynami i zużyтыми biletami lotniczymi. Na toaletce w stylu art deco, z wielkim, owalnym lustrem, leżała jedynie szczotka do włosów i lusterko z długą rączką. Na nocnym stoliku stała szklanka z wodą, a obok białe dwie aspiryny. Na szklanej gałce drzwi wisiała koszula nocna; długa do kostek, z jasnoszarego atłasu, z głębokim dekoltem karo obszytym koronką. Na podłodze, częściowo zasłonięty tą koszulą, znajdował się biały aparat telefoniczny. Odchodził od niego długi, wijący się kabel, niknący pod drzwiami prowadzącymi na korytarz. Nad głową Slaughtera rozciągały się całe metry kwadratowe jedwabiu uformowanego w spiczasty namiot, wsparty na czterech kolumnach. Przypominało to sklepienie katedry. Zza okna dobiegał nieustanny szum sunących Madison Avenue samochodów.

- Rye? Rye? Obudziłeś się już? Wstałeś?

Głos kobiety był wysoki, rzeński. Ustał monotony szum wody, zza ściany dobiegały odgłosy krzątania, a potem dały się słyszeć kroki w korytarzu. Był to długi przedpokój, prowadzący z salonu do łazienki. Po jednej stronie korytarza ciągnęły się szafy wbudowane w ścianę, a na jego końcu znajdowała się pakamera. Drzwi szaf wyłożone były lustrami, tak że tworzyły jakby ścianę zbudowaną ze zwierciadeł. Wnętrza lśniły białym lakierem. Podłogę w tej części apartamentu spowijał gruby biały dywan. Korytarz był wysoki; pierwotnie miał pięć metrów wysokości, lecz sufit został opuszczony o jakieś pół metra. Slaughter, gdy pierwszy raz znalazł się w tym apartamencie, pomyślał, że ktoś włożył cholernie dużo pracy i pieniędzy w urządzenie tego korytarza.

- Już nie śpię! - odkrzyknął. - Ale wciąż - jeszcze leżę w łóżku. Jestem zmęczony jak koń.

- A więc nie wstawaj - zarządził kobiecie głos.

Łoże było cudowne, zwłaszcza że miał za sobą długą nocną

podróż wojskowym samolotem transportowym C-141 starlifter z Fort Bliss w Teksasie. Żadnej klimatyzacji, tłoczno, śmierdząco, chłopaki spali z głowami złożonymi na ustawionych między nogami workach z rzeczami osobistymi. Koszmar.

- Co chcesz na śniadanie? - dobiegło z korytarza pytanie. - Mogą być grzanki i kawa?

- Jasne.

Poprawił pod plecami poduszki i próbował przypomnieć sobie, co wydarzyło się od chwili, kiedy pojawił się w tym mieszkaniu późnym wieczorem poprzedniego dnia. Nie potrafił się jednak skupić, myśli uciekały, zmęczony umysł nie pozwalał skoncentrować się. Ponownie się rozejrzył. Dostrzegł obok siebie poduszczkę w poszewce z miękkiego płótna. Była mała, o wymiarach najwyżej dwadzieścia centymetrów na dwadzieścia, płaska, prawie bez pierza. Irit zawsze tuliła ją do siebie podczas snu. Pamiętał, jak pewnej nocy obserwował śpiącą obok niego dziewczynę... Wydawało mu się to niesłychanie odległe w czasie. Tuliła do siebie poduszkę. Był to rozczulający widok. Przyciskała poduszczkę do piersi, na uśpioonej twarzy malował się leciutki uśmiech. Wyznała mu później bez skrępowania, że nie potrafi bez tej poduszki zasnąć. Teraz on przyłożył ją sobie do nieogolonego policzka. Materiał był miękki. Odłożył poduszkę, zamknął oczy i próbował znów zasnąć. Mała płócienna poduszcзка była jedną z wielu rzeczy, które zadziwiały go w Irit Dov. Nie rozumiał jej. Sprawiała, że czuł się... nieswojo. Podrapał się po nodze i szczelniej otulił kołdrą. Dziewczyna usłyszała szelest pościeli.

- Mówiłam, żebyś nie wstawał! - zawołała dźwięcznym głosem.

Slaight szczelniej otulił się kołdrą przed chłodnymi podmuchami klimatyzatora pomrukującego za zasłoną w oknie. Poczul bijący mu spod pach zapach potu, woń zmęczenia i seksu. Podobał mu się ten zapach. Wciągnął go głęboko w płuca. Zachichotał.

„Letnia przepustka - pomyślał - Do licha, cały miesiąc”.

Zamknął oczy i zapadł w sen...

Większość czasu w West Point człowiek jest tak bardzo samotny, że zaczyna żyć w świecie wyobraźni. Każdy dzień, każdy cholerny dzień w West Point przypominał walkę bokserów na ringu: cios... odpowiedź... cios... odpowiedź; niekończące się serie ciosów w splot słoneczny, w twarz, w kark, w żołądek. Nie było czasu cofnąć się, odpocząć. Oddech, atak, głęboki wdech. Amortyzacja ciosu. Ani chwili wytchnienia.

Cios... odpowiedź... cios... odpowiedź. Jak podczas treningu. W biurze wychowania fizycznego był pewien żaloszny pantan. Nazywał się Malloy. Miał gębę wodnego szczura i twarde niczym żeliwna rura ściekowa ciało. Sześćdziesięcioletni facet nosił czarne spodnie dresowe ze złotymi lampasami, lśniące skórzane buty oraz podkoszulek z literami WF i emblematem akademii na lewej piersi. Stał zawsze obok ringu i darł się ile sił w jego irlandzkich płucach: Cios. Odpowiedź. Cios. Odpowiedź. Slight do końca życia nie zapomni jego gęby i tych okrzyków.

A najbliższe tego niewielkiego punktu w dole brzucha, najbliżej tego całkowitego rozluźnienia się, prawdziwego rozluźnienia się, było pieprzenie. Ale też tylko częściowo. Bardziej przepustka z więzienia niż prawdziwa wolność. Kadeci byli mistrzami w pieprzeniu. Przychodziło im ono naturalnie, jak sikanie po porannym biegu i towarzyszący tej czynności dreszcz rozkoszy biegnący po plecach.

Kadeci pieprzyli dla zabawy, pieprzyli z miłości, pieprzyli dla sportu, pieprzyli, by zaspokoić zwierzęcą chęć przenikającą przez cały tydzień cholerne koszarowe życie, pieprzyli nawet dla pieniędzy jako męskie prostytutki, wystawiając podczas weekendów swe ciała na sprzedaż na ulicach Nowego Jorku. Seks był pełen napięcia, szybki, gorący, spocony, wypełniony odorem, jak spalone włosy na grzbiecie dłoni nad koksownikiem podczas zimnej nocy spędzonej na poligonie; seks tak szybki i gorący, że aż parzył. W wyobrażeniu Slighta, dla dziewczyny seks z kadetem był tym, czym dla dojrzewającego chłopaka zmaza nocna. Nie pamięta, co się dokładnie wydarzyło, ale wie, że było bardzo przyjemnie.



Dziewczyny stanowiły rodzaj... funkcyjnych. Były niczym zębata koła pośredniczące, sprawiające, że cała maszyna działała prawidłowo. Gładko. A jeśli ktoś przyłożył kadetowi, pełniły funkcję amortyzatora... Brały na siebie cały ciężar, którego chłopcy nie mogli udźwignąć. Były inne, jak odmienny gatunek - może jak koty. Miękkie tam, gdzie chłopcom brakowało miękkości... Kościste i prężne tam, gdzie chłopcy są twardzi i muskularni... Wyglądały inaczej, zachowywały się inaczej i inaczej mówiły. Były bardziej... dorosłe.

Kadeci nieustannie tręcali się w ramię i prowadzili gadki w stylu: ...ej, koleś, zaciągnijmy jakieś dwie na Równinę... co ty na to?... kurza twarz, zabawimy się... nie jesteśmy przecież francowatymi rekrutami... popieprzymy jakieś laski... później je spławimy... Kadeci mówili językiem trenerów footballu na nieustannym kacu. Dziewczyny mówiły ładniej, jakby rozumiały, jakim głównianym miejscem jest West Point, i jakby chciały, aby chłopcy poczuli się odrobinę lepiej. Ale chłopcy podejrzliwie traktowali całą tę czułość i uprzejmość, ponieważ nie byli pewni, skąd ona się bierze. A w West Point poznali stary męski dogmat, że dopóki człowiek nie jest czegoś pewien, najlepiej przypaść w trawie, czekać, nadśłuchiwać i obserwować, zanim weźmie się coś za dobrą monetę.

Tak więc dziewczęta odgrywały swoją rolę, ale nie... pasowały do końca; jak za małe skarpetki, które nieustannie zsuwają się w butach. Trzeba przystawać, podciągać je i czuć się jak skończony matol, który nie umie nawet kupić sobie skarpetek w odpowiednim rozmiarze. Tak właśnie większość kadetów czuła się w towarzystwie dziewcząt: że niezbyt do siebie pasują, że nie są do nich przyzwyczajeni, a kiedy już znajdowali się w ich towarzystwie, czuli się niezręcznie, byli spięci...

To samo z weekendami. Za weekendami tęskniło się, weekendy zawsze przychodziły za późno i za szybko się kończyły. W umysłach kadetów istniało równanie między dziewczętami a weekendami. Weekendy znaczyły wolność... a raczej chwilowe zwolnienie z aresztu. Lecz każdy weekend kończy się; o

osiemnastej w niedzielę zaczynał się apel przed kolacją. Klaskali w dłonie jak trener footballu, baseballu czy koszykówki; on też zawsze klaskał w dłonie... klap-klap, klap-klap... nerwowo, gdyż znajdował się poza boczną linią boiska i nic innego nie mógł zrobić.

Tak zatem weekendy kończyły się, kończyły się przepustki z aresztu, kończyły się dziewczęta. Na niedzielnym apelu przed kolacją przestawały się zupełnie liczyć. Były chwilowe, odsunięte na koniec tygodnia. Kadeci pisywali do dziewcząt listy, dużo listów do wielu różnych dziewczyn, czasami i pół tuzina listów do pół tuzina dziewcząt jednocześnie. Stanowiło to formę kontaktu ze światem zewnętrznym. W West Point pisanie listów było równie istotne jak ich otrzymywanie. Chłopcy pracowali nad listami, mozolili się, cyzelowali każde słowo, jakby w ten sposób chcieli dowieść swego istnienia. Pisząc list, wyciągali rękę i dotykali kogoś. Każde słowo spływało na papier z tego niewielkiego miejsca w brzuchu, powodując rozkoszne doznania i poruszając molekuly ciała. Z miejsca oznaczonego kodem pocztowym 10996 nieustannym strumieniem płynęły listy kadetów do dziewczyn.

Istniały Dziewczyny Pozostawione w Domu. Wielu kadetów, wstępując do West Point, zostawiało w rodzinnych miasteczkach dziewczyny. Pisywali do nich co wieczór przez całe długie cztery lata, by później, po promocji, ożenić się z nimi, i nikt nie miał o to do nich pretensji. Chłopcy mieli w sercach specjalne miejsce zarezerwowane wyłącznie dla dziewczyn pozostawionych w domu. Prawie każdy z nich taką miał.

Były też Irlandzkie i Włoskie Księżniczki, dziewczęta z katolickich szkół, których wiele znajdowało się w okolicy West Point; jak wysunięte posterunki nocne na polu walki. Kadeci nie mogli wyjść ani wejść niezauważeni przez któreś z tych uroczych stworzeń z Ladycliff, Seton Hall, Marymount... Lista była długa. Jakby gdzieś daleko, w trzewiach Watykanu, powstał plan zaślubin śmietanki amerykańskiego katolicyzmu ze śmietanką amerykańskiej armii.

Istniały też snobistyczne, zgryźliwe liberałki z Vassar, plejady

West Point- aroganckie, wyniosłe, równie humorzaste jak sami kadeci. Być może z tego względu wychowankowie West Point, kiedy udawali się do leżącego kilka mil po drugiej stronie Hudsonu małego miasteczka Poughkeepsie, nie umawiali się z dziewczętami z Vassar. Starsi koledzy ostrzegali kadetów już od roku rekruckiego, by trzymali się z daleka od dziewcząt z Vassar.

Były też Dziewczęta z Wyższych Uczelni, z którymi kadeci spotykali się na meczach lub pomeczowych przyjęciach i piknikach. Te dziewczęta lubiły łączyć się w bractwa. Jeśli któryś ze starszych kadetów umawiał się z jakąś Iksińską z Northwestern, niebawem towarzyszący mu kolega również zaczynał chodzić z którąś z pierwszorocznych dziewcząt należących do tego samego bractwa studenckiego. Czasami kadeci wymieniali się studentkami; w akademii stanowiły one coś w rodzaju społecznej waluty obiegowej. „Zapoznam cię z tą rudą koleżanką mojej dziewczyny, jeśli w przyszłym tygodniu weźmiesz za mnie wartę... Dam ci grę s.f., koleś, jeśli mnie z nią zapoznasz; dorzucę ci nawet pięć dolców na weekend...”

No i wreszcie Dziewczyny Pracujące. Pochodziły głównie z Nowego Jorku, od East Side (stewardesy, czasami króliczki z „Playboya”) przez West Side (sekretarki i recepcjonistki) po Village (damy ze śródmieścia o niejasnych źródłach dochodu). Dla pewnej grupy kadetów, do której należał również Rysam Parker Slight III, pracująca dziewczyna z wielu względów stanowiła skarb wprost nieoceniony.

Nie studiowała, a zatem nie krępowały jej przepisy obowiązujące w akademiku, zwłaszcza dotyczące godzin nocnych. Dziewczyna pracująca nie ulegała również przesądom społecznym, mającym tak wielki wpływ na życie kadetów i studentów w latach sześćdziesiątych. Były specjalistkami od szkolnej, emocjonalnej algebry podrap-mnie-w-plecy-a-ja-podrapię-ciebie.

Pracująca dziewczyna przeważnie miała mieszkanie, często własne, bez współlokatorki (do takich należała Irit Dov), co załatwiało sprawę bardzo przykrego wydatku weekendowego: koszt wynajęcia pokoju hotelowego. Niektóre umiały nawet gotować, ale to były już naprawdę rzadkie ptaki.

Większość pracujących dziewczyn prowadziła „kawalerski” tryb życia. W lodówce miały obowiązkową ćwiartkę masła, dwa jajka, dwutygodniowy karton z kefirem malinowym, słoik z kawą rozpuszczalną i puszkę piwa.

Z seksu nie robiły większego problemu. Choć ta sfera życia wciąż pozostawała sprawą delikatną, dziewczyny pracujące podchodziły do niej lekko i zawsze były przygotowane. W torebkach lub w szafkach w łazienkach trzymały środki antykoncepcyjne. Zegnaj, gumko - witaj, pigulko!

Pracujące dziewczyny prowadziły zazwyczaj samotny tryb życia, a to niebywale zbliżało je do kadetów, z tego prostego względu, że w West Point samotność była równie powszechna jak grypa. Niby człowieka wciąż otaczali koledzy i przyjaciele, nieustannie ktoś kogoś klepał po ramieniu, prosił o pożyczenie pasty do zębów, wymieniał ciekawe pisemka, pomagał rozwiązać zadanie z fizyki jądrowej... a jednak, gdy maszerowało się po Thayer Road, od biblioteki do koszar i z powrotem, człowiek czuł się, jakby był ostatnim mieszkańcem Ziemi. Pracujące dziewczyny musiały czuć to samo w metrze, gdy wieczorami wracały do domu. Samotność przyciąga samotność. Niekoniecznie sprzyja powstawaniu głębokich związków, ale jest bardzo użyteczna.

Wielu kadetów miało jednocześnie dwie dziewczyny. Jedną w domu, którą odwiedzali podczas długich przepustek letnich albo na Boże Narodzenie; drugą w pobliskim mieście, którą odwiedzali częściej, ale na krócej, w weekendy. Pierwsze dziewczyny traktowali z uwagą, o drugie dbali. Na kadetach można było polegać. Działali bardzo skutecznie i metodycznie. Pojawiali się zawsze punktualnie. Byli idealnie przewidywalni. Potrafili też zachowywać się serdecznie i po dżentelmeńsku.

Tak właśnie przez pierwsze dwa lata pobytu w akademii postępował Ry Slight. Miał dziewczynę w Leavenworth w Kansas, córkę pułkownika, Betty Jane Soah. Poza tym umawiał się z siostrą Davida Handa, Samantha, z którą chodził do szkoły w Vassar i która była bardzo... poręczna. Przychodzi jednak czas, kiedy któraś ze stron mądrzeje... Czasami jedna z dziewczyn, czasami od razu obie, a czasami sam kadet. To właśnie

przytrafiło się Slaightowi w maju 1967 roku.

Schodził właśnie z placu po trzygodzinnym marszu karnym. Gdy włókł się Thayer Road z karabinem w rękę, dostrzegł przed sobą jakieś zamieszanie. Przed Grant Hall, w miejscu gdzie zwyczajowo kadeci spotykali się ze swymi znajomymi, pojawiła się grupa dziewcząt rozdających stokrotki i ulotki antywojenne. Była to demonstracja. Slaight przyspieszył kroku, ciekaw, co się tam dzieje. Kiedy wmieszał się w tłum demonstrantów i widzów, rozpoznał dwie dziewczyny. Pochodziły z Vassar.

Był zmęczony i spocony po tygodniowym udęcującym marszu i właśnie miał skierować się na Nowy Plac Południowy, gdy stanęła przed nim Samantha Hand i wręczyła ulotkę odbitą na powielaczu. Slaight zerknął na trzymany w rękę papier. Nad tekstem widniał napis, wypisany dużymi literami ręką Samantha:

### ODEJDŹCIE! MACHINIE WOJENNEJ STOP!

Slaight popatrzył na dziewczynę z niedowierzaniem, a ona z uśmiechem podała mu stokrotkę.

- Próbowałam skontaktować się z tobą telefonicznie, Ry, ale powiedziano mi, że odbywasz karny marsz. Wiesz, co o tym sądzę, Ry? Służysz złej sprawie. Powinieneś dać sobie spokój.

Slaight wziął z ręki Samantha stokrotkę, wsunął ją sobie do ust i zaczął żuć. Gdy przełknął kwiatek, oddał dziewczynie ulotkę.

- Wsadź to sobie w tyłek - powiedział, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę koszar.

„Gdyby tylko wiedziała - myślał. - Gdyby tylko, do kurwy nędzy, wiedziała”. Slaighta dręczyły takie same wątpliwości. Nie wiedział, co myśleć o wojnie, akademii... wszystkim. Takie same wątpliwości mieli zresztą wszyscy kadeci. Nikt nie był wolny od przemyśleń na temat losu kadetów, każdy rozglądał się po otaczającym świecie i próbował rozpoznać, co jest mową trawą, a co nie. W pewnej chwili chciał nawet zrezygnować z dalszej nauki w akademii. Gdy maszerował spocony i załamany,

pod czaszką kłębiły mu się myśli jak suchy groch w blaszanej puszcze... I oto zanim się obejrzał, upłynął pierwszy rok, rekrucki, i już kończył pierwszy rok jako kadet. Nowe przepisy wojskowe mówiły, że jeśli ktoś zrezygnuje po ukończeniu drugiego roku nauki, musi odbyć pięć lat służby zasadniczej. Marszerował po placu i zastanawiał się nad rezygnacją w następnym tygodniu, a tu masz... Jezu... jego własna dziewczyna skompromitowała go przed kadetami. Dotarł do swego pokoju, rzucił się na prycę i zaczął rozmyślać. W zaistniałej sytuacji nie mógł zrezygnować. Musiał ukończyć West Point, choćby była to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. W następnym tygodniu przemaszeruje pozostałe wyznaczone mu godziny. A później poleci do Nowego Jorku i spotka się z Irit Dov. I oto leżał w jej łóżku. Tamto skończyło się przed rokiem. Przed rokiem Samantha wygłupiała się z demonstracją antywojenną, jej brat trafił do jego drużyny podczas „chlewni”. A teraz nie żyje; pedzio utopiony w jeziorze Popolopen przez kogoś, kto tuż przed zabójstwem załatwił go w tylek... Jezu, kto by przypuszczał, że niemal dokładnie w rocznicę tamtego majowego dnia 1967 roku, kiedy dziewczęta wręczały stokrotki, David zginie? Nic tu nie miało sensu, wszystko się rozpadało, rozlatywało na wszystkie strony. West Point był niczym bryła granitu, narodową kotwicą, ale nawet West Point luzował cugli...

Odgłos kroków na dywanie w korytarzu... Slight poderwał głowę i rozejrzał się ze zdziwieniem. Kroki oddaliły się; Irit Dov przeszła do kuchni. Po drodze minęła salon, ogromny, kwadratowy pokój o rozmiarach dwanaście metrów na dwanaście. Apartament Irit Dov na dachu wielkiego budynku mieszkalnego na rogu Osiemdziesiątej Drugiej Wschodniej i Madison, w porównaniu z innymi podobnymi mieszkaniami był mały - miał jedynie dwa pokoje: salon i sypialnię. Kuchnia i łazienka zdawały się stanowić jedynie dodatek. W przestronnym, wysokim mieszkaniu było dużo powietrza, dużo okien i światła, dzięki ścianom pomalowanym na jasny kolor.

W salonie Slight miał swoje ulubione miejsce; przypominający ciepłarnię wykusz, pokój słoneczny, wystający ze ściany budynku. Wykusz wypełniały rośliny, głównie palmy. Większość miała liście popstrzone brązowymi plamkami, świadczącymi o chorobie, na którą cierpiały wszystkie palmy w Nowym Jorku. Niewielkie pomieszczenie przypominało Slightowi oszkloną werandę w rodzinnym domu na przedmieściach Leavenworth. W jasnym i zielonym wnętrzu chętnie spędzało się czas na lekturze lub słuchając odległego szumu miasta. Na werandzie czuł się jak w lesie pełnym hałasów, szumu listowia rozmawiających ze sobą drzew, popiskiwania wiewiórek, śpiewu ptaków. I ani śladu człowieka. Tak właśnie było i tu, w apartamencie Irit... ani śladu człowieka, a jednocześnie tyle wokół życia.

Zresztą całe mieszkanie wypełniały kwiaty - kwiaty i białe meble. Pod kątem prostym do znajdującego się na wschodniej ścianie kominka ustawiono naprzeciwko siebie dwie wytworne kanapy, a między nimi nowoczesny niski stolik do kawy.

Chromowane krzesła pokryte ciemnobrązową skórą, stojące po obu końcach stolika, odwrócone były przodem do kominka. Zawieszane pod sufitem lampy punktowe, takie same jak w korytarzu, oświetlały gołe, białe ściany. Ale najwięcej w apartamencie było okien. Okna znajdowały się na wszystkich trzech ścianach słonecznego pokoju i wychodziły na niewielki taras po zachodniej stronie budynku, ocieniony rosnącymi w donicach drzewkami ginkgo. W sypialni były cztery okna wychodzące na południe i zachód. Okienko łazienkowe miało czterdzieści centymetrów szerokości i dwa metry wysokości. Dzięki niemu, leżąc w wannie, można było obserwować boży świat.

Mieszkanie niebezpiecznie zbliżało się wyglądem do apartamentu ze szpalt niedzielnego wydania „Times Magazine”; mieszkań nieskalanych ludzką obecnością. Na szczęście pewne elementy ratowały to wnętrze przed taką diabelską doskonałością, na przykład kabel telefoniczny biegnący korytarzem z salonu do sypialni, wytarty, spłowiwały i postrzępiony perski dywanik leżący między kanapami przy kominku; żaden antyk,

po prostu zniszczony dywan. Trzy czy cztery wiklinowe meble rozpaczliwie domagały się naprawy. Dwa takie same krzesła w sypialni, skryty pośród roślin stół w pokoju słonecznym. Drugi trzcinowy, rozpadający się stół na tarasie.

Wszędzie wały się czasopisma i magazyny, stopy zumali z modą i gazet, pliki starych numerów „Esquire'a” i „New Yorker”. Były tam czasopisma francuskie, włoskie i stare dodatki niedzielne do „Timesa”. Stanowiły one dobitny dowód na to, że właścicielka mieszkania przykłada wielką wagę do słowa drukowanego. Stopy gazet i czasopism zostały zgrabnie, wręcz chytrze ukryte - za meblami, pod stołami, w głębokich szafach. Bardzo pasowały do tego mieszkania. Podobnie jak sama Irit Dov.

W ciągu ostatniego roku Slaight dużo i często włóczył się po mieszkaniu dziewczyny, myszkując po kątach. Taki już miał zwyczaj. Zaglądał we wszystkie zakamarki, otwierał szuflady, drzwi szaf, grzebał w stertach czasopism. Badał dom tak, jak czytał książki: dokładnie i uważnie. Apartament Irit, jego przemyślane bogactwo, panujący w nim pozorny bałagan, fascynował Slaighta. Wiedział, że w mieszkaniu można odnaleźć ślady obsesji i tajemnic jego właściciela. Nie był wścibski. Miał tylko naturę zbieracza, kolekcjonował okruszki cudzego życia i gromadził je w sobie. Nie wiedział, dlaczego to robi. Wiedział jedynie, że mieszkanie Irit wzięło go w niewolę i mocno trzyma. Podobnie jak jego właścicielka.

Z kuchni dobiegały miłe dla ucha, stłumione odgłosy: szcęk talerzy, kubków, sztućców, szum wody w kranie. Przypominały mu one rodzinny dom, gdy jako dziecko leżał w łóżku i słuchał, jak matka w kuchni na parterze przygotowuje śniadanie, krząta się, słucha w radiu prognozy pogody. Teraz Slaight włączył radiobudzik. Jakaś stacja na UKF-ie nadawała „Purple Haze” w wykonaniu Jimi Hendrix Experience. Muzyka była zbyt ciężka i hałaśliwa jak na dziewiątą rano, wyłączył więc radio.

Coś się działo. Na West Point zaczęły pokazywać się rysy - efekt uboczny systemu wymagającego absolutnej precyzji, bezwzględnego przestrzegania kodeksu honorowego, przykładania wagi do szczegółów wszystkich nauk i kursów



inżynierskich, bezbłędnego zapamiętania milionów drobnych dowodów (f)X = YZ, które nieustannie trzeba było mieć w głowie. West Point był społecznością hermetyczną, zamkniętą. Zupełnie jakby akademia odcięła się od zrobaczywiałego świata za jej murami, zawsze taka sama, jak filmy puszczone nocą w telewizji.

Wewnątrz jednak, tuż pod powierzchnią życia kadetów, istniał niepokój, tłumione frustracje i wątpliwości. Niedoskonałość tę trzeba było ukrywać, hamować, sprawować nad nią kontrolę, dławić i pokrywać pewnością siebie, która zdawała się brać znikąd, a w rzeczywistości brała się z samego West Point, z akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych, z ostatecznego przekonania, że jest się cholernie dobrym kadetem, z odrzucania wszelkich niepewności i wątpliwości. West Point mówi: jesteś lepszy od tych wszystkich pierdoł z zewnątrz, od każdego, kto nie zna definicji szarości, od nieabsolwentów, od cywili, polityków i nieprzyjaciół, i żołnierz w to niezachwianie wierzy.

Lecz teraz ostatni bastion, jakim była wiara w West Point, zaczynał się kruszyć. Przez cały rok, gdy był „krową”, Slight obserwował ten powolny, ale ciągły proces. Śmierć Davida Handa powiększyła szczybę w systemie. Slight nie wiedział, co się stanie, miał jednak kilka domysłów. Kadeci panowali nad swymi wątpliwościami i podświadomymi uczuciami, jakich nie powinni mieć. System sprawiał, że kadet, nad którym sprawowano nieustannie kontrolę, był pewny siebie i dokonywanych wyborów, ale przychodził weekend i pozwalał na chwilę wytchnienia, a wtedy tłumione uczucia kłębiące się pod czaszką kadeta wypływały na wierzch. Uchodziło z niego ciśnienie, nagromadzone w tym małym punkcie w brzuchu, burzące, wrzodowe, ohydne; cała ta obrzydliwa wiedza o samym sobie, w którą nie chciał wierzyć, ale wiedział, że tak właśnie jest. Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że przypadek Davida Handa bardzo pasuje do obrazu, aczkolwiek nie domyślał się jeszcze, w jaki sposób i dlaczego.

Slight, Leroy Buck, jego współtowarzysz z pokoju - każdy kadet był czuły na wszelkie uwagi dotyczące wojny, wojska,

akademii. A w latach 1967-1968 huragan takich komentarzy smagał ze wszystkich stron. Nie było od nich ucieczki. Kiedy kadeci wyjeżdżali na przepustkę do Nowego Jorku i zasiadali w barze na East Side, jedynym skutecznym sposobem na uporanie się z nieuniknionym pytaniem: „Co robisz w życiu?” była niewyraźna, enigmatyczna odpowiedź: „Studiuję w pobliskiej uczelni”, zupełnie jakby zadająca to pytanie dziewczyna powinna od razu domyślić się, o co chodzi - Princeton, Rutgers albo jakieś inne z tych przeklętych miejsc.

Pozostawała jednak nieszczęsna fryzura - po bokach głowy włosy przystrzyżone prawie do skóry, maksymalnie pięć centymetrów na czubku głowy. Kadeta zdradzały też charakterystyczne maniery, wpojone na mur, prawie niemożliwe do ukrycia: wyprężona postawa... szybki, miarowy chód... słówko „sir”, mimowolnie wtrącane w rozmowie z koleśkiem zaledwie o dwa - trzy lata starszym. I choćby człowiek nie wiadomo jak się starał, szydło przeważnie szybko wychodziło z worka.

I wrogość, Jezu, wrogość! Przypadkowa uwaga, na przykład: „Rozumiem, kazali wam tak się ostrzyć”, sprawiała, że w kadetach uruchamiał się mechanizm bomby zegarowej, górę brało tłumione uczucie upokorzenia, poczucie, że są traktowani jak gromada dzieci, besztanych, karanych i odsyłanych do kąta. Bomba mogła eksplodować w każdej chwili, a wtedy kadet zamieniał się w krwiożerczego dobermana. W takiej chwili nie dbał o to, kto, co, kiedy i gdzie powiedział. Ogarniała go żądza krwi i gotów był każdego rozszarpać na strzępy.

Pewnego razu w barze w północnym New Jersey kolega z roku Slaughter odgryzł kawałek ucha chłopakowi z Princeton, który siedząc przy barze, burknął: „Dupki z West Point”. Kadet po prostu chwycił chłopaka za włosy, wyrznął kilka razy w twarz, a kiedy z nosa popłynął strumień krwi, przyciągnął do siebie jego głowę, przycisnął do blatu, odgryzł mu koniuszek ucha i wypluł. Okrutna, drapieżna scena. Wszyscy w barze zamarli. Gapili się to na chłopaka trzymającego się za zakrwawione ucho, to na kadeta stojącego z ponurym, tryumfującym wyrazem twarzy. Następnie kadet odwrócił się na pięcie i przez

nikogo nienagabywany opuścił bar. Nikt nie próbował go zatrzymać, ponieważ każdy zdawał sobie sprawę, iż gość jest tak wkurzony, że mógłby nawet zabić.

Innym razem Slight widział, jak na parkiecie u „Snuffy'ego” chłopak uderzył dziewczynę w twarz, po czym chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz, oparł się o samochód i jak dziecko wybuchnął płaczem. Szlochał tak rozpaczliwie, że zamarkał sobie cały przód koszuli. Slight zapytał go, co się stało. Podczas tańca dziewczyna nakrzyzczała na niego, ale nie pamiętał już, za co. Powiedział: „Chłopie, ona nic nie rozumie. Po prostu nie rozumie, jak bardzo sprawy mogą być popieprzone”. Slight dłuższą chwilę przyglądał się płaczącemu chłopakowi. Cóż miał powiedzieć facetowi, który beczał jak bóbr, przed chwilą o mało nie wybił swojej dziewczynie zębów i chętnie zrobiłby to samo jemu.

Później spotkał tego chłopaka w kantine, a on podziękował mu za to, że pojawił się wtedy na parkingu. Slight poradził mu, by zapomniał o całej sprawie. W kilka dni później wyznał, że pogodził się z dziewczyną, wynajęli pokój w motelu w Stony Point i przez całą noc pieprzyli się jak króliki. Belkotał o pieprzeniu w brzuch, pieprzeniu w tyłek, pieprzeniu w cycki, pieprzeniu w łokieć, o ssaniu palców u nóg, o pieprzeniu się na stojąco, na siedząco, na toaletce, w wannie... i tak dalej, i tak dalej. W końcu Slight zostawił go i odszedł, a on wciąż mamrotał o sobie, co zrobi w następny weekend.

Rok akademicki 67/68 pełen był podobnych zdarzeń i scen. W tydzień po zakończeniu przez Slighta marszów karnych zamordowano Bobby'ego Kennedy'ego. Obaj z Buckiem Leroyem całą noc oglądali relacje w telewizji. Kadeci nie żywili sympatii do Kennedy'ego. Następnego dnia wielu z nich twierdziło, że Kennedy sam prosił się o taki los. W wyniku jego śmierci kadeci odbyli lot eleganckim samolotem pasażerskim, gdyż C-141 trzymano w pogotowiu, by w razie czego przewieźć żołnierzy do Detroit i Nowego Jorku, gdzie lada chwila mogły wybuchnąć zamieszki w gettach, tak jak po śmierci Martina

Luthera Kinga, kolejnej postaci, która nie cieszyła się sympatią kadetów.

Zdaniem Slaighta i Bucka, Bobby Kennedy dawał cię nadziei, że wprawi w ruch mechanizm, który zatrzymał się pięć lat wcześniej, w dniu, kiedy zginął jego brat, prezydent. Teraz Robert Kennedy też nie żył, a gazety, niczym horda psów polujących na króliki, rzuciły się na Gene'a McCarthy'ego, w zamiarze stworzenia elektoratowi, który przysypiał z piwem przed telewizorami, oglądając w pełnych kolorach sceny z obłęzenia Kesong\*, wizji liberalnego przywódcy. Rok 1968 był żalosny, pełen żalonych wydarzeń, żalonych kampanii prowadzonych przez bandę żalonych polityków wygadujących żalodne bzdety o wojnie.

\* Miasto w południowej części Korei Północnej, gdzie podczas wojny koreańskiej rozpoczęły się rokowania stron walczących, przeniesione wkrótce do Phanmundzomu (przyp. tłum.).

Mogłoby to być wzruszające, gdyby nie było śmieszne. Zaledwie dwa lata wcześniej, w roku 1966, West Point przyciągał powszechną uwagę, studenci tej uczelni dostawali w barze kielicha za darmo, a w samolocie bez trudu mogli przygruchiwać sobie siedzącą obok panienkę. Teraz wszystko uległo radykalnej zmianie. Dwudziestego szóstego czerwca 1968 roku grupa rockowa Velvet Underground grała w zadymionym nowojorskim klubie o nazwie „Plastic Explode Inevitable”. Pięćdziesiąt mil w górę Hudsonu West Point znów przygotowywał się do mającego się rozpocząć za tydzień pierwszego dnia „chlewni”. Oba te miejsca były za blisko siebie, a otaczająca je przestrzeń tak naelektryzowana, że tylko seks mógł rozładować napięcie. Prasa podchwyciła temat i ukuła hasło „rewolucja seksualna”: Żadnych hamulców w stosunkach męsko-damskich, żadnych tui-tui-tui-tui. Tylko zrzucać lachy i pierdolić się do upadłego. Wszystko dozwolone.

Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, stary porządek walił się, a jego miejsce zajmował chaos i anarchia. Wszystko stawało się nijakie, nawet seks. Taki obrót sprawy kadeci przyjęli z

ogromnym entuzjazmem. Co mieli do stracenia? Dziewictwo?

Dzięki Bogu na przepustkach West Point nie miał nic do gadania. Dzięki Bogu za to, że wymyślił pieprzenie się.

## 11.

W drzwiach sypialni pojawiła się Irit Dov z grzankami i dwiema filiżankami kawy na wiklinowej tacy. Miała na sobie cienki bawełniany szlafrok, przewiązany w taliu paskiem. Czarne włosy spadały jej na ramiona, okrywając cieniem twarz i piersi.

- Ry Slaughter! Otwórz oczy! Obudź się, ty rozleniwiony potworze! W pokoju jest ciemno jak o północy. Wstań i odbierz ode mnie tacę. Nie będę przecież trzymać jej w nieskończoność.

Mówiła wesołym, żartobliwym tonem, z uśmiechem. Beształa Slaughtera za to, że wyleguje się w piernatach, podczas gdy ona musi harować w kuchni, przygotowując śniadanie. Tak działo się każdego ranka. On chciał spać długo, żeby nadrobić wszystkie wczesnoporanne pobudki w akademii. Ona zrywała się wcześniej, szła do łazienki i już ciągnęło ją do miasta; jakby nie mieli chwili do stracenia, jakby miasto mogło im uciec, jakby mogli pozamykać muzea i sklepy, zanim uda się jej wyciągnąć Slaughtera z łóżka i z domu. Zazwyczaj sprawę załatwiali polubownie. Irit pozwalała mu pospać trochę dłużej, a sama w tym czasie brała kąpiel i robiła śniadanie. Później już bezceremonialnie wypychała go z domu i szli do parku lub w jakiś inne, ustalone wcześniej miejsce.

Ciągle dobijali jakichś targów.

Ty pozwolisz mi trochę dłużej pospać, a ja zabiorę cię później do Metropolitan.

Zgoda, jeśli pójdziemy do „Five Spot” posłuchać jazzu, ja przygotuję dziś kolację.

Takie to były targi.

W kilka lat później taki styl życia nazywano wyzwolonym. Zupełnie jakby dobijanie podobnych targów stanowić miało miarę wolności dla obu stron. Irit Dov i Ry Slight znajdowali w tym wcale nie wolność, lecz komfort. Zdarzały się między nimi chwile napięcia, gdyż oboje mieli bardzo silne osobowości, lecz wszelkie spory załatwiali metodą handlu wymiennego, wymieniali się doświadczeniem i obowiązkami, a szczególnie dopracowywali w łóżku.

- Wstawaj, przebrzydły śpiochu! Jak nazywają u was takich jak ty? Kanapowiec? Pamiętam. Twój kumpel Leroy nieustannie wyzywa cię od kanapowców. No, usiądź, kanapowcu. Zjedz śniadanie. Napij się kawy. Czeka nas długi i pracowity dzień!

Slight odebrał tacę, a Irit usiadła na brzegu łóżka. Nie spał, lecz rozbudzony był dopiero w jednej trzeciej, wyczerpany i znużony trzytygodniowymi podróżami na drewnianych ławkach odkrytych półciężarówek i wdychaniem kurzu wzbijanego przez auta posuwające się w przodzie kolumny. Dzień po dniu wysłuchiwali wykładów na temat cudów-niewidów współczesnej wojny - „elektronicznego pola walki”, jak to nazywano - a następnie jechali przekłętymi półciężarówkami na jakiś zapomniany przez Boga i ludzi poligon, gdzie obserwowali ostrzał artyleryjski. W pełni uzbrojony batalion atakował jakieś niebronione obiekty, wszystkie te pojazdy bojowe i czołgi, kompanie żołnierzy strzelających ostrą amunicją, rakiety świetlne, czerwone i żółte, tumany kurzu, miotacze ognia, zasłony dymne. Cholerna demonstracja siły ognia bardziej przypominała festyn z okazji święta Czwartego Lipca niż manewry. Kadeci ze wszystkich klas ostatniego roku West Point mieli okazję obejrzeć horrendalnie kosztowne fajerwerki, siedząc wygodnie na niskich ławkach ustawionych na zboczach wzgórz. Później wracali do półciężarówek i łykając kurz, jechali do klubu oficerskiego, gdzie pili na umór, udając, że wszystko to było naprawdę.

Trzy bite tygodnie spędzone na ciężarówkach, tygodnie wypełnione kurzem bezdroży i wykładami; C-141, prawdziwe bomby, pociski i gorzała. Slight czuł się tak, jakby ktoś

poprzypalał mu uszy lutlampą, a następnie wsadził mu ją do ust i skierowali płomień do gardła. Język miał wyschnięty na wiór, oczy piekły, jakby w nie ktoś sypnął piaskiem.

- Ej, dzięki - zdołał wykrztusić, kiedy Irit wsunęła mu do ust kawałek chrupiącej grzanki posmarowanej masłem i dżemem, a następnie wręczyła kubek z gorącą, czarną jak smoła kawą.

Przełknął grzankę, popił kawą, po czym zerknął na siedzącą obok niego na łóżku dziewczynę. Patrzyła na niego, jakby był ciężko chory, i chciała upewnić się, czy wszystko grzecznie przełknął. Znów to samo. Te same uprzejmości. Zupełnie jakby wiedziała, jaką piramidalną głupotą była Wyprawa Ostatniego Roczniaka; ale skąd mogła to wiedzieć? Po prostu siedziała obok niego i patrzyła nań zaboreczo. Byli ze sobą po raz pierwszy od czasu, kiedy w maju Slaughter rozpoczął karne marsze. Czuł się trochę nieswojo, gdy tak siedziała nieruchomo, nie jadła śniadania, tylko świdrowała go wzrokiem. Patrzyła nań nerwowo... i pożydliwie. Slaughter pił kawę. Irit Dov czekała.

Była śniada jak Arabka i wysoka; bez butów mierzyła blisko sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Ciemną karnację odziedziczyła po semickich praprzodkach wywodzących się z pustynnej krainy. Irit pochodziła z Izraela. Była rodowitą Izraelitką, urodzoną i wychowaną w tamtym kraju, a jej ród korzeniami sięgał czasów biblijnych i Ziemi Obiecanej. Z tego powodu Slaughter czuł się trochę nieswojo i odczuwał lekki niepokój. Miała taką... prezencję, taką... zuchwałość, jakiej Slaughter nie spotykał u innych kobiet, czy to studentek, czy lasek z East Side, z którymi w ostatnich latach romansował. Irit Dov miała klasę, widoczną na pierwszy rzut oka. Twarz o szerokich kościach policzkowych, jak u Indian z Ameryki Północnej, wąski orli nos, arystokratyczne nozdrza. To właśnie nos nadawał wyraz całej twarzy. Ciało miała szczupłe. Ramiona pływaczki, płaski brzuch lekkoatletki, a piersi - pełne krągłe - w niczym nie przypominały płaskich biustów stewardes i zawodowych modelek. Miała szerokie biodra, długie nogi i małe stopy.

Ale najbardziej niezwykle, niespotykane u amerykańskich kobiet, były palce: długie, kościste, z wyraźnie odznaczającymi się kłykcami, dłonie wąskie, prawie szerokości nadgarstka. Palce patrycjuszowskie - mawiano w dawnych czasach. Dłonie i palce Irit przypominały Slaightowi jego babkę... arystokratkę z Wirginii. Irit Dov zdawała sobie sprawę z urody własnych rąk i wyjątkowo dbała o paznokcie. Malowała je na głęboki czerwony kolor, barwę burgunda. Paznokcie te nieustannie przyciągały jej wzrok, a tym samym wzrok każdego, kto mimowolnie podążył za jej spojrzeniem. Trwało to chwilę i znów przenosił wzrok na jej oczy. Oczy miała czarne, tak jak włosy, i nieruchome. Była wyjątkowo piękną kobietą. Nawet w Nowym Jorku wyróżniała się w tłumie. W West Point krążyły o niej wprost legendy.

- Ry, kochajmy się - powiedziała Irit Dov, kiedy Slaight wypił ostatni łyk kawy.

Popatrzył jej w twarz. Była ciemna, orla, okolona puklami kruczoczarnych włosów.

- Teraz? - zapytał. - Myślałem, że chcesz wyciągnąć mnie z domu.

- Zamknij się, niemądry chłopcze - odrzekła i postawiła tacę z resztkami śniadania na podłodze obok łóżka.

Była o trzy lata starsza od Slaighta, miała całe dwadzieścia cztery lata, i dlatego często zwracała się do niego „chłopcze”. Było to bardzo pieśczośliwe, lecz trochę Slaighta krępowało. Jego ojciec też tak do niego mówił. Teraz już nie, teraz zwracał się do syna po imieniu, Ry. Tak jakby jego syn przestał być „chłopcem”, jakby chciał w ten sposób zaznaczyć, że nie są już tak sobie bliscy, odkąd Ry opuścił rodzinny dom i stał się mężczyzną. Nie potrafił jednak przemóc się, podejść do ojca i powiedzieć: „Tato, jeśli chcesz, możesz w dalszym ciągu nazywać mnie chłopcem... Wiesz, to jakby moje drugie imię”. Podobnie nie potrafił przemóc się i poprosić Irit, by nie mówiła do niego „chłopcze”, ponieważ przypominało mu to niezalutwioną sprawę z ojcem.

- No, leniwy chłopcze. Kochaj się ze mną.

Położyła się na plecach, rozwiązała pasek szlafroka i przyciągnęła Slaighta do siebie. Skórę miała smagłą, barwy cedru,



brązową, szczególną, wyjątkową... barwę tę miało całe jej ciało, od stóp do głów... nawet piersi, zupełnie jakby opalała się nago, choć wcale tego nie robiła; taki był jej naturalny kolor. Otaczała ją jakaś osobliwa aura, prawie namacalna, upajająca. Przynęła się bliżej Slighta i czekała, dotykała stopą jego stopy, szturchała go dużym palcem, ocierała się kostką o jego łydkę, wciąż jeszcze nakrytą koldrą. Slight leżał na boku wsparty na łokciu i przyglądał się Irit... zdumiewającej kobiecie, zdumiewającej jak wszyscy diabli, wysokiej, beztroskiej, energicznej, smagłej, obcej, i tak ślicznej, tak seksownej.

- Chcesz, abym zrobił ci oddech i ramiona? - zapytał, pochylając się nad nią i zatapiając wzrok w czarną toń jej oczu.

- Tak, Ry. Zaczynj od oddechu, robisz to tak rozkosznie...

Zapewne zapomni o wyjściu z domu aż do południa.

„Robienie oddechu” było czymś, co robili sobie wzajemnie; przychodziło im to z naturalną łatwością, jak pocałunki. Potrzebowali tego, bo oboje stale byli okropnie spięci. Irit z powodu swego butikiu na Madison, specjalizującego się w modzie izraelskiej, z ciuchami głównie przez nią zaprojektowanymi, a Slight... cóż, on był spięty przez cały czas. W West Point każdy był spięty.

Slight usiadł, włożył jej ręce pod pachy i ułożył ją na łóżku po przekątnej - stopy miała w jednym rogu, a głowę i ramiona w przeciwnym. Usiadł po turecku za jej głową i popatrzył w dół, prosto w, czarne oczy Irit. Na twarzy dziewczyny malował się spokojny, pełen zadowolenia uśmiech. Slight pomyślał, że ona to sobie dokładnie zaplanowała. Od samego rana, krzątając się w kuchni, mrucząc coś pod nosem i robiąc śniadanie, o niczym innym nie myślała...

Lewą dłoń położył płasko na jej mostku, palcami dotykając przepony, a na niej - prawą pięść.

- Oddychaj - polecił i Irit wzięła głęboki oddech.

Podczas wydechu Slight mocno nacisnął dłońmi jej klatkę piersiową, a gdy Irit nabierała powietrza w płuca, zwolnił nacisk.

- Chcę usłyszeć. Oddychaj.

Irit głośno wypuściła powietrze z płuc. Slight mocniej nacisnął na mostek. Wdech. Nacisk. Wydech. Wdech. Nacisk. Aaaaahhh. Wdech. Nacisk. Aaaaahhh.

- Głośniej, nie słyszę.

Skinęła głową. Aaaaahhh! Tym razem wydech był znacznie głębszy. Slight poczuł, jak jego dłonie wprost zapadają się razem z jej klatką piersiową, gdy rozluźniła mięśnie przepony. Wdech. Nacisk. Aaaaahhh. Jego dłoń zapadała się coraz głębiej, odnosił wrażenie, że naciska na gąbkę, uległą jego dłońmi. Wdech. Nacisk. Aaaaahhh! Jezu, udało się! Ostatnie, głębokie westchnięcie sygnalizowało, że Irit ostatecznie poddała się, hipnotyczny, upajający rytm rozluźnił ją, rozkruszył; nacisk, wdech, nacisk, wdech i wreszcie nadeszło pełne, całkowite rozluźnienie. Irit miała zamknięte oczy, leżała nieruchomo i oddychała głęboko, regularnie, z każdym wdechem lekko zginała palce w odruchowej reakcji centralnego systemu nerwowego. Slight wrócił do rzeczywistości. Chryste, nawet nie wiedział, jak długo prowadzili tę dziwną praktykę. Zerknął przez ramię na radio-budzik. „Robienie oddechu” rozpoczęli trzydzieści minut temu... Czas po prostu przeleciał, czas w ogóle przestał istnieć, zarówno Slight, jak i Irit zapadli w hipnotyczny trans...

Przestał uciskać klatkę piersiową dziewczyny i przystąpił do masażu. Mięśnie nad piersiami były napięte. Irit oddychała. Slight masował... Po chwili rozluźniła mięśnie. Przesunął ręce pod ramiona Irit, podciągnął ją lekko, wsunął dłonie pod jej plecy i gdy Irit robiła wydech, palcami obu dłoni naciskał mięśnie wzdłuż kręgosłupa. Przy wdechu przesuwał palce w górę, do szyi. Zaczął masować jej kark i podstawę czaszki, naciskał delikatnie ścięgienka w jej szyi, naciskał, pocierał, naciskał, pocierał, aż mięśnie karku również zaczęły się rozluźniać. Przesunął palce i zaczął masować mięśnie po obu stronach szyi, aż poczuł, że puszczają, rozluźniają się. Wówczas puścił jej głowę, a gdy ramiona Irit opadły, musnął dłońmi jej obojczyki i zaczął rozciągać i masować ramiona, ugniatając, szarpiąc, unosząc i wykręcając barki we wszystkie strony. Potem masowanie mięśni przy kręgosłupie, karku i ponownie odciąganie głowy od ramion. Tym razem mięśnie puściły natychmiast i szyja

wyciągnęła się jak u żółwia, kiedy wysuwa głowę ze skorupy... Ciągnął, ugniatał, masował kciukami podstawę czaszki, przenośli dłonie na mostek i zaczynał od początku: wdech i nacisk, aaaaaahhh! nacisk... W tym samym rytmie. Masowanie, uciśkanie skóry, mięśni, kości, ścięgien, palce w jej włosach i regularne aaaaaahhh! owiewające mu twarz niczym fontanna, fontanna rozkoszy i spełnienia. Jezu!

Próbował przypomnieć sobie, kiedy rozpoczęły te ćwiczenia, ale to nie była odpowiednia chwila na takie refleksje. Mógł tylko oddychać i słuchać, oddychać i słuchać, aż w końcu zaczęły mu się zamykać powieki.

- Ej, Ry. - Gwałtownie otworzył oczy. Irit wpatrywała się w niego. Była naga, szlafrok rozsunał się na boki. - Ej! Ty! Kocham cię. Wiesz o tym?

- Wiem.

Przyciągnął do siebie jej twarz i pocałował Irit w usta. Zrobił koziołka przez prawe ramię i znalazł się obok niej, objął ją i przycisnął tors do jej piersi. Pocałował ją w kark. Irit była lekko spocona i pachniała mydłem. Połączyli usta w namiętym pocałunku, ich języki spotkały się. Irit miała język ostro zakończony i szorstki jak u kota. Delikatnie gryzł jej wargi, wsuwał jej do ust język. Irit to uwielbiała. Jezu, mogła godzinami leżeć obok Slaughta i całować go, całować, lizać po policzkach, po całej twarzy...

Wyciągnął się wygodniej na łóżku i mocniej przytulił do Irit. Czuł na torsie i żebrach dotyk jej piersi. Irit wodziła językiem po delikatnej skórze szyi Slaughta, tuż pod grdyką, po obojczykach i niżej, aż do mostka. Objął jej głowę ramionami i zanurzył twarz we włosy.

- Irit, ty cholerna lasko. Cudownie pachniesz.

Czuł na wilgotnym torsie jej oddech, ziębiący miejsca, które całowała. Głośne cmok... Rozkoszne uczucie sprawiło, że po ciele Slaughta przebiegł dreszcz, coś ścisnęło go w brzuchu, od pasa w dół poczuł falę gorąca. Stopy mu zesztyniały i zziębły, jakby owiał je zimny wiatr i wzburzył kołdrę, na której leżeli, rozwiął zasłony w oknach. Czuł się... Jezu... tak cholernie... Jezu... cudownie. Irit oderwała głowę od jego piersi i pocałowała go w usta.

- Ry - szepnęła.
- Tak?
- Zdejmij mi szlafrok.

Ściągnął cienki materiał z jednego ramienia, Irit odwróciła się na drugi bok i po chwili była już zupełnie naga. W słonecznym świetle wpadającym do sypialni przez korytarz z salonu jej skóra lśniła białym blaskiem. Slaughter ukląkł i zaczął językiem pieścić jej pępek. Irit zadrżała, uniosła zgięte w kolanach nogi, chwyciła się za obie kostki i zaczęła chichotać. Slaughter, z dłońmi na jej piersiach, wodził językiem po brzuchu i pępku Irit.

- Przestań, wariacie! - zawołała. - To łaskocze.
- Wiem - odparł i usiadł na piętach.
- Wracaj - zarządziła; sutki miała twarde i naprężone.
- Popatrz na małe żołnierzyki - powiedział Slaughter, wskazując nabrzmiałe sutki. - Stoją na baczność.

Wybuchnął śmiechem.

- Chodź do mnie, mój amerykański chłopaku - powiedziała Dov, udając śmiertelną powagę.

Zwracała się do niego i w taki sposób: „mój amerykański chłopaku”, jakby na każdym z trzech kontynentów miała jakiegoś chłopaka; i zapewne miała. Bardzo to Slaughter wkurzało. W takich chwilach odnosił wrażenie, że wypełnia jej życie tylko częściowo, a chciał ją mieć wyłącznie dla siebie. Już się nie uśmiechał. Siedział na piętach ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, kiwał się na boki i wpatrywał w przestrzeń.

Znali się od ponad roku; spotykali się tak często, jak na to pozwalała służba w West Point. Niemniej Slaughter był najgłębiej przekonany, że kocha Irit; czymkolwiek była miłość w czerwcu 1968 roku, tego „lata miłości”. Slaughter odnosił wrażenie, że to, co ich łączy, jest niezwykle kruche, jak wypuszczony w powietrze balon, który może zaraz pęknąć.

W roku 1968 o gadanie i pieprzeniu było najłatwiej. Wydarzenia zdawały się tworzyć iluzję wolności. Kiedyś traciło się mnóstwo czasu i energii, błędziło niezdarnie po omacku, dziś wszystko wydawało się łatwe i proste. Na pierwszej randce poszli do mieszkania Irit, radośnie wskoczyli do łóżka i od razu

zaczęli się szaleńczo kochać, jakby żadne z nich nie miało nic do stracenia.

Slaight, pełen obaw, że Irit tylko się nim bawi, że jest jedynie jej nowojorskim kochankiem na trasie wędrówek między Tel Awiwem, Paryżem a Stanami Zjednoczonymi. I ona, dziewczyna śmiertelnie zmęczona tempem życia, jakie narzucały jej prowadzone interesy. W chwili gdy spotkała Slaighta, była niczym powtórnie hartowana stal. Kiedyś Slaight zniszczył nóż myśliwski, rozgrzewając go do czerwoności w obozowym ognisku, a następnie wkładając do zimnej wody. Klinga nigdy już nie trzymała ostrości. Stal dwukrotnie hartowana traci swą twardość. Taką właśnie stal przypominała Irit, gdy się spotkali. Ktoś ją bardzo skrzywdził. Slaight wiedział, że musi okazywać jej wiele czułości, ponieważ nikt inny tego nie robił.

Irit przesunęła się, położyła mu głowę na kolanach i popatrzyła głęboko w oczy. Czar prysł. Slaight był zły, a jednocześnie niebywale rad, bo podjął decyzję. Mocno przytulił jej głowę do piersi.

- Irit? - powiedział cicho.

- Tak?

- Czy wiesz, że cię kocham?

- Wiem, niemądry chłopcze.

- Daj sobie spokój z tym „niemądrym chłopcem”. Do licha, kocham cię. Czy to dociera do ciebie?

- Naturalnie. Kochasz mnie. Rozumiem. Już mi to mówiłeś. Nie po raz pierwszy się kochamy. - Uśmiechnęła się. - Ja też ciebie kocham. Co cię gryzie, Ry?

- Nic mnie nie gryzie. Chciałem po prostu postawić sprawę otwarcie. Chcę ci powiedzieć... muszę ci powiedzieć, jak bardzo... cholera jasna, jak bardzo cię kocham, Irit. Gniołem to w sobie, ukrywałem. Kocham cię. Po prostu kocham. Chcę być twoim facetem. Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć... polegać na mnie. Jezu! Czuję się jak ostatni palant, wygadując te bzdury. Nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie.

- Wcale nie wprawiasz mnie w zakłopotanie, Ry. To, co mówisz, jest piękne...

- Nie wiem, Irit. Boję się.

- Czego?  
- Tego, że coś się wydarzy, a ty nie będziesz wiedziała, jak bardzo cię kocham. Jesteś mi bardzo bliska, Irit, czuję, że łączą nas silne więzy. Słuchałem dziś rano twego oddechu, patrzyłem, jak unoszą się i opadają twoje piersi... Jezu, to jakieś wariactwo!

- Tak, Ry, wiem.

- Kiedyś napisałem wiersz. Wspominałem ci o tym? Napisałem go w czasach rekruckich dla kolegi, z którym dzieliłem pokój. Były urodziny jego dziewczyny. Koniecznie chciał wysłać jej z tej okazji coś szczególnego, pomyślał o wierszu, ale nie potrafił zawrzeć w nim tego, co czuł. Zaofiarowałem mu swoją pomoc. I napisałem. Siedziałem w pokoju w West Point i pisałem wiersz dla dziewczyny, której nie znałem. Dziwne, to było dawno, przed trzema laty, a ja wciąż pamiętam jedną linijkę tego wiersza. Mówiła o miłości: „Chciałbym już przerwać ten nieustanny atak”. Oczywiście, nie znałem tamtej dziewczyny i nie wiedziałem, co to jest miłość, ale słowo „atak” było tu na miejscu. Miłość wydawała mi się czymś na podobieństwo wojny, bitwą, którą trzeba wygrać. Wiesz, co mam na myśli?

Irit mocniej objęła go w pasie, poczuł na plecach jej paznokcie.

- Wiem - szepnęła. - Bardzo dobrze to rozumiem.

- Do licha, nie chcę już więcej zwyciężać. Poddam się. Rozumiesz?

- Tak, ja...

- Pragnę jedynie napawać się każdą chwilą, jaką spędzamy ze sobą. Chcę dawać ci szczęście, troszczyć się o ciebie. Chcę cię kochać tak bardzo... Jezu, Irit. Nie wiem, jak to powiedzieć.

- Więc nie mów. - Jeszcze mocniej przytuliła się do Slaughter. - Po prostu kochaj mnie. Potrzebuję cię, Ry. Potrzebuję.

Slaughter położył się na Irit; jego penis wsunął się między jej uda, wszedł w jej gorące, wilgotne wnętrze. Niczym najdelikatniejszy całun spowił ich zapach potu i wydzielin z genitaliów. Slaughter poruszał wolno, rytmicznie pośladkami, w przód i w tył, w przód i w tył, czując na członku uścisk pochwy Irit. Ona

oplotła go kurczowo ramionami i tuliła do siebie. Dotykali się głowami, wsłuchiwali w swe urywane, chrapliwe oddechy.

Poruszała się pod Slaughterem, wiła się, zaciskała i rozluźniała mięśnie nóg, ugiwała i prostowała kolana, uderzając piętami w łóżko z głuchym dźwiękiem. W pewnej chwili znalazła się na nim. Slaughter nie spuszczał z niej wzroku. Klęczała wyprostowana jak trzcina, unosila się i opadała w hipnotycznym rytmie, oddychała równo i głęboko. Ujął w dłonie jej piersi i pieścił sutki. Ona pochylała się coraz niżej i niżej, aż w końcu opadła całym ciałem na jego tors, objęła ramionami jego głowę i mocno przytuliła.

Ich wilgotne od potu brzuchy, którymi do siebie przylegali, przy każdym ruchu wydawały mlaszczący dźwięk, jak fale jeziora bijące o belki przystani. W miarę jak ruchy stawały się coraz bardziej gorączkowe, dźwięk przybierał na sile. On poruszał biodrami szybciej i szybciej. Irit puściła jego głowę, odwróciła się na plecy, tak że Slaughter znów znalazł się na niej. Objęła go w pasie nogami. On wsparł się rękami na poduszce i spoglądał jej w twarz. Oczy miała szeroko otwarte, na policzki padała osobliwa poświata napływająca do sypialni z przedpokojem.

- Ry - szepnęła. - Kochaj mnie.

Slaughter zamknął oczy. Pod powiekami majaczyła mu twarz Irit. Wciąż, jak płynące z jakiejś pustki, dźwięczały jej słowa: „Ry... kochaj mnie...” Odnosił wrażenie, że Irit krzyczy te słowa, choć tak naprawdę były one bezdźwięczne. Docierał doń jedynie jej oddech; głęboki, szybki. Znów otworzył oczy.

Wysunął penisa z pochwy i pocierał nim małą przestrzeń wielkości półdolarówki. Doskonale znał to miejsce. Kiedyś dokładnie je sobie obejrzał. Było śliczne, o czym nie omieszkał powiedzieć Irit. Byli pod prysznicem i strasznie ją tym zawstydział. Klęczał, rozchyłał jej wargi i zaglądał w nie. Nie znosił słowa „lehtaczka”, więc nazywał ją „cuksem”; bardzo rozśmieszył Irit, kiedy powiedział, że słowem tym kadeci określają cukierki. Błona przy lehtaczce była niezwykle delikatna i Slaughter pocierał ją czubkiem penisa.

- Ry... kochany... ja...

Irit mówiła urywanym, zdyszonym szeptem. Oddychała coraz szybciej, gdy wszedł w nią na całą długość penisa. Ich włosy łonowe znów się ze sobą zetknęły. Mocno ją objął i poruszał się coraz szybciej. Przyszło spełnienie. Ona konwulsyjnie drżała pod nim, tuliła do siebie, twarz miała wykrzywioną, czoło zmarszczone. Błysnęła mu myśl, że czymkolwiek to było, stało się; seks, miłość, cokolwiek... W krótkiej chwili upajającej, aż bolesnej rozkoszy w głowie nieustannie dźwięczało mu słowo „miłość”. Irit ujęła jego jądra i wyprężyła ciało w łuk, opierając się jedynie na barkach i stopach; drżała, dygotała jak w febrze, kiedy trwali w chwiejnej równowadze, połączeni jedynie biodrami. Slight uniósł głowę i popatrzył na Irit. I wtedy uświadomił sobie, że ona nie wstrzymuje oddechu. Dotąd zawsze tak robiła. A teraz oddychała. Od kiedy... ile minut... jak długo to trwało?

Opadli na posłanie i leżeli spleceni ramionami. Irit sięgnęła po małą poduszczkę, położyła ją sobie na piersiach i zamknęła oczy. Pościel była wzburzona. Slight wyrównał prześcieradło i rozpostarł kołdrę. Położył się i obserwował Irit Dov. Piersi wciąż miała czerwone, sutki naprężone.

Jezu!

Kiedy wrócił regularny oddech, wyciągnął się wygodnie w pościeli. Teraz z godzinę się prześpią. Kiedy się obudzą, Irit będzie z niego kpić, że tak schludnie wyrównał pościel. On chwyci ją za pukle czarnych włosów i zamknie jej usta gorącym pocałunkiem. Zawsze tak robili; żartując i docinając sobie nawzajem, odpędzali napięcie. Zerknął na radiobudzik. Wskazywał dwunastą trzydzieści. A więc zabawiali się w łóżku trzy godziny; nie było w tym nic nadzwyczajnego. Slight położył się na plecach i założył ręce pod głowę. Irit już zapadła w głęboki sen. Pod baldachimem siwego jedwabiu wyglądała bardzo delikatnie i krucho. Obserwował ją z uwagą. Po raz pierwszy bał się zasnąć; bał się, że przez sen przekreśli się na bok i nie chcąc zgnieć sobą delikatną istotę leżącą obok niego.

„Jezu, osiemdziesiąt kilogramów żywej wagi - pomyślał. - Co za głupoty przychodzą mi do głowy?”



Czuł, że od teraz sprawy między nim a Irit Dov ulegną radykalnej zmianie. Czuł to... Nie miał zielonego pojęcia, jakie to będą zmiany... co ma się wydarzyć... zasnął.

## 12.

Do lata roku 1968 Irit Dov zdążyła osiągnąć sukces zawodowy, jakiego mogłaby jej pozazdrościć kobieta dwa razy od niej starsza. Była właścicielką butików na Madison Avenue, znaną projektantką mody oraz współwłaścicielką fabryki w Izraelu, produkującej gotowe kolekcje jesienne i wiosenne, a także stroje sportowe dla kobiet. Najlepsze jej jesienne kolekcje, dwuczęściowe suknie wieczorowe w odcieniach beżu oraz kolorze morskim, zamieścił na sześciostronicowej barwnej wkładce magazyn mody „Vogue”, w dziale zatytułowanym: „Z »Vogue« dookoła świata”. Francuski magazyn „Elle” w grudniu 1967 roku określił Irit Dov jako jedną z „głównych projektantek mody na światowej scenie - dziewczynę z werwą, dziewczynę, na którą warto zwrócić uwagę”. Większość swoich kreacji sprzedawała za pośrednictwem dwóch butików w Tel Awiwie oraz w małym sklepiku przy nowojorskiej Madison Avenue. W miarę jak jej opularność rosła, niewielkie partie towaru zaczęły zamawiać u niej takie sklepy, jak Saks, Bloomingdale's i Neiman-Marcus. W roku 1968 Irit Dov zarobiła brutto milion dolarów; na czysto sto tysięcy. W wieku dwudziestu czterech lat była kobietą bardzo zamożną.

Przez cztery lata wspierał ją finansowo - co pozwoliło jej na otwarcie pierwszego butików w Tel Awiwie - jej dziadek, Shlomo Dov, izraelski handlarz diamentami, należący do Dwustu, nieformalnej ekskluzywnej grupy osób, które co miesiąc otrzymywały z mieszczącej się w Johannesburgu firmy De Beers Consolidated Mines Ltd, niewielką skórzaną szkatułkę zawierającą nieszlifowane diamenty, warte - w zależności od roku - jeden,

pięć, a nawet i więcej milionów dolarów. Shlomo Dov prowadził swój interes na ulicy Czterdziestej Siódmej w Nowym Jorku, na dwóch najwyższych piętrach wielkiego budynku, skąd mężczyźni w czarnych garniturach przynosili w czarnych skórzanych torbach z jednej strony ulicy na drugą najtwardszą walutę świata - diamenty. Shlomo Dov kupował diamenty od De Beers po cenach, jakich to przedsiębiorstwo żądało, nie zaglądnijac nawet do skórzanych toreb. Takie zwyczaje panowały na rynku diamentów. De Beers posiadało diamenty i De Beers dyktowało ceny.

Część zakupionych od De Beers nieoszlifowanych diamentów sprzedawał na giełdzie w Antwerpii w Belgii, a część zostawiał dla siebie. W Tel Awiwie diamenty były rozdrabniane i segregowane przez ekspertów zatrudnianych przez dziadka Irit. Ostatnie słowo, niezależnie od wielkości kamienia, zawsze miał Shlomo Dov. Diamenty cięto na dwóch najwyższych piętrach wielkiego budynku w handlowej dzielnicy Tel Awiwu. Z Izraela diamenty przewożono w czarnych skórzanych torbach do Londynu, Antwerpii i Nowego Jorku. Niektóre z tych transportów docierały na ulicę Zachodnią Czterdziestą Siódmą, gdzie sprzedawano je bez długich i zażartych targów, tak charakterystycznych dla tej branży. Shlomo Dov sprzedawał diamenty po swojej cenie i nikt się nie targował, gdyż wszyscy wiedzieli, że należy on do Dwustu. Dostarczał tylko najlepsze kamienie, bez względu na to, gdzie były szlifowane i jaką miały wielkość - czy były to małe klejnoty, jednokaratowe lub mniejsze, czy też większe i bardzo drogie. Shlomo Dov cieszył się powszechnym szacunkiem.

Jego syn Avi, zdrobnienie od Abraham, był generałem w armii izraelskiej, dowódcą *ugada*, jednostki do zadań specjalnych, stacjonującej na granicy z Jordanią. W roku 1946, jako młody człowiek, dołączył do Palmach, partyzantów Haganah, nielegalnej milicji żydowskiej w okupowanej przez Brytyjczyków Palestynie. Po wycofaniu się Anglików w roku 1948 Avi Dov został dowódcą plutonu w Palmach, który później wszedł w skład regularnej armii izraelskiej.

Kadra zawodowa wojska izraelskiego jest bardzo skromna,

liczy tysiąc dwieście osób. Do roku 1968 większość zawodowych żołnierzy brała udział w czterech dużych wojnach: partyzanckiej przeciw Brytyjczykom i Arabom w latach 1946-1948, o niepodległość Izraela, sueskiej w roku 1956 oraz siedmiodniowej wojnie w roku 1967. Wszyscy izraelscy generałowie znają się. Avi Dov jest pośród nich najpopularniejszy. Należy do twórców słynnego Sto Pierwszego Batalionu, który na początku lat pięćdziesiątych, w odpowiedzi na ataki terrorystyczne Arabów skierowane przeciw Izraelowi, dokonywał wypadów antyterrorystycznych w strefie przygranicznej między Izraelem a Jordanią. Wielu wrogów państwa żydowskiego, a także niektórzy jego przyjaciele oskarżali Sto Pierwszy Batalion o działalność terrorystyczną. W wyniku akcji przeprowadzonych przez tę jednostkę zginęło wiele kobiet i dzieci.

Akcje batalionu niebywale podniosły reputację Aviego Dova. Kiedy w roku 1956 przeniesiono go do wojsk pancernych Izraela, dosłownie z dnia na dzień stał się chodzącą legendą. Wymyślił bowiem dziwaczny - niektórzy utrzymywali, że okrutny - rytuał promocji młodych poruczników wojsk pancernych. Porucznik stawał na wraku starego czołgu. Maszynę oblewano olejem napędowym i podpalano. Młody oficer składał przysięgę, stojąc pośród płomieni. Zeskoczyć mógł dopiero na dany rozkaz.

Irit Dov należała do tych, którzy Aviego Dova uważali za okrutnika. Mimo że jako nastolatka pełniła obowiązkową służbę w wojsku izraelskim, trafił ją - tak jak wielu młodych obywateli jej ojczyzny - problem, iż Izrael doczekał się na świecie opinii minimocarstwa opętanego obsesją militarnej potęgi, konkurującego z „Wielkimi Potęgami” o dominację na Środkowym Wschodzie. Jakkolwiek Irit bez wahania przyswoiła sobie socjalistyczne idee rządzącej Partii Pracy, niejednokrotnie zarzucała swemu ojcu „imperializm”, gdy słuchała jego opowieści o działaniach, jakie prowadził ze swymi przyjaciółmi z wojska, na wschodnim brzegu Jordanu oraz na Synaju - wielkiej pustyni, która oddziela południową granicę Izraela od strategicznego Kanalu Sueskiego. Później przyszedł czerwiec 1967 roku i rozwiął jej wątpliwości, zachodni Brzeg i Synaj stały się częścią Izraela.

Ani Aviego Dova, ani jego żony Dafne nie zdziwiło, kiedy ich córka w wieku dziewiętnastu lat pożyczyla od dziadka pieniądze i przy ruchliwej ulicy Deitzengof w Tel Awiwie otworzyła swój pierwszy butik. Nie zdziwiło ich też, gdy w cztery lata później wpływowa gazeta izraelska „Ha'aretz” napisała o niej jako o „jednym z naszych obywateli, dla których rynki całego świata stoją otworem”.

Irit była obywatelką Izraela, lecz kiedy za osiemset dolarów kupiła wizę wyjazdową i z lotniska Lod dwanaście razy w roku opuszczała kraj, Dowowie zrozumieli, że ich córka stała się obywatelką świata. Spędzała więcej czasu za granicą, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, niż w ojczystym kraju. Była *sabra*, osobą urodzoną w Izraelu, ale w 1968 roku wydawało się już, że dla ludzi pokroju ich córki zaczęła się nowa historia Żydów, kolejne dwa tysiące lat, a to bardzo smuciło rodziców Irit. Jakkolwiek generał Dov zgadzał się z doktryną wojskową Mosze Dajana - „oddzielić spryt Żydów od strategii i taktyki Izraela” - tęsknił za Izraelem bez dyskusji politycznych, jakie toczył z córką i kolegami z wojska. To właśnie wrodzony konserwatyzm sprawiał, że bardzo często przemowy do żołnierzy kończył zdaniem: „Nie możecie zapominać, że w pierwszej kolejności jesteście Żydami, a dopiero później żołnierzami”.

Irit Dov miała dwa apartamenty - jeden na rogu Madison i Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej w Nowym Jorku oraz niewielką pracownię na dachu budynku przy ulicy Hayarkon w Tel Awiwie, z której okien - między budowlami dwóch wielkich hoteli - widać było skrawek plaży. Oba te mieszkania nazywała gniazdkami, gdyż znajdowały się wysoko nad otaczającymi je budynkami, a poza tym sama myślała o sobie jak o „ptaszynie” - tak w slangu określano w Wielkiej Brytanii bardzo rzutkie kobiety nie-Angielki, takie jak modelka Jean Shrimpton, aktorka Julie Christie, piosenkarka Marianne Faithful. Irit lubiła krzepić się myślą, że projektuje stroje dla „ptaszyn” - luźne, powiewne, w niczym nieprzypominające sztywnych zbroi szytych przez innych projektantów. Kolekcje Irit były miękkie, bardzo kobiece, niczym druga skóra. Materiały - wełna lub bawełna - z których je szyla, przypominały ptasi puch. Ubiory

Irit odpowiadały szczególnemu rodzajowi kobiet. Właśnie „ptaszynom”.

Często chodziła do muzeów - w Paryżu do Luwru, w Nowym Jorku do Metropolitan - skąd czerpała inspiracje do swoich kreacji. Studiowała kreski i barwy, tak jak muzyk wsłuchuje się w linię melodyczną i tematy ze starych, dawno już zapomnianych płyt i nagrań. W Paryżu robiła szkice przed obrazami surrealistów, kubistów, impresjonistów - w nowojorskim Metropolitan stawała przed eksponatami sztuki staroegipskiej i szukała w nich natchnienia. Oglądała amerykańską telewizję, zwłaszcza American Bandstand, oraz chodziła na koncerty rockandrollowe do Fillmore East, pasjonowała się szczególnie muzyką funky.

Była to żmudna praca. Czasami godzinami wpatrywała się w jakiś obraz albo fragment pokrytej malowidłami ściany świątyni pochodzącej z Egiptu. Po prostu stała i patrzyła. Pewnego późnego popołudnia, tuż przed zamknięciem muzeum, zagadnął ją sam dyrektor i zaprosił na drinka do baru w hotelu Stanhope po przeciwnej stronie ulicy. Dzięki tej znajomości uzyskała dostęp do zbiorów niedostępnych publiczności. Spotykając się z dyrektorem w latach 1966-1967, poznała ekscytujące, olśniewające środowisko wyższych sfer Nowego Jorku. Dyrektor należał do tych nielicznych ludzi, którzy mają związek ze światem finansjery, sztuki i polityki.

Pewnego wieczoru zaprosił Irit na przyjęcie. Ry Slight przeczytał o tej imprezie w nowojorskim „Time” i również tam poszedł. Ich drogi się zeszły. Zdecydował o tym przypadek, tak jak o wielu innych rzeczach w tamtym czasie.

Slight czuł się zagubiony w rozbawionym, rozgadany i roześmianym tłumie. Rezon odzyskał dopiero wtedy, gdy w jednym z pomieszczeń, tuż za gabinetem, natknął się na stół bilardowy. Bankiet odbywał się w wielkim domu przy ulicy Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej, a z jego okien rozciągał się widok na East River. Stół bilardowy, mocno poobijany i zniszczony, zupełnie nie pasował do otoczenia, podobnie jak Slight. Przy stole urzędował jakiś facet z Brooklynu w szarej fedorze na głowie. Ogrywał każdego, kto zechciał z nim zagrać. Slight, który bardzo dużo grywał w bilard w sali „Snooker

Poolhall” w centrum Leavenworth, założył się z jegomościem o dwadzieścia dolarów i wygrał. Zegrali znów. Slaughter wygrał kolejną dwudziestkę. Zagrał o podwójną stawkę, pod warunkiem, że jeśli przegra, odda poprzednie wygrane. Przegrał. „Zagrajmy o jarda, kolego” - zaproponował facet w fedorze. Slaughter znał ten zwrot z powieści Mickeya Spillane'a. Znaczyło to sto dolarów. Nie miał wprawdzie pieniędzy, lecz postanowił zaryzykować. Gdy odchodził od stołu bilardowego, licząc dziesięciu- i dwudziestodolarówki, usłyszał czyjś głos:

- Ry Slaughter?

Głos mówił z osobliwym akcentem.

- Ry Slaughter? - dobiegło ponownie pytanie. - Czy tak się pan nazywa? Zabawne. Czy to imię i nazwisko żydowskie?

Slaughter odwrócił się. Ujrzał kobietę ubraną w czarne spodnie, czarną bluzkę i czarne jedwabne pantofle. Na szyi wisiał cienki złoty łańcuszek, długi do pasa. Cacko było przepięknej roboty i przykuwało uwagę. Twarz nieznanym, smagła, okolona puklami długich czarnych włosów, też przyciągała uwagę swą urodą.

- Nie, nie żydowskie. Z Kansas.

Kobieta roześmiała się, nie spuszczać ze Slaughter'a wzroku.

- Zabawny z pana człowiek - powiedziała po chwili i wyciągnęła do niego rękę.

Slaughter lewą dłoń trzymał w kieszeni, a prawą miał pobrudzoną kredą, którą nacierał końcówkę kija bilardowego. Rozejrzał się za łazienką, i kobieta, jakby czytając w jego myślach, wskazała kierunek.

- Może mi pan postawić drinka przy barze.

Slaughter wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

„Skąd, do licha, wiedziała, jak się nazywam?” - pomyślał. Odkręcił kran z ciepłą wodą. Chyba obserwowała grę. Dziwna kobieta. Cudzoziemka. Jej zapach... ciężki... jak zapach lasu - niespotykany, mroczny, jak ona sama. Kiedy opuścił toaletę, czekała na niego w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Bezceremonialnie wzięła go pod rękę. Przy barze wyjął z kubelka z lodem dwa piwa i sięgnął po szklanki.

- Ja wypiję z butelki - oświadczyła i Slaughter wręczył jej piwo.

Był to drogi holenderski gatunek. Wypili po łyku.

- Strasznie tu gorąco - odezwał się Slaughter, by podtrzymać rozmowę. - A może tylko mi się wydaje?

Roześmiała się lekko schrypniętym, lecz miłym śmiechem. Slaughter poczuł, że zaczyna pocić się pod pachami, po plecach spłynął mu zimny strumyk potu. Gra w bilard o sto dolarów... Cóż, to była wielka emocja, zwłaszcza że nie miał pieniędzy. W razie czego nie wypłaciłby się facetowi z Brooklynu. Przez chwilę zastanawiał się, czy ona czuje zapach jego potu. Zapewne śmierdział jak skunks.

- Jak się pani nazywa? - zapytał.

- Irit Dov - odparła z tym swoim osobliwym akcentem.

- Czy to imię i nazwisko żydowskie?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Kobieta wybuchnęła śmiechem i pociągnęła z butelki, zostawiając na końcu zielonej szyki ślad szminki.

- Tak, jestem Izraelitką.

- Nie ma pani w sobie nic z Żydówki - orzekł Slaughter.

- Czy naprawdę pochodzi pan z Kansas?

- Tak, z Leavenworth.

- Nie ma pan w sobie nic z mieszkańca Kansas - odparowała.

Roześmiali się i podeszli do okna, z którego rozciągał się widok na rzekę.

- Przyjechał pan do Nowego Jorku w interesach?

„Oho! - pomyślał Slaughter. - Zaczyna się”.

- Nie, chodzę tu niedaleko do szkoły - odpowiedział wymijająco.

- Jaka to szkoła?

- West Point - odparł, nie odrywając wzroku od świateł Queens za rzeką.

- Rozumiem - mruknęła. - Podobną uczelnię mamy w naszym kraju. W Izraelu każdy musi służyć w wojsku. Ja jestem kapralem w rezerwowej jednostce kobiecej.

Slaughter odwrócił się i popatrzył na swoją towarzyszkę, pokazywała w szerokim uśmiechu rząd równych, białych zębów.

- Czyta pan dużo książek z zakresu wojskowości? - zapytała retorycznie. - Jestem Izraelitką. Mój ojciec jest dowódcą czołgów i służy na granicy z Jordanią. Nie przepadam za wojskiem, ale w Izraelu armia jest czymś, z czym musimy żyć na co dzień. Tutaj... - szerokim gestem wskazała salę, gdzie mimo późnej pory - była już pierwsza w nocy - goście bawili się w najlepsze. - Tutaj jest inaczej. Ale rozumiem pana. Pan nie należy do tego miejsca - zauważyła roztropnie i Slaight, nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczał. - Czy to w Kansas nauczył się pan grać w bilard?

- Tak. Kiedyś grałem bardzo dużo, ale teraz rzadko.

- Gra pan bardzo dobrze - orzekła, dotykając jego ramienia palcami o paznokciach w tym samym kolorze co szminka na ustach.

Slaightowi błysnęła myśl, że ona go podrywa, lecz natychmiast ją odrzucił.

Jezu, chłopaki w koszarach nigdy by mu nie uwierzyli.

- Temu facetowi w kapeluszu, z którym pan grał, powiedział pan, że mieszka w hotelu przy ulicy Dziewiętnastej, czy tak?

- Zgadza się.

- W porządku, nie musisz zatem tam wracać. Pojedziemy do mnie.

Pojechali taksówką, na miejscu wypili po szklaneczce brandy i poszli do łóżka. Było to coś nieprawdopodobnego. Leżała w ogromnym łóżu w delikatnym żółtym świetle lampy i mówiła... pieprz mnie... pieprz mnie... pieprz mnie... pieprz mnie... pieprz mnie... W kółko i w kółko. Więc pieprzył. Zgodnie z kodeksem kadetów pieprzył i pieprzył, pocił się w dobrze pojętym własnym interesie, by zapewnić sobie łóżko, kwaterunek i kobiece ciało na weekendowe przepustki. Jezu, jeszcze nigdy w życiu tyle się nie napięprzył.

O świcie leżeli spleceni ramionami. Ona spała, lecz Slaight nie zmrużył oka. Nie mógł odpędzić natrętnej myśli, że coś przeoczył... że coś było nie tak. Jej okrzyki obnażyły bezlitośnie prawdę. To nie była miłość, lecz pieprzenie się. Po raz pierwszy rozgraniczył te dwie rzeczy. Na złamanie karku pognali ku



jakiejś wymyślonej granicy, której wcale nie było. Połączyli się ze sobą jak dwa snopy światła reflektorów nadjeżdżających nocą z przeciwka samochodów i pomknęli już razem płaską nawierzchnią dwupasmowej szosy przeciętej pośrodku białą linią.

## 13.

Kiedy zadzwonił telefon, radiobudzik wskazywał trzynastą trzydzieści.

„Jezu - pomyślał Slaight. - Połowa pierwszego dnia urlopu już minęła”.

Irit zaczęła na oślep macać po podłodze, aż trafiła dłonią na słuchawkę. Głos miała ochryply od snu i seksu.

- Tak, słucham?

- Czy mogę prosić pana Slaighta? Generał Hedges chce z nim rozmawiać.

Irit odwróciła się i potrząsnęła ramieniem Slaighta, który patrzył w inną stronę, starając się ignorować telefon.

- Ry, to do ciebie. Jakaś kobieta. Mówi, że dzwoni generał. Nazywa się Hedges.

- Jezu! Hedges!

Usiadł w pościeli i przyłożył słuchawkę do ucha. Pierwszy dzień urlopu i proszę...

- Przy telefonie Slaight, sir.

Taka była procedura służbowych rozmów telefonicznych. Bez względu na to, czy kadet rozmawiał z kobietą, czy z mężczyzną, musiał zwracać się „sir”.

- Panie Slaight, proszę chwileczkę poczekać - powiedziała sekretarka. - Łączę z generałem.

Slaight przyłożył słuchawkę do drugiej ręki, zasłonił mikrofon i powiedział:

- Irit, podaj mi, proszę, szklankę wody. W ustach mam...

- Panie Slaight, tu Hedges. Jak się pan miewa, młody człowieka?

- Doskonale, sir.  
- Moja sekretarka wytropiła pana w aktach naszego pułku na podstawie kopii pańskiej przepustki. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- *Nosir!!!* To żaden problem, sir.

Slaight szczerzej otulił się koldrą przed nieprzyjemnym powiewem chłodnego powietrza z klimatyzatora. Irit podała mu szklanekę z wodą. Wypił łyk.

- To dobrze, to bardzo dobrze. To właśnie chciałem usłyszeć. A teraz proszę mnie posłuchać, panie Slaight. Czy dobrze pan mnie słyszy?

- *Yessir!!!* Bardzo dobrze, sir.

- Coś się wydarzyło. Jest pan potrzebny tutaj. Natychmiast. Jeszcze dzisiejszego popołudnia. Czy pan mnie rozumie, Slaight?

- *Yessir!!!*

- Wiesz, Slaight, staramy się nie zawracać głowy kadetom podczas urlopu, ale sprawa jest wyjątkowa. Mamy... mamy do czynienia z bardzo poważną sytuacją. Musimy się zobaczyć... Jeszcze dzisiaj. Czy mógłbyś przyjechać przed zamknięciem biura?

- *Yessir!!!* Tak sądzę, sir.

Kadetów pouczono, by nie mówili „tak myślę”, ale „tak sądzę”.

- Wyśmienicie. Bardzo dobrze, panie Slaight. Wiedziałem, że mogę na panu polegać. O, tak. Zrekompensujemy panu zepsuty urlop. Osobiście dopatrzę, by przyznano panu dodatkowy wolny dzień. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

- *Nosir!!!*

Zabawne. Głos generała brzmiał oficjalnie i zarazem był nieprzepisowo... przyjacielski. Pobrzmiwały w nim tony... Slaight nie potrafił och określić.

- Kiedy może pan się stawić?

Slaight zerknął na radiobudzik. Za dwadzieścia pięć druga. Trzynasta trzydzieści pięć w języku wojskowym.

- O szesnastej, sir. Czwarta po południu.
- Doskonale, młody człowieku. A, i jeszcze jedno. Proszę nałożyć mundur. Może być polowy. Nie musi pan nakładać sierry.

Sierra. Jeden dzień urlopu i Slaughter prawie zapomniał, co to słowo znaczy, a oznaczało letni mundur kadetów: szare spodnie, biała koszula z epoletami.

- *Yessir!!!* Polowy.
- A zatem o szesnastej.
- *Yessir!!!*
- Doskonale. Do zobaczenia.
- *Yessir!!!*

Rozległ się trzask odkładanej po drugiej stronie słuchawki i zapadła cisza. Slaughter opadł ciężko na poduszkę, mimo chłodnego powietrza naciągającego od klimatyzatora czoło pokrywały mu krople potu.

- Kto to był? - zapytała Irit. Była zaspana i zdezorientowana.

- Komendant kadetów. Generał Hedges... Jezu!
- Czego chciał?
- Chce mnie widzieć w swoim biurze w West Point dziś po południu. Mam być o szesnastej. Podrzucisz mnie samochodem?

- Oczywiście. Skoro to takie pilne...
- Och, bardzo pilne. Kiedy dzwoni osobiście cholerny generał i mówi, że masz się stawić w jego biurze, to jest to cholernie pilne. Pilne! To słabe określenie.

- Ale o co chodzi? Dlaczego chce się z tobą widzieć?

- Nie powiedział. Był bardzo oficjalny, a jednocześnie taki... gadatliwy. Kazał mi stawić się w jego biurze, ale powiedział to tak, jakby prosił o grzeczność. Grzecznie, ale natarczywie... Niewątpliwie to rozkaz. Dziwne. Generał pokroju... I takie zagrywki.

- Nie powiedział, czego chce?
- Nie, ale sądzę że wiem.

Slaughter zamilkł i rozejrzał się po sypialni. Przez zasłony Przedzierał się blask popołudniowego słońca. Irit dotknęła jego ramienia. Dłoń miała zimną jak lód od trzymanej w niej szklanki z wodą.

- Czy pamiętasz rekruta, o którym ci opowiadałem? Tego, którego w maju wyłowiono z jeziora Popolopen?

- Tak. Znałeś go.

- W ubiegłym roku podczas „chlewni” byłem dowódcą jego drużyny.

- Pamiętam.

- Został zamordowany. Znam szczegóły sekcji zwłok.

- Zamordowany! Ry! Nic mi o tym nie wspomniałeś!

Cofnęła się, zacisnęła dłoń na kołdrze. Slaughter objął ją ramieniem.

- O wypadku dowiedziałem się, gdy odbywałem karny marsz. Później wysłano mnie na wyprawę najwyższego rocznika... Nie chciałem opowiadać ci o tym przez telefon.

Zamilkł. Powiedział jej tyle... a zamierzał wyznać wszystko.

- Prawda jest taka... - Znów zamilkł i zaczerpnął głęboko tchu. - Takie rzeczy w West Point zdarzają się. Cóż więcej mogę powiedzieć? Chodzi mi o to... - Przez chwilę szukał odpowiednich słów. - Chodzi o to... że ja i Leroy Buck... Major o wszystkim mi powiedział, lekarz, facet, którego znam jeszcze z czasów, kiedy sam byłem rekrutem. On właśnie przeprowadził sekcję zwłok. Prosił, żebym nikomu o tym nie mówił, a ja oczywiście opowiedziałem o wszystkim Leroyowi. Rozumiesz, to mój kumpel z pokoju.

Irit skinęła w milczeniu głową.

- Nie sądziłem, że ta sprawa cię zainteresuje. Myślałem, że rozpoczną dochodzenie i się wyjaśni... No i wyszło szydło z worka. Powinienem jednak być ci o tym powiedzieć. Jezu! Wybacz.

Slaughter spuścił wzrok i popatrzył na swoje stopy. Cały czas się cofał... Cofał się przed kobietą, którą kochał. A teraz została w to wplątana i ona... Nie zasługiwała na takie traktowanie. Było mu po prostu wstyd. Znów na ramieniu poczuł dotyk jej dłoni.

- Rozumiem, Ry. Ale powiedz, dlaczego, twoim zdaniem, generał... jak on się nazywa?... chce się z tobą spotkać.

- Komendant. Generał Hedges. Zimny jak stal. Cholernik.

- Generał Hedges. Tak?

- Cóż, chyba chce pomówić ze mną o tym chłopaku. O Davidzie Handzie. A to znaczy jedno - dopadli doktora.
- O czym ty mówisz? Co znaczy „dopadli doktora”?
- Dopadli go i tyle. Odkryli, że o wszystkim mi powiedział. Tak sądzę, Irit. To bardzo niedobra wiadomość. Wstawajmy. Mam mało czasu. Przed spotkaniem z Hedgesem muszę jeszcze wbić się w mundur i zatelefonować w kilka miejsc. To bardzo zła wiadomość, ale jeszcze nie najgorsza.

W swoim biurze komendant kadetów generał brygady Charles Sherrill Hedges odłożył na widełki słuchawkę telefonu, poprawił węzeł krawata i popatrzył na oficera siedzącego naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka.

- Terry, wykonałeś kawał roboty - pochwalił, kartkując powoli plik leżących przed nim papierów.
- Dziękuję, sir - odrzekł pułkownik Phineas Terranee King, dowódca Trzeciego Pułku.
- Cholerny kawał roboty, Terry. Zrobiłeś więcej, niż się spodziewałem. Znacznie więcej.

Hedges dłuższą chwilę milczał, studiując raport dotyczący Davida Handa. Sprawozdanie to polecił pułkownikowi Kingowi sporządzić przed miesiącem. Raport pojawił się na biurku generała z dwutygodniowym opóźnieniem, lecz uwzględniając zawartość materiałów, warto było czekać. I oto miał przed sobą jak na dłoni całe życie Davida Handa, czuł jego oddech, jego zapach. Terry King był nie tyle dokładny, ile obsesyjnie skrupulatny. Nie pominął żadnego szczegółu. W raporcie znajdowało się wszystko: przyjaciele, dowódcy drużyn, wrogowie, wyniki testów sprawnościowych, wszystkie dwa-kreska-jeden, kontakty z cywilami. Więcej informacji można by wyciągnąć z chłopaka jedynie przez bezpośrednie podłączenie się do jego mózgu.

- Slight pojawi się po południu - odezwał się Hedges, nie podnosząc głowy znad papierów.
- *Yessir!!!* - odparł King. - Raport wspomina o nim kilkakrotnie.

- Terry. - Hedges popatrzył na podwładnego. - Terry, nie muszę chyba podkreślać, z jak delikatną sprawą mamy do czynienia. Wykonałeś pierwszorzędną robotę. Pierwszorzędną. Ale twoje odkrycia czynią sprawę jeszcze delikatniejszą.

- *Yessir!!!*

- Slaughter pojawi się u mnie o szesnastej. Do tego czasu chcę dokładnie przestudiować raport. Nie musisz być ze mną, kiedy on się pojawi.

- *Yessir!!!* Rozumiem.

- A teraz postawmy sprawę jasno. Czy masz starszego sierżanta Fitzgeralda pod kontrolą?

- *Yessir!!!* Rozumiem powagę sytuacji. Gdyby sprawa trafiła w niewłaściwe ręce... Cóż, mieliśmy już do czynienia z podobnymi przypadkami w Wietnamie. Fitzgerald doskonale to rozumie. Był w Wietnamie, w Checkpoint Charlie... Sir, jeśli ktoś wie, jak postępować i zachowywać się w takich sytuacjach, to tylko Evans Fitzgerald.

- Wierzę ci na słowo, Terry. Ale musisz zrozumieć jedno. W tej sprawie Fitzgerald jest twoim człowiekiem i ty za niego odpowiadasz.

- *Yessir!!!* Rozumiem.

- A ten doktor... Jak on się nazywa?

- Consor. Major. Rocznik pięćdziesiąty dziewiąty.

- Tak, ten który rozmawiał ze Slaughterem w dniu, kiedy dokonał sekcji zwłok. Zrobiłeś z nim porządek?

- Tak jest, proszę pana. Podobnie jak pan byłem szokowany, kiedy wczoraj dowiedziałem się o tym przecieku. Consor po Czerwcowym Tygodniu udał się na trzytygodniowy urlop. Wyjechał przed rozpoczęciem przygotowań do „chlewni”. Wrócił zaledwie wczoraj. Oficer dyżurny zadzwonił do mnie, kiedy Consor zameldował swój powrót z urlopu.

- Doskonała robota, Terry. Doskonała.

Hedges rozparł się na krześle i w zamyśleniu skubał kłapę mundurowej marynarki. King przesunął się na skraj krzesła, oczekując lada chwila pozwolenia odmeldowania się.

- Powtórzmy to jeszcze raz. Twoim zdaniem Consor rozmawiał ze Slaughterem przypadkowo?

- *Yessir!!!* Slaughter udał się do lecznicy opatrzyć stopy.

Z mojego polecenia odbywał karny marsz. W trakcie nakładania opatrunku gawędzili na różne tematy. Slaughter zadawał pytania, a Consor wyznał, że jego zdaniem Hand został zabity.

- Ale wszystkie kopie raportu z sekcji miałeś ty?

- Tak jest, proszę pana. Zabrałem mu wszystko. Jak pan pamięta, sir, jeszcze tego samego dnia, kiedy dokonał sekcji. Wieczorem wspólnie ponownie przepisałiśmy je na maszynie.

- Jasne - mruknął Hedges i popatrzył przez okno w stronę koszar. - Terry, co, do licha, robił Slaughter, że o tak późnej porze dnia musiał bandażować stopy?

- Wiem, o co panu chodzi, sir. Zapytałem Consora o to samo... Do diabła, wołałbym go o to nie pytać. Poczzerwieniał na twarzy z wściekłości i oświadczył, że ma to związek z taktycznym Slaughterem, który nie pozwala żołnierzom ze swej kompanii wykręcać się od karnego marszu zwolnieniami lekarskimi. Doktor stwierdził, że stopy Slaughterem znajdowały się w tragicznym stanie, chciał go nawet posłać do szpitala, lecz pacjent bał się represji ze strony taktycznego i zobowiązał go do zachowania ścisłej tajemnicy. Consor utrzymuje, że jedynie z tego względu nie złożył raportu na oficera taktycznego. I tutaj ma na nas haka, sir. Był wściekły. Dosłownie wpadł w furję. Wie pan, jak ci lekarze potrafią...

- Kto jest taktycznym Slaughterem?

- Grimshaw, sir. Dziwna sprawa... To jeden z moich najlepszych ludzi. Nic nie wiedziałem o jego rozporządzeniu. To oczywiste, że jest ono sprzeczne z prawem. Żadnemu oficerowi taktycznemu nie wolno odmówić żołnierzowi pomocy lekarskiej...

- Do cholery ciężkiej, Terry. Dobiorę się temu Grimshawowi do pieprzonej dupy! Kawał bezmózgiego skurwysyna! Gdyby nie to jego rozporządzenie, Slaughter nie spotkałby się z Consorem.

- Rozumiem pański gniew, sir, ale moim zdaniem powinniśmy wstrzymać się. Jeśli w połowie lata zaczniemy awanturę z Grimshawem, zwrócimy na siebie uwagę innych oficerów taktycznych. Będą ciekawi, co się wydarzyło, a Grimshaw od razu zwęszy, kto za tym stoi: Slaughter i Consor, a oni są zbyt blisko tej sprawy.

- Masz rację, Terry.

Hedges przytrzymał się blatu biurka i kiwał na krześle. W pewnej chwili uniósł brwi, usta wykrzywił mu lekki uśmiech.

- Wykorzystamy tę historię. Pozwól, że przemyślę całą sprawę i gruntownie przejrzę twój raport. Slight będzie tu za dwie godziny.

King wstał z krzesła.

- *Yessir!!!*

- Powiem ci, co wynikało ze spotkania z tym młodym człowiekiem. Terry, spisałeś się na medal. Nie damy się. Trzymamy wszystko pod kontrolą.

- *Yessir!!!*

King wiedział, że Hedges zrobi to, co zawsze, kiedy odprawi swego najbardziej zaufanego współpracownika: przekreśli krzesło bokiem do biurka i zapatrzy się na plac apelowy za oknem. Lewą rękę położy na biurku i będzie bawił się lornetką. Nie powie ani „do widzenia”, ani „miłego dnia”, ani „zobaczymy się później”, ani „możesz odejść”. Żadnego z tych konwencjonalnych zwrotów. Po prostu odwróci się i znajdzie we własnym świecie.

Na polu golfowym w West Point generał dywizji Axel W. Rylander, korzystając z czerwcowego słońca, rozpoczął drugą tego dnia turę osiemnastu dołków. Był rozkosznie nieświadom telefonicznej rozmowy Hedgesa ze Slightem i poufnej konferencji z Kingiem. Generał Rylander grał w golfa i nie trapiły go żadne troski. Wszystkim zajmował się Hedges.

W niedzielę dwudziestego szóstego maja, dokładnie o godzinie trzynastej, Hedges wszedł do jego biura i przedłożył raport dotyczący śmierci kadeta Davida Handa. Śmierć przez utonięcie. Sekcja wykazała obecność wody w płucach. Żadnych śladów walki. Żadnych ran na ciele. Żadnych śladów alkoholu czy narkotyków. Jeszcze jedna tragiczna, przypadkowa śmierć kadeta; a wszystkie one zdarzyły się jednocześnie, na dwa tygodnie przed Czerwcowym Tygodniem. Tylko tego mu brakowało.



Rodziców kadeta oczywiście zawiadomiono. Ojciec, właściciel restauracji w Nowym Orleanie, matka, dusza śmietanki towarzyskiej miasta. Sprawa był smutna i nader nieprzyjemna, zwłaszcza że rodzina z niecierpliwością oczekiwała spotkania z synem, którego po raz ostatni widziała na Boże Narodzenie. Poza tym chłopak zginął tuż przed Czerwcowym Tygodniem. Rodzicom zaproponowano wprawdzie, by pogrzeb syna odbył się na cmentarzu w West Point, lecz przy wydatnej pomocy głównego inspektora udało się w dyskretny sposób odwieść ich od tego pomysłu. Ostatecznie zbliżał się Czerwcowy Tydzień, w akademii pojawią się wszyscy jej wychowankowie, odwiedzą groby swych przyjaciół poległych podczas pierwszej wojny światowej, podczas drugiej wojny światowej, w Korei, w Wietnamie. Pogrzeb kadeta, rekruta, jego przypadkowa śmierć, nieważne, jak tragiczna... Cóż, pogrzeb zakłóciłby przebieg uroczystości.

Nie powiedziano tego wprost, lecz ojciec kadeta Davida Handa zrozumiał delikatną sytuację. Adiutant głównego inspektora pomógł zorganizować transport zwłok do Nowego Orleanu. Adiutant dowiedział się, że chłopak spocznie w grobie obok swego dziadka. Smutne, bardzo smutne, ale konieczne.

Upłynął tydzień, odkąd na rozkaz głównego inspektora komendant składał raport dwa razy dziennie, rano i pod wieczór. Hedges musiał pojawiać się w budynku przy Thayer Road, przebywać kamienne schody, zgłaszać się w gabinecie adiutanta, a następnie meldować w ogromnym gabinecie głównego inspektora West Point. Hedges był zarozumiałym, zżeranym ambicjami i głodnym awansów bęcwałem, ale dopóki pracował dla Axela W. Rylandera, miał tak tańczyć, jak mu grał główny inspektor.

Dwaj generałowie w wielkim gabinecie, którego okna Wychodziły na Hudson, przedzieleni ogromnym biurkiem, i spoglądający na nich z portretu Sylvanus Thayer zwykle milczeli, bo Hedges nie miał nic nowego do przekazania. Tak, owe spotkania przekraczały wytrzymałość nerwową obu generałów. Rylander był jednak rad, że dopiął swego.

Rylander przygotował się do oddania strzału do trzeciego

dołka i zerknął na słońce. Dochodziła druga po południu. Za trzy i pół godziny, o siedemnastej trzydzieści, Hedges przekroczy Thayer Road i zamelduje się w biurze jego adiutanta. Rylander zamachnął się kijem golfowym. Rozległ się dźwięczny trzask i piłka poszybowała w stronę niskich wzgórz, na północny zachód, w stronę obozu Buckner.

## 14.

Ry Slaughter i Irit Dov w milczeniu krzątali się po mieszkaniu, przygotowując się do wyjazdu do West Point. Tego właśnie Irit pragnęła, odkąd Slaughter wstał z łóżka: ciszy. Rano bywał opryskliwy, szorstki, zupełnie jak nie on. Ruszał się jak mucha w smole, ze spuszczoną głową, jakby bał się nadchodzącego dnia. Irit nie mogła go sobie wyobrazić w West Point o szóstej rano, kiedy przez większą część roku jest jeszcze ciemno, od Hudsonu docierają silne podmuchy zimnego wiatru, a kadeci stoją na baczność na placu przed koszarami i czekają na rozkaz wymarszu do stołówki na śniadanie. Za to dobrze znała ranki z Ryem w mieszkaniu na rogu Osiedzia Drugiej i Madison. Diabło niemiłe.

Kiedyś opowiedział jej o swoim dowódcy drużyny z czasów rekruckich. Facet nazywał się Gary Lyons. Rekruci musieli meldować się w jego pokoju na kwadrans przed każdą zbiórką: o piątej czterdzieści pięć przed poranną zbiórką, o szóstej piętnaście przed śniadaniem, o jedenastej czterdzieści pięć przed obiadem i siedemnastej czterdzieści pięć przed kolacją. Slaughter wyjaśnił, że celem tych czterech kwadransów (co w ciągu dnia dawało godzinę) była „inspekcja specjalna”, w skrócie IS. Idea IS nie była dla Irit jasna. Rzekomo dowódca drużyny chciał sprawdzić swoich ludzi, zanim dołączą do reszty kompanii.

Inspekcja specjalna nie miała jednak nic wspólnego z inspekcją.

Była czystą represją. Wszyscy o tym wiedzieli - rekruci, dowódcy drużyn- a jednak cztery razy dziennie, na okrągło, wszyscy musieli bezwzględnie się podporządkować bezsensownemu rozkazowi. Taka była tradycja.

Dzień w dzień o piątej czterdzieści pięć, kwadrans przed poranną zbiórką, rekruci wypełniali pogrążony w ciemnościach pokój dowódcy drużyny i ustawiali się w równej linii pod ścianą. Musieli być rześcy; nawet po ciemku. Kiedyś zdarzyło się, że jeden z rekrutów stał z zamkniętymi oczami i spuszczoną głową. Zdrowo się za to chłopakowi dostało. Rekruci muszą być zawsze rześcy. Stali więc w milczeniu w mroku, podczas gdy dowódca drużyny i jego współtowarzysz z pokoju dosypiali. Czas mijał. Rekruci drapali się dyskretnie po świeżo ostrzyżonych głowach. Na zewnątrz co pięć minut dzwonił dzwonek. Dyżurny głośno odliczał czas: Panowie, za pięć minut zbiórka. Formować się rocznikami. W krótkich płaszczach i w szarych czapkach. Zostało pięć minut, panowie! I tak co minutę.

Dowódca drużyny Lyons jeszcze dosypiał. Dopiero kiedy rozlegał się przedostatni dzwonek, a kroki dyżurnego cichły w korytarzu, gdy schodził na zbiórkę, stary Lyons odrzucał koc i wsuwał stopy w buty (spał w skarpetkach), sięgał po spodnie (wisiały na poręczy u wezłowania łóżka), wciągał je przez buty, w drodze do drzwi wkładał ramiona w rękawy koszuli i krótkiego płaszcza (koszula była już wsunięta w płaszczy), zakładał krawat, czapkę, na ramię wsuwał szarą opaskę, wychodził z pokoju i ruszał schodami na plac, doprowadzając się do porządku - zaciągał suwak w spodniach, zapinał guziki krótkiego płaszcza, sięgał do kieszeni po rękawiczki - i w chwili, kiedy dowódca dawał komendę baczność, stawał przy kompanii. Płynne ruchy przypominały balet. Slight utrzymywał, że Lyons wykonuje je, nie otwierając oczu. Ponad dwa lata później wciąż był pod wrażeniem ekonomiki i synchronizacji ruchów kadeta Gary'ego Lyonsa podczas porannego wstawania z łóżka.

- Irit? Irit! Gdzie jest moja czapka? Wiem, że miałem ją Wczoraj wieczorem.

Slaight był spięty, niespokojny. Zaglądał właśnie pod kana-  
pę, kiedy Irit wręczyła mu czapkę.

- Ry, uspokój się. Ile nam zajmie jazda do West Point? Go-  
dzinę? Nie dłużej. Mamy bardzo dużo czasu. Dotrzemy na  
miejsce punktualnie.

- Jasne, wiem. - Slaight wsunął czapkę za pas. - Ale muszę  
jeszcze zatelefonować w kilka miejsc.

- A więc siadaj i dzwoń. Telefon masz przed nosem.  
Dzwoń. Uspokój się. Nie znoszę, kiedy tak...

- Wiem. Przepraszam, Irit. Po prostu... no, wiesz... Generał  
Hedges to nie przelewki. Jestem spięty jak jasna cholera.

Slaight wykręcił numer domowego telefonu Leroya Bucka w  
Burning Tree w Indianie.

- Halo - rozległ się w słuchawce przeciągły głos.

- Cześć, Buck.

- To ty? Przecież wczoraj rozstaliśmy się na dworcu auto-  
busowym. Po kiego gryzba dzwonisz do mnie już następnego  
dnia?

- Robią mi koło dupy w związku z tą cholerną sprawą Han-  
da.

- O czym ty gadasz?

- Właśnie dostałem telefon... Jestem u Irit w mieście.  
Dzwonił pieprzony Hedges. Hedges! Chce mnie widzieć dziś o  
szesnastej. Mam stawić się w jego gabinecie w mundurze.

- Do licha, czego chciał?

- Niczego. Po prostu kazał mi się stawić. To wszystko. Po-  
wiedział, że zrekompensują mi stracony dzień. Uwierzyłbyś w  
to?

- Kurza twarz, to się nie mieści w pale. I co, twoim zda-  
niem, teraz będzie?

- Chyba Consor puścił farbę. Czy nie miałeś dziś jakichś  
dziwnych telefonów z Wu Pe?

- Nie. A byłem cały dzień w domu.

- Cóż, Consor rozmawiał na ten temat tylko ze mną. Na tej  
podstawie sądzę, że go dorwali.

- Rozumiem. I co zamierzasz teraz zrobić?

- A co mam zrobić? Pojadę do Hedgesa.

- Dobrze, dobrze, tylko pytam. Czy zamierzasz jeszcze raz porozmawiać z doktorkiem?

- Za chwilę do niego zadzwonię.

- Jestem pewien, że do tej pory zatkali mu już gębę. Stary Hedges ma go w garści. Niewiele wyciągniesz od Consora, skoro dobrali się już mu do dupski.

- Może nie. Ale muszę go powiadomić, że wezwał mnie komendant. Chcę też wiedzieć, o co go pytali... I ile im powiedział.

- Jasne. Slight, posłuchaj, mam pomysł. Czy pamiętasz tego prawnika, który w zeszłym roku prowadził z nami zajęcia? Taki dziwny typek, pulchny jak leguminka, łysiejący, zezowaty i w okularach w złotej oprawce? Chyba po Harvardzie. Nie był absolwentem naszej akademii.

- Tak, pamiętam. Kapitan T. Clifford Bassett.

- A pamiętasz, jak równo nadawał na wojskowy szajs i wyjaśniał przysługujące nam prawa? Jeden z wykładowców nazwał go komuchem z wydziału prawniczego.

- Pamiętam Bassetta.

- No właśnie. Moim zdaniem przed spotkaniem z Hedgesem powinieneś się z nim zobaczyć. Co ci szkodzi? On nic do ciebie nie ma.

- Do licha, to dobry pomysł. Widzisz, wiedziałem, co robię, gdy wykręcałem numer twego telefonu. Nigdy nie przyszedłby mi do głowy stary Bassett siedzący w swojej klitce w podziemiach Thayer Hall w wydziale prawniczym. Kurczę, miałeś świetny pomysł. A co u ciebie?

- Nic. Leniuchuję. -W przyszłym tygodniu wsiądę na traktor i trochę porożę. Zboże rośnie. Słucham radia. Wszystko po staremu. Słyszałaś najnowszą płytę Loretty Lynn? „Gdy wracasz do domu pijany, nie zabieraj się do miłości”. Bomba!

- Nie słyszałem. Jestem w Nowym Jorku. Tu nie docierają lokalne stacje.

- Jasne.

- Bywaj, Buck. Muszę jeszcze pogadać z Consorem, a później zmywać się do Hedgesa. Dzięki.

- Slight, jeszcze chwila.

- Co?

- Po pierwsze. Widziałem wczoraj w Shawneetown kapitalne czarne buty od Tony'ego Lamasa. Twój rozmiar. I zamszową kurtkę, taką jakiej szukałeś. Kupić ci? Na razie mam forszę. Później mi oddasz.

- Jezu! Kup kurtkę. O Tonym Lamasie zapomnij. Kosztują z siedemdziesiąt dolarów, prawda?

- Zgadza się.

- Więc tylko kurtkę. Dzięki.

- Po drugie. Nie daj się wpuścić w kanał. Hedges zacznie odwoływać się do twego honoru, a potem wykorzysta to przeciw tobie. Bądź ostrożny. Kiedyś już wpuścił w maliny jednego z chłopaków, pamiętasz?

- Pamiętam. Dzięki, Buck. Do zobaczenia.

- Pozdrów Irit. Cześć.

Slaight odłożył słuchawkę. Irit na tarasie podlewała drzewka ginkgo. To właśnie w niej lubił... Była niezależna, zawsze miała coś do roboty, jakiś projekt do przestudiowania albo książkę do przeczytania. Szóstym zmysłem wyczuwała, że przeskadza Slaightowi, siedząc mu nad głową, kiedy on rozmawia przez telefon, coś czyta czy po prostu rozmyśla.

- Irit, masz pozdrowienia od Bucka.

- To miło. Co porabia? Pojechał na lato do domu?

- Tak. Pracuje na roli. Wiesz, Indiana.

- Ry, już wpół do trzeciej.

- Wiem. Jeszcze tylko jeden telefon.

Wykręcił główny numer West Point, a kiedy zgłosiła się telefonistka, poprosił o połączenie z mieszkaniem majora Consora... tak, właśnie tak... C-O-N-S-O-R... jest tylko jeden w książce. W słuchawce zapadła głucha cisza i po chwili rozległ się cichy, elektroniczny sygnał połączenia.

- Mieszkanie majora Consora.

Telefon odebrała żona.

- Dzień dobry pani, mówi Slaight. Czy zastałem majora?

- Witaj, Ry. Tak, jest w domu. Chwileczkę.

Do uszu Slaighta dobiegło stłumione „Zaraz podejść” Consora.

- Co u ciebie słyhać, Ry? - zagadnęła pani Consor. - Dawno cię nie widziałam.

- Wszystko po staremu, proszę pani.
  - Musisz wpaść do nas na kolację, jak tylko rozpocznie się rok akademicki.
  - Z przyjemnością, proszę pani. Dziękuję.
  - O, jest George!
  - Major Consor przy telefonie.
  - Tu Slaughter, sir.
  - Liczyłem na to, że się odezwiesz. Skąd dzwonicz?
  - Z Nowego Jorku, sir. Za chwilę wracam do akademii.
- Wzywa mnie generał Hedges. Mam stawić się w jego biurze o szesnastej.
- Nie jesteś na urlopie?
  - *Yessir!!!* Ale on mimo to chce się ze mną widzieć. Przyшло mi do głowy, że może chodzi o sprawę Davida Handa. Dlatego ośmieliłem się do pana zatelefonować.
  - Tak, rozumiem. Wczoraj skomunikował się ze mną pułkownik King. Wróciłem właśnie z urlopu. Najwyraźniej czekał na mnie przez te dwa tygodnie. Nie dziwię się więc, że chcą się z tobą zobaczyć dzisiaj. Kroi się jakaś awantura.
  - Jaka awantura, sir? Czego chciał kapitan King?
  - Chodzi naturalnie o sprawę utonięcia Davida Handa. Chciał się upewnić, czy oddałem mu wszystkie kopie raportu z sekcji zwłok. Kazał mi jeszcze raz przejrzeć wszystkie akta. Osobiście pojawił się w moim biurze. Zachowywał się dziwnie, był bardzo... zdenerwowany. Dostał jakiegoś tiku, marszczył nieustannie nos i czoło. Cały czas krzywił się w ten sposób.
  - *Yessir!!!* Też to zauważyłem.
  - Przejrzałem kartoteki. Nalegał, bym to zrobił. Tak czy owak, kiedy już upewnił się, że nie mam żadnych dokumentów na temat sprawy kadeta Davida Handa, zapytał, czy z kimś o tym rozmawiałem. Powiedziałem, że z tobą. Wypytywał o to. Nie chciałem... zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy nie zasłonić się tajemnicą lekarską. Ale widzisz, Slaughter, sprawa Handa nie miała nic wspólnego z twoimi stopami. Musiałem mu powiedzieć.
  - Rozumiem, sir.
  - Był bardzo podekscytowany. Z trudem nad sobą panował. Nie pozwolił mi z nikim więcej rozmawiać o wynikach sekcji.

Powiedział, że sytuacja jest wyjątkowo delikatna i gadanie mogłoby jej zaszkodzić. Pytał, dlaczego z tobą się spotkałem. Powiedziałem, że przyszedłeś do mnie na zabieg.

- Czy wspomniał pan coś o Grimshawie, sir?

- Wspomniałem. Chciał wiedzieć, dlaczego nie wystawiłem ci zwolnienia, skoro twoje nogi były w tak fatalnym stanie, że wymagały interwencji lekarskiej. Wyjaśniłem, że twój taktyczny nie uznaje zwolnień. Nic na to nie odpowiedział.

- O kurwa... przepraszam, sir.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się Grimshawem. Oświadczyłem Kingowi, że postawię Grimshawa pod ścianę, jeśli u któregoś z kadetów z jego kompanii jeszcze raz zobaczę takie stopy. Pułkownik tylko skinął głową, ale wiem, że się przejął.

- Dziękuję, sir.

- Slight...

- *Yessir!!!*

- Slight, uważaj na siebie... Eee... zwłaszcza podczas rozmowy z generałem Hedgesem. Nie wiem, co się dzieje, ale mój nos mi mówi, że coś tu śmierdzi. Rozumiesz?

- *Yessir!!!*

- Jakoś dziwnie prowadzą tę sprawę. Na przykład nie spotkałem się jeszcze z pułkownikiem Fitzgeraldem, dowódcą żandarmerii. Po zrobieniu sekcji widziałem się tylko z Kingiem, który sam przyszedł do mego biura. Nie było żadnych pytań na temat sekcji. Nikt o nic nie pytał. Odnoszę wrażenie, że zwolniono tryb postępowania w tej sprawie. Domyślam się, że ze względów bezpieczeństwa starają się utrzymać ją w głębokiej tajemnicy. Wiem tylko jedno.

- Co, sir?

- Że przyspieszyłeś bieg wypadków. King z pewnością o wszystkim doniósł Hedgesowi.

- *Yessir!!!* Wiem o tym.

- Naprawdę?

- *Yessir!!!* Tego dnia, kiedy zajmował się pan moimi stopami, widziałem, jak King wchodził do kwatery głównej i długo konferował o czymś z Hedgesem.



- Dobry Boże! Przecież to bardzo zajęty i zabiegany człowiek. I nerwowy. Przydałaby mu się końska dawka valium. Twarz wykrzywiały mu tiki, marszczył się jak... Proszę zapamiętać, że to powiedziałem, Slaughter.

- *Yessir!!!*

Slaughter z trudem stłumił śmiech. Pocziwy, stary Consor.

- Panie Slaughter, czy wyświadczy mi pan pewną grzeczność?

- *Yessir!!!*

- Proszę powiadomić mnie, co wynikało z pańskiej rozmowy z Hedgesem. Chcę wiedzieć, co się święci. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jaki los spotkał mój raport z sekcji, a po ostrzeżeniu Kinga wolę trzymać język za zębami. Kiedy skończycie, proszę do mnie zatelefonować. Będę w domu.

- *Yessir... Majorze Consor?*

- Słucham?

- Dziękuję, sir... Dziękuję, że mi pan o wszystkim powiedział.

- Nie ma sprawy, Slaughter. Niech pan uważa i ma otwarte oczy. Rozumiemy się?

- *Yessir!!!*

- Porozmawiamy później. Do widzenia.

- Do widzenia, sir.

Irit stanęła za jego plecami i położyła mu dłonie na ramionach. W oknie po przeciwnej stronie pokoju widział jej odbicie. Przebrała się w czerwoną jedwabną plisowaną minispódniczkę, która przy każdym ruchu dziewczyny sprawiała wrażenie, jakby żyła własnym życiem. Usta umalowała szminką w tym samym kolorze co spódniczka. Polakierowane na czerwono paznokcie ostro kontrastowały z zielenią munduru Slaughter'a. Kadet odłożył słuchawkę i popatrzył na dziewczynę. Był zmęczony, odnosił wrażenie, że od chwili, kiedy się obudził, upłynęły wieki... Tymczasem od telefonu Hedgesa minęła zaledwie godzina.

- Co teraz, Ry? - spytała Irit.

- Jedziemy do cholernego West Point - odparł ponuro. - Ruszajmy.

## 15.

Zawsze było tak samo. Nieważne, czy jechało się autobusem szosą 9W, samochodem Palisades Parkway, czy leciało nad Hudsonem helikopterem, w którym stewardesa serwowała martini ze słonymi orzeszkami. Powrót do West Point był zawsze taki sam. Ostatnie pięćdziesiąt pięć mil dzielące Nowy Jork od bramy, którą kończyła się Main Street w Highland Falls, przygnębiało każdego, bez względu na to, jakimi środkami transportu je przebył. Zawsze czuł się jak dzieciak, który po raz pierwszy idzie do szkoły. Coś go ścisnęło w środku, bo nie wie, czego ma się spodziewać, jacy będą nauczyciele, gdzie znajduje się jego klasa... Strach przed spóźnieniem... W klasie są już wszyscy uczniowie, a nauczyciel kończy właśnie odczytywanie listy obecności, spogląda na spóźnialskiego i mówi: „Kogóż my tu mamy?” Malec nieśmiało wślizguje się na swoje miejsce i schrypiętym od emocji głosem podaje swoje imię i nazwisko. Dzieci wiercą się na krzesłach i szeleszczą odwracanymi stronami podręczników. Pierwszy dzień szkoły.

Tak jest za każdym razem. Podczas całej pięćdziesięciopięciomilowej drogi z Nowego Jorku do akademii myśl o West Point wyzwala lęk. Każdy jest spięty, przenika go wszechogarniający strach... Nie wiadomo przed czym. Pieprzyć to! Przecież to tylko powrót do West Point, coś, co każdy kadet robił dziesiątki razy podczas pierwszego roku nauki. A jednak sztywnieje w środku, automatycznie przybiera postawę zasadniczą... I ta cisza. Zawsze kompletna cisza. Nawet w wypełnionym kadetami autobusie, gdy drużyna West Point pokonała na stadionie Shea zespół z Notre Dame. Pojazd, trzęsąc się i klekocząc, pokonuje pięćdziesiąt pięć mil, a każdy z chłopaków, im bliżej celu, coraz bardziej zapada się w siebie i jednocześnie szuka jakiejś obrony, aż w końcu mówi sobie: „Ej, ciulu, przestań się mazgolić! Wracasz tylko do francowatego Wu Pe! Głowa do góry, głupku! Robiłeś to już nieraz i jeszcze nieraz zrobisz! Weź

się w garść, chłopie! Gdyby twoja laska zobaczyła cię w takim stanie, pomyślałaby, że jesteś zwykłym palantem! Sraj na wszystko. West Point nie robi ci krzywdy!” Wreszcie autobus zatrzymywał się przed Grant Hall i wypływał z siebie gromadę młodych mężczyzn. Wyglądali jak zbite psy. Głowy mieli wysoko uniesione, sztywni jakby połknęli kije, ale ich twarze! Jezu! Twarze mieli zwiędłe, worki pod oczyma, obwisłe podbródki. Zarzucali na plecy torby z bagażem i w milczeniu maszerowali Thayer Road w kierunku Brewerton Road, do Nowego Placu Południowego; wracali do koszar, wracali do Życia. Wszyscy wyglądali na przedwcześnie postarzałych. Kadeci z najwyższego roku wracający z weekendu przypominali... przypominali weteranów... starych elewów... Wchodzili na chwiejnych nogach do kancelarii kompanii, by zameldować swój powrót. Ich zamaszyste podpisy świadczyły o całkowitej rezygnacji, o świadomości, że musieli tu wrócić...

Nie dziwota, że wielu z nich wracało z przepustek pijanych, ponieważ nauczyli się już pierwszego prawa osobistej termodynamiki: „zgłuszyć ten cholerny ból...”

Wyjeżdżając z garażu przy Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej, Slight myślał o solidnym kielichu; uzdrawiającym kielichu. Potrzebował drinka, zimnego, czystego, pełnego lodu i alkoholu - najlepiej dżinu; najlepiej zrobiłby mu dżin z tonikiem. Lodowaty napój uderzyłby mu do głowy, zmroził wnętrzności na czas powrotnej jazdy do West Point. Przeważnie wracał do akademii pijany. Może nie kompletnie, ale podchmielony na tyle, by się zgłuszyć... stępieć i zachować spokój. Spokojnie stać na zbiorce przed kolacją, czekać i klaskać w dłonie... klap-klap, klap-klap... tak jak inni durnie... Jezu! Napić się. Potrzebował tęgiego łyka, zanim wkroczy do biura Hedgesa, śmierdząc jak bar dla oficerów...

Jechali mercedesem-benz 190-SL z roku 1962, białym, sportowym samochodem o klasycznej linii, fotelach obitych czerwoną skórą. Kierując nim, czuł się, jakby miał pod sobą rasowego mustanga. Tak to sobie w każdym razie wyobrażał. Nigdy wprawdzie nie siedział na grzbiecie dzikiego Mustanga, ale wytworne skrzywienie skóry i cichy pomruk

silnika kojarzyły mu się z jazdą konną. W Leavenworth, w gimnazjum, miał fordę z 1949 roku, którego mocno podrasował. Obniżył zawieszenie o trzy centymetry, pomalował na niebieski metalik, wzmocnił podłogę, dał nowe pierścienie, czterokomorowy gaźnik, dwie rury wydechowe... Obły, lśniący i czysty, przypominał wygładzony kamień. Z cichym wuuuuuus pomykał asfaltowymi szosami Kansas, nieprzewidywalny jak pogoda na Środkowym Zachodzie, posłuszny i szybki. Nocą pluł spod tylnego zderzaka żywym ogniem.

To było właśnie to. W Kansas zawsze jeździło się nocą. Nocne rajdy, płynąca z głośników muzyka rockandrollowa, ochryple wrzaski nastolatków wypełniająca kabinę, ogłuszający huk muzyki w wykonaniu Rolling Stonesów, złych chłopaków, w zamierzeniu odrażająca... Silnik fordę wył, ryk motoru mieszał się z muzyką i świstem wiatru. Wtedy czuł, że nigdy się nie zestarzeje, że jedyne, co może robić, to żyć chwilą...

Ze 190-SL było zupełnie inaczej. Slaughter i Irit zawsze jeździli jej eleganckimi małymi samochodami sportowymi. Zwykle na Montauk Point na końcu Long Island opychać się ostrygami i homarami, które popijali piwem, i napawać się widokami. W 190-SL nie było mowy o rock and rollu... Slaughter tęsknił za smrodem benzyny i hałasem w samochodzie, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że czasy w Kansas minęły bezpowrotnie. Gdy dotarli do mostu George'a Washingtona, którym wiodła droga do West Point i czekającego tam generała brygady Charlesa Sherrilla Hedgesa, Slaughter wiedział już, że się zestarzał, a muzyka, jak wszystko, kłamała.

Zbliżali się do Bronksu i Riverdale po prawej, później będzie Yonkers... W dole rozciągał się Hudson. Znad wody unosiła się lekka, drgająca mgielka letniego skwaru... Zasnuwała West Side Highway i budynki tej części miasta i dalej, w górę rzeki, do zakola. Zostało pięćdziesiąt mil. Gorący wiatr w twarz, zakręcił na Palisades. Irit z czarnymi włosami związanymi chustką, mrużąc oczy, spogląda nad niską, płaską maską mercedesa na ciągnącą się przed nimi autostradę...

Slaight prowadził mercedesa ostrożnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości, świadom tego, że policja stanowa jest cięta na kadetów, którzy w towarzystwie swych dziewczyn wracają do West Point; zupełnie jakby nie mieli nic lepszego do roboty, zupełnie jakby kadeci stanowili ich największych wrogów. Kiedy Slaightowi świszczał w uszach wiatr, odnosił wrażenie, że jego umysł, tak jak cztery komory gaźnika w fordzie, zachłystuje się powietrzem... *wuuuuuuusz...* Irit to rozumiała. Siedziała obok niego, miła, serdeczna, współczująca, użyczyła mu samochodu, tak jak powinna to uczynić dziewczyna...

Generał Charles Sherrill Hedges, człowiek, z którym miał się spotkać, stanowił dla niego całkowitą zagadkę. Przed rokiem, kiedy Slaight był dowódcą drużyny, w której służył Hand, dowodził „chlewnią”. Tamten miesiąc „chlewni” przypominał przewod sądowy, któremu przewodniczył Hedges w szytym na zamówienie mundurze i wykrochmalonej, śnieżno-białej koszuli. Był nowy w West Point. Właśnie wrócił z Wietnamu, z Wielkiej Czerwonej, i chłopaki byli poruszeni do żywego, gdy ujrzeli takiego eleganta... dandysa... Tak, był francowatym dandysem w swym szytym na miarę mundurze, z barwną harmonią baretek i w nieskazitelnie lśniących butach. Slaight, zanim został „krową”, sądził, że wszyscy wracający z Wietnamu oficerowie wyglądają tak samo: jakby przywiązano ich do transportera i przeciągnięto przez całą Deltę Mekongu... Wynędziali i wyczerpani, z piętnem wojny na twarzach. Nie było wątpliwości, że ci faceci naprawdę tam byli. Tymczasem Hedges wyglądał... jak sam West Point. Chodząca perfekcja.

Kiedy przejął dowództwo nad „chlewnią”, natychmiast dał kadetom do zrozumienia, że wszystko, w najdrobniejszym szczególe, ma być perfekcyjne jak on sam. Wszystko. By nie być gołosłownym, zarządził, że wszyscy kadeci muszą maszerować z kciukami skierowanymi ku ziemi, a palec wskazujący i pozostałe mają być zagięte na pierwszym kłykciu. Nie na drugim czy trzecim, nie zaciśnięte w pięść... ale właśnie tak... Jak dłoń karateki. Było to trudne, odciągało myśl od kroku marszowego, od grzmotu nadającego rytm bębna. Myślało się wyłącznie o zagiętych palcach i pozycji kciuka. Był to czysty

nonsens, piramidalna bzdura i kadeci z wyższych lat dobrze o tym wiedzieli. Przebywali już w akademii dwa lub trzy lata i nikt dotąd nie kazał im maszerować na wzór pieprzonych fałszyków.

Generał Hedges, nowy komendant, przechodził na zbiórce od kompanii do kompanii i sprawdzał położenie kciuków. Swym orlim wzrokiem (później sławna stała się jego lornetka) potrafił wyłuskać z kolumny rekruta (czasami nawet kadeta z wyższego roku), by poinstruować go, jak należy trzymać kciuki i palce. Instrukcji takich udzielał zawsze przed frontem całej „chlewni”. Kosztowało to wiele dodatkowej pracy, ćwiczeń i czasu. Podczas tego miesiąca często spóźniali się na posiłki. Generał Hedges przesuwiał się wzdłuż poszczególnych kolumn marszowych, w lewej dłoni ścisnął żółte bawełniane rękawiczki, którymi rytmicznie uderzał się po lewym udzie. Po każdym apelu - przy porannej zbiórce, przed śniadaniem, obiadem i kolacją- kiedy już przebrzmiały echa komend i poleceń, słychać było Hedgesa.

Klap, klap, klap żółtymi rękawiczkami po udzie.

Stuk, stuk, stuk obcasami o betonowe podłoże placu.

Hedges był wszędzie.

Slaight często obserwował komendanta i zastanawiał się, co każe cholernemu generałowi brygady prowadzić tak idiotyczne gierki z kadetami. Hedges miał denerwujący zwyczaj nadawania kadetom z wyższych lat przezwisk, które zdawał się czerpać z bezdenne worka swej kostycznej, złośliwej natury. Przyszła kolej i na Slaighta. Pewnego wieczoru odbierał dodatkowe instrukcje na temat położenia palców i kciuków. Było już późno, tuż przed sygnałem na kolację, i po wykładzie w Thayer Hall „chlewnię” odprawiono do koszar. Slaight wyczuł od Hedgesa woń alkoholu. Komendant wydawał się rozluźniony i Slaight odważył się zapytać go o powód, dla którego przykłada taką wagę do położenia palców.

- Panie Sam - zaczął generał Hedges. Zwracał się do Slaighta po imieniu, ale skracał je do trzech ostatnich liter: od Rysam. - Panie Sam, to, co każe wam robić, stanowi podpis, jaki składam na powierzony mi jednostce.

Pochylił się i osobiście ułożył odpowiednio kciuki i palce kadeta. Mimo upalnego letniego wieczoru miał zimne i wilgotne dłonie. Slight stał wyprężony na baczność i czekał, aż generał upora się najpierw z jego lewą ręką, a następnie z prawą. Byli sami na Brewerton Road, za koszarami. Z budynku dobiegały okrzyki kadetów dyrygujących rekrutami, słychać było szum spuszczonej w ustępach wody, plusk pryszniców. Z oddali, ze stołówki, dochodził szczeł naczyń. Sprzątano stołówkę po kolacji i szykowano ją do śniadania. Choć byli sami, zewsząd otaczały ich dźwięki.

- Sir? - odezwał się Slight, przerywając pełne napięcia milczenie.

Hedges stał obok niego; po prostu stał i gapił się na kadeta.

- Sir, co miał pan na myśli, mówiąc: „podpis, jaki składam na powierzonej mi jednostce”?

- Maszerujecie tak, jak wam każę, panie Slight - odrzekł Hedges, przybliżając twarz do jego twarzy na odległość kilku centymetrów. - Maszerujecie, tak jak wam każę, więc należycie do mnie.

Zagięte palce i wyprostowane kciuki nie były jedyną obsesją generała Hedgesa. Zadreczał kadetów opowieściami o wojnie w Wietnamie, która toczyła się z dala od „pola przyjacielskich utarczek” w West Point. Do każdego elementu szkolenia i treningu dokładał „przykład bojowy”. Do wszystkiego, co działo się między ludźmi, zastosowanie miał bojowy przykład.

- Jak można polegać w boju na człowieku? - padało nieuniknione pytanie podczas wykładów, czy to na placu apelowym, czy na poligonie, gdzie drużyny ćwiczyły walkę na bagnety lub taktykę. - Jeśli człowiek nie zda próby tutaj, w West Point, pomyślcie, co zrobiliby w prawdziwym boju.

Słowa generała wisiały nad głowami kadetów niczym spuszczone do połowy masztu flagi, wyobrażenie zguby, Wizja całego świata ujętego w kategoriach wojny. Słowem „bój” operował niczym maczugą, którą tłukł rekrutów wykonujących czynności, jakie mieli wykonywać rekruci, po to, by mogli zostać promowani na wyższy rok. Słowem tym młócił jak pałką, słowo

„bój” powtarzało się nieustannie, świszczało w powietrzu, spadając z tępym dźwiękiem na głowę nieszczęśnika, którego akurat Hedges wziął sobie na ząb. Nie oceniał skuteczności wykonywanych manewrów ani nie wskazywał, jak wykonywać je lepiej. Słowo „bój” było wymienne ze słowem „kariera”.

Hedges rzadko kiedy mówił o boju w sposób czysto wojskowy, zgodny z Clausewitzem i jego definicją wojny jako osiągnięciem politycznych celów innymi środkami... „Inne” znaczyły oczywiście bój. Hedges zawsze mówił o boju jak o czymś miłym i niezbędnym do zrobienia kariery. Współzależność ludzi zaangażowanych w walkę staje się współzależnością karier. W grę wchodziło nie tylko ludzkie życie... ale również ranga, prestiż, ocena przełożonych, sukces. Dla Hedgesa bój był świętością, sposobem, w jaki liczył ciała zabitych, które grzechotały w jego wojennych opowieściach jak monety na tacy w garnizonowej kaplicy podczas mszy. Walka znaczyła „liczenie ciał”, probierz zwycięstwa w Wietnamie. Wielka Czerwona, którą dowodził Hedges, miała wyższy współczynnik wynikający z „liczenia ciał” niż jakakolwiek inna jednostka w tym czasie w Wietnamie. Awanse otrzymywał szybciej niż jakikolwiek inny oficer w historii tej wojny. I oto teraz generał brygady Charles Sherrill Hedges był komendantem kadetów, żołnierzem żołnierzy... mężczyzną mężczyzn. Lekcja ta dla kadetów miała sens oczywisty. Pentagon wyznaczył go do akademii jako przykład dla nich. Oni też mieli stać się takimi ludźmi. Hedges uosabiał armię.

Do następnego bezpośredniego spotkania Slaighta z Hedgesem doszło zaledwie przed trzema tygodniami podczas wyprawy pierwszoroczników na poligon w Fort Benning. Maszerowali przez bezdroża Georgii na jakieś zapomniane przez Boga i ludzi niewielkie wzgórze, gdzie mieli obejrzeć kolejną demonstrację ostrzału artyleryjskiego; tym razem jako przykładu obrony w warunkach walki nocnej prowadzonej przez oddział w sile batalionu. Przez cały dzień podczas wykładów wbijano im do głów, że w Wietnamie taki rodzaj walki był na porządku dziennym.

Zapadał już zmierzch, kiedy usadowiono ich na podnischonych



ławkach ustawionych na szczycie pagórka. Jakiś major ze Szkoły Piechoty stał z mikrofonem w dłoni na platformie obserwacyjnej przed tablicą z rozpiętą na niej mapą wzgórza i zanim zrobiło się zupełnie ciemno, pokazał kadetom linie obronne batalionu. Zresztą żołnierzy - siedmiuset pięćdziesięciu chłopca - było doskonale widać. Z okopów i transzei okolnych zasiekami z drutu kolczastego wystawały ich hełmy. Na niewielkiej przestrzeni zgromadzono sześć opancerzonych transporterów i kilkanaście czołgów M-60; pojazdy tkwiły w okopach, z których sterczały jedynie wieżyczki. Później zapadł zmrok i kadetom pozostawało jedynie czekać.

I naraz rozpętało się istne piekło. Przed zasiekami z drutu kolczastego zaczęły eksplodować ładunki z zasłoną dymną, chłopaki w okopach otworzyli ogień z karabinów maszynowych naładowanych pociskami smugowymi, powietrze rozbłysło czerwonymi i żółtymi smugaczami niknącymi w otaczających lasach. Odezwała się artyleria. UMPF, UMPF, UMPF, więcej dymu. W stronę porastających okolicę krzaków popłynęły smugi płomieni z miotaczy ognia... Sześć phantomów F-4 przemknęło na niskim pułapie i zrzuciło napalm mniej więcej w odległości dwustu metrów od zasieków. Wzgórze pławiło się w jaskrawym blasku ognia. Jeszcze gwałtowniejsza kanonada karabinów maszynowych, gęstniejąca zasłona dymna, strugi płomieni z miotaczy ognia, grzmot pięćdziesiątek z transporterów opancerzonych, głuche salwy czołgów. Sceny żywem wyjęte z piekła. Żaden Wietnamiec przy zdrowych zmysłach nie próbowałby przeciwstawić się tak Totalnej Sile Ognia. Tak wygrywało się wojnę. Człowieku, popatrz tylko na te wszystkie barwy i posłuchaj tego pierdolonego huku.

Nieoczekiwanie zapadła głucha cisza. Najwyraźniej ogniem sterowano z centralnego bunkra. Kadeci siedzieli oszołomieni, w uszach im dzwoniło, przed oczyma latały barwne płatki powidoków spowodowanych wariackim ogniem, orgią światła, całym tym szaleństwem...

Trzy czołgi M-60 odwróciły wieżyczki i zapaliły reflektory ksenonowe, których biały blask o mocy milionów świec docierał na odległość mili. Wszystkie światła skupiły się w jednym

miejscu - na ławce i stercie zdartej darni... Co to było? Nikt początkowo nie potrafił rozpoznać, ale wszyscy tam patrzyli. Czekali...

W ławce widać było kolejny czołg, prawie całkowicie zagrzebany w ziemi. Była to jedna z maszyn należących do saperów, z lemieszem spychacza na przodzie. Powoli lemiesz uniósł się i zatrzymał pionowo nad czołgiem.

I nagle na połyskliwym ostrzu pojawił się sam generał brygady Charles Sherrill Hedges, jak zawsze w nienagannie skrojonym mundurze i wykrochmalonej koszuli, w lśniących butach jednostek spadochronowo-desantowych i w obciążonym siatką maskującą hełmie. Wymachiwał lornetką nad głową w oślepiającym blasku ksenonowych reflektorów. Występował nie jako generał piechoty, ale komendant szkoły kadetów. Z ukrytych głośników zabrzmiał gromowym echem jego głos:

- Panowie, byliście świadkami ćwiczeń w wykrywaniu celu w warunkach nocnych. Zdolność widzenia nocą, panowie, jest sprawą kluczową. Nie można prowadzić ostrzału artyleryjskiego, panowie, bez rozpoznania pozycji nieprzyjaciela.

Przez cały czas generał wymachiwał nad głową lornetką marki Nikon. Z lornetką w ręku prowadził wykład w Szkole Piechoty na temat wartej milion dolarów nocnej strefy obrony i demonstracji siły ognia. Wszyscy kadeci wiedzieli, że przez te lornetki widać nawet w najgłębszych ciemnościach. Potrafiły bowiem skupiać światło i rozjaśniać obraz.

- Panowie... to, czego byliście świadkami tej nocy, jest odtworzeniem... dokładnym odtworzeniem... panowie... nocnej akcji mojego batalionu walczącego z regularnymi siłami Wietnamu Północnego... pułku regularnych wojsk Wietnamu Północnego... Panowie... siły wroga trzykrotnie przewyższały nasze. Ale z dobrym widzeniem nocą... panowie... z doskonałym wykrywaczem celu, treningiem i duchem... panowie... pokonałliśmy pułk północnowietnamski... wygnaliśmy ich z Żelaznego Trójkąta. Czmychali w pidżamach z podwiniętymi pod siebie ogonami... Następnego ranka naliczyliśmy dwieście pięćdziesiąt ciał... Panowie... żółtki leżeli w dwóch albo trzech

warstwach. Nocne widzenie... panowie. Zapamiętajcie to sobie. I zapamiętajcie zasadę pięciu „P” - poprawne przygotowanie pomoże pokonać przeciwnika. Mam nadzieję, że z dzisiejszego pokazu wyciągniecie wnioski. W walce, panowie, nie ma czasu na naukę. Jest czas tylko na działanie. Dobranoc, panowie. Do zobaczenia w akademii jesienią.

Jezu słodki, to niesamowite. Stojący na lemięszu Hedges, oślepiający blask lamp ksenonowych - światło, które wystarczyłoby na oświetlenie sali koncertowej - generał wymachujący lornetką, jego głos dobiegający jednocześnie ze wszystkich stron, ogłuszający niczym grzmot artylerii, paplający nieustannie o dobrym widzeniu nocą, o liczeniu ciał i pięciu „P”... Takich bzdur Slaughter nie słyszał od czasów rekruckich.

Slaughter zatrzymał 190-SL na parkingu przed Grant Hall. W West Point panowała niewzruszona cisza i spokój. Na tydzień przed rozpoczęciem „chlewni” w akademii przebywało tylko kilku kadetów z wyższych lat. Po wakacjach Hedges znów będzie puszyć się, klepać rękawiczkami po udzie, stukać podzełowanymi butami, wymachiwać lornetką i udzielać instrukcji, jak trzymać kciuk i zginać palce. Jezu!

Slaughterowi spływał po plecach pot, zwilżał koszulę i barwił ją pod pachami zaciekami koloru błota w Kansas. Czuł palenie w brzuchu, jakby we wnętrzości w gryzał się szczur. Po grzbiecie przebiegł mu dreszcz na wspomnienie zimnego, wilgotnego uścisku dłoni Hedgesa sprzed roku, na Brewerton Road, niecałe sto metrów od miejsca, w którym zaparkował teraz mercedesa. Pamiętał wyraz jego twarzy, zapach jego oddechu - koktajl Manhattan. Slaughter wcale nie cieszyła perspektywa spotkania z komendantem kadetów.

- Irit, możesz poczekać w Grant Hall albo pójść na spacer nad rzekę, na Równinę. Nie wiem, ile czasu zajmie mi rozmowa z Hedgesem.

- Nie będę się nudzić. Zabrałam ze sobą robotę. Dam sobie radę. Zaczekam w Grant Hall. Tam jest chłodno.

- To świetnie.

Kobieta działająca metodycznie. Pasowałoby do niej pięć „P”.

- Ry, już za pięć czwarta. Lepiej się pośpiesz.  
- Idę. Chryste! Mam kompletnie przepocony mundur. Nie mogę się odwracać do niego plecami. Może nie zauważy.

- Ry, do zobaczenia w Grant Hall.

- Cześć. Posłuchaj, zadzwoń w moim imieniu do tego prawnika... Kapitan T. Clifford Bassett z wydziału prawnego. Zapewne jest jeszcze w biurze. Połączy cię z nim dyżurny kadet. Powiedz mu, że po spotkaniu z komendantem chciałbym z nim porozmawiać.

- T. Clifford Bassett. Rozumiem. Zapisałam. Jeszcze coś?

- Nie. Powiedz tylko, że to bardzo ważna sprawa. Że będę bardzo zobowiązany, jeśli na mnie zaczeka.

- Dobra, Ry. Trzymaj się.

- Dzięki, kochanie. Idę na spotkanie z tym czarodziejem.

Slaight roześmiał się i wysiadł z mercedesa. „Na spotkanie z tym czarodziejem” - słowa z filmu, który oglądali w kinie tego wieczoru, gdy się poznali. Ale teraz nie było to wcale nocne kino. Slaight wsunął koszulę w spodnie, poprawił pas i ruszył na drugą stronę Thayer Road.

## 16.

Spotkanie z komendantem powinno budzić najwyższy lęk - kadet powinien pocić się ze strachu i drżeć jak liść na wietrze; czuć spazmatyczne skurcze mięśni. Stanowiło to część gry. On był generałem, a Slaight kadetem, zaledwie przyszczem na tyłku akademii, intruzem zajmującym generałowi drogocenny czas. Generałowie z zasady nie dzwonią do kadeta z poleceniem, by „się pojawił”, co w gwarze akademii znaczyło, że goła glaca ma „się pojawić” w jego biurze... Nie wiadomo, kiedy ten termin powstał. W słownictwie West Point istniał od zawsze. „Się pojawić” znaczyło zaproszenie - w tym przypadku do biura komendanta - i słowa te były wypalone w pamięci kadetów od

pierwszego dnia w akademii. Kadet był przerażony, ponieważ człowiek, który kazał mu „się pojawić”, miał nad nim całkowitą władzę. Całkowitą. Mogłeś uczyć się w bibliotece albo brać prysznic, albo załatwiać naturalną potrzebę, lecz kiedy kadet ze starszego roku kazał „się pojawić” - „się pojawiałeś”. To wszystko. Musiałeś. Każdy pamiętał przynajmniej tuzin takich sytuacji, kiedy miał na głowie ważne sprawy, na przykład wypełnianie formularzy posemestralnych lub wzywało go dwóch kadetów jednocześnie. Wówczas chrząnił formularze, a jeśli jeden z kadetów był z wyższego roku, zapominał o tym młodszym i „się pojawiał” u tego drugiego. Pukał do drzwi jego pokoju trzy razy, wchodził i meldował swe przybycie. Zwykle nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi ani co skurwiel wymyślił. Drżący ze strachu faszolacz miał tylko jedno wyjście: „się pojawić”.

I oto Slight, kadet z najwyższego roku, wezwany z urlopu w Nowym Jorku, „się pojawił” w nieodprasowanym mundurze u generała brygady Charlesa Sherrilla Hedgesa, w biurze komendanta kadetów na pierwszym piętrze kwatery głównej brygady, którego okna wychodziły na plac apelowy. Trzy lata i wciąż ta sama gra. Dziwne... Slight wcale nie czuł strachu. Nie pocił się. Nie drżał jak liść na wietrze. Żadnych spazmatycznych skurczów mięśni. Był zmęczony, spocony i lekko wkurzony.

Skręcając z Brewerton Road na plac apelowy, przybrał odpowiedni wyraz twarzy. Komendant nie mógł dostrzec, że kadet jest wściekły. Należało zachować Odpowiednią Prezencję. Przyjąć reguły gry. Wszedł do budynku kwatery głównej i wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Skinął głową sekretarce i odwrócił się w stronę adiutanta Hedgesa w randze kapitana, który odniósł w Wietnamie rany i powinien być uważany za bohatera.

- Kadet Slight - zameldował się. - Mam umówione spotkanie z komendantem.

Adiutant zlustrował Slighta od stóp do głów. Zauważył plamy potu, wymięty mundur, buty, którym daleko było do

połysku, dopraszające się fryzjera włosy. Prawą ręką wskazał drewniane krzesło po drugiej stronie biurka.

- Nie jest pan, panie Slaughter, w stanie, w jakim należy meldować się komendantowi - zauważył. - Wygląda pan niechlujnie.

Slaughter przez chwilę milczał, zbierając myśli. Zegar na ścianie wskazywał szesnastą.

- Kapitanie, oficjalnie przebywam na urlopie. Generał wezwał mnie telefonicznie dokładnie dwie i pół godziny temu i polecił, bym stawił się o szesnastej. Przyjechałem prosto z Nowego Jorku. Nie miałem ani munduru, ani butów na zmianę. Ukończyłem właśnie Wyprawę Najwyższego Roczniaka. Jest już minuta po czwartej, więc proszę mnie zameldować. Chcę się widzieć z komendantem.

Adiutant popatrzył na Slaughter'a ze zdumieniem. Sekretarka nerwowo przewracała papiery.

- Zawiadomię generała - odezwał się po długiej chwili milczenia kapitan.

Wstał i zniknął za drzwiami. Po chwili znów się pojawił.

- Generał czeka.

Slaughter dźwignął się z krzesła i ruszył w stronę otwartych drzwi. W odległym końcu długiego, prostokątnego pokoju za ogromnym biurkiem siedział komendant. Wszędzie wisiały wojskowe rekwizyty: modele, plakietki, flagi, hełmy, stare kubki z emblematami poszczególnych formacji. Przypominało to cholerne muzeum albo bawialnię lub aulę w szkole. Zupełnie jak w tych piętrowych domach jednorodzinnych, w których ludzie zawieszają na wyłożonych boazerią ścianach trykoty footballowe swych synów, zdobyte przez nich puchary, fotografie i tym podobne duperele. Slaughter przystanął w progu, po czym ruszył w stronę biurka. Zatrzymał się trzy kroki przed nim. Hedges popatrzył nań znad stosu papierów, zmarszczył przetykane siwizną ciemne brwi. Slaughter zasalutował.

- Sir, zgodnie z rozkazem kadet Slaughter melduje swoje przybycie - powiedział, modulując głos, nie odrywając palców od prawej brwi.

Generał chwilę milczał. Slaughter prawie słyszał, jak komendant odlicza w myślach... raz, dwa, trzy. Następnie oderwał

dłonie od blatu biurka, musnął palcami czoło jak zawodnik z trzeciej bazy dający znak miotaczowi i niedbale odsalutował. Poderwał się z krzesła i wyciągnął rękę do kadeta. Wszystkie te czynności wykonał jednym płynnym ruchem. Slight był kompletnie osłupiały. Generał zamierzał podać mu rękę! O co w tym wszystkim chodzi? Slight oderwał palce od czoła i podał rękę Hedgesowi.

- Cieszę się, że pana widzę, panie Sam! Do licha! Uprzejmie z pana strony, że zechciał pan przyjechać. Zdaję sobie sprawę z tego, że wezwanie było nieoczekiwane. Świetna robota. Jest pan punktualny! Wygląda pan doskonale! Proszę usiąść...

Hedges popchnął Slighta w stronę obitego zieloną skórą krzesła stojącego obok biurka. Był to bardzo subtelny gest, jak potrząśnięcie ręką. Slight miał zająć miejsce obok biurka, a nie po jego drugiej stronie, tak by ich ono nie przedzielało. Slight wiedział, co teraz nastąpi - męska rozmowa w cztery oczy.

- Jak pan się miewa, panie Sam?

- Doskonale, sir.

Slight obserwował Hedgesa z niezdrowym zaciekawieniem. Ten człowiek był pełen niespodzianek. Każdy jego ruch, każdy gest miał głębsze znaczenie. Każdy! Generał rozparł się na krześle, założył ręce za głowę i splótł dłonie. Skrzyżował nogi w nieskazitelnie wyglansowanych butach, z zelówkami grubości srebrnych dolarówek. Miał na sobie mundur z Medalem Piechoty Bojowej nad lewą kieszenią na piersi oraz skrzydełkami oddziałów spadochronowo-desantowych. Na prawym rękawie widniała pomarańczowo-czarna naszywka sił szybkiego reagowania. Hedges był nienaturalnie rozluźniony.

- Jak urlop, panie Sam? Postaramy się wynagrodzić panu Wszelkie niegodności związane z przerwaniem wypoczynku. Mówiłem już o tym, prawda?

- *Yessir!!!* To mój pierwszy dzień urlopu.

- Do licha! - Hedges uderzył otwartą dłonią w kolano. - Muszę to zapamiętać. Oczywiście. Pierwszy dzień. - Uśmiechał się. - A zatem wszystko, co najlepsze, jeszcze przed panem.

- *Yessir!!!*
- Trzydzieści cudownych dni.
- *Yessir!!!*
- Jestem pewien, że wykorzysta je pan do maksimum.
- *Yessir!!!*
- Sekretarka powiedziała mi, że telefon odebrała jakaś młoda dama. Widzę, że nie traci pan czasu, panie Sam. Widzę to po pańskiej twarzy, gałganie.

Slaight miał niewyraźną minę. Zapewne na jego twarzy malowało się zmęczenie.

- *Yessir!!!*

Hedges wyprostował się na krześle i przesunął papiery na biurku. Na twarzy generała pojawił się wyraz głębokiej troski. Po chwili rozchylił usta w lekkim, dziwacznym uśmiechu.

- Panie Slaight, zna mnie pan na tyle, by wiedzieć, że bez istotnej przyczyny nie przerywałbym panu urlopu.

Na chwilę zamilkł.

- *Yessir?*

- Czy domyśla się pan, dlaczego pana wezwałem?

Slaight po raz pierwszy popatrzył generałowi w oczy.

- Domyślam się, proszę pana.

Hedges znów skierował wzrok na leżące przed nim papiery.

- Czego się pan domyśla, młody człowieku?

- Chodzi o Davida Handa, sir?

Slaight nie zamierzał kręcić, ale też nie chciał niczego ułatwiać generałowi.

- Racja. Do cholery, mamy z tą sprawą wiele zachodu, panie Sam.

Wracali na znajomy teren. Przeklinanie oznaczało „nawiązanie wzajemnego kontaktu”. Uczono tego na drugim roku podczas kursu instruktorskiego.

- Panie Sam, widzi pan te papierzyska, które mam przed sobą?

Slaight nie mógł ich przeoczyć. Pytanie generała było czysto retoryczne.

- *Yessir!!!*

- Wszystkie dotyczą sprawy Davida Handa. Wszystkie co



do jednego. Każda z tych cholernych kartek. A jest ich tu chyba setka. A może tysiąc. Siedzę nad tą sprawą dniami i nocami...

Urwał, jakby na coś czekał.

- *Yessir!!!*

- Wezwaliśmy tu pana, panie Sam, z powodu pewnej informacji, która znajduje się w tych papierach. Czy wie pan, o jaką informację chodzi?

Czas zacząć rżnąć głupa.

- Nie mam zielonego pojęcia, sir.

- Chodzi o to, że rozmawiał pan z Consorem o sekcji zwłok rekruta Davida Handa. Tamtego dnia udał się pan, panie Sam, na ostry dyżur.

- *Yessir!!!*

- Co pan pomyślał, gdy usłyszał to, co lekarz powiedział?

- Co pomyślałem, sir?

- Doznał pan szoku?

- *Yessir!!!* Sądzę, że tak.

- Sądzi pan?

- Doznałem szoku, sir.

- Nie dziwię się. Każdy byłby poruszony.

Hedges bez celu grzebał w papierach. Slight doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli bardziej otwarcie wejdzie do gry. Może i Hedges był ciemniakiem, ale teraz najwyraźniej trzymał w ręku dobre karty. Graj! Graj! To tylko cholerna gra, ale bardzo ważna gra.

- Widzi pan to? - Hedges wskazał leżącą po jego prawej stronie cienką teczkę.

- *Yessir!!!*

- Czy wiesz, co to jest?

- *Nosir!!!*

- Pańskie akta, panie Sam. I jest w nich pewna drobna, choć niezwykle interesująca informacja, jakkolwiek ma ona niewielki związek z wezwaniem tu pana. Był pan w ubiegłym roku podczas „chlewni” dowódcą drużyny Handa. Czy tak?

- *Yessir!!!*

- Czy coś zaszło między panem a Handem?

- *Nosir!!!*

- Dlaczego ocenił go pan na jedenastym miejscu z jedenastu możliwych? Podczas pierwszego roku studiów znalazł się w pierwszej piątce.

Hedges z uwagą spoglądał na Slaughta.

- Hand uważał się za kogoś lepszego, sir. Uważał, że jest za dobry na rekruta. Odbierał drużynie siłę, wysysał krew, niszczył morale. Nie chciał współpracować z kolegami. Teoretycznie nic nie można mu było zarzucić, ale musiałem dać mu najgorszą ocenę. Wyrządził szkodę drużynie.

- Czy pan go nienawidził? - zapytał Hedges, odwracając wzrok.

- *Nosir!!!* Podziwiałem Handa... To dziwne... On po prostu nie chciał dać się złamać i za to go podziwiałem. Miał charakter.

- A więc pańskim zdaniem to, że nie chciał dać się złamać, jak pan to ujął, świadczyło o jego charakterze?

W głosie Hedgesa pojawił się sarkazm.

- W przypadku Handa tak, sir. Nikogo tak nie gnębiłem jak jego. Ktoś inny na jego miejscu poddałby się albo po prostu przyczał. Prędzaj przyczał. Ale nie Hand. On miał charakter. Trudno mi to dokładnie wyjaśnić, sir. Minął już rok od tamtej pory.

- Rozumiem, panie Sam.

Hedges w dalszym ciągu przewracał papiery na biurku. Slaught spoglądał na nie z boku, próbując coś z nich wyczytać, ale nie udało mu się.

- Wróćmy do waszej rozmowy z Consorem. Powiedział panu, że Hand był homoseksualistą?

- Powiedział, że go o to podejrzewa, sir.

- A czy powiedział, że chłopak został zamordowany?

- *Yessir!!!*

- Uwierzył mu pan?

- Uwierzyłem, że on wierzy w swoje podejrzenia, sir. Nie jestem patologiem sądowym. Nie mam zdania na temat Davida Handa.

- Doskonale, panie Sam. Hand niekoniecznie musiał zostać zamordowany. Czy pan mnie rozumie?

- Sądzę, że tak, sir.

- Sądzi pan?  
- Rozumiem, sir.  
- To już lepiej. Nie płacimy panu za posiadanie własnego sądu, Slaight. Przebywa pan tu wystarczająco długo, by o tym wiedzieć.

- *Yessir!!!*

- W porządku, przejdźmy do sekcji zwłok. Od chwili znalezienia trupa nadałem sprawie bezwzględny priorytet. To już cały miesiąc. Przejrzałem wszystko. Każdy raport. Także ten z sekcji zwłok. A doktor... jak-mu-tam... Consor... Jego opinia jest tylko jedną z wielu. Rozumie pan?

- *Yessir!!!*

Hedges najwyraźniej do czegoś zmierzał.

- Hand wcale nie musiał zostać zamordowany. Oficjalnie podaliśmy do wiadomości, iż był to nieszczęśliwy wypadek. Nigdy nie wystawilibyśmy fałszywego raportu na temat śmierci kadeta. Wiesz pan o tym, Slaight?

- *Yessir!!!*

Slaight nie wiedział nic, lecz w zaistniałych okolicznościach odpowiedź „*jessir*” wydawała mu się najwłaściwsza.

- Zna pan tylko niewielki wycinek całości. Czyż nie tak?

- *Yessir!!!* Tak sądzę, sir.

Graj. Wchodź w tę grę.

- Rozmawiał pan z Consorem. Consor wyraził swoją opinię, a pan wyrobił sobie własną opinię o opinii Consora. Wszystko to jest jednak oparte na bardzo kruchych podstawach, a chodzi przecież o śmierć człowieka. Prawda?

- *Yessir!!!*

- Pańska pamięć o Handzie... Kurczowo trzyma się pan swojej wersji, podczas gdy tak naprawdę niewiele pamięta. Sam pan powiedział, że „chlewnia” była przed rokiem.

- *Yessir!!!*

- Czy wie pan, panie Sam, z czym mamy tu do czynienia?

- Niezupełnie, sir.

Hedges z pewnością nie zamierzał wyznaczyć mu całej prawdy, lecz Slaight musiał wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji.

- Stoję w obliczu bardzo poważnej sytuacji, mój chłopce. Mamy martwego kadeta. Zapewne jego śmierć była nieszczęśliwym

wypadkiem. W każdym razie taka jest wersja oficjalna. Ale mamy też do czynienia ze śmiercią bardzo szczególnego kadeta. Homoseksualisty. Wie pan o tym, bo powiedział to panu Consor. Prawda?

- *Yessir!!!*

- A zatem rozumie pan powagę sytuacji. Ta afera... Sprawa Davida Handa może mieć wielkie implikacje dla akademii, dla wojska, dla kraju. Czy to jasne? Mamy martwego kadeta, cholerną ciotę. Czy wyobraża pan sobie, co by było, gdyby ta historia nabrała rozgłosu?

Hedges wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- *Nosir!!!*

- Proszę się tylko przez chwilę zastanowić. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chyba tak, sir.

- Gdyby ta sprawa nabrała rozgłosu, mielibyśmy na głowie demonstracje cholernych komuchów pedziów... Doszukiwaliby się jakiejś grubszej afery. On był jednym z nich, proszę pana. Jeśli sprawa nabierze rozgłosu, zaczną się nam bacznie przyglądać i dojdą do wniosku, że w akademii wojskowej trzymamy pedałów komuchów, a wtedy pod znakiem zapytania staną wszystkie nasze zagraniczne zobowiązania wojskowe.

Hedges znów zachichotał. Najwyraźniej nie sądził, że Slaight kupi jego tłumaczenie i taki tok rozumowania. Spodziewał się natomiast, że zrozumie aluzję i chętnie pójdzie na współpracę. Obserwował Slaighta, czekając na znak, że rozwiązał szaradę. Ale twarz kadeta nie wyrażała żadnych emocji.

- To racja, sir.

Slaight niemal udławił się własnymi słowami. Zdawał sobie sprawę, że Hedges fantazjuje. Stary numer. Jesteśmy szczególni. Jesteśmy jedyni w swoim rodzaju.

- Sprawa Davida Handa zagraża bezpieczeństwu narodowemu, Slaight. Chyba pan to rozumie?

- *Yessir!!!*

Hedges spoglądał Slaightowi prosto w oczy. Pochylił się lekko do przodu, ręce złożył na biurku, na jego twarzy malował się chytry uśmiech.

- Dlatego nie możemy pozwolić, by sprawa Davida Handa ujrzała światło dzienne. Dlatego się dziś spotkaliśmy, Slaughter. Chcę, byś nabrał wody w usta. Ani słowa na temat wyników sekcji zwłok. Wydaje mi się, że już zawodzi cię pamięć. Czyżbym się mylił, panie Slaughter?

- Cóż...

- Nie żądam, by pan kłamał. Ma pan po prostu zapomnieć. Czy wyrażam się jasno?

- *Yessir!!!*

- To dobrze.

Hedges otworzył teczkę z aktami Slaughter'a i powoli przekartkował dokumenty. Slaughterowi mignęła „Niebieska strzałka” - jasnoniebieski formularz, na którym kadet wystawiał opinię o innym kadecie jako uzupełnienie do oficjalnej oceny postawy żołnierskiej. „Niebieska strzałka” nie musiała być podpisywana przez autora i była całkowicie anonimowa. Slaughter dostrzegł kilka innych niebieskich formularzy. Ostatecznie przebywał w akademii już trzy lata.

- Przejrzałem pańską kartotekę. Bardzo wnikliwie. Wynika z niej, że jest pan nader interesującym młodym człowiekiem. Człowiekiem o wielkich możliwościach. Czy pan o tym wie?

- Sir...

- Nie oczekuję odpowiedzi. Zadałem nieuczciwe pytanie. Z pańskiej kartoteki jednoznacznie wynika, że ma pan wielkie, choć niezrealizowane dotąd możliwości, panie Sam. Właśnie tak. Niezrealizowane. Nie sądzę, by pan w pełni wykorzystywał swój potencjał. Z pańskich akt wywnioskowałem, iż jest pan obdarzony wielkim talentem. Urodzony przywódca z pana. Otrzymywał pan wysokie oceny. Najlepsze w kompanii. W zeszłym roku dokonał pan wielkiej pracy z „chlewnią”. Wielkiej. Ale miał pan i problemy, widzę, że spędził pan trochę czasu na placu apelowym.

- *Yessir!!!*

- Panie Sam, major Consor był bardzo poruszony stanem pańskich stóp. Chcę, by pan wiedział, że zająłem się... eee... tą sprawą... Sprawą pańskich stóp. Przeprowadziłem dyskretny wywiad. To mój obowiązek, Slaughter. Ostatecznie jestem tu komendantem.

- *Yessir!!!*

No, no, zaczyna się.

- Nie mogę pozwolić, by któremuś z moich chłopców groziło... by plac apelowy zagrażał jego zdrowiu i karierze. I nie obchodzi mnie, czy ktoś ma na ten temat inne zdanie. Za to odpowiedzialny jest właśnie komendant. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

- *Yessir!!!*

Zamierza zdrowo dobrać się Grimshawowi do tyłka.

- Postawmy sprawę jasno. Jesienią osobiście zajmę się tą godną pożałowania... eee... sytuacją. Takie w najwyższym stopniu... karygodne postępowanie nie może być dłużej tolerowane. Ten... ten Grimshaw... - Generał urwał, szczęki mu chodziły. - Ten nędzny fajfus Grimshaw zapłaci za wszystko, i nie będzie żadnych reperkusji. Osobiście tego dopatrzę. Zrozumiano?

- *Yessir!!!*

Jezu! Hedges naprawdę nienawidzi tego skurwiela. Slaight zastanawiał się, czy Grimshaw jest już na wylocie.

- Nie zniósę tak... tak... tak nikczemnego postępowania.

Generał zaczął się jękać. Wyglądał przez okno. Szczęki mu chodziły. Dłuższą chwilę panowało milczenie. Slaighta ogarnął niepokój.

- Wróćmy do pańskich możliwości. Niezrealizowanych możliwości, panie Sam. Jednego pan o mnie nie wie. Czy wie pan, o czym mówię?

- *Nosir!!!*

Chryste, ten facet zadał kolejne retoryczne pytanie.

- Jestem człowiekiem, który nienawidzi... nienawidzi osób niewykorzystujących w pełni swych możliwości. Mówię poważnie, Slaight, nienawidzę. Nienawidzę. Czy pan to rozumie? Czy rozumiesz, Slaight, co znaczy nienawidzić czegoś?

- *Yessir!!!*

- Do ciężkiej cholery, nienawidzę, gdy takie małe gówna jak Grimshaw nie potrafią wznieść się ponad przeciętność. Szumowiny. Prawdziwy mężczyzna powinien umieć się dźwignąć, Slaight. Każdy prawdziwy mężczyzna powinien zebrać się w sobie i spróbować, Slaight. Rozumiesz?

- *Yessir!!!*

- Dlatego zamierzam uczynić cię dowódcą batalionu; zaraz na początku roku akademickiego. Batalion, Slight. Twój własny batalion. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest to dla ciebie wielki wstrząs, młody człowieku... ale czasami... czasami my, dowódcy, korzystamy z okazji i pozwalamy komuś sięgnąć gwiazd. Jeśli nie skorzystasz z tej okazji, to znaczy, że nie ma w tobie ducha dowódcy... Ja na twoim miejscu wykorzystałbym taką okazję, Slight. Do końca. Jestem spokojny. Podejmuję słuszną decyzję. Po przestudiowaniu twoich akt mam pewność, że jesteś odpowiednim człowiekiem na dowódcę batalionu. Tak, batalionu. I co ty na to, chłopcze?

- Cóż, sir... to... eee... bardzo interesująca propozycja.

Slight stracił kompletnie mowę i gapił się baranym wzrokiem na generała. W ułamku sekundy, siedząc, obserwując Hedgesa i słuchając jego przemowy, doznał olśnienia... Nagle pojął wielką prawdę. Tak to się zawsze dzieje. W jednej chwili jesteś jedynie pieprzonym Slightem, a w następnej, na mocy czyjejś decyzji, zupełnie kim innym. Zostałeś naznaczony. Wybrany. Slightowi nie mieściło się to wprost w głowie. Nie potrafił tego przeskoczyć.

- I co pan na to? Pasuje?

- *Yessir!!!* Tylko że... ja...

Hedges zachichotał, jakby chciał powiedzieć: „Posłuchaj, chłopcze, kiedyś i ja byłem w takiej sytuacji. Wiem zatem, co czujesz. Trochę przytłoczony, co? Przeskoczysz to. Poradzisz sobie”.

Rozparł się wygodniej, założył ręce za głowę, nogę na nogę i kiwając się miarowo na krześle, wyglądał przez okno Wycho-dzące na plac apelowy. Slight nie spuszczał wzroku z generała. Wyglądał... Jezu... na niezmiernie z siebie zadowolonego.

- Więc jak tam pańska pamięć, panie Sam?

- Słucham, sir?

Hedges kiwał się rytmicznie wraz z krzesłem, zupełnie jakby nie słyszał pytania kadeta. Milczenie przytłaczało Slighta niczym pokrywa pojemnika na śmiecie. Było jak tarcza, która oddziela od tego, co miało za chwilę nastąpić. Po raz pierwszy,

od chwili gdy zjawił się w kwaterze głównej, ogarnął go prawdziwy strach.

Skurwiel dobijał z nim targu. Siedział sobie za biurkiem, wyglądał na plac apelowy i jak zwykle bujał się na krześle. „Dobija ze mną targu! - myślał Slaight. - Mówi, że zrobi mnie dowódcą batalionu, jeśli tylko zapomnę o majorze Consorze i prawdziwym wyniku sekcji zwłok. Dobrze wie, że pod względem postawy żołnierskiej plasuję się w trzeciej pięćdziesiątce na roku, co bez trudu może wyczytać w moich aktach. Czarno na białym. I na Niebieskim. A jednak chce dać mi batalion, pieprzony batalion z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ale przecież, na Boga, tak dzieje się codziennie! Może większość palantów, którzy noszą już na rękawach szewrony, również dobiła podobnego targu? Kto to wie? Wszystko odbywa się za zamkniętymi drzwiami i za pośrednictwem manilowych teczek. Może jeden lub dwóch domyśla się, co jest grane. A komendant siedzi przed nim i doskonale wie, iż...”

Slaightowi zakręciło się w głowie, jakby ktoś solidnie wyrzwał go w ucho. Oto on, Ry Slaight, którego komendant traktuje jak swojego człowieka. Sprawiało to, że czuł się wyjątkowy. Nieoczekiwanie awans na dowódcę batalionu wydał mu się niebywale atrakcyjny. Sprawiało to, że czuł się pożądanym. Właśnie tak. Pożądanym. Po raz pierwszy w życiu ktoś proponował mu układ. Odnosił nieprzeparte wrażenie, że jeśli nie wykona teraz ruchu, niepowtarzalna okazja przejdzie mu koło nosa. Chwileczkę! Uczucie to było jednak już mu znane... skąd, do licha? Taki sam dreszcz emocji poczuł tamtego wieczoru, kiedy poznał Irit, kiedy popatrzyła na niego w pokoju pełnym ludzi i powiedziała: „Jedź ze mną do domu, Slaight”. Miała to w oczach. Również dobijała targu. Jedź ze mną do domu i pieprz mnie, a zawsze będziesz mieć metę, chłopcze. Oczywiście, wyraziła to w sposób znacznie subtelniejszy, między wierszami, ale jej oczy mówiły prawdę. Po prostu dobijała cholernego targu. W pierwszej chwili to właśnie ją od niego odstręczało. Wszystko, co robiła, przypominało dobijanie interesu. Nawet samo pieprzenie się. Stało się to tak nagle. Zanim jeszcze się



w niej zakochał, poszedł za nią jak pokorne ciele. Dokładnie tak. Ona prowadziła, a on szedł. Porozumienie było całkowite. Slight był kadetem i wślizgnął się na scenę z taką samą łatwością, jak codziennie rano wślizgiwał się w spodnie. Jeden weekend... No cóż...

I teraz siedział w gabinecie komendanta w West Point, a komendant bujał się na krześle i dobijał z nim targu; spokojnie i niedbale. Slight czuł się... czuł się skomplementowany. Uhonorowany. Zupełnie jakby został wciągnięty do środka maszyny pełnej tłoków i obracających się trybów, a chłopaki pokroju Hedgesa pilnowali, by wszystko gładko się kręciło.

Taki targ! Jezu! Od czasu, gdy w gimnazjum w Leavenworth dorabiał jako sprzedawca w sklepie z odzieżą, do handlu żywił mieszane uczucia. Wraz z nim pracował chłopak włoskiego pochodzenia, niejaki Polozzi. Ten to dopiero miał łeb do interesów. Bacznie obserwował klientów i w końcu dorywał jakiegoś nieszczęśnika, który zamierzał kupić sportową marynarkę i parę spodni. Tak mu zawrócił w głowie, obiecał specjalną obniżkę cen, że facet kupił jeszcze trzy garnitury, płaszcz, dwanaście koszul, sześć krawatów, trzy paski i dwie pary obuwia. Po chwili Ole Polozzi stał przy kasie i wybijał rachunek na tysiąc trzysta dolarów. Właściciel sklepu, stary pan Wolfe, ochrzanił go wprawdzie za obniżkę cen, niemniej pod koniec tygodnia Polozzi wygrał we współzawodnictwie na najlepszego sprzedawcę... A pracował przecież, podobnie jak Slight, tylko dorywczo. Znajomi żartowali, że Polozzi, rodząc się, najpierw dobił ze swą matką targu i dopiero wtedy zgodził się opuścić jej łono. Slight sprzedawał koszule, skarpetki i krawaty, czasami udało mu się sprzedać garnitur, ale właściwie nigdy nie potrafił robić interesów; była to magiczna dziedzina znana jedynie ludziom pokroju Polozziego.

Slight czuł się nieswojo. Nie potrafił się otrząsnąć. Słuchał Hedgesa, śledził każdy jego ruch, próbował zgłębić prawdziwe motywy komendanta. Hedges wił się, kręcił, działał jak prawdziwy profesjonalista. Slight był zafascynowany i oczarowany. Oczarowany widokiem generała. Oczarowany jego przemową.

Ale ta nieoczekiwana propozycja... Slight prawie zapomniał o tym, że siedzi w jego gabinecie, gapi się na przełożonego i słucha go jak jakiś matol.

Jak na jego miejscu postąpiłby ojciec?

Jak po ciosie w spłot słoneczny Slight głęboko wciągnął w płuca powietrze. Pragnął jedynie, by Hedges nie przerywał swego przedstawienia. Generał bujał się tylko na krześle i spoglądał przez okno na plac apelowy.

Jak postąpiłby ojciec?

Pierwszy raz w życiu ktoś proponował mu układ, cholernie korzystny układ, a on nabierał... mam okazję, cholera, przyszedł moment, kiedy nadarza mi się nie lada gratka... gorzkiego mniemania, które gnieździło się gdzieś z tyłu mózgu od czasów, kiedy jako dzieciak w szkole nałożył najnowszy model butów i wszyscy też nałożyli taki sam najnowszy model. Jezus... że wszystko zamienia się w gówno, kiedy tylko do czegoś dojdiesz. „Muszę się teraz wykazać refleksem kobry” - myślał gorączkowo. Tak, właśnie tak. Slight, wykonaj ruch, pierdoło. Wykonaj ruch!

Niech go diabli wezmą, jeśli sobie nie poradzi z tym okrucieństwem władzy, jaki rzucał mu Hedges. Niech go diabli, jeśli nie da się w to wciągnąć. Będzie mu ciepło, stanie się częścią maszyny, jednym z nich, swoim człowiekiem. Pamiętał gorzko spotkanie z Irit. Wrócił myślą do ich pierwszej nocy. Kadet powinien czuć się jak zdobywca, lecz Slight był wtedy jak najdalszy od takiego mniemania o sobie. Kiedy nadarza się okazja, należy chwycić ją bez namysłu. Tak było zawsze z kobietami, a teraz przekonał się, że takie same prawa obowiązują w gabinecie komendanta kadetów..

- I co pan na to, panie Sam?

Hedges zmierzył kadeta baczny wzrokiem. Slight wciąż czuł zaciśniętą na szyi dłoń.

Ojciec.

On nigdy nie złapałby się na przynętę Hedgesa. Zawsze taki był. Ilekroć miał jakiś problem do rozwiązania, dokładnie go analizował, przyglądał mu się ze wszystkich stron. Nigdy nie popełniał dwa razy tego samego błędu. Tylko raz ktoś mógł

zrobić z niego głupka. Slight podjął zatem w West Point grę, ale grał mądrze. Akademia zrobiła zeń słupka, ale to się już nie powtórzy. Poznał wszystkie niuanse tej gry. Studiował jej zasady. Do reguł narzuconych przez West Point dodał własną. Regułę swego ojca. I pozostawał jej wierny.

- Cóż, muszę tę sprawę rozważyć, sir. Chodzi mi o to, że chłopaki będą się zastanawiać, dlaczego to właśnie ja mam dostać szewrony. Rozumie pan, sir, są lepsi ode mnie, którzy przewyższają mnie wiedzą i zdolnościami. Zaczną się pytania.

- Tak... eee... rozumiem twój punkt widzenia. - Hedges odwrócił głowę. - Niech mnie pan dobrze zrozumie, panie Slight. Pańska rozmowa z Consorem to bardzo delikatna sprawa. Delikatniejsza, niż się panu wydaje. Jestem upoważniony to panu wyjaśnić. Rozumiemy się? Najlepiej będzie, jeśli dojdzie pan do wniosku, że rozmowy z Consorem w ogóle nie było.

- Chodzi o tamten dzień, kiedy zszedłem z placu apelowego, sir?

- Właśnie.

- Czy to ściśle tajne, sir?

- Można to tak nazwać.

- A czy major Consor również zdaje sobie z tego sprawę, sir?

- Consor to już moje zmartwienie! Jego sytuacja to nie pański interes, młody człowieku. Im mniej pan będzie wiedział, tym lepiej dla pana. Proszę mi wierzyć.

- *Yessir!!!*

Hedges wstał, więc Slight również zerwał się z krzesła. Generał przez chwilę wiercił kadeta twardym wzrokiem, po czym znów zaczął grzebać w papierach. Slight nie był pewien, ale wydawało mu się, że w oczach generała dostrzegł błysk niepokoju. Tylko błysk. Miało to sens. Nie było to... właściwe, by generał dobijał targu z kadetem, który w normalnych okolicznościach nie zwróciłby na siebie uwagi komendanta. Slight żywił takie same podejrzania jak Consor. Coś się działo.

Teraz już wiedział. Wiedział jak jasna cholera. Udało się.

Uniknął pułapki. Nie powiedział „tak” i nie powiedział „nie”. Wszyscy kadeci byli zaprawieni w takich gierkach. Nie pozwoli się Hedgesowi złapać w pułapkę kodeksu honorowego... i przyjął na siebie zobowiązania. Kręcił, cofał się, udawał bojaźliwego, ale nie złożył jednoznacznej deklaracji. Nazywało się to wykorzystywaniem cudzego poczucia honoru przeciwko niemu samemu. Jeśli pozwoli wziąć się na lep generała w taki czy w inny sposób, ten będzie już trzymać go w garści pod groźbą złamania kodeksu. Stanowiło to część gry. Jasne, człowiek żył wedle nakazów kodeksu honorowego, lecz musiał nauczyć się go wykorzystywać.

- Miło mi było się z panem spotkać, panie Sam - powiedział Hedges, wyciągając rękę.

Uśmiechał się szeroko. Slaughter potrząsnął jego dłonią.

- Myślę, że doszliśmy do porozumienia. Narodowe bezpieczeństwo, panie Slaughter. Proszę o tym nie zapominać.

Hedges znów się uśmiechnął.

- Tak jest, proszę pana.

- Żegnam.

Slaughter cofnął się na odległość półtora metra od biurka, przyjął postawę zasadniczą i zaszalutował.

- Do widzenia, sir.

Wykonał w tył zwrot i wymaszerował z gabinetu.

## 17.

Slaughter zastał Irit w Grant Hall. Siedziała pod portretem generała George'a C. Marshalla, jednego z dwóch wojskowych niebędących absolwentami West Point, których portrety wisiały w tej majestatycznej sali. Przed laty w Grant Hall mieściła się stołówka. Teraz wypełniały ją wygodne, wytworne skórzane kanapy i fotele oraz lampy stojące, co nadawało sali wygląd

czytelnicy w klubie Ivy League\*. W sali tej kadeci często spotykali się ze swymi sympatiami.

\* Grupa ośmiu starych i o wielkiej renomie uniwersytetów w północno-wschodnich regionach USA: Brown, Columbia, Cornell, Dartmouth, Harvard, Pennsylvania, Princeton i Yale (przyp. tłum.).

- Ry, prawnik, z którym chciałeś rozmawiać. Kapitan Bassett? Jego sekretarka powiedziała mi, że przed tygodniem wyjechał na urlop. Wróci dopiero za miesiąc. Oświadczyła, że będziesz mógł porozmawiać z nim jesienią, kiedy rozpocznie się rok akademicki.

- Cholera jasna - mruknął Slaight.

Irit wstała z kanapy i zaczęła wkładać do dużej brezentowej torby szkice i notatki.

- Chodźmy stąd - powiedziała.

- Chwileczkę! Właśnie sobie o czymś przypomniałem. Posiedź tu jeszcze chwilę. Muszę wykonać jeden telefon.

Starszy sierżant.

Dlaczego pomysł ten nie przyszedł mu do głowy wcześniej? Slaight zaczął kartkować książkę telefoniczną. Znalazł. Starszy sierżant Atkins Eldridge. Slaight wykreślił numer domowy w nadziei, że były szef kompanii nie opuścił jeszcze służbowego mieszkania. Armia z pewnością dała emerytowanemu sierżantowi kilka tygodni na przeprowadzkę. Telefon odebrała kobieta.

- Mieszkanie starszego sierżanta Eldridge'a. Mówi jego żona.

- Dzień dobry pani, tu kadet Slaight. Służyłem w pułku pani męża. Czy zastałem go w domu? Czy mogę z nim porozmawiać?

- Naturalnie. Jest trochę zajęty, bo jutro się przeprowadzamy, ale zaraz go poproszę.

Slaight czekał. W końcu w słuchawce odezwał się męski głos; głęboki, przywykły do rozkazywania.

- Starszy sierżant Eldridge.

- Starszy sierżancie, tu kadet Slaight. Dzwonię z Grant Hall. Chciałbym się z panem zobaczyć. Zajmę panu tylko minutę.

- Slaughter, do licha! Skąd wiedziałeś, że jeszcze tu jestem?
- Nie wiedziałem. Po prostu zadzwoniłem.
- Doskonale, niech pan przychodzi. Mam masę czasu. Masę. To jedyne, czego ostatnio mi nie brakuje. Czas. Zapraszam więc. Czy wie pan, gdzie mieszkam?
- Jasne. Będę za kilka minut.

Slaughter chwycił Irit za łokieć i ruszył w stronę wyjścia. Po drodze wyjaśnił jej, że przed wyjazdem z West Point musi jeszcze porozmawiać z pewną osobą. Wyjaśnił, kim jest Eldridge, oraz obiecał, że o rozmowie z Hedgesem opowie jej później.

Pojechali Thayer Road i minęli Washington Gate. Na końcu długiego podjazdu znajdowały się wybudowane w latach trzydziestych ceglane domy, w których mieściły się mieszkania pułkowników i podpułkowników, a nieopodal stały drewniane domki należące do podoficerów. Przed drugim domem, przy krawężniku czekał już Eldridge.

- Proszę, proszę, oto słynna Irit Dov we własnej osobie - powitał ich sierżant, otwierając szarmancko drzwi mercedesa po stronie dziewczyny. - To wielka przyjemność panią widzieć, panno Dov. Wiele o pani słyszałem... Naturalnie od pana Slaughter.

Irit uśmiechnęła się. Slaughter i Eldridge uściśniły sobie dłonie, po czym gospodarz zaprowadził ich na niewielki, zbudowany z cegieł taras. Stały na nim składane krzesła ogrodowe. Pani Eldridge przyniosła duży dzbanek mrożonej herbaty.

- Ej, sierżancie, czy mógłbym dostać piwo? A ty Irit? - Slaughter odwrócił się do niej, wykonując w powietrzu gest, jakby otwierał butelkę.

Irit odmownie pokręciła głową i pani Eldridge naląła jej herbaty.

- Jasne - odparł sierżant. - Też chętnie się napiję.

Weszli do domu. W kuchni otworzyli dwie butelki i wypili po tegim łyku.

- Jezu, tego właśnie było mi potrzeba! - sapnęła Slaughter.
- O co chodzi, Ry?

Starszy sierżant pierwszy raz zwrócił się do Slaughter po

imieniu, co kadetowi natychmiast przypomniało, że podoficer przeszedł już na emeryturę. Odszedł z armii. Kiedy sierżant ruszył w stronę tarasu, Slight chwycił go za ramię.

- Porozmawiajmy tutaj, proszę.
- Nie ma sprawy.
- Chcę pana o coś zapytać. Wiem, że to, co powiem, zaskoczy pana, więc jeśli mi pan nie odpowie, nie będę czuł urazy.
- Rozumiem. Pytaj.

Na pomarszczonej twarzy starszego sierżanta pojawił się niepokój. Trzy wojny odcisnęły swe piętno na jego obliczu. Był zmęczony... nie fizycznie... po prostu zmęczony. I smutny. Wiele widział, tyle przeszedł, że teraz...

- Starszy sierżancie, proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie o rekrucie, którego zwłoki wyłowiono z Popolopen, o Davidzie Handzie. Ale zanim mi pan odpowie, muszę się przyznać, że właśnie wracam ze spotkania z komendantem. Jestem na urlopie i wezwano mnie specjalnie na rozmowę. Dzieje się coś niedobrego, a ja chcę wiedzieć, co. Pomyślałem sobie, że ma pan jakieś domysły.

Starszy sierżant z uwagą obserwował twarz młodego gościa. Ry Slight. Bardzo lubił tego chłopaka. Lubił... jakby był jego synem. Slight był zamieszany w sprawę chłopaków, których nazywano Wspaniałą Siódmką. Uważał, że zrobiono ich w konia. I zrobiono. Starszy sierżant musiał wyjaśnić Slightowi, że w życiu istnieją pewne sprawy, z którymi nie da się zrobić. Później nadeszła wiadomość o jego własnym synu. Slight przebywał wtedy w budynku siedemset dwadzieścia. Tak zatem sierżant opowiedział o tym Slightowi, opowiedział całą historię z jednego powodu. Musiał nieustannie wyjaśniać samemu sobie, że w życiu istnieją pewne rzeczy, na które człowiek nie ma wpływu. Slight słuchał, kiwał głową, lecz podoficer wiedział, że kadet mu nie wierzy. Nie kupił tej historii o pewnych rzeczach w życiu... Slight nie uwierzył, ponieważ on, starszy sierżant, sam w to nie wierzył. Spojrzał na Slighta. Kadet był czerwony, spocony, młody, przystojny, i sierżant już wiedział, że musi mu wszystko opowiedzieć.

- Taaak. Afera z tym Davidem Handem. Wielka chryja.

Wielka. Zaczęła się w dniu, kiedy go znaleziono. Trwała przez cały Czerwcowy Tydzień. Kiedy przechodziłem na emeryturę, jeszcze się nie skończyła. Zaraz, zaraz, niech sobie przypominę... tak, równe dwa tygodnie temu. I ciebie tu ściągnęli, co?

- Tak, starszy sierżancie.

Do podoficera zwracało się słowami „tak, starszy sierżancie”, a do oficera „jessir”. Taki był zwyczaj.

- Daj spokój z tymi bzdurami. Możesz mi mówić nawet Pyzata Gębo. Nie obrażę się. Czy wiesz, dlaczego przezywano mnie Pyzata Gęba? Sierżantem w plutonie zostałem, gdy miałem zaledwie dziewiętnaście lat, byłem młody i pyzaty. Najlepiej mów mi Ed. To też przezwisko.

- Dobrze.

Slaight był zdenerwowany. Zawsze czuł zakłopotanie, kiedy ktoś starszy... ktoś wyższy szarżą... prosił go, by zachowywał się nieformalnie.

- Po co cię wezwano?

- Poznałem szczegóły z sekcji zwłok tego chłopaka. Przypadkowo. Jak tylko dowiedzieli się o tym, zadzwonili do mnie.

- Myśle.

Sierżant pociągnął łyk piwa i popatrzył przez okno. Pani Eldridge oglądała szkice Irit. Oglądała je z wyraźnym zainteresowaniem. Śmiała się. Irit była bardzo zadowolona.

- Pozwól, że coś ci powiem, Ry. Dwa tygodnie temu jeszcze bym ci tego nie mówił. Ale wiesz... jutro się przeprowadzamy. Przenosimy się do Santa Fe w Nowym Meksyku. Wybrałem to miejsce z mapy. Nigdy tam nie byłem. Po prostu jedziemy w ciemno. Dziwne... Pierwszy raz w życiu wybrałem coś z mapy.

Eldridge pociągnął ostatni łyk piwa z butelki i wyciągnął z lodówki następną.

- W wojsku nieustannie coś się dzieje. Cholerne inspekcje, manewry w Niemczech... cholerne wojny. I właśnie osobiście zetknąłeś się z jedną z takich gównianych afer.

Sierżant otworzył butelkę i zapatrzył się w okno.

- No tak - mruknął Slaight, jakby wiedział, o czym Eldridge mówi, a nie miał zielonego pojęcia.



- Tak więc masz swoją głównianą burzę. Jest tak wielka, że jej nie dostrzegasz. Mówię ci, Ry, ostatnie dwa tygodnie w budynku siedemset dwadzieścia przypominały oko cyklonu. Wiesz, jak to jest. Wokół piekło, a w środku absolutny spokój i cisza. Nawet szmeru wiatru. Tak właśnie ma się sprawa z utopionym rekrutem. Cisza. Jest to jedna z tych sytuacji, o jakich nie wspomina żaden oficjalny biuletyn. Lepiej cicho siedzieć i bacznie się rozglądać, synu. Znaczy to bowiem, że jest bardzo niedobrze. Jak w Wietnamie. Nic nie słyszysz, nic nie widzisz, więc podnosisz głowę i rozglądasz się po koronach drzew w poszukiwaniu snajperów. Patrz w górę, nie pod nogi. To samo dotyczy nieżyjącego rekruta. Trochę powypytywałem.

Starszy sierżant umilkł i z uwagą obserwował twarz Slaigh-ta. Był to rytuał, który w przeszłości odprawiali tysiące razy.

- Rozumiem - powiedział ponaglająco Slaight.

- Nie, nic nie rozumiesz - zaprzeczył z pełnym przekonaniem Eldridge. - Tak mocno zakręcili ten słoik, że zajęło mi tydzień, zanim się do czegoś dogrzebałem, ale nie było to nic istotnego. Same bzdety i plotki. W następnym tygodniu, tuż przed moim przejściem na emeryturę... - Urwał i pociągnął z butelki solidny łyk. - Tuż przed moim przejściem na emeryturę wstąpił do mnie jeden z urzędników z kwatery głównej i trochę sobie pogawędziliśmy. Był przerażony. Powiedział, że jego kumpel z kwatery głównej wyznał mu w tajemnicy, iż tydzień wcześniej trzech żandarmów wysłano ciupasem do Korei... Dosłownie z dnia na dzień. Pełnili służbę w Buckner i byli zamieszani w sprawę martwego rekruta. Tak mi powiedział. Później zniknęli. Mój kumpel zaczął dyskretnie węszyć. To sprawa pułkownika Kinga... mówię o wysłaniu żandarmów do Korei. Domyśliłem się, że King siedzi w jakimś gównie po uszy, ponieważ widziałem, jak nieustannie lata do biura komendanta. W ostatnim tygodniu mojej służby miałem masę wolnego czasu, więc włóczyłem się po okolicy. U Hedgesa pojawiał się mniej więcej dwa razy dziennie. Wywnioskowałem z tego, że składa jakieś raporty.

Starszy sierżant dokończył piwo.

- Chcesz następnę?
- Bardzo chętnie.

- Cóż, wiedziałem, że słoik został mocno zakręcony. Z podobną historią zetknąłem się przed laty - mówiono o niej „lewitacja o północy”. Pozbyli się chłopaka w ciągu jednej nocy. Zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wracając do sprawy. Któregoś dnia pułkownik, mam na myśli Kinga, wybierał się po lunchu na kort tenisowy. Rzucił na krzesło stojące obok biurka dużą torbę i powiedział: „Czy możesz popilnować tej torby, Eldridge?” Powiedziałem, że chętnie. Później zamknąłem się w jego biurze i przejrzałem zawartość torby... Wiesz, żeby przekonać się, czy nic z niej nie zginęło.

Eldridge roześmiał się szeroko i pociągnął z butelki.

- Jasne - mruknął Slaight.

Klasyczna logika sierżantów.

- KST. Kryj Swój Tyłek. To dobra zasada. Tak więc przejrzałem zawartość torby. Zajęło mi to godzinę. Wszystkie papiery dotyczyły rekruta Davida Handa. Nie mieściło się to wprost w głowie. Mieli pełną dokumentację, znali każdy szczegół z jego życia, zarówno w akademii, jak i poza nią. Dane wywiadu i tak dalej. Wszystkie informacje były oznaczone „czerwoną chorągiewką”... wiesz, takie malutkie czerwone kwadraciki oznaczające „ściśle tajne”.

Eldridge znów zamilkł.

- I co dalej? - ponaglił Slaight.

- Nie zapamiętałem wszystkiego. Chyba to rozumiesz, ale gdyby zechcieli mnie przesłuchiwać... cóż, nie wiedziałbym nawet, jak ta torba wyglądała. Rozumiesz, mam swoje lata. O, tutaj dostałem szrapnelem... - Eldridge pochylił się w stronę Slaighta i pokazał mu bliznę za uchem. - Odniesiona rana... fatalnie wpłynęła na moją pamięć. Kapujesz?

- Pewnie.

- Slaight, jesteś porządnym człowiekiem. Cholernie porządnym człowiekiem. Lubię cię. Więc powiem ci, że dogrzebałem się trzech rzeczy w tej torbie. Słuchasz mnie?

- Jak wszyscy diabli, starszy sierżancie.  
- Po pierwsze, chłopak był homoseksualistą. Potwierdzały to wszystkie dokumenty. Był zboczony, to pewne. Łapiesz?

- O tym wiedziałem.

- Doskonale. Druga rzecz. W torbie znajdowały się dwie, powtarzam: dwie kopie raportu z sekcji zwłok. Obie podpisane przez tego samego majora ze szpitala. Chcesz jeszcze piwa?

Eldridge odstawił pustą butelkę i otworzył lodówkę.

- Dzięki, będę jeszcze prowadził samochód.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

- W porządku. Mamy zatem dwa dokumenty z autopsji. Różnią się od siebie. Różnią całkowicie. Jeden stwierdza, że chłopak był ciotą, sperma i te rzeczy. Podejrzenie, że Hand jest ofiarą morderstwa. W drugim ani słowa o pedałstwie. Ani słowa o morderstwie. Utonięcie. Wypadek. Woda w płucach. No, wiesz... Oba raporty podpisane przez tego samego majora. Nie pamiętam, jak się nazywał. Uznałem, że to trochę dziwne... Dwa raporty z sekcji zwłok, a trup tylko jeden. I cała ta otoczka, czerwone chorągiewki na dokumentach stwierdzających, że był ciotą. Nie wiem, do czego Kingowi potrzebne były te dwa raporty z sekcji. Oba były fotokopiami. Widziałem na własne oczy.

- Jezu!

Slaight gwizdnął przez zęby jak Leroy Buck.

- Tak, Jezu. No więc przestudiowałem oba dokładnie.

I tu dochodzimy do sedna. W dokumentach przewijało się to samo imię i nazwisko: William Beatty. Za cholerę tego nie rozumiem. Pojawiało się we wszystkich plociuchach z czerwoną chorągiewką. Występowało w listach. Na fotokopiiach transkrypcji rozmów telefonicznych.

Starszy sierżant znów pociągnął z butelki.

- Tak?

Slaight robił wszystko, by nie okazywać podniecenia.

- William Beatty. Jakiś cywil z Departamentu Obrony w Pentagonie. Wszystko wskazuje na to, że dobrze znał Davida Handa. Jedno mnie zastanawia. Nazwisko Beatty'ego pojawia

się w listach z Pentagonu, w listach od generałów, w listach do Kinga, w listach do komendanta, w korespondencji generałów z Pentagonu do siebie, listy Beatty'ego do wszystkich tych osób. Wszędzie go pełno. Zupełnie jakby sam się wpychał. To nie oni go szukali. To on szukał ich. Mam na myśli Kinga i Hedgesa. Co zaś do reszty, co do tych typków z Pentagonu, to nie wiem. Nie wiem, kim jest ten Beatty, ale mogę ci o nim powiedzieć jedno. Wszyscy to jego kumple. Listy zaczynały się: „Drogi Billy”, „Drogi Tommy”, „Drogi Dave”... Smarował cukrem wszystkie dupska jak Pentagon długi i szeroki. Jest również na ty z Kingiem i Hedgesem. Jestem pewien, że William Beatty pomieszkiwał w dupsku martwego rekruta. Lepiej. Gdybym miał opierać się tylko na plociuchach, powiedziałbym, że siedzi w tej sprawie po uszy. Zapamiętaj, Slaughter. William Beatty. To wszystko, co mogę ci na ten temat powiedzieć.

- Dzięki, sierżancie.

Slaughter jednym haustem dopił piwo.

- Czy w czymś ci pomogłem, synu?

Eldridge wpatrywał się w twarz Slaughtera. Kadet miał w głowie kompletny zamęt.

- Jasne, starszy sierżancie. Beatty. Znam go. Znam. Jezu! To jest najbardziej tajemnicze w tej sprawie... Bardziej niż dwa raporty z sekcji zwłok.

- Pozwól, chłopcze, że powiem ci coś jeszcze. Nie chcę o niczym wiedzieć. Kapujesz? Zachowaj wszystko dla siebie. Ale jeśli chcesz mojej rady, na twoim miejscu spierdalałbym od tej sprawy jak najdalej i najszybciej, jak pozwoliłyby mi na to moje małe nóżki.

- Rozumiem.

- Jesteś na urlopie, Ry?

- Cóż... Jeśli wezwanie mnie przez komendanta można nazwać urlopem... Tak, jestem na urlopie.

- Zadzwonili do ciebie, żebyś natychmiast się u nich pojawił?

- Wytropili mnie. Na podstawie formularza urlopowego w kwaterze głównej pułku. Wszystko tam mają. Niewielki kłopot.

- Wyznam ci coś w sekrecie, Slaughter. Zanim stąd wyjadę, zamierzam wpaść do budynku siedemset dwadzieścia... No, wiesz, pożegnać się i te rzeczy. Posłuchaj. Wracasz teraz do Nowego Jorku. Tak?

- Właśnie.

- A więc nie będziesz wiedział, że twój formularz urlopowy wyparował?

Starszy sierżant śmiał się od ucha do ucha.

- Skąd mam wiedzieć, co dzieje się w Wu Pe, skoro przebywam w Nowym Jorku.

- A więc zostaw to mnie. Uwierz mi, znacznie ważniejsze dokumenty niż formularz urlopowy jakiegoś francuskiego kadeta znikają bez śladu, i to z powodów o wiele mniej ważnych. Czy przyjmiesz jeszcze jedną radę starego sierżanta?

- Oczywiście, słucham.

- Wojsko podarowało ci tylko trzydzieści dni... Trzydzieści dni na cały pierdzielony rok... - Eldridge ruchem głowy wskazał okno, za którym na tarasie rozmawiały pani Eldridge i Irit. - Wykorzystaj je w pełni.

Eldridge wybuchnął hałaśliwym śmiechem i szturchnął Slaughtera w brzuch.

- Tego możesz być pewien, starszy sierżancie.

- Mówiłem ci, żebyś dał sobie spokój z tym szajsem.

- No tak... Jezu, starszy sierżancie! Dla mnie zawsze zostaniesz starszym sierżantem... Podobnie jak dla wielu chłopaków. Chryste! Czy tylko dlatego, że armia już cię nie chce, mamy... mamy o tym zapomnieć?

Sierżant objął muskularnym, opalonym ramieniem Slaughtera i mocno go do siebie przytulił. Kadet popatrzył mu w oczy. Podoficer oddał mu spojrzenie.

- Nie zapomnisz, Ry. Jestem tego pewien. Cholera, co za szajs!

- O czym mówisz, starszy sierżancie?

- O West Point. Całe życie spędziłem w wojsku, ale nigdzie nie było tak jak tu. Do licha, znałem różnych chłopaków i wielu starych sukinsynów. Kiedy armia zamieniała konie na czołgi, myślałem, że wszystko diabli wezmą. Przeżyłem wiele zmian, Slaughter. Powiem ci coś. Dopóki tu nie trafiłem, nie wiedziałem,

że w wojsku może tak być. Jako zwykły szeregowiec służyłem pod rozkazami absolwentów West Point, ale gdyby któryś z nich opowiedział mi o tej akademii, nie uwierzyłbym mu. Nie uwierzyłbym. Natknąłem się tu na taki szajs... Wszyscy tu sobie podkładają nawzajem świnię... Nie mogę się temu nadziwić. Cieszę się, że idę na emeryturę. Jestem tylko starym wojakiem, ale powiem ci coś. Teraz, gdy poznałem West Point od podszewki, sądzę, że ludzie mojego pokroju nie nadają się do armii. To nie jest moje wojsko. Rozumiesz, co mówię? Nie moje. I bardzo mnie to smuci. Na dzwony piekiel, może nigdy nie było. Któż to wie?

Kiedy szli w stronę drzwi prowadzących na taras, Eldridge jeszcze raz pociągnął Slaughta za ramię.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebować, dzwoń do informacji w Santa Fe. Urządź się tam w ciągu kilku dni. Poproś Leroya Bucka, żeby nie zrywał ze mną kontaktu. I Johna Lugara. Cholera jasna, będzie mi was, chłopcy, brakować.

Slaught nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał.

- Irit Dov. - Starszy sierżant objął dziewczynę. - Irit Dov. Twój tata jest w Izraelu generałem, prawda? W zeszłym roku czytałem o nim w gazetach. Chodziło o tę wojnę.

- Tak, starszy sierżancie.

- No nie, ona też! Daj spokój. Mów mi Ed.

- Z nią również ci się nie uda, starszy sierżancie - wtrącił z uśmiechem Slaught. - Ona jest sierżantem rezerwy w wojsku izraelskim.

- Do diabła! Stary nie ma już żadnych szans! W porządku, Irit. Dbaj o tego młodego człowieka. Obiecujesz?

- Obiecuję, starszy sierżancie.

Po krótkim pożegnaniu wsiedli do mercedesa. Krótkie pożegnania. Tak w wojsku było zawsze. Ostro. Czysto. Szybkie rozstania.

Z budki telefonicznej w Highland Falls Slaught zadzwonił do majora Consora i zrelacjonował spotkanie z Hedgesem oraz starszym sierżantem. Jeśli nawet lekarza poruszyła wiadomość o dwóch odmiennych raportach z sekcji zwłok podpisanych

jego nazwiskiem, nie dał tego po sobie poznać. Consor potrafił po mistrzowsku nad sobą panować. Zupełnie jakby okazywanie emocji było przestępstwem. Poprosił jedynie, by informację o sprzecznych raportach Slaughter zachował dla siebie i zadzwonił, gdyby wynikły jakieś nowe okoliczności.

Do Nowego Jorku wracali w zapadającym zmierzchu. W milczeniu. Irit bacznie przyglądała się Slaughterowi. Ry, jak to miał w zwyczaju, uwagę skupiał bez reszty na kierownicy, ale ona wiedziała, że głęboko nad czymś rozmyśla. Widać to było po jego twarzy, po zmarszczonym czole, po grymasie wyrażającym najgłębszy niesmak. Slaughter nigdy nie potrafił ukrywać miotających nim emocji. Irit była z tego bardzo rada, gdyż dzięki temu sprawowała nad wszystkim kontrolę i od razu wiedziała, że dzieje się coś niedobrego.

Nie zadawała żadnych pytań. Znała Slaughtera i wiedziała, że gdyby zaczęła wypytывать, warknąłby na nią. Zawsze tak było przez pierwszych kilka dni, kiedy opuszczał akademię. Wiedziała, że zrugalby ją, a później obwiniał o wszystko „West pieprzony Point”. Zawsze tak mówił. West pieprzony Point. Klócili się ze sobą i walczyli, on srożył się, odymał, uciekał... odpływał, jak to nazywała... a kiedy już dochodził do siebie, wszystkiemu winien był West pieprzony Point.

West Point winił za wszystko. Za swoje humory, błędy, porażki, uchybienia. Jemu też zawdzięczał swe talenty, umiejętności, maniery, rozeznanie dobrego i złego, czułość. Przez niego wybuchał gniewem, czuł gorycz i żal. Ale na swój sposób West Point chronił Rya Slaughter. West Point bronił go przed nim samym - przed jego prawdziwą jaźnią - ale on o tym nie wiedział.

Zaparkowali mercedesa 190-SL w garażu i poszli do mieszkania Irit. Po drodze otworzyli skrzynkę na listy.

- Ry, jest list do ciebie. Odesłano go z West Point, dokąd był zaadresowany.

Koperta była różowa, najwyraźniej list pochodził od kobiety. Slaughter unikał wzroku Irit. Jechali windą w milczeniu. Mi-jane piętra sygnalizował krótki dzwonek. W apartamencie

Irit natychmiast zniknęła w kuchni, gdzie zaczęła przygotowywać kolację. Slaughter rozsiadł się na kanapie, ściągnął przeproconą koszulę, buty i skarpetki, wygodnie rozparł na miękkich poduchach i otworzył list.

20 czerwca 1968

152 Chartres St.  
Nowy Orlean

Drogi Ry

Mój brat nie żyje, podobno utonął. Pochowaliśmy go w rodzinnej kwaterze, obok grobu mego dziadka. Płakałam przez dwa tygodnie. W końcu przestałam, ale dziś już nie mogę wytrzymać. Przejrzałam wszystkie listy, jakie w ciągu ostatniego roku napisał do mnie. Dzisiejszego popołudnia jeszcze raz przeczytałam całą korespondencję. We wszystkich listach pisał wyłącznie o Tobie; Ry Slaughter to, Ry Slaughter tamto, Ry Slaughter taki i taki, widziałem Rya Slaughtera w kinie, widziałem Rya Slaughtera gdzieś indziej, robił to, robił tamto, słyszałem, jak Ry Slaughter mówił, i tak dalej, i tak dalej.

Teraz nie żyje i leży w ziemi. Ani przez chwilę nie myślałam, że to był wypadek. Jestem pewna, że masz z tym coś wspólnego. Choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokonam w tym życiu, dojdę prawdy. A wtedy Ty za to zapłacisz.

Samantha Hand

Slaughter odrzucił list na kanapę i oparł głowę o oparcie. Jezu Chryste! Samantha Hand. Właśnie dzisiaj.

Gdy do pokoju weszła Irit z tacą kanapek z serem, natychmiast dostrzegła leżący na kanapie list.

- Ry? O co chodzi? Powiedz.

Bez słowa wręczył jej papier.

- Ry, nie powiedziałaś mi, o co chodzi. Nie pytałam, bo zdawałam sobie sprawę, że musisz spotkać się z tym człowiekiem, z komendantem, i pogadać ze starszym sierżantem. Wiedziałam, że potrzebujesz czasu, by sobie wszystko uporządkować w głowie. Ale to?

Podniosła list nad głowę.

- Co to znaczy? Chcę wiedzieć. Mam prawo wiedzieć. Ry, ta



historia cię zniszczy. Zniszczy nas. Powiedz mi, proszę. Musisz mi wszystko wyjaśnić.

Slaight dźwignął głowę z oparcia kanapy i popatrzył na Irit. Była niewiarygodnie piękna. Trzęsły mu się ręce. Zwinął się w kłębek i ukrył głowę w ramionach. Irit podeszła do kanapy i zanurzyła palce w jego włosach.

Był śmiertelnie zmęczony, ale ona miała rację. Sprawa zżerała go żywcem. Rozpadał się na kawałki. Wiedział, że rozpaczliwie potrzebuje Irit. Potrzebuje jej pomocy.

- Irit, to bardzo długa historia. Powiem ci wszystko, co wiem, ale najpierw muszę się napić. Daj mi pełną szklanekę bourbona z lodem, a wszystko ci opowiem. Zaczynając od pierwszego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Opowiem w najdrobniejszych szczegółach; wszystko, co wiem o tym pieprzonym duchu, Davidzie Handzie.

# *Księga III*

David Hand

Lipiec 1967

## 18.

Gazety określiły to lato mianem długiego i gorącego. W Detroit, Newark, Watts i Nowym Jorku trwały zamieszki, wybuchaly bomby, na ulicach widać było hełmy Gwardii Narodowej. Do języka na stałe weszło słowo „wandalizm” na określenie rozpasanych, bezcelowych aktów niszczenia. Na Środkowym Wschodzie również było niespokojnie, ale trwało to krótko. Z jakichś niezrozumiałych względów nazwano ten okres Latem Miłości.

West Point nie dał się jednak oszukać. Całe to szaleństwo na ulicach - wrzaski, tupania, okrzyki, podpalenia, demonstracje, muzyka i długie włosy - wszystko to miało znaczenie. Zwłaszcza włosy. W długich włosach było coś niepokojącego i buntowniczego. Podobnie jak rock and roll - kocia muzyka Ameryki. A tego lata hałas był tak wielki i włosy tak długie, że aż niebezpieczne. Stanowiły siłę czerpaną z wyglądu. Zjawisko to nie miało wymiaru. Przychodziło znikąd, odchodziło donikąd i wymykało się wszelkiej kontroli.

Była to władza w najsubtelniejszej formie: władza, za którą nie stały pieniądze. Taki rodzaj władzy mogła mieć jedynie garstka ludzi z West Point - klasa wojowników. Historycznie rzecz biorąc, ich potęga polegała na umiejętności czekania na stosowną chwilę, kiedy będą mogli wreszcie wyruszyć na wojnę i zmienić oblicze świata. Świat tymczasem, jak w latach dwudziestych i trzydziestych, zapomniał o wojnie, krzątał się wokół własnych spraw, wytwarzał dobra materialne i usługi, gromadził

dobytek, ziemię i pieniądze. Klasa wojowników, rezydenci West Point, rezygnowała z pieniędzy. Wojownikom nigdy nie płacono dobrze, kazano jedynie służyć. Służba była powołaniem i nie dawało się do niej w żaden sposób przyłożyć miary świata cywilów. Potęga klasy wojowników polegała na tym, że ludzie ci gotowi byli zabijać, a ile to mogło być warte? Jak to przeliczyć na pieniądze? W historii żołnierze zawsze byli źle opłacani, przepracowani, a mimo to armia stanowiła siłę, której nikt nie odważył się prowokować.

Latem 1967 roku ich potęga została wyzwana. Wojownicy zostali uwikłani w wojnę odległą od ich kraju o dziesięć tysięcy mil; w wojnę, która wcale nie odmieniła oblicza świata. Zwykli zjadacze chleba wracali do domów - dzieciaki, gospodynie domowe, studenci, ojcowie, kongresmani, senatorowie, słowem obywatele - i mówili, że tej wojny nie da się wygrać i należy ją jak najszybciej skończyć. Natychmiast. Chłopców wracających z wojny nie witały fanfary, nie czekały na nich huczne parady i ukwiecone orkiestry. Wracali po cichu. Autobusami linii Greyhound jechali na trzy miesiące do jakiejś zapadłej dziury, jak Fort Bragg, Fort Polk czy Fort Leonard. Pojawiało się coraz więcej ludzi, których nie interesowały dobra doczesne, ziemia czy pieniądze, tylko nieustannie zawodzili nowennę o pokój. Tego było już za wiele. W poprzednim roku, po raz pierwszy w stuścisiedziesięcioletniej historii akademii, West Point rozpoczął rekrutację w gimnazjach. Współzawodniczył z werbownikami innych uczelni, zupełnie jakby był jedną z wyższych szkół. Wszędzie były długie włosy.

Należało coś z tym zrobić, by podkreślić odrębność West Point. Zaczęto kadetów strzyc. Miało to pewien sens. Krótkie włosy stanowiły symbol. Na bokach głowy tak krótkie, że widać było białą skórę. Czupryna miała dwa centymetry długości, z tyłu nieco dłuższa, by po wymyciu i natarciu żelem przypominała włosy. Czupryny stały się obsesją akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych, obsesją jednego człowieka - generała brygady Charlesa Sherrilla Hedgesa, świeżo upieczonego komendanta kadetów, który wrócił właśnie z Wietnamu w nimbie sławy i bohaterstwa. Wymyślił fryzurę kadetów jako symboliczną fosę,

którą należy przekroczyć, aby dostać się do West Point i zostać kadetem. Latem 1967 roku krótkie włosy jak nic innego charakteryzowały akademię wojskową, znaczyły kadeta, znaczyły męczyznę.

Dla chłopaków, którzy latem 1967 roku przybywali do akademii z pięćdziesięciu stanów i kilkunastu państw, West Point stanowił miejsce wymarzone przez Tomka Sawyera.

Kiedy z autobusu, który przybył z Nowego Jorku, wysypywali się kandydaci na kadetów i przekraczali bramę West Point, akademia leżała przed nimi zatopiona w czasie jak mucha w bursztynie, dokładnie taka sama, jak ją przedstawiano w nocnym programie telewizyjnym „Długa szara linia”, sławna z dorocznego meczu footballowego wojska lądowe kontra marynarka, z czytanych w niższych klasach gimnazjum książek Reda Reedera. Po lewej stronie rozciągał się plac musztry wyznaczony dawnymi stajniami, przekształconymi w magazyny i biura. W oddali majaczyły koszary wybudowane w latach dwudziestych, długie ceglane budynki z tarasami i z oknami od podłogi do sufitu.

Po prawej stronie, na granitowym pagórku o rozmiarach boiska piłkarskiego, znajdował się hotel Thayer. Główny hol zdobiły proporce bojowe, na ścianach wisiały emblematy pułkowe. Nad wszystkim dominował granit... Olbrzymie głazy sterczące ze zboczy, wykute w granicie ulice, wzdłuż których stały budynki. Granit, granit i jeszcze raz granit. Nad koszarami wznosiło się kolejne granitowe wzgórze, na którego szczycie umieszczono kaplicę; budowlę zaprojektowano w taki sposób, by późnym popołudniem rzucała, cień na całą akademię. Kaplica kadetów przypominała katedrę z szarego kamienia. Wpuszczone w skałę fundamenty sprawiały wrażenie, że granitowa góra i świątynia stanowią nierozdzielalną całość. Mury wieńczyły blanki jak w europejskich zamkach, do mrocznego wnętrza prowadziły wielkie dębowe wrota. Cała budowla była zimna i szara, jak skały, na których tkwiła.

Wzdłuż uliczek, pooddzielane rozległymi trawnikami, ciągoty się piękne, stare, ceglane, z drewnianymi elementami

architektonicznymi kwatery oficerów. Zdobiły je białe tablice ze starannie wypisanymi nazwiskami i szarżami mieszkańców. Domy były na ogół parterowe, z dobudowanym piętrem na sypialnie o mansardowych oknach. Wysokie na cztery metry pomieszczenia na parterze, salon z kominkiem, mosiężne klamki w drzwiach, w łazienkach krany z kryształowymi gałkami, marmurowe umywalki i wanny, dębowa klepka na podłodze, ocienione sosnami werandy z wiklinowymi fotelami i stolikami, dęby i czerwone klony porastające trawniki... Ostateczny efekt przywodził na myśl czcigodną przeszłość akademii, dawał pewność ciągłości tradycji. Budynki, trawniki i otaczające je ogromne bryły granitu dawały poczucie siły. Taka właśnie była akademia. Stojąca na granitowej opoce od stu sześćdziesięciu pięciu lat szkoła wojskowa zapewniała spokój, jakiego trudno było szukać za jej bramami.

Wewnątrz akademii panowała atmosfera odosobnienia. Latem 1967 roku jej rezydenci cieszyli się dobrym samopoczuciem wynikającym z poczucia istnienia celu bliższego i dalszego. Bliższy cel to przetrwać kolejny dzień, tydzień, rok. Lekcje historii, o której wojownicy zawsze pamiętali, nauczyły ich, że wszystko przemija, nawet niechęć do wojskowości. West Point będzie trwał zawsze.

Dalszym celem było istnienie samej szkoły, która przekazywała wiedzę kadetom i tworzyła wyselekcjonowaną grupę młodych mężczyzn. Kadetów. W West Point dyplom ukończenia czteroletnich magisterskich studiów wyższych nie był najważniejszy. Liczył się „styl życia”. Akademia miała swoje ideały: konserwatywny idealizm oparty na etyce, której szczytne cele, zasady i wiedza dostępne były jedynie wybranym. Z czasem etykę tę przystosowano do wymogów współczesnego świata, rozluźniono gorset przepisów, ale w West Point pozostała ona niezmienną od 1802 roku, kiedy to Kongres, wspierany przez prezydenta Thomasa Jeffersona, powołał do życia akademię.

W niespokojnych czasach, jakie nastąpiły w Ameryce po rewolucji, ludzie zachowywali się tak samo jak przez ostatnie stulecie. W roku 1797 prezydent George Washington prosił Kongres o utworzenie akademii wojskowej, argumentując,

że sztuka wojenna „doprowadzona do perfekcji stanowi największe zabezpieczenie normalnego funkcjonowania narodu”. Washington i Jefferson wzorowali się na Francji i Anglii i dziś jest tak samo. Zamiast historii wojskowości w West Point wyklada się „zasady sztuki wojskowej”.

W taki właśnie sposób w egalitarnej próżni raczkującej demokracji zrodziła się elita ludzi studiujących sztukę wojenną. W łonie systemu, który zdecydowanie odrzucił władzę królewską, zrodziła się nowa elita, oparta bardziej na osiągnięciach niż na związkach krwi, ale skutki były takie same. Wybrańcy przyjmowani do akademii wojskowej wybijali się ponad przeciętność. Taki był cel. Gra toczyła się o wielką stawkę. O West Point śniło wielu amerykańskich chłopców. W oczach Ameryki West Point zawsze stał znacznie wyżej od innych uczelni. Liczył się tylko on i nie istniał większy honor niż przyjęcie do West Point. Status kadeta był marzeniem. Słowo „kadet” brzmiało dźwięcznym echem w Długiej Szarej Linii, tradycji mocno i nierozzerwalnie związanej z zapachem potu, skóry i żelaza.

Lecz żeby zostać kadetem, najpierw trzeba być rekrutem i odbyć dwumiesięczne intensywne ćwiczenia, zwane chlewnią. Dzięki rekrutom akademie mogła funkcjonować, a dla kadetów z wyższych klas „chlewnia” pełniła funkcję ćwiczebną. To, co w uczelniach cywilnych było skrzętnie skrywane - na przykład w Ivy League za zamkniętymi drzwiami Klubu Czaszki i Kości lub Klubu Porcelany - w West Point działo się otwarcie i wynikało z całkowitego odcięcia akademii od reszty świata, jak w klasztorze tajemny kult uprawiany za kamienną fasadą, nietkniętą zębem czasu od ponad półtora wieku.

A wszystko to sprowadzało się do jednego: aby zostać wojownikiem, kadet musiał pojąć, co to znaczy toczyć wojnę... zrozumieć starożytnych Greków, poznać średniowieczne rytuały inicjacyjne. Ale akademię wojskową napędzało jeszcze coś innego - nieludzki stosunek człowieka do człowieka. „Chlewnia” stanowiła pożywkę, na której kwitły owe starożytne obyczaje. „Chlewnia” stanowiła przykład.

Tak więc tego lata w West Point wykopano symboliczną transeję. Króciutkie włosy, spodnie zaprasowane w kanty

ostre jak brzytwa, wykrochmalone koszule nienagannie odprasowane, buty lśniące jak lustro. Tradycja królowała. Pierwszego lipca 1967 roku, tak jak każdego roku, rozpoczęła się „chlewnia”. Trzeba było przekonać naród, iż akademia niezłomnie trwa. Generałowie byli zdecydowani: kraj mógł zejść na psy, ale West Point nie uрони z tego powodu kropki krwi.

Ostatniego dnia czerwca w hotelu Thayer zakwaterowano chłopców z cywila. Mieli tam spędzić ostatnią noc przed wejściem w Życie.

Słowo „kadet” wypowiedano nabożnym szeptem, jak w konfesjonale. Chłopcy rozmawiali ze sobą jak w internacie.

„Widziałeś kadetów przed koszarami?”

Jasne.

Widziałeś wyraz ich twarzy? Srogi, bezlitosny?

Jasne.

Widziałeś, jak stali... Jak na nas patrzyli?

Jasne.

A słyszałeś o tym wyciu w koszarach? Któryś z chłopaków tamtędy przechodził i powiedział, że kadeci naprawdę się wydzielali. Powiedział, że szykowali się. Szykowali na jutro.

Słyszałem”.

Chwila milczenia.

„I co ty o tym myślisz?”

Milczenie. Próbowali o niczym nie myśleć.

„Nie wiem.

Sądysz, że wytrzymasz. Mam na myśli »chlewnię«.

Chyba tak... Tak, na pewno. Wytrzymam.

Ja też. Ale niektórzy z nas przypominają cipy. Tak wyglądają.

Jasne. Widziałeś tego palanta z kijami golfowymi i resztą szpeju? Chyba wysiadł na niewłaściwym przystanku”.

Śmiech.

W hotelu Thayer rozmowy takie ciągnęły się długo w noc, działały jak balsam na zmęczone mięśnie lekkoatletów. Duszna noc. Pełna szaleństwa i strachu. Hotel Thayer przypominał tej nocy bardziej klatkę niż hotel. Chłopcy niespokojnie wiercili



się w łóżkach, jak w noc przed wielkim meczem. Nie mieli zielonego pojęcia, co przyniesie następny dzień. O „chlewni” krążyły plotki. Przekazywano je sobie szeptem z łóżka do łóżka... Podobno pojawił się już instruktor letniego obozu.

Chłopcy z lata 1967 roku stanowili pokolenie, na którym ostatnie zmiany w kraju nie wywarły najmniejszego wpływu. Byli zbyt młodzi, by zrobiło na nich wrażenie zabójstwo Johna F. Kennedy'ego, zbyt młodzi, by pamiętać polityczną pustynię lat „Uwielbiam Ike'a”, zbyt młodzi, by angażować się osobiście w kazania Johnsona o pokoju z roku 1964, i zrazić się do wojny w Azji Południowo-Wschodniej. Byli młodzi, lecz bynajmniej nie niewinni. Przez dwa lata oglądali wojnę w telewizji i znali chłopców starszych od siebie, którzy chwyтали się wszelkich sposobów, by uniknąć poboru... Tak, ostatnie dwa lata niewątpliwie ich zahartowały. Pojawili się w West Point, gdyż zostali zwerbowani. Zwabiła ich fama, że akademia wojskowa da im to, czego nie zapewni żadna inna wyższa uczelnia. West Point obiecywał wprowadzić ich do ścisłej elity. I wszystko, co należało zrobić, to przejść przez „chlewnię”.

„Kiedy facet każe postawić torby, postaw je”.

Powiedział to w ciemności któryś z chłopaków, którego ojciec również ukończył akademię wojskową. Nikt nie wiedział, o czym on mówi, ale wszyscy słuchali z uwagą, kiwali głowami, zgadzając się w zupełności z tą radą.

„Jasne. Trzeba natychmiast postawić torby”.

Ktoś zachichotał. Ktoś inny głośno się roześmiał. Gdyby tak mogli ich teraz widzieć ich kumple... te wszystkie opowieści, jakimi będą ich raczyć za sześć miesięcy, podczas pierwszego urlopu na Boże Narodzenie... Niecierpliwie czekali świtu. Czekali, aż nadejdzie pierwszy lipca 1967 roku. Próbowali tłumić strach.

Niektórym ta sztuka się udała.

## 19

- Postawić torby na ziemi. Postawić. Czy pan rozumie?

*Pooo-stawić!* Kiedy mówię: postawić, to postawić.

Dawid Hand odstawił na beton dwie wojskowe brezentowe torby i unióśł głowę. Ujrzał przed sobą szare oczy w szczupłej, opalanej twarzy, ocienionej błyszczącym jak lustro skórzanym daszkiem białej czapki. Twarz wykrzywił dziwaczny grymas.

- Podnieść.

Słowa te nie zostały wykrzywane, lecz powiedziane spokojnym głosem, jakby „postawić torby” i „podnieść je” było o dziewiątej rano tego słonecznego dnia najnaturalniejszą komendą na ziemi. Głos był lekko schrypnięty w udawanej irytacji, ale nie na tyle, by nie budzić lęku. David Hand posłusznie podniósł torby.

- Postawić.

David Hand uśmiechnął się. Zakończył właśnie trwającą dwie godziny procedurę, w wyniku której odebrano mu cały dobytek cywila, ubrano go w spodenki gimnastyczne, podkoszulek i czarne podkute sznurowane buty. Następnie wręczono dwie podniszczone torby z brezentu, wypchane sprzętem wojskowym i mundurami, których potrzebować będzie przez kilka pierwszych dni „chlewni”. Hand roześmiał się, a następnie popatrzył w oczy kadeta, który pochylił się tak blisko, że twarze ich znalazły się kilka centymetrów od siebie. Hand uświadomił sobie, że dzieje się coś, czego zupełnie nie rozumie.

Facet krzychał i sprawę opuszczania i podnoszenia toreb traktował ze śmiertelną powagą. David Hand odchylił się do tyłu, kiedy kadet pochylił się w jego stronę. Przycisnął łokcie do boków, wypchnął do przodu miednicę i cofnął brodę, starając się uniknąć zetknięcia z twarzą kadeta. Hand wykrzywił swe ciało w ludzki znak zapytania.

Nie tylko David Hand. Cały plac apelowy wypełniony był podobnymi znakami zapytania, którym kazano wykonywać różne dziwne czynności, które bombardowano słowną

przemocą. Hand rozejrzył się. Istny kamienny dom wariatów... gorszy, niż sobie wyobrażał. Wokół roilo się od biegających chłopaków, gołe kolana zginały się rytmicznie, wszędzie migwały szare szorty i białe podkoszulki, ciężkie czarne buty z łoskotem biły w beton... I wrzaski! Zwierzęta! Warczące, kłapiące zębami. Inni stali sztywni jak na fotografii w lejącym się z nieba skwarze, prości jak wycior. Wrzaski i krzyki zdawały się dobiegać znikąd i ze wszystkich stron naraz. Nie widać było, by usta kadetów poruszały się. Twarze ocieniały daszki czapek, głosy płynęły z cienia, niosły się nad betonem, odbijały echem od ścian koszar, rozdzierały bębunki w uszach; tworzyły osobliwą muzykę. Słowa padały w staccato, jak werbel, zakończone ostro niczym trzask bata. Na swój sposób było to fascynujące i pociągające. David Hand wyobrażał sobie, że sam staje się ostry, szybki i pewny siebie, równie twardy jak rzucane komendy. Wyobrażał sobie, że powoli zamienia się w kadeta.

Kadeci przypominali dobermanów; szczupli, szarzy i groźni, nawet wtedy gdy stali tylko w niewielkich grupkach na końcu placu i obserwowali przebieg zdarzeń. Mieli na sobie szare spodnie, białe wykrochmalone bawełniane koszule, szare epolety i mosiężne insygnia, wszystkie lśniące i jasne, ciskające oślepiające lśnienia w blasku słońca. Byli jak atakujące węże, jak maszyny, których jedynym celem było przejęcie kontroli nad Davidem Handem i resztą kandydatów na kadetów - przejęcie całkowitej kontroli - kompletnej dominacji jednego człowieka nad życiem drugiego. Pierwszy dzień „chlewni” miał na celu otumanić, doprowadzić kandydatów na kadetów do całkowitego osłupienia, zdumienia tym, co się z nimi dzieje; osiągnano to za pomocą potężnego zastrzyku rozkazów pozornie chaotycznych. Rekrutom pozostawało jedno: słuchać i reagować. Hand był zafascynowany, zauroczony nowym doświadczeniem. Wszystko to było tak doskonale.

- Powiedziałem: postawić torby. Jest pan głuchy?

Hand odstawił energicznie toboły, które glucho uderzyły o beton.

- A teraz podnieść.

Hand pochylił się i zarzucił ich paski na ramiona.

- Postawić.

Głuchy łomot o ziemię.

- Niech je pan podniesie.

I znów na ramionach rekruta zawisły dwa ciężary. Hand pocił się, od słonych kropelek piekły go oczy, włosy miał zlepięone, po rękach i nogach spływały mu chłodne strużki.

- Powiedziałem: postawić. Postawić torby.

Twarz kadeta znów znalazła się w odległości kilku centymetrów od nosa Handa. Rekrut poczuł jego ciepły oddech. Zaskoczony, znieruchomiał.

- Niech pan postawi te torby. Kiedy mówię: postawić, to postawić. I nie ociągać się.

Bęc!

- Za wolno, proszę pana. Czy pan to rozumie? Rozumie mnie pan? Odpowiadać głośno, do cholery! Nie stoję tu dla przyjemności. Zrozumiano? A teraz...

Hand chwycił torby i przewidując kolejną komendę, opadł na kolana. Beton nieprzyjemnie drażnił skórę. Głos zniżył się, brzmiała w nim tłumiona furia. Hand, na kolanach, czuł emanujący od kadeta gniew, oczyma duszy widział występującą mu na usta pianę, ale nie podnosił głowy.

- Proszę pana, nie powiedziałem jeszcze, aby podnieść torby. Zrozumiano? Nie ruszać się na pieprzony centymetr. Ja podam komendę. Zrozumiał pan? A teraz: postawić je.

Bęc.

Hand, drżący ludzki znak zapytania, potężnie się pocił, był mokry jak świeżo wyprane prześcieradło. Na kadecie nie było kropli potu, owiewały go delikatne podmuchy wiatru, mówił cicho, prawie niedosłyszalnie.

- Nie podoba mi się pańskie nastawienie. Zrozumiano? Kiedy mówię, żeby podnieść torby, chcę zobaczyć iskry. Chcę słyszeć pański ciężki oddech. Chcę czuć pański ruch. Chcę, by szeleściły mi spodnie od pańskiego oddechu. Jasne:

- Tak.

- Głośniej!

- Powiedziałem: tak.

- Chciałeś, cymbale, powiedzieć „jessir”.

- *Yessir!!!*

- Głośniej, do cholery. Zrozumiano?

- *Yessir!!!*
- Podnieś je, cymbale, podnieś te torby. Żywo! Raz... raz... raz... raz!

Hand zwiął się jak w ukropie. Torby ciążyły mu na ramionach. Z każdym podniesieniem jakby nabierały wagi.

- No, lepiej. A teraz proszę posłuchać, i to uważnie. Masz mnie słuchać tak uważnie, jakby od tego miało zależeć twoje gówniane, nic niewarte życie. Postawić torby.

Bęc. Pot. Zimne strużki wilgoci.

- O to właśnie chodzi. A teraz proszę mnie posłuchać. Myśli pan, że jest, kurza twarz, cwaniaczkiem, który dostał się do szkoły wyższej, wielkim bohaterem, któremu przysła fantazja ukończyć West pieprzony Point. Cóż, przyszedł czas, by zmienić sposób myślenia. Czy to jasne?

- *Yessir!!!*

- Tutaj zaczniesz myśleć zupełnie inaczej. Zostaniesz, cymbale, rekrutem. Nowym kadetem. Właśnie tak! Ale nim zostaniesz nowym kadetem, teraz, dzisiaj, w tej minucie, jesteś tylko kandydatem na kadeta. Czy to jasne?

- *Yessir!!!*

- Mam cię, cymbale, nauczyć dwóch rzeczy. Dwóch prostych rzeczy. Stawać na baczność przed kadetem z czwartego roku, tak jakby to była twoja nowa natura. I trzech odpowiedzi. A teraz posłuchaj, cymbale. Słuchasz?

- *Yessir!!!*

Twarz Handa owiewał oddech kadeta, kiedy ten wypluwał urągliwe słowa. Z czoła spływały mu grube krople potu, płynęły po nosie, spadały na usta, brodę, barwiły na ciemno beton u jego stóp. Kadet dał krok do tyłu. Hand czekał.

- Wciągnij kałdun, cymbale! Wciągnij, wciągnij, wciągnij, wciągnij. Cofnij trochę biodra. I skieruj kciuki do ziemi.

Ziemia, cymbale, to to, co masz pod stopami, a nie to, co wysoko w cholernym powietrzu! Kciuki wzdłuż szwów szortów. Zagnij palce na pierwszych kłykciach. No, zagnij je; i wciągnij kałdun, cymbale, wciągnij kałdun i cofnij biodra. Wyprostuj ramiona i skieruj kciuki do ziemi!

Komendy padały jak z karabinu maszynowego i Hand robił wszystko, by przyjąć pozycję, jakiej żądał kadet. Czuł się jak strach na wróble. Wyglądał jak strach na wróble. Uśmiechnął się.

- Co za uśmieszki na twojej parszywej gębie, cymbale? Hand spowaźniał, zeszywniał.

- Myślisz, tępaku, że to takie śmieszne... Słuchasz?

- *Yessir!!!*

- Myślisz, cymbale, że to było paskudne. Poczekaj, polubisz drugą część. Posłuchaj mnie, i to uważnie. Bo powiem tylko raz. Zadzieraj swą tępą fasolę, cymbale, broda do góry.

David Hand nie miał zielonego pojęcia, o czym kadet mówi. Zamrugał oczyma i rozejrzał się wokół, by zobaczyć, co robią inni nowi, w nadziei, że coś podpatrzy. Po drugiej stronie placu dostrzegł inny laskonogi ludzki znak zapytania spoglądający w jego stronę, zapewne ciekaw tego samego, co Hand. Hand uśmiechnął się w duchu.

- Cymbale!

Hand błyskawicznie odwrócił głowę i skonstatował, że twarz kadeta znów znajduje się tuż przed jego nosem. Wyostrzył spojrzenie. Do oczu spływały mu krople potu. W cieniu rzucanym przez daszek czapki kadeta ujrzał jego oblicze. Miał zaczerwienione powieki i nabiegłe krwią oczy. Hand cofnął się, bojąc się po raz drugi spojrzeć kadetowi w twarz. Dopiero teraz dotarło doń, że kadet jest niższy od niego i musi wspinać się na palce, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Handa.

Kadet obniżył głos do syczącego szeptu.

- Cymbale! Jak się nazywasz, cymbale? Proszę mi łaskawie wymienić swoje imię i nazwisko. Myślisz, że to takie śmieszne... Cóż, zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

Głos kadeta ociekał kpina, jak czoło Handa potem.

- Nazywam się David Hand, sir.

- Co mówisz? Czy coś powiedziałeś? Nie usłyszałem.

- Powiedziałem, że nazywam się David Hand, sir. Sądzę że mówię wystarczająco wyraźnie.

- Sądziś, że mówisz wyraźnie. Spryciula z ciebie. Ej, Leroy! Ta mała fasola sądzi, że mówi wyraźnie. Czyż to nie sympatyczne?

Kadet zwracał się do innego kadeta stojącego nieopodal, jego rozbawiony ton wyraźnie mówił wszystkim zgromadzonym

kadetom, że trafił mu się tłusty kąsek. Kadet o imieniu Leroy wybuchnął śmiechem. Dręczyciel Handa zawtórował mu. Roześmiali się również stojący niedaleko inni kadeci. Śmiali się wszyscy. Hand zamrugał oczyma i zebrał w sobie resztkę odwagi. Kadet znów wbił w niego wzrok. Odważnie popatrzył w jego nabiegłe krwią oczy.

- Powiedziałem, że nazywam się David Hand, sir.

- Lepiej. Znacznie lepiej. Ale wciąż nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem. Powtórz, jak się nazywasz.

Hand pojął, że jest to jakaś gra, i przez chwilę głęboko się zastanawiał, szukał właściwej odpowiedzi, prostego zdania, które uwolni go od błaznującego kadeta. Przypomniał sobie.

- Nazywam się nowy kadet David Hand, sir.

Kadet cofnął się, głęboko wciągnął i wypuścił z płuc powietrze i pogardliwie parsknął. Następnie przybliżył usta do ucha rekruta, jakby chciał zdradzić sekret, który mieli znać tylko oni dwaj. Hand zdawał sobie sprawę z tego, że uwaga wszystkich zgromadzonych na placu kadetów skupiona jest na nich.

- Pańskie imię nie brzmi Nowy Kadet David Hand. Pańskie imię to Kandydat na Nowego Kadeta David Hand. Zrozumiano?

- *Yessir!!!*

Kadet znów stanął przed Handem, po czym cofnął się dwa kroki tak, że nieszczęsny rekrut mógł dokładnie widzieć całą jego postać. Do prawej kieszeni jego wykrochmalonej koszuli z krótkimi rękawami przypięta była czarna wizytówka z nazwiskiem wypisanym białymi drukowanymi literami.

SLAIGHT.

Tego nazwiska Hand miał nigdy już nie zapomnieć.

- Tak lepiej. Zaczynasz kapować, cymbale. Daj nam trochę czasu, cymbale, a jeszcze zrobimy z ciebie człowieka.

Choć chwilowo w to wątpię. Jesteś tępy. Tępy i paskudny. I cuchniesz. Dlatego nazywamy to chlewnią. Jesteś podczłowiekiem. Jesteś cymbałem, durniem, tępakiem, zwykłą fasolą... Słowem, cymbale Handzie, jesteś bydlęciem. Zrozumiałeś, matole?

- *Yessir!!!*

- Czy możemy kontynuować naukę, Kandydacie na Nowego Kadeta?

Głos Slaughta był pełen bezbrzeżnej pogardy.

- *Yessir!!!* - wrzasnął Hand.

Zaczynał już być zły.

- A więc przejdźmy do miłszej części, cymbale Hand. I słuchaj mnie, słuchaj dobrze, tępaku, ponieważ powiem to tylko raz. Zadrzyj swą tępą fasolę, broda do góry. Do góry, cymbale, do góry. Do nieba, głupku. Patrz na dach koszar za moimi plecami. Tak lepiej. Co tam widzisz, cymbale?

- Nic, sir!

- Proszę, proszę - odezwał się z przeciągłym, południowym akcentem kadet.

„Udaje tylko taki akcent - pomyślał Hand. - Wyraźnie wpada w przesadę”.

- Taaak, to bardzo niedobrze, tumanie. Lepiej naciesz oczy tym widokiem, ponieważ po raz ostatni gapisz się w tamtą stronę. Słyszysz, co do ciebie mówię?

- *Yessir!!!*

- Spójrz na mnie, cymbale.

Hand popatrzył w nabiegłe krwią oczy Slaughta. Był perfekcyjny w każdym szczególe. Jak droga zabawka.

- Opuść brodę. Do dołu, cymbale, do dołu! Tak. Gotów? Cofnij brodę, przyciśnij ją mocno. Przyciskaj, cymbale, przyciskaj. Mocno, mocno, mocno, mocno.

Broda Davida Handa przylegała do krtani tak mocno, jakby ktoś przybił mu ją do szyi dziesięciocalowym ćwiekiem. Ból w karku i w ramionach był okropny, ale Hand zachował pozycję.

- Dobrze, fasolo Hand. A czy wiesz, co to jest, cymbale?

- *Nosir!!!* - z najwyższym trudem wykrztusił Hand.

- Jest to postawa zasadnicza czwartej klasy, tumanie, powszechnie nazywana wtulaniem. Zrozumiałeś, cymbale?

- *Yessir!!!* - wydusił Hand.

- Wtulając, z trudem wykrztusisz słowo, ale taką pozycję będziesz zachowywać cały czas, rozumiesz? Będziesz chodzić, wtulając. Będziesz biegać, wtulając. Będziesz jadł, wtulając. Wtulać nie będziesz tylko podczas snu. Czy to jasne, Hand?

- *Yessir!!!*



- Jedynym miejscem na ziemi, gdzie wolno ci nie wtulać, jest twój pokój. Ale jeszcze nie masz swego pokoju, tumanie. Dziś do końca dnia będziesz wtulać. Będziesz wtulać tak długo, aż ci nie powiem, że możesz już nie wtulać. Zrobisz to na komendę „rozejść się”, ale jeszcze nie teraz, cymbale. Teraz będziesz wtulać. Zaczynając od dnia dzisiejszego, przez najbliższych jedenaście miesięcy misją twego żalosego, zasranego życia będzie wtulanie. Wtulanie stanie się twoją matką i ojcem, twoim pieprzonym przeznaczeniem. Czy rozumiesz, cymbale Hand?

- *Yessir!!!*

- Wtul, wtul, do ciężkiej cholery! Wypnęź swój cherlawy kark i wtul! Chcę słyszeć, jak trzeszczy ci szyja! Chcę słyszeć, jak twoje pieprzone kości ruszają się, cymbale. Chcę usłyszeć muzykę, gdy twoja broda będzie dotykać kręgosłupa, muzykę francowatego wtulania, cymbale. Wtulaj!

Hand wtulił. Kadet uśmiechnął się i wysunął szydyczko brodę. Hand wtulał i przysięgał sobie w duchu: „Jeśli jakoś przeżyję ten dzień...”

Nie miał czasu dokończyć ślubowania.

- Teraz proszę mnie uważnie posłuchać. Nauczę cię trzech odpowiedzi. Będziesz je stosować cały czas, chyba że dostaniesz inne instrukcje. Nauczysz się trzech odpowiedzi, ponieważ jesteś takim tępym, głupim bydlakiem, że stać cię wyłączyć na te trzy odpowiedzi. Jesteś gotów, cymbale?

- *Yessir!!!*

- A więc słuchaj. Trzy odpowiedzi to: *Yessir. Nosir*. Nie mam nic do powiedzenia, sir. Jasne, cymbale?

- *Yessir!!!*

- W porządku. Przećwiczmy. Jakie są twoje trzy odpowiedzi, cymbale?

- *Yessir. Nosir*. Nie mam nic do powiedzenia, sir.

- Głębie, nie tak odpowiada się na pytanie. Do licha, czy wszystkiego trzeba uczyć was od początku? - Kadet zniżył głos.

- Odpowiedź na pytanie, cymbale, jest następująca: Sir, moje trzy odpowiedzi to: *et cetera, et cetera* i *et cetera*.

- *Yessir!!!*

- A zatem posłuchajmy. Jakie są twoje trzy odpowiedzi?

- Sir, moje trzy odpowiedzi to: *et cetera, et cetera* i *et cetera*.

Hand nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Prowadzili grę na słówka i kadet wpadł we własne sidła. Slight poczerwieniał. Czy teraz dobierze mu się do skóry? Kadet potrząsnął tylko z niesmakiem i rezygnacją głową. Obejrzał się za siebie, po czym znów przeniósł wzrok na Handa.

- Posłuchaj, cwaniaczku. Widzisz po drugiej stronie placu człowieka z czerwoną opaską na rękawie?

- *Yessir!!!*

- Dla waszej wygody, wy durni, tępi fasolarze, do końca dnia nazywać go będziemy człowiekiem z czerwoną opaską. Macie cały czas na niego patrzeć, aby przyzwycząić się do jego widoku. Gdy pozwolę ci odejść, co zamierzam uczynić za chwilę, gdyż nie mogę już dłużej znieść twego towarzystwa, udasz się do człowieka z czerwoną opaską, a on wyznaczy ci nowe zadanie. I nie radzę robić sobie z niego podśmiejek. Nie sądzę, aby wykazał się poczuciem humoru, jaki stał się dziś naszym udziałem, cymbale. Czy to jasne, głąbie?

- *Yessir!!!*

- To dobrze, panie Hand. Przećwiczmy. Co zamierzasz zrobić, kiedy powiem ci, byś zameldował się u człowieka z czerwoną opaską?

- Sir, zamierzam zameldować się u człowieka z czerwoną opaską.

- A czy wiesz, jak masz się zameldować u człowieka z czerwoną opaską, baranie?

Hand chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- *Nosir!!!*

- Cymbale, twoja głupota nie ma granic. Jesteś tak tępy, że będziemy musieli stworzyć tu całkiem nową kategorię tępoty, cały nowy wielki obszar tępoty, głąbie. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

- *Yessir!!!*

- A zatem, cymbale, kiedy każę ci zameldować się u człowieka z czerwoną opaską, staniesz obok niego. Jestem pewien, że jeśli odpowiednio długo postoisz, zauważy twoją głupią fasolę i wtedy wspólnie opracujecie procedurę składania raportów. Rozumiesz, fasolo?

- *Yes sir!!!*  
- Kiedy powiem ci, że masz iść, pójdziesz, i to galopem, ponieważ dzisiaj, jutro i każdego następnego cholernego dnia wszystko będziesz robić galopem. Czy to jasne?

- *Yessir!!!*  
- Kiedy więc powiem, że możesz odejść, odejdziesz. Odmaszerować!

Hand chwycił torby i zataczając się, ruszył truchtem w stronę człowieka z czerwoną opaską. Jak w katatonii stawiał z wysiłkiem kroki. Pot zalewał mu oczy, w upale plac apelowy przypominał spowity mgłą labirynt, pełen szarych i białych barw, ciał, szaleństwa, skrzeków, wrzasków i miotających się na wszystkie strony półnagich postaci.

Dotarł do wielkiego stosu brezentowych toreb, przepocowanych kostiumów gimnastycznych i zdartych butów rzuconych na ziemię nieopodal człowieka z czerwoną opaską; w rzeczywistości było tam kilkunastu identycznych mężczyzn z czerwonymi opaskami na rękawach. Każdy z nich trzymał w ręku kołonotatnik, w którym zapisywał imiona i nazwiska nowych przysyłanych do nich przez kadetów oraz wykaz czynności, jakie miały być wykonane w ciągu kilku najbliższych godzin. Kiedy zabiegani nowi wykonali już powierzone im zadania, mężczyźni z czerwonymi opaskami odnotowywali to w kołonotatnikach i odkreślali na manilowej etykietce przypiętej do szortów nowego. Mężczyźni z czerwonymi opaskami sprawowali całkowitą kontrolę nad tym bałaganem. Prowadzili rodzaj księgowości - porównywali etykietki na szortach z zapiskami w kołonotatnikach i w ten sposób stwierdzali postęp w pracy.

Precyzja tego procesu nie była jasna dla nowych, którzy Wyobrażali sobie, że są co najmniej ofiarami jakiegoś spisku albo znaleźli się w domu wariatów. Żaden prospekt West Point ani osoby rekrutujące kadetów o tym nie wspomniały. Ganiani byli we wszystkie strony w niekończących się misjach, z których każda następna była ważniejsza, bardziej pilna od poprzedniej. Minuty zamieniły się w godziny. Pierwszy dzień „chlewni” zdawał się nie mieć końca, każdy nowy był o tym najświęciej przekonany. Tkwili w potrzasku. Nie było od tego

ucieczki i nie było końca udręki, gdyby nawet zdołali uciec, bo kto by uwierzył w ich opowieści?

Człowiek z czerwoną opaską, który okazał się w miarę miły, odesłał Davida Handa do człowieka na tarasie, również kadeta ze starszego roku, którego jedynym zadaniem było uczenie właściwego meldowania się przełożonym. Posłał Davida Handa, by zameldował się w koszarach Jedenastej Dywizji u pierwszego sierżanta kompanii. Hand zatrzymał się w holu i czekając na swoją kolej, obserwował, jak do biura pierwszego sierżanta wchodzi i wychodzi, niczym nakręcane zabawki, nowi i powtarzają w kółko formułę meldowania się.

- Sir, zgodnie z rozkazem kandydat na nowego kadeta Hand po raz pierwszy melduje pierwszemu sierżantowi szóstej kompanii nowych kadetów swe przybycie.

Wypowiedział te słowa we właściwej kolejności ku zdziwieniu pierwszego sierżanta. Sam też był zdziwiony, gdy tak stał z palcami przytkniętymi do prawej brwi. Hand był pierwszym nowym tego dnia, który całą procedurę wykonał prawidłowo. I wiedział o tym. Robił wszystko, by nie okazać satysfakcji.

- Sądzisz, że jesteś taki cwaniutki, faszlarzu?

Pierwszy sierżant popatrzył na niego znad rozłożonych na biurku papierów. Hand nie odrywał palców od brwi.

- *Nosir!!!*

Sierżant oddał honory i Hand opuścił rękę, przyjmując postawę zasadniczą czwartej klasy.

- Służyłeś już w wojsku?

- *Nosir!!!*

- Czy twój stary jest wojskowym?

- *Nosir!!!*

- Należałeś do korpusu treningowego oficerów rezerwy?

- *Nosir!!!*

- A więc ukończyłeś kurs przysposobienia wojskowego?

- *Nosir!!!*

- No to co z tobą, cymbale? Dlaczego wszystko wykonujesz prawidłowo, podczas gdy reszta tych pierdoł nie potrafi nawet wymówić swego imienia i nazwiska?

- Postanowiłem wypaść dobrze za pierwszym razem, sir. Chyba mi się udało.

Pierwszy sierżant znów popatrzył na niego znad papierów. Na jego twarzy malował się wyraz furii.

- Czy to jedna z twoich trzech odpowiedzi, ty głupi, arogancki głąbie?

- *Nosir!!!*

- A zatem niczego się dziś nie nauczyłeś, czy tak, tumanie? Niczego. Zero. Pieprzone gęsie jajo. Próznia. Czy tak, cymbale?

- Chyba nie, sir.

- Chyba nie! Co za tuman! Pod ścianę, matole! Wyprostować kark. Wciągnąć kałdun. Już, już, już. Wtulaj. Chcę, by ta ściana drżała, gdy twoje ciało zacznie dygotać, cymbale. Wtulaj, do cholery jasnej! Wtulaj się w tę ścianę.

Hand przywarł plecami do pomalowanego na firmowy zielony kolor muru i wtulił. To było to. Koniec zabawy. Pierwszy sierżant był naprawdę wkurzony. Nie prowadził żadnych gier. Nie udawał.

- Nie lubimy tu takich gównianych cwaniaczków, kapujesz? Nie lubimy gości, którzy myślą, że są cwani, bo udało im się za pierwszym razem zrobić coś prostego. Rozumiesz? Posłuchaj mnie, fasolarzu. Posłuchaj uważnie. Niczego nie robisz dobrze, czy to jasne? Niczego. Jesteś tępak, głupek i głąb. Jesteś niczym. Jesteś mniej niż niczym. Jeśli chodzi o mnie, jesteś skończony, nie istniejesz. Rozumiesz, co mówię?

- *Yessir!!!*

- A więc wyprostuj się, Hand. Przyciśnij kark do ściany, cymbale. Chcę widzieć, jak spływa po tobie cała rzeka potu, cymbale. Nie życzę sobie widzieć choć odrobiny dziennego światła między twoim karkiem, plecami i ścianą. Chcę, byś wtulał tak mocno, że będziesz dygotać, cymbale. Chcę, byś cały się trząsł, Hand. Trząsł!

Pierwszy sierżant dźwignął się z krzesła, pochylił do przodu i oparł rękami o blat biurka. Jego twarz przypomina kamienną maskę. Nie był zły, raczej zacięty.

Hand ujrzał obok siebie twarz kadeta, z którym miał do czynienia o dziewiętej rano.

Slaight.

- Cymbale, czy wiesz, co to znaczy zasmucić pierwszego sierżanta?

- *Nosir!!!*

- *Znaczy* to maksymalnie go wkurzyć. Wkurzyć, rozumiesz? *Znaczy* to, że tak się pieni ze złości, że gotów jest zostawić cię na cały miesiąc przy tej ścianie. Rozumiesz? Chyba nie chcesz zostać ozdobą biura pierwszego sierżanta? Chyba nie chcesz zostać jednym z jego mebli, Hand?

- *Nosir!!!*

Slaight zrezygnował już z akcentu, z jakim mówił na placu apelowym.

- A więc opuść to miejsce i skończ ze swoim aroganckim zachowaniem, cymbale.

- *Yessir!!!*

- Odmeldować się.

Hand zasalutował i wrócił do mężczyzny z czerwoną opaską, który posłał go z kolei do sierżanta zaopatrzenia, a następnie do fryzjera, który ostrzygł go na zero. Stamtąd ruszył do stołówki, gdzie zjadł tylko jedną kanapkę, gdyż miał kłopoty z przelknięciem. Sprawujący pieczę nad dziesięcioosobowym stołem kadet z wyższego roku oświadczył, że wtulanie w stołówce jest szczególnie mocno przestrzegane. Ze stołówki posłano Handa do koszar Jedenastej Dywizji, do pokoju tysiąc sto czterdzieści cztery, gdzie miał przejrzeć i zinwentaryzować zawartość swych brezentowych toreb. Tam też poznał współtowarzyszy z sali. Porozrzucali po całym pokoju swój dobytek i teraz jak szaleni kompletowali sprzęt, mundury, bieliznę, przybory toaletowe, książki, buty, prześcieradła, koce, a nawet pudełka z „papierem listowym kadeta”. W pokoju panował nieopisany bałagan i Hand, bliski łez, wciąż wtulając, stał z dwiema torbami w progu sali i przyglądał się, jak szczury z gatunku podludzi grzebią w swoich rzeczach. Nieoczekiwanie dotarło doń, że jest taki sam jak oni, wygląda tak samo jak oni, w torbach ma takie same rzeczy, które musi przejrzeć, zinwentaryzować i posegregować. Wszystko to było beznadziejne. Tkwił w matni.

Przedstawił się Chaunceyowi Dippelowi, wysokiemu, kościstemu i niezgrabnemu chłopakowi z Bronksu, oraz Lesterowi Woodruffowi, ospałem rekrutowi pochodzącemu z farmy w Ohio. Obaj byli prawie nie do odróżnienia, Dippel i Woodruff (nowi kadeci rzadko kiedy zwracali się do siebie po imieniu... nie było takiego zwyczaju) mieli ogolone do gołej skóry głowy, a na spoconych twarzach widniały kłaczki ostrzyżonych włosów, których niechlujny fryzjer nie usunął. Obaj byli kompletnie skonfundowani widokiem zawartości toreb. Nie mieli pojęcia, co do czego służy, gdzie co położyć i co jest co. Szczoteczki do zębów łatwo było rozpoznać, ale po co komu osiem bandoleatów (z białej bawełny), napierśnik, pas do szpady, parciany pas, koszule (sierra) i koszule (khaki)? Przebierali w rzeczach i każdy przedmiot odkreślali w spisie inwentarzowym kawałkiem ołówka, który Hand znalazł w szufladzie biurka.

Hand składał swój dobytek w schludne stosiki na pryczy, natomiast jego koledzy porozrzucali rzeczy po całym pokoju, od kominka do drzwi, i teraz klócili się, bo nie mogli dojść, co jest czyje. Hand natychmiast zauważył, że jego kompani są po prostu źle zorganizowani. Niebawem był już w mundurze, który kazano mu nałożyć po południu - szare spodnie, czarne buty, biała bawełniana koszula z szarymi naramiennikami, na biodrach czarny parciany pas z mosiężną klamrą. Hand przeglądał się właśnie w wielkim lustrze wiszącym na ścianie, gdy nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł dowódca drużyny, który nadszedł korytarzem ze swego pokoju numer tysiąc sto czterdzieści jeden. Rysam Parker Slaughter III. Na jego widok Hand przyjął postawę zasadniczą i wtulił. Jego koledzy z pokoju nawet nie zauważyli nowo przybyłego.

- Postawisz wszystkich w pokoju na baczność, Hand, czy zamierzasz stać jak tuman do wieczora?

- Pokój, baczność! - wrzasnął Hand, starając się nadać swemu głosowi ton kadeta z wyższych klas, jaki słyszał na placu, gdzie prowadzono z nowymi kadetami musztrę. Zaskoczona dwójka gwałtownie rozejrzała się po pokoju. Na widok Slaughter natychmiast wtuliła.

- Matoł Hand. Matoł Woodruff. Matoł Dippel. Dobrana

paczka. Radzę wam dobrze ze sobą współpracować. Czekają was dwa pieruńsko długie miesiące i większość czasu będziecie się o siebie ocierać jak jakieś pieprzone małżeństwo.

Slaight stał w progu i szczyrzył zęby. Trójka podkomendnych wtulała.

Uśmiech Slaighta był wymuszony. Z dokumentów, jakie wręczył mu oficer administracyjny kompanii, wynikało, że David Hand jest bratem Samantha Hand, dziewczyny z Vassar, z którą właśnie zerwał, dziewczyny, która wręczyła mu kwiat i ulotkę antywojenną, gdy w ostatnim tygodniu maja wracał do koszar z placu apelowego. Co, do licha, brat Samantha Hand robi w West Point? I jakie лихо przyniosło go do drużyny Handa? Zaledwie pół godziny temu dowódca kompanii kadetów odmówił prośbie Slaighta, by odesłać Handa do jakiejś innej drużyny. Oświadczył, że jeśli zrobi się wyjątek, wszyscy na gwałt zechcą zmieniać drużyny. Nie ma głupich. Slaight znalazł się w saku.

- Hand, wygląda na to, że w miarę sprawnie uwinąłeś się ze swoim chłamek. Pomóż kolegom pozbierać szajs, pokaż, jak mają się ubrać. Za pięć minut macie zameldować się na dole na zbiórce. Musicie do tego przywyknąć, panowie. Współpraca i wzajemna pomoc. Żaden z was, cymbały, nie opuści tego pokoju, jeśli nie będzie gotowy. Zapamiętajcie to sobie. Współpraca i wzajemna pomoc. A teraz do roboty!

Hand zaczął pomagać Dippelowi i Woodruffowi pozbierać się do kupy. Kiedy już ostatni naramiennik tkwił na swoim miejscu, zerknął na zegarek. Minęło piętnaście minut. Byli dziesięć minut spóźnieni. Pędem zbiegli po schodach. Reszta drużyny już czekała.

- Do szeregu spóźnialskich, ofermy!

Slaight wskazał wymyśloną linię biegnącą pod kątem prostym do linii, na której stała drużyna. Mieszkańcy pokoju tysiąc sto czterdzieści cztery zajęli wskazane miejsce.

- To, panowie, jest szereg spóźnialskich. Tam będzie stał każdy, kto spóźni się na zbiórkę. Jeśli ktoś spóźni się raz na jakiś czas, udekoruje tylko ścianę mego pokoju potem swego cherlawego karku. Jeśli ktoś będzie spóźniać się nagminnie, dostanie naganę. Za kilka nagan czeka go karny marsz po placu



apelowym w czasie wolnym, w weekendy. Ma waszym miejscu nie spóźniałbym się, panowie.

Slaight gestem ręki kazał trzem spóźnialskim dołączyć do reszty drużyny i przystąpił do musztry: rozpuszczał drużynę i znów formował ją w szyk; kazał wbiegać po schodach na trzecie piętro koszar Jedenastej Dywizji, gdzie mieszkali. W lewo zwrot. W prawo zwrot. W tył zwrot. Naprzód marsz. Do tyłu marsz. Kolumna w prawo marsz. Kolumna w lewo marsz. Od-dawać honory. I znów rozpuszczenie kolumny i zbiórka... W kółko krzyk i bieg, pot i powrót, marsz i zwrot. Drużyna stój i znów marsz...

W powietrzu niosły się słowa, które miały stać się rekrutom równie bliskie jak ich imiona i nazwiska: brama wypadowa, brama do koszar, stołówka... taras, długie zadaszone ganki na parterze koszar... Jedenasta Dywizja, klatka schodowa prowadząca do pokoi drużyny... umywalki, prywatne szafki w suterenach, łazienka z prysznicami i kiblami, gdzie dywizja golila się i kąpała. No i oczywiście tumany, cymbały, głupole, głąby, fasolary, niekończąca się wariacja epitetów mających dać do zrozumienia śmietance narodu, że trafiła na samo dno beczki, gdzie będzie kisić się przez następnych jedenaście miesięcy.

Przez całe popołudnie kadeci z wyższych lat szlifowali rekrutów. Ich mundury, fryzury, krok marszowy, lśniące buty, wyszorowane twarze, szyje i ręce, a wszystko po to, by o siedemnastej odbyć ceremonię zaprzysiężenia przy udziale widzów na Trophy Point, z którego rozciągał się widok na północny brzeg Hudsonu. Tam właśnie cały rocznik kadetów miał pomaszzerować uformowany w drużyny, plutony i kompanie, a cała formacja sprawiać wrażenie zaprawionych w boju żołnierzy.

Tradycja West Point stanowiła, że całkowita transformacja cywila w kadeta trwa jeden dzień. Rodzice rekrutów pozostawali na terenie akademii do końca pierwszego dnia „chlewni”. Rodzinom zapewniano przejazd autobusem na miejsce. Podczas drogi zaznajamiano ich z życiem i tradycjami West Point. Rodzice, naturalnie, nie mieli wstępu na teren koszar. Gdyby byli świadkami procesu kreowania nowych kadetów, ceremonia zaprzysiężenia straciłaby dla nich cały urok. Cudownie

nieświadomi tego, co naprawdę dzieje się w West Point pierwszego dnia „chlewni”, z radością oczekiwali na podniosłą uroczystość. Zapewniano ich, że ceremonia zrobi na nich naprawdę wielkie wrażenie.

„Ale proszę nie spodziewać się, że rozpoznacie państwo swych synów” - ostrzegali kadet przewodnik.

W zamiarach akademii leżało to, by rodzice nie mogli rozpoznać swych synów, kiedy będą maszerować ćwierć mili z koszar na Trophy Point, aby złożyć Przysięgę Wierności. Do zadań akademii należało przeistoczenie, w magiczny wprost sposób, bandy niesfornych cywilów w umundurowaną, zdyscyplinowaną i piękną jednostkę wojskową. Dzięki temu West Point nieustannie wzmacnia i uwiecznia swój wizerunek i potęgę. A trudno o lepszą okazję niż pierwszy dzień „chlewni”; zdumiewający sukces wizualny, kiedy młodzi kadeci z wielką wprawą maszerują Thayer Road, formują szyk na Trophy Point, unoszą ręce i jednym głosem, aż echo niesie się ponad rzeką i nad całą akademią, przysięgają wierność wszystkiemu, na czym tak bardzo zależy ich rodzicom, armii, akademii i całemu narodowi.

Pierwszego lipca 1967 roku działo się tak już po raz sto sześćdziesiąty piąty. Wrażenie pierwszego dnia „chlewni” było równie trwale i wielkie jak sama historia akademii. Rankiem ponad tysiąc młodych, rozdokazywanych chłopców wkraczało przez wielką bramę w szare mury West Point, które opuścić mieli dopiero o siedemnastej. W tym czasie przemieniali się w zawodowców. Reakcja rodziców, prasy, dygnitarzy i turystów graniczyła z kompletnym osłupieniem. Bo jak to możliwe, by tak szybko doprowadzić do tak wielkiej transformacji - zrobić z chłopców kadetów? Cóż więc się stanie z ich synami w ciągu następnych czterech lat!

Samantha Hand zastanawiała się nad losem swego brata, obserwując go, jak składa przysięgę na Trophy Point. Teraz był już kadetem. Szczyt jego marzeń. Długo sprzeciwiała się temu wyborowi. Przedstawiała bratu obszerną listę alternatywnych wyższych uczelni. Nie miało to nic wspólnego z nią i Ryem Slaughterem, choć wtedy jeszcze kwitła między nimi wielka miłość.

Myśl o Davidzie w szarym mundurze, czapce, czarnych lśniących butach napawała ją wielkim niepokojem. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo nie podoba się jej West Point, i z tego względu trudno jej było przekonać brata. Kiedy wreszcie podjął niezłomną decyzję wstąpienia do akademii wojskowej, Samantha zaprzestała sprzeciwów. Nawet gdy w maju nastąpiło gorzkie rozstanie z Ryem, nic o tym bratu nie wspomniała. To była jego sprawa i jego decyzja.

Po części z powodu wstąpienia Davida na West Point, po części ze względu na zerwanie z Ryem Slaughterem wakacje po pierwszym roku studiów w Vassar postanowiła spędzić za granicą. Drugiego lipca 1967 roku wyjechała do Paryża studiować historię sztuki. Cieszyła się, że opuszcza brata, Rya Slaughter, West Point i Amerykę. W ciągu ostatniego roku wszystko się popsuło. Gdy słuchała głosów młodych kadetów składających Przysięgę Wierności, przechodziły jej ciarki po plecach.

Jeszcze tego samego wieczoru, po kolacji, nowych spędzono do Południowego Auditorium w Thayer Hall, gdzie podpisali oficjalne dokumenty czyniące ich członkami armii Stanów Zjednoczonych w oficjalnym stopniu kadeta. I to dopiero była właściwa Przysięga Wierności, kontrakt na pięć lat regularnej służby w siłach zbrojnych jako zwrot kosztów nauki w West Point. Na widok oficjalnych dokumentów kilkunastu kadetów, którzy mieli ukończyć szkołę w roku 1971, opuściło auditorium i zameldowało oficerom swoją rezygnację. Oni byli pierwsi. Do chwili zakończenia „chlewni”, z takich czy innych powodów, akademię opuszczało około dziesięciu procent nowo przyjętych kadetów. Ale nie David Hand ani żaden z chłopaków z trzeciej drużyny pierwszego plutonu szóstej kompanii - drużyny Slaughter.

Studiując do późnej nocy akta rekrutów swojej drużyny, Slaughter doszedł do wniosku, że zrobi wszystko, by z Davidem Handem postępować uczciwie. Nie będzie mścić się na nim za to, że rozstał się z jego siostrą. Byłoby to wbrew naturze Slaughter. Na jego roku wszyscy wiedzieli, że jest twardzielem, ale uczciwym twardzielem. Był z tego dumny.

Na pryczy w pokoju tysiąc sto czterdzieści cztery leżał David Hand i rozmyślał. Przeżywał w myślach ostatnie doświadczenia. Wiedział, że jest inny. Zaledwie kilka godzin spędzonych w jednym pokoju w towarzystwie raczej dziwacznych kolegów umocniło go w tym przekonaniu. Nie w pełni zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale on wiedział. Tego dnia raz czy dwa wdepnął w gówno... Musi uważać i schodzić z drogi pierwszemu sierżantowi. Slaight, choć zachowywał się normalnie, stanowił dlań całkowitą zagadkę. Nie wiedział, czego może spodziewać się po takim typie jak on. Słowem, „chlewnia” była ciężkim orzechem do zgryzienia, cięższym, niż się spodziewał, ale grunt, że jest już kadetem. Pokaże im wszystkim, że jest człowiekiem, z którym należy się liczyć.

Na parterze, na metalowych schodach budynku Jedenastej Dywizji, rozległy się ciężkie kroki. To oficer dyżurny odbywał obchód. W stołówce słychać było szczęk naczyń. Zegar na placu apelowym wydzwonił godzinę jedenastą. W chwilę później David Hand zapadł w sen.

## 20.

Dni lipca 1967 roku upływały rekrutom z „chlewni” w takt marszu... łup-łup-łup-łup... ciężki, niemrawy krok, ból w nogach, płucach i ramionach, podświadomy lęk, że ta udręka nigdy się nie skończy, że człowiek zawsze już będzie maszerował po placu i wybijał butami rytm na betonowym podłożu. Byłoby wielkim eufemizmem stwierdzenie, że rekruci podczas „chlewni” byli podłamani. Byli kompletnie stłamszeni.

Te wszystkie czynności, które musieli wykonywać. Ubieranie się na zbiórki i apele. Cała kompania na placu przed koszarami, dowódca oddziału na tarasie, rekruci wtulali, wokół

kadeci z rękami pozakładanymi na piersiach, dowódca wrzeszczy tak, by wszyscy go słyszeli.

- W porządku, gamonie! Macie dokładnie pięć minut, by wrócić do swych sal, przebrać się w szare mundury pod długimi płaszczami i pod bronią wrócić do formacji... Biegiem marsz!

Słowa wykrzykiwał tak szybko, że trudno go było zrozumieć. Rekruci pognali schodami do swych pokoi, szepecząc po drodze między sobą:

- Co ten cholernik powiedział? Szare mundury pod czym?

Gorączkowo kartkowali grubą niebieską księgę zawierającą regulamin kadetów, i w niej dopiero wyczytali, co to takiego „szary mundur pod długim płaszczem i pod bronią...”

Tak, chodziło o szajs, który dostali zaledwie poprzedniego dnia; dziwaczne długie płaszcze, spodnie i kurtki z twardymi czarnymi kołnierzami i suwakami na przodzie. Z instrukcji wynikało jasno, kadeci zobowiązani są nałożyć bandolety, ładownice, napierśniki, pasy do szpad i zabrać przeklęte karabiny. Jezu! I wszystko to w pięć minut? Czyżby dowództwo miało ich za jakichś supermanów?

Tymczasem na zewnątrz stali sobie kadeci z wyższych lat i beztrudnie popijali coca-colę. Coca-colę! Rekruci nie kosztowali coca-coli od tygodni. Starsi kadeci włóczyli się po terenie i czekali, wiedząc, że żądanie dowódcy, by rekruci przebrali się w pięć minut, jest nierealne. Nowi znajdowali się w stanie skrajnego szoku, miotali się jak licealiści, którzy rozpaczliwie przebiegają się po lekcji wychowania fizycznego, by zdążyć na lekcję angielskiego... Kadeci rozmawiali ze sobą, śmiali się, szturchali przyjacielsko i byli wyraźnie znudzeni całą imprezą. Okres „chlewni” był dla nich równie uciążliwy jak dla rekrutów. Osiemnastogodzinne zajęcia, nieustanne zbiórki, czasami po piętnaście lub dwadzieścia fazy dziennie. Zbiórki przed wyjściem na strzelnicę, w nowych mundurach, przed musztrą, przed zajęciami, zbiórki, by pobrać nowe buty, zbiórki przed posiłkami, zbiórki w celu wysłuchania specjalnych komunikatów dowództwa, zbiórki przed musztrą z bagnietami, przed

specjalnymi wykładami po kolacji, przed pokazami slajdów z Wietnamu, i znów zbiórki w nowych mundurach, i zbiórki przed kolejnym wymarszem na strzelnicę, i jeszcze raz zbiórka, i jeszcze raz. Zbiórki zdawały się następować jedna po drugiej. Kiedy więc rekrutom wypadała wolna godzina, odnosili przewrotne wrażenie - śmieszne, kiedy o tym myśleli - że czeka ich zbiórka w nowych mundurach. A to sprawiało, że nieustannie biegali do swych sal, z sal znów na plac, z placu do sal i ponownie na plac. Zmieniali mundury tak często, że w końcu sami już nie wiedzieli, gdzie mają jaki mundur. W pokojach piętrzyły się stosy odzieży, uniformów, akcesoriów; powyciągane z szafek, porozrzucane w takim nieładzie, że tracili rozpoznanie, czyje ubranie jest czyje, i nieraz do późnej nocy porządkowali cały ten szalony bałagan... Wieczorem mieli trzy minuty na sformowanie kompanii. Stali w samych szortach i drewniakach, w których brali prysznic, a chłopaki z innych kompanii spoglądali na nich z okien. Kadeci z wyższych klas krążyli wokół nich, wybuchali hałaśliwym śmiechem, gdyż widok był zaiste pocieszny. Śmiali się, bo sami przez to przeszli i teraz, wracając myślą wstecz, widzieli, jacy byli śmieszni; krążyli więc po terenie, popijali coca-colę i czekali na swych rekrutów, którzy wykonywali ich polecenia, patrzyli i śmiali się z bałaganu, jaki sami stworzyli... I nagle docierało do nich, że robiąc to, sztydzą z samych siebie.

Tak to się ciągnęło i ciągnęło... Jakby „chlewnia” nabierała własnego życia, na które nie mieli już wpływu ani sami rekruci, ani dyrygujący nimi kadeci z wyższych roczników, ani oficerowie taktyczni. Tradycja. Właśnie to. Tradycja. Tradycja! Bez „chlewni” nie byłoby rekrutów. Bez „chlewni” nie byłoby kadetów. Bez „chlewni” nie byłoby West Point. Bez „chlewni” akademie nie funkcjonowałyby, uschłaby, rozsypała się w proch. Istniała dzięki „chlewni”. „Chlewnia” stanowiła najjaśniejszą część West Point, jego najczystsza formę, najszczęśliwszą godzinę. „Chlewnia” stawała się esencją West Point, siłą napędową akademii. Był to West Point bez spodni, odarty z ubrania, goły, sprowadzony do najprostszej funkcji tworzenia kadetów.

Kadeci z wyższych roczników gromadzili się wieczorami na tarasach, pili coca-colę, żartowali i kłeli West Point.

A w cholernym świecie zewnętrznym każdego listopada ludzie zasiadali przed telewizorami i obserwowali ich, jak maszerują na stadion w Filadelfii na mecz z reprezentacją marynarki... Pieprzony świat zewnętrzny, gdyby tylko wiedział, jak jest w akademii naprawdę, co wyprawia się w czasie „chlewni”, pociągnąłby za sznurek i splukał cały ten szajs do Hudsonu. Wszyscy ci liberalni senatorowie i kongresmani, wszyscy ci dobroczyńcy umarliby ze wstydu i przerażenia, gdyby znali los młodych chłopców, którzy co roku pojawiali się w West Point. Dostaliby zawału serca, gdyby widzieli, jak faszolarze objijają się o siebie niczym piłeczki pingpongowe, walczą ze sobą przy stole w stołówce o dodatkowy kęs jedzenia, robią sobie wzajemnie karczemne awantury, gdy jeden drugiemu nadeptnie na odcisk... Nie widzieli, jak wrzeszczą na siebie, płaczą cicho pod kocem nocami z tęsknoty za matkami, domami rodzinnymi, dziewczynami zostawionymi w jakimś Palokaville... Jak każdego dnia czekają na list, jakby to była komunია święta... Płaczą cicho w poduszkę, kiedy nie nadszedł. Jak pojawiają się nocą z zaczerwienionymi od płaczu oczyma w pokoju dowódcy drużyny z prośbą o zwolnienie z akademii, z prośbą o pozwolenie zatelefonowania do domu, by spytać rodziców, czy pozwolą im odejść z West Point... Każdy z tych nieszczęśników przynajmniej raz zastanawiał się, czy nie rzucić tego wszystkiego w diabły. Rzadko zdarzał się faszolarz, którego nie trapiły podobne wątpliwości... Rzadko zdarzał się faszolarz, który nie zadawał sobie pytania, co, do licha, robi w tym West pieprzonym Point; nie zastanawiał się, jaki zły duch go podkusił, by zgłosił się do tej właśnie szkoły; nie zastanawiał się, dlaczego nie zrezygnował zaraz pierwszego dnia „chlewni”, kiedy zorientował się, co się tu naprawdę dzieje; nie zastanawiał się, czy po prostu nie wstać i natychmiast nie wyjść za bramę główną, udać się na dworzec autobusowy, pojechać do Nowego Jorku, a stamtąd samolotem zabrać swój pieprzony tyłek do domu...

Kadeci ze starszych lat włączyli się wieczorami po tarasach,

pili coca-colę i wsłuchiwali się w rumor czyniony przez rekrutów - doskonale znane im odgłosy „chlewni”. Łomot butów na żelaznych schodach, kiedy rekruci biegli do łazienki lub wracali stamtąd, skrzywienie ołówków i piór po papierze, kiedy pisali listy do domów i do dziewczyn, ciche szuru-buru szczotek, którymi głansowali buty na wysoki połysk, odgłosy sprzeczek i kłótni, głośne przekleństwa. Głośne przekleństwa, gdyż chłopak wiedział już, że następnego dnia dostanie na porannym apelu solidny ochrzan za to, że obuwie nie lśni jak lustro, choć nie była to wcale jego wina... Tak, nie ma na tym świecie krzty sprawiedliwości.

Starsi kadeci w głębi duszy dobrze wiedzieli, że tak naprawdę śmieją się z siebie. Nie tak dawno sami byli rekrutami, a teraz szkolą nowych. Było to osobliwe uczucie. Spędzali ze sobą po osiemnaście godzin na dobę. Czasami więcej. Widzieli ich w odświętnych mundurach, gdy w niedzielne poranki maszerowali po zbiorce na mszę do kaplicy. Widzieli ich nagich, kiedy każdy rekrut podczas zbiórki pod przyszcicami musiał osobiście zameldować dowódcy swojej drużyny: „Sir, wykapałem się i ogoliłem. Ostatni raz pigułki na przeczyszczenie zażyłem x dni temu”.

Obserwowali rekrutów, jak na torze przeszkód pokonują tak wysokie ściany, że nigdy nie przyszłoby im do głowy, iż mogą taką przeszkodę pokonać. Słuchali rekrutów wieczorami i nocami, słuchali ich nawoływań do snu, byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy dobrze znali ból, wiedzieli, co to potłuczony tyłek, znali gorzki smak niepowodzenia, znali życie, jego gorycz i okrucieństwo, wiedzieli, co to znaczy stracić całkowite poczucie człowieczeństwa. Starsi kadeci doskonale znali swych rekrutów; identyfikowali się z nimi, ponieważ kiedyś sami nimi byli. Wiedzieli, jak to jest. Sami przeszli okres rekrucki. „Po raz drugi przerabiamy »chlewnię«” - żartowali. Gamoń, który nie przeszedł „chlewni”, nie wiedział, jak to jest. Ale przerabiać ją dwukrotnie... Jezu!

Ry Slight dołączał do swych kumpli na tarasie, pił coca-colę, kpił i żartował, a robił to dlatego, że tak robili wszyscy, a co było dobre dla innych, było dobre dla niego. West Point przypominał nienagannie uformowany dzwon. Drużyny w



Szóstej Kompanii Nowych Kadetów były identyczne. Kiedy już wszystko się powiedziało i zrobiło, kiedy wszyscy faszysty zostali porozdzielani, nie istniały żadne wyjątki od normy. Każdy dowódca drużyny miał swoich pupilów, przeciętniaków i ofermę. W każdej drużynie było trzech lub czterech pupilów, trzech lub czterech średniaków i dwie kompletne ofermę. Na wykładach z matematyki uczono ich statystyki i teorii prawdopodobieństwa, tak że teraz, niczym za pomocą suwaka, mógł wszystko przewidzieć.

Wszystko z wyjątkiem Davida Handa.

Chłopak z Nowego Orleanu wymykał się wszelkim stereotypom. Stanowił klasyczny wyjątek, odstępstwo od reguły. Nie było o nim mowy w podręcznikach z zakresu psychologii wojskowej ani dotyczących problemu dowodzenia, żadna cyfra na suwaku logarytmicznym nie oddawała fenomenowi Davida Handa. Nie pasował do żadnej kategorii. Najbliższym prawdy określeniem było Kadet Doskonały.

David Hand robił wszystko najlepiej. Nie miał sobie równych nie tylko w kompanii, ale i w całym pułku. Podczas musztry jego ruchy były szybkie, dokładne, doskonale zharmonizowane, jak u tancerza. Z karabinem M-14 obchodził się tak, jakby ukończył z wyróżnieniem kurs przysposobienia wojskowego na wyższej uczelni. Nauka obchodzenia się z bronią przychodziła mu szybko i łatwo; jak zresztą wszystko, czymkolwiek się zajął. Podczas ćwiczeń z bagnetem przypominał zaprawionego w boju weterana. Na codziennej porannej gimnastyce potrafił zrobić więcej pompek, żabek i przysiadów niż ktokolwiek w kompanii.

Buty, odzież, szafki i łóżko Davida Handa zawsze znajdowały się w nienagannym stanie. W nauce wyprzedzał swych kolegów o dwa kroki. Znał słynne „Jaka jest krowa?”, podczas gdy reszta drużyny wciąż jeszcze mozoliła się z trzema odpowiedziami.

- Sir, krowa chodzi, krowa gada, na niczym się nie zna, mleczny płyn ekstrahowany z samicy tego ospałego gatunku jest bogaty w białka i tłuszcze.

Słowa płynęły z jego ust gładko.

W stołówce Hand nigdy nie popełnił omyłki. Kiedy przychodziła jego kolej pełnienia funkcji kaprala od zimnych napojów, którego miejsce przypadało w końcu stołu naprzeciwko Slaughta, dowódcy stolika, operował dzbanem z napojem i kubelkiem z lodem z wprawą, jakiej pozazdrościłby mu zawodowy barman z Pierwszej Alei. Trudno było przyłapać Handa na jakimś błędzie, gdyż błędów nie popełniał. Był doskonały.

David Hand stanowił problem, gdyż odnosił się wyniośle do kolegów. Mimo nieustannych ostrzeżeń dowódcy drużyny, Slaughta, który znał się na takich sprawach, nie zmieniał swego nastawienia. Maniery miał arystokratyczne, nieskazitelne jak jego wyglansowane buty; najczystsza doskonałość. Był najlepszy i nie zamierzał zniżać się do poziomu kolegów. Nie tego oczekiwano od rekruta i Hand doskonale o tym wiedział. Obnosił się z tym swoim nastawieniem jak z niewidzialną czerwoną flagą.

Jego współtowarzysze z pokoju, Dippel i Woodruff, należeli w drużynie do oferm, tępych fasolarzy, szczęśliwych, jeśli z rana udało im się nałożyć spodnie dobrą stroną. Ich buty wyglądały, jakby je ktoś wysmarował batonem czekoladowym. Mundury wisiały na nich jak płachty spadochronowe, koszule mieli pogniecione, spodnie im opadały. Łóżka lepiej słał byle garkotłuk w tanim motelu. Gdy przychodziło do wymarszu, Dippel ruszał w jedną stronę, a Woodruff w przeciwną. Marsz w miejscu, w rytm wybijany na wielkim mosiężnym bębnie, był dla nich sztuką nie do opanowania. Tupali i machali rękami zawsze nie w rytm i wylamywali się z szyku kompanijnego. Nie potrafili się zsynchronizować. Klasyczne oferm.

Każda instytucja wojskowa czuje szczególnie afekt do prawdziwych oferm. Instytucja rozumie, że należy ich chronić; bardziej nawet przed samymi sobą niż przed kimkolwiek innym. No i jest kupa zabawy. Oferm są śmieszne. Muszą takie być. Ostatecznie humor jest mechanizmem obronnym. Kto nie ma poczucia humoru, wypada z gry. Współtowarzysze Handa z pokoju doskonale pasowali do tego opisu. Dippel był niezdarny i fajtłapowaty. Kiedy rano wstawał z łóżka, do złudzenia przypominał pisklę, które próbuje zerwać się do lotu - wymachiwał

rękami i nogami, koc i prześcieradło fruwały w powietrzu, wszystko się poruszało, z wyjątkiem pleców i torsu. Rekrut spoczywał na łóżku jak przymurowany do materaca, usiłując w tej pozycji wciągać na siebie bieliznę i mundur.

Woodruff był potworem - sto dwadzieścia kilogramów wagi, blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Prawie nie miał szyi - głowa przechodziła od razu w ramiona. A miał je tak szerokie, że mundury szły dla niego trzech krawców. Krążyli wokół niego ze szpilkami w ustach, wspinali się na taborety i pełni zdumienia nieustannie coś do siebie gwarzyli. Niewątpliwie koszt uszycia jednego munduru dla Woodruffa dwukrotnie przewyższał koszt uniformu przeciętnego rekruta. Natychmiast włączono go do drużyny footballowej i choć na boisku sprawował się znakomicie, w koszarach znów stawał się ospały i ślamazarny. Każda czynność zabierała mu masę czasu, a rekrut miał go zawsze za mało, toteż Woodruff był notorycznym spóźnialskim. Poza tym reprezentował typ człowieka, dla którego proste zapięcie suwaka stanowi ogromne wyzwanie, przez pomyłkę nieustannie zabierał szczoteczki do zębów swoich kolegów z pokoju, a kiedy glancował buty, robił to tak starannie, że ścierał stare warstwy pasty do żywej skóry. Ale jako atleta i sportowiec przyjmował i amortyzował wszelkie ciosy spadające na „chlewnię” niczym ogromna poducha. Kiedy drużyna była przygnębiona po źle wykonanych elementach marszowych podczas defilady i dostawała półgodzinny ochrzan od poirytowanego dowódcy drużyny, który groził marszami karnymi i utratą przywilejów weekendowych, Woodruff potrafił zebrać chłopaków w swoim pokoju i na dziesięć minut przed capstrzykiem skomponować na poczekaniu piosenkę w marszowym rytmie.

Ej! Ej! Bydlęta trzej!  
Który z nas dumą jest piechoty?  
Na pewno nie Slight  
Ani nie Buck. Na pewno też nie ja!  
Mundury jak szmaty.

Bolą nas gnaty,  
A nasze buty  
Są jak skarpety.  
Każą maszerować,  
Dźwigać karabiny,  
Raz - aby walczyć,  
Raz - by się bawić!  
Ej! Ej! Bydlęta trzej!  
Gdzie jest lufa, a gdzie kolba  
Tego M-czternaście?  
Nie wiem tego,  
Lecz gadają,  
Że Rysam Slaughter  
To już stary dziad.  
Ej! Ej! Bydlęta trzej!  
Slaughter najnowszą płytę ma  
Jerry'ego Lee Lewisa!

W swoim pokoju na drugim końcu korytarza Slaughter nie potrafił powstrzymać się od śmiechu, słuchając dobiegających z pokoju tysięcy sto czterdzieści cztery śpiewów. W takich chwilach przychodziło mu do głowy, że na świecie istnieją zapewne miejsca gorsze od West pieprzonego Point.

Przez pierwsze dwa tygodnie „chlewni” wszystko przebiegało wedle wskazań podręcznika. Pewnego ranka podczas porannego apelu Slaughter spostrzegł w swojej drużynie niewielką, lecz zasadniczą zmianę. Dippel i Woodruff stali w szeregu spóźnialskich w towarzystwie takich samych jak oni oferm, ale nie było wśród nich Handa. Hand opuścił pokój wcześniej i samotnie dołączył do formacji. Aż do tego ranka podczas każdej zbiórki Dippel, Woodruff i Hand solidarnie zajmowali miejsca w szeregu spóźnialskich. Dippel był tak spastyczny, a Woodruff ślamazarny, że z niczym nie mogli zdążyć na czas, mimo że Hand robił wszystko, by im pomóc. Musiał zatem razem z nimi stać w szeregu spóźnialskich.

Slaughter nigdy nie karał Handa za spóźnienia na zbiórki i apele. Najwyraźniej nie była to jego wina, że pokój tysięcy sto czterdziestu cztery zawsze się spóźniał. Tak naprawdę to Slaughter

wyzaczył Croliusa, rekruta również należącego do jego drużyny, by pomagał Dippelowi i Woodruffowi, pewien skutek to odniosło. Obecnie na wiele zbiórek i apeli pojawiali się na czas, choć ich wygląd pozostawiał wiele do życzenia. W każdym razie zrozumieli, że jest to możliwe. Podniosło to ich morale. Slight robił wszystko, by zbudować w drużynie ducha jedności. Wiedział, że w rekrutach budzi się już takie poczucie, gdy razem wykonywali jakieś zadania i wszystko szło jak z płatka. Nikt się nie spóźniał. Wszyscy dobrze wyglądali. Maszerowali równo. Byli z tego dumni. Zaczynali tworzyć spójny oddział.

I teraz taki numer. Dippel i Woodruff w szeregu spóźnialskich. Hand z resztą drużyny. Slight pozornie nie zwrócił na to uwagi. Sądził, że przy zbiórce przed obiadem wszystko wróci do normy. Nie wróciło. Działo się tak do końca dnia. Dippel z Woodruffem w szeregu spóźnialskich i za każdym razem wyglądali coraz gorzej. Najwyraźniej Hand położył na nich kreskę. Jego wyniosłość w stosunku do kolegów nabrała nowych wymiarów. Slight kazał Handowi zgłosić się do siebie na dwadzieścia minut przed capstrzykiem. Nadszedł czas na rozmowę - rozmowę, której Hand oczekiwał już od dawna.

Rekrut zastukał do pokoju dowódcy dokładnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści. Slight polecił mu wejść, po czym ustawił go pod ścianą. Hand stał pod ścianą naprzeciwko biurka Slighta i wtulał. Slight zrobił mu krótki wykład o regułach gry, o „współpracy i wzajemnej życzliwości”. Hand słuchał z uszanowaniem. W każdym razie nie próbował wymyślać jakichś kulawych usprawiedliwień. Slight najbardziej nienawidził kadetów, którzy starali się usprawiedliwiać swoje wpadki i niedociągnięcia. O Dippelu i Woodruffie nie można było powiedzieć złego słowa - nigdy się nie usprawiedliwiali. Po prostu byli pierdołami i koniec.

Slight przyznał, że pomaganie kolegom nie sprawia Handowi kłopotu. Wszyscy w kompanii, łącznie z dowódcą, wiedzieli, że Hand jest w stanie stawić się na zbiórkę pierwszy. Hand nie ryzykował utraty przywilejów, nie otrzymywał nagan i nie odbywał karnych marszów. Ale Slight zdawał też sobie sprawę z tego, że istnieje pewien kluczowy element w instytucjonalnej życzliwości dla oferm - ofermi musi się starać.

Dippel i Woodruff, zdaniem Slaughta, bardzo się starali. A jakie zdanie miał na ten temat Hand?

- *Nosir!!!* Nie sądzę, by się starali, sir.

- Co ty opowiadasz, Hand? Posłałem do was Croliusa na cały zeszyły tydzień i w ostatni piątek potrafiliście obaj doprowadzić do tego, że twoi koledzy z pokoju wykonywali wszystko dwa razy szybciej. Czyż nie jest to dowód, że się starają? Musisz dać im szansę, Hand.

- Nie sądzę, sir. Jestem wręcz przekonany, sir, że się nie starają. Gdyby tak było, już osiągnęliby cel.

- Co masz na myśli, mówiąc, że już by osiągnęli cel? Za kogo ty się masz, że oceniasz, czy ktoś coś osiągnął, czy nie, bez względu na to, czym jest to coś?

Slaight był zły. Hand pozostawał niewzruszony. Stał pod ścianą i wtulał.

- Sir, spędziłem dwa bite tygodnie w szeregu spóźnialskich w towarzystwie Woodruffa i Dippela, narażając się na powszechny śmiech. Sądzę, iż dałem im dość czasu, żeby się podciągnęli. Jeśli chcą resztę swych dni spędzić w szeregu spóźnialskich, to ich sprawa. Ja postanowiłem od dzisiaj sumiennie stawiać się na zbiórkach o czasie.

Slaight gotował się w środku ze złości, ale niewiele mógł zrobić. Bez względu na to, czy Hand pomagał, czy nie pomagał kolegom, oni i tak się spóźniali, co fatalnie wpływało na morale drużyny. Ale pomoc taka wynikać mogła jedynie z wewnętrznych układów między współmieszkańcami pokoju. Formalnie Slaight nie mógł kazać Handowi pomagać kolegom. Ale w tonie rekruta było coś... tak, stanowczo nie zamierzał świecić oczyma w szeregu spóźnialskich tylko z tego powodu, że Dippel i Woodruff nie potrafili zebrać swoich tyłków na czas. Było to całkiem zrozumiałe. Ale Handa najwyraźniej gryzło jeszcze coś. Slaight to czuł.

- Hand, co naprawdę dzieje się w waszym pokoju? Dlaczego tak nie lubisz Dippela i Woodruffa? Nie sądzę, by powodem tego był wyłącznie szereg spóźnialskich. Wyznaj mi szczerze całą prawdę.

Hand milczał. Slaight był już pewien, że przecucie go nie myliło.

- Sir, nie chodzi o Woodruffa. On jest w porządeczku. Jak sam pan wie, sir, jest tylko powolny i ospały. Ale Dippel... To całkiem inna sprawa, sir. Na Dippela wprost nie mogę patrzeć.

- Daj spokój, Hand. Wyduś wreszcie z siebie wszystko. To rozmowa w cztery oczy. Zamknij drzwi. - Hand spełnił polecenie. - A teraz rozluźnij się i mów. Chcę znać prawdę. Wszystko, co powiesz, zostanie w tym pokoju.

- Sir, Dippel kupuje sobie przysługi chłopaków z drużyny za obietnicę umówienia ich z dziewczynami, kiedy zaczną już przysługiwać nam przywileje weekendowe. W zeszłym tygodniu matka przysłała mu księgę pamiątkową z jego gimnazjum w Bronksie. Rozpuścił zatem wieść, że może chłopakom pozalać randki w ciemno, jeśli oni pomogą mu w jego obowiązkach. Powyznaczał dyżurnych. Jeden z chłopaków cały zeszły tydzień czyścił mu buty. Inny przychodził przed porannym apelem i słał mu łóżko, podczas gdy sam Dippel ubierał się. A wykombinował to sobie tak: każdemu z nich pozwoli wybrać z księgi pamiątkowej zdjęcie dziewczyny. Następnie napisze do swojej matki, by umówiła daną dziewczynę na randkę z jego kolegą. Wszystkie one mieszkają w Bronksie, a więc wystarczająco blisko, by pojawić się w West Point, gdy zaczną nam przysługiwać przywileje weekendowe. Mnie się to bardzo nie podoba, sir. Zupełnie jakby przekupstwem chciał sobie utorować drogę przez „chlewnię”. Poza tym jest to zwykle stręczycielstwo.

Slaight był zdumiony. To, co powiedział Hand, było niegłupie. Wychowanków West Point uczono pogardy dla słabości i miało to głęboki sens, jak zresztą wszystko w West Point. Słabość jest zaraźliwa. Łatwo o epidemię, zwłaszcza w tak niewielkim oddziale jak drużyna. Hand, wraz z Dippel i Woodruffem, przez dwa tygodnie stawał w szeregu spóźnialskich, a teraz Dippel chciał się wykpić, załatwiając randki w ciemno za „przysługi”. Koledzy wykonywali za niego obowiązki, którym miał poddać sam. Ponieważ jednak tę obrzydliwą praktykę Hand wyjawiał Slaightowi w najgłębszym zaufaniu, kadet nie mógł nic zrobić; chyba że ze skargą na Dippela, już oficjalną, pojawi się ktoś jeszcze. Ale to było mało prawdopodobne; w każdym razie dopóty, dopóki chłopaki wierzyli, że Dippel załatwi

im dziewczyny. A Slight pamiętał aż za dobrze, jak to było, kiedy sam przyjechał z Kansas do West Point. Żadnych znajomych dziewcząt... Minęło kilka miesięcy, zanim udało mu się umówić na spotkanie. Dippel zagrał po cwaniacku.

- Posłuchaj, Hand. Rozumiem twój stosunek do Dippela. Cenię i szanuję twoją szczerłość, ale ostrzegam cię. Musisz poważnie zastanowić się nad tym, jak sobie ułożyć stosunki z kolegami z pokoju. Nie mogę ci nic kazać. Co między kumplami, to między kumplami. Ale przypomnij sobie, co mówiłem pierwszego dnia. Będziecie żyć ze sobą tak blisko jak małżeństwo, a West Point przypomina Kościół katolicki, który nie uznaje rozwodów. Rozumiesz?

Hand skinął głową.

- A więc wracaj do siebie. Zaraz będzie capstrzyk.

Hand zasalutował i opuścił pokój. Slight poczuł do rekruta jeszcze większy szacunek. „Chłopak ma zasady” - myślał. Jest dumny i wyniosły, a to zawsze sprowadza na człowieka kłopoty - i to raczej wcześniej niż później. Ale Slight wyczuwał, że w Handzie jest coś jeszcze; coś, co rekrut próbował pokryć dumą i wyniosłością. Coś, czego nie potrafił rozgryźć. Poza tym nie był niczego pewien. Wrócił do pracy nad księgą drużyny. Z oddali dobiegł dźwięk capstrzyku. Wybiła dwudziesta druga. „Chlewnia” była w połowie drogi.

## 21.

Już prawie nocami prowadzono z rekrutami zajęcia z kodeksu honorowego, świętego kamienia węgielnego, na którym wspierała się cała akademia. Po kilku zaledwie dniach pobytu w West Point rekruci zostali szczegółowo wprowadzeni w tajniki kodeksu. Większość wiedziała już o nim to i owo z protokółów, które West Point przesyłał pocztą kandydatom.



Kodeks głosił: „Kadec nie kłamie, nie oszukuje i nie kradnie”. Kodeks stanowił podstawę wszystkiego.

W oficjalnych dokumentach pominięto tak zwaną klauzulę tolerancji, która wymagała - i wymaga - by kadeci, pod groźbą wydalenia z akademii, meldowali o każdym przypadku łamania kodeksu, którego byli świadkami. Ale rekruci szybko nabrali wiedzy w zakresie klauzuli tolerancji. Początkowo zasady kodeksu honorowego wydawały się proste, a wszelkie niuanse, które pozornie nie wchodziły w jego zakres, wyjaśnił nowym wychowankom przewodniczący komitetu honoru.

Wykłady odbywały się wieczorami, już po kolacji, w ogromnym audytorium. Niebawem rekruci dowiedzieli się, że sala ta nosi nazwę Audytorium Południowego. Spoceni od panującego na zewnątrz upału, marzli w klimatyzowanej olbrzymiej sali, w której kiedyś mieściła się ujeżdżalnia koni, Thayer Hall, gdzie w latach dwudziestych i trzydziestych kadeci ćwiczyli jeździectwo i uczyli się gry w polo. Dawna ujeżdżalnia, obecnie główny budynek akademicki West Point, przesycona była tradycją. Pobrzmiwały w niej echem głosy tych, którzy przeszli akademię i tworzyli Długą Szarą Linie. Kto należał do Długiej Szarej Linii? Oprócz kilku wyjątkowi - takich jak Eisenhower, MacArthur, Pattern i Pershing - kadeci nie znali innych nazwisk. Ale musieli żyć w strachu. Rekruci zawsze musieli żyć w strachu.

Wysoki, przystojny kadet z wyższego roku, z wygoloną na bokach głową, z licznymi naszywkami na rękawach marynarki szarego munduru, wychodził przed front klasy. Rekruci prawie tracili oddech z wrażenia. Był to dowódca „chlewni” - Król Bydłat, jak go nazywano, człowiek o nazwisku VanRiper. Przewodniczył komitetowi honoru, a jego donośny głos roznosił się dźwięcznym echem po dawnej ujeżdżalni.

- To jest wasz kodeks - oświadczył VanRiper. - Należy do was.

Porażał wręcz swoją imponującą postacią w odprasowanych w kant spodniach i marynarce od szarego munduru. Rekruci słuchali jak urzeczeni.

- W ciągu najbliższych dwóch miesięcy uczestniczyć będziecie w wykładach. Szczegóły kodeksu wyjaśniać wam będzie wiele osób. W razie jakichkolwiek wątpliwości proszę zwracać się do nich.

VanRiper wyjaśnił w ogólnych zarysach, jak kadeci z wyższych lat traktują kodeks. Następnie zniżył głos i poważnym tonem wyjaśnił powody, dla których rekruci trafili tego wieczoru do Auditorium Południowego.

Ponieważ kodeks honorowy stanowił własność kadetów, rozprawać o nim można wyłącznie w gronie Korpusu Kadetów. Osoby z zewnątrz nie miały nic wspólnego z kodeksem. Wniosek był jasny. Po wstąpieniu do West Point i złożeniu przysięgi nowi nie mieli prawa wyjawiać prawdy o życiu w akademii, a o samym kodeksie nie powinni rozmawiać nawet między sobą. W razie jakichkolwiek wątpliwości należało zgłaszać się do dowódcy kompanii. „Dyskusje kadetów na temat kodeksu mogą okazać się zgubne - wyjaśnił VanRiper. - Często prowadzą do opaczego interpretowania zawartych w nim reguł postępowania i mogą powodować pogwałcenie honoru, a za to grozi tylko jedna kara - wydalenie z korpusu”.

Przez następne cztery lata będą posuwać się tą wąską, niebezpieczną drogą, a jedynym sposobem, by dotrzeć do celu, jest przestrzeganie kodeksu. Kadetowi nie wolno kłamać, oszukiwać i kraść - honorowanie tych zasad otwiera mu dostęp do promocji. Kodeks honorowy stanowił świętość. Mówiło się o nim w tonie ewangelicznym. Nowi powinni donosić nawet na najbliższych przyjaciół lub kolegów z pokoju, jeśli łamali oni kodeks. Nowi winni byli posłuszeństwo jedynie Bogu. Poza Nim kodeks stanowił wszystko.

Po upływie trzeciego tygodnia „chlewni” David Hand zrozumiał perfekcyjność systemu, który kazał mu podporządkować wszelkie emocje, logikę i zdrowy rozsądek wyższemu celowi. Bez tego „chlewnia” byłaby banalna i bez sensu. Należało wykorzystać kodeks honorowy. Jakkolwiek nie wykluczał nawiązywania przyjaźni z kolegami z roku, dawał jednocześnie doskonały pretekst, by tego unikać. Hand wykorzystał to bezwzględnie. Kodeks zmuszał nowych do przyjęcia pozycji

obronnej. Zakładał, że człowiek jest jednocześnie przestępcą i policjantem, przyjacielem i szpiclem, ale nie David Hand. On postanowił być wierny sobie. Przestrzegał reguł gry, to prawda. Reguły te zapewniały mu bezpieczeństwo. Szybko jednak zorientował się w słabych stronach kodeksu honorowego i wykorzystał je na swoją korzyść.

System honorowy zakreślał granice kodeksu, wyjaśniał szczegółowo, co należy rozumieć przez kłamstwo, oszustwo i kradzież. Co więcej, określał najdrobniejsze odstępstwa od kodeksu jako „wykręty”, zaniechanie powiedzenia „całej prawdy”. Ustalał również obszary wykraczające poza jego granice. Czarno-biały kodeks honorowy otaczało szare morze, na które każdy bardzo skwapliwie wypływał. Hand odkrył sekret kodeksu honorowego West Point, który niewielu rozumiało w takim stopniu jak on. Doszedł do tego, odkrywając, czego młodym ludziom nie wolno. Kodeks honorowy West Point przypominał Davidowi społeczność, z której pochodził. W Nowym Orleanie obowiązywało wiele praw i w ich gąszczu człowiek musiał się sprawnie poruszać. Był to pozornie bardzo spójny system, który jednak w swej istocie sprowadzał się do chaosu. Mardi Gras\* stanowił najlepszy dowód na to, iż w Nowym Orleanie szaleństwo jest niezbędne dla społecznej równowagi. W West Point równowaga taka była sprawą o wiele bardziej skomplikowaną. Rok rekrucki stanowił w akademii odpowiednik Mardi Gras, a kodeks honorowy - maskę, za którą akademia kryła swą rzeczywistą tożsamość.

\*Mardi Gras - ostatni dzień karnawału, poprzedzający wielki post. W Nowym Orleanie świętowany huczną zabawą (przyp. tłum.).

David Hand uchwycił się kodeksu honorowego, ponieważ stanowił dlań znajome terytorium. Jego cudowna ironia - identyfikując zło, kodeks ośmielał kadetów do eksploracji i zaznajamiania się z jego obrzeżami - zafascynowała Handa i oczarowała. Kodeks honorowy zaferował mu system, który zaakceptował bez wahania. Hand niczego w życiu nie traktował poważnie. Studiując kodeks i jego niezliczone niuanse, pojął,

że bardzo go potrzebuje. Kodeks honorowy wprowadzał ład w jego życie. Kodeks honorowy streszczał sobą stworzenie, któremu Hand nie potrafił się oprzeć: dumne, pełne godności, o postawie i dyscyplinie wojskowej, oddane bez reszty zasadom większym niż ono samo. Wizja kadeta w ujęciu kodeksu okazała się niebywałe męska.

Na początku trzeciego tygodnia „chlewni” David Hand bez pamięci zakochał się w kodeksie honorowym.

Slaight szukał gorączkowo sposobu, by zniszczyć Dippela i jego nędzny spiszek, polegający na tym, że chłopaki pracowali za niego w zamian za randki w ciemno. Slaight wyobrażał sobie Dippela, jak siedzi w pokoju, przewraca stronicie księgi pamiętkowej, ogląda zdjęcia ślicznych dziewczyn i przelicza je na przysługi. Slaight był maksymalnie wkurzony. Nikt z drużyny nie pojawiał się ze skargą, gdyż magiczna księga cwanego rekruta stanowiła obietnicę wspaniałych weekendów. Lecz odrabianie pańszczyzny to jedno, a rajfurzenie dla własnych korzyści, to drugie. Pewnego wieczoru zdesperowany Slaight postanowił porozmawiać z chłopakami, jak to określił, „po męsku”. Postanowił zapytać jedenastu podlegających mu mężczyzn wtulających przed jego biurkiem, który z nich jest jeszcze dziewczcą. Być może to położy kres pomysłom Dippela. Zebrał drużynę. Kiedy już stali w jego pokoju wyprężeni jak struna, powiedział:

- W porządku, faszolary. Czy jest wśród was prawiczek? No, dalej. Zgłaszać się.

Kadeci popatrzyli niepewnie po sobie, czekając, aż któryś z nich wyciągnie pięść - odpowiednik dwóch palców w szkole - przyznając tym samym, że nie miał jeszcze dziewczyny. Rekruci spoglądali tak po sobie dłuższą chwilę-Slaight obserwował tę scenę z lekkim rozbawieniem, przypominając sobie identyczną sytuację, gdy sam był rekrutem w „chlewni” i nurtowały go podobne problemy. Tylko on jeden w całej drużynie wysunął pięść. Slaight czekał. Był prawie pewien, że Dippel, który nie potrafił schować pisióra w spodnie, nie przycinając go suwakiem, jest prawiczkiem. Ale pięść wyciągnął David Hand.

Slaight mylił się. Jego plan zawiódł. Musiał jednak ciągnąć rozpoczętą grę.

- A, Hand. Wciąż jesteś prawiczkim?

- *Yessir!!!*

- Nie słyszę, Hand. Powiedziałaś, że nigdy jeszcze nie miałaś dziewczyny?

- *Yessir!!!* - wykrzyknął Hand, wciąż trzymając rękę wyciągniętą pod kątem prostym w stosunku do reszty ciała.

„Chłopak ma jaja” - pomyślał z uznaniem Slaight. Popatrzył uważnie po twarzach rekrutów, szukając w nich śladu szyderstwa. Mieli doskonałą okazję odkuć się na chłopaku, który przez ostatnie dwa tygodnie panował nad nimi, na chłopaku, który wszystko robił lepiej od nich. Slaightowi zrobiło się go żal. Hand nie zazna już spokoju. Pamiętał własną udramę, kiedy był rekrutem, całkowite upokorzenie... Śmiechy i kpiny kolegów... Prawiczek... prawiczek... prawiczek... Żałował już, że wezwał drużynę na „męską rozmowę”. Jego plan co do Dippela nie tylko zawiódł, ale zwrócił się przeciw Handowi, który na własnym grzbiecie ciągnął Dippela przez dwa pierwsze tygodnie „chlewni”. Jezu!

- Bacność, Hand! - zakomenderował Slaight.

Musiał przecież coś zrobić.

- Jeśli któryś z was, patafiany, zacznie robić sobie z Handa jajca za to, że miał odwagę przyznać się, iż jest prawiczkim... Jeśli usłyszę choć jedno słowo na ten temat, fasolarze, postawię was pod ścianą i będziecie tak stać przez cały weekend, aż do mego powrotu z przepustki. Czy wyrażam się jasno?

- *Yessir!!!* - odpowiedziała drużyna zgodnym chórem.

- Tak się zdarzyło, panowie, że mój dowódca drużyny, kiedy byłem, jak wy teraz, fasolarzem w „chlewni”, również wezwał nas na taką męską rozmowę. I to ja okazałem się jedynym prawiczkim w drużynie, i to ja stałem z wysuniętą pięścią jak głupi palant, tak jak teraz Hand. Tak więc pamiętajcie, jeśli usłyszę choć jedno słowo, że Hand nie zakwasił jeszcze ogóra, postawię was pod ścianą i będziecie tak stać, aż wystąpią na was siódme poty. Rozumiecie?

- *Yessir!!!*

- Odmeldować się!

Rekruci opuścili pokój dowódcy drużyny w gorączkowym pośpiechu.

Przez kilka następných dni Hand dystansował się od swoich współtowarzyszy z pokoju. Było to widoczne jak na dłoni. Na zbiórkach i apelach pojawiał się pierwszy. Przychodził dwie-trzy minuty przed czasem i czekał na resztę drużyny. Stawali obok niego, nie wymieniając sekretnych spojrzeń, jak to rekruci mają w zwyczaju, nie wydając stłumionego „uauuu”, jak robili to w czasach rekruckich Slaight i Buck. Leroy Buck był dowódcą drużyny w kompanii Slaighta. Obaj często spotykali się wieczorami i długo rozprawiali o sytuacji, w jakiej znalazł się David Hand. Sprawa wydawała się nie do rozwiązania. Hand pozostawał sztywny, arogancki i perfekcyjny na swój szczególny sposób, podczas gdy reszta drużyny zwarła szeregi. Stanowili jakby przeciwne siły, jak dwa bieguny magnesu, które się odpychają. Ale najbardziej zdumiewające w tym było to, że Hand okazywał siłę równą sile dziesięciu rekrutów.

Slaight dyskretnie ich obserwował. Nikt z Handa nie szydził, w każdym razie nie robił tego otwarcie, ale Slaight wyobrażał sobie kpinki, jakie padały za zamkniętymi drzwiami ich pokoi po capstrzyku, zjadliwe uwagi, kąśliwe żarciki, zwłaszcza że chłopaki w okresie „chlewni” musieli stale ze sobą przebywać.

A Hand trzymał się na dystans. Ilekroć Woodruff prowadził swoje piosenkarskie sesje w pokoju tysiąc sto czterdzieści cztery, Hand zawsze wynajdywał pretekst, by zejść do łazienki ogolić się lub wziąć prysznic. Do pokoju wracał dokładnie w tym momencie, kiedy Hellcat grał capstrzyk, a po chwili dyżurny kadet ryczał na całe gardło: „W porządku!” Odpowiadał mu po kolei któryś z mieszkańców pokoju od tysiąc sto jedenastego do tysiąc sto czterdziestego czwartego, co oznaczało, że wszyscy kadeci są obecni i nie trzeba robić specjalnej inspekcji. Hand pojawiał się w swojej sali tuż przed capstrzykiem i przed „w porządku”, kiedy już pozostali członkowie drużyny rozeszli się do swych pokoi. Ani on nie chciał mieć z nimi nic wspólnego, ani oni z nim.

Morale w drużynie spadło. Rekruci mozolili się i harowali

przez cały dzień bez entuzjazmu i zapału, bez zwykłego poczucia humoru, tak koniecznego do przetrwania. Drużyna wędła. Slight miał odczucie powszechnej rezygnacji. Czuł się temu winny, a jednocześnie bezradny. Winny dlatego, że to on zaczął sprawę z Handem. I bezradny, gdyż Hand okazał się twardy i niezłomny jak sama akademia. Slight niewiele mógł zrobić, by pojednać Handa z drużyną. Nie umiał zaradzić złu. Wielokrotnie rozważał ten problem z Leroyem Buckiem, ale obaj nie potrafili znaleźć rozwiązania. Hand był tak hardy i zadziorny, że zaczęli podejrzewać, iż jest Cajunem\*. Miał też w sobie coś pruderyjnego. Tak, Hand był bardzo pruderyjny, próżny i zarozumiały, uważał się za kogoś lepszego, stojącego moralnie wyżej od pozostałych rekrutów. Slighta ogarniało coraz większe zdumienie. Nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak Hand, nikogo tak zasupłonego w środku. Brak cierpliwości do niekompetencji i słabości chłopaków z drużyny to jedno, ale on tego naprawdę nienawidził z całej duszy. Nienawidził słabości. Slight nie znał nikogo, kto tak jak Hand nienawidziłby słabości, i był tym w najwyższym stopniu zaintrygowany.

\*Cajunowie - potomkowie Francuzów, którzy przybyli do Luizjany z Akadii w Kanadzie - z terenów obecnej Nowej Szkocji, Nowego Brunswiku i części Quebecu (przyp. tłum.).

Kilkakrotnie wzywał Handa do swego pokoju, by udzielić mu rad; wzywał zresztą wszystkich rekrutów ze swojej drużyny, tak że nikt nie mógł zarzucić mu, iż Handowi okazuje szczególne względy. Prosił Handa, by się odpreżył, próbował go sondować, żeby zrozumieć, skąd bierze się w nim taka zawziętość i nienawiść. Ale Hand nie chciał się otworzyć. Z rozmów z nim Slight dowiedział się jednej rzeczy, której się zupełnie nie spodziewał. Okazało się, że Hand nic nie wiedział - absolutnie nic - o związku Slighta z jego siostrą Samantha. Początkowo zdumiało go to. Drążył, sondował, robił podchody, otwarcie rozmawiał o Vassar i tamtejszych dziewczętach, dawał Handowi okazję, by przyznał, że wie o romansie Slighta z jego siostrą. W końcu wszystko stało się jasne. Samantha nie

wspomniała bratu o Slaighcie. Hand naprawdę o niczym nie wiedział.

Kolejny dzień minął bez żadnego incydentu. Slaight popadał w coraz większą depresję. Skoro nie potrafił poradzić sobie z drużyną przeklętych fasolarzy, jak w takim razie miał poradzić sobie z samym sobą?

O dziewiętnastej, tuż po kolacji, rozległo się głośnie puknięcie do jego drzwi.

- Wejść!

- Sir, nowy kadet Hand melduje się z prośbą o rozmowę.

Stał w progu, w postawie na baczność i jak zawsze nieskazitelny.

- Wejdz, Hand. Co cię sprowadza?

Wyglądało na to, że Hand pojawił się, by w końcu poskarżyć się na kolegów z pokoju, ale przeczył temu wyraz jego twarzy. Hand po raz pierwszy od tygodnia sprawiał wrażenie spokojnego, a nawet zadowolonego. Stał przed biurkiem dowódcy drużyny, wtulał i spoglądał nieruchomym wzrokiem w jakiś punkt na ścianie nad głową Slaighta.

- Sir, chcę złożyć raport na człowieka, który pogwałcił kodeks honorowy. Nie jestem tylko pewien, sir, czy z tą sprawą powinienem zgłosić się właśnie do pana.

Slaight skrzywił się. No tak, przyszło najgorsze.

- Jasne. O co chodzi? O kogo? Rozluźnij się, Hand. Siadaj. Opowiedz mi wszystko, od początku do końca.

Hand usiadł naprzeciwko biurka Slaighta. Plecy miał nienaturalnie wyprostowane. Brodę uniesioną. Wyjaśnił, że chodzi o to, co podręcznik określał nazwą wykrętu. Otóż Crolius, niski, o orlich rysach syn górnika z górzystych rejonów Kentucky, wyznał Handowi, że chyba nie jest dokładnie dziewicą, ale, jak zapamiętał jego słowa Hand: „rodzajem dziewicy, rozumiesz, jeśli spojrzeć na to z innej strony”. Rozmowa miała miejsce pod prysznicami. Hand kąpał się po ćwiczeniach w ostatniej kabynie; pozostali rekruci z drużyny wrócili już do swoich pokoi i w łazience pozostał z Handem jedynie Crolius. Najwyraźniej współczuł koledze i nie podobał mu się sposób, w jaki po męskiej rozmowie z dowódcą przed trzema dniami traktowali go inni. Tak więc Crolius doszedł do wniosku, że pocieszę



Handa wyznaniem, iż jeszcze jeden chłopak w oddziale nie jest pewien... hm, swej męskości.

„Rodzajem dziewicy, rozumiesz, jeśli spojrzeć na to z innej strony” - tak zdefiniował swe doświadczenia seksualne Crolius. W Kentucky regularnie spotykał się z koleżanką z gimnazjum i tuż przed wyjazdem do West Point, w przyprawie namiętności, doszło między nimi do migdałów i macanki. Crolius raz czy dwa - sam dobrze nie pamiętał, ile razy to zrobił - wyciągnął penisa i dziewczyna czule go pieściła. Raz nawet ściągnął jej majtki i wsunął członek „tam, w dole” - tak to ujął - po czym spuścił się. „Tego jestem pewien - oświadczył. - Jezu, ale narobiłem bałaganu” - dodał. Nie był jednak pewien, czy wszedł „do środka”. Wtedy Croliusowi było wszystko jedno, czy wszedł „do środka”, czy nie.

Hand zapytał go, czy zamierza przyznać się Slaightowi, iż wciąż jest prawiczkim, a Crolius odparł, że za chińskiego boga nie przyzna się, gdyż jego zdaniem, kiedy operował tam, w dole, i spuścił się, to było „to”. David Hand nie był tego taki pewien. Wyznał Slaightowi, że im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że Crolius zastosował wykręt, nie wyciągając pięści podczas męskiej rozmowy i nie przyznając się do tego, że wciąż jest prawiczkim. Kiedy oświadczył, iż nie jest pewien, czy był „w środku”, przyznał się do wykrętu. Hand składał tę relację z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Mówisz poważnie? - spytał zdumiony Slaight.

- *Yessir!!!* Jak najzupełniej poważnie. Ten człowiek zastosował wykręt. Chcę złożyć w tej sprawie raport.

Slaight próbował znaleźć jakąś lukę w rozumowaniu Handa. W jego interpretacji Crolius, stwierdzając, że to, co zrobił, to było „to”, dopuścił się wykrętu. Jeśli chodzi o wykręty, sprawą najwyższej wagi jest intencja. A jak Crolius mógł mieć zamiar go oszukać, skoro dokładnie i ze szczegółami opisał Handowi swoje doświadczenie seksualne?

Ale Hand nie ustąpił. Wysłuchał wykładu przedstawiciela kompanii do spraw kodeksu honorowego z bystrością orła i czujnością żurawia i nadal był pewien, że Crolius dopuścił się wykrętu. Zamierzał postawić Crolius przed komitetem

honoru za to, że nie dołączył do niego i nie wyciągnął pięści podczas męskiej rozmowy z dowódcą drużyny. Slaughtera po prostu zamurowało. Gapił się na siedzącego po drugiej stronie biurka Handa jak cielę na malowane wrota.

- Ty głupku - powiedział, gdy odzyskał mowę. - Czy nie rozumiesz, że Crolius jest jedyną życzliwą ci duszą w całej drużynie? Przecież cały poprzedni tydzień pomagał ci uporać się z tymi dupkami, Dippelom i Woodruffem. To tylko dzięki tobie i Croliusowi zdołali jako tako zebrać się do kupy. Crolius wcale nie musiał ci w tym pomagać. Oni nie byli jego kumplami z pokoju. Pomógł w równym stopniu im, jak i tobie. Zrobił to też, by pomóc całej drużynie. Czy nie rozumiesz tego, jeloście?

- *Yessir!!!* Rozumiem. Ale jego postępowanie w zeszłym tygodniu nie ma nic wspólnego z dzisiejszym wykrętem.

- Pieprzysz jak potłuczony. Hand, Crolius sam do ciebie przyszedł. Z nieprzymuszonej woli o wszystkim ci powiedział. Nie przyłapałeś go na ukrywaniu prawdy... na kłamstwie. On niczego nie ukrywał. Chciał ci po prostu dać do zrozumienia, że choć wciąż jesteś dziewicą, on się z tobą identyfikuje. Hand, nie rozumiesz tego?

- *Yessir!!!* Ale w dalszym ciągu uważam, że Crolius dopuścił się wykrętu.

- Wykręt. Jezu! Czy wiesz, jak szeroki zakres ma to słowo? Pozwól, że coś ci powiem. Jeśli wykonasz kolejny ruch i zgłosisz się do przedstawiciela kompanii do spraw honoru, otworzysz pudełko z obrzydliwymi robalami. Rozumiesz? Sprowadzisz na głowę Croliusowi ogromne kłopoty, a przecież on próbował okazać ci sympatię. To jedyny przyzwoity sukinkot w tej przeklętej drużynie, a ty chcesz narobić mu gnoju, Hand. Może stanie przed komitetem, może nie. To nieistotne. Ważne jest to, że z chwilą kiedy złożysz na niego raport, podważysz jego reputację. Nie chodzi o werdykt; będzie miał zbrukaną opinię do końca swego pobytu w tym cholernym miejscu. Czy ty, chłopie, rozumiesz, co do ciebie mówię? Czy zdajesz sobie sprawę z afery, jaką chcesz wzniecić? Hand, zamierzasz spięprzyć życie drugiemu człowiekowi. Czy to do ciebie nie dociera?

- *Yessir!!!*

- I wciąż chcesz spieprzyć mu życie tylko dlatego, że twoim zdaniem dopuścił się wykrętu?

- *Yessir!!!*

- Nie wiedziałem, że z ciebie taka świnią. Zadziwiasz mnie, Hand. Naprawdę zadziwiasz.

Slaight nie odrywał oczu od Handa. Ten spoglądał nań twardym, pozbawionym wszelkich emocji wzrokiem.

- Hand, posłuchaj. Sam przechodziłem „chlewnię” i przyznałem się dowódcy drużyny i całej drużynie, że jestem prawiczkim. Zamierzam udzielić panu, panie Hand, surowej lekcji na temat wykrętów. A później już ty sam zdecydujesz, czy nadasz sprawie służbowy bieg. Kapujesz?

- *Yessir!!!*

- A więc posłuchaj. W zeszłym roku podczas weekendu wybrałem się z dwoma chłopakami do Nowego Jorku. Zatrzymaliśmy się w hotelu Statler Hilton. Byliśmy w mundurach, w naszych szarych mundurach. W holu dostrzegło nas kilka lasek i kiedy już znaleźliśmy się w pokojach i chcieliśmy nałożyć cywilne ciuchy i wyjść na miasto, zastukały do naszych drzwi. Były to uczennice z Seton Hall, pobliskiej szkoły katolickiej dla dziewcząt. Wszystkie miały na sobie mundurki. W Waldorf Hotel odbywał się ich wielki bal, siedemdziesiąt doliczając od łebka. Jedna z nich pokłóciła się z jakimś złamasem z pierwszego roku Princeton. Dziewczeta poprosiły, by któryś z nas, ja albo mój kumpel, John Lugar, nałożył mundur i odprowadził dziewczynę na zabawę w Waldorf. Wybuliła sto pięćdziesiąt dolarów, a ten dupek z Princeton poszedł sobie i dziewczyna wypłakiwała oczy. Aby skrócić długą historię, powiem, że rzuciliśmy z Lugarem monetę i wypadło na mnie. Założyłem mundur, zszedłem na dół i tam okazało się, że jest to kawał szprychy. Wygrałem los na loterii - świetna lacha, bilet za sto pięćdziesiąt doliczając. Czegóż więcej potrzeba do szczęścia?

- *Yessir!!!*

- Poszedłem więc na bal z dziewczyną i jej kumpelkami, którym towarzyszyli chłopaki z Princeton, z Yale i innych tego typu francowatych uczelni. Byłem w szarym mundurze. No i zaraz na początku natknąłem się na jakiegoś kadeta z najwyższego roku, który podszedł do mnie i w obecności mojej

dziewczyny spytał, dlaczego jestem w szarym mundurze, a nie w galowym szarym mundurze. Odparłem, że tylko przyprowadziłem dziewczynę, której w ogóle nie znam. On sobie poszedł i myślałem, że po sprawie. Kiedy jednak w niedzielę wieczorem wróciłem do West Point, w moim pokoju pojawił się przedstawiciel do spraw honoru i oświadczył, że kadet z najwyższego roku złożył na mnie raport. Oskarżył mnie o „zamierzone łgarstwo”. Cywile nie znają różnicy między szarym mundurem a galowym szarym mundurem, a ja wykorzystałem ich niewiedzę i skasowałem dziewczynę. Jezu, myślałem, że postępuję zgodnie z nakazami honoru kadeta, a tu jakiś półgłówek oskarża mnie o wykręt. Chłopie, byłem wkurzony jak jasna cholera. Tak czy owak, stanąłem przed komitetem. Wyjaśniłem wszystko dokładnie i sprawę zamknęli. Przedstawiciel wyznał mi, że od początku czuł smród, lecz musiał sprawę postawić na kolegium, bo taka jest procedura. Hand, rozumiesz, o co mi chodzi?

- *Yessir!!!*

- Na pewno?

- *Yessir!!!*

- A zatem rozumiesz, o co mi chodzi w sprawie wykrętów? To naprawdę puszka pełna paskudztwa. To jest właśnie ta ogromna szara strefa. Wiem, że wmówili wam, iż taka strefa nie istnieje - tylko pieprzona biel i czerń, ale ja przebywam tu dwa lata dłużej niż ty i dobrze wiem, na jakich zasadach ten system funkcjonuje. Widziałem, jak komitet honoru dopadł chłopaka, który przepadł z kretesem, zanim ktokolwiek zdążył zorientować się, o co chodzi. Był też chłopak, który narobił masę głupstw, ale komitet znalazł furtkę w systemie i chłopaka uniewinniono. W komitecie honoru nie obowiązują żadne przepisy proceduralne, podsądny nie ma prawa do obrony, nie powołuje się świadków, którzy zeznawaliby na twoją korzyść... Nie obowiązują prawa przysługujące ci jako obywatelowi Stanów Zjednoczonych na podstawie „Karty praw”. Kodeks honorowy to piękna rzecz. Nikt nie neguje słów: „Kadet nie kłamie, nie oszukuje i nie kradnie”, ale, na Boga, komitet honoru działa czasami jak sąd kapturowy, decydując o losie człowieka w ciągu

kilku sekund. Nikt nie jest doskonały, Hand. Chłopaki, którzy zostali reprezentantami honoru, nie są lepsi od ciebie, ode mnie czy od tych, których oskarżono o splamienie honoru. Czy ty mnie słuchasz, Hand?

- *Yessir!!!*

- Nie zamierzam przekonywać cię, że nie wierzę w kodeks honorowy. Wierzę, jak każdy palant w naszej akademii, ale miałem już z kodeksem honorowym poważne kłopoty. Sądzę, a mówię to z własnego doświadczenia, że w całym systemie istnieje stanowczo za dużo możliwości do nadużyć, a za mało do obrony dla takich jak ja, ty czy Crolius. Czy wyrażam się jasno, Hand?

- *Yessir!!!*

- Na samą myśl, że podsądnego nie konfrontuje się z oskarżycielem, przewracają mi się bebechy. A ci wszyscy chłopcy, których stąd wykopano w imię honoru... Jezu, gdybyś to widział! Z dnia na dzień stawali się wyrzutkami. Trędowatymi. Więc pozwól, że jeszcze coś ci powiem. Jeśli udasz się do przedstawiciela komitetu w sprawie tego, co wyznał ci dziś Crolius, będziesz bawić się ludzkim życiem i będzie to zabawa bardzo niebezpieczna. Musisz więc mieć najgłębsze, powtarzam: najgłębsze przekonanie o własnej słuszności. Znasz zapewne stare powiedzenie: „Dyskrecja jest najistotniejszym elementem męstwa”.

- *Yessir!!!*

- Cóż, w naszym przypadku można ten aforyzm sparafrazować. W West Point roztropność jest najistotniejszym elementem honoru. A roztropność należy do ciebie, Hand. Do ciebie. Opowiedziałem ci o moich doświadczeniach i wyraziłem swoje zdanie. Nie sądzą, by Crolius zastosował wykręt. Nie sądzą, by w ogóle był zdolny do wykrętów. Taki pomysł nawet nie przyszedłby mu do głowy. Tam, skąd pochodzi, Wszystko traktują w sposób tradycyjny. Do licha, może jeszcze bzykają tam owce. Kto to wie? A jeśli bzyknałeś owcę, czy wciąż jesteś prawiczkim? Do diabła, Hand, Crolius potraktował cię jak człowieka honoru. Powierzył ci swój sekret. Jeśli oskarżysz go o wykręt, dopilnuj, żeby ten szajs, który umieścisz w raporcie, mocno trzymał się kupy, bo inaczej będziesz miał przeciwko sobie cały świat. No jak, podjąłeś już decyzję?

- *Yessir!!!*
- Jaką?
- Złożę doniesienie na Crolius, sir. Ten człowiek dopuścił się wykřętu. Sprawę musi rozstrzygnąć komitet honoru, nie my.

Slaight wstał i Hand natychmiast zerwał się z krzesła.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. W chwili kiedy opuścisz ten pokój i udasz się do przedstawiciela komitetu, ten czyn będzie już za tobą szedł przez całe życie jak cień, bez względu na to, dokąd pójdiesz i co zrobisz. Bez względu na to, jaki będzie wyrok, nigdy już nie uwolnisz się od tego cienia. Nigdy.

- Jestem przekonany o słuszności swej decyzji, sir. Dobranoc, sir.

Hand zasalutował i opuścił pokój.

Jeszcze tego wieczoru zameldował się u reprezentanta honoru, który przekazał raport komitetowi honoru, a ten powołał podkomisję śledczą. Podkomisja miała zdecydować, czy sprawa kwalifikuje się do przedstawienia jej na forum dwunastoposobowej rady honoru, odpowiednika sądu. Wszystko to wydarzyło się w ciągu dwóch godzin po opuszczeniu przez Handa pokoju Slaighta.

Następnego wieczoru rada honoru zebrała się, by rozpatrzyć sprawę Crolius. Dała rekrutowi zaledwie dwadzieścia cztery godziny na przygotowanie „obrony”. Slaight nie wiedział, jakie prawa przysługują kadetowi postawionemu przed radą honoru - milczeć, bronić się, wzywać świadków? Bóg jeden raczy wiedzieć! Sprawa otoczona była celowo sprokurowaną atmosferą tajemnicy. Owa otoczka stawiała ideę „honoru” w wyższym wymiarze... Nie chodziło o kadeta, tylko o honor.

Slaight nie rozumiał, jak ów system funkcjonuje, lecz wiedział, że kadetom wyższych klas wolno uczestniczyć w przesłuchaniach prowadzonych przez radę. Postanowił zatem udać się na rozprawę. Wezwano Crolius. Przy długim stole nakrytym filcem siedziało dwunastu kadetów w szarych mundurach, którzy zarzucili Crolius gradem pytań. Crolius, który był kadetem dokładnie dziewiętnaście dni, dał się zastraszyć i zupełnie się zaplątał, a rada potraktowała jego przerażenie i niepewność

jako dowód na to, że dopuścił się wykrętu. Powstało błędne koło. Crolius był przegrany i nieważne, czy dopuścił się występku, czy nie.

Stojącego na końcu sali Slaighta poproszono, by na ochotnika został świadkiem kadeta. Slaight wyjaśnił, że dobrze zna tego młodego człowieka, bo jest dowódcą drużyny, w której on służy, i sądzi, iż sprawa, którą Crolius, przez oczywisty brak znajomości procedury, tak bardzo poplątał, jest prosta.

Przewodniczący rady honoru pouczył Slaighta, że nie przysługuje mu takie prawo, i kazał usiąść. Crolius odwrócił się i popatrzył na Slaighta. Wiedział już, że jest skończony, lecz nie miał pojęcia, dlaczego. Slaightowi i Croliusowi kazano opuścić salę. Po kilku minutach przedstawiciel rady wezwał ich z korytarza. Ogłoszono wyrok. Winny. Rada nie pofatygowała się nawet, by wezwać Handa i wysłuchać jego wyjaśnień.

Croliusowi podsunęto do podpisania papiery z gotowym oświadczeniem, że z własnej woli i z wyroku sądu honorowego rezygnuje z dalszej nauki w akademii. Rada nie miała prawa usunąć kadeta z West Point, ale kadet mógł złożyć rezygnację. Powszechnie jednak było wiadomo, że jeśli ktoś z takich czy innych powodów nie chce zrezygnować ze statusu kadeta, zostaje „wyciszony”. Nie potrzebowano dalszych wyjaśnień. Crolius zrezygnował. Był dziewiętnasty lipca 1967 roku, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Crolius był kadetem zaledwie trzy tygodnie. Nie doczekał nawet pierwszego przywileju weekendowego. Od pierwszego dnia „chlewni” upłynęło zaledwie dziewiętnaście dni, a już komitet honoru wyrzucił nowego za „wykręt”, obrazę honoru tak wielką i tak niebezpiecznie mglistą, że przechodziło to wszelkie wyobrażenia Slaighta. Był wkurzony jak wszyscy diabli. Przede wszystkim na siebie za to, że wpadł na pomysł męskiej rozmowy. I na komitet honoru za to, że postąpił jak sąd parszywych faszystów, nie dając chłopakowi przemówić we własnej obronie. I był wkurzony na Davida Handa za to, że nie zachował dla siebie tego, co w zaufaniu wyznał mu Crolius. Wystąpił przeciwko jednemu życzliwemu sobie człowiekowi w drużynie. Hand uważał się za lepszego od

Croliusa. Do licha, uważał się za lepszego od wszystkich.

Jeszcze tej samej nocy przeniesiono Croliusa z koszar Jednostki Dywizji do miejsca zwanego oddziałem pensjonariuszy, na terytorium niczyje, gdzie rezygnujący z takich czy innych powodów z dalszego pobytu w akademii kadeci przetrzymywani było do chwili zakończenia procedury usuwania ich z West Point. Było to ostateczne upokorzenie. Nie byli już kadetami, byli „pensjonariuszami”.

Następnego wieczoru Slaughter zabrał Davida Handa na oddział pensjonariuszy. Wprowadził go do pokoju. Crolius siedział na pryczy i czekał, aż odeślą go do Kentucky. Będzie musiał wyjaśnić wszystko rodzicom, znajomym i przyjaciółom, nauczycielom z gimnazjum i wydawcy lokalnej gazety, który na pierwszej stronie zamieścił gorące gratulacje Croliusowi za to, że pierwszy w miasteczku został przyjęty na West Point. Będzie musiał też wyjaśnić wszystko swojej dziewczynie i jej rodzicom - wszystkim mieszkańcom małego miasteczka w Kentucky - dlaczego tak nagle i tak szybko zrezygnował z akademii wojskowej. Przez blisko trzy tygodnie wysyłał listy do domu i pisał w nich o tym, jak bardzo jest szczęśliwy i dumny. Siedział na pryczy w mundurze polowym. Było oczywiste, że nie pojmuje, dlaczego musi opuścić akademię. W jego pojęciu West Point i honor stanowiły jedno. I oto teraz z powodu honoru musi opuścić West Point. Slaughter wprowadził Davida Handa do pokoju i powiedział:

- Hand, to ty złożyłeś doniesienie na Croliusa, że dopuścił się wykrętu. Wyjaśnij więc, dlaczego rada honoru uznała go za winnego. Wyjaśnij mu, dlaczego zmuszono go do rezygnacji. Wyjaśnij mu, Hand, dlaczego dopuścił się wykrętu. Kiedy już wszystko to wyjaśnisz ze szczegółami, zamelduj się w moim pokoju.

Slaughter wyszedł, zostawiając oprawcę sam na sam z ofiarą.

Hand zameldował się u Slaughter'a po kwadransie. Rekrut był niewzruszony. Pogwałcenie honoru to pogwałcenie honoru. Crolius dopuścił się wykrętu. Rada honoru uznała go za winnego. Sam się podpisał pod rezygnacją. System zadziałał. Dla Handa nie liczył się człowiek o nazwisku Crolius. Dla niego



liczył się system. Hand był świadkiem wyrugowania Croliusa z akademii za wykret. Sądził, że już wie, jak działa system.

Slaight odprawił Handa, po czym usiadł za biurkiem. A zatem Hand już wie, jak działa system, czy tak? No cóż, on zapewni Handowi całkiem nowe widzenie tego systemu. Zabierze Handa na daleką wyprawę poprzez ten system, podda procesowi trawiennemu, który konsumuje młodych amerykańskich chłopców, zamieniając ich w kadetów, a następnie oficerów regularnej armii. Zabierze to trochę czasu. Wymagać będzie głębokiego namysłu, ostrożności oraz bezbłędnie zaplanowanej i elegancko przeprowadzonej akcji. Ale na koniec dotrze do wnętrza Handa i odkryje, jaka to mała glista, nazywająca siebie duszą, drąży go od środka; postawi ją oko w oko z Handem. Od tej chwili wszystko, łącznie z sądem nad Croliusem, będzie niczym w porównaniu z tym, co będzie, gdy on zajmie się Davidem Handem. Slaight pociągnie Handa i ciągnąć go będzie jeszcze przez dwanaście dni. Zaplanuje wszystko precyzyjnie jak operację wojskową. „Ostatecznie do tego zostałem wyszkolony” - pomyślał z krzywym uśmiechem.

Rozległ się capstrzyk. Slaight wszystko spieprzył. Dippel wciąż prowadził swe żalotne praktyki. Croliusa nie ma już w akademii. Morale w drużynie nigdy jeszcze nie było tak niskie, ale miał jeszcze dwanaście dni do końca pierwszego etapu „chlewni”. I wciąż miał Davida Handa. Zajmie się nim. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

## 22.

Podczas „chlewni” jeden mały błąd, jedno potknięcie, jeden krok poza linię - jeden drobnutki kroczek - i już Wszystko się wali i człowiek tkwi w bagnie po uszy. Odnosi się to zarówno do rekrutów, jak i kadetów z wyższych lat.

Jeśli schrzanił coś rekrut, nagle się okazywało, że wszystko, co dotąd robił, robił źle. Stoi na placu apelowym, spogląda pod

nogi i widzi, że jedną sznurówkę ma rozwiązaną, a już myślał, że wszystko dopiął na ostatni guzik! Co robić? Schylić się i zawiązać sznurowadło, ryzykując, że zostanie złapany na poprawianiu swego wyglądu? A może czekać na nieuchronne? Dowódca drużyny zbliży się, wolnym krokiem przesuając się wzdłuż szeregu, i natychmiast zauważy rozwiązane sznurowadło. Podniesie głowę, zacznie wiercić rekruta wzrokiem i powie: „Proszę, proszę, panie Tępy. Co mu tu mamy? Klauna w cyrku? Próbujesz zdobyć pierwszą nagrodę czy co? Za kogo się uważasz? Za Charliego pieprzonego Chaplina? Spodnie jak worek, sznurowadła pętają się wokół nóg, plecy zgarbione, jakby ktoś nadmuchał piłkę do koszykówki i wsunął ją pod koszulę na plecach. Wyglądasz jak francowaty klaun. Nie należysz do tej drużyny, nie należysz do tej kompanii, nie należysz do »chlewni«, nie należysz do West Point; należysz do cholernego cyrku. Dziś o dwudziestej pierwszej trzydzięci zameldować się w moim pokoju! Chcę widzieć, że twój mundur błyszczy, a ty cały lśniesz. Słyszysz mnie pan? Chcę widzieć, jak stoisz w progu mego pokoju i bije od ciebie blask. Słyszysz, co mówię? Masz mnie tym blaskiem oślepić, na twój widok mają mi wyjść gały z orbit”.

A rekrut nic, tylko *Yessir- Yessir- Yessir, yessiruje* i *yessiruje*, a dowódca drużyny, stojąc kilka centymetrów przed nim, ryczy mu do ucha, cały otaczający świat wali się, czas staje w miejscu, całe to cholerne miejsce pęka - za dużo, cholera, za dużo jak na małą głowę rekruta.

Dla dowódcy drużyny jest to też paskudne; może nawet jeszcze gorsze niż dla rekruta. Pod swoją pieczę dostał jedenastu chłopaków, jedenastu cholernych rekrutów, jednaście oddzielnych worów brezentowych wypełnionych po brzegi kłopotami. Jeden ma zepsute zęby; trzeba zadbać, by zgłosił się do dentysty. Drugi nie umie pływać, nigdy w życiu nie wszedł do wody. Trzeba go zatem uczyć, i to uczyć tak, by najpierw oswoił się z wodą, a podczas »chlewni' nauczył się pływać. Trzeci z kolei ma uszy wielkie jak liście dębu; innemu jakby ktoś ścisnął nos w imadle; jeszcze inny ma tak długie ręce, że

sięgają mu poniżej kolan. A tamten znowu jest podręcznikowym wręcz okazem ofermi. Cóż, z takim to dopiero są kłopoty. Każdy zna kogoś takiego z gimnazjum. Pojawiał się w szkole z teczką, nosił okulary, pałętał się po korytarzach, gapiąc się wokół jak matoł, wpadał na ludzi, sprawiał wrażenie, jakby był z innego świata. Skąd oni biorą takich palantów?

Dowódca ma całą drużynę, jedenastu rekrutów, jedenastu faszolarzy, jedenastu cymbałów, a każdy z nich inny, a jednocześnie wszyscy tacy sami, bo w gruncie rzeczy wszyscy są faszolarzami. Rekrutami. Żalona zbieranina, która trafiła właśnie tu, do tej drużyny.

A jednak bydlę potrafiło przebić się przez to wszystko i roztrzaskać lustro własnego narcyzmu kadeta. Bydlę miało miękkie podbrzusze. Podczas „chlewni” kadet zdobywał wiedzę o sobie samym, o czymś, co nazywano przywództwem. Będąc przez miesiąc złym chłopcem, nauczył się, że on i przywództwo mają się do siebie wprost proporcjonalnie. Najpierw człowiek dba tylko o siebie, żeby się wyspać, pójść do kina, zwrócić na siebie uwagę dziewczyny. Później dzień wydłuża się do cholernych osiemnastu godzin, trzeba dbać o jedenastu rekrutów i nie ma miejsca na żadne kanty. Rekruci o tym wiedzieli. I kadet wiedział, że oni wiedzą, ponieważ sam był kiedyś rekrutem. Wspólnota doświadczeń wiązała ze sobą dowódcę i drużynę.

„Chlewnia” stanowiła najjaskrawszy przykład wykorzystywania przez akademię wrodzonego bestialstwa człowieka. Dowódcy drużyn strzelali na ślepo i każdy z nich, choć za nic nie przyznałby się do tego, miał odczucie, że mógłby zabić- metaforycznie, w sensie psychologicznym, a nawet naprawdę - lecz nie miało to większego znaczenia. Liczyło się odczucie. I każdego z nich drążył niepokój, odziedziczony po cholerniej, bezdennej tradycji Długiej Szarej Linii. Zatem Slight zrobił to, co zrobiłaby większość dwudziestojednolatków. Poszedł nią aż do końca.

Doszedł do wniosku, że w Ameryce nie ma instytucji jawnej West Point, która lepiej uczyłaby „przywództwa”. Ostatecznie w uczelni tej egzekwowano to bezlitośnie od roku 1802. Slight zakładał, że przywództwo stanowi jedynie pięćdziesiąt procent

możności działania - nazywał to ilorazem Johna Wayne'a. Przyszła jednak chwila, gdy pojął, o co w tym wszystkim chodzi.

Lekcja była zaprawiona ironią, gdyż „prowadzenie gry”, nieustanna dywersja kadetów, z czego Slaight zawsze bezlitośnie kpil, stało się dlań nagle sprawą najważniejszą. Slaight musiał krok po kroku pokonywać wszelkie pułapki, którymi usiana była „gra”, po to, by w końcu pojąć największą tajemnicę West Point. Racją bytu akademii wojskowej była wojna, a co za tym idzie - miała uczyć młodych ludzi zabijania. Z misji prowadzonej przez akademię wynikał jeden wniosek, o którym West Point nigdy oficjalnie nie mówił. Człowiek musiał być gotów na śmierć, i to nie w imię obowiązku, honoru czy kraju, lecz dla dobra własnych ludzi.

Na tym polegało dowództwo w ujęciu West Point i w tym leżał jego sekret. System działał, bo ludzie byli nieobliczalni. West Point dobrze wiedział, że człowiek pokocha w końcu tych, których uczył pogardy i lekceważenia - w tym przypadku oddanych mu pod opiekę rekrutów. Taki obrót rzeczy był w równym stopniu przerażający i skuteczny. Akademia odkrywała przed człowiekiem jego własne ego, implantując jednocześnie w nim ziarno samoofiary. Jednak cały ten bełkot o przywództwie - jak to określał Slaight - nabierał sensu dopiero wtedy, gdy człowiek zostawał dowódcą drużyny w „chlewni”. Kadet stawał się nieoczekiwanie kimś ważnym, w jego rękach spoczywał los jedenastu ludzi.

Leżąc długo w nocy, Slaight rozmyślał o sobie; były to jedyne chwile, jakie miał wyłącznie dla siebie. Dochodził do wniosku, że naprawdę pokochał tych fasolarzy. Nawet największą ofertę. Kochał ich, bo należeli do niego. Kochał ich, bo byli tylko fasolarzami. Kochał, ponieważ całkowicie zależeli od niego; darzył ich uczuciem ojca i matki jednocześnie. Kochał ich, ponieważ byli nim. Sam był kiedyś fasolarzem, rekrutem, ofertą, przyglupem, cymbałem, nic niewartym kawalkiem gówna i niech go piekło pochłonie, jeśli kiedykolwiek o tym zapomni! Wiedział, co każdy z uczestników „chlewni” czuje podczas tych piekielnych lipcowo-sierpniowych dni, pamiętał,

jak sam kochał dowódcę swojej drużyny, a zarazem nienawidził go z całego serca. Zawsze robił Slaughterowi kolo pióra, pomiatał nim jak śmieciem, lecz kiedy wreszcie okres „chlewni” zakończył się, okazał się całkiem w porządku. Nadszedł wrzesień, Slaughter trafił do swojej kompanii, „chlewnia” minęła, a on pojął, że przetrwał to wszystko, poradził sobie i jest w doskonałej formie. I o to właśnie w tym wszystkim chodziło - poradzić sobie. Dowódca drużyny nauczył go, jak przetrwać i poradzić sobie. Nauczył go życia, wbił mu do głowy wiedzę, której nie zapomni do końca życia. Kiedy już skończyła się „chlewnia”, kiedy przestano obrzucać go błotem i gnojem, został cholerynym kadetem, regularnym żołnierzem, dojrzałym, umiejącym sobie poradzić.

Na jego barkach spoczywała teraz wielka odpowiedzialność; odpowiedzialność za faszystów, za jedenastu młodych amerykańskich chłopców. Odpowiedzialność jak jasna cholera. Facet, który ponosił za nich odpowiedzialność - odpowiedzialność za to, czy wzięli pigułki, napisali do tatusia i mamusi i przynajmniej dwa razy w tygodniu wysrali się - facet, który był odpowiedzialny za każdą minutę ich żałobnego życia, był dowódcą drużyny, w której skład wchodził. Kadeci z najwyższego rocznika, oficerowie, oficerowie taktyczni i podpułkownicy, majorzy, oficerowie kancelaryjni, a także Hedges, Najlepszy Komendant - wszyscy oni obserwowali go. Patrzyli, co robi dowódca drużyny. Sprawdzali, czy któryś z jego chłopców nie przegapił porannej pobudki i biegu. Sprawdzali, czy podczas porannej sobotniej inspekcji jego drużyna zapięta jest na ostatni guzik. Czekali na nieuniknione, aż któryś z rekrutów zgłosi się do oficera taktycznego z prośbą o zwolnienie z akademii wojskowej. Wszyscy oni stali, gapili się i czekali, aż dowódca drużyny coś spieprzy, a w takim przypadku, jak w przypadku rekrutów, wystarczyło tylko troszeczkę coś schrzanić, by oznaczało to koniec wszystkiego...

„Chlewnia” przypominała gruchota za pięćdziesiąt dolarów. Toczył się wprawdzie szosą, ale wymagał, by co sto mil dolać mu kwartę oleju. Działa w nim tylko sześć z ośmiu cylindrów, hamulce rozpaczliwie domagają się wymiany bębnow, pedał

gazu sterczy zaledwie trzy centymetry nad podłogą, pojazd skrzypi, rzęzi i klekocze, ale jakoś się toczy - dowódca jednak wiedział, że lada chwila maszynieria może przestać działać i wtedy on będzie uziemiony. Tak właśnie funkcjonowała „chlewnia”.

Prymus David Hand sprawiał kłopot. Chłopak z Nowego Orleanu roznosił w drużynie zarazę; do licha, rozsiewał zarazę w całym plutonie; wśród czterdziestu czterech rekrutów. Obniżał morale. Wszyscy wiedzieli, co się wydarzyło. Wszyscy wiedzieli, że tylko Crolius darzył Handa sympatią, a Hand oddał go pod sąd honorowy. Croliusowi oskarżono o coś, co nazywało się wykrętem, lecz w opinii rekrutów było to jedynie nadmuchanym gównem... Gdy zrozumieli, jaki los spotkał Croliusowi, i zobaczyli, że Hand jest dumny ze swego postępu, podłamało ich to i zaczęli olewać swoje codzienne obowiązki... Pękli, otworzyła się jakaś rana, najpierw w drużynie, później w całym plutonie; rana krwawiła i krwawiła, a pieprzonej krwi żadną miarą nie dawało się zatamować...

Dlatego też Slight zdawał sobie sprawę z tego, że musi coś z Handem zrobić. Widział to w twarzach rekrutów. Gdy patrzył im w oczy, widział w nich żal, prośbę, błaganie; o co? O wyzwolenie? O pomoc? Tego nie wiedział. Nie był pewien. Wiedział tylko, że musi zrobić z Handem porządek, musi zrobić porządek natychmiast, gdyż w przeciwnym razie wszystko diabli wezmą, cała jego cholerna drużyna rozpadnie się, zeżre ją żal, ból i żal z powodu nieszczęsnego Croliusowi. Slight ponosił odpowiedzialność za powierzonych mu rekrutów. Zdawał też sobie sprawę z tego, że w całej aferze zawinił wyłącznie on. Długo zastanawiał się nad tą sprawą i wreszcie znalazł rozwiązanie. Musi Handa złamać i zgnieść zzerającego go od środka robaka, musi sprawić, by ten francowaty złamas otworzył się i pokazał drzemające w nim człowieczeństwo.

Po raz pierwszy w życiu Slight poczuł w sobie moc, prawdziwą moc, poczuł ów tajemny dreszcz przeszywający kręgosłup, gdy podjął niezłomną decyzję, i co więcej - wiedział, że decyzja jest słuszna. Nie, to już przytrafiło mu się po raz drugi. Pierwszy raz doznał tego uczucia w wieku piętnastu lat, kiedy

pojął, że powinien grać w bilard - był bilardzistą z krwi i kości, nikt nie mógł mu dorównać. Ale sprawa z Handem była całkiem inna. W bilardzie chodziło tylko o forszę. W grze z Handem stawka szła o życie człowieka. Tak więc Slaight zebrał się w sobie i wykonał strzał.

Zastosował metodę represji i zakazów. Przejął kontrolę nad całym czasem Handa, dyrygował każdą minutą jego dziennego rozkładu zajęć, od pobudki do zgaszenia światła. Slaight nieustannie mu towarzyszył. Nie doglądał Handa, całkowicie go kontrolował. Hand nie mógł wykonać ruchu bez pozwolenia Rya Slaighta lub Leroya Bucka, kumpla Slaighta i dowódcy innej drużyny, który również interesował się „tym gnojkiem z Nowego Orleanu”, jak nazywał Handa.

Dla Leroya Bucka Hand był zwierzęciem. Na takie stworzenia polował w swej rodzinnej Indianie ze śrutówką, a nawet z szesnastostrzałowym sztucerem. W wojsku w roku 1967 reakcja Bucka na arogancję Handa nie była niczym dziwnym. Byle sierżant prowadzący musztrę mógł zniszczyć Handa, tak że padłby na mordę, trafił do szpitala, a nawet umarł. Sierżantowi prowadzącemu musztrę nie sprawiłoby to większego kłopotu.

W wojsku z normalnego poboru Handa wyrzekłby się własny pluton i dręczył go perfidnie na sposób zawodowych podoficerów. Być może towarzysze z plutonu wciągaliby go pod prysznic i smagali miotłami z latryn tak długo, aż spłynąłby krwią. Być może braliby go głodem, nie dopuszczając podczas manewrów polowych do kotła z jedzeniem. A może nawet któregoś wieczoru wsadziliby go w samochód, rozpędzili pojazd do szybkości osiemdziesięciu lub stu kilometrów na godzinę i wypchnęli Handa z pędzącego samochodu. By zabić skurwiela. Trudno było powiedzieć, jaki los czekałby chłopaka pokroju Davida Handa w regularnym wojsku.

W West Point takie sprawy załatwiano w sposób bardziej subtelny, nieuchwytny dla oka i ucha. Nie niszczone nikogo w sposób fizyczny; niszczone go psychicznie. Gra ta wymagała dużej chytryści i wiele cierpliwości. W West Point uczono kadetów metod biurokratycznych, uczono, że czas jest po stronie człowieka, który zamierza coś zrobić. Uczono, że należy wyczekać

stosownej chwili. Czas był elegancką i wytworną bronią.

A zatem czekali. Czekał Slaughter i czekał Buck, traktując Davida Handa jak lotkę w badmintonie. Wymyślali różne bezsensowne zadania, jedno po drugim, kazali przekazywać sobie wzajemnie bzdurne wiadomości, wysyłali go do innych kadetów, znanych z paskudnego nastawienia do rekrutów. Rezultat był zawsze taki sam. David Hand był punktualny jak zegarek. Nic nie można było mu zarzucić. Za każdym razem, nawet gdy musiał przebiec teren całych koszar i z trudem łapał oddech, meldował się nienagannie, nie popełniał najmniejszego błędu. Początkowo złościło to Slaughtera i Bucka, bo sądzili, że złamią chłopaka w ciągu kilku dni. Później jednak poszli po rozum do głowy. Pojęli, że sprawa jest bardziej skomplikowana i zajmie im więcej czasu. Zadowoleni, rozparli się i spokojnie czekali.

Hand był nieustannie zajęty. Nie miał chwili wolnego czasu. Żył od rozkazu do rozkazu. Przez ponad tydzień schemat pozostawał taki sam: Hand biegał, meldował się, składał raporty, bił obcasami, biegał, meldował się, wtulał przy ścianie, biegał, jeszcze więcej biegał, jeszcze więcej wtulał, znów się meldował, wtulał - i tak w kółko. Myśleli, że go w końcu zmęczą, ale metoda nie skutkowałą. Hand był doskonały. Nie popełnił najmniejszej pomyłki. I wtedy pewnego wieczoru, na trzy dni przed końcem pierwszego etapu „chlewni”, Slaughterowi przyszedł do głowy szatański pomysł. Jaka broń pozostała mu jeszcze w arsenale? Co mógł jeszcze zrobić, by całkowicie pognać Handa? Jakiego środka się chwycić?

Była dwudziesta pierwsza trzydzieści pięć, czas, kiedy w pokojach kadetów z wyższych lat pojawiali się kurierzy, by odebrać listy do wysłania następnego ranka. W pokoju Slaughtera pojawił się David Hand. Zameldował się, Slaughter popatrzył na rekruta i gestem zaprosił do środka. Hand zatrzymał się przepisowe dwa kroki przed biurkiem dowódcy drużyny i czekał, aż skończy adresowanie koperty. Slaughter wręczył rekrutowi list zaadresowany do Samantha Hand, studiującej na uczelni w Vassar. Na widok nazwiska Handowi załśniły oczy. Na chwilę stracił zimną krew i panowanie nad sobą. W innej sytuacji



Slaight uznałby ów błysk za naturalny. Przez ostatnie cztery tygodnie był świadkiem wielu emocji wyrażających całe spektrum uczuć - od uniesienia i radości z dobrze wypełnionego zadania po kompletną rezygnację. W ciągu czterech ostatnich tygodni na twarzy Davida Handa widniał wyraz tylko jednej emocji: poczucia wyższości. Tupetu i pewności siebie. Nawet wyciągając pięść podczas „męskiej rozmowy”, przyznając się, że jeszcze nigdy „nie miał dziewczyny”, uczynił to z dumą i godnością. Slaight podziwiał go za to. Chłopak miał charakter.

Reakcja Handa, nawet tak przelotna, otworzyła drzwi, do których klucz trzymał Slaight. Siedział przy biurku i udawał, że bez reszty pochłonięty jest przeglądaniem papierów. Nie patrzył na Handa, ale wiedział, że rekrut stoi nieporuszony i wbiła wzrok w ścianę nad jego głową, czekając na dalsze instrukcje. Zerknął spod oka. Hand ścisnął kopertę w zaciśniętej pięści tak, że list zupełnie się pogniół. Nie był to już David Hand, jakiego znał - rekrut doskonały, który narzucił „chlewni” własne reguły gry. Slaight miał go w garści.

Nie przestawał grzebać w papierach. Czekał, aż do Handa dotrze prawda. W pokoju panowała grobowa cisza. Do capstrzyku brakowało jeszcze dwudziestu pięciu minut, w ciągu których Hand powinien wrócić do swego pokoju. Slaight miał zatem dużo czasu. Poleciał Handowi podejść pod ścianę i stanąć na spocznij. Dotąd ich rozmowy były nieformalne, i teraz też Slaight próbował stworzyć pozory, że się poddał, że to Hand wygrał. Zapytał rekruta o Nowy Orlean, o gimnazjum, o życie na Południu, co robi jego ojciec. Hand bez entuzjazmu mamrotał pod nosem odpowiedzi.

Slaight udawał, że tego nie zauważa. Opowiadał o Kansas, o gimnazjum w Leavenworth, do którego uczęszczał, o dziewczynie, którą zostawił w rodzinnym miasteczku. Słowem, taktował Handa jak każdego innego rekruta. Mówił o West Point, o chłopakach, którzy zostawili w domach dziewczyny, o ich sympatiach mieszkających w pobliżu akademii wojskowej, uczęszczających do okolicznych gimnazjów, o dziewczynach z miasta, o stewardesach i sekretarkach. Wyznał Handowi, że dziewczynę

w rodzinnym miasteczku odwiedza podczas dłuższych przepustek, a z miejscowymi spółniczkami ma po prostu dobre układy. Jeśli Hand się postara może sobie wyrobić podobne układy. Hand skinął potakująco głową, jakby mówił *jessir*. Slight gawędził dalej, pozornie nie zauważając pogwałcenia regulaminu. Na chwilę zamilkł i zaczął przewracać papiery na biurku. Wyciągnął kolejną kopertę, zaadresowaną do Betty Jane Soah z Fort Leavenworth w Kansas, i wręczył ją Handowi. Tym razem porozumiewawczo puścił do rekruta oko, po czym rozparł się wygodnie na krzesło i czekał. Gdy Slight opowiadał o swych układach z panienkami, o dziewczynie pozostawionej w domu i tej mieszkającej w pobliżu West Point, Hand stał, ścisnął w dłoni kopertę i grzecznie słuchał. Teraz zaczął się pocić. Strużki potu spływały mu z czoła, moczyły kołnierzyk koszuli, płynęły po rękach. Spodnie od munduru polowego pociemniały na kolanach od wilgoci. Pogniecione koperty, które trzymał w lewym ręku, również zwilgotniały. Slight obserwował Handa kątem oka. Rekrut zamrugnął powiekami i strząsnął z rzęs kropelki potu. Slight położył dłonie na blacie biurka i popatrzył Handowi prosto w oczy. Nadszedł czas.

- Coś ci powiem, Hand - zaczął. - W ciągu ostatnich dwóch lat miałem wiele dup, ale najlepiej bżykała się twoja siostra.

Teraz już z Handa pot spływał strumieniami.

- Twoja siostra bżykała się jak królik. Mogła to robić na środku drogi. Ani przed nią, ani po niej nie spotkałem nikogo takiego. Ta cholerna Samantha miała hopla na punkcie pieprzenia się.

- Sir! - wykrzyknął Hand. - Mówi pan o mojej siostrze!

- Wiem, Hand, że mówię o twojej siostrze. Właśnie w lewej dłoni trzymasz list, który do niej napisałem. A swoją drogą, bardzo go pogniotłeś. Tylko popatrz. Koperta jest pomięta i wilgotna od potu. Oddaj mi ten list... No, co jest z tobą? Nie możesz pogodzić się z myślą, że bżykałem twoją siostrę?

Slight zamilkł. Hand dygotał jak w febrze.

Kadet wstał z krzesła i podszedł do rekruta. Stanął przed

nim i popatrzył mu głęboko w oczy. Z nieszczęsnego chłopaka pot spływał strumieniami, drżał cały. Był o dobre dziesięć centymetrów wyższy od Slaughtera, był w wyśmienitej formie fizycznej. Slaughter wiedział, że rekrut jest w stanie stłuc go na kwaśne jabłko. Kazał Handowi popatrzeć sobie w oczy. Hand opuścił lekko głowę i spojrzął.

- Co się z tobą dziś dzieje, Hand? Masz jakieś problemy? Nie miałeś ich tamtego wieczoru, gdy Crollius opowiadał ci o tym, jak pieprzył swoją dziewczynę. Byłeś zachwycony. Byłeś zachwycony również wtedy, gdy zaprowadziłem cię na oddział pensjonariuszy, byś zobaczył się z Crolliusem, który następnego dnia miał opuścić na zawsze mury akademii. Co więc dręczy cię dzisiaj? Jestem po prostu takim Crolliusem, a twoja siostra jego dziewczyną. Bzykanie to bzykanie. W czym zatem problem?

- Sir, mówi pan o mojej siostrze!

- Wiem, że mówię o twojej siostrze. W czym problem? Nie wierzysz, że ją bzykałem? Dlaczego więc nie udasz się do przedstawiciela honoru i nie złożysz meldunku, że splamilem honor kadeta? Dlaczego nie postąpisz ze mną tak, jak postąpiłeś z Crolliusem?

Slaughter czekał. Hand drżał i obficie się pocił.

- Naprawdę aż tak ci to przeszkadza, że pieprzyłem twoją siostrę? Widzę, że wiadomość ta wywarła na tobie wstrząsające wrażenie. Cóż, nie da się ukryć, że pieprzyłem twoją siostrę, Hand. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do niej i spytaj. Zapewne bardzo ją tym zaskoczysz, ale jestem pewien, że mnie pamięta. Pieprzyłem twoją siostrę wiele razy, a ona miała z tego wielką frajdę. Wiem o tym.

Za każdym razem, gdy Slaughter mówił: „pieprzyłem twoją siostrę”, wymawiał słowa wyraźnie i powoli, jakby wbijał w Handa gwoździe.

Rekrut drżał jak liść na wietrze.

Kadet stał przed nim kilka długich chwil i czekał, aż Hand coś powie lub zrobi. Slaughterowi przemknęła myśl, że rekrut może złożyć na niego skargę za znęcanie się nad podwładnym, ale przecież pozwolił mu stać na spocznij. Rekrut nie musiał wtulać, a on nie tknął go nawet palcem. Hand stał i drżał, jakby lodowaty wiatr ziębił mu mokry od potu mundur polowy.

Slaight podszedł jeszcze bliżej Handa, tak że jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od oblicza rekruta.

- Nienawidzisz mnie, prawda? Naprawdę mnie nienawidzisz.

Hand skrzywił się i zamknął oczy.

- *Yessir!!!*

Slaight dał krok do tyłu. Wiedział, że Hand zdrowo dostał po uszach, a jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że powinien dać mu możliwość jakiegoś wyjścia, a kiedy wreszcie przyjdzie załamanie, będzie ono kompletne. Totalne. Całkowite załamanie psychiczne.

- Hand, daję ci szansę. Jesteśmy sami, tylko ty i ja, a drzwi są zamknięte. Pozwoliłem ci się rozluźnić. Nie jesteś teraz rekrutem, a ja nie jestem kadetem z wyższego roku. Stoją przed tobą dwaj zwykli mężczyźni. Tak jak ty i Crolius. Stoi przed tobą facet, który pieprzył twoją siostrę. Jeśli chcesz coś z tym zrobić, masz okazję. Więc zrób coś albo zamknij gębę i zabieraj stąd swoje parszywe dupsko. Rozumiesz, Hand? Daję ci szansę. Nie masz innego wyjścia. Wykorzystaj ją.

Hand stał, drżał jak wprawiony w ruch kamerton, pięści miał zaciśnięte, list do jego siostry był już zgnieciony w kulkę. Slaight popatrzył mu w oczy i zrozumiał, że złamał człowieka. Dał krok do przodu i przyłożył Handowi usta do ucha.

- Nic nie zrobisz, prawda? - spytał szeptem.

Czekał. Hand milczał.

- Nie słyszę, Hand. Bądź łaskaw mówić głośniej. Nie słyszę.

- *Nosir!!!* - wrzasnął Hand.

Slaight jeszcze przez chwilę stał w bezruchu, po czym cofnął się. Kazał Handowi wyjąć chusteczkę do nosa i wytrzeć twarz. Kiedy rekrut spełnił polecenie, oczy i policzki miał czerwone i podpuchnięte. Slaight przyłożył znów usta do jego ucha i wrzasnął:

- A więc, głąbie, wtul podbródek w szyję! Plecy i kark do ściany!

Rekrut przywarł kurczowo do zimnego muru. Pocił się wtulał i drżał. Był skończony. Złamany.

Slaight odsunął się od Handa. Czuł osobliwą mieszankę poczucia winy i spełnionego obowiązku. Czuł się potężny. Nie zadowolony, lecz właśnie potężny, a to była wielka różnica.

- Posłuchaj, Hand - odezwał się powoli i z namysłem. - Zameldujesz się w moim pokoju jutro rano, na pięć minut przed porannym apelem. I będziesz meldować się tak każdego ranka. Zameldujesz się, Hand, i radzę ci, byś wyglądał dobrze, ponieważ dokładnie cię obejrzę. Będę cię od teraz mieć na oku, Hand. Zapamiętaj to sobie. A teraz wynocha stąd! Wynocha z mego pokoju!

Hand wykonał gwałtowny zwrot i opuścił pokój.

Następnego ranka Hand spóźnił się do pokoju Slaighta. Był kompletnie zeszmącony. Buty mu nie lśniły, klamra pasa zmatowiała, policzki miał nieogolone. Hand był złamany i nie miał się do kogo zwrócić o pomoc. Nie miał dokąd iść. Slaight ze zdziwieniem stwierdził, że rekrut doskonale wie, co mu się przytrafiło. Nigdy nie prosił o pomoc kolegów, nigdy nie prosił, by zabrano go z drużyny Slaighta. Nawet pokonany, zachował godność. Grał po swojemu, przegrał, i teraz musi za to zapłacić. Znał reguły gry.

Rankiem w dniu, gdy opuszczał „chlewnię”, by pojechać na przepustkę, Slaight po raz ostatni wezwał do siebie Handa.

- Zameldujesz się w moim pokoju - powiedział. - Na kontrolę.

Stawił się punktualnie. Chodząca doskonałość. Wiedział, że w południe Slaight opuszcza West Point. Ten ostatni raz zebrał się w sobie. Gdy tak stał na baczność, Slaight spostrzegł, że twarz rekruta ma nieobecny wyraz; zupełnie jakby tylko częściowo był w pokoju. Ale w jego oczach balowała się kpina i arogancja. Slaight popatrzył na stojącego nieruchomo jak posąg Handa i kazał mu się odmeldować. Wyraz twarzy kadeta mówił wszystko. Slaight trzymał go w garści, to prawda, ale nie do końca, w chłopaku wciąż pozostawało jakieś miejsce, do którego Slaight, ani „chlewnia” nie mieli dostępu. Czerpiąc jakąś niesamowitą moc z tego właśnie miejsca, Hand zdołał się pozbierać i wziąć w garść. Stał w pokoju Slaighta wyprężony

jak struna, a jego twarz mówiła: „Postawię na swoim, Slaight. Dostałem lekcję. Nie popełnię tego samego błędu po raz drugi, ale podejmę znów tę grę, będę grać po swojemu i wygram”.

Slaight nigdy nie zapomniał wyrazu twarzy chłopaka. Nigdy nie zapomniał Davida Handa. Rekrut miał charakter jak jasna cholera. W tym należało oddać mu sprawiedliwość. Dotarł na samą krawędź, przekroczył ją, a jednak przetrwał. Slaight nie miał zielonego pojęcia, jaką krawędź eksplorował Hand. Nie potrafił też jeszcze przyjąć do wiadomości, że David Hand wykorzystał go. Hand rywalizował z dowódcą drużyny Rym Slaightem.

I za to poniósł śmierć.

# *Księga IV*

Królestwo pary

## 23.

- Ry, czy wspominałeś komuś o tym, co opowiedziałeś mi dziś wieczorem?

- Nie.

Irit siedziała obok niego, upierścienioną dłoń trzymała mu na ramieniu. Przez dwie godziny, kiedy Slaight opowiadał jej o Davidzie Handzie, nie odezwała się ani słowem.

- Dlaczego nie? Nie mieści mi się w głowie, że mogłeś tak długo gnieść to w sobie. Nie potrafię tego zrozumieć.

Slaight opróżnił już trzecią szklaneczkę bourbona z lodem.

- Sam nie wiem. Nie wiem, dlaczego. I tobie też zapewne nie wspomniałbym o tym, gdyby nie wynikła dziś ta afera z Hedgesem. Poza tym... ty to jesteś ty, Irit, wiesz o tym?

- Nie, nie wiem. Nie rozumiem. Mogę zrozumieć historię, którą mi opowiedziałeś. Mogę zrozumieć, dlaczego tak potoczyły się sprawy, ale nie pojmuję, dlaczego z nikim się nią nie podzieliłeś. A może zwróciłeś się z prośbą o pomoc do rodziców? Do własnego ojca?

- Nie.

- Dlaczego? Moim zdaniem rodzice powinni pierwsi wie-  
niec o tym, że ich dziecko ma jakieś kłopoty i problemy.

- Problemy! - wykrzyknął ze złością Slaight. - Jakie znów problemy! - Zerwał się z miejsca, rozlewając trunek, zaczął gwałtownie przechadzać się po pokoju. - Jakie pieprzone problemy? Cały ten gnój, o którym ci opowiedziałem, to właśnie West Point; to w nim utonął Hand. W West Point dzieje się tak



każdego dnia. Kto ma problemy? Jeśli chcesz wiedzieć, całe moje chrзанione życie jest problemem. Za to, co zrobiłem, powinienem zostać stamtąd wypieprzony na zbity pysk. Jezu! Co miałem ci mówić?

- Ale twoja rodzina, Ry...

- Moja rodzina! Chyba żartujesz. Co oni mogą o tym wiedzieć? Siedzą sobie spokojnie w Kansas i hodują konie. Mój stary nie chciał, bym szedł do West Point. Od trzech lat nie rozmawiałem z nim o niczym ważnym. W domu czuję się jak w cholernej kostnicy. Sadzone jajka na śniadanie. Steki z grilla na kolację. Pieprzone piwsko i widok bogatych dzieciaków z Kansas City ujeżdżających konie na padoku. I jeszcze więcej piw-ska. Zachody słońca. Telewizja. Łóżko i lulu. To całe życie wszystkich, których tam znam. I co by sobie pomyśleli moi rodzice? Nie mogę przecież opowiadać ani im, ani znajomym, co dzieje się w West Point. Nie mogę. Nie zrozumieliby, co to znaczy być cholernym rekrutem. Nie zrozumieliby „chlewni”. Po prostu by nie zrozumieli.

- A zatem zgadzasz się... jak go nazwałś?... z przewodni-czącym komitetu honoru, z tym, który prowadził wykłady dla rekrutów. Uważasz, że miał rację, twierdząc, iż nie należy ni-komu opowiadać o życiu w West Point. Ty też uważasz, że wszystko należy trzymać w tajemnicy. Uważasz, że West Point powinien pozostawać w oderwaniu od reszty świata.

Slaight pociągnął ze szklanki tęgi łyk trunku. Nie uważa! tak ani przez chwilę, ale tak właśnie postępował; on i cała reszta rezydentów akademii. Tak właśnie robił, aż do chwili, kiedy usiadł ze swoją dziewczyną w jej salonie i wyznał całą prawdę o Davidzie Handzie.

- Irit, nie wierzę w te bzdury. Chryste, gdybym wierzył, nie opowiedziałbym ci tej historii. To nie jest takie proste. Bez względu na to, czy mi wierzysz, czy nie. To nie jest czarne i białe. Nie wierzę w ten chłam o tajemnicy i nigdy nie wierzy-łem. Ale ja w tym żyję. Siedziałem w samym środku tego, nie miałem wyboru. Ale nawet teraz odnoszę wrażenie, że zosta-łem zmuszony do otwarcia się. Zupełna jakbym musiał ci o tym powiedzieć. Nie miałem wyboru. I tak już wiesz za dużo.

Chryste! Posłuchaj mnie. Brzmi to jak szpiegowska historyjka z drugiej wojny światowej pokazywana w nocnym programie telewizji. „Wiesz za dużo, kochanie, więc muszę ci, dopowiedzieć resztę, ale zrozum, oznacza to definitywny koniec między nami”. Przecież to śmieszne.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Przeciwnie, to bardzo poważna sprawa. Odnoszę wrażenie, że trapią cię wątpliwości, jakich nigdy dotąd nie miałeś.

- Masz rację, Jezu, Irit! Cóż mogą ci więcej powiedzieć?

- Może wreszcie powiesz mi, dlaczego nikomu nie wspomniałeś o swoich doświadczeniach w akademii?

- Powiem! Czy ty tego nie rozumiesz? Powiedziałem ci o sobie i Davidzie Handzie, ale to jedynie czubek góry lodowej. Co mam zrobić, abyś zrozumiała? Naukę w West Point zaczyna się w wieku osiemnastu lat. Później zostaje się kadetem. Robisz wiele rzeczy. Wychodzisz na przepustki. Jedziesz do domu na Boże Narodzenie. Spotykasz rodziców, znajomych i dziewczynę. Pijesz w barze i rozmawiasz ze współpasażerem w samolocie, którym lecisz. Ale co mam im powiedzieć? „Posłuchaj, wczoraj kazałem rekrutowi zameldować się w moim pokoju, a kiedy przyszedł, wyglądał jak kawał gówna w wodzie. Buty miał matowe, mundur jak psu z gardła wyciągnięty i nie znał tygodniowego programu kinowego. A więc kazałem mu się meldować u mnie przed porannym apelem przez cały miesiąc. Żeby go podmusztrować, ustawić”. I co, kto cokolwiek z tego zrozumie? Kto w ogóle wie, co to podmusztrowanie, ustawienie? Jezu, o czym miałbym im opowiadać? Że być kadetem to... to jak być jakimś bogiem? Wmawiają człowiekowi, że jest lepszy od innych. Początkowo nie wierzy się w te bzdury, ale kiedy powtarzają ci to uporczywie przez dłuższy czas, zaczyna się w to wierzyć. - Znów upił łyk bourbona. - Jak, kurza twarz, może ktokolwiek zrozumieć, co tam się naprawdę dzieje? Kiedy byłem rekrutem, miałem w pokoju kolegę. Nazywał się Danny Gottlieb. Był Żydem z Brooklynu. Miał ojca krawca. To wszystko. Banał. To, że chłopak trafił do West Point, stanowiło największe wydarzenie w historii jego rodziny. W naszej kompanii był jeszcze inny kadet, „krowa”, o nazwisku Ryder, który nie

znosił Gottlieba. Nie dlatego, że był Żydem, ale dlatego, że jego sylwetka przypominała gruszkę. No wiesz, gruszkę. Wąskie ramiona, szerokie biodra. Naprawdę przypominał gruszkę. Ryder nienawdził Gottlieba, który codziennie bardzo starannie szykował się do porannej zbiórki. Pucował wszystko na wysoki połysk, a następnie schodził z piętra i stawał w szeregu. Po chwili na schodach pojawiał się Ryder. Słysząc go było z daleka. Głośno żartował z „krowami”. Podchodził do stojącego w szeregu Gottlieba na odległość trzech kroków i mówił: „Gottlieb, nitka wyłazi ci z kieszeni”. Gottlieb spoglądał w dół. Z kieszeni rzeczywiście sterczała nitka długości półtora centymetra. „Nie wiedziałem, sir”. Ryder każe mu zameldować się u siebie o dwudziestej pierwszej trzydzieści. I w ten sposób cały rozkład dnia Gottlieba walił się w gruzy. W gruzy. Rozumiesz, Gottlieb nie mógł się po południu uczyć, ponieważ pracował nad swymi butami i umundurowaniem, żeby wieczorem Ryder nie miał się do czego przyczepić, ale dobrze wiedział, że i tak Ryder wyleje mu na głowę kubeł pomyj. Tak działo się zawsze. Każdego cholernego dnia. To samo. W taki sam sposób. A ja i reszta chłopaków z pokoju potrzebowaliśmy pomocy Gottlieba przy zadaniach z matematyki. Ten chłopak miał w głowie kalkulator. Gottlieb nie miał czasu nam pomagać, ponieważ umysł zaprzętało mu bez reszty to, że o dwudziestej pierwszej trzydzieści ma zameldować się u Rydera. I tak działo się przez cały francowaty rok. Rok rekrucki. Dziewięć, kurwa, miesięcy. Dzień w dzień Gottlieb meldował się u Rydera. I wiesz co? W następnym roku Ryder został dowódcą kompanii i okazał się najlepszym dowódcą, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. I ani razu nie podłożył już Gottliebowi świni. Zostali najlepszymi kumplami. I co ty na to, Irit? Największy dupek pod słońcem, Ryder, został wyśmienitym dowódcą kompanii. Gottlieb, który przez cały rok nienawdził go i bał się jak ognia, teraz dałby sobie za niego odciąć rękę. Ryder jak nikt dbał o kompanię. Trzymał z dala od nas oficera taktycznego. Był, cholera, najlepszym dowódcą, jakiego mieliśmy. I co o tym sądzisz, Irit?

- Nie wiem, Ry.

- Ja też nie wiem. Ale jak ci się to podoba? Gottlieb, który podczas rekruckiego roku przeżył prawdziwe piekło, również został przodującym kadetem. A przecież jeśli ktokolwiek miał powody, by podczas roku rekruckiego zrezygnować z nauki w akademii, to właśnie on. Ale nie. Zacisnął zęby i został kadetem. A chłopcy, którzy wcale nie musieli meldować się codziennie u Rydera, jedynie borykali się ze zwykłymi utrapieniami roku rekruckiego, jakby dotknięci masową epidemią, zaczęli po kolei składać rezygnację. Kiedy więc dwadzieścia osób z kompanii złożyło rezygnację, wydział taktyczny doszedł do wniosku, że dzieje się coś niedobrego. Zwrócił się do wydziału wojskowej psychologii i przywództwa, skąd niezwłocznie przysłano majora wraz z całą ekipą specjalistów. Rozpoczęli dochodzenie. Koniecznie chcieli wiedzieć, dlaczego tylu rekrutów rezygnuje z nauki w West Point. Major spotykał się z nami dwa razy na tydzień. Podzielił nas na kilka grup i każda miała złożyć raport, co jej zdaniem jest w akademii nie tak. Pewnego wieczoru siedzieliśmy z majorem w łazience. Nie był absolwentem West Point i okazał się całkiem sympatycznym gościem. Naprawdę go polubiliśmy. Tego wieczoru kazał wyciągnąć nam pięści. Kazał zgłosić się wszystkim, którzy nosili się z zamiarem złożenia rezygnacji. Zgłosiło się sześciu. Wtedy on zaczął wypytywać ich o powód takiej decyzji. Chłopcy powiedzieli, że nie podoba im się sposób nauki, że nie chcą już zostać oficerami, system im nie odpowiada, a w każdym razie jego część. Takie tam odpowiedzi na odpieprz. Podobne bzdety usłyszałyby od wszystkich innych pierwszoroczników z West Point. Takie same bzdury opowiadaliby mu studenci pierwszego roku każdej cywilnej wyższej uczelni. W końcu uczył się chłopaka o nazwisku Whitford, pochodzącego z Tennessee. Z Whitforda był kawał modela. Akcent miał, kurczę, tak zawiesisty... Chryste, przy nim Leroy Buck sprawiał wrażenie, że pochodzi z Bostonu, tak więc major zwrócił się do Whitforda, a ten mu odpowiedział... Jezu, szkoda, że nie potrafię oddać ci tego belkotliwego, przeciągłego akcentu, z jakim mówił... Whitford mu odpowiedział: „Powiedz coś panu, sir. Ten West Point... hmmm...

West Point jest jak wielka trumna. Pierwszego dnia »chlewni« człowiek włazi do środka trumny, a oni zamykają wieko. I każdego dnia wbijają jeden gwóźdź. Każdego dnia wbijają jeden gwóźdź”. Major wysłuchał go, zebrał wszystkie raporty i wrócił do wydziału psychologii wojskowej i przywództwa. I na tym sprawa się skończyła. Badania przerwano. Whitford zrezygnował z West Point i zapisał się na uniwersytet Tennessee, wstąpił do bractwa studenckiego i w listach do nas pisał, że ma się tam jak pączek w maśle. Aż pewnego dnia Leroy Buck, który mieszkał z nim w jednym pokoju, otrzymał od Whitforda list. Było w nim jedno zdanie: „Leroy, proszę, kup i przyslij mi wojskowy koc »brown boy«,... Whitford najwyraźniej nie potrafił żyć bez „brown boya”. Tak więc Leroy udał się do magazynu, kupił koc, zapakowaliśmy go w wielkie pudło i wysłaliśmy pod adres uniwersytetu Tennessee. Później już nie mieliśmy od Whitforda żadnej wiadomości. Doszliśmy do wniosku, że po takiej prośbie głupio mu było pisać, jak mu jest cudownie na nowej uczelni. Bez względu na to, co twierdził, prawda była taka, że jak zwierzę tęsknił za West Point. Tęsknił za kompanią. Tęsknił za chłopakami, ale wstydził się do tego przyznać. Prosząc nas o „brown boya”, chciał nam w ten sposób powiedzieć, że żałuje swej decyzji o rezygnacji z akademii wojskowej w West Point. Dziwne, ale prawdziwe. Zawsze gdy któryś z chłopaków zrezygnował, odnosiliśmy wrażenie, że żałuje swej decyzji i nieustannie zadaje sobie pytanie: „Czy postąpiłem słusznie? Zrezygnowałem, bo byłem słaby?” I będzie sobie to pytanie zadawać do końca życia. Chryste! Czytałem artykuły w „Timesie” o problemach studentów z Ivy League, którzy nie potrafią poradzić sobie ze stresem, jaki niesie współzawodnictwo. W jednym z artykułów napisano, że większość uczelni powołała specjalne ośrodki zdrowia psychicznego dla studentów. Matko Boska. Współzawodnictwo to jedno, a to, co dzieje się w West Point, to drugie!

- Wiem, o co ci chodzi, Ry. Ta historia z trumną jest prawie...

- Śmieszna. Tak, jest prawie śmieszna. Była śmieszna wtedy.

Zaśmiewaliśmy się do łez z tej odzywki. Chryste, śmialiśmy się ze wszystkiego. Pamiętam pewien sobotni wieczór, dwa lata temu. Siedziałem w pokoju i pisałem listy, kiedy z placu apelowego dobiegł mnie jakiś raban. Wyrząłem przez okno. Dochodziła północ. Na zewnątrz ujrzałem dwóch pierwszorzoczników z mojej kompanii, którzy wracali właśnie od „Snuffy'ego” - baru, do którego zachodzili kadeci z najwyższego rocznika. Obaj byli w sztok pijani. Wykonywali LS-y... Wiesz, co to takie go LS? Nie? Lądowanie spadochronowe, uczą nas tego na pierwszym roku podczas zajęć z desantu lotniczego. Skacze się z muru, ląduje na ugiętych kolanach i toczy po ziemi, by zamortyzować zderzenie. Taka zaprawa przed prawdziwymi skokami. No więc ci dwaj ćwiczili LS-y na niewielkim murku na placu apelowym. Po kilku skokach zaczęli tarzać się po ziemi, śmiać do rozpuku, a jeden z nich, drobny chłopaczek, który odbył już ze sto godzin marszów karnych i dlatego zyskał przyzwisko Stuletniego Dziadka - otóż ten mikry chłopak zaczął się wydzierać: „Kocham ten pierdzielony plac! Kocham ten pierdzielony plac!”, po czym, leżąc na ziemi, zaczął wykonywać ruchy kopulacyjne. Natychmiast dołączył do niego jego koleś. Kopulowali i darli się: „Kocham ten pierdzielony plac!” W oknach pojawili się kadeci, zaintrygowani tym, co się dzieje. Na widok dwóch kadetów z ostatniego roku kopulujących z placem apelowym zaczęli krzyżeć, pozdrawiać ich, wiwatować, a tych dwóch kopulowało i kopulowało. W końcu ktoś ustawił w oknie głośniki i puścił „I Can't Get No (Satisfaction)” Rolling Stonesów. Mówię ci, wyglądało to tak, jakby na placu wybuchły zamieszki. Muzyka, wrzaski, histeryczne śmiechy i tych dwóch głupków. W końcu pojawił się wartownik z wiadomością, że wezwano oficera dyżurnego, który jest już w drodze. Obaj kadeci natychmiast czmychnęli do koszar, wskoczyli do łóżek i zgasili światło. I... na tym cała historia się skończyła. Uwierzysz w to?

- Wierzę.
- Sądzisz, że zrozumieli?
- Chyba tak.
- Tak, z perspektywy czasu brzmi to śmiesznie. A co powiesz o takiej historii? Był pewien kadet ze starszego rocznika

i rekrut. Rekrut był bardzo cwany. Za cwany. Myślał, że uda mu się prowadzić grę według własnych reguł. Kadet postanowił do tego nie dopuścić. Złamał go, rozłupał nieszczęśnika na pół jak arbus i zajrzał do środka. I wiesz co? Kiedy tam zajrzał, nie miał najmniejszego pojęcia, co widzi. Coś okropnego. Z wielkim nakładem sił i energii otworzył rekruta, a kiedy już to uczynił, nie wiedział, na co patrzy. I to jest właśnie West Point. Uczą cię dowodzić ludźmi, wpływać na ich zachowanie, uczą wielu innych rzeczy, a kiedy przychodzi co do czego, kiedy musisz wykorzystać swą wiedzę w praktyce, za cholere nie wiesz, co się dzieje i co masz zrobić. Idziesz po ciemku, po omacku, generalnie w stronę celu. A West Point stoi i czeka. Pozwala na to, gdyż to on trzyma palec na włączniku światła. Wie, że w mroku czeka cel. Wie, że nigdy nie straci kontroli. A wiesz, dlaczego? Sądzę, że wiesz. A dlaczego akademii tak bardzo zależy, by mieć wszystko pod kontrolą?

- Powiedz mi, Ry.

- Jasne. Nie traci kontroli, bo kiedy wszystko się kończy, człowiek jest zbyt zażenowany, by przyznać, że coś takiego się wydarzyło. Jest, kurwa, zbyt zażenowany tym, co przytrafiło mu się, kiedy był rekrutem. Jest, kurwa, zbyt zażenowany, by przyznać się do własnych czynków, jakie popełnił, gdy zyskał władzę, kiedy zrobiono go dowódcą drużyny. Jest, kurwa, zbyt zażenowany, by opowiadać komukolwiek, jak to jest, kiedy w łazience wzywa do siebie kompletnie nagiego rekruta i każe mu salutować; tylko dlatego, że dowódca drużyny jest dla niego matką i ojcem, jest wszystkim, choć ma tylko dziewiętnaście lub dwadzieścia lat, ale zachowuje się jak prawa ręka samego Pana Boga. Jest, kurwa, zbyt zażenowany tym, że wie, co dzieje się między kadetami, którzy żyją bardzo blisko siebie, i nic a nic z tego nie rozumie. Wszystko to dzieje się w próżni, jakby w jakimś zamkniętym klasztorze, bo każdy kadet od pierwszej chwili rozumie, że West Point nie należy do realnego świata i wcale nie ma do niego należeć. Wie doskonale, że to wyłącznie gigantyczna fantazja, wielka cholerna gra. Wie o tym od pierwszego dnia, od chwili gdy jakiś obcy facet każe mu postawić torby na ziemi. Z chwilą gdy po stawiał torby na ziemi, zaakceptował

reguły narzucone przez West Point i wszedł w cholerną grę. A West Point jest realny. Wystarczająco realny, by człowieka skrzywdzić. Boże wszechmogący, wystarczająco realny, by zabić.

Przechadzający się nerwowo po salonie Slaughter przystanął. Mimo działającej sprawnie klimatyzacji był przesiąknięty potem. Był spocony, zmęczony i niewiele mu brakowało do upicia się. Zabijał przenikający go ból. Irit przez dwadzieścia minut słuchała jego tyrady i teraz sama zamierzała coś powiedzieć. Slaughter wiedział o tym. Usiadł obok niej na kanapie.

- Ry, musisz koniecznie pojechać do Nowego Orleanu i powiedzieć Samancie Hand wszystko, co wiesz o jej bracie. Musisz tam pojechać. Powiedziałeś o wszystkim mnie. Teraz powinieneś to samo przekazać jej. I nieważne, jak wielki sprawi ci to ból. Jesteś jej to winien.

- Tak, wiem.

Slaughter zamknął oczy. Nie chciał już myśleć o West Point. Nie chciał myśleć o Davidzie Handzie. Nie podobał mu się pomysł spotkania z Samanthą Hand, ale wiedział, że musi się spotkać; Irit zmusi go do tego. Stara, dobra Irit. Co by bez niej zrobił? Co by, do jasnej cholery, bez niej zrobił?

- Irit, chodźmy do łóżka. Jutro, kochanie. Jutro wszystkim się zajmę. Obiecuję. Teraz chcę już tylko iść z tobą do łóżka, chcę czuć obok siebie twoje ciało. Potrzebuję cię, Irit. Wiesz o tym?

- Wiem, Ry.

- Nie jesteś zła? Tak bardzo cię potrzebuję. Nie doprowadza cię to do szału? Nie chcę, byś i ty cierpiała. Irit, nie chcę, by West Point skrzywdził również ciebie. Za bardzo cię kocham. Wiesz o tym? Kocham cię. Kocham cię, Irit Dov, i bardzo cię potrzebuję.

- Wiem o tym, Ry. I ja ciebie kocham. Kocham cię, choć zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Ale to nieważne. Weźmiemy prysznic i pójdziemy do łóżka. A jutro pomyślimy o Nowym Orleanie.

Popatrzyła na rozebranego do pasa Slaughter, spoczywającego obok niej na kanapie.

Ry spał.



## 24.

W dwa dni później Ry Slight i Irit Dov wysiedli z samolotu w Nowym Orleanie. W mieście panował nieznośny skwar, wydawało się, że z wnętrza ziemi napływają fale koszmarnego, duszącego gorąca. W lipcu w Nowym Jorku trudno wytrzymać, ale w Nowym Orleanie upał był wprost nie do opisania.

Wynajęli samochód i pojechali do Dzielnicy Francuskiej, zwanej Qwa-a-atah - starej części miasta położonej nad brzegami Missisipi. Rzeka w tym miejscu zakręcała z południa na północ. Koryto przypominało literę U. Zameldowali się w Provincial, niewielkim hoteliku przy Ursulines Street i całe popołudnie spędzili na włączędze po dzielnicy. Rosnące na dziedzińcach i w alejkach między starymi budynkami cyprysy rozkładały w blasku słońca swe łuskowate liście, niczym żywe płatki wentylatorów sufitowych. Naddciągające od rzeki lekkie podmuchy wiatru poruszały nimi i wtedy wyglądały jak obracające się cienkie, zielone klingi noży. Wzdłuż uliczek ciągnęły się bary i restauracje. W środku, pod sufitem, obracały się prawdziwe wentylatory, meły wilgotne powietrze, wysysały z betonowych posadzek chłodne powietrze, które niewidzialnymi pasmami owiewało sennych bywalców, a następnie wypływało na rozpaloną słońcem ulicę, gdzie żar natychmiast porywał je pod niebo. Slight nigdy jeszcze z czymś podobnym się nie spotkał. Miasto było niczym gigantyczny bojler. Ludzie w Nowym Orleanie powoli smażyli się na śmierć.

Slight zadzwonił do kolegi z roku, który mieszkał w innej części miasta, i umówił się z nim na kolację w Dzielnicy Francuskiej. Chłopak nazywał się Nathan Tabor, służył w kompanii Trzeciego Pułku i uczeszczał ze Slightem na niektóre zajęcia. Spytał Rya, co porabia w Nowym Orleanie, a Slight wyjaśnił mu, że jest na urlopie. Teraz z kolei on zapytał Nathana, czy zna restaurację, której właścicielem jest ojciec Davida Handa. Lokal ten mieścił się gdzieś w Dzielnicy Francuskiej i nosił nazwę „Anthony's”.

- Tak, wiem - powiedział Tabor. - Ale musisz mieć nieliczne znajomości, by dostać tam miejsce. Właściwie są to dwie restauracje. Jedna, powszechnie znana turystom. Wchodzisz z ulicy, siadasz przy stoliku i zamawiasz jedzenie. Istnieje też drugi „Anthony's” - szereg pokoi mieszczących się na piętrze i w przyległych budynkach, ale żeby dostać tam stolik, musisz mieć znajomości. Wtedy nie wchodzisz głównym wejściem. Na lewo od niego znajduje się wąskie przejście między domami. Idziesz tą alejką, a następnie przez umieszczony na murze telefon wydzwaniasz po imieniu znajomego kelnera. Kiedy kelner zgłosi się, podajesz mu swoje imię, nazwisko i godzinę rezerwacji. Wpuszcza cię do środka i prowadzi do wyznaczonego stolika. Podają tam inne jedzenie niż turystom, dysponują inną kuchnią; w ogóle jest tam inaczej niż w głównej sali. Obsługuje cię dwóch kelnerów - twój znajomy i jego syn, pełniący funkcję pomocnika. Twój kelner udaje się z zamówieniem do kuchni. Tak naprawdę kelner jest hurtownikiem. Kupuje w kuchni zamówione przez ciebie dania po cenie hurtowej, a sprzedaje po cenie wymienionej w karcie. Zarabia na różnicy cen. Kelner dba o to, byś dostał jedzenie, jakiego sobie życzysz. Jeśli jest niedobre, odsyła je do kuchni. Dzięki temu jesteś pewien, że dostajesz najlepszy towar. W czasie gdy on przebywa w kuchni, przy stoliku towarzyszy ci jego syn. Nalewa wino, nakłada sałatki i pilnuje, by wszystko było w porządku. Za te usługi musisz dodatkowo zapłacić; niewiele, ale jednak. Dobry kelner w „Anthony's” zarabia tygodniowo od pięciuset do siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, z czego jakiś procent oddaje synowi. Gdy kelner przechodzi na emeryturę, jego stanowisko obejmuje syn. O tak, ci kelnerzy są naprawdę kimś. Mają stałych klientów z miasta oraz znaczące osoby spoza Nowego Orleanu. Właściciel lokalu też zaczynał jako kelner, które to stanowisko przejął po swym ojcu. Później zajął się innymi interesami, dorobił majątku, wrócił do miasta i kupił tę restaurację. Klasyczna historia o prawdziwym sukcesie, znana w całym Nowym Orleanie. Obecnie ojciec Handa ma w mieście ogromny wpływ. Każdy, kto coś znaczy, musi trzymać sztamę z Wiliamem Handem, w przeciwnym razie nie ma wstępu do „Anthony's”.

A żeby cokolwiek osiągnąć, trzeba bywać w tym lokalu. To ty potrzebujesz „Anthony's”, nie „Anthony's” ciebie. To miasto żyje lunchami i kolacjami w „Anthony's” i w kilku innych lokalach, ale knajpa starego Handa jest miejscem wyjątkowym. Dlaczego cię to interesuje? Chcesz tam pójść? Daj mi dwa dni, a być może uda mi się załatwić rezerwację.

- Dzięki. Może poproszę cię o tę przysługę. Zatelefonuję. Na razie muszę przyzwycząić się do tutejszego klimatu. Czuję, że cały się rozpląwam.

- Lipiec nie jest najlepszą porą na odwiedzanie Nowego Orleanu - przyznał Tabor.

- Przekonałem się o tym na własnej skórze.

- A co poza urlopem sprawiło, że odwiedziłeś nasze miasto?

Tabor był starym lisem i Slaughter nie chciał, by zaczął węszyć.

- Zwykła ciekawość, chłopie. Ani Irit, moja dziewczyna, ani ja nigdy tu nie byliśmy. Cóż więc mieliśmy do stracenia? Raz kowie śmierć.

- Jasne, rozumiem.

Rozstali się, po czym Slaughter i Irit ruszyli Royal Street w stronę hoteliku. Całą noc popijali dżin z lodem i tulili się do żałośnie mało skutecznego klimatyzatora, który usiłował rozproszyć okropny upał.

Następnego dnia, o niezwyklej dla niego porze - była dziesiąta trzydzieści rano - Slaughter dla dodania sobie animuszu wypił dwie szklaneczki dżinu z sokiem pomarańczowym i opuścił Provincial. Przeszedł trzy przecznice, dotarł na Chartres Street, odnalazł numer sto pięćdziesiąt dwa i nacisnął dzwonek na kutej żeliwnej bramie. Za parkanem znajdował się przepiękny stary wiktoriański dom, oddzielony od ulicy starannie utrzymanym ogrodem z wyłożonymi cegłą alejkami, pełen barwnych kwiatów i ozdobnych krzewów. Dom Handa robił tak imponujące wrażenie, że Slaughter nie zdziwiłby się, gdyby powitała go czarna pokojówka w białym fartuszkach. Z niewielkiego głośnika umieszczonego na kutej w żelazie greckiej kolumnie po lewej stronie bramy rozległ się cichy głos:

- Kto tam? - Po głosie trudno było ustalić płęć pytającej osoby.

- Nazywam się Ry Slaight. Chciałbym zobaczyć się z Samanthą Hand.

Przez chwilę panowała cisza, po czym w głośnieku rozległ się inny głos.

- Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Ry Slaight, proszę pani. Chciałbym zobaczyć się z Samanthą Hand.

- To właśnie ja - zatrzeszczało w głośnieku. - Nie chcę cię widzieć. Odejdź stąd, bo wezwę policję.

- Samantha, daj mi szansę.

- Nie dam ci szansy, Slaight. Ruszaj swoją drogą.

Slaight wrócił do hotelu, nalał sobie kolejną porcję dżinu z sokiem pomarańczowym i przekazał niepomyślną wiadomość Irit.

- A zatem pójdę ja - oświadczyła Irit. - Musimy przekazać Samancie informacje, do których ma pełne prawo. Poczekaj tu na mnie.

Slaight nie protestował. Siedział w hotelowym pokoju, którego okno wychodziło na Ursulines Street, słuchał hałasu przejeżdżających ciężarówek z towarem, zmierzających do handlowej dzielnicy miasta, i z posępną miną pociągał ze szklanki dżin.

Irit nacisnęła dzwonek przy bramie oznaczonej numerem sto pięćdziesiąt dwa.

- Kto tam?

- Nazywam się Irit Dov. Mam wiadomości o zmarłym kacie Davidzie Handzie. Proszę mnie wpuścić.

Po chwili zabręczał dzwonek i brama otworzyła się. Irit ruszyła ceglaną alejką w stronę domu. Przeszła zaledwie dziesięć kroków, kiedy zza wielkiego krzaka wyłoniła się przeraźliwie chuda blondynka o jasnej cerze.

- Jestem Samantha Hand - przedstawiła się matowym głosem. - Przysłał panią Ry? Mój brat wymieniał pani nazwisko w listach. Jest pani dziewczyną Rya. Czego chcecie?

- Pani list do Rya był wielką pomyłką. Czytałam go. Nie powinna go pani odprawiać z kwitkiem. On nie ma nic wspólnego ze śmiercią pani brata, ale zna pewne istotne szczegóły

tej tragedii. Podobnie jak pani, uważa, że Davida zamordowano. W przeciwieństwie do pani dysponuje konkretnymi faktami. Zna raport z sekcji zwłok i zamierza znaleźć mordercę Davida. Do tej decyzji skłonił go nie pani list, lecz inne, o wiele bardziej skomplikowane względy. Z powodów, które osobiście pani wyjawí, śmierć Davida głęboko go poruszyła. Musi pani z nim porozmawiać. Nie przyjechał tu, by bronić się przed zarzutami, jakie postawiła mu pani w liście, ponieważ wcale nie musi się bronić. Pragnie jedynie podzielić się z panią wszystkim, co wie. Jeśli mu pani odmówi, wyświadczy niedźwiedzią przysługę zarówno sobie, jak i całej swojej rodzinie.

Irit mówiła powoli i wyraźnie. Jej angielszczyzna miała osobiwy, śpiewny izraelski akcent. Samantha sprawiała wrażenie kompletnie oszołomionej.

- Masz powód do zmartwienia, Samantho - ciągnęła już bardziej bezpośrednio Irit. - Ale nie masz najmniejszych powodów do obaw. Ry nie jest w stanie zranić cię bardziej, niż zranił samego siebie. Wiem, co się z nim dzieje od maja, od chwili gdy dowiedział się o śmierci Davida. Twój list spowodował, że ta tragedia stała się jego obsesją. Jest zdecydowany wykryć mordercę twego brata, a ty możesz mu w tym pomóc. Masz prawo odmówić pomocy, ale koniecznie powinnaś go wysłuchać. Jeśli tego nie zrobisz, nie wiem, co się z nim stanie. Obawiam się o jego zdrowie psychiczne, obawiam się o jego bezpieczeństwo. Musisz go wysłuchać, choćby to miało być dla ciebie bolesne. Ale zapewniam cię, że przyjazd tutaj sprawił mu równie ogromny ból.

Samantha ujęła Irit za ramię i powoli ruszyły w stronę domu. W środku panował półmrok i chłód. Okna ocieniały rosnące na zewnątrz ogromne dęby, we wszystkich pomieszczeniach pracowały klimatyzatory, roznosząc po domu rozkosznie chłodne powietrze.

- Gdzie on teraz jest? - zapytała Samantha głosem wypranym z emocji. - Mogę do niego zatelefonować.

Irit podała numer. Samantha zadzwoniła do hotelu i poprosiła recepcjonistkę o połączenie z pokojem Slaighta.

- Ry? Tu Samantha. Przepraszam cię za moje zachowanie.

Jest tu ze mną Irit. O wszystkim mi powiedziała. To wspaniała osoba i cieszę się, że przyjechała z tobą. W przeciwnym razie nie zgodziłabym się na spotkanie. Przyjdź tu, proszę. Czy jadłeś już śniadanie? Nie? To zjemy razem i porozmawiamy.

Samantha zaprowadziła Irit na taras znajdujący się na tyłach domu. Po wysokiej balustradzie o kratowej konstrukcji pięły się róże. Siostra Davida poleciła służącemu, żeby przeprowadził na taras Slaughta, kiedy się pojawi. Czekając na niego, piły herbatę i rozmawiały o pogodzie. Slaughter zjawił się po kwadransie. Powitanie byłych kochanków wypadło trochę niezręcznie. Slaughter i Samantha usiedli po przeciwnych stronach stołu. Irit chciała odejść, lecz Slaughter chwycił ją za rękę, a Samantha poprosiła, by została. Najwyraźniej w jej towarzystwie czuła się pewniej.

Slaughter przez godzinę relacjonował wydarzenia kilku ostatnich dni. Opowiedział o sekcji zwłok, o istnieniu dwóch oficjalnych raportów, o rozmowie z majorem Consorem, z komendantem i starszym sierżantem. Wszystko jednoznacznie wskazywało na to, że David Hand został zamordowany. Lekarz był o tym głęboko przekonany. Starszy sierżant podejrzewał zabójstwo. Komendant wszelkimi siłami chciał sprawę zatuszować, próbował przekupić Slaughta, mianując go dowódcą batalionu. Afera już z daleka śmierdziała wywiadem. W jakiś sposób w sprawę śmierci Handa wplątany był sam Pentagon. Slaughter był niezmiernie ciekaw, co powiedziano rodzinie Davida Handa.

- Poinformowano nas, że był to nieszczęśliwy wypadek - odparła Samantha Hand. - Nie podano żadnych szczegółów. Władze akademii uwinęły się z całą sprawą szybko i bez rozgłosu. Mój ojciec na tyle uwierzył głównemu inspektorowi, że pochowaliśmy Davida bez sekcji zwłok. Akademia nie zająknęła się słowem, że dokonano obdukcji. Słyszę o tym po raz pierwszy. Ry... przepraszam za ten list, ale przesłamałam załamanie nerwowe. Cóż... Było dokładnie tak, jak napisałam ci w liście. Mój brat miał na twoim punkcie obsesję od czasów „chlewni”, kiedy byłeś dowódcą jego drużyny. Napisał mi o tym do Paryża. Często zastanawiałam się, co ją spowodowało. O tobie i o mnie nie pisałam słowa. Nigdy. Ani przed jego

wstąpieniem na West Point, ani później, w listach z Paryża. Jego obsesja zdawała się wynikać z niczego.

- To nieprawda, Samantha. To moja sprawka. Przybyłem tu, by opowiedzieć ci również o „chlewni”.

Slaight przekazał jej z najdrobniejszymi szczegółami historię jej brata podczas „chlewni”. Samantha w trakcie opowiadania kilkakrotnie skinęła głową, jakby się z nim zgadzała lub już wcześniej znała pewne szczegóły. Kiedy Slaight skończył, głęboko westchnęła.

- To bardzo do niego podobne. Taki sam był w gimnazjum. Uparty, zawzięty, nieprzejednany. Po prostu niemożliwy. Nasz ojciec gwałtownie sprzeciwiał się jego decyzji wstąpienia na West Point. Zasiada w radzie nadzorczej Tulane\* i pragnął, by David poszedł w jego ślady, ale on go nie słuchał. Matka z kolei była oczarowana jego pomysłem. Wydawał się jej niezwykle romantyczny. Przemawiał do niej patriotyzm młodych mężczyzn w mundurach, białych spodniach, z dumnie wyprężonymi torsami. Mama jest nieodrodną córką Południa. Wyobrażała sobie rauty pod gołym niebem, na rozległych, jedwabistych trawnikach, ogromne namioty, dziewczęta w powiewnych sukienkach, poruszające się z wdziękiem i gracją, grzechotanie lodu w kryształowych pucharach z ponczem, tłum kadetów, podium z orkiestrą i dyskretne tony fokstrota. Ojciec i matka zupełnie nie zgadzali się ze sobą co do Davida i West Point, a ja nie wiedziałam, co robić.

\* Tulane University of Louisiana (przyp. tłum.).

Oczywiście, zdawałam sobie sprawę z tego, że West Point jest zupełnie czymś innym niż wizja mojej matki i zupełnie czymś innym, niż wyobrażał sobie David. Matka gorąco sprzeciwiała się mojemu pomysłowi wyjazdu na Północ, do Vassar. Pragnęła, bym wstąpiła do miejscowej szkoły dla dziewcząt, nie na wyższą uczelnię. A ojciec z kolei popierał mój pomysł wyjazdu do Vassar. Tak więc zupełnie nie mogłam się między nim' odnaleźć. Zrozumiałam, że mam tylko jedno wyjście: trzymać się od wszystkiego z daleka i pozwolić, by David robił, co chce. Wybrał West Point, ale prawdziwych powodów jego

decyzji nie poznałam nigdy i nigdy go o to nie pytałam. Towarzyszyłam mu w drodze do West Point. Obserwowałam, jak maszerował na Trophy Point, by złożyć przysięgę, i później, kiedy wracał do koszar. Następnego dnia wsiadłam w samolot i poleciałam do Paryża. Po tygodniu dowiedziałam się, że dowódcą jego drużyny jesteś ty. Wyobrażasz sobie, jaki to był dla mnie wstrząs?

- A czy ty wyobrażasz sobie mój szok? Szansa była jedna na tysiąc trzysta, że spotkam twego brata.

- I zламаłeś go, jak sam to określiłeś. To wyjaśnia powód, dlaczego tak się do ciebie przyczepił. Donosił mi w listach dosłownie o każdym twoim kroku. O wszystkim, co dotyczyło ciebie.

- Nie wiedziałem. Tego dnia, kiedy wyjeżdżałem na urlop, widziałem go po raz ostatni. Później też nie miałem o nim żadnych wieści. Ponownie usłyszałem o nim, gdy odbywałem karany marsz na placu...

- Z listów mego brata wynikało, że zostaliście przyjaciółmi... Wszystko o tobie wiedział. Zupełnie jakbyś mu się zwierzał. O Irit dowiedziałam się w tydzień po twoim powrocie do West Point, we wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Na Boże Narodzenie odnosiłam już wręcz wrażenie, że znam ją jak własną kieszeń. Przypuszczam, że David cały wolny czas poświęcał na szpiegowanie ciebie. Ry, to bardzo dziwne.

- Wiem.

- On zawsze żył w wymyślnym świecie. Uwielbiał książki i kino. W gimnazjum działał w kółku teatralnym, a po szkole występował w amatorskim teatryku. Żył z głową w chmurach. Umyślił sobie, że zostanie kadetem, a później oficerem, bo taka wizja bardzo działała na jego wyobraźnię. Okazało się, iż marzenia go przerosły. Był dużym dzieckiem.

- Nie chodzi tylko o to, Samantho.

- Co masz na myśli?

- To właśnie trzecia rzecz, z jaką do ciebie przyjechałem. Nie chciałem ci o tym mówić, lecz jestem przekonany, a tego samego zdania jest również doktor Consor, iż sprawa ta ściśle wiąże się z jego śmiercią. Wybacz, Samantho, że ci o tym powiem.



- O co chodzi, Ry?
- Czy wiedziałaś, że twój brat jest homoseksualistą?
- To kłamstwo! Obrzydliwe kłamstwo!
- To właśnie doktor Consor odkrył podczas sekcji zwłok.

Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale sekcja wykazała, że tuż przed śmiercią David odbył stosunek płciowy. Z mężczyzną.

- Nie!
- Nie kłamię, Samantha. Powiedziałem ci wszystko, co wiem o twoim bracie. O wszystkim, co zaszło między nim a mną. Musiałem więc powiedzieć ci i o tym, ponieważ zarówno lekarz, jak i ja jesteśmy przekonani, iż Davida zamordował człowiek, który odbył z nim stosunek. Jego właśnie szukamy. Wiem, to okropne, ale to prawda.

Samantha długą chwilę milczała, zapatrzona w głąb ogrodu. Kiedy wreszcie odezwała się, głos miała opanowany.

- Jesteś skończonym draniem, Ry. Już w chwili, kiedy zgodziłam się z tobą spotkać, wiedziałam, że sprawisz mi ból. Co z tobą jest? Dlaczego żerujesz na mnie i na mojej rodzinie?

- Nie żeruję, Samantha. Wiem, że sprawiłem ci ogromny ból. Nie było to dla mnie łatwe. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Irit.

Samantha Hand powoli odwróciła się w stronę Irit. Po policzkach spływały jej łzy. Irit w milczeniu skinęła głową i Samantha znów spojrzała na Slaughta.

- Ry, to nie jest twój zakichany interes! - wykrzyknęła gwałtownie, uniesiona nagłym gniewem.

- Wiem, ale...

- Zawsze mówisz: „Wiem”. Chrzanię cię i wszystko, co wiesz.

- Samantha...

- Wszystko, co, jak twierdzisz, „wiesz”, nie przyniesie niczego dobrego ani mnie, ani mojej rodzinie, ani tobie.

- Do licha! Nie przyjechałem tu, by wyświadczać komukolwiek dobro. - Slight zerwał się z miejsca i zaczął przechadzać się nerwowo po betonowym tarasie. - Sama napisałaś do mnie list. I to ty stwierdziłaś, że twój brat został zamordowany, a ja mam z tym coś wspólnego. A jeszcze wcześniej oświadczyłaś mi, że ponoszę część winy za pieprzoną wojnę w Wietnamie.

Pamiętasz? - Przysnął przy stole, oparł się rękami o blat i obrzucił Samanthę płonącym wzrokiem. - Pamiętasz tamten dzień? Chrzanię ciebie i wszystko, co wiesz o tej wojnie. Ciebie i całą tę bandę przekarmionych cip z Vassar. Możecie sobie gadać o tej wojnie gdzie indziej. Dlaczego nie demonstrujecie w Yale? Nie rozrzucacie tam kwiatów i ulotek? Skończy się na tym, że te palanty będą kupować i sprzedawać miejsca w oddziałach liniowych w Wietnamie, siostrzyczko. Za rok będą handlować akcjami na Wall Street. Będą handlować krwią. Nie muszą oglądać wojny w telewizji. Wszystkie te przedsiębiorstwa, które karmią się na pieprzonej wojnie jak świnie przy korycie, oglądają ją codziennie w swoich wykazach i tabelach. Chrzanię ciebie i twoje żalosne bzdury o mnie, o West Point, o wojsku i Wietnamie. Nie potrzebuję ich.

- Ry...
- Chrząć się.
- Ry...
- Powiedziałem: chrząć się.
- Ry, poczekaj.

Slaight usłyszał głos Irit i zatrzymał się w dole schodków prowadzących z tarasu na trawnik. Samantha zerwała się z krzesła; stała dumna i wyprostowana. Obok niej Irit.

- Nie chciałam...
- Nie chciałaś narobić takiego bigosu, ale twierdzisz, że chcesz wiedzieć, kto zabił twego brata. Ja również chcę poznać prawdę. Ty masz swoje powody, a ja swoje. Nie przyjechałem tu, by cię prześladować czy sprawiać ci ból. Przyjechałem tu, bo potrzebuję twojej pomocy. Jeśli mi pomożesz, przygwoździmy skurwysyna, który zamordował twego brata. Jeśli pozwolisz mi odejść, dranie z West Point zamkną sprawę na dobre. Samantha, oni trzęsą tyłkami ze strachu. Nie wiem, dlaczego, ale trzęsą. I cały czas zacierają kitą ślady. Jeśli chcesz mi pomóc, powiedz, a nie, to do widzenia.

Wszyscy troje stali dłuższą chwilę nieporuszeni. W końcu Samantha usiadła. Obok niej zajęła miejsce Irit. Slaight Wrócił do stołu i upił łyk herbaty.

- Dobrze - mruknęła siostra Davida, spoglądając nieruchomym wzrokiem na ogród. Oczy miała szkliste, twarz ściągniętą, białą jak najdroższa porcelana. - Nie powinnam ci o tym mówić, Ry, bo to nie twój interes. - Po raz pierwszy tego ranka popatrzyła mu prosto w oczy. - Wszystko już wiesz, ale nie znasz Davida takiego, jakiego ja znałam.

Powoli, z nieskazitelnym nowoorleańskim akcentem zaczęła opowiadać o swoim bracie, o rodzinie, o Nowym Orleanie. Wątki zdawały się splatać ze sobą jak róże pnące się po balustradzie tarasu. Historia zafascynowała Slaighta. Irit uznała ją za wyjątkowo amerykańską, jak filmy puszczone nocą w telewizji.

W szkole David Hand zawsze wygłaszał w swojej klasie mowy pożegnalne po promocji. Był kapitanem zespołu krasomówców i brał udział w stanowych konkursach, przewodniczył szkolnemu Towarzystwu Honoru oraz Key Club, gimnazjalnej agendzie miejscowego Kiwanis\*, Często wyjeżdżał do niewielkich miasteczek w pobliżu Nowego Orleanu, zapraszany na uroczyste obiady wydawane przez miejscowe kluby Kiwanis.

\* Kiwanis International - założona w roku 1915 organizacja zrzeszająca ludzi zajmujących się interesami (przyp. tłum.).

- Był bardzo popularny - ciągnęła Samantha. - Przez całe gimnazjum David żył w atmosferze pochlebstw i sławy. Nie dostrzegał, że życie nie jest kinem. I nikogo to nie obchodziło. Był perfekcyjny i za to go wszyscy uwielbiali. Traktowali jak zwierciadło. Chcieli w nim widzieć jakąś część siebie i on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ciebie z kolei, Ry, traktował jak swoje zwierciadło. Widać to wyraźnie w jego listach. Obserwował cię, naśladował i podziwiał.

- Chyba tak - mruknął Slaight i zamilkł, czekając na dalszy ciąg opowieści Samantha.

Początkowo mówiła, jękając się, co chwila przerywała, lecz w miarę jak wracała jej pamięć, słowa płynęły coraz szybszym i głośniejszym potokiem; katharsis zakłócana jedynie brzęczeniem

latających wokół werandy pszczół. Slight słuchał z uwagą. Irit zaciskała schowane pod stołem dłonie.

Ojcowie miasta byli dumni z Davida Handa. Podczas obiadów w „Anthony's” poklepywali Handa seniora po plecach, mówiąc, że w osobie jego syna miasto... tam, do licha, cały naród... ma przyszłego przywódcę. Z młodzieńca naprawdę wszyscy byli bardzo dumni. Gdy dowiedziano się, że David wybiera się na West Point, a nie do Tulane, *alma mater* jego ojca, wcale nie stracił popularności. Powszechnie uważano, że bez względu na to, jaką szkołę wybierze, przyniesie chwałę Nowemu Orleanowi.

Samantha wyjaśniła, iż jej ojciec pozostawał wciąż niepocieszony, że jego syn zdecydował się wyjechać na Północ, do West Point. Jego niezadowolenie nie miało nic wspólnego z poglądami politycznymi. Jako konserwatysta uważał, że zabijanie komuchów w Wietnamie to doskonały pomysł. Po prostu chciał, by jego syn David pozostawił po sobie... hm, ślad. W starszym Handzie sama idea West Point budziła głęboką niechęć. W jego pojęciu akademia niczym się nie różniła od seminarium duchownego. Zamykano w niej chłopców na długie cztery lata, a później jeszcze na następnych pięć lat kładła na nich łapę zawodowa służba wojskowa. To niesłychane, żeby dziesiętnastoletni chłopak podpisał taki cyrograf! Zanim jego syn wypełni swe zobowiązania, w cywilu byłby już obciążony żoną i dwójką dzieci. Perspektywa przejścia „Anthony's”, najwytworniejszej restauracji w Dzielnicy Francuskiej, nie zdołała skłonić Davida do porzucenia planów. Chłopak był uparty. Nigdy nie zmieniał raz podjętej decyzji.

Natomiast William Hand nieustannie coś w swoim życiu zmieniał. Miał za sobą długą, ciernistą i ciężką drogę. Jego ojciec był kelnerem w „Anthony's”. Praca ta dawała wystarczający dochód, by Handowie mieli własny dom i mogli posłać Williama na Tulane, uniwersytet mieszczący się po drugiej stronie miasta, po przeciwnej stronie Canal Street, w Audubon Park, pośród drzew, rozległych trawników i szerokich bulwarów, jakich brakowało w Dzielnicy Francuskiej. Tulane miał stać się dla Williama Handa punktem Wyjścia i rzeczywiście tak się stało. Podjął pracę w banku w śródmieściu i szybko

awansował na zastępcę kierownika działu. Miał wyjątkowo bystre oko i orientację w handlu nieruchomościami. Pewnego dnia wyciągnął z konta wszystkie oszczędności i kupił rozległe, podmokłe tereny leżące w pobliżu miasta, którymi nikt się nie interesował, ale William Hand wiedział swoje.

Nowy Orlean dotarł już do swych naturalnych granic - rzeki po południowej, zachodniej i wschodniej stronie, i do jeziora Pontchartrain na północy. Półwysep, który opływała rzeka, zanim wpadła do morza, był przez ostatnich dwieście lat wykorzystywany jako wysypisko śmieci. Miasto potrzebowało nowych terenów. Potrzebowało przedmieść. Przedmieścia te miały zyskać nazwę Fat City. Przenosili się tam biedni mieszkańcy Dzielnicy Francuskiej i brudnych, nędznych dzielnic przylegających do rzeki. Fat City leżało właśnie na owych podmokłych terenach, które przed laty nabył William Hand. Zasypał grubą warstwą ziemi pokłady śmieci. Z dnia na dzień został bogaczem. W wieku trzydziestu pięciu lat, w roku 1945, odkupił „Anthony's”. Jego ojciec wciąż jeszcze pracował tam jako kelner. Potem postawił sobie dom w Fat City i przeszedł na emeryturę. W roku 1946 William Hand poślubił Rosemary Bonaparte, córkę jednego z najbogatszych nafciarzy w ujściu Missisipi.

Małżeństwa takie nie były w Nowym Orleanie czymś niezwykłym. Miasto z zadowoleniem przyjęło wiadomość, że syn kelnera poślubił córkę Francisa E. Bonapartego. Taka była tradycja i Luizjana szczyciła się tym, że krew rodzin z różnych warstw społecznych miesza się ze sobą jak szlam w Missisipi, który nieustannie osadzał się na zmieniających się wysepkach, w stojących martwo wodach i bagniskach u ujścia. Ale choć w samym nurcie Missisipi nie widać było szlamu, woda była mularska, a więc i takie same były historie rodów zamieszkujących jedyny stan w Związku, którego kodeks cywilny opierał się na prawie francuskim, nie brytyjskim, jak w pozostałych czterdziestu dziewięciu stanach. W Nowym Orleanie wszyscy byli ze sobą spokrewnieni -William Hand wyjaśnił córce, że stosunki w mieście opierają się nie na ziemi, pod którą zalegają warstwy śmieci, lecz na związkach międzynarodzinnych, które z kolei za

pomocą osobliwego szantażu wymuszają ład i spójność społeczną. W Nowym Orleanie informacji o swoich znajomych zasięga się na takiej samej zasadzie, jak składa się pieniądze w banku. Jesteś takim, jakim cię znają.

William Hand pragnął, by jego syn przejął „Anthony's”, gdyż restauracja stanowiła przedmiot dumy rodziny. Samantha już od wczesnego dzieciństwa wiedziała, że w Nowym Orleanie praca w restauracji to zawód dla mężczyzn. Jedzenie stanowiło zbyt istotny element życia, by zadanie przyrządzania posiłków powierzyć kobietom. Właśnie z powodu panującego w Nowym Orleanie kultu mężczyzn, który sprawiał, że córka nie miała prawa dziedziczyć restauracji, Samantha postanowiła wyjechać na Północ, do Vassar. Nie chciała, jak pozostałe dziewczęta z gimnazjum, zadowolić się rolą kruchego kwiatuszka. Podobnie jak ich matki przygotowywano je do swego rodzaju sukcesu. W Nowym Orleanie kobiety nie dziedziczyły interesów, dziedziczyły mężczyzn. Samantha nie chciała poddać się tej regule i w roku 1965 wyjechała z Nowego Orleanu.

Ojciec nigdy nie potrafił zapanować nad synem. Chłopiec był bardzo inteligentny i uparty jak jego matka - kobieta, która swą żelazną wolę maskowała kwiecistymi falbankami. Samantha wiedziała, a raczej wyczuwała, iż ojca przygnębia to, że jej brat większość cech ma po matce. Tak jak ona, ma przystojną, choć o delikatnych rysach twarz i lśniąca, jakby pociągniętą cieniutką warstwą miodu skórę. Po matce też odziedziczył jasnoniebieskie oczy i jedwabiste, ciemnobrązowe włosy. Kiedy odezwał się, w jego głosie dawało się wyczuć ów wytworny, powolny ton jego matki. Sposób mówienia przypominał ruch Missisipi - nieugiętą pewnością siebie, powolność, zupełnie jakby nie był on darem Boga, lecz został wyssany z mlekiem matki.

Już w czasach gimnazjalnych David był chłopcem nad wiek rozwiniętym. Pewnego razu, gdy Samantha przyjechała do domu na Boże Narodzenie, ojciec upił się i w środku nocy oświadczył córce: „Mój syn jest opętany”.

- Byłam zdumiona - wyjaśniła Samantha. - Mój ojciec nie jest człowiekiem pobudliwym. Prowadząc najwytworniejszą restaurację w Nowym Orleanie oraz rozliczne rodzinne

interesy, nie może taki być. Następnego dnia jadłam z nim w restauracji lunch, gdy pojawił się David. Ujrzałam go, jak wchodzi do lokalu w towarzystwie członków Kiwanis. Szli za nim. Szli za nim, jakby był Szczurołapem z Hamelin i grał na flecie. On gadał, a oni w upojeniu słuchali jego słów. Ojciec miał rację. David był... niesamowity.

Samantha zamilkła i popatrzyła na Slaughta, wyraźnie ciekawa jego reakcji.

- Tak, rozumiem - mruknął.

- Nie rozumiesz, Ry. Nie wiesz, jak to jest, bo nie byłeś jego siostrą. I nigdy nie zrozumiesz.

- Może masz rację - zgodził się.

Przy stole zaległa cisza. Służący zaczął zbierać spodeczki, filiżanki i łyżeczki porozkładane na stole. Zapytał, czy jeszcze czegoś sobie życzą. Slaight poprosił o dżin i sok pomarańczowy. Służący popatrzył na Samanthę, a ta zezwalająco skinęła głową.

- Wciąż za dużo pijesz, Ry?

- Chyba tak.

- Sprawiasz wrażenie odmienionego. Jesteś spokojniejszy. Nie ma w tobie tej dzikości, jaką zapamiętałam.

- Jasne - powiedziała Irit i ujęła pod stołem jego dłoń.

- Czy to ci wystarczy, Ry? Tego właśnie chciałeś się dowiedzieć? A ty sam czy już wszystko mi opowiedziałeś?

Samantha była spokojna i opanowana, jakby uczucia wypaliły się w niej. Slaight nie chciał jej dłużej dręczyć, ale nie miał innego wyjścia.

- Rozumiem, Sam, że było to dla ciebie okropne - powiedział, odruchowo zwracając się do niej zdrobniałym imieniem. Zaczerwieniła się.

- Muszę wiedzieć jeszcze jedno. Chcę znać imię i nazwisko najbliższego przyjaciela twego brata z gimnazjum. Chcę z nim porozmawiać.

## 25.

Billy Patou zgodził się spotkać ze Slaughterem następnego wieczoru w niewielkim barze przy St. Charles Street w Dzielnicy Francuskiej. Był to typowy lokal - szerokie wahadłowe drzwi, skąpo oświetlone wnętrze, z okien rozciągał się widok na stojące w nieustannym korku samochody turystów. Powiedział, że będzie ubrany na niebiesko i rzeczywiście był. Adidasy, skarpetki, dżinsy, podkoszulek - wszystko niebieskie. Był w wieku Handa, miał dziewiętnaście lat. W oczy rzucała się przede wszystkim jego przeraźliwa chudość. Aż dziw, że ktoś mógł tak mało ważyć i żyć. Nawet twarz miał chudą, a włosy koloru plecionego z łożyny barowego stołka, na którym siedział i popijał jakiś pienisty napój. Kiedy Slaughter do niego podszedł, powoli odwrócił głowę w jego stronę. Skórę na twarzy miał pokrytą bliznami po ospie i pryszczami. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Slaughter pojął, że Billy Patou był stajennym Davida Handa - stare wojskowe powiedzenie na określenie osoby, która kogoś ślepo naśladowuje i spełnia wszystkie jego kaprysy. Billy Patou bez słowa wstał - był mniej więcej wzrostu Slaughter'a - i skierował się na wewnętrzny dziedziniec. Usiadł przy okrągłym dębowym stoliku i skinął na kelnera. Był wyraźnie zdenerwowany. To Slaughter spostrzegł natychmiast. Strzelał na wszystkie strony oczyma i nieustannie bębnił długimi, szczupłymi palcami w blat stolika.

- Proszę jeszcze raz o to samo - polecił kelnerowi, wskazując swoją szklanekę.

Popatrzył pytająco na Slaughter'a.

- A ja napiję się dixie.

Miał na myśli miejscowe piwo po dwadzieścia pięć centów za butelkę; cena ta zachęcała wręcz, by popaść w alkoholizm.

- Przyszedłeś tu sam? - zapytał Billy, nerwowo zerkając w stronę baru.

- Sam. Przecież o to prosiłeś.

- Podobno chcesz pomówić o Davidzie - powiedział Billy i siorbiąc, dopił pienisty napój. - Ale ja nie chcę o nim gadać. Nie żyje. A był moim przyjacielem.



- Wiem o tym. Pozwól, że się przedstawię...
- Nie chcę znać twego nazwiska!
- W porządku. Siostra Handa powiedziała ci, kim jestem, prawda?
- Powiedziała mi tylko, że byłeś kumplem Davida. Wiem tylko tyle. Byłeś jego kumplem, prawda?
- Powiedzmy, że go znałem. W West Point był w mojej drużynie. Kadeci z wyższych roczników nie kumplują się z rekrutami. Ale znałem go, i to bardzo dobrze.
- O czym tu rozmawiać? Samantha powiedziała, że chcesz mnie o coś zapytać. Ale ja nic nie wiem. David nie żyje... Zginął tragicznie. Nigdy bym nie pomyślał, że utonie. Był pierwszorzędnym pływakiem. Najlepszym, jakiego znałem.
- To nie był wypadek.
- Nie był wypadek? O czym ty mówisz? Tak twierdzą wszyscy. To samo powiedział ksiądz na pogrzebie. To był wypadek!
- Posłuchaj, Billy...
- Nie mów do mnie Billy! Mów mi... Ray. Tutaj tak się nazywam.
- Nie jesteś stąd? Nie pochodzisz z Dzielnicy Francuskiej?
- Mieszkam w dzielnicy Garden. Gdyby moi rodzice dowiedzieli się, że tu przychodzę... Po prostu nie wolno mi tu bywać. A więc mówi mi Ray.
- Zgoda, Ray. Posłuchaj, kolego. Śmierć Davida nie była przypadkowa. Utonął, to prawda. Ale nie przez wypadek. Został zamordowany.
- Zamordowany! Chyba żartujesz! Tak, wygłupiasz się, to jakiś żart. Odchodzę.
- Wstał od stołu.
- Ray czy Billy, jak tam się, do kurwy nędzy, nazywasz. Siadaj. Samantha prosiła cię, byś ze mną porozmawiał. David był jej bratem. Chyba jej ufasz. Daj spokój, pogadaj ze mną-
- No tak, Samantha powiedziała... W porządku.
- A więc siadaj i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Chłopak opadł na krzesło i zaczął bębnić palcami po stole.

- Uspokój się, dzieciaku. Przecież cię nie zjem. Spotkałem się z tobą, bo chcę ci zadać kilka pytań. Dobrze zastanów się nad każdą odpowiedzią. Postanowiłem bowiem odkryć, kto go zamordował. Zamierzam znaleźć tego drania, postawić przed sądem wojskowym i patrzeć, jak będą go wieszać. Czy wyrażam się jasno? Rozumiesz już, o co mi chodzi?

- Chyba tak - odparł z wahaniem Ray. - Ale dlaczego właśnie ty? Skoro jest tak, jak mówisz, dlaczego nie zajął się tym wojskowy wymiar sprawiedliwości?

Kelner przyniósł napój i piwo. W ogródku baru było o dwieście stopni chłodniej niż na ulicy. Rosły w nim zasadzone w donicach palmy. Slaughter i Billy byli w ogródku sami. „Chłopak może się boi, ale nie jest głupi” - pomyślał Slaughter.

- Nie mogę ci na to odpowiedzieć - odparł Slaughter i wypił łyk piwa z oszronionej butelki. - Nie mogę, bo sam nie znam odpowiedzi. Nie wiem, jaki związek z tą sprawą ma armia i czy w ogóle ma. Wiem tylko, że chcę odnaleźć zabójcę Davida. I dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej? Dlaczego właśnie mojej?

- Pomyślałem sobie, że może coś zapamiętałeś z czasów, gdy chodziliście do szkoły. Hand zginął w West Point. Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że zabił go któryś z kadetów. A teraz zastanów się. Czy David Hand wspominał ci o jakimś kadecie, z którym się przyjaźnił? O kadecie, z którym był szczególnie związany?

- Gdy przyjechał do domu na Boże Narodzenie, dużo mówił o jednym gościu. Nazywał się... chyba Slaughter... dokładnie nie pamiętam.

- To ja. To właśnie ja jestem Slaughter. Ry Slaughter.

- On cię podziwiał! Jak najęty gadał o tym, że jesteś... swój chłop. Uważał cię za ideał kadeta. W każdym razie dla niego byłeś takim ideałem.

-- A czy wspominał jeszcze o kimś?

- W tamto Boże Narodzenie o nikim innym nie mówił, tylko o tobie. Zaraz, zaraz. Był pewien kadet. Poznał go jeszcze przed wstąpieniem do West Point. Pojawił się w naszym

gimnazjum... poczekaj, niech pomyślę... Tak, wiosną sześćdziesiątego szóstego roku. Wysłano go w celach werbunkowych. Wszedł do naszej klasy w pełnym rynsztunku. Wywarł na Handzie ogromne wrażenie. Myślę, że właśnie wtedy Davidowi przyszedł do głowy pomysł zapisania się do West Point. Nie sądzę, by przedtem rozważał taką myśl. Miał do wyboru kilka wyższych uczelni. Zastanawiał się nad Ivy League, Tulane, Duke. Jestem prawie pewien, że widok kadeta podsunął Davidowi pomysł wstąpienia do West Point. Od tamtej pory gadał o tym na okrągło.

Hand został zwerbowany! Jezu! Slight miał kompletny zamęt w głowie.

- Posłuchaj... eee... Ray. Pamiętasz, jak się nazywał ten kadet?

Chłopak krzywił twarz w okropnych grymasach, stukał kościstymi palcami po stole. Sam się tym zdradzał. Nazwisko kadeta było najwyraźniej dla niego sprawą bardzo delikatną.

- Nie pamiętam - powiedział z wahaniem. - Jak mogę pamiętać? To działo się dwa lata temu. Czyżbyś sądził, że mam pamięć absolutną?

Wyciągnął nerwowo papierosa i przypalił go jedną z tych drogich złotych zapalniczek, jakie reklamują w „The New Yorkerze”.

- Ray, chcę ci coś wyznać. Wiem, że David Hand był homoseksualistą. Tuż przed śmiercią uprawiał seks z mężczyzną. Powiem prosto: ten, kto go pierdolił, później zamordował. Zrozumiałeś?

- Tak.

Chłopak wydmuchnął długą smugę papierosowego dymu, skrzyżował nogi i przestał bębnić palcami po stole.

- Nie jestem z natury tak ordynarny, jak na to wygląda - dodał Slight.

- A kto mówi, że jesteś? Nie musisz się od razu złościć-

- Nie złościsz się. Odpowiedz na moje pytanie. Co z tym rekrutującym uczniów kadetem? Pamiętasz, jak się nazywał-

- Mówiłem ci, że nie jestem w stanie pamiętać wszystkiego.

Slight znów napił się piwa. „Ale model” - pomyślał.

- No dobrze. Postawmy sprawę tak. Czy Hand zadał się z

kadetem? Wtedy, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku?

- Wielki Boże! Próbujesz i mnie w to wplątać?

Znów wydmuchnął dym, tym razem prosto w twarz Slaightowi.

- Nie igraj ze mną, Patou. Nie przyjechałem tu prowadzić jakiejś pieprzone pogwarki. Przyjechałem po informacje. Fakty. A teraz gadaj, co wiesz.

- A jeśli nie powiem? Co mi zrobisz? Zaciągniesz mnie w ciemną alejkę i zerznieś? O to ci chodzi? Czy to dlatego tak zależy ci na odnalezieniu zabójcy Davida? Ty też to robiłeś z Davidem, prawda?

Slaight błyskawicznie chwycił chłopaka za podkoszulek. Szarpnął go w swoją stronę i drugą ręką przycisnął jego głowę do stołu. Chłopak nawet nie pisnął. Nie wypuścił nawet z palców papierosa.

- Nie robiłem tego z Davidem - wysyczał mu do ucha Slaight. - Ale chcę wiedzieć, kto to robił, i ty mi to powiesz. Kiedy cię puszczę, usiądziesz spokojnie, jakby nic się nie stało, i zaczniesz mówić. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Tak.

Slaight puścił koszulę chłopaka. Billy wyprostował się na krześle i zaciągnął głęboko papierosem. Stał się nagle bardzo spokojny.

- Gadaj.

- Mówiłeś poważnie?

- Jak najbardziej.

- Powinienem być uwierzyć ci od razu. Samantha mówiła... no dobrze. Nieważne.

- Co mówiła Samantha?

- Powiedziała, bym nie próbował z tobą żadnych sztuczek. Powiedziała, że masz do mnie ważną sprawę. Ale nie przyszło mi do głowy, że ty...

- A więc teraz już wiesz. Wracajmy do Handa.

- A co będzie ze mną? Ten facet raz już zabił. Jeśli sprawa się rozniesie, moi rodzice...

- Nic się nie rozniesie. Wszystko zostanie między nami. Masz na to moje słowo.

- Panie Slaughter, czyż to nie śmieszne? Pańskie słowo i dwa-  
dzieścia pięć centów. Mnie stać na piwo dixie.

- Patou, skoro mówię, że to, co powiemy sobie przy tym  
stoliku, pozostanie między nami, to pozostanie. Czy myślisz, że  
przyjechałem do tego zakichanego miasta na wycieczkę? Są-  
dzisz, że robię sobie jaja? Bawię się? Otóż nie. Smród związany  
ze śmiercią Davida Handa jest coraz większy, a ja siedzę w tym  
gównie po uszy, choć nie z własnej winy. Powiedz mi wszystko,  
co wiesz. Nie rźnij głęba, bo nim nie jesteś, i wszystko będzie w  
porządku. Kapujesz?

- Kapuję, kapuję. Tylko nie podnoś już głosu. Muszę się  
jeszcze czegoś napić.

- Zamów.

Chłopak pokazał kelnerowi pustą szklanę, a Slaughter pod-  
niósł pustą butelkę. Kelner potakująco skinął głową.

- Od czego mam zacząć?

- Od kadeta, który pojawił się w waszej szkole w sześćdzie-  
siątym szóstym roku.

- No właśnie, tak jak podejrzewałeś, David miał z nim  
sprawę.

- Jaką sprawę?

- Zerznął mu dupsko.

Chłopak zapalił następnego papierosa.

- Jak do tego doszło?

- Upili się. Kadet był w Nowym Orleanie trzy dni. Pojawił  
się w naszym liceum również następnego dnia. David zaczął  
go po wykładzie. Miał jakieś pytania. Poszli na kolację. David  
miał dar jednania sobie ludzi. Był w tym prawdziwym czaro-  
dziejem. Popili sobie ostro. Kadet chciał koniecznie zobaczyć  
Bourbon Street, którą znał tylko z telewizji, więc David go tam  
zaprowadził.

- W telewizji pokazywali tę ulicę?

- Transwestyci. Chłopy przerobione na baby. Takie tam  
gówno dla turystów. Na Bourbon Street nie ma pedziów, ale  
David mi mówił, że kadet był okropnie nakręcony tym pro-  
gramem telewizyjnym. Później poszli do hotelu. Byli zdrowo  
urządzeni. Kadet zdjął spodnie od munduru. David powiedział  
mi później, że kadeci zawsze tak robią, ale wtedy jeszcze o tym  
nie wiedział. Potraktował to jako sygnał i zaczął dostawiać się

do kadeta. Ten wściekł się i dał mu w głowę. Rozciął mu wargę. David mocno krwawił, kadet się wystraszył i zaczął mu wycierać twarz mokrym ręcznikiem. Wtedy David spostrzegł, że kadetowi przygrzała kolba. Rozkleił się. Więc David zaczął gruchać. A w tym też był dobry. Poza tym przez cały czas popijali. Kadet dosłownie walił się z nóg. Ale David nie był naprany, tylko nagrzany i wykręcił z nim numer.

- Numer?

- Początkowo myślał, że kadet jest hetero, lecz nie był pewien. Gdy poszedł do łazienki obejrzeć rozbitą twarz, zajrzał do kosmetyczki kadeta i obok kondomów znalazł tubkę z gliceryną. Pomyślał, że chłopak jest obosieczny. Kiedy wrócił do pokoju z gliceryną, kadetowi urwał się już film i zanim pojawił się święci, David zaczął go bzykać. On uwielbiał pieprzyć heteraków. Założę się, że jeszcze przed maturą wypieprzył połowę Kiwanis w mieście.

- Tak?

Billy pociągnął ze swojej szklanki, a kelner postawił przed Slaughtem kolejną butelkę piwa.

- Uwielbiał heteraków. To była mania Davida. Jemu nie wystarczali pedzie. On uwielbiał... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, bo sam tego nie rozumiem. Wydaje mi się, że David uwielbiał sprowadzać innych na złą drogę. Czy kiedykolwiek się do ciebie dostawiał?

- Nie.

- No właśnie. To wyjaśnia, dlaczego podczas świąt Bożego Narodzenia nieustannie o tobie mówił. Najwyraźniej miał na ciebie chrapkę. Wielką chrapkę. Ale bał się do ciebie dostawiać.

- Mówił ci o tym?

- Nie. Ale czułem to.

- Jak to możliwe?

- Był moim przyjacielem. Jeszcze tego nie rozumiesz? Był jedynym przyjacielem, jakiego miałem w życiu.

Chłopak odwrócił się, zaciągnął głęboko papierosem, wydmuchnął nosem dym i znów popatrzył na Slaughter. Po raz pierwszy okazał inne emocje oprócz zdenerwowania, Slaughter popijał piwo i czekał.

- A co z kadetem? Pamiętasz, jak się nazywał?
  - Już mówiłem, to działo się dwa lata temu! Skąd mam pamiętać imiona wszystkich przydupasów Dawida? Daj mi spokój!
  - Dobrze, dobrze. A pamiętasz, z którego był roku? Może David coś o tym wspomniał?
  - Studiował na wyższym roku.
  - Tyle to i ja wiem. Rekrutów nie wysyłają do szkół na werbunek.
  - Wiem tylko, że był na wyższym roku.
  - No dobrze. A czy David spotkał go w West Point? Czy kiedy David został rekrutem, tamten wciąż studiował na akademii?
  - Tak.
  - Utrzymywał z nim kontakt? Czy wspominał coś o tym w listach lub podczas pobytów w domu?
  - Spotkał go w West Point. Tak, na pewno. Ale niewiele na ten temat mówił. Odniosłem wrażenie, że widywał go sporadycznie. Zawsze tak było. Ilekroć z kimś skończył, opuszczały go emocje. Ale kiedy pieprzył się z jakimś heterakiem, potrafił gadać o nim na okrągło. Lubił też gadać o kimś, na kogo miał ochotę. Kiedy jednak... eee... już z kimś skończył, przestawał gadać. Taki właśnie był David. Gdy pojawił się tu na Boże Narodzenie, nieustannie nucił jakąś melodię. Gdy spytałem go, co to za piosenka, zacytował mi jej słowa. Po prostu nie mogłem w to uwierzyć.
  - Jakie to były słowa?
  - Nigdy ich nie zapomnę. „Zamierzam zostać spadochroniarzem, o twardym życiu ciągle marzę”. Podejrzewam, że naprawdę uważał się za twardziela. Pociągało go ryzyko i niebezpieczeństwo. Moim zdaniem miał dużo z masochisty.
  - Dlaczego tak sądzisz?
  - Bo jego pasją było gnojenie heteraków. Uwielbiał to. Często mawiał, że samo pieprzenie nie jest zabawne, pociąga go dochodzenie do ofiary. Mówił to i... i wybuchał śmiechem.
  - Śmiał się?
  - Tak. Śmiał się ze mnie.
- Slaight pociągnął z butelki. Wyprawa do Nowego Orleanu

przynosiła wyniki, jakich się nie spodziewał. Odnosił wrażenie, że chłopak mu się spowiada. Zabawne, ale odczucie to było mu znajome. Tak jak podczas „chlewni” przychodził doń rekrut ze swymi problemami, a on go cierpliwie wysłuchiwał.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć? Jaką mam grupę krwi? Mój znak zodiaku? Jestem spod znaku Ryb.

Billy Patou znów łapczywie zaciągnął się papierosem i zaczął bębnić palcami po stole.

- Wróćmy do kadeta. Jesteś pewien, że nie pamiętasz jego nazwiska ani imienia?

- Na sto procent.

- A czy przypominasz sobie, jak wyglądał?

- Był... był przystojny. Elegancki. Wysoki. Wzrostu Davida. Szczupły, dziarski. No wiesz, klasyczny typ wojskowego.

- A jaki miał kolor włosów?

- Och, daj spokój, za chwilę zapytasz, czy nie śmierdziało mu z ust.

- Może rozpoznasz go na zdjęciu w księdze pamiątkowej?

Chłopak milczał i palił papierosa. Był wyraźnie wystraszony. Zapewne powiedział więcej, niż zamierzał. Slaughter czekał.

- Nooo... nie wiem. Może. To było dwa lata temu. Ludzie... ludzie zmieniają się. Czasy się zmieniają. David nie żyje. Odszedł. Więc co za różnica? Kto powiedział, że to ten kadet zabił Davida? Strzelasz w ciemno.

- Zgadza się, strzelam w ciemno, Patou. Nie mylisz się. Ale teraz mam przynajmniej cel, a ty możesz mi go oświetlić.

- Masz zapewne więcej niż jeden cel. Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Tamtego dnia w naszej szkole pojawiło się kilku kadetów. Jeśli dobrze pamiętam, trzech. Każdy z nich robił wykład innej grupie.

- A ty w której byłeś?

- W najstarszej. Pierwsi jedliśmy lunch. Przypominam sobie. Wykład odbył się po lunchu. Niektórzy uczniowie wysłuchali wykładu wcześniej. Inni po nas. Nie pamiętam, który z kadetów spotkał się z którą grupą. Panowało zamieszanie. Mieli też wykłady dla młodszych klas. Dlatego przysłano aż trzech. Uczęszczałem do największego gimnazjum w mieście. W naszej



szkole uczyło się ponad cztery tysiące uczniów. Najstarszych było ponad tysiąc, dlatego musieli podzielić nas na grupy. W audytorium mieściło się tylko pięćset osób.

- Jezu! A więc pojawiło się u was trzech kadetów i z jednym z nich zadał się David.

- Właśnie.

- Widziałeś ich?

- Pamiętam tylko, że byli bardzo do siebie podobni.

- A może któryś miał na rękawach dystynkcje?

Slaight zakreślił palcem na stole kształt szewronu.

- Chyba tak. Nie jestem pewien. Nie pamiętam, czy kadet Davida miał dystynkcje. O to ci chodzi?

- Właśnie.

- No więc nie pamiętam.

- Ale w księdze pamiątkowej rozpoznałbyś jego zdjęcie?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy na zdjęciach są w mundurach, w tych szarych kurtkach?

- Tak.

- Cóż, dla mnie wszyscy oni wyglądali tak samo. Davida też z trudem rozpoznałem, kiedy na Boże Narodzenie pojawił się tu w mundurze. Wasze uniformy sprawiają, że człowiek wygląda tak... anonimowo.

- Rozumiem.

- Czy to wszystko? Muszę już iść.

- Chwileczkę. Jak mogę się z tobą skontaktować? Zrobię to zapewne jeszcze w tym miesiącu. A może dopiero we wrześniu, kiedy zaczną się zajęcia. Dostarczę ci księgę roczną. Może ktoś w niej rozpoznasz.

- Ale nie dzwoń do mnie do domu. Rodzice, rozumiesz? Nie chcę ich w to mieszać.

- Rozumiem. Może przez Samanthę? Czy ona może do ciebie telefonować?

- Oczywiście.

- Billy, na jakiej uczelni studiujesz? Tulane?

- W Yale. Pojechałem na Północ, by... by być bliżej Davida, ale ani razu nie dostałem od niego znaku życia. Spotkaliśmy się dopiero na Boże Narodzenie. Wtedy wszystko było już... inne.

- Wierzę.

- Co takiego jest w West Point? David wydawał się kompletnie odmieniony. Co tam z wami robią? Czy wszyscy tak się zmieniacie... to znaczy tak, że nawet najbliżsi kumple z trudem was poznają?

Slaight dopił piwo i popatrzył na chłopaka. Oparty na łokciach, z wielkim zainteresowaniem spoglądał na Slaighta. Najwyraźniej problem ten niebywale go intrygował.

- Powiem ci uczciwie, Billy. Jestem tam już trzy lata, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli wiem. Zapytaj o to mego najlepszego przyjaciela, którego zostawiłem w rodzinnym miasteczku. Tak, West Point trochę nas zmienia. To miejsce takie już jest.

- Skąd pochodzisz?

- Z Kansas.

- Z Kansas! No, no!

- Właśnie, no, no.

- A więc nie będziesz dzwonić do domu moich starych i nie zdradzisz nikomu tego, co ci dziś powiedziałem?

- Tego ci nie mogę obiecać.

- Jak to?

- Nie wspomnę nikomu o tobie. Nie powiem nikomu, że z tobą rozmawiałem. Jediną osobą, która o tym wie, jest Samantha. Na jej dyskrecji możesz polegać.

- Wiem.

- Zrozum, muszę zrobić użytek z tego, czego dowiedziałem się od ciebie. Muszę to wykorzystać, skoro zamierzam odkryć zabójcę twego przyjaciela. Ale nie powiem nikomu, skąd mam te informacje. Po prostu wybrałem się do baru i tam pogadałem z jakimś chłopakiem o imieniu Ray? Pasuje?

- Czy... mogę polegać na twoim słowie?

- Człowieku, przecież ci obiecałem! Gadałem z jakimś nieznanym mi gościem w barze. Zadowolony?

- Tak, tak sądzę. Po prostu... cóż, ja tak naprawdę...

- Co naprawdę?

- Nie zamierzałem ci nic mówić. Uważałem, że to nie mój interes.

- I masz rację. To nie mój interes. To interes ludzi, którzy kierują West Point, ale oni tylko siedzą na tyłkach i bekają, aż rozwieje się dym i smród. Zanim to się stanie, wykryje, kto zabił

Handa, a wtedy poderwę ich na baczność i dobiorę się im do skóry.

Slaight skinął na kelnera i poprosił o rachunek.

- Ale dlaczego? - Patou uporcezywie patrzył Slaightowi w oczy.

- Co dlaczego?

- Dlaczego to robisz?

- Nie wiem. Po prostu mi to doskwiera. Powód równie dobry jak każdy inny.

- Ciekawe. W ostatnie Boże Narodzenie David przyznał się, że bardzo ci się naraził, a ty zamieniłeś jego życie w piekło. Nazwał cię opiekuńczym facetem. Dokładnie takich słów użył. Sądzę, że cię podziwiał.

- Tak.

Slaight zerknął na rachunek i zaczął grzebać w portfelu. Patou sprawiał, że Slaight czuł się chwilami nieswojo. Robił wszystko, by tego nie okazać.

- Czy David wyjaśnił ci, dlaczego zapisał się do West Point? - zapytał, by przełamać nieprzyjemne milczenie.

- Nigdy tego wyraźnie nie powiedział. - Patou w zamyśleniu obracał szklanke w ręku. - Ale mam na ten temat własne zdanie. To zabawne. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy... ani o jego motywach wstąpienia do West Point, ani o mojej decyzji studiowania w Yale. Nie istniała taka potrzeba.

- Dlaczego?

- Mówiłem ci. Byliśmy przyjaciółmi. Znałem go. Nie zrozumiesz tego.

- Spróbuj mi to wyjaśnić.

- O tym, że David podejmie studia w West Point, wiedziałem od dnia, w którym w naszym liceum pojawił się kadet. David bacznie go obserwował. Po prostu laził za nim i obserwował. Gdybyś widział wyraz jego oczu! Zupełnie jakby gapił się na siebie w lustrze, z tym tylko, że w tym zwierciadle wyglądał inaczej. Nie umiem tego wytłumaczyć. Musiałbyś widzieć wyraz jego twarzy.

- Widziałem.

- Racja. W końcu byłeś jego dowódcą.

- Prawda.

- A zatem wiesz, o czym mówię... Sam widziałeś ten błysk w jego oczach.

- Chyba tak. Ale nie jestem pewien, czy w pełni go zrozumiałem. Dlatego pytałem cię, czy Hand wyjaśnił ci powody swej decyzji podjęcia nauki w West Point. Nigdy tego nie rozumiałem. Nie wiedziałem, że jest homoseksualistą, ale wyzuwałem, że jest jakiś inny. Po prostu nie pasował do krajobrazu akademii.

- Zdumiewające. David mówił o tobie w taki sposób... Byłem przekonany, że wiesz. Myślałem nawet...

- O tym, że jest pedziem, dowiedziałem się dopiero w dniu jego śmierci.

Slaight wyraźnie się zjeżył, obrzucił Patou gniewnym spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok. Popatrzył w stronę łukowego przejścia wiodącego do baru. Było już późno, ale bar tętnił życiem. Nowy Orlean. Jezu!

- Już wiem, co to było! - wykrzyknął uradowany Patou i machnął ręką, o mało nie przewracając szklanki.

- Co?

- Ten błysk w jego oczach, kiedy spoglądał na kadeta. To było tak jak ze śpiewaniem pod prysznicem po lekcji wf-u. Zawsze śpiewaliśmy. Pod prysznicem głos jest pełniejszy, dźwięczniejszy, brzmi lepiej. Ale kiedy wraca się do szafek z ubraniami, staje się taki jak przedtem. Podobnie było z wyrazem oczu Davida, kiedy patrzył na kadeta. Zupełnie jakby widział siebie w lustrze, a jednocześnie wiedział, że kiedy kadet odejdzie, znów będzie wyglądać tak samo jak dawniej. Miał w oczach taki osobliwy smutek. Widziałem, jak spogląda na tego chłopaka, i od razu nabrałem przekonania, że go wypieprzy. Po prostu to wiedziałem.

- O czym ty mówisz? Coś kręcisz.

- Naprawdę nie rozumiesz?

Patou popatrzył bacznie Slaightowi w twarz.

- Gdybym to wszystko rozumiał, nie siedziałbym z tobą w tej dziurze i nie zadawał głupich pytań. Daj spokój, człowieku!

- Zdumiewające. - Patou jednym haustem dopił piwo.

- Co?

- Jesteś normalny. Chodzi mi o to, że nie rozumiesz tego, choć sam stanowisz odpowiedź na swoje pytanie.

- Do licha, Patou, to normalne, że jestem normalny!

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- No dobrze - odezwał się Patou i dał znak kelnerowi, by podał mu następną kolejkę. - Sprawa była dla mnie oczywista. Nie mówiłem o tym głośno, lecz wiedziałem, że David poszedł na West Point, ponieważ akademia była najnormalniejszym miejscem na ziemi, a kadet, który pojawił się w naszym liceum, stanowił uosobienie tej normalności. David zakochał się w West Point, gdyż koniecznie chciał zostać jego częścią. O tym zawsze marzył. Tworzył sobie własny wzór, własne wyobrażenie. Heteraki, których pieprzył, nie satysfakcjonowali go, bo nie potrafili stworzyć własnego wyobrażenia. Kiedy już ich wypieprzył, przestawali być heterakami. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

- Raczej tak.

- West Point... Dla Davida West Point był miejscem, w którym przebywali prawdziwi mężczyźni - w jego pojęciu kadetom nie mogli dorównać nawet twardzi nafciarze, Cajunowie pracujący jako niewykwalifikowani robotnicy portowi ani kowboje z filmów. Nawet John Wayne nie był tak męski jak kadet. Wypieprzył wprawdzie kadeta, który prowadził rekrutację w naszej szkole, ale sam West Point był inny. Moim zdaniem David sądził, że akademia... zmieni go. Czy miał rację? Czy West Point ma aż taką siłę?

- Na swój sposób. Tak, ma siłę. Siłę szczególnego rodzaju.

- Jakiego rodzaju?

- Zabij mnie, a nie odpowiem ci na to pytanie. Gdybym znał odpowiedź, zostałbym wykładowcą na West Point.

Patou wybuchnął śmiechem, a Slight pociągnął piwo, które zamówił chłopak.

- Czy West Point jest rzeczywiście taki normalny, jak sądził David?

Slight zdawał sobie sprawę z wagi tego pytania. Dotarło doń, że teraz z kolei zaczyna wypytywać go Patou.

- Chyba tak. David nie mylił się. Zresztą trudno tego nie zauważyć. Wizerunek West Point jest szlifowany od stu

sześciesięciu pięciu lat. Nie tylko Hand znalazł się pod urokiem akademii. Takich było wielu, łącznie ze mną.

- A kadeci? Czy naprawdę są tacy normalni, na jakich wyglądają?

- Oczywiście. Chryste, wstąpić na West Point to tak jakby osiągnąć dojrzałość. Tam kobiety stanowią rodzaj waluty, którą wymienia się na towary i usługi. I status. Tak, chłopaki są normalni.

- Ale David nie był normalny. Ani kadet, którego pieprzył i który, twoim zdaniem go zabił.

- Wiem.

- A czy są wśród kadetów inni geje?

Slaight w zamyśleniu patrzył przed siebie.

- Znasz jakiegoś?

- Tak. Coś w tym rodzaju.

- Co masz na myśli, mówiąc: „coś w tym rodzaju”?

- Chłopak z mojego roku, choć z innego pułku. Nie znam go bliżej. Bardzo inteligentny gość, jeden z najlepszych na naszym roku. Trochę pracowaliśmy razem przy redagowaniu czasopisma kadetów „The Pointer”. Pewnego dnia zaszedł do mego pokoju. Pogadaliśmy o następnym numerze pisma, po czym zapytał mnie, co robię podczas wakacyjnej przepustki. Powiedziałem mu. On z kolei wyznał mi, że podczas wakacji będzie pracował jako kierownik sceny w jednym z tych nędznych teatrzyków na Broadwayu\*. Dodał, że już trzeci raz spędza wakacje w ten sposób.

\* W oryginale: *off-off Broadway theater* - rodzaj teatrów w Nowym Jorku, prezentujących niskobudżetowe, przeważnie eksperymentalne przedstawienia, które nigdy nie wejdą na deski głównych teatrów (przyj. tłum.).

- I co?

- Wiem, jakie sztuki tam wystawiają. Rok wcześniej zamieściłem w „The Pointer” artykuł o dwóch takich przedstawieniach, które osobiście oglądałem. Nigdy tego nie powiedział wyraźnie, ale dawał mi do zrozumienia, że jest homoseksualistą.

- I nie naskoczyłeś na niego, nie zameldowałeś przełożonym?

- Nie naskoczyłem? Nie zameldowałem? A za co? Największą ironią West Point jest to, że nie ma żadnych rozporządzeń dotyczących homoseksualizmu, podczas gdy stosunki z kobietami podlegają ścisłym przepisom - kiedy, gdzie i co można, a czego nie można robić. Chłopie, to się nie mieści w głowie, ale dlatego właśnie nie mogłem na tego chłopaka naskoczyć. Najwyraźniej czuł potrzebę zwierzenia się komuś, w nadziei, że ten ktoś go zrozumie. I zrozumiałem. Każdy czasami musi porozmawiać z kimś o najbardziej intymnych sprawach. Też to robiłem w czasach rekruckich. Miałem kumpla, do którego w każdej chwili mogłem przyjść, i wiedziałem, że mnie wysłucha. Tak samo było z tym chłopakiem. Możesz nazwać to niepisanim prawem. Nie mogłem na niego donieść, skoro miał takie problemy ze sobą.

- A to niepisane prawo... czy to prawo West Point?

- Nie. To prawo kadetów; równie ważne jak mundur. Jest jednak pewna różnica. Prawa, jakimi rządzą się kadeci, nie są obowiązujące ani nawet aprobowane przez akademię.

- W Yale jest inaczej, ale istnieje pewne podobieństwo. Sądzę, że doskonale byś to zrozumiał.

Slaight niespokojnie poruszył się na krześle. Rozmowa z Patou sprawiała mu wielką przyjemność. Chłopak był inteligentny, ale zrobiło się późno, a on pragnął już wrócić do hotelu, do Irit. Patou pomachał mu przed oczyma białą dłonią.

- Hej, obudź się.

- Zamyśliłem się, przepraszam. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Mówiłeś, że West Point stanowił dla Davida wzór normalności, ale nie powiedziałeś mi, czy jest normalny, czy nie. Jaki jest jego prawdziwy wizerunek? Co takiego jest w waszej akademii, co daje jej „siłę szczególnego rodzaju”, jak to określiłeś?

Slaight obracał w ręku butelkę z piwem i zastanawiał się nad pytaniem. Patou trafił w sedno. Popatrzył na sprawę pod takim kątem, pod jakim nikt dotąd jej nie rozpatrywał. Szybko

zsumował wszystko, co wiedział: morderstwo, sekret Handa - ten cały kamuflaż, Hedgesa i resztę dowództwa akademii, przerażonych czymś, o czym Slaughter nie wiedział, nie kupił kitu o prowokacji komuchów ani tego, że morderstwo Handa zagraża bezpieczeństwu narodowemu. Hedges też w to nie wierzył. W męskiej rozmowie próbował wciągnąć Slaughtera do rodziny, do kręgu osób wtajemniczonych. Po trzech latach pobytu w West Point Slaughter zrozumiał, że ludzie gotowi są pozarzynać się wzajemnie, byle trafić do tej, elity. Ale instynkt podpowiadał mu, że Hedges obiecuje więcej, niż jest w stanie spełnić. Przed laty, podczas dorocznych targów końskich w rodzinnym hrabstwie, ojciec Slaughtera określił to jako „kit karnawału”. „Mówią, że kosztuje tylko dwadzieścia pięć centów - powiedział, gdy szli centralną aleją. - Dwadzieścia pięć centów za pięć płyt w szafie grającej. Dwadzieścia pięć centów za zagranie z jednorękim bandytą, ale dostajesz tylko tyle, ile zapłaciłeś”. Od tamtego upalnego lata sprzed piętnastu lat Slaughter wielokrotnie chodził główną aleją podczas targów. Nie pamiętał już wszystkich „atrakcji” tam oferowanych, lecz pamiętał ów pełen cynizmu ton ojca. Słowo w słowo.

Teraz Slaughter miał nowe informacje. Jeśli odpowiednio je wykorzysta, odnajdzie mordercę Handa. I zrozumiał wreszcie mechanizm, który dawał Handowi tyle nieludzkiej wprost energii, pozwalającej przetrwać „chlewnię”. Hand nie wstąpił do West Point, by pieprzyć kadetów. Wstąpił do West Point, by się sprawdzić, by sprostać wymogom męskości, jakie przed wychowankami stawiała akademie. Teraz Slaughter wszystko zaczynał rozumieć. „Chlewnia”. Crolius. Upór Handa, by nie słuchać głosu rozsądku, by ściśle trzymać się litery prawa. Handa testującego kadetów tylko po to, by przekonać się, że jak wszystkie istoty ludzkie oni również są słabi. Hand zaczął testować cały system.

Chciał przepieprzyć cały West Point!

- Jezu, Patou! Chcesz, bym wyjaśnił ci system naszej akademii? Chłopie, nie znam się na tym!

Slaughter próbował odpowiadać wymijająco na niewygodne Pytania, ale Patou napierał.

- Coś jednak musisz wiedzieć.



- Dobrze, dobrze. Powiem ci wszystko, co wiem. Czy znasz książkę „God and Man at Yale”?

- Jasne.

- Czy zrozumiałeś, co mówi Buckley?

- Jasne. Tamte czasy. - Patou powiedział to z gryzącą ironią. - Buckley przypomina człowieka z Cro-Magnon\*. Moim zdaniem generalnie wyznawał filozofię Yale, opierającą się na pewniku, że każdy problem można rozstrzygnąć bezstronnie. Uważa, że uniwersytet powinien zapewniać ujednoczony punkt widzenia, jeśli wręcz nie prawdziwą ideologię. Mocno podejrzewam, że panu Buckleyowi rzeczywistość umyka uwadze.

\* Cro-Magnon - stanowisko antropologiczne we Francji (Akwitania), w departamencie Dordogne koło Les Eyzies-de-Tayac, gdzie w 1868 roku znaleziono szczątki kostne człowieka kopalnego: starca, dwóch mężczyzn, kobiety i płodu, pochowane pod nawisem skalnym (przyp. tłum.).

- Moim zdaniem sens książki jest jeden: Buckley w West Point czułby się jak świnia w gnoju. Pragnie wyłącznie, by Yale był taki sam jak akademia wojskowa. Powinien mieć jeden cel. Tworzyć żołnierzy. Powinien przerobić swój system wartości na wartości West Point. Akademia prezentuje punkt widzenia, jaki chce, i w kwestiach, jakie ją interesują. Nie istnieją inne kwestie, inne punkty widzenia, inne wartości, inne zadania. Przykład. W tej chwili prowadzimy wojnę z siłami, którymi dowodzi Ho Szi Min. Przez trzy lata mego pobytu w West Point akademia nie potrafiła powiedzieć mi o nim nic więcej poza tym, że jest ich przywódcą. Nie uczono nas o jego polityce, jego misji, jego wartościach, jakim hołduje, słowem: o motywach, które kierują nim i jego armią w wojnie przeciwko nam. Dla West Point liczy się jedno. Sam West Point. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

- Tak. Brzmi bardzo konserwatywnie.

- To złe określenie.

- To znaczy?

- To tak jak w laboratorium lub w zoo: wszystko jest na

publicznym widoku. Za bramą panuje demokracja. W środku jest West Point. Idąc na West Point, uczysz się mechanizmów działania ludzi i tego, jak się do siebie dopasowują. Może to brzmi dziwnie, ale w taki właśnie sposób West Point przygotowuje kadry do kierowania wojskiem, które służy demokratycznemu społeczeństwu.

- Rozumiem. To dokładne przeciwieństwo tego, co robi Yale.

- Człowieku, West Point jest tylko jeden. To wyjątkowa instytucja. Drugie takie miejsce nie istnieje. Hand musiał o tym wiedzieć, a w każdym razie wyczuwał to.

- Wiedział. Masz rację. Ale wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy West Point jest taki normalny, jak sądził David?

- Chryste! Masz na tym punkcie hopla! Mówiłem już, że akademią nie rządzą pedały.

- Wiem, ale wciąż nie odpowiadasz na moje pytanie. Dlaczego? Boisz się?

Patou spoglądał badawczo w twarz Slaughtera. Chłopak nie żartował. Naprawdę chciał wiedzieć. Tak jak Slaughter chciał wiedzieć, co naprawdę kryje się za tuszowaniem sprawy morderstwa Handa. Powoli ruszyli do wyjścia z baru.

- Patou, obawiam się, że nie odpowiem ci na to pytanie, gdyż nie znam odpowiedzi.

Patou ze zrozumieniem skinął głową.

- Jeśli to, co powiedziałeś o wizerunku West Point, jaki wytworzył sobie Hand, jest prawdą, to przynajmniej się z tym zetknął. West Point to sami mężczyźni. Wymyślili go mężczyźni, dowodzą nim mężczyźni i kadetami są wyłącznie mężczyźni. Gdy studiujesz na West Point, dowodzący nim mężczyźni sprawują nad twoim życiem całkowitą kontrolę. Całkowitą. Kontrolują i oceniają wszystko, co robisz. I tak przez cztery lata; przez długie pieprzone cztery lata. W tym czasie zmieniasz się bardzo szybko z osoby kontrolowanej w kontrolera. To tak, jakbyś nocą przejeżdżał przez małą osadę. Mrugniesz okiem i przegapisz ją. Rozumiesz?

-- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz, Patou. Nie masz o tym zielonego

pojęcia. A wiesz, dlaczego? Bo nie byłeś tam, człowieku. Nie byłeś kadetem.

- To śmieszne. Twoim zdaniem, jeśli się czegoś nie doświadczy, nie jest się w stanie tego pojąć.

- Tak myślę.

- Więc co powiesz o książkach? O edukacji? West Point jest szkołą wyższą, prawda?

- Zapomnij o edukacji, Patou. West Point to styl życia. To sposób, w jaki akademia sama się określa, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Styl życia. Przestań myśleć o West Point jak o miejscu; myśl o nim jak o żywej istocie, jak o zwierzęciu lub człowieku. West Point krzewi własny gatunek o nazwie „elew” lub „absolwent West Point”. Różnią się oni od ciebie czy ode mnie. Są wyjątkowi. Lepszy.

I wszyscy są mężczyznami.

- Brzmi to jak ideologia faszystowska.

- Faszyzm, smaszyzm! Kogo to obchodzi? Chciałeś wiedzieć, jak jest, to ci powiedziałem.

- A co człowiek czuje, kiedy zamienia się w kontrolującego? To musi być prawdziwy wstrząs. - Patou uśmiechnął się nerwowo. - To tak jak po raz pierwszy upić się w sztok i z rana obudzić na kacu.

Slaight wybuchnął śmiechem.

- Nie wiem, jak się człowiek czuje. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To się po prostu dzieje. I to szybko.

- Czy David, zanim zginął, poznał West Point takim, o jakim mi opowiadasz?

Zatrzymali się przed barem. Slaight popatrzył na Patou oświetlonego światłem latarni. Niebieskie ubranie lśniło.

- To najcenniejsze pytanie, jakie mi dziś zadałeś. - Slaight przeniósł wzrok na ulicę. Mimo późnej pory chodniki i jezdnie wciąż oddawały dzienny skwar. - Wiesz, jakie jest moje zdanie? Uważam, że David Hand poznał West Point lepiej niż ja. Wiedziałem to już podczas „chlewni”, kiedy byłem dowódcą jego drużyny. Dobrze poznał West Point. Człowieku, on wiedział, że sprawują nad nim kontrolę. Wiedział.

Slaight zszedł z krawężnika i ruszył w stronę Ursulines Street. Był zmęczony, chciał przed snem porozmawiać z Irit- Wciąż dręczyło go wspomnienie rozmowy z Billym Patou.

Chłopak poruszył tyle kwestii. Może Irit będzie miała jakieś pomysły. Zawsze miała.

- Bardzo przypominasz Davida - mruknął Billy Patou.

Slaight usłyszał jego słowa, lecz nie obejrzał się. Nic nie odpowiedział.

Nie mógł.

# *Księga V*

Obowiązek, honor,  
ojczyzna, natura

## 26.

W pokoju dwieście dwudziestym szóstym w nowych południowych koszarach Slight odwiesił do szafy swoje mundury. Kursował nieustannie między przechowalnią a dawnym pokojem w kompanii D-3 i przenosił książki, buty, odzież.

Był dwudziesty siódmy sierpnia 1968 roku, pierwszy dzień tygodnia reorganizacji, po którym miał nastąpić Dzień Pracy\*.

\* Labor Day - pierwszy poniedziałek września, oficjalne, robotnicze święto w USA, Portoryko i Kanadzie (przyp. tłum.).

Z czterech stron świata ściągali do West Point kadeci, by rozpocząć nowy rok akademicki. Slight cały sierpień spędził w Fort Leonard Wood w Missouri. Jako „trzeci porucznik” brał udział w akademickim programie orientacji armii, POA. Był pełniącym obowiązki oficerem w kompanii podstawowego treningu piechoty. Trzydzieści dni piekła. Kolejna „chlewnia”. Wojskowy rygor. Cieszył się, że wreszcie wrócił na stare śmieci.

Wizytówka na drzwiach mówiła, że jego kompanem w pokoju będzie John Lugar, wysoki, szczupły rudzielec z San Bruno w Kalifornii. Lugar, jak zwykle, spóźnił się. Slight cieszył się, że zamieszka w jednym pokoju z Lugarem. Leroy Buck, obecnie sierżant sztabowy w kompanii, nie tylko zostawił mu stary pokój, ale i Lugara, kapitalnego chłopaka. Slight starannie porozwieszał w szafie ubrania, pochował drobiazgi do szuflad,

posłał łóżko, ustawił na półce książki i podręczniki. Wtedy też zauważył list. Był przyczepiony taśmą samoprzylepną do abażura lampy.

Pismo było ręczne, niewyraźne. Slight przysunął kartkę do oczu.

„Slight, Grimshaw czeka na ciebie dzisiaj w budynku 720. Zgłoś się natychmiast. Dyżurny”.

List zostawił któryś z tępych pierwszoroczników. Wrócili do West Point na kilka dni z Buckner. W połowie tygodnia skończyła się „chlewnia”. Teraz był piątek. Co, do licha, znaczy „dzisiaj”? Wyrzwał na korytarz.

- Dyżurny! Zameldować się w pokoju dwieście dwadzieścia sześć!

Od strony schodów dobiegł tupot pośpiesznych kroków kogoś pokonującego po dwa stopnie naraz. W progu pojawił się świeżo ogolony, ubrany w mundur połowy pierwszorocznik.

- *Yessir!*

- Ridgeway, głupku. Nie jestem już dla ciebie „sir”. Jesteś na pierwszym roku. Nazywam się Ry. A ty?

- Barry.

- Barry. Doskonale. Barry, znalazłem tutaj tę wiadomość. Co ona, do kurwy nędzy, znaczy? Co znaczy „dzisiaj”?

- Z samego rana pojawił się tu Grimshaw. Chyba wiedział, że masz dzisiaj wrócić. Kazał mi zostawić dla ciebie tę wiadomość. Masz się niezwłocznie u niego stawić. I dodał, że masz wyglądać schludnie. Był...

- A, pojawił się tu pierdzielony Grimshaw?

- Tak.

- I mam się u niego zameldować? Powiedział, o co chodzi?

- Nie. Kazał tylko zostawić tę wiadomość.

- W porządku. Ale od dzisiaj zostawiaj mi listy na widocznym miejscu. Wchodziłem i wychodziłem z pokoju ze sześć razy i nie zauważyłem tej cholernejszej notatki. Grimshaw urwie mi łeb.

- Przepraszam. Musiałem...

- Spierdoliłeś sprawę.

- Nie da się ukryć.

- No dobrze. Możesz wyświadczyć mi przysługę? Wezwij dwóch faszystów i niech przyniosą z przechowalni resztę moich gratów. Rzeczy Lugara też.

- Ry?

- Tak?

- Powiedziano nam, że w tym roku podczas tygodnia reorganizacji nie możemy przy przenoszeniu rzeczy kadetów z wyższych lat zatrudniać rekrutów.

- Tak? Kto to powiedział?

- W sztabie pułku kadetów. Ogłosili to dziś rano.

- Widziałeś to rozporządzenie na piśmie?

- Nie...

- A więc dopóki nie pojawi się na ten temat oficjalny placiuch, zbierz faszystów i niech zajmą się naszym chłamek. To, co mi powiedziałeś, uważam za zwykłą plotkę. Mam rację?

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię. A teraz ruszaj się, człowieku. Ruszaj się! Ja się muszę wypięknąć na spotkanie z Grimshawem.

Ridgeway zbiegł po schodach i zaczął wywoływać nieznanego Slaughterowi nazwiska. Jezus, nowi! Cała banda nowych rekrutów, z którymi musi się zapoznać. I jeszcze ten Grimshaw. Nie pójdzie z nim łatwo. Slaughter wiedział o tym już w czerwcu, kiedy rozmawiał z Hedgeselem... Był pewien, że Grimshaw dostanie kopa w dupę. Slaughter, nakładając mundur polowy, zastanawiał się, co się dzieje. Mógł się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. Budynek siedemset dwadzieścia. Biuro Grimshawa.

Puk! Puk!

- Wejść!

- Sir, zgodnie z rozkazem kadet Slaughter melduje swe przybycie.

- O, pan Slaughter. Dobrze, że jesteś. Wracasz prosto z urlopu?

- *Nosir!!!* POA. Fort Leonard Wood.

- Długo się do mnie zbierałeś.

- Dopiero przed chwilą znalazłem wiadomość, sir. Dyżurny, zgodnie z pańskim rozkazem, zostawił mi notatkę, ale jej nie zauważyłem.



- Nie zauważyłeś.
  - *Nosir!!*
  - Czy masz kłopoty ze wzrokiem, panie Slaughter?
  - *Nosir!!!*
  - Popatrz na swoje buty, panie Slaughter. Co widzisz?
  - Buty, sir.
  - Buty mają lśnić jak psie jaja. Czy mam rację?
  - *Yessir!!!*
  - Pytam zatem jeszcze raz. Czy masz kłopoty ze wzrokiem?
  - *Nosir!!!*
  - Spójrz w lustro, które wisi na drzwiach, panie Slaughter.
- Slaughter wykonał przepisowy zwrot i popatrzył w lustro.

Tę lekcję przerabiał już wielokrotnie. Ponownie wykonał zwrot, odwracając się do Grimshawa.

- I coś pan tam zobaczył, panie Slaughter?
  - Siebie, sir.
  - Zauważyłeś swoją fryzurę?
  - *Yessir!!!*
  - Cztery centymetry na górze?
  - Mniej więcej.
  - Mniej więcej?
  - Tak to oceniam na oko, bez linijki, sir.
  - Lecisz ze mną w bambuko?
  - *Nosir!!!*
  - Czy chcesz zacząć ten rok tym samym, czym zakończyłeś poprzedni?
  - *Nosir!!!*
  - A zatem radzę wrócić do koszar i doprowadzić się do ładu, tak byś wyglądał jak żołnierz. Czy wyrażam się jasno?
  - *Yessir!!!*
  - I radzę zgłosić się do okulisty. Pański wzrok pozostawia wiele do życzenia. Czy mam pomóc panu, panie Slaughter, wypisać skierowanie do lekarza? Mam ich dużo na biurku. Wyjątkowych. Czy mam je dla pana, panie Slaughter, wypełnić
  - *Nosir!!!*
- Slaughter zaczynał już tracić panowanie nad sobą. Od czasu rozmowy z majorem Consorem Grimshaw wyraźnie wziął go sobie na ząb.

- A więc dobrze. Życzę sobie, byś przynajmniej raz w

tygodniu składał wizytę lekarzowi. W każdą sobotę, podczas inspekcji koszar, chcę mieć raport na temat stanu pańskiego zdrowia podpisany przez lekarza. Raport ma leżeć na pańskiej pryczy w manilowej teczce, tak bym od razu ją zobaczył. I wie pan, co ma być na niej napisane?

- *Nosir!!!*

- Ma być na niej napisane trzycentymetrowymi, drukowanymi literami: „Raport o stanie zdrowia kadeta Slaughta”. Zrozumiano?

- Nie jestem pewien, sir. Postawmy sprawę jasno. Czy mam rozkaz co tydzień brać zwolnienie lekarskie, sir?

- Postawmy sprawę tak, Slaight. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, zrobisz dokładnie tak, jak mówię. Zrozumiano?

- *Nosir!!!* A jeśli nie będzie potrzeby, bym szedł do lekarza? Po co mi zwolnienie, skoro muszę brać udział w zajęciach? W pierwszym semestrze codziennie są kolokwia. A jeśli przez pięć dni z rzędu ani razu nie zachoruję? Nie będę miał prawa - ani moralnego, ani formalnego - unikać kolokwiów. Co wtedy, sir? Co zatem jest dla mnie dobre, sir? Potrzebuję ojcowskiej rady. Naprawdę potrzebuję.

Grimshaw, nie spuszczać wzroku z wyprężonego przed nim na baczność kadeta, niespokojnie poruszył się na krześle. Och, jakże pragnął, by Slaight wykazał się najmniejszą niesubordynacją. Boże wielki, jakże pragnął postawić drania pod ścianą, a następnie posłać go na plac, gdzie było jego miejsce.

- Panie Slaight, chyba wyrażam się jasno. „Raport o stanie zdrowia kadeta Slaughta” na łóżku każdego sobotniego poranka, do czasu, aż powiem, że ma być inaczej. Nie interesuje mnie, czy załatwisz sobie zwolnienie lekarskie na czas wolny w sobotnie popołudnie. Gównu mnie obchodzi, co zrobisz. Chcę mieć raport w manilowej teczce, podpisanej tak, jak powiedziałem, z parafką lekarza. Co tydzień, Slaight, co tydzień. Czy wyrażam się jasno?

- Bardzo jasno, sir.

- To dobrze. A teraz radzę panu wrócić do koszar i wyprządzić się, gdyż komendant chce cię widzieć w swoim gabinecie o siedemnastej czterdzieści pięć. A teraz zejdz mi z oczu, bo wyciągnę dwa-kreska-jeden. Wynoś się!

Szczupłe, prawie chłopięce policzki Grimshawa drżały, Slaughter odczekał jedną... dwie sekundy. Zasalutował.

- Dobranoc, sir.

Grimshaw odsalutował i Slaughter opuścił biuro. Udał się prosto do pokoju Bucka i o wszystkim mu powiedział.

- I co teraz zrobisz?

- Zrobię to, co powinienem był zrobić już w zeszłym roku. Zamierzam zadzwonić do prawnika, kapitana T. Clifforda Bassetta i umówić się z nim na spotkanie przed wizytą u Hedgesa. Wróciłem dokładnie pięć godzin temu. Pięć pieprzonych godzin. I już grzęznę w gównie po kolana. Co więcej, czuję, że zapadam się coraz głębiej. Aha, kiedy pojawi się Lugar, powiedz mu, że dziś wieczorem Grimshaw specjalnie odwiedzi nasz pokój. Miej też oko na faszolarzy, którym dyżurny kazał zająć się naszymi gratami. Dopilnuj, żeby przyzwolicie je ułożyli. Będziemy mieli po kolacji zaledwie godzinę, nim pojawi się Grimshaw.

- W porządku, Slaughter. Wszystkiego dopilnuję.

- Jezu! Jeszcze nigdy tydzień reorganizacji tak się nie zaczął. Poczekaj, opowiem ci o Handzie przy kolacji. Zatrzymaj dla mnie miejsce przy swoim stole.

- Jasne. Będziesz ty, ja, Lugar, Kenny Towne, dwie przyzwoite „krowy”, pierwszorocznicy, którzy prowadzą w mojej kompanii kancelarię, oraz dwóch najfajniejszych faszolarzy.

- A więc do zobaczenia na apelu przed kolacją.

- Jasne.

- Na razie!

## 27.

W kancelarii kompanii D-3 Slaughter podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer wydziału prawniczego.

- Czy mogę rozmawiać z kapitanem Bassettem? Mówi kadet Slaughter.

- Proszę chwileczkę poczekać - odpowiedziała sekretarka.
- Kapitan Bassett przy telefonie.
- Sir, mówi kadet Slaughter. W zeszłym roku dwukrotnie rozmawialiśmy ze sobą.
- Tak, oczywiście, pamiętam. Slaughter. O co chodzi tym razem?
- Sir, chciałbym się z panem zobaczyć. Dzisiaj. Zaraz. Czy ma pan, powiedzmy, godzinę?
- Jasne, przychodź. Wiesz, gdzie jesteśmy... w suterrenach Thayer Hall, zaraz za przewodami grzewczymi i bojlerami... Możesz powiedzieć, o co chodzi?
- Sir, wolalbym wyjaśnić to osobiście.
- Rozumiem. Jestem w pokoju czterysta osiem. Na drzwiach jest moja wizytówka.
- *Yessir!!!* Do zobaczenia, sir.

Slaughter pobiegł prosto do swego pokoju, włożył najlepsze buty, przetaił klamrę pasa i pociągnął wzburzone włosy żelem. Ruszył spieszenie na spotkanie z prawnikiem. Miał niewiele czasu. Dochodziła szesnasta trzydzieści. U komendanta miał zameldować się o siedemnastej czterdzieści pięć.

Kapitan T. Clifford Bassett urzędował w malutkiej klitce, od podłogi do sufitu zawalonej papierzykami.

- Zażalenia. Zrobili ze mnie urzędnika zajmującego się zażaleniami. Nie uwierzyłbyś, co ludzie tracą, kiedy się tu spruwadają. Każdy przedmiot, najdrobniejsza rzecz, każde gównno przechodzi przez moje ręce. Jeśli natknę się na nazwę jeszcze jednej linii autobusowej, kolejnej firmy czy towarzystwa transportowego, oddam insygnia generalnego prokuratora wojskowego i poproszę o przeniesienie do piechoty. Wszystko jest lepsze od tego!

Bassett zmrużył oczy, uśmiechając się od ucha do ucha. Jego korpulentna postać nie poprawiała warunków w ciasnym pokoiku. W wydziale taktycznym o Basetcie mówiono: „Ty-powy tatuśko - z nadwagą, nijaki, upierdliwy”. Ale Slaughter wiedział swoje. T. Clifford Bassett był dawniej redaktorem naczelnym „Low Review”, wydawanym przez Wydział Prawa Uniwersytetu Harvardzkiego. Później spędził trzy lata u Sullivana i Cromwella na Wall Street. Kiedy dostał powołanie do wojska, wybrał cztery lata pracy jako prawnik wojskowy w randze

kapitana zamiast dwóch lat służby zasadniczej. W wydziale prawniczym mieli go za dziwaka, ale bardzo się z nim liczyli. Był najlepszym prawnikiem w akademii, o czym wiedzieli wszyscy, łącznie z pułkownikiem, który miał stopień naukowy profesora.

Bassett wskazał Slaightowi krzesło. Poprawił na biurku papiery, z jakiejś tajemnej skrytki wyciągnął żółtą teczkę, wziął czarne wojskowe pióro i popatrzył na Slaighta przez okulary, tkwiące na samym czubku nosa, których używał wyłącznie do czytania.

- Nie sądziłem, panie Slaight, że znów się spotkamy. Co tak pana dziś przypiliło?

- O siedemnastej czterdzieści pięć mam stawić się u komendanta. W związku z tym potrzebuję porady prawnej. W taki czy inny sposób siedzę w tym, za przeproszeniem, gnoju po uszy.

- Nie szkodzi.

- Sir, zamierzam panu szybko tę sprawę wyłożyć, lecz proszę wszystko, co powiem, zachować w najgłębszej tajemnicy.

- A zatem ma to być oficjalna porada prawna?

- Oficjalna?

- W ten sposób nawiążemy oficjalny stosunek prawnik-klient, a to znaczy, że tego, co od pana usłyszę, pod rygorem prawnym nie wolno mi wyjawiać ani przed sądem, ani nawet na rozkaz prokuratora generalnego.

- Doskonale.

- A więc o co chodzi, Slaight?

- Kapitanie, chodzi o kadeta, którego zwłoki wyłowiono w maju z Popolopen. Nazywał się David Hand.

- Pamiętam. Przez moje biurko przeszedł raport w tej sprawie. Przypadkowe utonięcie.

- Nie było to przypadkowe utonięcie. Chłopak został zamordowany. David Hand był homoseksualistą. Przed utonięciem odbył z nim stosunek męczyzna. Mam wszelkie powody podejrzewać, że uczynił to jeden z kadetów. Sir, przeprowadziłem prywatne śledztwo w sprawie śmierci Handa. Zabił go jeden z trzech kadetów... a może jeden z sześciu... których w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym wysłano z

misją rekrutacyjną do Nowego Orleanu. To on właśnie namówił Handa na West Point. Wtedy też nawiązali ze sobą romans. Romans ten ciągnęli również później, już w akademii. Jestem pewien, że Handa zamordował właśnie ten kadet.

- Jeden z trzech, a może jeden z sześciu... Cóż, to bardzo wielu podejrzanych. A możliwe, że zabił go ktoś inny?

- Tego wykluczyć się nie da. Poznałem chłopaka, który zapewne zdoła zidentyfikować zabójcę Handa. Jeśli okaże się, że to nie kadet wyprawił Handa na tamten świat, sprawa nabierze rozgłosu i w końcu znajdziemy prawdziwego mordercę. Policja odkryłaby natychmiast, że David Hand został zamordowany, ale u nas nic się w tej sprawie nie robi. Komendant wie, że Hand został zabity, ale nie ruszył palcem w bucie, by cokolwiek wyjaśnić. Wezwał mnie w czerwcu z urlopu na rozmowę. Próbowałem się z panem skontaktować, lecz pan również przebywał na urlopie.

- Zgadza się. Sekretarka przekazała mi wiadomość.

- Do czego zmierzam. Komendant próbuje dobić ze mną targu. Jeśli nabiorę wody w usta, mianuje mnie dowódcą batalionu. Pod względem osiągnięć naukowych i postawy żołnierskiej plasuję się mniej więcej na pięćdziesiątym miejscu w klasie i na sześćsetnym w skali całego roku. Taki ze mnie dowódca batalionu jak z pana żołnierz piechoty. - Bassett roześmiał się. - On o tym wie i ja o tym wiem. Gdy w czerwcu opuszczałem jego biuro, propozycja wciąż była aktualna. Za godzinę znów mam stawić się w jego gabinecie. Chciałbym wiedzieć, co mam zrobić. Chcę wiedzieć, do czego jestem z punktu widzenia prawa zobowiązany, biorąc pod uwagę fakt, że wiem o morderstwie. Chcę też znać przysługujące mi prawa: jaką ochronę może mi zapewnić akademia? Słowem, potrzebuję jak najszybciej i jak najdokładniejszej porady prawnej.

- Hm. - Bassett rozparł się na krześle, wsunął końcówkę pióra do ust i chwilę myślał. - Masz rzeczywiście wielki problem. Otwórz drzwi, proszę.

Slaight posłusznie wykonał polecenie.

- Adrian? Adrian? - Sekretarka Bassetta podniosła głowę znad maszyny do pisania. - Możesz już iść do domu. Nie będę cię dziś potrzebować.

- Dziękuję, kapitanie - odpowiedziała kobieta i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Zamknij drzwi, Slaughter, i opowiedz wszystko od początku.

Na twarzy Bassetta malował się uśmiech. Był to osobliwy uśmiech. W połączeniu z wielkim nosem, na którego czubku tkwiły okulary, zezowatymi oczyma i krzaczastymi brwiami, przypominającymi dwie wielkie, włochate gąsienice, jego twarz miała trochę sowy wyraz. Slaughter lubił Bassetta. I wiedział, że cała ta historia bardzo prawnika zainteresowała.

- Slaughter, musisz mi wszystko opowiedzieć ze szczegółami. Powiedz, co wiesz. Dokładnie. Każdy najdrobniejszy fakt. Osąd, co jest ważne, a co nie, pozostaw mnie. Rozumiesz?

- *Yessir!!!*

- Przestań zwracać się do mnie „sir”. A teraz mów o Handzie. Chcę wiedzieć, skąd masz informacje - czy były pisemne, czy ustne, z pierwszej ręki czy z drugiej. Chcę znać nazwiska ludzi, z którymi rozmawiałeś, by wyrobić sobie własny osąd co do ich wiarygodności. Chcę wiedzieć, co zaszło w czerwcu między tobą a komendantem - w najdrobniejszych szczegółach. Ciekaw jestem, jakim cudem zawęziłeś liczbę podejrzanych o zamordowanie kadeta do trzech lub sześciu. Za każdym razem wyjaśniaj mi tok swego rozumowania.

Bassett pochylił się na krzesło, wziął pióro i popatrzył na Slaughtera. Już się nie uśmiechał.

- Mów. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Slaughter zarysował całą historię, poczynając od dnia, kiedy podczas „chlewni” w sześćdziesiątym siódmym roku ujrzał Handa. Opowiedział o odbytej w Nowym Orleanie rozmowie z ubranym na niebiesko chłopakiem i o rozmowach telefonicznych z przebywającym w Santa Fe szefem kompanii. Starszy sierżant skontaktował się ze swoim przyjacielem pracującym w biurze meldunkowym akademii i poprosił o nazwiska kadetów, których w roku 1966 wysłano z misją werbunkową do Nowego Orleanu: dwóch z ostatniego roku, kończących studia w sześćdziesiątym siódmym roku, dwie „krowy” kończące naukę w sześćdziesiątym ósmym i dwóch pierwszoroczników z klasy

Slaighta, rocznik sześćdziesiąty dziewiąty. Trzech z nich miało odwiedzić szkołę Handa - „krowa” i dwóch pierwszorzeczników. Dwóch najstarszych prowadziło rekrutację w innej szkole. Z dokumentów nie wynikało, którzy kadeci ostatecznie odwiedzili gimnazjum Handa. W teczce był jedynie ogólny harmonogram prac werbunkowych i żadnych późniejszych raportów. Slaight podał Bassettowi nazwiska. Kapitan kiwał głową, wszystko skrzętnie zapisywał i co chwila poprawiał na nosie okulary. Tylko raz w trakcie relacji Slaighta przerwał pisanie i popatrzył ze zdumieniem na kadeta.

- William Beatty?

Zapisał nazwisko, zakreślił je kółkiem i skinął głową, dając Slaightowi znak, by mówił dalej.

Slaight szybko skończył opowieść. Ku swemu zdziwieniu skonstatował, że zaczyna już być tą sprawą zmęczony. Tamten majowy dzień na placu apelowym wydawał się niewiarygodnie oddalony w czasie. W czerwcu zaczął prowadzić kartotekę. Teraz, po powrocie z Fort Leonard Wood, po rozważeniu wszystkich faktów, po dziesiątkach rozmów telefonicznych, po uzupełnieniu luk, długich naradach telefonicznych z Irit, kartoteki zajmowały wielkie kartonowe pudło. Kartka po kartce, notatka po notatce, dokładnie streszczone rozmowy telefoniczne, własne przemyślenia dokonywane podczas bezsennych nocy. Same fakty. Oddzielne teczki z aktami poszczególnych osób wplątanych w sprawę. W innej teczce materiały niezwiązane z żadną konkretną osobą. Teczka zawierająca notatki z istotnych spotkań - z Hedgesem, z szefem kompanii, z ubranym na niebiesko chłopakiem. I cały skomplikowany system odsyłaczy łączących ludzi, miejsca, rozmowy, fakty, domniemania, wnioski. Tekturowe pudło ważyło już piętnaście kilogramów. Wiedział to, gdyż na lotnisku w St. Louis, skąd leciał do Nowego Jorku, zważono pudło.

Rozwijając przed Bassettem temat, czuł coraz większe znużenie sprawą, a jednocześnie był zdecydowany doprowadzić ją do końca. Teraz, po spotkaniu z Grimshawem, któremu życzył, by rozplynął się w rzadkim powietrzu lub wysłano go znów do Wietnamu, a który, jak się okazało, wciąż pędził swoją trzodę w



D-3, po rozmowie z Hedgesem, który gromił go za „słabość”, Slaight nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić ani czego się spodziewać. Bał się. Lato minęło. Wrócił do West Point. Raporty dla Grimshawa o stanie zdrowia, o obcinaniu włosów i pucowaniu na wysoki połysk butów! Spotkanie z Grimshawem najdosadniej pokazało, że nic się nie zmieniło. Wciąż ta sama gra.

Gdy przekazywał Bassettowi szczegóły sprawy, cała ta historia przypominała wojenną opowieść. Snując ją, czuł się jak w stołówce w Leonard Wood, gdy kadeci wysłuchiwali opowieści sierżantów o tym, jak to było „tam, w Wietnamie... w dżungli”. Kurwa, człowieku, nieustannie trzeba było kombinować, żeby samemu przeżyć i zabić jak najwięcej francowatych żółtków. Człowieku, tam było parszywie. Pierdzieleni skośnoocy, kurwa, człowieku, wyłazili z lasu, roili się na zasiekach, kurwa, człowieku, w powietrzu latały flary, i choć panowała noc, całe to pieprzone miejsce przypominało rześcicie oświetlony Times pieprzony Square, kurwa, człowieku, pociski smugowe, kłęby dymu i gazu, gówno fruwało ci nad głową, i skośnoocy, pierdzieleni skośnoocy...

Nigdy nie padało słowo „wróg” lub „nieprzyjaciel”. Zawsze „skośnoocy” albo „żółtki”, albo „Charlie”; zupełnie jakby wojny nie prowadzono z wrogiem, lecz z jakąś ideą - z czymś, czego nikt nie potrafił objąć rozumem, więc wymyślali różne przezwiska, próbując za ich pomocą określić to, co było nie do określenia. Siedząc w biurze Bassetta, Slaight czuł się podobnie. Był bezradny, odnosił wrażenie, że trapiące go wątpliwości próbuje pokonać za pomocą lawiny szczegółów, faktów i nazwisk; zupełnie jakby zrzucenie tego całego gówna na Bassetta miało cokolwiek pomóc. Gadał jak najęty, w nadziei, że Bassett go zrozumie. Teraz już pojmował, co sierżanci mieli na myśli, mówiąc: „byłem tam”. Jak opisać, jak „tam było”, komuś, kto wcale „tam nie był”?

Slaight opowiadał, zerkał na zegarek i coraz lepiej rozumiał, dlaczego ojciec, kiedy Slaight był jeszcze dzieckiem, nigdy nie opowiadał o wojnie. Już jako dzieciak wiedział od matki, że ojciec walczył na froncie podczas drugiej wojny światowej. Matka często mówiła, że stało się coś, „kiedy twego ojca nie

było”. „Nie było”. Słowa te oznaczały wojnę. Gdy wracał do domu z sobotniego poranku w kinie albo po obejrzeniu filmu „To Hell and Back” lub po jakimś innym sławiącym wojnę przedstawieniu, pytał ojca o wojnę. A ojciec odpowiadał: „Powiedz mi, synu, kiedy będziesz duży”. „To znaczy kiedy?” Kiedy będziesz wystarczająco dorosły, by to zrozumieć” - odpowiadał ojciec, siedząc na werandzie i popijając martini. „Kiedy będziesz wystarczająco dorosły, by to zrozumieć”. Slight nigdy nie wydorósł na tyle, by to zrozumieć.

W czerwcu 1965 roku wyjechał do West Point z błogosławieństwem matki i nigdy niewypowiedzianą głośno dezaprobatą ojca. Teraz już wiedział, dlaczego. Siedząc w biurze Bassetta i opowiadając mu własną wersję „kurwa, człowieku, byłem tam”, rozumiał swego ojca. Jego ojciec żywił nadzieję wszystkich ojców na świecie - że dla ich synów i córek sprawy potoczą się lepiej, że świat stanie się lepszym miejscem, miejscem, w którym nic nie będzie trzeba rozumieć, ponieważ nie będzie tak strasznych rzeczy jak wojna. Ludzi, którzy opuszczają domy i jadą gdzieś daleko zabijać innych ludzi, trudno zrozumieć. Ojciec doskonale wiedział, że gdy Slight wstąpi do West Point, nadejdzie dzień, kiedy będzie musiał to wszystko zrozumieć. Perspektywa ta bardzo go przygnębiała, smuciła. Ogarniał go bezbrzeżny żal, że nie był w stanie zmienić świata na lepszy. Prawie znienawidził syna za jego decyzję wstąpienia do West Point. Świadomie lub nieświadomie; to nie miało już znaczenia. Fakt pozostawał faktem. Jego syn zrozumie. Stanie się jednym z nich. Slight oczyma duszy ujrzał swego ojca siedzącego na werandzie, palącego papierosa, pociągającego martini i odwróconego do syna plecami. Nie mógł - albo nie potrafił - spojrzeć synowi w twarz, gdyż był całkowicie bezradny.

Kiedy Slight skończył mówić, kapitan T. Clifford Bassett rozparł się na krześle, przesunął okulary na czubek nosa i wsunął obsadkę czarnego pióra do ust.

- No tak - mruknął. - Miałeś rację. Głębokie gówno. I robi się coraz głębsze. Na którą godzinę Hedges wyznaczył ci spotkanie?

- Na siedemnastą czterdzieści pięć.

- Dziesięć minut. W porządku. Twoja sytuacja z prawnego punktu widzenia, powtarzam: z prawnego, jest taka: masz wszelkie powody sądzić, że była to zbrodnia, ale nie wiesz o tym na pewno. A zatem nie masz prawnego obowiązku donieść o niej władzom. Rozumiesz?

- Tak, chyba tak.

- To dobrze. Moralnie. Zrobisz, jak zechcesz. Możesz postawić się Hedgesowi, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. Możesz też wziąć buzię na kłódkę. Moralność to otwarte pole. Możesz iść w każdym kierunku, jaki sobie wybierzesz. Ale teraz pomówmy jak klient z prawnikiem. Nie radzę ci mówić Hedgesowi nic ponad to, co będziesz musiał. Z tego, co mi powiedziałeś, Hedges nie zamierza ruszać tego kamienia. Na mój nos Hedges zrobi wszystko, by się ciebie pozbyć. Stanowisz zagrożenie.

- Zagrożenie?

- Tak, Slaughter. W sprawie Handa nie przeprowadzono dochodzenia w myśl artykułu trzydziestego drugiego. Na pewno znasz treść tego przepisu, bo przerabiałeś go podczas zajęć, które z wami prowadziłem - wojskowy odpowiednik sądu stanowiącego o oddaniu sprawy do decyzji sądu przysięgłych. Takie śledztwo ustaliłoby, czy dokonano przestępstwa, czy nie. Gdyby wszczęto procedurę zgodnie z artykułem trzydziestym drugim, wiedziałbym o tym. Takie raporty zawsze przechodzą przez wojskowe biuro śledcze. Nie skorzystano z artykułu trzydziestego drugiego, bo nie było przestępstwa. Pozostajesz tylko ty, Slaughter. Ty i twoja wiedza o wyniku sekcji zwłok. Hedges o tym nie wie?

- Nie. Wie tylko, że rozmawiałem z Consorem.

- To dobrze. I tak trzymaj. Następną sprawą. Na twoim miejscu podczas rozmowy z Hedgesem nie otwierałbym sideł. Ale nie zapominaj o jednym. Obowiązuje cię kodeks honorowy. Innymi słowy, kodeks honorowy stanowi w arsenale Hedgesa dodatkowe działo. Rób wszystko, by nie wycelował z niego w ciebie.

- Nie ma strachu, sir.

- Wiesz, do czego zmierzam. Jeśli zada ci jakieś pytanie, honor nakazuje ci odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą. Jeśli nie odpowiesz, oskarży cię o łamanie zasad kodeksu honorowego

i usunie z akademii, o co mu zapewne chodzi. Releguje cię. Natychmiast. A zatem odpowiadaj na jego pytania zgodnie z prawdą, ale nic ponadto. W miarę możliwości nie dopuść, by pytał cię o zbyt wiele. Nigdy nie widziałeś tego chłopaka w niebieskim ubraniu. Nie jestem pewien, czy powinienes się przy tym upierać. Slaight, moja rada: uważaj na każde słowo.

- Kapitanie Bassett, doceniam pańskie rady. Od tygodnia potrzebowałem takich właśnie rad. Ale muszę spytać pana o coś jeszcze. Co się, u kurwy nędzy, dzieje?

Bassett obrzucił Slaighta przeciągłym spojrzeniem.

- Panie Slaight, najlepiej będzie, jak ruszy pan do biura komendanta. Zostały panu... zaraz... cztery minuty.

- Ależ, sir, muszę wiedzieć. Co się naprawdę dzieje? Chcę to wiedzieć.

- Wstawaj, Slaight. I zmykaj. Zostały ci jeszcze tylko dwie minuty. Poczekam tu na ciebie. Kiedy wyjdiesz od komendanta, zajrzyj do mnie. Pogadamy. Chcę wiedzieć, co miał ci do powiedzenia.

Slaight zerwał się z krzesła, sięgnął po czapkę, wymamrotał podziękowania, opuścił pokój, minął korytarz, wszedł po schodach na parter, przeszedł Thayer Road i ruszył w stronę biura komendanta. Stary Bassett. Ale model! Nosa nie wystawia z tej swojej kanciapy, a o wszystkim wie i potrafi człowiekiem logicznie pokierować. Idź na spotkanie z komendantem. Stań tu, a tam nie stawaj. Uważaj, gdzie stawiasz nogi. Wszystko to jest takie logiczne. Jezu! Wstąp do West Point, a tam już napompują cię logiką, studiuj prawo, studiuj matematykę, studiuj matematykę wyższą, jeszcze wyższą matematykę, aż będziesz mieć w jednym palcu rachunek całkowity i równania różniczkowe, statystykę i rachunek prawdopodobieństwa, poznasz nauki stosowane i inżynierię... Nauczysz się logiki, a wtedy powiedzą ci: dostałeś do ręki klucz, więc z niego korzystaj. Czyń z niego użytek. Uwierz, logika to nauka. Logika to Odpowiedź. Logika leży u podstaw wszystkich tajemnic życia. Logika to religia. Zanurzasz się głęboko w matematykę, nauki stosowane, prawo, taktykę i resztę gówna, aż w końcu siedzisz po uszy w samej logice. Rozglądasz się i dostrzegasz wszystkie fakty, wszystkie

informacje, znasz sposoby, jak je filtrować, sposoby osobistego zdobywania informacji. Ale zawsze między tobą a logiką pozostaje pusta przestrzeń, powietrze... żadnej mapy, żadnych granic, żadnej krawędzi zdrowego rozsądku. Logika jest snem, jednym z tych szybkich snów, jakie nawiedzają człowieka podczas półgodzinnej drzemki, w ciągu tych trzydziestu minut upływa cały tydzień, lecz kiedy się budzisz, pamiętasz zaledwie ostatnie pięć minut tego tygodnia.

Slaight wbiegał po schodach po dwa stopnie do biura komendanta. Czapkę trzymał w lewym ręku, przy każdym kroku spodnie od munduru ocierały mu się o wilgotne łydki.

## 28.

Drzwi były otwarte.

- Slaight. Miło cię widzieć, młody człowieku. Wchodź.

Generał brygady Charles Sherrill Hedges siedział rozparty wygodnie za biurkiem i kiwał na Slaighta. Kadet przyjął postawę zasadniczą.

- Sir, zgodnie z rozkazem kadet Slaight melduje swe przybycie.

Hedges zasalutował i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

- Siadaj, siadaj. Cieszę się, że cię widzę. Jak minęły wakacje? Udane?

Generał zarechotał. Siedział na ustawionym bokiem do biurka krześle, skrzyżował nogi, ręce założył za głowę-Slaight usiadł na tym samym krześle co w czerwcu.

- Bardzo udane, sir. Wakacje miałem udane.

- Słyszałem, że w Leonard Wood odwaliliś kawał solidnej roboty. Kawał. Dowódca twego batalionu specjalnie do mnie zadzwonił, by o tym powiedzieć. W tamtej brygadzie byłeś jedynym kadetem na POA, czy tak?

- *Yessir!!!*
- Zrobiłeś na wszystkich wielkie wrażenie. Przyniosłeś zaszczyt korpusowi, Slaight. Zaszczyt. Dowódca batalionu, pułkownik jak-mu-tam...
- Perdue, sir.
- Właśnie, pułkownik Perdue. Powiedział, że przerobiłeś cały materiał z zakresu batalionu. Czy to prawda?
- *Yessir!!!*
- Ile to godzin? Mówił mi, ale zapomniałem.
- Siedemdziesiąt siedem, sir.
- Siedemdziesiąt siedem! W trzydzieści dni. Na Boga, Slaight, spisałeś się na medal. Imponujące, młody człowieku. Imponujące.

Hedges bujał się wraz z krzesłem w przód i w tył i spoglądał przez okno na plac apelowy. W sześć godzin po powrocie do akademii wezwał Slaighta tylko po to, by pogratulować mu postawy podczas szkolenia POA. Taki przyjacielski. Hedges był bardzo przyjacielski. Slaight czekał.

- Nie mam dziś zbyt dużo czasu. Za dwanaście minut muszę stawić się w gabinecie głównego inspektora. Wezwałem cię tu po to, by powiedzieć, że moja propozycja złożona w czerwcu wciąż jest aktualna. Batalion, Slaight. Twój własny batalion. Jesteś tym zainteresowany?

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, sir.
- Przypomnij sobie naszą rozmowę. Możesz zostać dowódcą batalionu, Slaight.
- *Yessir!!!* Pamiętam też, że rozmawialiśmy o tym, iż pod względem osiągnięć w nauce plasuję się w swojej klasie pośrodku, a w ogólnym wykazie ocen jestem w szóstej setce.
- Chrzańć wykaz ocen. Wykazałeś się dostatecznie podczas ćwiczeń POA w Leonard Wood. Wiesz o tym?
- Chyba tak, sir.
- Chyba tak! Odwalileś kawał dobrej roboty, wybitnej roboty, i dobrze o tym wiesz. Daj spokój, głowa do góry!
- *Yessir!!!*

Hedges przysunął się z krzesłem do biurka i położył ręce na blacie. Miał nieskazitelnie wymanikiurowane paznokcie - jasne lśniące półksiężycy na tle lekko opalonych palców.

- A zatem pozostaje jeszcze jedna sprawa do omówienia. Przypadkowe utonięcie kadeta Davida Handa.

Slaight popatrzył bacznie na Hedgesa. „Przypadkowe utonięcie”. Generał nie marnował czasu.

- Doszło do mnie, że wciąż interesujesz się tą sprawą. Czy tak?

- *Yessir!!!*

- Twoja opinia o utonięciu Handa... Nie zmieniła się od czasu, kiedy rozmawialiśmy o tym ostatnim razem?

- *Yessir!!!*

- A zatem uważasz, że było to morderstwo.

- *Yessir!!!*

- A czy... eee... podjąłeś jakieś kroki w tej sprawie?

- Kroki, sir?

- Oficjalne. Czy podjąłeś jakieś... jakieś oficjalne kroki?

- *Nosir!!!*

- *Czy* podejrzewasz kogoś konkretnego o popełnienie tego morderstwa? Wciąż uważasz, że oficjalna wersja tego wypadku jest... błędna?

- *Yessir!!!*

- *Yessir*, co?

- Mam własne zdanie, sir. Tak, sir, oficjalna wersja tego wypadku jest błędna. Ten człowiek został zabity.

Hedges zeszytniał. Przeciągnął kciukami po pasie, wygładził zmarszczki na koszuli i musnął skrzydełka odznaki jednostek powietrznodesantowych.

- Masz jakieś nazwiska, Slaight?

- *Yessir!!!*

- Ile?

- Sześć, sir.

- Twierdzisz, że zamordowało go sześć osób?

- *Nosir!!!*

- A więc o co chodzi?

- Sir, sądzę, że Davida zamordowała jedna z tych sześciu osób.

- Rozumiem.

W jednej chwili wszystko stało się jasne. Hedges podszedł go. Slaight tak bardzo uważał, na każde słowo i każdy krok, że zupełnie umknęło to jego uwadze. Hedges zachował się tak,

jakby podczas czerwcowej rozmowy Slaughter wyznał mu, że wie, iż Hand został zamordowany, a w rzeczywistości przyznał się tylko do rozmowy z Consorem. To Consor odkrył, że Hand został zabity. Nie była to opinia Slaughter, lecz Consora. Hedges podpuścił Slaughter. Teraz generał nie miał najmniejszych wątpliwości, że Slaughter jest przekonany o zamordowaniu Handa. Ale nie było odwrotu.

- Tych sześć nazwisk, Slaughter. Masz je przy sobie?
- *Yessir!!!*

Co robić? Było coś... co takiego powiedział Hedges? Coś logicznego. Myśl, do cholery ciężkiej! Myśl. Logicznie. Co mówił Hedges? Batalion... Hand... oficjalne kroki... to było to! Oficjalne kroki! Kurwa mać!

- Sir, czy mogę coś dodać?
- O co chodzi? Mów, tylko szybko. Za kilka minut muszę być u głównego inspektora.
- Sir, chciałbym złożyć oficjalny raport. Sir, jest pan komendantem kadetów. Jest pan komendantem, sir. Chcę zatem złożyć na pana ręce, sir, oficjalny raport. Podam nazwiska sześciu podejrzanym.

Wyciągnął z kieszeni spodni starannie złożony żółty formularz raportu, a następnie z kieszeni marynarki wyjął pióro. Zapiął kieszeń i zaczął wypisywać nazwiska na żółtym formularzu.

- Te nazwiska, sir, należą do kadetów lub absolwentów... Oficerów, sir. Mam wszelkie powody sądzić, że jedna z tych osób zamordowała Davida Handa.

Mówił, nie przestając pisać. Hedges wytrzeszczał na niego oczy. Skoro komendantowi mógł taki pomysł przyjść do głowy, mógł przyjść także Slaughterowi. Co było bardziej oczywiste, bardziej logiczne od złożenia oficjalnego raportu? Wykonywał wyłącznie swój obowiązek. To właśnie robił. Wykonywał obowiązek. Wręczył generałowi żółty formularz z wypisanymi sześcioma nazwiskami. Zerknął na zegarek. Siedemnasta pięćdziesiąt siedem. Zakładał, że Hedges jest umówiony z inspektorem na osiemnastą...

- Przyznaję... przyznaję, że jestem kompletnie zaskoczony - mruknął Hedges, odbierając papier.
- Pytał mnie pan, sir, czy złożyłem oficjalne doniesienie.



Nie, nie złożyłem. Robię to teraz. Sir, przekazuję panu te nazwiska. Sześć. Jeśli jest pan ciekaw, jak je zdobyłem...

- Panie Slaughter, muszę już iść...

- Jeśli jest pan ciekaw, jak zdobyłem te nazwiska, sir, powiem panu w kilku słowach. David Hand został zwerbowany. Zwerbował go jeden z tych sześciu ludzi podczas rekrutacji w Nowym Orleanie. I ten człowiek właśnie, jeśli moje przypuszczenia są słuszne, jest poszukiwaną przez pana osobą, sir.

Hedges powoli dźwignął się z krzesła. Stał chwilę, trzymając przed sobą papier, jakby był posmarowany trucizną. Slaughter również podniósł się z krzesła.

- Od tej chwili sprawa ta przechodzi w moje ręce. Czy to jasne?

Komendant spoglądał na Slaughtera płonąącym wzrokiem. Po raz pierwszy Slaughter widział w twarzy Hedgesa gniew. Prawdziwy gniew. Hedges był maksymalnie wkurzony i nawet nie próbował, nie miał na to czasu, tego ukrywać.

- Mam tych sześć przeklętych nazwisk. Od tej chwili ja będę zajmować się tą sprawą. Rozumiesz, co mówię, Slaughter? Najwyraźniej nie wzięłeś sobie do serca rady, jaką dałem ci w czerwcu. To już nie jest pańska sprawa. Czy wyrażam się jasno? To nie jest pańska sprawa. Dalej ja się nią zajmę. Jeśli dowiem się, że... - Hedgesowi zadrżały usta. - Jeśli dowiem się, że w dalszym ciągu grzebiesz w sprawie Handa, zrobię ci w dupie drugą dziurę. Rozumiesz?

- *Yessir!!!*

- I nie będziesz nawet wiedział, kiedy ci cegła spadnie na łeb, Slaughter. Rozumiesz?

- *Yessir!!!*

- A teraz odmelduj się i nie chcę już nic o tobie słyszeć. Pojmujesz? Ani jednego pieprzonego słowa.

- *Yessir!!!* Dobranoc, sir.

Slaughter zaszalutował i opuścił pokój. Hedges stał w bezruchu, ściskając w dłoni papier. Slaughter widział go w wielkim oknie jego gabinetu. Komendant i sześć nazwisk, które podał mu Slaughter. Niech to piekło pochłonie!

\*

Kiedy Slight zapukał do pokoju Bassetta, kapitan palił fajkę. Prawnik wskazał kadetowi metalowe biurowe krzesło, a kadet szczegółowo zrelacjonował mu przebieg spotkania z komendantem. Bassett chichotał i wypuszczał nosem obłoczki gryzącego dymu wielkości dziesięciocentówek. Slight opowiadał o tym, jak złożył „oficjalny raport”, o tym, jak Hedges stał w bezruchu z listą sześciu nazwisk i gapił się na papier... Jak bardzo był wkurzony. Bassett chichotał i kiwał głową. Następnie wyjął z ust fajkę i powiedział:

- Czy wie pan, panie Slight, jaką dam panu radę? Radzę panu jako pański prawnik zrobić dokładnie to, co powiedział komendant: oddać mu inicjatywę. Wypełniłeś swój obowiązek. Teraz przyczaj się. Nie daj mu najmniejszego powodu, by zwracał na ciebie uwagę... Żadnego powodu do przyczepienia się do ciebie. Radzę ci zniknąć z powierzchni ziemi.

Slight skinął głową, lecz nieustannie dręczyło go pytanie, na które wcześniej Bassett mu nie odpowiedział.

- Sir, gdy opowiedziałem panu tę historię, nie był pan szczególnie zaskoczony. Po prostu wszystko pan sobie zapisał. A teraz chcę wiedzieć, co się dokładnie dzieje. Ta afera doprowadza mnie do szaleństwa. Co się, do licha, dzieje w West Point? Czyżby akademia zamieniła się w siedlisko pedałów? Nie tylko Hand był tu zboczkim. Sam już nie wiem, co myśleć o tej historii...

- Panie Slight, jestem w akademii już dwa lata. W przeszłości miały tu miejsce przypadki...

Bassett pociągnął z fajki, po czym gumką na końcu ołówka ubił w niej tytoń.

- Jakie przypadki? Kiedy?

- Choćby w zeszłym roku. Pewnego dnia, już po capstrzyku, złapano *flagrante delicto* w Audytorium Północnym oficera i kadeta. Kadeta, na podstawie orzeczenia lekarskiego, usunięto z akademii. Nie wiem, co stało się z oficerem. Za homoseksualizm usunięto z West Point dwóch innych kadetów; obu na podstawie orzeczenia lekarskiego.

- Jezus! O niczym nie wiedziałem.

- Nie rozlepia się plakatów, ilekroć kogoś usuwa się z akademii.

- No tak, ma pan rację, sir.

- Ale jestem pewien, że słyszał pan o kadetach pedałach ekshibicjonistach....

- Słyszałem. Przed dwoma laty mieliśmy jednego w naszej kompanii. Nazwali go Duchem. Zanim go schwytano pod rampą prowadzącą na Nowy Południowy Plac, przez sześć miesięcy płatał się po okolicy bez gaci.

- No właśnie, Duch. Pamiętam tę sprawę. Jego również na mocy orzeczenia lekarskiego usunięto z akademii.

- Wszystkich ich usuwano na podstawie orzeczenia lekarskiego?

- Nie było wielkiego wyboru. Każdy inny tryb postępowania przy relegowaniu kadeta z West Point wymaga ogromnej pracy papierkowej. Oficjalne przesłuchania ciągną się w nieskończoność. Komisja lekarska natomiast uwija się ze wszystkim bardzo szybko. Po dwóch dniach ekshibicjonistę wyprowadza się za bramę i wsadza do autobusu.

- Chryste, nie wiedziałem o tym.

- Ale tak właśnie jest. A wracając do twego pytania. Nie wiem, Slaight, czy jest to „siedlisko” pedałów, czy nie... Moja żona przyjaźni się z żoną psychiatry z naszego szpitala. Mieszkamy obok siebie w Cornwall. Otóż żona psychiatry opowiedziała mojej żonie wiele ciekawych historii. Ten psychiatra oczywiście nie przyjmuje tutejszych oficerów. Mój Boże, wiesz, jak wyglądałoby to w kartotece! „Czwarty kwietnia. Major taki a taki odwiedził psychiatrę. Diagnoza: lekki rozstrój nerwowy. Zalecenia: pięć miligramów librium”. Wyobrażasz to sobie?

Bassett wybuchnął śmiechem.

- Wiem, w Pentagonie przepadają wręcz za czymś takim.

- Jasne. Komisja zatwierdzająca awanse miałyby to i owo do powiedzenia na temat recepty na librium. Oficerowie nie zgłaszają się do psychiatry, natomiast masowo chodzą do niego ich żony. Jego żona i moja przewalkowały nad filizanką kawy kwestię pod każdym możliwym kątem. Ujmijmy sprawę tak. W korpusie oficerskim West Point występują pewne anomalie. Moim zdaniem podobne problemy trapią kadrę oficerską w całym wojsku, ale atmosfera akademii je zaostrza. Głównymi problemami oficerów w West Point są alkoholizm i impotencja.

Z tego powodu wiele tutejszych żon jest bardzo nieszczęśliwych. Nie znam statystyki rozwodów. Nie sądzę jednak, by znacznie różniła się od statystyki jakiegokolwiek innej korporacji amerykańskiej, ale tutaj problemy te są całkowicie wyciszane. Do chwili aż dany oficer dochrapie się stopnia majora, po dziesięciu lub dwunastu latach służby, ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, to jakiegokolwiek zmarszczki na powierzchni stawu.

- Rozumiem, o co panu chodzi, sir.

- A teraz sprawa Davida Handa. Moim zdaniem to przypadek wyjątkowy. Jeśli wszystko, co mi powiedziałeś, jest prawdą, a co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości, Hand był postacią szczególną. Jeśli był aż tak inteligentny, jak twierdzisz...

- Bardzo inteligentny. Proszę mi wierzyć.

- Oczywiście. Skoro tak było, w grę mógł wchodzić szantaż. Jeśli nie szantaż, to paranoja. Człowiek, który zabił Handa, mógł obawiać się, że Hand go zdradzi. Hand, z tego co się orientuję, był facetem pobudliwym i porywczym, a więc człowiek ten czuł uzasadniony lęk. Jesteś tu już od trzech lat, prawda?

- Trzy lata. Długie cholerne trzy lata.

- A więc z pewnością zauważyłeś, że to miejsce, West Point, aż kipi od niewidocznych prądów lęku. Jest jak... paliwo. Ono napędza West Point, sprawia, że akademia funkcjonuje. Łatwo je dostrzec. Nigdy nie znika. I jest niewidoczne.

- Nigdy nie patrzyłem na to pod tym kątem, kapitanie. Jezu! Czy ma to również zastosowanie do mego oficera taktycznego, Grimshawa?

- Grimshawa? On jest twoim taktycznym?

- Właśnie. Kawał zimnego drania. Wezwał mnie dzisiejszego popołudnia do siebie i dobrał mi się do skóry, ponieważ komendant dowiedział się, że odbywałem karne marsze w maju, a major Consor, nasz lekarz, chciał dać mi zwolnienie lekarskie z powodu moich stóp. Były naprawdę w okropnym stanie.

- Nie rozumiem.

- Grimshaw ogłosił, że zwolnienia lekarskie nikogo z naszej

kompanii nie uchronią od marszów karnych. Zagroził, że jeśli ktoś przedstawi zaświadczenie lekarskie, podwoi mu karę. Musiałem więc chodzić... wszyscy musieli chodzić... bez względu na stan zdrowia. Jeden z nas odbywał marsze karne, mimo że miał ciężką gripę, gorączkę, rzygał i tak dalej. Śmieszne.

- Mylisz się, Slaughter. To przestępstwo.

- Można to i tak nazwać.

- Mówisz, że Grimshaw dobrał się dziś do ciebie?

- Kazał mi co tydzień zgłaszać się u lekarza. Poleciał, bym przed co sobotnią poranną inspekcją kładł na łóżku teczkę z zaświadczeniem lekarskim. Mam ją podpisać „Raport o stanie zdrowia kadeta Slaughter”. Chryste! On naprawdę chce mi się dobrać do tyłka. Zrobi wszystko, bym wrócił na plac apelowy.

- Powiem coś panu, Slaughter. Rozkaz majora Grimshawa stanowi pogwałcenie regulaminu. Żaden dowódca nie ma prawa upokarzać podwładnego za to, że udał się do lekarza. Klauzula w serii sześćset-kreska-dwieście istnieje od czasów drugiej wojny światowej, od sprawy Pattona. Jeśli chcesz, znajdę ją.

- Wierzę panu na słowo, sir.

- Tak czy owak, klauzula zabrania takich praktyk. Masz całkowite prawo zignorować polecenie Grimshawa. Twego oficera taktycznego obserwuję już od pewnego czasu. Moim zdaniem tym razem zamierza posunąć się za daleko.

- Co pan ma na myśli, sir, mówiąc „tym razem”?

- W zeszłym roku zgłosił się do nas z waszej kompanii chłopak. Chodziło o poradę prawną w sprawie rachunku bankowego. Komputer bankowy wyliczył, że klient przekroczył stan konta. Maszyna powieliła błąd w kilkuset kolumnach i wykazała gigantyczny debet. Grimshaw spisał chłopaka i dał mu piętnaście i dwadzieścia. Chłopak napisał raport wyjaśniający, a następnie podanie o rewizję wyroku, z dołączoną książeczką czekową, z której nie wynikało wcale, by miał na koncie debet. Grimshaw zupełnie zignorował raport i chłopak przechodził piętnaście i dwadzieścia. Niebawem otrzymał z banku list z przeprosinami za błąd. Ale chłopak wychodził już swoje godziny. Pojawił się więc u nas, u mnie, dokładnie mówiąc,

by dowiedzieć się, czy można coś zrobić, by odwołano piętnaście nagan. Pomogłem mu napisać nowe podanie z prośbą o ponowne rozpatrzenie wyroku i dołączyłem do niego list z banku. Nie trzeba było długo czekać. Grimshaw wezwał chłopaka do swego biura i zagroził, że jeśli uda się ze swoim podaniem wyżej, to już on się nim osobiście zajmie. Kadet był przerażony. Chciałem włączyć się w tę sprawę, lecz on zanadto się bał. Gdybym wiedział o tej historii ze zwolnieniami lekarskimi i odmawianiu ludziom należnej im opieki medycznej, osobiście wystąpiłbym z oskarżeniem.

- A co ja powinienem zrobić? Jeśli nie wykonam jego rozkazu, co stanie się ze strategią „przyczajenia się”, którą mi pan doradza? Przecież wtedy dopiero się zacznie.

- No właśnie. Posłuchaj. Przygotuj teczkę, tak jak ci kazał. Jeśli będziesz czuł się źle, idź do doktora. Jeśli nie, to nie i wtedy doteczki niczego nie wkładaj. Zobaczmy, co Grimshaw zrobi. Jeśli coś ci na ten temat powie, natychmiast mnie o tym zawiadom. Pogrzebię w regulaminach, a następnie osobiście złożę mu wizytę. Już teraz mam na niego dosyć materiałów i mogę skurczybykowi zdrowo dobrać się do skóry. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Te dranie z wydziału taktycznego uważają się za... bogów. No, no, rozjuszył mnie pan.

Bassett wytrząsnął z fajki popiół i zaczął ją nabijać ponownie.

- Sir, podejrzewam, że istnieje jakiś związek między Hedgesem a Grimshawem - odezwał się Slight. - W czerwcu Hedges oświadczył mi, że z powodu karnego marszu i moich stóp zamierza usunąć Grimshawa, a kiedy dziś wróciłem, oficer taktyczny był nadal wielki jak samo pieprzone życie.

- Nie obchodzi mnie to. Grimshaw może otrzymywać tajne informacje nawet od samego prezydenta. Prawo to prawo, i nadszedł czas, by zaczęto je tu respektować.

- Killkakrotnie sam się nad tym zastanawiałem. Na przykład nie powinno być obowiązku uczęszczania na nabożeństwa do kaplicy. Jezu! Czy wie pan, co Hedges powiedział w tamtym roku? Pewnego popołudnia, gdy miał przemowę do naszego

pułku, kolega zapytał go właśnie o kaplicę. Hedges odparł... mogę jego słowa przytoczyć dosłownie: „Jeśli odwołamy obowiązek kaplicy, to w następnej kolejności pozwolą zapisywać się do nas kobietom. Potem pozwolą kadetom wchodzić w związki małżeńskie. I co nam wtedy zostanie? Nie będzie to już West Point, tylko cholerny uniwersytet”.

Bassett zapalił fajkę i roześmiał się.

- Nigdy nie uważałem Hedgesa za tępaka - wyjaśnił. - Ma rację. Tradycja to jak lina rozpięta nad ziemią. Im bardziej ją napinasz, tym trudniej po niej iść. West Point balansuje na takiej właśnie linie. A lina jest coraz bardziej naciągana. Pewnego dnia, Slaight, miejsce to ulegnie radykalnej zmianie. Ani ciebie, ani mnie już tu nie będzie, ale zmiana ta nastąpi jeszcze za naszego życia. Masz to jak w banku.

Bassett wstał, wsunął bez ładu i składu papiery do starej skórzanej teczki.

- Muszę zmykać do domu. Żona znów będzie ciosać mi kołki na głowie. Pozostaniemy w kontakcie, Slaight. Powiadam mnie, jak układają się sprawy z Grimshawem. I pamiętaj, co ci mówiłem. Dobrze się rozglądaj i przyczaj się. Nie zrób jakiegoś głupstwa, nie pij w koszarach, nie spóźniaj się na zajęcia ani zbiórki. Nie daj im najmniejszych powodów do nagany. Teraz piłka jest w rękach Hedgesa. Zobaczmy, jak nią zagra.

- *Yessir!!!*

- Przestań mi *sirować*. Nazywam się Clifford. A w pierwszym tygodniu września zapraszam cię do siebie na kolację. Możesz zabrać ze sobą któregoś z chłopaków z kompanii - Zgoda?

- Jasne. Bardzo się cieszę.

- A zatem do zobaczenia.

- Dziękuję, kapitanie. Znów postawił mnie pan mocno na nogi. Ostatnio miałem bardzo niepewny chód.

Razem weszli na parter. Bassett skręcił na północ, w stronę znajdującego się za boiskiem baseballowym parking. Slaight skierował się na zachód, minął bibliotekę i dotarł do koszar.

Tego wieczoru w kompanii D-3 osobiście pojawił się Grimshaw. Kwadrans po dwudziestej drugiej zapukał do pokoju dwieście dwadzieścia sześć. Slaight i John Lugar wyprężyli się na baczność. Grimshaw przeszedł przez pokój, dokładnie się wszystkiemu przyglądając. Zatrzymał się dopiero przy umywalce. Wyjął z kieszeni notes, coś w nim zapisał, następnie wyrwał kartkę i położył ją na stoliku obok. Odwrócił się w stronę Slaighta.

- Jutro rano wręczysz tę kartkę wraz z księgą raportów dowódcy kompanii.

Grimshaw opuścił pokój. Slaight podszedł do stolika i sięgnął po karteluszek.

SLAIGHT, RYSAM PARKER III                      Komp. D-3

W pokoju bałagan, tj.: zakurzone podłogi, niechlujnie posłane łóżka, nieład na biurkach, mundury pogniecione, kurz na regałach, brudna umywalka.

Grimshaw, N.E.  
Maj/Inf  
Tak/D-3

Slaight rozpoczął ostatni rok studiów.

## 29.

Tak działa się zawsze. Buch. Jesteś z powrotem. Z powrotem w West Point. Wróciłeś do Życia. Akademia nigdy nie popuszczała. Cios. Kontra. Cios. Kontra. Śmiejesz się, poklepujesz kumpli po plecach, żartujesz, włóczysz się po korytarzach, strzelasz z mokrych ręczników w łazience, wszyscy zachowują się jak drużyna footballowa z gimnazjum podczas meczu wyjazdowego, ale akademia nigdy nie popuszczała. Nigdy. West



Point nie pozwoli ci zapomnieć, że byłeś pierdołą. Fasolarzem. Bęcwałem. Tępakiem. Otaczali cię nowi fasolarze, nowe pierdoły, nowe bęcwały, nowe tępaki. West Point nigdy nie pozwoli ci zapomnieć o przeszłości, ponieważ przeszłość była tobą.

Slaight, Buck, Lugar i reszta chłopaków z D-3 otrząsali się z niej. Na ostatnim roku studiów bzdury takie w osobliwy sposób nabierały sensu. Nigdy się nie kończyły, nigdy nie popuszczały, ale i człowiek tak naprawdę wcale nie chciał, by się skończyły. Jeśli wszystko szło gładko, jeśli nic się nie chrzało, jeśli życie było proste, unieważniało to wszystko, co było dotąd. A wszystko, co było dotąd, było tobą.

Nastawienie... skoro ssalem ten gnój tak długo, jeszcze jeden rok mi nie zaszkodzi. Dlaczego nowi fasolarze nie mieliby również ssać tego gnoju?

Właśnie, dlaczego? Tradycja była bardzo miłą przynętą, więc łapali się na nią wszyscy.

Nastawienie miało mniej więcej taki sam sens jak wszystko inne w West Point, to znaczy tyle co nic. Odstawiałeś swoje torby i już wartości nowego świata stawały się twoimi wartościami. West Point był szary, więc i ty do czasu ukończenia szkoły byłeś szary. Szare twarze, szare włosy, szare mundury i szare koszary, opadające z drzew liście i zawodzący nad Hudsonem wiatr. Wiał nad wodą, uderzał w skały, przylegający do nich niczym gaz w suchym lodzie, docierał do akademii, zawodził nad szarym betonowym placem apelowym, wdzierał się przez kołnierz pod szarą wełnianą kurtkę, pod sprany szary podkoszulek, owiewał kadetów zszarzałych jak zeszyty i podręczniki, koc i kafelki podłogowe w twoim pokoju w koszarach, w łazienkach i pod prysznicami oraz marmurowe przepierzenia między kabinami klozetów... Szary wiatr wdzierał się przez okna i sprawiał, że powietrze, które wdychasz, również staje się szare i od niego szarzeją ci zęby... To właśnie budziło powszechne zdumienie. Chłopaki zastanawiali się, dlaczego nie dostają szarej pasty do zębów w szarych tubach; a wszystko *to* w szarych kosmetyczkach stojących na szarych półkach w szarych szafkach zawieszonych na szarych ścianach. Były to naturalnie żarty, ale jak wszystko w życiu cholernie prawdziwe.

John Lugar miał zwyczaj mawiać, że Lenny Bruce znalazłby dla siebie przeciwnika właśnie w West point. Jedyne akademie wojskowa Stanów Zjednoczonych mogłaby przyjąć jego ostrą jak brzytwa paranoję i nie odnieść przy tym najmniejszego szwanku. Lenny Bruce - mawiał John Lugar - mógłby z powodzeniem kluczyć Kościół katolicki, gdyż Kościół katolicki nie miał pojęcia, co należy zrobić. Ale West Point wiedziałby. Akademia posadziłaby go w audytorium wypełnionym po brzegi kadetami i pozwoliła, aby te szare, kamienne twarze pożarły go żywcem.

Chłopaki żażywali często kimek, czyli snu. Kimki były niczym kobiety. Kimek pożądało się chciwie i namiętnie. Człowiek pragnął snu równie łapczywie jak pieprzenia. Nigdy go nie było dosyć. W D-3 stworzono specjalny kod na określenie snu, którego tak codziennie pożądanego. Noc stanowiła zwykłą kimkę. A od rana: KPS - kimka po śniadaniu. KWP - kimka w przerwach między zajęciami. KPO - kimka przed obiadem. KP - kimka poobiednia. KPP - kimka po południu. KPK - kimka przed kolacją. KPW - kimka po wieczery. Chłopaki potrafili uczyć się lub rozmawiać do drugiej w nocy, a następnie w ciągu dnia nadrabiać w każdej wolnej chwili zaległości w śnie. Walili się na prycze i potrafili drzemać zaledwie minutę lub dwie. Istniały różne rodzaje kimek. Głęboka kimka. Wyjątkowo głęboka kimka. I najgłębsza, określana nazwą kimki samobójczej; sen tak głęboki, że kiedy chłopak budził się, z nosa leciała mu krew. Nikt nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska. Nikt nawet nie próbował go wyjaśniać. Brało się po prostu ręcznik, moczyło w zimnej wodzie i krew szybko przestawała płynąć. John Lugar nazywał to napalaniem się ciała.

„Ej, Leroy, twój mózg dostał orgazmu” - mawiał, gdy Buck budził się z krwawiącym nosem.

„Pocałuj się w dupę, Lugar” - odpowiadał Buck i wycierał twarz mokrym ręcznikiem.

Slaight rechotał. Wszyscy rechotali. Krew była wszędzie: na poduszce, na podłodze, w umywalce, na stole i na podkoszulku... Wszyscy rechotali. To samobójcza kimka. Tak już było.

Wrzesień się skończył. Chłopaki na dobre zainstalowali się w akademii.

Nadszedł październik. Grimshaw trzymał się na uboczu. Z dowództwa brygady nadeszły rozkazy, by taktyczni pozwolili większością spraw zajmować się kadetom z najwyższego roku. Grimshaw nie pojawiał się nawet podczas porannych inspekcji w soboty. Raporty Slaughta o stanie zdrowia leżały w teczce nietknięte. Weekendy Ry spędzał z chłopakami na pijaństwie u „Snuffy'ego” lub w „Ideal Nitę Club” w pobliskim miasteczku Newburgh. Był to countryandwesternowy bar, gdzie można było potańczyć i napić się piwa po dwadzieścia pięć centów za flaszkę. Czasami jechali aż do Nowego Jorku, wałęsali się po mieście, pili, spędzali długie godziny w nędznych hotelikach z przygodnymi dziewczynami, a w niedzielę wieczorem pojawiali się na apelu w West Point, woniejący piwskim i cipami. Byli najwyższym rocznikiem. Byli kimś.

Większość wolnego czasu Slaughter spędzał z Irit Dov. W akademii siedział cicho jak mysz pod miotłą. Wprawdzie niezbyt mu to odpowiadało, lecz innego wyjścia nie miał; alternatywą były marsze karne na placu. Co tydzień spotykał się z Bassettem. Czy wydarzyło się coś nowego? Nic. To dobrze. Bacznie się rozglądaj. Minął kolejny tydzień, przeleciał jak wiatr nad Hudsonem, zimny jak zima i wdzierający się do budynków akademii. West Point był jedynym miejscem na ziemi, gdzie człowiek mógł widzieć temperaturę. Kiedy wyglądało się przez okno, widać było na końcu placu maszt, a na nim niewielką flagę; była to „flaga mundurowa” na dany dzień. Mówiła, jaki należy nałożyć mundur i czapkę. Mała flaga wskazywała, kiedy należy nałożyć płaszcz przeciwdeszczowy. Jeśli nawet na dworzec lało, a mała chorągiewka nie mówiła: „nałożyć płaszcz przeciwdeszczowy”, nikt nie nakładał tego okrycia. Kadeci ubierali się w to, co nakazywała flaga, i nie zadawali zbędnych pytań. Każdy wiedział, jaki los czeka kogoś, kto zacznie zadawać pytania lub nie zastosuje się do wskazań małej flagi. Zajmował się nim osobiście Dwa-Kreska-Hedges. Zapisywał chłopaka za niezastosowanie się do wskazań flagi i delikwent miał dwa miesiące z głowy. Deszcz czy susza, chłód czy skwar, należało robić to, co nakazywała flaga mundurowa. W przeciwnym razie płaciło się wysoką cenę. Tak już było.

Pewnego ranka, o dziesiątej trzydzięci, kiedy Slight wrócił do swego pokoju po dwóch pierwszych wykładach, zastał na drzwiach przyklepioną plastrem kartkę. Umieścił ją tam dyżurny. Slight miał zameldować się u Grimshawa, natychmiast. Był dwudziesty pierwszy października, od początku roku upłynęło siedem tygodni. Slight wypucował buty i kłamrę od pasa, poprawił krawat, zerknął przez okno na flagę mundurową, nałożył dodatkowy, przepisowy ekwipunek, przejrzał się w lustrze i ruszył do budynku siedemset dwadzieścia. Wezwanie kompletnie go zaskoczyło. Slight był zaintrygowany. Jakiego znów królika Grimshaw wyciągnie z kapelusza? Przecież nic się nie wydarzyło. Nic. Kierowany impulsem, zatrzymał się w kancelarii kompanii i zadzwonił do Bassetta z wiadomością, że wzywa go oficer taktyczny. Prawnik polecił, by po spotkaniu z Grimshawem niezwłocznie zameldował się w jego biurze. Slight opuścił koszary i wszedł do budynku siedemset dwadzieścia. Zapukał do drzwi oficera taktycznego. Dobiegł go znajomy głos: „Wejść!”. Grimshaw rozmawiał przez telefon. Major przez telefon rozmawiał tak, jakby używał krótkofalówki: zrozumiano to... zrozumiano tamto... Koniec. Szóstka wyłącza się. „Szóstka” w żargonie radiowym oznaczała komendanta. Grimshaw odłożył słuchawkę, przyjął zgłoszenie się Slighta, oddał salut, po czym wskazał krzesło. Slight posłusznie usiadł. Oficer taktyczny szeroko się uśmiechnął.

- Moja kobitka - oświadczył, wskazując aparat telefoniczny.  
- Najrozkoszniejsza po tej stronie Hudsonu. Wzywa mnie do domu na lunch.

Grimshaw, szczerząc zęby, nieustannie wskazywał na telefon.

Szóstka... zrozumiano... Jezu! Slightowi przeszedł po kręgosłupie zimny dreszcz. Tępy major szczebiotał ze swoją starą przez telefon, a on stał obok i słuchał tych bzdur, jakby było to coś normalnego, logicznego. Jakby każdy cholerny major gadał w taki sam sposób przez telefon z własną żoną. Slight wiedział - za chwilę popłynie mu na głowę gówno. Po prostu wiedział.

- Panie Slight, czy wie pan, dlaczego cię dziś wezwałem?

- *Nosir!!*.
- Otóż chcę pana poinformować, że wszczęliśmy przeciw panu postępowanie na podstawie pańskiego arkusza postawy żołnierskiej.
- Postępowanie na podstawie arkusza postawy żołnierskiej?
- Właśnie. - Grimshaw wziął do ręki świetnie znaną Slaightowi teczkę. Akta postawy żołnierskiej Slaighta. - Jesteśmy w trakcie... eee... przygotowywania dokumentacji na... eee... zebranie rady, która zamierza zająć się pańskim przypadkiem.
- Kiedy będę mógł zapoznać się z tą dokumentacją, sir?
- Nigdy.
- A kiedy zbierze się rada?
- Zostanie pan o tym poinformowany w stosownym czasie. Jeszcze jakieś pytania?
- *Yessir!!!* Czy zna pan moją pozycję w klasie pod względem postawy żołnierskiej?
- Nie znam. Wiem tylko, że w pańskiej sprawie ma zebrać się rada i zapoznać się z pana przypadkiem.
- A zatem skoro pan nie wie, sir, wyjaśnię, że plasuję się pod koniec pierwszej pięćdziesiątki. Mam w związku z tym pytanie. Skoro w mojej sprawie ma zebrać się rada, co będzie z drugą pięćdziesiątką kadetów z mojej klasy? Co z nimi? Chce pan zwołać kilka rad?
- Niech pan nie będzie taki rezolutny. Zajmie mi chwilę, by doprowadzić pana do porządku.
- Nie jestem rezolutny, sir. Zadałem tylko istotne pytanie.
- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania, Slaight. Na żadne. I tak zadaje pan zbyt dużo pytań. Za dużo, by wyszło to panu na zdrowie. Zrozumiano?
- *Yessir!!!*
- To dobrze, porozmawiajmy teraz o raporcie o stanie zdrowia kadeta Slaighta. Od początku roku akademickiego upłynęło siedem tygodni. Zgadza się?
- *Yessir!!!*
- A w pańskiej teczce, którą w każdą sobotę kładł pan na swoim łóżku, nie ma ani jednego zgłoszenia do lekarza. Zgadza się?

- *Yessir!!!*
- A zatem nie wykonał pan mego polecenia, Slaughter.
- *Nosir!!!*
- A więc jak wyjaśni pan fakt, że teczka jest pusta?
- Nie zgłaszałem się do izby chorych, bo byłem zdrowy.
- Dałem panu dokładne instrukcje. Poleciałem panu co tydzień zgłaszać się do lekarza i przedstawiać mi jego zaświadczenia.

- Powiedział pan, sir, że mam robić to, co moim zdaniem będzie dla mnie najlepsze. Nie zachorowałem, a więc nie chodziłem do lekarza. Wiem, co jest dla mnie najlepsze. Postępowałem dokładnie wedle pańskich instrukcji, sir. Robiłem to, co moim zdaniem jest dla mnie najlepsze.

- Proszę pana, jest pan bliski niesubordynacji.

- Sir, dyskutuję z panem kwestię, która zostanie podniesiona na radzie, i to rada zadecyduje, czy pozostanę w dalszym ciągu kadetem w West Point, czy nie. Rada nie ma prawa nagradzać kadetów za wzorowe zachowanie. Nie jestem niesubordynowany, sir. Chcę po prostu wyjaśnić pewne fakty.

- Fakty są oczywiste, proszę pana. I wszystkie znajdują się w tej teczce.

- Kiedy będę mógł się z nimi zapoznać, sir?

- Nigdy. Dowiesz się o nich od rady.

- *Yessir!!!*

- A teraz wynoś się do koszar. Gdybym był na pana miejscu, pierwszą rzeczą, jaką bym zrobił jutro z rana, to zgłosił się do izby chorych.

- Sir?

- Słucham.

- Nie zgłoszę się do izby chorych. Miłego dnia, sir.

Slaughter zasalutował i opuścił pokój.

Wszedł do znajdującego się w końcu korytarza sekretariatu i poprosił rezydującą tam urzędniczkę o pozwolenie na skorzystanie z telefonu. Wykręcił numer Bassetta.

- Tu Slaughter. Zaczęło się. Właśnie się zaczęło.

- Co się zaczęło? Spokojnie, człowieku. Co się dzieje?

- Czy będzie pan jeszcze jakiś czas u siebie?

- Tak. Do lunchu.

- A więc już lecę do pana, sir. Lepiej będzie, jak porozmawiamy.

- Doskonale. Zabiorę cię na lunch do klubu oficerskiego.

- Nie jestem pewien, czy ponowi pan to zaproszenie, gdy dowie się, co mam do zakomunikowania.

- Daj spokój, Slaughter. Czeka nas dobra zabawa.

- Jasne. Do zobaczenia.

Slaughter szybko wrócił do koszar, wpadł do pokoju Leroya Bucka i przekazał mu najświeższe wieści.

- Slaughter, a to widziałeś?

Podał koledze papier. Była to lista kadetów zwolnionych w następnym tygodniu na trzy dni z zajęć, by mogli wziąć udział w konferencji studentów na temat spraw Stanów Zjednoczonych. Spotkania takie akademia organizowała rokrocznie. Pojawiali się na nich studenci z dwustu wyższych uczelni z całego kraju. Przez ostatnie trzy lata Slaughter należał do komitetu organizacyjnego konferencji - komitet zajmował się sprawami administracyjnymi, technicznymi i organizacją spotkania cztery studentów i około setki kadetów, którzy w grupach dyskusyjnych mieli przez trzy dni zastanawiać się nad „sprawami świata”. Tego roku, 1968, kiedy do głosu doszedł SDS - Studenci dla Społeczeństwa Demokratycznego\* - spodziewano się masowego najazdu studentów. Konferencja zapowiadała się niezwykle interesująco. Jej sponsorem i patronem miał zostać w tym roku „Times”. Slaughter uważnie przestudiował listę. Szukał członków komitetu organizacyjnego, na którego czele stał. Nazwiska Slaughter na liście nie było.

\* Students for a Democratic Society - radykalne organizacje studenckie, powstałe w 1962 roku (przyp. tłum.).

- Co jest, u kurwy nędzy?

- Wierzysz w te banialuki? - zapytał Buck.

- Gdzie, do licha, jest moje nazwisko?

- Dziesięć do jednego, że to robota Hedgesa. Dziesięć do jednego, Slaughter. Radzę ci, leć do wydziału nauk społecznych i zapytaj oficera sprawującego pieczę nad waszym komitetem, co jest, u kurwy nędzy, grane.

- Jasne!

Slaight wybiegł z pokoju, ponownie przekroczył Thayer Road i skierował się do biura oficera sprawującego opiekę nad komitetem. Nawet nie zapukał. Minął stanowisko sekretarki i zatrzymał się przed biurkiem majora. W lewym ręku trzymał listę kadetów zwolnionych z zajęć.

- Czy widział to pan, majorze?

Ciężko oddychał.

- Tak, widziałem.

- Czy zamierza pan coś w tej sprawie zrobić, sir? Chodzi mi o to, że nie wiem, w jaki sposób mam kierować komitetem organizacyjnym konferencji, skoro nie zostałem zwolniony z zajęć.

Major popatrzył na Slaighta.

- Proszę zamknąć drzwi. - Kiedy Slaight spełnił polecenie, oficer wskazał mu krzesło. - Proszę usiąść. Tak, wiem o tej liście, Slaight. I mogę tylko powiedzieć: przepraszam. I proszę nie naciskać na mnie, bym podejmował w tej sprawie jakiegokolwiek kroki. Proszę.

Slaight wbił wzrok w twarz majora.

- To aż taka afera, sir?

- Proszę też o nic mnie nie pytać, Slaight. Tylko tyle mogę powiedzieć.

- Chcę pana zapytać o jedno. Tylko o jedno. Nie musi mi pan odpowiadać słownie. Jeśli ktoś mnie spyta, z czystym sumieniem odpowiem, że nic mi pan nie mówił. Wszystko, co musi pan zrobić, to potakująco skinąć głową lub pokręcić przecząco. Chcę wiedzieć jedno, majorze. Jeden drobiazg. Kto za tym stoi? Za tym, że nie ma mnie na liście. Grimshaw?

Major potrząsnął głową.

- Hedges?

Major skinął głową. Tak. Slaight siedział w bezruchu i gapił się na oficera.

- Panie Slaight, proszę. Proszę o nic nie pytać. Mam żonę i dzieci. Moja kariera...

- *Yessir!!!* Rozumiem. Komitet, sir. Mam dobrą „krowę” na zastępcę. Przyślę go do pana po południu. A teraz muszę już iść.

Slaight pobiegł najszybciej, jak umiał, do wydziału prawniczego



i wszedł do pokoju czterysta osiem. Bassett przesunął piętrzące się przed nim na biurku papiery.

- I co?

- Zaczęło się. Dzisiejszego ranka. Wszystko ruszyło jak lawina. Wezwał mnie Grimshaw. Zwołują w sprawie mojej postawy żołnierskiej radę. Zapytałem, dlaczego. Nie odpowiedział. Zapytałem, czy mogę zajrzeć w papiery. Nie pokazał mi ich. Zgromił mnie tylko za to, że nie miałem w sobotnie poranki w teczce zaświadczeń od lekarza. Wróciłem do koszar. Tam znalazłem listę kadetów zwolnionych z zajęć na konferencję studencką. Jestem przewodniczącym komitetu organizacyjnego, który zajmuje się kwestiami administracyjnymi tej imprezy. Moje nazwisko na liście nie figuruje. Wracam właśnie od oficera sprawującego pieczę nad moim komitetem. Spytałem go, kto za tym stoi. Był straszliwie patetyczny. Gadał o rodzinie, dzieciach, karierze... Jezu! Nie powiedział nic, ale skłoniłem go, by pokiwał potakująco lub pokręcił przecząco głową, gdy będę wymieniał nazwiska. Chodzi o Hedgesa. Kapitanie, wydaje mi się, że gówno zaczęło płynąć. I to ze wszystkich stron.

- Uspokój się, Slaight. Uspokój. Nie masz powodów do obaw. Jeszcze nie. Pozwól mi się zastanowić. Listą kadetów zwolnionych na konferencję nie będziemy się zajmować. To tylko taki policzek dla ciebie, w dodatku głupi. Moim zdaniem on tylko się zdradził, i to zdradził przedwcześnie. Inna sprawa z radą do spraw postawy żołnierskiej. Czy Grimshaw powiedział, kiedy ma się zebrać?

- Powiedział, że dowiem się w stosownym czasie. To wszystko.

- Wyśmienicie. Wyśmienicie. Grimshaw to jedynie szczelina w drzwiach. Przepisy wymagają, by wszelkie działania rady zaczynać od oficera taktycznego. A to znaczy, że sprawa dopiero się rodzi. Pamiętaj o jednym. Oni sądzą, że czas gra na ich korzyść. Chcą cię potrzymać w niepewności. W napięciu. Uwielbiają takie zabawy. A my, gdy oni będą myśleli, że trwasz w zawieszeniu, zewrzymy szeregi. Dobrze wykorzystamy ten czas. Za pośrednictwem bliskiego znajomego z wydziału psychologii wojskowej i przywództwa będę trzymać rękę na pulsie w sprawie rady. Oficerowie z tego właśnie wydziału zasiadają

w radzie. A tymczasem zastosujemy taktykę gry na zwłokę. Na przykład podanie o zezwolenie, by podczas obrad rady reprezentował cię rzecznik twoich interesów. Mam jednego. Zanim się tobą zajmą, będą musieli zasięgnąć opinii w wojskowym biurze śledczym. Zajmie im co najmniej tydzień, zanim ją stąd wydobędą. Osobiście tego dopatrzę. Później możemy złożyć podanie o powołanie świadków. Po kolei. Dzień po dniu. Mamy bardzo dużo czasu, Slaight. Tym się nie przejmuj.

- Nie martwię się, sir. Boję się tej przekłetej rady. Widziałem, jak ona działa. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym w podobnej sprawie mój kumpel wezwał mnie na świadka. Zadali mi kilka pytań, później on wezwał kilku innych świadków, i to wszystko. Następnego dnia wyładował na oddziale pensjonariuszy.

- Wiem, znam te sprawy. Nie jest to twój paradygmat praw proceduralnych. Ale tym się nie trap. Wiemy, co kryje się za tą sprawą. Morderstwo Davida Handa. Slaight, masz w rękę bardzo mocne karty. Jedynym naszym problemem jest to, kiedy i w jakiej kolejności je rozegramy. Gotowy do lunchu? Myślę, że tym patafianom z wydziału taktycznego dobrze zrobi, gdy zobaczą cię w moim towarzystwie. Niech wiedzą, jak sprawy stoją. Prawda?

- Chyba tak - odparł z uśmiechem Slaight.

Lunch zjedli w klubie oficerskim. Slaight zamówił sobie kanapki ze stekiem. Grimshaw siedzący przy stoliku w drugim końcu sali obserwował, jak Slaight dokładnie przeżuwa każdy kęs. Jego żona nie doczekała się męża na lunchu.

## 30.

- Ry, co się z tobą dzieje? O co chodzi? Coś jest nie tak?

Irit była wyraźnie zła i jej napastliwy ton w słuchawce wytrącił Slaighta z równowagi. Telefon odebrał w kancelarii

kompanii. Był czwartkowy wieczór dwudziestego czwartego października, godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. Od chwili gdy dowiedział się o zwołaniu rady, upłynęły trzy dni. Nie chciał niepotrzebnie martwić Irit i nie wspominał jej o tym słowem. Bassett najwyraźniej wszystko trzymał pod kontrolą. Wystosowane przez niego żądanie Slaighta, domagającego się w radzie rzecznika swych praw, wywołało wiele zamieszania.

- Irit, co się stało? Dlaczego dzwoniisz o tej porze? Już po capstrzyku.

- Chcę wiedzieć, co się święci. Istnieje coś, o czym mi nie powiedziałaś. Dzieje się coś niedobrego.

- Niedobrego?

- Jestem śledzona, Ry. Od kilku dni.

- Śledzona? Przez kogo?

- Nie wiem. Po prostu ktoś mnie obserwuje.

- Irit, zadzwoń pod inny numer - poprosił Slaight i podał jej numer telefonu w pokoju Leroya.

Błyskawicznie wbiegł na piętro, wpadł do pokoju Bucka i padł na łóżko. Z adapteru płynęły ciche tony muzyki w wykonaniu Marty'ego Robbinsa. Buck mozolił się przy programie komputerowym, który zaprojektował, by przewidzieć wyniki wyborów prezydenckich na podstawie opinii kadetów. Buck zdążył już kilkanaście razy wszystko przeprogramowywać i miał teraz do dyspozycji głosy około siedmiuset pięćdziesięciu kadetów. Prowadził Nixon, drugi był Wallace, a tuż za nim Humphrey. Zadzwoił telefon i Slaight błyskawicznie podniósł słuchawkę.

- Irit?

- Ry?

- Jestem w pokoju Bucka. Tutaj możemy spokojnie porozmawiać. Powtórz mi wszystko powoli i dokładnie. Jesteś śledzona?

Buck odwrócił się i wytrzeszczył na Slaighta oczy.

- Tak, Ry. Jestem tego pewna. Śledzą mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę; obserwują mnie w sklepie, obserwują mój apartament. Nie chciałam do ciebie dzwonić, dopóki nie nabrałam całkowitej pewności.

- Nie nabrałaś pewności? Skąd? Czy to jakiś paranoidalny

bełkot „New Left”? Czuję się, jakbym gadał z... Makiem Rudem lub któryś z tych idiotów z Columbi. Daj spokój, Irit, bądź poważna. Rozmawiasz z bardzo zasadniczym Slaughtem.

Buck wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ry, nie żartuję - odparła Irit spokojnym i twardym jak stal głosem. Usłyszała śmiech Bucka i stłumiony chichot Slaughta. - Czy jesteś pewien, że twój telefon jest bezpieczny?

- Bezpieczny?

- Tak, bezpieczny. Czy jesteś pewien, że w twoim aparacie nie ma pluskwy?

- Jezu, Irit! Do tego jeszcze telefony na podsłuchu?

- Dzwonię do ciebie z domu dziadka. Jestem śledzona od trzech dni... może dłużej. Mniej więcej od tygodnia. Trudno mi powiedzieć. Dzisiaj mój dziadek skontaktował się z przyjaciółmi w izraelskim rządzie. To nie są ludzie z wywiadu izraelskiego. Dziadek mnie o tym zapewnił. Kiedyś już ci mówiłam, że w naszym kraju podobne sprawy traktujemy bardzo poważnie. Jesteśmy przyzwyczajeni do działalności wywiadowczej. Mam wielu przyjaciół, którzy są agentami izraelskimi... tutaj... wszędzie. Nieustannie żyjemy pod groźbą ataków terrorystycznych, więc działalność wywiadowcza jest dla nas chlebem powszednim. Obserwacja, podsłuchy telefoniczne... w moim kraju stykamy się z tym na co dzień. I teraz to samo dzieje się tutaj. Wiem o tym. Tutaj, w Ameryce, niejeden z moich izraelskich przyjaciół działających w świecie interesów jest agentem naszego wywiadu. Uwierz mi, Ry. Nie żartuję. Jestem śledzona, ale nie przez Izraelczyków. Ci ludzie to zawodowcy. Takie w każdym razie mam odczucie. I ma to jakiś związek z tobą.

Slaight opadł na poduszkę na łóżku Leroya Bucka. Znajdował się w stanie zbliżonym do katatonii. Irit mówiła bardzo poważnie. Pamiętał jej opowieści o izraelskim odpowiedniku amerykańskiej CIA - o tym, że sprawy takie są w Izraelu z konieczności traktowane jako rzecz zrozumiała sama przez się. Kiedyś w Nowym Jorku jadł kolację w towarzystwie Irit i jej znajomego Izraelczyka. Później, już w domu, wszczał z Irit

dyskusję na temat Środkowego Wschodu i nowinek ze świata biznesu - znajomy Irit był reporterem - i wtedy poinformowała go, że ów znajomy jest agentem służb specjalnych. Wysłano go do Nowego Jorku, by miał na oku arabski biznes w Stanach Zjednoczonych. „Pracuje dla Reutera na Wall Street, ma więc doskonale wejścia” - wyjaśniła Irit. Slight był zaintrygowany - a jednocześnie przerażony. Świadomość tego, że obcy agenci - te dwa słowa kojarzyły mu się z filmami Hitchcocka i tanimi powieściami w miękkiej oprawie - nieistotne, z jakiego kraju pochodzą, działają w Stanach Zjednoczonych, w jego ojczyźnie, wzbudziła w nim ogromny niepokój. Już sama idea szpiegostwa stała w sprzeczności z jego demokratyczno-konserwatywnymi poglądami. Pamiętał, że wszczął wówczas z Irit spór- „jakie mają prawo”, i tak dalej. Pamiętał, że wtedy z całą wyrazistością pojął, iż ona nie mówi o prawach, tylko o tym, co trzeba robić, żeby przetrwać.

Temat agentów wywiadu wrócił, ale byli to Amerykanie i w dodatku śledzili ją z jego powodu. Jezu!

- Irit... Nie wiem, co powiedzieć - wybąkał.

- Nic nie musisz mówić. Po prostu odpowiedz mi na moje pytanie. Czy dzieje się coś niedobrego, coś, o czym mi nie powiedziałeś?

- Tak.

- Jesteś pewien, że twój telefon jest bezpieczny, że nie jest na podsłuchu?

- To nie ma znaczenia, Irit. Sprawa jest jawna. Chciałem ci o wszystkim powiedzieć podczas weekendu, żeby nie zepsuć ci całego tygodnia. Tak, mam kłopoty. Wielkie kłopoty. Niebawem wytoczą mi sprawę przed radą do spraw postawy żołnierskiej. Nie wiem dokładnie, kiedy. Poza tym taktyczny znów robi mi koło pióra. Coś się dzieje, a zaczęło się w poniedziałek.

- Wtedy właśnie ich zauważyłam. W poniedziałek. Obserwowałam ich przez cały wtorek i środę. W środę wieczorem poszłam do dziadka i poprosiłam go, by skontaktował się ze swymi przyjaciółmi w Izraelu. Dziś wieczorem otrzymaliśmy odpowiedź. To nie Izraelczycy mnie śledzą. Ry, kto za mną chodzi?

- Jezu, Irit, nie mam zielonego pojęcia! Nie wiem, dlaczego cię śledzą, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że w sprawie Davida Handa pojawiły się jakieś nowe okoliczności, które tłumaczyłyby fakt, że koniecznie chcą się mnie pozbyć z akademii. W takim razie tropią i ciebie w nadziei, że dokopią się w twoim życiu jakichś brudów, które następnie wykorzystają przeciwko mnie. Chryste! Bardzo wiele osób wie, że chodzę z cudzoziemką.

- Ry, nie znam powodów, ale wiem, że jestem śledzona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na trzy zmiany, które regularnie się zmieniają. Istnieje pewien schemat. Nie widziałam dwukrotnie tej samej twarzy w jednym miejscu. W Izraelu, kiedy już puszczają tropem człowieka agentów, oznacza to, że założyli podsłuch w jego telefonie. Dlatego nie będę do ciebie dzwonić ani ze sklepu, ani z domu.

- Do licha, to śmieszne. Nie robię przecież nic złego. Ty też nie. Nie mamy nic do ukrycia.

- To prawda, Ry, ale ty nie dałeś im niczego, co mogliby wykorzystać przeciw tobie. Nic.

- Do diabła! To gówno musi się skończyć. Jutro zaczyna się weekend, więc przyjadę do Nowego Jorku i osobiście obejrzę sobie tych drani. Ze wszystkich przedmiotów mam przeciętną dwa koma trzy, nawet trochę wyższą, więc wolno mi brać urlopy weekendowe w każdy piątkowy wieczór.

- Doskonale - odparła z niekłamana radością. Po chwili jednak znów zmarkotniała. - Ale co zamierzasz zrobić, panie Gruba Rybo? Sądziś, że tak po prostu do nich podejdiesz, a oni rozwiędą się w powietrzu... puuuuh... jak za sprawą magii? W Izraelu taka metoda nie skutkuje. Jestem pewna, że nie zadziała również tutaj.

- Daj mi czas do namysłu. Skontaktuję się z tobą przed wyjazdem.

- Ale nie przez telefon, Ry.

- Do cholery, zapomniałem. W porządku. Będziesz jutro po południu w sklepie?

- Tak, do osiemnastej.

- Dam ci znać, Irit. Tylko nie opuszczaj sklepu, zanim nie dotrze do ciebie wiadomość ode mnie.

- Dobrze, Ry... Ry? Chyba zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji?

- Jasne. Doskonale zdaję sobie sprawę.

Rozłączyli się i Slaight przekazał Leroyowi Buckowi najnowsze wieści.

- Kurczę, i co teraz zrobisz? - zafrasował się Buck.

- Leroy, masz ze wszystkich przedmiotów średnią dwa koma trzy?

- Mam.

- Podobnie jak Lugar. Czas, abyśmy we trójkę znów wybrali się, jak za dawnych czasów, do Nowego Jorku i jak za dawnych czasów zatrzymali się w Van Rensselaer.

- Cholera jasna, Slaight, czy myślisz o tym, o czym ja myślę?

- Nie wiem. Nie miałem dotąd czasu głębiej się nad wszystkim zastanowić. Wyślij któregoś fasolarza po Lugara.

Buck dwukrotnie uderzył pięścią w ścianę, przy której stało biurko, i w dwie sekundy później w progu stanął wyprężony na baczność i ubrany w szlafrok rekrut.

- Ruszaj do pokoju dwieście dwadzieścia sześć, obudź pana Lugara i powiedz mu, że koniecznie chcę się z nim widzieć - polecił Leroy Buck.

- *Yessir!!!*

Rekrut wykonał w tył zwrot i ruszył pędem do pokoju Slaighta. Buck podszedł do adapteru i nastawił płytę Tammy Wynette. Zanim piosenkarka doszła do litery „V” w słowie D-I-V-O-R-C-E w progu pojawił się zaspany John Lugar. Drapał się po ryżej czuprynie i zastanawiał, co się takiego wydarzyło, że jakiś cholerny rekrut wyrwał go ze snu i kazał iść do pierwszego sierżanta kompanii.

- Czy ta twoja dziewczyna, Josie Irene, wciąż jest reporterką w „Bergen Record”? - zapytał bez zbędnych wstępów Slaight.

- Tak, pracuje teraz w głównym biurze w mieście. Ma świetne układy.

Slaight poradził, by przenieśli się pod prysznicę, gdzie szum wody skutecznie zagłuszy rozmowę. Doszedł do wniosku, że paranoja kieruje się własną pokręconą logiką.

Niewiele czasu zajęło im ustalenie planu działania. Przekonany, że Irit nie myli się co do tego, iż jest śledzona - John Lugar zawsze pozostawał pod wielkim wrażeniem dziewczyny - uparł się, by opracować kilka planów alternatywnych. Z wielkiej kolekcji map Lugar wyciągnął najdokładniejszy plan Nowego Jorku.

- Są na nim zaznaczone uliczki jednokierunkowe i najmniejsze przejścia w Village - pochwalił się.

Wraz z Josie Severns często posługiwali się tym planem, by trafić do nędznych teatrzyków na Broadwayu.

Leroy Buck upierał się, że powinni wynająć samochód.

- Jeśli mamy dowiedzieć się, o co chodzi w tej pieprzonej aferze, musimy być mobilni - argumentował.

- Nieźle jak na wieśniaka - pochwalił ze śmiechem Lugar.

Cała trójka stała nago pod prysznicem. Z dwunastu pryszniców płynęły strugi gorącej wody, wypełniając pomieszczenie kłębamii pary. Żartowali, biegali po łazience z przemoczonym już planem Nowego Jorku, rozwalali się na drewnianych ławkach. Nie wiedzieli, kim byli agenci śledzący Irit... Czy nasłali ich wywiad, czy jakaś inna organizacja. Nie wiedzieli też, kogo szukać, gdyż Irit nie podała żadnych szczegółów, ale byli przekonani, że poradzą sobie. Do licha, spędzili wszak trzy i pół roku w akademii wojskowej i znają się na taktyce i strategii.

W piątkowe popołudnie dwudziestego piątego października dotarli do Nowego Jorku i zaparkowali samochód w odległości kilku przecznicy od mieszczącego się przy Madison Avenue butiku Irit. Slight wypatrzył na ulicy chłopaka, który za dwa dolary zgodził się przekazać Irit wiadomość: za dziesięć minut czekają na nią w barze naprzeciwko parkingu przy ulicy Siedemdziesiątej Ósmej.

Irit zjawiała się punktualnie.

Slight wyluszczył jej plan. Dziewczyna wróci do butiku i jak zwykle zajmie się swymi sprawami, aż do chwili zamknięcia sklepu. Kiedy już skończy pracę, nie pójdzie do swego mieszkania, lecz przejdzie się po Madison Avenue, następnie złapie taksówkę i robiąc wielki łuk wokół całej dzielnicy, wróci do baru przy Siedemdziesiątej Ósmej.



Irit wyjaśniła, że agenci ulokowali się w niewielkiej kafejce naprzeciwko jej butiku, jednej z ostatnich na Madison, która miała jeszcze fontannę. Ich chevrolet stał przy parkometrze, do którego wrzucili monety z opłatą za cały dzień postoj. Tego dnia był to chevrolet. Poprzedniego pojawili się fordem, a jeszcze poprzedniego buickiem. Nie są durniami. Nocą też stali pod jej domem. Z rana samochód już innej marki zatrzymał się naprzeciwko butiku. Pewnego wieczoru przeszła obok auta. W środku nie było nikogo, lecz czuła, że jest obserwowana. Gdzie śledzący ją ludzie przebywali, nie miała najmniejszego pojęcia.

- Dlatego właśnie wrócisz do baru okrężną drogą - wyjaśnił Lugar. - Naoglądałem się dość filmów szpiegowskich i wiem, że zawsze puszczają jednego agenta piechotą, a drugiego w samochodzie. Jeśli będziemy mieli szczęście... No cóż, okaże się w praniu.

Irit wróciła do sklepu. Za dziesięć osiemnasta Lugar i Slaughter ruszyli Madison. Buck wskoczył do wynajętego samochodu, minął róg i zatrzymał się w zatoczce parkingowej o jedną przecznice od kafejki.

O osiemnastej pięć Irit zamknęła sklep, włączyła alarmy przeciwwłamaniowe i dziarskim krokiem ruszyła Madison Avenue. Natychmiast po drugiej stronie ulicy ruszył za nią mężczyzna w czarnym prochowcu. Dwie przecznice dalej, na rogu Osiemdziesiątej Piątej, czekał Lugar. W dłoni trzymał niezapalony papierosa. Slaughter pozostał na rogu Osiemdziesiątej Pierwszej i Madison, przy sklepie z antykami, i obserwował oddalającą się Irit.

Dziewczyna dotarła do skrzyżowania z Osiemdziesiątą Piątą. Przystanęła, po czym przeszła jeszcze kawałek i zatrzymała się nieopodal przystanku autobusowego. Gdy do Osiemdziesiątej Piątej dotarł również mężczyzna w czarnym prochowcu, zaczął z zainteresowaniem oglądać całkiem nieciekawe wystawy sklepowe. Irit dostrzegła wolną taksówkę i machnęła ręką.

Slaughter dał znak Leroyowi Buckowi, który natychmiast wyminął wynajętym samochodem chevroleta, w którym kierowca uruchamiał silnik. Przy Irit zatrzymała się taksówka i dziewczyna otworzyła drzwi pojazdu. Mężczyzna w prochowcu szybko

ruszył w stronę krawężnika, ale w tej samej chwili do akcji wkroczył John Lugar.

- Proszę pana, przepraszam, czy ma pan ogień? - zapytał, wyciągając papierosa.

Lugar stanął na skraju krawężnika, odgradzając mężczyznę od jezdni. Człowiek w czarnym prochowcu zaczął szukać w kieszeniach płaszcza zapalek. Irit wskoczyła do taksówki i auto ruszyło.

- Dziękuję panu - powiedział Lugar i w chłodne jesienne powietrze wypuścił z płuc smugę papierosowego dymu.

Mężczyzna zamierzał odejść, lecz Lugar znów go zatrzymał.

- Proszę pana, czy mógłby mi pan powiedzieć...

W tej samej chwili minął ich powoli Leroy Buck i skierował się na północ Madison; za nim posuwał się chevrolet. Nieoczekiwanie Leroy Buck zatrzymał auto, wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać, próbując zaparkować tyłem, tarasując przy tym drogę chevroletowi. Taksówka Irit zniknęła już w gąszczu aut. John Lugar nie dawał spokoju człowiekowi w prochowcu, wy pytując go o Whitney Museum. Mężczyzna gwałtownie machnął ręką i chevrolet nagłym skrętem wyminął samochód Leroya Bucka i ruszył Madison Avenue za taksówką Irit.

Udało się. Rozdzielili śledzących dziewczynę mężczyzn. Buck niezwłocznie ruszył śladem chevroleta. John Lugar podziękował uprzejmie mężczyźnie w czarnym prochowcu za ogień i informacje, po czym skierował się w stronę centrum. Teraz z kolei mężczyznę przejął Slaughter. Co zrobi? Dokąd się uda, skoro stracił kontakt z partnerem w chevroletcie? Wróci do kafejki? Slaughter był pewien, że nie. Podejrzewał, że uda się prosto do miejsca, w którym znajdował się punkt kontaktowy. Do kryjówki. Mężczyzna w prochowcu przeszedł przez jezdnię, minął Osiemdziesiątą Trzecią i skręcił w lewo, w Osiemdziesiątą Drugą. Przeszedł obok luksusowego wieżowca, minął dwa budynki o fasadach wyłożonych piaskowcem i skierował się do bloku mieszkalnego. John Lugar wszedł do klatki schodowej budynku, w którym mieszkała Irit, i obserwował mężczyznę. Slaughter, który pozostał na Madison, stracił z oczu.

Gdy około osiemnastej piętnaście w mieszkaniu na przedostatnim piętrze zapaliło się światło, Slaughter ruszył do baru

przy Siedemdziesiątej Ósmej. Wrzucił do automatu telefonicznego dziesięciocentówkę i wykręcił numer mieszkania Irit. Telefon odebrał Lugar.

- Puszczam ją luzem - oświadczył Slaughter.
- W porządku, trzymam linę - odrzekł Lugar.

Irit wyszła na Madison, przeszła cztery przecznice dzielące ją od Osiedzia Drugiej, weszła na klatkę schodową i podeszła do windy. Niebawem pojawił się nierzucający się w oczy chevrolet.

- Jest i auto - oznajmił Lugar.
- Tak myślałem - odparł Slaughter.
- W mieszkaniu zgasło światło - zameldował Lugar. - Podnoszą się żaluzje... Widzę za nimi męską twarz. Tak, to ten sam facet. Wstaje, zdejmuje płaszcz - informował z satysfakcją.

- Chevrolet zaparkował... do licha, chyba ma tu wykupione miejsce postojowe... wysiada z niego facet, zmierza do tego samego domu, wchodzi do środka. Tak, jest już w mieszkaniu.

- W porządku, przychodź - powiedział do telefonu w barze Slaughter. - Pojawił się właśnie Leroy.

Lugarowi dotarcie do baru zajęło dwie minuty.

- Ukryliśmy Irit na noc - oświadczył Lugar. - Ale trzymaj swoją pupcię z daleka od tamtego miejsca, Slaughter. Oni obserwują każdego, kto wchodzi i wychodzi z budynku. A może czekają właśnie na ciebie?

- Wiem. Wskakujmy do samochodu. Pojedziemy na kolację do Pugli. Jutro czeka nas prawdziwa zabawa. Czy Josie jest już w mieście?

- Czekają w Van Rensselaer.

- Panowie, zostawmy więc naszych przyjaciół na nocnych czatach i jedźmy do miasta trochę się zabawić.

Sobotni ranek. Dwudziesty października, godzina jedenasta trzydzieści. Trzech kadetów i reporterka z wychodzącego w Bergen\* pisma „Record” wsiedli do wynajętego samochodu i ruszyli do centrum miasta. Był to prosty plan, wymyślony przez Johna Lugara, na który jego przyjaciółka skwapliwie przystała.

\* Część Jersey City (przyp. tłum.).

Josie Irene Severns miała dwadzieścia trzy lata i pracowała jak reporterka w gazecie. Zajmowała się korupcjami politycznymi w hrabstwie Hudson w New Jersey, z wyjątkiem hrabstwa Mayor Daley's Cook, zapewne największego bagna politycznego w kraju. W roku pełnym awantur, demonstracji i kłótni politycznych inicjowanych przez Narodowy Konwent Demokratyczny, historia z agentami śledzącymi Irit wydała się Josie Irene Severns bardzo istotna i jednocześnie zabawna. Jak większość dziewczyn kadetów nie miała nic wspólnego z demonstrantami. Ale podobnie jak na większości dziewczyn kadetów wielkie wrażenie robiły na niej argumenty Bobby'ego Kennedy'ego i Eugene'a McCarthy'ego, nawołujących do zakończenia wojny. Dziewczęta nie były zainteresowane wojną, na którą niewątpliwie wysłano by ich chłopaków.

Leroy Buck zatrzymał samochód w odległości jednej przecznicy od butiku Irit. Josie wysiadła z auta i weszła do sklepu, udając przypadkową klientkę. Irit, kryjąc się za stojakami z odzieżą, wskazała jej obserwatorów. Josie zaczęła grzebać w torebce. Wszystko było gotowe. Irit zawiązała czerwoną chustkę na szyi manekina na wystawie - umówiony znak. Z samochodu wyskoczyli Buck, Lugar i Slaughter. Przeszli na róg Osiemdziesiątej Pierwszej i Madison. Josie wyszła z butiku, przekroczyła jezdnię i weszła do kafejki.

Mężczyźni siedzieli przy oknie. Na stoliku stały filiżanki z kawą i czerstwe słodkie bułeczki. Josie zajęła miejsce przy barze, nieopodal ich stolika, i wyciągnęła należące do Johna Lugara nikon. Nieoczekiwanie odwróciła się na barowym stołku w stronę agentów i zrobiła szybko sześć zdjęć. Odłożyła aparat na bar, wyciągnęła notatnik oraz portfel i bezczelnie podeszła do stolika. Agenci zbaranieli.

- Panowie, nazywam się Josie Severns i jak widzicie - pokazała odznakę wydziału prasowego policji - reprezentuję „Record” z Bergen. - Przysiadła się do stolika. - Chciałabym zadać wam kilka pytań na temat działalności wywiadowczej.

Zacznijmy od tego, którą organizację panowie reprezentujecie. CIA? FBI? Wywiad wojskowy? Wojskową Agencję Wywiadowczą?

Spoglądała im niewinnie w oczy, lecz dobrze wiedziała, że obaj gorączkowo zastanawiają się, o co w tym wszystkim chodzi.

- No, panowie, nie krępujcie się. Obserwuję was od kilku dni. Staliście się już stałymi bywalcami tego lokalu. No dobrze, przejdźmy do rzeczy. Kto was przysłał i dlaczego śledzicie właścicielkę sklepu po drugiej stronie ulicy.

Znów na nich popatrzyła. Wiedziała, że ma ich w garści. Powtarzali błąd polityków z New Jersey. Sądźili, że jeśli zignorują „pismaczkę”, sama się od nich odczepi. Ale nie Josie Irene Severns. W hrabstwie Hudson potrafiła przetrwać najdłuższy i najnudniejszy proces w sądzie. Czekwała cierpliwie.

John Lugar, po przestudiowaniu w „Assembly”, czasopiśmie wychowanków West Point, szczegółowego życiorysu i przebiegu kariery zawodowej generała brygady Charlesa Sherrilla Hedgesa doszedł do logicznego wniosku, że agentów nadsłała Wojskowa Agencja Wywiadowcza. FBI nie miało powodów mieszać się w sprawę wojska. Agenci wywiadu wojskowego większość czasu spędzali na grzebaniu w życiorysach osób, których przeszłość należało solidnie prześwietlić. A generał Hedges, po powrocie z Wietnamu, przez dwa lata służył w sztabie sekretarza obrony jako oficer łącznikowy między CIA a DIA\*. A ponieważ pracował dla sekretarza obrony, niewątpliwie był człowiekiem DIA i na pewno wciąż ma tam doskonałe kontakty - argumentował Lugar.

\* Defense Intelligence Agency - Wojskowa Agencja Wywiadowcza (przyp. tłum.).

Josie wstała i wsunęła notatnik do torby.

- Cóż, panowie, skoro tą drogą nic nie mogę wskórać,

spróbuję inaczej. Oddam ten film do wywołania, jutro materiał ukaże się z gazecie, a wycinki prześlę do dyrektora Wojskowej Agencji Wywiadowczej z zapytaniem, co jego szlachetni pracownicy porabiają podczas śledzenia butiku Irit Dov. Co wy na to, panowie? Jak myślicie, czy wtedy wreszcie doczekam się odpowiedzi na moje pytania?

- Oddaj ten film - powiedział beznamiętnie jeden z mężczyzn.

Był w granatowym garniturze i krawacie, a skórę na twarzy miał błyszczącą jak szkło.

Josie chwyciła torbę i aparat fotograficzny, rzuciła na kontuar dwie dwudziestopięciocentówki. W tej samej chwili do kafejki weszli Buck, Lugar i Slaughter.

- W samą porę - powiedziała Josie.

- Powiedziałem: oddaj ten film - powtórzył mężczyzna. - Jesteśmy tu służbowo. Miesza się pani w sprawy rządowe. Proszę oddać ten film.

Buck, Lugar i Slaughter bez słowa stanęli obok dziewczyny.

- Moja praca polega właśnie na wtrącaniu się w sprawy rządowe, przeważnie bardzo niesmaczne. Przypominacie mi dwóch sztywniaków z bilardziarni w Hoboken. Z tym tylko że oni pożytecznie spędzają czas wolny. Obserwują grających. A wy co? Patrzycie, czy na pończochach Irit nie robią się pod koniec dnia obwarzanki?

- Dostyc tych zgryźliwości, panienko. Proszę oddać film.

Lugar błyskawicznie przejął od dziewczyny aparat i powiesił go sobie na ramieniu. Slaughter dał krok do przodu. Postanowił rozegrać wszystko do końca, i to w wielkim stylu.

- Wedle mego rozumienia, baranie łby, wy i ta miła dwójka, którą wymieniliście wczoraj wieczorem, należycie do czegoś, co nazywa się Wojskowa Agencja Wywiadowcza. Czy tak?

Kamienne milczenie.

- Ja jestem Ry Slaughter, ten sam, na którego zapewne polujecie. Pojawiłem się tu z dwóch powodów. Po pierwsze, by prosić was... nie, powiedzieć wam... abyście odczepili się od mojej dziewczyny. Weźcie tyłki w troki i wynoście się stąd, bo inaczej

powiadomię ACLU\* i naślę na was całą gromadę prawników. Po drugie, zamierzam teraz udać się do sklepu mojej dziewczyny, a następnie przejść z nią do jej mieszkania. Moi przyjaciele sfotografują wszystko, co zrobicie, kiedy będę szedł do jej sklepu, a następnie do jej domu. Później wsiądą do samochodu i pojedą do centrum miasta, by w stosownej instytucji złożyć pod przysięgą zeznanie o wszystkim, co widzieli dziś i wczoraj wieczorem. Slight czekał na odpowiedź.

\* ACLU - American Civil Liberties Union - Amerykański Związek Swobód Obywatelskich (przyp. tłum.).

Agenci milczeli.

- Wiemy, gdzie się zadekowaliście. Znamy wasz punkt kontaktowy. Wiemy, gdzie się wymieniacie i gdzie parkujecie samochody.

Mężczyźni nie odpowiadali. Nie chwycili przynęty. Slight liczył na jakąś konfrontację. W takim przypadku Lugar wszystko by sfotografował. Nic jednak nie nastąpiło. Wyciągnął zatem z kieszeni dwie koperty. Każda z nich zawierała odbitkę listu do dyrektora Wojskowej Agencji Wywiadowczej z opisem każdego ruchu, jaki Rysam Parker Slight III i Irit Dov wykonali w sobotę, dwudziestego szóstego października 1968 roku. Położył obie koperty na stole.

- To wasz raport, chłopcy. Kartoteka śledzonego przez was skurwysyna. Oryginał wysłałem do Waszyngtonu jeszcze wczoraj wieczorem. Zapewne dotarł już do waszego szefa.

Ku wielkiemu zdziwieniu Slighta mężczyźni bez słowa schowali koperty do kieszeni. Odciski palców! Następnie wstali, położyli na stoliku pieniądze i bez słowa opuścili kafejkę.

- Dziwne - odezwał się Lugar. - Dałeś im aż za dużo powodów, by zaaplikowali ci takiego kopa, że doleciałbyś aż do Philly. Ale oni nie zrobili nic.

- Tak? Pieprzę ich i ich instrukcje - odparł Slight.

Czuł się świetnie; tak dobrze nie czuł się już od miesięcy. Przeszli do sklepu. Irit poleciła swej asystentce zająć się butikiem, a sama w towarzystwie trzech kadetów i reporterki

udała się do swego mieszkania. Tam do późnej nocy popijali, jedli, rozmawiali i żartowali. Trzech kadetów i reporterka zrobili na szaro szpicli nasłanych przez Bóg wie kogo! Pomyśleć tylko, że raport, którego kopie wręczyli szpiclom w kafejce, trafi do rąk Hedgesa! Gdy generał doczyta raport do końca, zobaczy zaciśniętą pięść - taką samą, jaka widniała na podkoszulkach, flagach i transparentach noszonych przez demonstrantów w ciągu całego minionego roku. Nie jakaś tam pięść, ale pięść. Już ona sprawi, że Hedges przetrze oczy i lepiej dostroi lornetkę.

Śmiali się i śmiali, ale najbardziej rozbawiła ich opowieść Leroya Bucka. Specjalizował się w zaawansowanej technice artyleryjskiej i zaledwie poprzedniego dnia jego pięcioosobowa grupa miała tajny wykład na temat uzbrojenia. Jeden z dwóch majorów wykładowców zademonstrował im pleksiglasowy model pocisku artyleryjskiego, stuściomilimetrowego pocisku do haubicy. Pod przezroczystą łuską widać było płataninę przewodów, tranzystorów, niewielkich kulek i innych dziwacznych akcesoriów. Wykładowca oświadczył, że ten model pocisku do haubicy znajduje się we wczesnym stadium prac konstrukcyjnych, lecz o takiej broni śni każdy prawdziwy artylerzysta. Instruktor wpadał w coraz większe podniecenie, pieścił wzrokiem wnętrze pocisku, aż w końcu nie wytrzymał i wybuchnął: „Panowie! Wynalazek ten sprawi, iż broń nuklearna trafi tam, gdzie jej miejsce: do kompanii. Za pomocą tego pocisku dowódca będzie w stanie jednym strzałem zniszczyć całą kompanię przeciwnika. Wyobrażacie to sobie! Jedna komenda radiowa i łup! I nie ma problemu ze skażeniem terenu, panowie. Dowódca kompanii będzie mógł pchnąć swych ludzi na zdobyty teren już po kilku godzinach. Jest to taktyczna broń jądrowa przyszłości, panowie. Być może do czasu, gdy zostaniecie dowódcami kompanii, będziecie mieli zaszczyt i przyjemność dysponować tym cacuszkiem!”

Leroy Buck opowiadał świetnie. Mimo swego południowego, przeciągłego akcentu doskonale naśladował wymowę majora.

- Później wykładowca zaprowadził nas do tych cholernych piwnic pod Thayer Hall - ciągnął. - Pokazał nam niewielką



pleksiglasową kulę i oświadczył z dumą, że mamy przed sobą nuklearny granat. „To maleństwo stanowi taktyczną broń atomową i może się znaleźć w ręku każdego szeregowca. Jednym wymachem ręki najtępszy szeregowiec będzie mógł zniszczyć całą drużynę przeciwnika; taki granacik tworzy najśliczniejszy grzybek, jaki widzieliśmy w życiu. Pieprzony granat jądrowy. To czeka nas w następnej kolejności!”

Wszyscy, nawet Irit, zarykiwali się ze śmiechu. Leroy Buck znakomicie naśladował pokraczną logikę majora. Cóż mogli robić innego niż śmiać się z pomysłu granatu jądrowego po takim dniu, jaki przeżyli - do licha, po trzech i pół roku w Wu Pe. Im bardziej ponury żart, tym bardziej się śmiali, tym więcej pili, tym większa rozpierała ich wesołość.

Tak to już jest.

## 31.

Następnego wieczoru, w niedzielę dwudziestego siódmego października 1968 roku, do ich stolika w stołówce w akademii podszedł Charlie Napier, kadet z najwyższego roku, który nie nosił na rękawach żadnych naszywek. Gdy był jeszcze „krową”, doczekał się sześćdziesięciu nagan, odbył sto trzydzieści dwa karne marsze i otrzymał sześciomiesięczny areszt w swoim pokoju za wyjątkowe „uchylenie” - POU, publiczne okazywanie uczucia. Regulamin praktycznie zabraniał kadetowi spotykania się z dziewczyną w miejscu publicznym. Miejsce publiczne było wszędzie - dosłownie; czy to na terenie akademii, czy poza nią. Uczucie można było okazać przez dotknięcie ręki, całowanie się, przytulanie i obejmowanie aż do, jak się to przytrafiło Charliemu Napierowi, samego stosunku płciowego. W przypadku Napiera chodziło wprawdzie o stosunek domniemany, ale podpadający pod POU.

Jakiegoż to przewinienia dopuścił się Napier, że został ukarany najcięższą, poza usunięciem z akademii, karą? Pewnego sobotniego wieczoru wynajął wraz ze swoją dziewczyną pokój w motelu. Nienawidzący kadetów właściciel motelu wysmażył na niego raport POU, lecz pokój wynajęty został na nazwisko dziewczyny. Wobec tego właściciel motelu udał się do biblioteki w West Point i przejrzał dokładnie Howitzer, roczną księgę kadetów. Przejrzał trzy tysiące dwieście zdjęć kadetów, aż natrafił na Napiera. Odnalazł jego imię i nazwisko, a następnie złożył stosowny meldunek oficerowi taktycznemu kompanii, do której należał Napier. Oficer sporządził kolejny raport na formularzu dwa-kreska-jeden. Taktyczny doszedł do przekonania, że kadetowi należy solidnie przyłożyć po łapach za to, że wykorzystuje miejscowy motel do tak niecznych celów. Ale stary Dwa-Kreska-Hedges zinterpretował „uchybiecie” po swojemu.

„Wyjątkowy brak rozsądku. Kadet zhańbił siebie, Korpus Kadetów, akademię wojskową Stanów Zjednoczonych, armię Stanów Zjednoczonych, naród itd., itd., dzieląc w dniu piętnastego kwietnia 1968 roku pokój w motelu z osobnikiem płci odmiernej”.

Ogłoszenie o uchybieniu Napiera, oznajmione przez adiutanta generała brygady podczas lunchu w kantine, stanowić miało jawną przestrożę dla innych kadetów, którzy nosiliby się z podobnie wyuzdanymi pomysłami. Oświadczenie adiutanta posterunku, wygłoszone grzmiącym głosem, sprawiło, że w kantine zapadła martwa cisza, wszyscy wprost skamienieli. Do licha, każdy wiedział, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, a zwłaszcza za zamkniętymi drzwiami pokoju w motelu. Ale po kantine zdążyła się już roznieść wieść, że w przypadku Napiera nie było żadnych dowodów. Mógł spać w wannie, mógł zdrzemnąć się na krześle. Ani właściciel motelu, ani Dwa-Kreska-Hedges, ani nikt inny nie wiedział, co naprawdę zaszło między Napierem a dziewczyną, ponieważ pokój nie był miejscem publicznym. Przesłanie było oczywiste. Hedges zamierzał wykorzystać sprawę Napiera jako przykład. Nie tylko na terenie akademii nielegalne było dotykanie dziewczyny, gdyż stanowiło to domniemanie seksu - nie seks, ale jego domniemanie,

nie wolno było tego robić również poza akademią, nawet w pokoju motelowym.

Ostatecznie kadeci skwitowali to śmiechem, podobnie jak kwitowali śmiechem wszystkie bzdury i niedorzeczności, z jakimi mieli do czynienia na co dzień. Spokojnie wrócili do zwyczaju pieprzenia wszystkiego, co nosi spódniczki - tylko że tym razem ostrożniej. John Lugar, współtowarzysz Slaighta z pokoju, trzy i pół roku spędził w bibliotece kadetów, przeczesując regały, studiując wspomnienia, pamiętniki i dokumenty, „także te niesklasyfikowane”, daremnie szukając „pieprzonego kutasa, który wymyślił POU”. Oświadczył, że gdyby poznał jego imię i nazwisko, rozlepiłby jego dane personalne na wszystkich tablicach ogłoszeniowych w akademii, aby każdy wiedział, kto wydał zarządzenie, że kadetowi wolno jedynie spoglądać na dziewczynę. Teraz jednak, za sprawą precedensu Napiera, stary Dwa-Kreska-Hedges próbował rozciągnąć je na całe życie płciowe normalnego, zdrowego mężczyzny.

Tak więc Charlie Napier, który w korpusie cieszył się sławą bohatera, a w każdym razie stał się bardzo znaną postacią, podszedł tego niedzielnego wieczoru do stołu Bucka, Lugara i Slaighta. Slaight skończył się właśnie puszyć pomysłem, iż zamierza spędzić z Irit noc na oczach dwóch agentów, i jeśli nie będzie to określone jako publiczne okazywanie uczuć, to czym będzie? Napier przyniósł złą wieść.

- Slaight - powiedział rozwlekłym głosem, jako że nie był najlepszym mówcą.

W swojej klasie znajdował się w ostatniej dziesiątce najgorszych studentów (rywalizujących o tytuł osła).

- Slaight, mam dla ciebie... eee... złe wiadomości. Gdy byłeś na przepustce, taktyczny, major Grimshaw, pełnił funkcję oficera dyżurnego...

- Grimshaw? - przerwał mu Slaight. - Przecież nie było go w grafiku na ten weekend.

- Wiem, on... aaa... eee... tak czy owak, zgłosił się na ochotnika. Pełniłem wartę, jak zwykle w soboty, bo wciąż, jak wiesz, odbywam karę. Otóż przylazł do mnie Grimshaw i kazał towarzyszyć sobie podczas inspekcji. Znasz regulamin... oficerowi

dyżurnemu zawsze w takich razach musi towarzyszyć pełniący wartość kadet. Ale on... he, he, he. Nie odbył żadnej inspekcji. Udał się prosto do twojego pokoju i przejrzał dokładnie wszystkie papiery. A ja mogłem tylko stać i przyglądać się. Spędził w twoim pokoju bite dwie godziny. Działo się to o drugiej w nocy w sobotę... to znaczy już w niedzielę. Stałem jak jakiś jełop, oczy mi się kleiły, a on przeglądał papiery w twoich szafkach. Nie wiem, czego szukał. Cały czas mruczał do siebie, że musi to znaleźć, ale nie mam zielonego pojęcia, czego szukał.

- No tak - rzekł cicho Slaughter.

- Człowieku, wiedziałeś o tym? - zapytał Buck.

- Nie. Nie zaglądałem przecież do szafek. W ostatniej chwili wskoczyłem w szary mundur i ledwo zdążyłem na zbiórkę. Jezu! Gówna ciąg dalszy.

- Jasne - powiedział Napier. - Ale to nie wszystko, Slaughter. Musiałem mu powiedzieć, że nie wolno mu robić tego, co robi, a on na to, że jestem niesubordynowany, i kazał mi zamknąć japo. Stałem więc cicho i patrzyłem. Czytał wszystko. Każdą najmniejszą karteczkę. I cały czas mruczał pod nosem nazwisko tego gościa.

- Jakiego gościa?

- Cały czas mruczał do siebie: „Beatty powiedział, że gdzieś to tu jest... Beatty powiedział, że musi to być w tym pokoju”. Ostatecznie niczego nie zabrał. Później opuścił twój pokój. Znasz tę jego laseczkę, którą stale ze sobą nosi? Tę z kulą z AK-47 na czubku i łuską na końcu? Znasz tę laseczkę?

Wszyscy w D-3 znali wojenną pamiątkę Grimshawa, ozdobioną pociskiem z rosyjskiego pistoletu maszynowego Kalasznikowa.

- Otóż wskazał tą laseczką twoją fotografię, a następnie idąc do drzwi, powiedział na tyle głośno, że go zrozumiałem: „Ty nędzna komunistyczna cipo! Ty nędzny komunistyczny pedrylu! Jeszcze dobierzemy się do twojej pieprzonej dupy”.

Gdy odwrócił się i spostrzegł, że usłyszałem jego słowa, poradził mi, abym zapomniał, że jesteś ze mną na roku, bo stoisz już jedną nogą za bramą akademii. A na koniec dodał: „Stoi jedną nogą za bramą, lecz zahaczył się kutasem o jej pręty. Jak

mu go utniemy, do pierwszej nogi dołączy druga”. Slaight, przemaszerowaliśmy razem po karnym placu wiele godzin, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że możesz popaść aż w takie tarapaty. Nie wiedziałem. Musiałem przyjść i powiedzieć ci o tym, gdyż bez względu na to, co zrobiłeś, nie zasługujesz na taki los.

Buck poprosił Charliego Napiera, by usiadł i napił się kawy, lecz on musiał już wracać; miał areszt domowy. Slaight z trudem wymamrotał słowa podziękowania.

- I co teraz zrobisz? - zapytał zgnębionym głosem Buck.

- Wrócę do pokoju. Sprawdzę papiery i zobaczę, czy nic nie zginęło, czy nie zabrał czegoś, kiedy na warcie był ktoś mniej przyzwoity od Charliego. Potem położę się i będę czekać. Grimshaw pojawi się albo jeszcze dziś wieczorem, albo jutro rano, w zależności od tego, czy miał już okazję złożyć raport Kingowi, czy komu tam melduje; jeśli w ogóle melduje.

- Nie sądzę, by robił to z własnej inicjatywy.

- Ale nie można tego wykluczyć. Wie, że tkwię w kłopotach po uszy. Mógł sobie zatem wykombinować, że jeśli zada mi decydujący cios, bardzo mu to pomoże w karierze. Ludzie nie takie rzeczy robili dla kariery, ale Beatty?

- Beatty?

- Facet z Pentagonu, cywil. To on stał za tą aferą z... Pamiętasz?

- Jasne.

- Jezu! Ciekaw jestem, komu Grimshaw składa raport: Kingowi, Hedgesowi czy Beatty'emu.

- Czego twoim zdaniem szukał?

- Daj spokój, człowieku. To jasne jak słońce.

- Twoich notatek o Handzie?

- Wygrał pan wielkiego, czerwonego pluszowego misia.

- Skoro ich nie znalazł, to znaczy, że ich tam nie było. Gdzie zatem są?

- Nie chciałbyś tego wiedzieć. To jedyna informacja, jakiej nie chciałbyś znać.

Po powrocie do koszar Slaight zadzwonił z pokoju Bucka do kapitana Bassetta i przekazał mu informacje, jakie uzyskał od Charliego Napiera. Bassett oświadczył, że postępowanie

Grimshawa jest absolutnie bezprawne; takich metod nie usprawiedliwia i nie sankcjonuje.

- Rewizja dozwolona jest wyłącznie w takim przypadku, kiedy człowiek jest oskarżony o dokonanie przestępstwa, ale nawet wtedy musi istnieć uzasadnione podejrzenie, że w jego posiadaniu są dowody przestępstwa. Ponieważ Grimshaw nic z twojego pokoju nie zabrał, znaczy to, że wszystko to jest czymś wymysłem; zapewne jego. Nie masz więc najmniejszych powodów do obaw.

- A jeśli znów pojawi się w moim pokoju?

- Najpierw spytaj, o co konkretnie jesteś oskarżony. Później zapytaj, czy przetrząsa całą kompanię. Zmusz go do przyznania się, że tego nie robi oraz że nie ma w stosunku do ciebie żadnych umotywowanych podejrzeń. Gdy już zdobędziesz taką przewagę, rób, co ci każe. Odpowiadaj szczerze na wszystkie pytania. Pamiętaj, że w kodeksie honorowym nie ma piątej poprawki. Jeśli zechce ci coś skonfiskować, poproś, by dał ci pokwitowanie na piśmie, a następnie spytaj, czy to oficjalny rozkaz. Jeśli powie, że tak, daj mu to, czego żąda. O Boże, byłbym zapomnian! Postaraj się, by byli przy tym świadkowie. Zorganizuj sobie obecność dwóch kadetów z twojego roku.

- Ależ, kapitanie Bassett, po tym, co mruzczał o Beattym, obaj dobrze wiemy, o co chodzi.

- Racja. Ale ty tych dokumentów nie masz. Nie mam ich ja. Ma je ktoś inny, bezimienny, a ja nie wiem, gdzie się podziały. Ja nie wiem, ty nie wiesz, więc nie możesz dostarczyć żadnych dokumentów. Nie miałbyś nawet prawa, na obecnym etapie, ich oddawać.

- To już zaszło tak daleko?

- Nie masz prawa, Slaughter. Dokumenty te mogą być dowodami. Mówiąc językiem potocznym, dokumenty te są u ciebie na przechowaniu. Nie jest to termin prawniczy, lecz bardzo adekwatne określenie. Są przechowywane. W rezerwie. Zatem nie istnieją. To możesz powiedzieć Grimshawowi. Nie istnieją. Dokładnie tak. Nie istnieją.

W poniedziałek rano, dwudziestego ósmego października 1968 roku o dziewiątej piętnaście, w pokoju dwieście dwadzieścia sześć

czekał Grimshaw. Slaight, Buck i Lugar wrócili właśnie z pierwszego wykładu z historii sztuki wojennej. Cała trójka niewiele ostatniej nocy spała. Obudzili się o szóstej, a o siódmej czterdzieści pięć rozpoczął się wykład trwający do dziewiątej pięć. Slaight odczuwał śmiertelne znużenie. Nie był w nastroju do rozmowy z Grimshawem, który stał butnie pośrodku pokoju na rozstawionych nogach, jakby cała sala należała do niego. Z drugiej strony, jako oficer taktyczny kompanii D-3, miał ten pokój na własność, jak również przywilej wydawania rozkazów i tym podobne rzeczy. Ale postawa Grimshawa, jego surowy, posępny wyraz twarzy wskazywały, że dowódca i podwładny nie darzą się sympatią, pogardzają sobą i z najwyższym trudem trzymają nerwy na wodzy.

Slaight wydał komendę i towarzyszący mu kadeci stanęli na baczność. Laseczką z nabojem od AK-47 Grimshaw wskazał Slaightowi miejsce za biurkiem, a pozostałym - drzwi.

- Sir, z całym szacunkiem, proszę o pozwolenie, by zostali. Wiem o sobotniej nocy, a właściwie już niedzielnej, i sądzę, że między nami może wyniknąć różnica zdań. Mój prawnik zalecił mi, by bez względu na to, co się dziś wydarzy, towarzyszyli mi świadkowie.

- A jeśli rozkażę tym durniom opuścić pokój? Co wtedy?

- Wtedy zadzwonię do mego prawnika z prośbą, by został wszystkie swoje zajęcia i natychmiast pojawił się tu jako mój obrońca.

- Panie Slaight, sprawy, które mamy do omówienia, nie interesują ani twoich kolegów, ani twego prawnika, jak go nazywasz.

Grimshaw wymówił to słowo tak, jakby Bassett należał do gatunku podludzi, których Istoty Wyższe nie dostrzegają... Do Istot Wyższych, naturalnie, zaliczała się wybrana mniejszość oficerów w następującym porządku: oficerowie West Point, piechoty, weterani wojenni, oficerowie jednostek powietrzno-desantowych i oddziałów szybkiego reagowania. Posiadacze Srebrnych Gwiazd, Brązowych Gwiazd, Medali Lotnictwa i wszystkich innych odznaczeń, jakich mogli dochrapać się w

Wietnamie. Kapitan T. Clifford Basset nie należał do Istot Wyższych.

- Sir, proszę o wybaczenie - odezwał się Slaight. Zgodnie z poleceniem usiadł na krześle. - Naszej rozmowie dzisiejszego ranka przysłuchiwać się będzie tych dwóch kadetów, a jej treść przekażę memu prawnikowi. Proszę więc mówić, sir. Przejrzał pan wszystkie moje papiery. O co chce mnie pan zapytać?

Grimshaw był wściekły, lecz doskonale nad sobą panował. Kilkakrotnie uderzył się w udo utrzymaną w lewej dłoni czarną skórzaną rękawiczką. Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał śladów nieporządku, po czym przeniósł wzrok na Slaighta.

- Bacność, młody człowieku.

Slaight zerwał się z krzesła i wyprężył jak struna.

- Chcę mieć wszystko, co dotyczy pana Williama Beatty'ego, a co znajduje się w twoim posiadaniu. Wszystko, Slaight. I to natychmiast.

- Williama Beatty'ego, sir?

- Wiesz, do licha, o kim mówię.

- Nie mam żadnych materiałów dotyczących pana Williama Beatty'ego.

- Wiem, Slaight. Przejrzałem dokładnie twój pokój... - Urwał, głośno sapnął i zgrzytnął zębami. - Trzymasz je gdzie indziej. Gdzie?

- Sir, nie wiem, o czym pan mówi. Nigdy nie miałem żadnych materiałów dotyczących pana Williama Beatty'ego, którego zresztą nie znam. Nie wiem, co pana łączy z panem Beattym, ale ja nie mam żadnych dotyczących go materiałów.

- Co z tym zrobiłeś, do cholery?

- Zrobiłem z „tym”? Nie mam „tego”, bez względu na to, co „to” jest.

- Twierdzisz, że nie masz nic... nic, co miałyby związek z Beattym?

- Tak, sir. Skoro jest pan ciekaw, informuję, że nazwisko to obilo mi się o uszy. Tak... słyszałem, że wielu kadetów zna pana Beatty'ego. Mogę tylko żałować, że do nich nie należę. Gdybym miał tę przyjemność, być może mógłbym panu pomóc, sir.



- Nie bądź taki cwany, Slaughter.

- Nie jestem cwany, sir. Z dobrej woli mówię panu wszystko, co wiem. Pan Beatty najwyraźniej doskonale zna niektórych kadetów, ale ja, niestety, do nich się nie zaliczam. Przykro mi, sir.

Slaughter umilkł i czekał.

- Sir, czy mogę zadać pytanie?

- Mów.

- Czy dochodzenie to przeprowadza pan oficjalnie, sir?

Znaczy: czy przetrząsa pan całą kompanię w poszukiwaniu materiałów dotyczących pana Beatty'ego? A może tylko mój pokój?

- Niczego nie przetrząsam. Przyszedłem prosto tutaj. To chyba oczywiste. Nie próbuj odgrywać roli adwokata całych koszar, bo oberwiesz po nosie.

- *Yessir!!!* I jeszcze jedno pytanie. Czy pańskie żądanie, bym oddał wszelkie materiały dotyczące pana Beatty'ego, to rozkaz?

- Lepiej, do cholery, traktuj to w taki właśnie sposób. A jeśli odkryję, że skłamałeś, obedrę ci kombinerkami dupę ze skóry. Rozumiesz, Slaughter? Będziesz skończony!

- *Yessir!!!* I ostatnie pytanie. Właśnie sobie przypomniałem. Kiedy dowiem się o posiedzeniu rady?

- Dowiesz się, kiedy ci powiemy, i ani chwili wcześniej. A jeśli sądzisz, że będziesz miał tam prawnego przedstawiciela, to lepiej o tym zapomnij.

- Zastanawiam się nad tą sprawą nie od dziś, sir. Chcę tylko wiedzieć, ile mam czasu na przygotowanie obrony i o co jestem oskarżony.

- Dowiesz się, Slaughter. I to wkrótce.

Grimshaw dotknął czarnymi rękawiczkami daszka czapki i opuścił pokój.

Kadeci porozsiadali się na łózkach. Lugar wyskoczył po coca-cola. Buck nastawił płytę Waylonga Jenningsa.

- I co o tym myślisz? - spytał po powrocie Lugar.

- Nie wiem. A ty?

Kadet wzruszył tylko ramionami.

- Cholera jasna - odezwał się Leroy Buck. - Możemy mieć i milion pomysłów, lecz nie powinniśmy tu o nich rozmawiać.

Zaczynam odnosić wrażenie, że wszystkie te cholerne ściany mają uszy. Marzę już tylko o KWP. Kimka w przerwie między zajęciami jest najslodsza. Nie wiadomo, kiedy wyleją nam na łeb kolejny kubel gnoju. Może jeszcze dzisiaj? Może jutro? Kto to wie. Koledzy, jeśli macie jakieś wątpliwości, pójdźcie za przykładem Leroya. Utnijcie sobie kimkę. Ucięli.

## 32.

Jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, o dwudziestej trzeciej piętnaście, gdy Slaight spał już głęboko, rozległo się dwukrotne, głośne pukanie do drzwi jego pokoju. Do środka wkroczyli bez pozwolenia reprezentanci honoru kompanii i batalionu. Mieli na sobie szare mundury; taki strój nieczęsto spotyka się w koszarach po capstrzyku. Slaight uniósł głowę. W pokoju zapłonęło światło. Choć był kompletnie zaspany, natychmiast pojął, że przedstawiciele zjawili się tu oficjalnie. Został oskarżony o pogwałcenie honoru. Kiedy? Przez kogo? Za co?

- Myślę, że znasz cel naszej wizyty - odezwał się złowieszczo przedstawiciel batalionu.

Był to przysadzisty chłopak, który w gimnazjum w rodzinnej Wirginii Zachodniej grał w football. Właśnie dzięki temu został zwerbowany do West Point. Nigdy nie pogodził się z tym, że z wagą osiemdziesięciu pięciu kilogramów nie ma czego szukać w drużynie wyższej uczelni. Natomiast przedstawiciel honoru kompanii D-3, powolny, gamoniowaty chłopak, grający na gitarze w kapeli rockandrollowej kadetów „B. Arnold i Zdrajcy”, pochodził z Arkansas. Był przystojny, zachowywał się swobodnie i miał maniery gwiazdora estrady. Po jego minie Slaight natychmiast poznał, że ta nocna wizyta była mu nie w smak.

- Ubieraj się - rozkazał Dudley, reprezentant batalionu. -  
W szary mundur. Odstawimy cię przed oblicze podkomisji.

- Teraz? O co wam, do kurwy nędzy, chodzi? Już po capstrzyku, człowieku. Nie jesteśmy w Selmie, w Alabamie.

- Daj spokój, Ry - mruknął Sam Kip, przedstawiciel kompanii. - Nie utrudniaj. Im mniej powiesz, tym lepiej.

- Muszę zatelefonować - oświadczył Slaight, zapinając marynarkę.

- Żadnych telefonów - burknął Dudley. - Idziemy. Podkomisja czeka w budynku siedemset dwadzieścia.

- Więc przynajmniej powiedzcie, jakie ciążą na mnie zarzuty - zażądał Slaight, stojąc przed lustrem.

- Niebawem się dowiesz - odrzekł Dudley. - Chodźmy. Chcemy skończyć z tym przed północą.

Szli gęsiego; Slaight w środku. Dotarli do sali konferencyjnej w budynku siedemset dwadzieścia. W tym samym pomieszczeniu sądzono Croliusa. Za oknem majaczyła kaplica; jej kamienne zarysy odcinały się wyraźnie na tle oświetlonego księżycem nieba. Slaightowi polecono usiąść. Przed nim półkołem zasiadło sześciu kadetów z jego roku. Nie znał ich. Przedstawiciele honoru batalionu i kompanii podkomisja nie dopuściła wprawdzie do stołu obrad, lecz pozwoliła im zostać w sali w charakterze obserwatorów. Pierwszy zabrał głos kadet z pięcioma paskami, zapewne dowódca batalionu.

- Zostałeś oskarżony o złamanie honoru. W związku z tym powołano podkomisję, która ma ustalić, czy istnieje wystarczający powód, by zebrać pełną radę. Rozumiesz?

- Jasne. O co konkretnie jestem oskarżony?

- Wprowadziłeś w błąd oficera. Powiedziałeś, że nie przekazesz pewnych informacji dalej, po czym wyjawiałeś je.

- Jakiego oficera? Kiedy? Jakie informacje? Jak, do licha, mam wam odpowiedzieć, skoro nie podaliście mi żadnych konkretów?

Kadeci wchodzący w skład podkomisji popatrzyli po sobie.

Oni też nie znali szczegółów. Uderzenie Slaighta było celne.

- Przede wszystkim ustalmy, kto wniósł oskarżenie.

Kadeci pochylili do siebie głowy i zaczęli o czymś konferować.

- Oskarżenie wniósł major Grimshaw, twój oficer taktyczny. To on właśnie wezwał w tej sprawie dzisiejszego popołudnia reprezentanta kompanii, Sama Kipa.

- Tak? I co mu powiedział?

- Zwiedził się, że go okłamałeś, jak już wspomnieliśmy na wstępie.

- Co to znaczy, do cholery? Na jakim wstępie? Wyrywacie mnie ze snu, ściągacie przed podkomisję i mówicie, że Grimshaw twierdzi, iż go okłamałem. Przecież nawet nie wiecie, na czym polega moje hipotetyczne kłamstwo. Jezu Chryste! Kto aranżuje to przedstawienie? Wy czy Grimshaw?

Sam Kip podniósł się z krzesła.

- Najlepiej będzie, jak zadzwonię do majora Grimshawa i poproszę o szczegóły.

- Zrób to - zgodził się ten z pięcioma paskami.

Kip zniknął. Z sąsiedniego biura dobiegł dźwięk wykręcanej tarczy telefonu, a potem ściszony szmer rozmowy. Kipa nie było pięć minut.

- Musimy poczekać. Za chwilę oddzwoni - oświadczył po powrocie.

- Do kogo z kolei zamierza dzwonić Grimshaw? - strzelił w ciemno Slaight.

- Nie wiem.

Slaight uważnie popatrzył na Kipa. Chłopak mówił prawdę.

W sąsiednim pomieszczeniu zadzwonił telefon i Kip poszedł go odebrać. Kolejne pięć minut rozmowy. Gdy wrócił, Slaightowi polecono opuścić salę. Po wyjściu chwilę się zastanawiał: „Skoro wolno im, wolno i mnie” - pomyślał. Wszedł do sąsiedniego biura i wykręcił numer Bucka.

- Leroy, zabrali mnie do sali konferencyjnej w budynku siedemset dwadzieścia i postawili przed cholerną podkomisją honorową. Budź Lugara i natychmiast tu przychodźcie. Regulamin mówi, że dla kadetów z wyższych lat takie rozprawy są otwarte. Wzięli mnie przez zaskoczenie. Nie zdążyłem nikogo powiadomić.

- Zaraz się tam pojawimy - zapewnił solennie Buck.

Slaight opuścił biuro i zaczął przechadzać się po korytarzu. Otworzyły się drzwi i Sam Kip wezwał go gestem ręki do sali konferencyjnej. Slaight zajął swoje krzesło. I znów pierwszy odezwał się kadet z pięcioma paskami.

- To nie major Grimshaw wniósł oskarżenie. On przekazał jedynie polecenie samego komendanta kadetów. Zarzuty, jak oświadczył, brzmią: dwukrotnie obiecałeś generałowi Hedgesowi - raz wczesnym latem, a raz w sierpniu, w tygodniu reorganizacji - że pewnych kwestii nie będziesz dyskutować z osobami postronnymi. Dziś rano wyznałeś majorowi Grimshawowi, że rozmawiałeś o tym z kadetami oraz z kimś, kogo określiłeś jako swego prawnika. Na tym właśnie opiera się oskarżenie. Skłamałeś, mówiąc, że nie przekazesz pewnych informacji dalej, a dziś rano przyznałeś się, że to uczyniłeś.

W tej samej chwili do sali wkroczyli Buck i Lugar.

- A wy dwaj co tu robicie? - zapytał kadet z pięcioma paskami.

- Bardziej stosowne byłoby pytanie, co wy tu robicie - odparł drwiąco John Lugar. Na jego piegowatej twarzy malował się szeroki uśmiech.

- Mamy zebranie podkomisji honoru, a wy nie macie prawa...

- Tu jest napisane, że mamy - odparł Lugar, otwierając niewielką broszurę w jasnoniebieskiej oprawie. - W kodeksie honorowym wyraźnie stoi, że obradom podkomisji mogą przysłuchiwać się kadeci z wyższych lat. O, tu. Chcesz zobaczyć?

Lugar wyciągnął w jego stronę niebieską broszurę.

- Skąd to masz? - zapytał kadet z pięcioma paskami.

- Z biblioteki. Znalazłem to w dziale „Standardy i tradycje”.

Pięciopaskowy z uwagą studiował książeczkę.

- Ona jest z zeszłego roku. Nie obowiązuje.

- Zmieniacie co roku regulamin kodeksu honorowego i nikogo o tym nie informujecie?

Slaight popatrzył kadetowi z pięcioma paskami prosto w oczy.

- Broszury traktujące o kodeksie honorowym wydane w ubiegłym roku w tym nie obowiązują. Ta dwójka musi opuścić salę.

- W porządku, pokaż mi więc broszurę z tego roku - odezwał się Lugar. - Pokaż mi paragraf, że musimy opuścić salę. Przez ostatnie trzy lata uczęszczałem na podobne spotkania i zawsze mi mówiono, że kadeci z wyższych lat mają prawo w nich uczestniczyć.

- Nie mam jej przy sobie - odrzekł już znacznie pokorniej pięciopaskowy.

- A więc zostajemy - powiedział Lugar. - Róbcie swoje.

- Ale teraz sytuacja jest inna. Gdybym nawet miał tego-roczną broszurę, to major Grimshaw oświadczył, że ta sprawa jest... delikatna.

- Major Grimshaw! - Slight wypluł to nazwisko jak kawałek zepsutego mięsa. - Co, kurza twarz, ma z tym wspólnego Grimshaw? Czyżby przewodniczył komisji honoru? A tak w ogóle, kto tu rządzi? Wy czy Grimshaw? Daj spokój. „Kodeks należy do korpusu”; czyżby była to tylko retoryczna formuła? Bądź wierny nakazom kodeksu honorowego i pozwól im zostać.

Pięciopaskowy był wyraźnie zdenerwowany. Nosił na rękawach dystynkcje, ale nie był jeszcze przygotowany do podejmowania tak ważkich decyzji.

- W porządku, mogą zostać. Usiądźcie tam.

Wskazał rząd składanych krzeseł pod ścianą.

Lugar i Buck zajęli miejsca. Leroy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki munduru notes i pióro i przygotował się do robienia notatek.

- Żadnych notatek! - wrzasnął pięciopaskowy.

- O co chodzi? - zdziwił się Buck. - Wstydzicie się? Macie coś do ukrycia?

- Nie...

- A zatem nie powinno ci przeszkadzać, jeśli wszystko zanotuję... aby po powrocie do koszar zapoznać z treścią obrad kolegów, którzy również mieli prawo tu być.

Pięciopaskowy usiadł bez słowa.

- W porządku, wracajmy do sprawy - powiedział Slight, niebywale podniesiony na duchu obecnością przyjaciół. -

Pytanie: Jakiej informacji obiecałem komendantowi nie rozgłaszać?

- Nie wiem - odparł kadet z pięcioma paskami.
- A wy?

Pozostali członkowie podkomisji przecząco pokręcili głowami.

- Pytanie: W jaki sposób określimy te tak zwane informacje, które rozpowszechniłem, skoro nawet nie wiemy, o co chodzi?

Podkomisja tępo spoglądała na Slaughtera.

- Major Grimshaw oświadczył, że powiedziałeś o wszystkim kolegom, którzy byli z tobą rano w pokoju, a także swemu prawnikowi - rzucił jeden z członków podkomisji.

- O wszystkim? To znaczy o czym?
- Nie wiem - powiedział pięciopaskowy.

- Do zaprotokołowania: tymi chłopakami w moim pokoju rano byli Buck i Lugar, siedzący w tej chwili pod ścianą tej sali - zakomunikował Slaughter, wodząc powoli wzrokiem po twarzach członków podkomisji. - Moim prawnikiem jest kapitan T. Clifford Bassett. Opowiadałem im o wielu rzeczach. A zatem możemy uporać się z tym problemem w dwojaki sposób.

Slaughter zamilkł.

- Mów - przerwał ciszę Sam Kip, przedstawiciel honoru w kompanii D-3.

- Dobrze, Sam. Dziękuję. Metoda pierwsza: możemy zająć się tak zwanymi oskarżeniami Grimshawa w sprawie tak zwanych pewnych informacji: szczegółowo - drobiazgi po drobiazgu. Metoda druga: możemy zająć się faktami. Co wybieracie?

Podkomisja znów zaczęła się szeptem naradzać.

- Mówmy o szczegółach - oświadczył pięciopaskowy.

- Zgoda. Grimshaw twierdzi, że okłamałem komendanta.

Owo rzekome kłamstwo dotyczy pewnych tajemniczych informacji. Nie macie o nich zielonego pojęcia, a zatem nie jesteście w stanie orzec, czy naprawdę rozpowszechniałem informacje. Wiecie tylko, że Grimshaw powiedział, iż przekazałem wszystko Lugarowi, Buckowi i prawnikowi. Wszystko, ale co? Wszystkim może być również częstotliwość oddawania przeze

mnie kału. Nie wiecie! Tak zatem nie jesteście w stanie stwierdzić, czy istnieje zasadność zwoływania rady. Nie macie żadnych faktów. Zero faktów. Nic.

Podkomisja znów zaczęła coś między sobą uradzać szeptem.

- Rozumiemy - oświadczył pięciopaskowy.

- A teraz chcielibyście zapewne wiedzieć, co zaszło między mną a komendantem. Powiem wam, co zaszło. Komendant dwukrotnie wezwał mnie do siebie i za każdym razem proponował, iż zrobi mnie dowódcą batalionu... Mnie! Dowódcą batalionu! Jeśli tylko w sprawie tego, co wy nazywacie pewną informacją, nabiorę wody w usta. Właśnie tak; miałem nabrać wody w usta i zapomnieć o pewnych sprawach, a w zamian dostać szewrony. Popatrzcie na moje rękawy, chłopcy. Widzicie choć jeden szewron? Nie dobiłem z komendantem targu. Niczego mu nie obiecałem. Więc wszystko, co mówi Grimshaw, to zwykłe pomówienie. Łgarstwo. Komendant polecił mi nie rozmawiać z nimi o pewnej wiadomości, a ja rozmawiałem. A zatem nie wykonałem jego polecenia, a niesubordynacja stanowi pogwałcenie regulaminu, chłopcy. Nie honoru. Jeśli komendant zamierza dobrać mi się za to do skóry, jego sprawa. Tak naprawdę zamierzają zwołać w mojej sprawie radę do spraw postawy żołnierskiej. I to niebawem. Sądzę więc, że i obecna kwestia tam wypłynie. A bzdury, z którymi Grimshaw zwrócił się do Sama Kipa, nie mają nic wspólnego z honorem, chłopcy. Nic do mnie nie macie.

- Chyba nie - przyznał pięciopaskowy. - Ale Hedges... nie będzie tym zachwycony.

- Hedges! - Lugar zerwał się z krzesła i podszedł do okna. - A co, do diabła, ma z tym wspólnego Hedges?

- Mamy przedłożyć mu sprawozdanie z przebiegu spotkania, wszystko, co wykryliśmy, oraz nasze wnioski.

- Pokaż mi w tej cholernej broszurze punkt, który mówi, że macie taki raport złożyć komendantowi - odparł ze złością Lugar.

- Nie ma takiego paragrafu. Wiem o tym. Hedges w zeszłym roku, gdy został komendantem, dał nam nieformalne



polecenie. Mamy obowiązek przekazywać mu wszystko, co podkomisja ma do powiedzenia radzie honoru na temat pogwałcenia przez kadetów któregoś paragrafu kodeksu.

- Na piśmie?

- Tak. Stworzył nawet specjalny formularz.

- A zatem bez względu na to, jaki będzie werdykt, Hedges dostanie pełną dokumentację sprawy?

- Chyba tak. Nie wiem, co dzieje się dalej z raportami, które dostarczamy Hedgesowi.

- Nie wiesz! - Lugar aż podskoczył. - Nie wiesz! Jezu, co to ma być? Inkwizycja?

- Uspokój się, John - powiedział cicho Sam Kip, dając krok w jego stronę. - Poczekajmy na orzeczenie podkomisji.

Jej członkowie zaczęli znów naradzać się ściszymi głosami.

- Nie ma dowodów na złamanie któregoś z paragrafów kodeksu honorowego - oświadczył pięciopaskowy. - Nie ma zatem podstaw do zwołania rady honoru. Jesteś wolny.

- A co zamierzacie zamieścić w raporcie dla Hedgesa? - zainteresował się Slaughter.

- Nie wiem. Coś wymyślimy. Takie rzeczy zdarzały się już. Poradzimy sobie. Ale nie bądź zdziwiony, jeśli jeszcze w tym tygodniu podkomisja zostanie zwołana ponownie.

- Tylko zawiadomcie mnie wcześniej - rzucił zgryźliwie Slaughter i w towarzystwie Bucka oraz Lugara opuścił salę. - Te wasze patrole honorowe o północy...

- Uważasz się za cwaniaka, Slaughter? - odezwał się Arthur Dudley, reprezentant batalionu.

Slaughter odwrócił się na pięcie w jego stronę, ale Buck mocno pociągnął go za łokieć.

- Nic nie mów, Slaughter.

Ry zgrzytnął zębami, ale bez słowa sprzeciwu zastosował się do rady kolegi i posłusznie opuścił salę. Sprawy układały się paskudnie, a Arthur Dudley robił wszystko, by jeszcze je pogorszyć. Ale Lugar miał rację - Dudley się nie liczył.

Trójka przyjaciół ruszyła w stronę koszar. Wokół panowała cisza, tylko w niektórych oknach widać było przyćmione światło

lamp. Niektórzy kadeci pilnie uczyli się lub zżerani tęsknotą pisali listy do dziewczyn.

W D-3 był taki jeden. Pochodził z małego miasteczka położonego na północy stanu Washington, nazywał się Jay Bloomingburg. Pisał długo w noc. Jego współtowarzysz z pokoju dawno już głęboko spał. Zupełnie jakby listy do dziewczyny Jay umiał pisać wyłącznie w samotności. Gdy kolega z pokoju uczył się w nocy, on wychodził do łazienek i tam, siedząc na drewnianej ławce, smarował list. Był miłym i głęboko religijnym chłopakiem. Czasami naiwnym i dziecinny, ale odznaczał się wyjątkową inteligencją. Śpiewał w chórze kościelnym, uczęszczał do szkółki niedzielnej i codziennie rano uczestniczył w mszy świętej, podczas gdy reszta jego kolegów oddawała się cudownej KPS - kimce po śniadaniu. Choć w kompanii nie mówiło się o tym głośno, panowała powszechna opinia, że Bloomingburg wciąż jest prawiczkiem. Pisał do dziewczyny listy, ale jeszcze z nią nie spał. Czekał z tym do ślubu; miał bardzo staroświeckie poglądy.

Gdy wrócili z budynku siedemset dwadzieścia, przed pokojem dwieście dwadzieścia sześć czekał na nich właśnie Bloomingburg. Dyżurny powiedział mu, że kilku kadetów z najwyższego roku, ubranych w szare mundury, udało się do budynku siedemset dwadzieścia. Jay był ciekaw, co się wydarzyło. Był bardzo przejęty. John Lugar kpił sobie z niego, że na drugie imię ma „Szczery”, ale Bloomingburg nie obrażał się. Wiedział, że jest w tym dużo prawdy.

Wchodząc za Lugarem, Buckiem i Slaughtem do pokoju, popatrzył jeszcze raz na ich szare mundury i zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza trzydzieści. Natychmiast wyczuł piśmo nosem. Honor.

- Co się stało? - zapytał przejęty.
- Nie twój zakichany interes, człowieku - warknął Slaughter.
- Ry, tylko pytam. Zaniepokoiłem się, gdy doszła do mnie wieść...
- Tak? Słyszysz, kurwa, za dużo; za bardzo się, kurwa, niepokoisz. Wróć, kurwa, do swego pokoju i daj nam spokój.

- Ry, przepraszam, nie chciałem...
- Nie chciałeś... kurwa. Weź lepiej Biblię i zmów za nas pacierz. Cholerny katabas.

Wymawiając słowo „katabas”, Slaight wykrzywił się. Bloomingburg odszedł bez słowa, lecz po chwili rzeczywiście pojawił się z Biblią.

- Popatrzcie na niego - zakpił Slaight.
- Zamknij się, Ry - burknął Lugar. Mimo że deklarował się jako zatwardziały ateista, zamierzał wziąć z Josie Irene Severns ślub w kościele katolickim.

Bloomingburg przysiadł na łóżku Lugar'a i zaczął kartkować Biblię.

- Kiedy wreszcie, człowieku, dasz sobie z tym spokój? - zapytał Slaight.

- Odczep się od niego, Ry - warknął Leroy Buck, baptysta z Południa, którego kongregacja w Burning Tree w Indianie liczyła około trzydziestu osób.

- A co Bóg wskóra przeciw takiemu sukinsynowi jak Hedges? Co, u kurwy nędzy, spodziewasz się znaleźć w tej książce? Receptę na szczęście? Mapę pola minowego West - pieprzonego Point? Gówno w niej znajdziesz, Jay!

Lugar chwycił Slaight'a za podkoszulek, rzucił go na blat biurka i przycisnął ciężarem własnego ciała. Lugar był od niego cięższy o jakieś pięć kilogramów i cały składał się z mięśni. Pełnił funkcję trenera zespołu bokserskiego kompanii, a poza tym sam walczył i rokrocznie, oprócz roku rekruckiego, dochodził do finału turnieju na szczelbu brygady - odpowiednika Złotych Rękawic\*. Tego roku nie mógł jednak odpowiednio trenować, bo zbyt często odbywał marsze karne.

\* Doroczny turniej boks amatorskiego w Stanach Zjednoczonych, zapoczątkowany w roku 1926 (przyp. tłum.).

- Jeszcze jedno słowo, Slaight, jedno cholerne słowo, i obojście pośle cię do szpitala. Zapewniam cię, bardzo ci się to nie spodoba.

Slaight popatrzył Lugarowi w oczy. Rudzielec miał przekrwione ze zmęczenia i niewyspania oczy.

- Wiem, że miałeś wielkie kłopoty, Ry - odezwał się Bloomingburg. - Pomyślałem sobie, że być może zdołam ci pomóc.

Otworzył Biblię i zaczął niskim głosem czytać Psalm Dwudziesty Trzeci.

„Nie, po prostu w to nie wierzę” - pomyślał poruszony do żywego Slaughter.

Ry do czternastego roku życia uczęszczał do szkółki niedzielnej. Do czternastego roku życia! W wieku czternastu lat nikt nie chodzi do szkółki niedzielnej. Ale Ry Slaughter uczęszczał. Nakładał czarne buty i czarny garnitur, który rodzice kupili mu u Searsa. Ubranie było początkowo o trzy numery za duże i wystarczyło Slaughterowi do końca podstawówki. Bloomingburg czytał niskim, monotonnym głosem Psalm Dwudziesty Trzeci. W szkółce niedzielnej kazano Slaughterowi uczyć się tego i innych psalmów na pamięć, ale one go nie obchodziły. Nie obchodziły go nic a nic. Aż do czasu, kiedy zdechł mu pies.

Rodzice kupili jamnika, by ich mały synek miał towarzysza. Mieszkali wtedy w Dzikich Polach, oddalonych o trzydzieści pięć kilometrów od Leavenworth. Ojciec prowadził tam stadninę koni. Ry nie miał braci ani siostr i pies - nazwany Gałganem, gdyż przez całe życie sypiał na stosie starych ubrań i szmat - był jego jedynym towarzyszem. Zwierzę zdechło, mając szesnaście lat; stare, wytworne, czarne psisko z siwymi rzęsami i pyskiem. Śmierć Gałgana wstrząsnęła Rym do głębi. Po powrocie ze szkoły znalazł psiaka leżącego przed domem na kawałku dykty. Zrozpaczony uklęknął obok martwego zwierzęcia. Matka Rya, Jill Ritter Slaughter, nie wiedziała, jak pocieszyć syna. Przyniosła z domu rodzinną Biblię. Satynowa zakładka tkwiła na stronie z Psalmem Dwudziestym Trzecim. Matka stała w palącym wiosennym słońcu Kansas i czytała psalm. Na rosnących wokół domu drzewach śpiewały ptaki, wiewiórki jazgotały, jakby cieszyły się ze śmierci swego głównego wroga, a matka czytała na głos Psalm Dwudziesty Trzeci. Słońce paliło kark Rya, po golonych od niedawna policzkach spływały łzy, na dykcie leżał martwy Gałgan.

Wtedy też po raz pierwszy w pełni dotarł doń sens psalmu.

Wykraczał daleko poza wersy, które musiał wykuć na pamięć przed sześcioma laty. Wykraczał daleko poza rozmowy w szkółce niedzielnej, niekończące się dyskusje o prawdziwym znaczeniu rzeczy. Głos matki docierał do najgłębszych zakamarków jego podświadomości, trafiał do tajemnego kącika w duszy, w którym chował wszystkie sekrety - jego i Gałgana. Z nikim się nimi nie dzielił, nawet z samym sobą. Słuchał głosu matki czytającej psalm. Kiedy skończyła, podniósł się z kolan, objął ją i powiedział: „Mamo, pochowajmy Gałgana”. Tamtego dnia, w szesnastym roku życia, poznał siłę płynącą ze świadomości śmierci, siłę, która była w głosie jego matki, siłę, którą znał od lat, lecz nie poświęcał jej najmniejszej uwagi, siłę słów Psalmu Dwudziestego Trzeciego. Nie rozumiał tej mocy, nie wiedział, skąd pochodzi i po co; nie wiedział, co ma z nią zrobić. Po prostu czuł ją.

I teraz, w pokoju dwieście dwadzieścia sześć, w nowych koszarach południowych, głos Jaya Bloomingburga sprawił, że wróciły tamte chwile z młodości lat. Slaight, Buck, Lugar i Bloomingburg siedzieli w pokoju. Mieli na sobie tylko kalessony, jak zawsze w koszarach, Jay czytał, a oni czuli wzajemną bliskość. Zwłaszcza Slaight z powodu wspomnień o Gałganie; cyniczny, logiczny, stary, choć zaledwie dwudziestojednoletni Slaight, który jeszcze przed chwilą gotów był urwać głowę nieszczęsnemu Bloomingburgowi tylko za to, że chciał mu pomóc w jedyny sposób, jaki znał.

To samo powiedziała mu Irit w ostatni weekend, tamtego dnia, gdy pozbyli się nasłanych na nią szpicli. Była późna noc, leżeli pijani w łóżku, w pokoju panowała ciemność, rozświetlana jedynie tarczą radiobudzika stojącego na nocnym stoliku. W salonie mościł się na kanapie Leroy Buck. Lugar ze swoją dziewczyną wynieśli się do hotelu. Dymiło się im z głów, zaśmiewali się z opowiastek i akcentu Bucka, rozpierała ich radość ze „zwycięstwa”. Teraz leżeli przytuleni do siebie jak łyżeczki do herbaty, Irit przyciskała Slaightowi do pleców piersi, z ciemności płynął mu do ucha jej szept...

„Ry, nie widzisz, że zamieniasz się w coś, z czym tak bardzo walczysz, czego nienawidzisz? Zachowujesz się tak, jak moim zdaniem zachowują się ludzie knujący swe skomplikowane

intrygi. Miotasz się, Ry. Miotasz. Dlaczego? Po co? Co chcesz przez to osiągnąć”.

Slaight leżał w bezruchu i rozmyślał. Dlaczego? Miała rację. Miotał się jak szaleniec. Ale czyż ona tego nie rozumie? Czy mogłaby to w ogóle zrozumieć?

„Chcę wiedzieć, co się dzieje, Irit. Czy potrafisz to zrozumieć? To, co się dzieje? Czy pamiętasz, jak ci opowiadałem o oficerach z West Point, którzy wrócili z Wietnamu, o sierżantach z Leonard Wood i o ich opowieściach o uczuciu, uczuciu bycia tam? Cóż, wydaje mi się, że zaczynam łapać, Irit, też prawie tam jestem. Również chcę poznać uczucie, jak to jest być tam. I dopnę swego, Irit, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej w życiu dokonam”.

Dziewczyna skinęła w milczeniu głową i jeszcze mocniej przytuliła go do siebie; odnosiła absurdalne wrażenie, że gdyby tego nie zrobiła, Slaight dźwignąłby się z łóżka i odszedł na zawsze.

Bloomingburg skończył Psalm Dwudziesty Trzeci, odczytał jeszcze kilka swych ulubionych ustępów z Biblii, po czym zamknął księgę. Slaight siedział na swoim biurku, po policzkach ciekły mu łzy; nie pojedyncze krople, lecz strumienie łez kapiących na podkoszulek. Płakał, zachłystując się powietrzem niczym kosiarka do trawy, gdy trafi na kopczyki ziemi zrobione przez krety; wciągał powietrze nosem, ręce trzymał na głowie, łokcie miał rozłożone, kolana mu drżały, z wielkich brązowych, nabiegłych krwią oczu płynęły strumienie łez, jak woda z kranów przy placu apelowym. Slaight dławił się, dławił się płaczem, z największym trudem łapał powietrze, kiedy zginając się w pasie, chował głowę między kolana, oddychał ciężko przepo-  
ną, próbował jak najdłużej utrzymać powietrze w płucach.

Lugar i Buck spoglądali na siebie i nie wiedzieli, co robić. Bloomingburg zerwał się z łóżka, podszedł do siedzącego na biurku Slaighta i mocno go objął. Ry wtulił zapłakaną twarz w jego brzuch. Za każdym razem, gdy Slaight ponownie zaczynał rozpaczliwie walczyć o oddech, Bloomingburg przytulał go mocniej. Starał się oddychać w rytm oddechu Slaighta i uspokoić go, ukoić jego ból. W końcu Slaight ucichł i trwał nieruchomo w objęciach Jaya Bloomingburga. Zabrakło mu łez.

Czuł się pusty i wydrażony. Egoistycznie czerpał moc z tego głęboko religijnego chłopaka, którego zawsze brał za cel swych docinków. Sprawiał, że Bloomingburg stał się obiektem żartów i kpin. Największym problemem Jaya było to, że naprawdę wierzył w Boga. I nikt nie potrafił mu tej wiary odebrać. Nawet znany w całym korpusie Billy Dickey, obibok i krętacz pochodzący z bardzo dobrej rodziny w Raleigh w Karolinie Północnej, nabił Jaya kilkakrotnie w butelkę, dając mu szansę zagrania w loterii kadetów, znanej jako „łańcuszek świętego Antoniego”. Bloomingburg, choć studiował już na najwyższym roku, wciąż pozostawał naiwny i łatwowierny jak rekrut. Większość chłopaków z kompanii była mu winna pieniądze, które pożyczał im i nigdy nie domagał się ich zwrotu. Slaughter uważał go za osobliwość - milego dziewiętnastowiecznego dżentelmena, który przez przypadek trafił do nędznego przytułku pełnego prostaków i głupców.

I teraz ten Bloomingburg trzymał go w ramionach. Kto, widząc tę scenę, potrafiłby odróżnić silnego od słabego? Nikt nie wie, co kryje się w sekretnych zakamarkach serc kadetów. Nie wiedział tego Slaughter ani Buck, ani Lugar.

A Jay Bloomingburg?

Slaughter próbował zebrać w sobie resztkę sił. Przyszło mu to łatwo, a zatem nie były one wcale takie wątłe, jak sądził. Uniósł głowę i popatrzył w twarz Jaya. Usta Bloomingburga poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Lugar i Buck nie widzieli tego, ponieważ Jay stał do nich tyłem. Slaughter nie ruszał się, dopóki Bloomingburg nie skończył modlitwy. Spojrzał mu w oczy i uśmiechnął się.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Jay. - Wiem, przez co przeszedłeś. Sprawy się wyprostują.

Slaughter nie spuszczał wzroku z jego twarzy. Wierzył mu. Wierzył bez zastrzeżeń, Jezu! Było to niesamowite. Popadł w ogromne kłopoty, a mimo to wierzył Bloomingburgowi bez zastrzeżeń, na ślepo. Na twarzy Jaya malował się dziwny wyraz, jakiego Slaughter nigdy jeszcze nie widział. Wynikało z niego, że chłopak o wszystkim wie. Po prostu wie.

- Dzięki, człowieku - wychrypiał z trudem Slaughter. - Straciłem panowanie nad sobą. Przepraszam, nie chciałem. Ale to

nocne gówno z kodeksem honorowym... Człowieku! Powinni tych chłopaków ubrać na białą i rozprawy takie prowadzić jawnie.

Bloomingburg bez słowa podszedł do łóżka i wziął Biblię.

- Jay, jeśli będziesz czegoś potrzebował... - Slight zawiesił głos.

- Jasne! - rozpromienił się Bloomingburg. - Gdybyś mógł w przyszłym tygodniu pomóc mi przy wyborze zadań. Wiesz, zawsze wybieram zbyt obszerny temat i kończy się na tym, że muszę przestudiować pięćdziesiąt książek, a i tak w końcu dostaję pałę, jeden koma dziewięć albo i mniej, na trzy koma zero możliwych. Pomożesz mi wybrać temat i pokażesz, jak ty sobie z tym radzisz. Obserwowałem cię. Spędzasz godzinę w bibliotece, godzinę w czytelni czasopism, zajrzysz do czterech książek i masz jak w banku dwa koma osiem lub koma dziewięć.

- Twoje słowa. Jasne, pomogę ci.

Slight roześmiał się. Wszyscy się roześmiali. Dochodziła trzecia nad ranem, ale w pokoju zapanowała atmosfera, jakby w ciągu ostatnich trzech godzin nic się nie zdarzyło. Buck otworzył „Timesa” i sprawdził program telewizyjny.

- O, do licha! - zawołał, skupiając na sobie powszechną uwagę. - Za dziesięć minut na Channel 5 zaczyna się „Thunder Road”. Może zejdziemy na dół, weźmiemy coca-cola i obejrzymy film. Chłopaki, powinniście obejrzeć „Thunder Road”. Choćby dla samej muzyki.

- Czy mogę pójść z wami? - zapytał Bloomingburg.

Nigdy dotąd nie oglądał szaleństw prezentowanych przez telewizję w nocy. Nigdy!

- Jasne - odrzekł Buck. - Tylko weź ze sobą koc. W suterenach jest zimno.

- Ominie cię poranna msza, Jay - zakpił Lugar.

Na policzkach Bloomingburga wykwitł krwisty rumieniec.

- Lugar, zamknij japę - warknął Slight. - Bóg tym razem okaże wyrozumiałość.

- Jasne - przytaknął Buck. - Chodźmy.

Oglądali Roberta Mitchuma prowadzącego szybkie samochody kupione za łatwe pieniądze i umierającego młodo.



Spać poszli o piątej, na godzinę przed pobudką. Tego dnia kompania D-3 mało ich widziała, gdyż każdą wolną chwilę poświęcali kimkom.

## 33.

Czwartek, trzydziesty pierwszy października 1968 roku. Południe. Rekrut pełniący funkcję gońca dostarczył do pokoju dwieście dwadzieścia sześć list. Na niebieskiej kopercie widniało nazwisko Slaighta. Charakter pisma wydał mu się znajomy. Wsunął list do kieszeni munduru i udał się na zbiórkę. Pułk maszerował na lunch. Kiedy skręcili w Brewerton Road, poczułi zapach płynący z kuchni. Wszystkie kompanie westchnęły unisono. Kotlety cielęce. Brukselka. Tłuczone kartofle. Zapach był taki, jakby jedzenie gniło na stołach od poprzedniego dnia. Mdły zapach brukselki mieszał się z wonią taniej cielęciny, smażonej na oleju po frytkach. Jęk zawodu kompanii słychać było zapewne aż na placu apelowym, a niedobrym jedzeniem kantyna śmierdzić będzie przez kilka dni.

Slaight ulokował się przy stole w rogu sali i otworzył kopertę. List był od Samantha. Miała zdecydowany, kanciasty charakter pisma, nie było w nim owych pozaokrągłych „t”, „p” i „g”, w czym lubują się dziewczęta. Chciała wiedzieć, co nowego wydarzyło się w sprawie jej brata. Pisała, że w Vassar ma dużo nauki, a życie jest nudne... Pięć dni żmudnego wkuwania i weekend spędzany na randkach z chłopakami z okolicznych uczelni Ivy League. Dlatego też Slaight nazywał Vassar- West Point Plejad. Dziewczęta z Vassar nie mogły doczekać się weekendu; podobnie jak kadeci.

Pod koniec listu Samantha napisała, że ponownie dokładnie przejrzała listy brata. Dużo czasu zajęło jej, nim zdobyła się na odwagę i zrobiła to. Odkryła, że David miał, oprócz Slaighta,

obsesję na punkcie jeszcze jednego człowieka, niejakiego Williama Beatty'ego. Załączyła odbitkę ksero listu, w którym jej brat po raz pierwszy wspomniał o Beattym.

„W zeszłym tygodniu całkiem przypadkowo spotkałem tego prawdziwego dżentelmena z Waszyngtonu. Maszerowałem w sobotę po Równinie, kiedy zatrzymał samochód i zapytał, czy mnie nie podrzucić. Wsiadłem do auta choćby tylko po to, by się ogrzać. Był to jeden z tych naprawdę zimnych dni grudniowych. Ów dżentelmen nazywa się William Beatty i pełni funkcję któregoś z zastępców sekretarza obrony w Pentagonie. Często pojawiał się w West Point, gdzie zna wielu kadetów i oficerów. Zapytał mnie, czy chcę pójść z nim na kolację w Thayer, a ja skwapliwie wyraziłem zgodę. Trafiła mi się nie lada gratka! Wieczór był niezwykle sympatyczny. Pod koniec Beatty spytał, czy chcę towarzyszyć mu podczas porannego nabożeństwa w kaplicy. Kolejna wyśmienita okazja. Mogłem pójść na późniejszą mszę i nie zrywać się o ósmej. Razem zjedliśmy w kantynie śniadanie. Ten człowiek wywarł na mnie ogromne wrażenie - jest niebywale inteligentny i doskonale orientuje się w sprawach wojskowych. Dziwna rzecz, ale znał chyba wszystkich, którzy w niedzielny poranek pojawili się w kantynie. Podchodzili do niego wszyscy znaczący kadeci z najwyższego roku, by zamienić kilka słów, a co więcej - większość z nich, mimo że nie należą do mego pułku, rozpoznawała również mnie. (Aż do Czerwcowego Tygodnia kadeci nie rozpoznawali rekrutów wchodzących w skład ich pułku). Beatty obiecał, że pojawi się po Bożym Narodzeniu, a wtedy ponownie się spotkamy. O, tak, zapewnił mnie, że jeszcze w tym roku załatwi mi wstąpienie do Klubu Spraw Wojskowych, dzięki czemu od przyszłego roku będę odbywać rokrocznie dwie wyprawy do Pentagonu. Obiecał, że wszystkim przedstawi mnie osobiście. Jest to człowiek, który wywarł na mnie największe wrażenie od czasu, kiedy zostałem kadetem. Pomyśl, Siostrzyczko, on przecież nawet nie jest oficerem! Czyż to nie wspaniałe?”

Slaight dwukrotnie przeczytał list, po czym przekazał go Lugarowi i Buckowi. W drodze na zajęcia podrzucił pismo Bassettowi. Spostrzeżenia Davida Handa odnoszące się do weekendu spędzonego z Williamem Beattyem były niezwykle trafne. Pasowały dokładnie do tego, co Slaight o nim słyszał. Beatty stwarzał wokół siebie aurę władzy... uwodził władzą... Tak, dokładnie tak, uwodził władzą... Epatował plotkami z Pentagonu i obiecywał zapoznać kadetów z ludźmi będącymi u władzy. Slaight wiedział, że zapraszał kadetów do Pentagonu pod byle pretekstem. Jeśli kadet z najwyższego roku zamierzał wstąpić do piechoty, Beatty organizował lunch z pułkownikiem kierującym działem kadr naczelnego dowództwa piechoty. Z człowiekiem, który wyznaczał stanowiska na wszystkich posterunkach na całym świecie. Jeśli kadet wykazywał wielkie zainteresowanie i zdolności w dziedzinie techniki artyleryjskiej, który to przedmiot wykładano w akademii, organizował wycieczkę do ośrodka badawczo-rozwojowego w Fort Belvoir. Jedynym elementem niepasującym do tego obrazu był sam David Hand. O co chodziło Beatty'emu, że okazywał takie względy zwykłemu rekrutowi? Jego protegowanymi byli kadeci z najwyższego rocznika. Rekruci mieli jeszcze przed sobą trzy lata, zanim miały przydać się im znajomości w Pentagonie i wojskowych ośrodkach badawczych.

Gdy o piętnastej piętnastcie, po dwóch kolejnych wykładach, Slaight wrócił do koszar, dyżurny wręczył mu dwie wiadomości: „1. Spotkaj się dziś z Bassettem. 2. Spotkaj się z komendantem o siedemnastej trzydziści w piątek, pierwszego listopada 1968 roku”.

A zatem następnego dnia.

Bassett chciał pogawędzić. Tak jak się spodziewali, żądanie Slaighta powołania rzecznika praw podczas rozprawy przed radą do spraw postawy żołnierskiej mocno opóźniło całą procedurę. Slaight opowiedział o nieudanej próbie oskarżenia go o złamanie honoru, jakie Hedges wysunął przeciw niemu w ostatni poniedziałek. Bassett nabił fajkę, przytknął płonąca zapalkę i podpalił tytoń. Małe, pozbawione okna pomieszczenie wypełnił dym, szybko wciągnięty przez wentylator umieszczony pod plastikową wykładziną u sufitu, zakrywającą ponadto lampy fluorescencyjne, przewody grzewcze i klimatyzacyjne

oraz instalację elektryczną. Wszystkie sale wykładowe w Thayer Hall były podobne - pozbawione okien i oświetlane lampami fluorescencyjnymi. Dawalo się w nich wytrzymać, bo miały jasne ściany i siedziało w nich naraz piętnaście - szesnaście osób - tyle liczyły poszczególne klasy. O pokoiku Bassetta żadną miarę nie dawalo się tego powiedzieć. Tutaj, aby wytrzymać pośród zorganizowanego chaosu, trzeba było nieustannie głużyć się czarną kawą i dymem tytoniowym.

Bassetta nie zdziwiło powołanie podkomisji. Jego zresztą nigdy nic nie dziwiło, gdyż najwyraźniej doszedł do wniosku, że wszelkie dziwactwa w West Point są rzeczą normalną. Zgoła można było odnieść wrażenie, że kiedy dzień w West Point minął bez żadnego incydentu, Bassetta bardzo to przygnębiało. „Za cicho i za spokojnie - mruczał. - Trzeba lepiej nastawić antenę” - chichotał i cytował slogan z nalepek na zderzakach autobusów volkswagena, którymi podróżowali hipisi: „Paranoja nagradza się sama”.

Slaight nie zdążył jeszcze przyzwyczać się do ciasnoty panującej w biurze Bassetta, kiedy prawnik rozsunał na boki zalegające biurko papiery, robiąc trochę miejsca, i wyciągnął z szuflady trzy napisane na maszynie dokumenty. Jeden z nich stanowił oficjalne polecenie Hedgesa, by usunąć Slaighta ze składu kadetów oddelegowanych na SCUSA. Nie mieli więc już interesu do wystraszonego oficera sprawującego opiekę nad komitetem.

Drugi dokument zawierał zaadresowany do komendanta raport kadetów z podkomisji o bezzasadności zarzutów stawianych Rysamowi Parkerowi Slaightowi III.

Zalecamy zamknięcie sprawy - brzmiała ostatnia linijka pisma.

- „Zalecamy”! - wykrzyknął Slaight i rozkaszał się. -Komu zalecają? Hedgesowi czy przewodniczącemu rady honoru?

- To chyba jasne.

Bassett podał mu kopertę, w której pierwotnie znajdowało się pismo. Widniał na niej wypisany drukowanymi literami adres: Generał brygady Charles Sherrill Hedges, komendant kadetów.

- To zadaje ostatecznie kłam mitowi, iż to „kadeci kierują kodeksem” - zauważył Slaughter.

- Wcale nie - odparł Bassett, unosząc w rozbawieniu brwi. - A jak myślisz, skąd zdobyłem ten drobiazg? Dzięki boskiej interwencji?

- Właśnie, skąd?

- Od jednego z kadetów z twojego roku. Niektórzy z nich doszli do takich samych wniosków co ty i postanowili wziąć wszystko w swoje ręce. Pochodzą głównie z Czwartego Pułku. Nie jestem upoważniony, by wyjawić ci nazwisko osoby, od której dostałem ten dokument... Rozumiesz, tajemnica zawodowa... ale wolno mi pokazać ci ten papier. Masz w „czwórce” więcej przyjaciół, niż ci się wydaje. Na moje oko około setki. Stworzyli najzgrabniejszy system oszukaństw, jaki w życiu spotkałem.

- I od jednego z nich dostał pan ten raport? W grę może wchodzić jedynie reprezentant honoru. Chryste!

Bassett uśmiechnął się i z zadowoleniem pociągnął dym z fajki.

- Tajemnica zawodowa - powtórzył.

Slaughter siedział jak skamieniały. A zatem w Czwartym Pułku co najmniej jeden z reprezentantów honoru był zamieszany w te matactwa. No, no!

- Rzuć też okiem na to - mruknął Bassett, zerkając znad okularów na Slaughter'a.

Czubek jego czerwonego nosa przypominał niewielką śliwkę.

Slaughter przeczytał pociucha. Było to przesłane skądś teleksem zeznanie. Przed skserowaniem dokumentu dane identyfikacyjne zostały zalepione taśmą. Slaughter przebiegł wzrokiem tekst. Zatrzymał się dopiero na zdaniu, w którym była mowa o znalezieniu na miejscu zbrodni epoletu kadeta z drugiego roku.

- A więc przy Handzie znaleziono epolet „krowy”?

- Czytaj dalej. Znaleziono go pod schludnie złożonym mundurem Handa. Nie zapominaj, że kiedy go wyłowiono, był goły jak nowo narodzony.

Slaughter z uwagą zaczął studiować dokument. Teleks stanowił kopię złożonych pod przysięgą zeznań żandarma, który

tamtego ranka znalazł się na miejscu zbrodni. Obok kompletnego munduru Handa, wraz z osobistymi drobiazgami, obuwaniem i tak dalej, znaleziono epolet „krowy” - kadeta z rocznika Slaighta, ponieważ wtedy, w maju, kiedy utonął Hand, byli jeszcze „krowami”. Epolet zresztą szybko zniknął bez śladu, a w dwa dni później żandarm został wysłany do Korei. Slaight, z dziwnym wyrazem twarzy, oddał kapitanowi płociucha.

- Mój kolega, z którym studiowałem prawo na Harvardzie, nie miał tyle szczęścia co ja i teraz nudzi się jak mops w Seulu. Pewnego wieczoru, za pośrednictwem głównej centrali telefonicznej Pentagonu, skontaktowałem się z nim i poprosiłem, by odszukał tego żandarma. Znalazł go i skłonił do zwierzeń.

Basset wysypał z fajki popiół, ponownie ją nabił i znów zapalił.

- Jak więc widzisz, krąg podejrzanych bardzo się zacieśnił. Handa w gimnazjum werbował, oprócz kadeta, który ukończył akademię w sześćdziesiątym ósmym roku, ktoś z twego rocznika.

- Jezu, to rozwiązuje sprawę.

- Nie tak szybko, Slaight. Nie wyciągaj przedwcześnie wniosków. Skradaj się tak, żeby wniosek nie zorientował się, że już się zbliżasz.

Bassett wyszczerzył zęby. Wyraz radości na jego okrągłej twarzy był zaraźliwy.

- Na początku tego tygodnia zostałem po pracy i wykonałem kilku telefonów do *alma mater* Davida Handa, do jego gimnazjum. Przewodniczka kadetów, zajmująca się z ramienia szkoły organizacją spotkań werbunkowych, powiedziała mi, kto prowadził zajęcia tamtego dnia. Ci sami, których wyznaczyła sama akademia. A zatem powinniśmy bez trudu dojść prawdy. Kadeci są tak cudownie... przewidywalni.

- Jakbym sam tego nie wiedział - mruknął Slaight.

- Owa przewodniczka, która robiła wszystko, by mi pomóc, dostarczyła jeszcze trzech interesujących informacji. Słuchaj uważnie. Jeden z kadetów z twojego roku, pochodzący z Nowego Orleanu, cały wolny czas spędzał w domu rodzinnym. Drugi, z tej samej kompanii - dzielili pokój w akademii - nieustannie

mu towarzyszył. Każda chwila ich pobytu w Nowym Orleanie jest doskonale znana. Trzeciemu kadetowi, z najwyższego roku, zarezerwowała pokój w jednym z większych hoteli w Dzielnicy Francuskiej. Przewodniczka zresztą odegrała największą rolę w podjęciu przez Handa decyzji o wstąpieniu do West Point. I to ona przedstawiła Handa kadetowi z ostatniego roku. Powiedziała, że Hand, gdy z nim później rozmawiała na temat przysyłanych studiów w akademii wojskowej, często powoływał się na tego kadeta. Kadet, który ukończył West Point w sześćdziesiątym ósmym roku, wywarł, jak to określiła, „piorunujące wrażenie na Davidzie”.

- Zapamiętała jego nazwisko?

- Naturalnie. Figuruje ono w rejestrze naszego biura mel-dunkowego. Pamiętała nawet, że wkrótce po wyjeździe Handa do West Point dostała od niego list, w którym bardzo się skarżył. Odniosła się jednak do tych skarg sceptycznie. Początkowo wyższe uczelnie w oczach nowicjuszków nigdy nie okazują się takie, jakie się wcześniej wydawały. Tak czy owak, zapamiętała, że Hand skarżył się w liście, iż podczas „chlewni” dowódca jego drużyny nie dorasta do wyobrażeń, jakich nabral o kadetach podczas rozmów z werbującym go wysłannikiem.

Bassett znów zachichotał, dym z fajki zdawał się płynąć mu nawet z uszu.

- Nie byłś dla niego podręcznikowym wzorem kadeta. Oświadczył jej, że w paczce, którą otrzymał, znajdował się nie ten towar, który zamawiał. „Stara historia” - dodała. Bystre babsko.

- A więc mamy zabójcę - odparł Slight i nagle opuściło go całe podniecenie.

Tak zresztą często bywa, kiedy sprawa dobiega końca.

- Nie tak szybko. Wciąż pozostaje trzech kadetów, którzy w tym czasie również przebywali w Nowym Orleanie. Zgodnie z tym, co powiedział ci ów ubrany na niebiesko chłopak, istnieje duże, bardzo duże prawdopodobieństwo, że kadet ten jest poszukiwanym przez nas człowiekiem. Jeśli rozpozna go na zdjęciu w księdze pamiątkowej, powiedziałbym, że sprawę mamy zamkniętą. Sposobność... motyw...

- A co z epoletem „krowy”?

- Zwyczajny zabieg dla zmylenia śledztwa. Zapewne sądził, że wszczęte zostanie wnikliwe dochodzenie. Czyż istniał lepszy sposób, by skierować podejrzenia na kogoś z twojego rocznika, a samemu w tym czasie ukończyć akademię i na dobre opuścić West Point? Klasyka! Mogę podać ci wiele przykładów... O, choćby taki...

- Daj spokój, Clifford. Przykłady zostaw „krowom”, z którymi prowadzisz w tym roku zajęcia. Mnie interesuje przypadek Davida Handa i to, w jaki sposób możemy przyszpilić tego drania. Jutro o siedemnastej trzydzieści mam stawić się u komendanta. Nie wiem, co będzie. Kiedy okazało się, że diabli wzięli jego oskarżenie, iż splamilem honor kadeta, wpadł w furję. Potrzebuję dokładnej porady prawnej. Prawniku Bassett, jaką radzisz przyjąć strategię w Halloween? Podrzucić coś albo sprawić ci psikusa\*.

\* W oryginale: *Trick or treat*. Formułka dzieci, które w wieczór Halloween, chodząc po domach, dopraszają się łakoci (przyp. tłum.).

Obaj wybuchnęli śmiechem, po czym Bassett polecił sekretarce zaparzyć kawę.

- Dwie rzeczy - powiedział Bassett, kopiąc z fajki jak lokomotywa.

Zawsze, ilekroć gotów był, jak to określał, wyciągnąć „najcięższą artylerię”, mawiał „dwie rzeczy” albo „trzy rzeczy”.

- Pierwsza. Poradzono mi, bym od dzisiaj nie udzielał porad prawnych Rysamowi Parkerowi Slightowi III.

- Kurwa, jak to?

- Dziś rano wezwał mnie do siebie pułkownik, szef wydziału prawniczego, mianowany profesor prawa, i oświadczył, że nie wolno mi dłużej służyć ci pomocą. Powiedział, że jeśli potrzebujesz obrońcy, mogą ci kogoś wyznaczyć. Wyjaśniłem, że to ty sam się do mnie zgłosiłeś oraz że regulamin armii gwarantuje każdemu żołnierzowi doradztwo prawne zgodnie z jego wyborem, chyba że sytuacja militarna sprawia, iż procedura taka jest niemożliwa lub niepraktyczna. Albo zbyt kosztowna. Ja mam dużo wolnego czasu, gdyż większość spraw zakończyłem.



Slaight rozejrział się po zagraconym pokoiku. To, co mówił Bassett, wprost nie mieściło mu się w głowie.

- Obowiązki wykładowcy nie zabierają mi wiele czasu. W tej chwili prowadzę tylko dwie sprawy. Podalem mu każdy powód, jaki przyszedł mi do głowy, byle tylko zostać twoim obrońcą. W końcu uciał tę dyskusję i kazał mi robić to, co powiedział, i wynosić się do wszystkich diabłów. Przed wyjściem zapytałem, czy to oficjalny rozkaz. Odpowiedział... mam tu gdzieś zapisane jego słowa: „Jeśli podejmiesz się obrony tego fiuta Slaighta i będziesz dalej zajmować się sprawą Handa, osobiście dopilnuję, byś dwanaście miesięcy, jakie ci jeszcze pozostały, spędził w Wietnamie”. Właśnie na to czekałem. W obecności pułkownika pośpiesznie spisałem jego słowa, naniosłem datę, podpisałem się i poszedłem do jego sekretarki, by oficjalnie potwierdziła autentyczność podpisu, daty i godziny. Następnie wróciłem do gabinetu pułkownika z kopią jego groźby i oświadczyłem, że jeśli sięgnie po telefon, by wydać stosowny rozkaz o wysłaniu mnie do Wietnamu, zanim jeszcze zdąży się z nim skontaktować wojskowe biuro śledcze w Pentagonie, będzie miał na biurku list z sądu okręgowego, nakazujący mu natychmiastowe wstrzymanie wszelkich akcji skierowanych przeciwko mnie. Wkurzył się okropnie, ale nie zająknął się już słowem o tym, abym nie występował w charakterze twojego obrońcy. Działam więc w dalszym ciągu, o ile nasz układ pozostaje w mocy.

- Jezu! Próbowali dobrać się i do ciebie!

- Zgadza się. Ale robiąc to, sami się zdradzili. Nie robiłem tajemnicy z tego, że mam kopię tego teleksu. Próbowali zastraszyć mnie Wietnamem. Mam własną teorię na ten temat. Dobrze znasz, Slaight, mój stosunek do wszelkich teorii i spekulacji, ale ta narzuca się sama. Sądzę, że dobrze wiedzą, kto zabił Davida Handa. Wiedzą, że i my jesteśmy o krok od rozwiązania zagadki. Chwytają się wszystkich sposobów, by nas powstrzymać. To wyjaśnia, dlaczego straszili mnie Wietnamem, śledzili twoją dziewczynę, nielegalnie przeszukiwali twój pokój, poroniony pomysł z oskarżeniem cię o złamanie kodeksu honorowego, no i stanowisko rady do spraw postawy żołnierskiej.

Oficerowie przypominają chirurgów. Lubią ciąć. Oj, lubią. Kiedy widzą coś niedobrego, ich pierwszym odruchem jest to odciąć. O resztę ciała martwić się będą później. W sprawie Davida Handa tyle już wycięli, że zacząłem rozumieć ich styl. Stylem jest William Beatty, moja ulubiona postać w naszej amatorskiej operze mydlanej. Wiemy tyle: był, nazwijmy to, bliskim przyjacielem Davida Handa. Z tego, co mówił ci szef kompanii, Beatty siedzi po szyję w jakichś machinacjach Pentagonu związanych z przypadkiem Handa. Ale pasuje też do obrazu w sposób jeszcze bardziej interesujący.

- W jaki?

- Jest dobrym znajomym pułkownika Addisona Thompsona - wyjaśnił poważnym tonem Bassett.

Zerknął na rozłożone przed sobą notatki, jakby liczył na to, że odpowiedź sama wpadnie mu do głowy. Nazwiskiem szefa wydziału nauk społecznych West Point nie można było bezkarnie pomiatać. Mimo to pułkownik, poprzez Williama Beatty'ego, był wplątany w sprawę śmierci Davida Handa.

- Jak zapewne wiesz, pułkownik Thompson jest uważany za wzór akademika. Ma dyplomy Bóg jeden wie ilu najbardziej renomowanych uczelni i uniwersytetów, w tym większość Ivy League. Uważany jest za człowieka, który zliberalizował system nauczania w West Point, wprowadzając wiele przedmiotów z dziedzin granicznych, skoncentrowanych na pewnych obszarach wiedzy, i odrzucił schematyczny plan nauczania obowiązujący w West Point od początku jego istnienia. Dla wielu osób, jak kraj długi i szeroki, pułkownik Thompson uosabia nowoczesną akademię wojskową. Wniósł wielki wkład w stworzenie akademii sił powietrznych. Jedną trzecią roku spędza w Pentagonie jako doradca w sprawach związanych z bezpieczeństwem narodowym. Dla świata zewnętrznego, który go wielbi, jest profesorem honorowym armii.

- I co?

- A to, że to wyłącznie fasada pułkownika Thompsona. Mniej znany publiczności, lecz wysoko ceniony przez rząd i świat wielkiego biznesu jest początek jego kariery. Podczas drugiej wojny światowej był głównym współpracownikiem

generała George'a C. Marshalla, szefa sztabu armii. Wielu historyków wojskowości właśnie Thompsonowi przypisuje autorstwo planu, znanego później pod nazwą Planu Marshalla, ekonomicznej odbudowy Europy po zniszczeniach wojennych. W pewnych kręgach mówi się, że pułkownik Thompson był jednym z autorów Aktu Bezpieczeństwa Narodowego z roku 1947, na mocy którego powołano do życia CIA. Thompson pełnił funkcję doradcy każdego z dyrektorów Agencji od czasów Dullesa. Utrzymuje ścisłe kontakty, oficjalne i nieoficjalne, z radą nadzorczą „Timesa”, z największymi bankierami i maklerami z Wall Street oraz z większością członków Rady do Spraw Stosunków Międzynarodowych. Ale najbardziej zdumiewające w Thompsonie jest to, że potrafi utrzymywać swe wpływy... Nie, to nie tak. Potrafi utrzymywać swoje rosnące wciąż wpływy, bez względu na to, czy u steru rządu stoi partia republikańska czy demokratyczna. Obie strony uważają go za szczerego patriotę, rzecznika interesów kraju, naukowca i dżentelmena. I nosi, naturalnie, oficerskie szlify. Z tych pięciu kapeluszy, jak to nazywam, które nosi, największą grozę budzi kapelusz patrioty. Nie ma bowiem nic gorszego od patrioty bez określonych poglądów politycznych. Wystarczy przypomnieć lekcję historii, jaką w latach trzydziestych dał światu Hitler.

- Jezus! Z twoich słów wynika, że pułkownik Thompson jest kimś o wiele, wiele więcej niż jedynie szefem wydziału nauk społecznych.

- A coś ty myślał! Ale to nie wszystko. Zgodnie z opinią moich przyjaciół z Harvardu, interesujących się stosunkami międzynarodowymi, poglądy polityczne Thompsona niewiele się zmieniły od czasów McCarthy'ego. W kręgach wojskowych nazywają go Wielkim Białym Liberałem. Łatwo być liberałem w takim małym i schludnym getcie, jakim jest West Point. Twierdzi się, że poza akademią, w sprawach stosunków wewnętrznych i międzynarodowych, nasz pułkownik nie jest już takim liberałem.

- Wojna?

- W wojnie w Azji Południowo-Wschodniej był rzecznikiem poglądu, że nalotami bombowymi powinniśmy sprowadzić przeciwnika do epoki kamienia łupanego.

- A William Beatty jest bliskim kumplem pułkownika Thompsona?

- Tak, kumplem i protegowanym. To Thompson posadził go w Pentagonie na miejscu, które obecnie zajmuje. Beatty całą swoją karierę zawdzięcza pułkownikowi. Obecne stanowisko Beatty'ego sprawia, że obracają się w tych samych kręgach, spotykają się z tymi samymi ludźmi, chodzą na te same przyjęcia, utrzymują kontakty towarzyskie z tymi samymi potentatami przemysłu obronnego, bankierami i czołowymi postaciami z Wall Street. Każdy wie, że możliwości pułkownika Thompsona są ogromne. W Waszyngtonie ma rozleglej sze stosunki niż sam prezydent, choćby z tego względu, że przebywa tam dłużej od niego. Był tam już, kiedy wszystko się zaczęło. Tam wszyscy są coś winni pułkownikowi. Podobnie jak William Beatty.

Bassett zapalił wygasłą fajkę.

- Tak więc myślę, że kluczową postacią w naszej historii jest właśnie Beatty, a wszystkie tropy wiodą prosto do pułkownika Thompsona. Mimo to muszę ci uczciwie wyznać, że nie mam zielonego pojęcia, o co w tym tak naprawdę chodzi. Większość materiałów dotyczących Thompsona jest już tak stara, że wyparowała z nich cała woda. A więc człowieka tego otaczają wyłącznie wyschłe studnie. Pragnę jednak zapewnić cię, że na miejsce każdej wyschłej studni on napelnia wodą dziesięć nowych.

- Jaki więc związek zachodzi między Davidem Handem a Williamem Beattym i pułkownikiem Thompsonem?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, moglibyśmy zamknąć nasz kramik.

- Racja.

- Tak więc, gdy spotkasz się z Hedgesem, wykorzystaj każdą nadarzającą się okazję i spróbuj podrażnić go w kwestii Beatty'ego. Zobacz, jak zareaguje. Ja też już trochę porozpytywałem. Nasz przyjaciel Hedges, jako kadet, należał do pierwszych studentów pułkownika Thompsona, kiedy ten opuścił Waszyngton na stałe i objął profesurę w West Point. Niewątpliwie utrzymywali bliskie kontakty w czasach, gdy w biurze sekretarza obrony Hedges pełnił funkcję oficera łącznikowego między

DIA i CIA. Thompson do dzisiaj ma kumpli w obu tych agencjach. Jestem pewien, że Thompson i Hedges utrzymują ze sobą bardzo bliskie kontakty.

- Chryste! Kopiemy i kopiemy i ciągle nie widać dna!

- Tak, Ry, właśnie tak. Gdybyś tak jak ja studiował prawo, dostrzegłbyś to samo, że analizując poszczególne przypadki, cofasz się coraz bardziej w przeszłość, szukasz precedensu, który da ci punkt zaczepienia, jakiejś drobnej, lecz kluczowej informacji, interpretacji prawnej, którą będziesz mógł zastosować do zaistniałej sytuacji. Ale ty byłeś... eee... jednym z moich lepszych studentów, na poziomie dwa koma trzy. Jak na kadeta byłeś dobry, ale nie wkładałeś w naukę serca.

- Bez urazy, ale prawo nie jest moim ulubionym przedmiotem.

- A jaki najbardziej lubisz? Jestem ciekaw.

- Mechanikę. Zarówno z mechaniki ciał stałych, jak i cieczy mam dwa koma osiem.

- Mechanika?

Bassett schował fajkę i uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Tak, w mechanice jest coś... schludnego. Wszystko się bilansuje. Nazywają to rozkładem sił. Zawsze lubiłem to określenie.

- Rozumiem.

Bassett rozparł się na krześle i położył nogi na zawalonym papierami biurku. Buty miał niewypastowane.

- Kapitanie? Dziękuję, że w utarczce z profesorem prawa stanął pan po mojej stronie. Z moją średnią dwa koma trzy z prowadzonych przez pana zajęć nie zasłużyłem sobie na takie względy.

Obaj roześmiali się.

- Nie ma sprawy, Slaughter. Jeśli wyślą mnie do Wietnamu, będę siedział w jakiejś klimatyzowanej przyczepie i zajmował się skargami, tak samo jak tutaj. Znudzony jak małpa huśtająca się na oponie. Ale teraz przynajmniej coś się w akademii dzieje. Posłuchaj, po jutrzejszym spotkaniu z Hedgesem musimy się natychmiast spotkać.

- Tutaj, w biurze?

- Nie. W klubie oficerskim. Będę czekać w barze. Jutro

wieczorem jest *Happy Hour*\*. W takie dni zawsze pojawia się tam wielu gości z wydziału taktycznego. Utrzymy im trochę nosa. Niech mają o czym gadać.

Bassett zachichotał, okrągłą twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech.

- *Happy Hour*. Jezu!
- Tak, panie Slaughter. *Happy Hour*.
- A więc do zobaczenia.

Slaughter spiesznie opuścił biuro prawnika. Czekają go jeszcze dużo pracy. Musiał zadzwonić do kilku osób. Do spotkania z Hedgesem pozostały zaledwie dwadzieścia cztery godziny.

\* W niektórych barach i restauracjach określona pora, kiedy alkohol lub jedzenie sprzedawane są po niższych cenach (przyt. tłum.).

## 34.

Piątek, pierwszy listopada 1968 roku. Godzina siedemnasta trzydzieści.

- Sir, zgodnie z rozkazem kadet Slaughter melduje swe przybycie.

- Niech pan siada.

Slaughter zajął miejsce na krześle. Wszystko wyglądało jakoś inaczej... Nieformalnie. Komendant siedział za biurkiem, marynarkę munduru miał rozpiętą, rozpiętą pod szyją koszulę i przekrzywiony krawat. Kończył jakąś papierkową robotę. Slaughter czekał.

- Wezwałem pana, panie Slaughter, aby poinformować, że sprawa rekruta Davida Handa została definitywnie zakończona. Tak więc nie musi pan się już niczym martwić. Proszę wrócić do koszar i cieszyć się ostatnim rokiem studiów. Jak to powiedzieć? Zwrócił pan uwagę na... eee... pewne kwestie i

dzięki temu udało się sprawę rozwiązać. Jakież pytania?

Hedges bacznie patrzył Slaughterowi w oczy.

- Rozwiązać? Co to znaczy rozwiązać, sir?

- Wyjaśnić. Zakończyć. Może pan już nie zajmować się Handem. Proszę wrócić do koszar i zachowywać się jak kadet, a nie jak detektyw z taniej powieści kryminalnej.

- Wciąż nie rozumiem, sir. Hand został zamordowany. Chcę wiedzieć, kto go zabił i co się stanie z mordercą.

- Masz rację, Slaughter - odrzekł Hedges, żując słowa jak kawałek żyłastego steku. - Ten pedzio został zamordowany, a człowiek, który go zabił... wybrał jedyne honorowe wyjście. Ochotniczo zaciągnął się do Wietnamu. Już tam przebywa i jest dowódcą jednego z plutonów w Wielkiej Czerwonej. Służy na pierwszej linii.

- Honorowe? Honorowe?! - Slaughter odruchowo podniósł głos o oktawę. - Generale Hedges, czy pan sobie ze mnie kpi? Mówi pan o morderstwie Handa, a następnie o honorowej karze, jaką jest Wietnam?

- Tak, synu. Ten człowiek już tam przebywa. Walczy na pierwszej linii. Ochotniczo wstąpił do jednostki zwiadu dalekiego zasięgu. Honorowa służba.

Slaughterowi ze zdumienia odjęło mowę. Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Od tej chwili będzie zwracać się do Hedgesa „generale”, subtelna różnica, ale człowiek pokroju komendanta powinien ją zrozumieć. Nigdy już nie użyje zwrotu „sir”.

- Generale, czy może pan wyjawić mi imię i nazwisko mordercy?

Hedges przełożył jakiś dokument na lewą stronę biurka i popatrzył na Slaughtera.

- Przecież pan je zna.

- Tak, generale, znam.

- Julian VanRiper, rocznik sześćdziesiąty ósmy. Wzorowy kadet. Doszły mnie słuchy, że wspaniale sprawuje się w zwiadzie dalekiego zasięgu.

VanRiper. Dowódca „chlewni”, a następnie dowódca w Czwartym Pułku, kawał sukinsyna, znanego z tego, że bezlitośnie karał nawet chłopaków ze swego roku, co w latach

sześćdziesiątych, kiedy w akademii panowała atmosfera współpracuj-i-kończ-studia, było rzeczą niespotykaną. Nic dziwnego więc, że uprawiał swój proceder z Handem! Każdy z nich myślał wyłącznie o sobie. Obaj cierpieli na tę samą paranoję. W końcu to, co błędnie brali za emocje, pożarło jednego z nich. Handa. A w West Point obowiązywała filozofia współpracuj-i-kończ-studia. Inne postępowanie było niczym kanibalizm uprawiany na kolegach, żerowaniem na ich energii, wysysaniem z nich krwi, odbieraniem radości życia. W West Point człowiek albo przyłączał się do ogółu, albo ginął. Slight zastanawiał się, czy to samo prawo obowiązywało w innych biurokracjach: w wyższych uczelniach, w wielkich, międzynarodowych koncernach i korporacjach. Zastanawiał się, czy kanibalizm mordercy Davida Handa był zjawiskiem endemicznym, występującym wyłącznie w wojsku, w West Point. Tkwił w tym zaczarowanym kręgu już od sześciu miesięcy, a wciąż nie miał pojęcia, co się naprawdę dzieje. Zaczynał powoli dochodzić do wniosku, że nigdy tego nie zrozumie, kiedy w jego rozmyślania wdarł się głos Hedgеса:

- Nie ma zatem potrzeby, abyś dalej zajmował się tą sprawą. Jak powiedziałem, ze wszystkim się uporaliśmy. Przeciwno VanRiperowi nie zostanie wytoczona żadna sprawa. A o dowódcy żandarmerii możesz zapomnieć. Nie masz żadnych dowodów. Jedynie domysły, synu. A domysły to stanowczo za mało, by zwoływać trybunał wojskowy. Sprowadziłoby to na ciebie tylko jeszcze większe kłopoty. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, zapomnij, żeś kiedykolwiek słyszał o Davidzie Handzie. Zapomnij o całej sprawie.

- Przede wszystkim, generale, gdybym wiedział, co dla mnie dobre, nie byłoby mnie tutaj.

- Ma pan rację.

- Tak więc, generale, wynika z tego, że nie wiem, co dla mnie dobre.

- Masz rację, Slight. Nie wiesz. I to właśnie od samego początku stanowi twój największy problem. Lepiej zapoznaj się z obowiązującymi regułami i graj zgodnie z nimi. W przeciwnym razie za chwilę już cię tu nie będzie. Rozumiesz?

- Generale, znam reguły. Reguły West Point. Reguły armii.



Pańskie reguły. Wszystkie reguły. Z tym tylko, że ja nie gram wedle tych reguł.

- Zdaje się panu, że zna sposób, w jaki toczy się gra. A ja jestem po to, by oświadczyć panu, że nic pan nie wie. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, generale.

- To dobrze. Dojdźmy do porozumienia. Czy zaczniesz grać zgodnie z regułami, Slaughter?

- Generale, jeśli ma pan na myśli to, że w sprawie Davida Handa nabiorę wody w usta, to moja odpowiedź brzmi: nie. Nie!

Twarz Hedgesa nabrała koloru burgunda, a głowa jakby zapadła się w ramiona. Zaczęła się wielka przemiana. Powoli, nie spuszczać przenikliwego wzroku z siedzącego naprzeciwko kadeta, Hedges zapiął marynarkę munduru, ozdobioną licznymi baretkami. Zapiął pod szyją koszulę i poprawił krawat. Upewnił się, czy lewą połę marynarki zakrywa prawa. Podciągnął lekko rękawy, eksponując mankiety koszuli. Nieoficjalny, prawie przyjacielski Hedges zamienił się w wyprostowanego, sztywnego, zimnego oficera. Obszedł biurko, stanął w odległości kilku kroków od Slaughter'a i lekko kołysał się w przód i w tył. Wypychał językiem raz prawy, raz lewy policzek. Hedges myślał. Szukał odpowiednich słów.

- Slaughter, zamierzam być świadkiem tego, jak stąd odejdziesz. Choćby miało to trwać do końca mojej komendantury, zobaczę, jak stąd odchodzisz. Stanę w głównej bramie obok wartowni i osobiście będę nadzorować twoje odejście. Dopóki ja tu będę, nie zaznasz chwili spokoju, nie znajdziesz przede mną ucieczki. Patrole dalekiego zwiadu w Wietnamie są kaszką z mleczkiem w porównaniu z tym, co dla ciebie przygotuję. Przekonasz się.

- Skoro chce pan grać w taki sposób, generale, zagrajmy.

Ogłuszająca cisza. Hedges zaciskał zęby. Slaughter widział, jak pracują mięśnie jego szczęk. Komendant podszedł do krzesła, na którym siedział Slaughter. Kadet zrozumiał wymowę tego gestu i wstał.

- Jeszcze raz dobrze się zastanów, Slaughter. Przemyśl sobie

wszystko, zanim sprzeciwisz się Charlesowi Sherrillowi Hedgesowi.

Slaight popatrzył generałowi w oczy.

- Czy wyraziłem się jasno?

- Absolutnie, generale. Absolutnie.

- A więc zabieraj z mego gabinetu swoje komunistyczne dupsko, Slaight. Następnym razem chcę zobaczyć tylko twoje dupsko, gdy będziesz wychodzić za bramę.

Slaight nałożył czapkę i zasalutował.

- Miłego wieczoru, generale.

W drzwiach zerknął za siebie przez ramię. Hedges zaciśniętą pięścią wygrażał jego plecom.

W korytarzu Slaight minął pierwszego kapitana kadetów, dowódcę brygady - najwyższa szarża dostępna kadetowi. Pete Locke pochodził z rodziny wojskowych. Jego ojciec przeszedł na emeryturę i mieszkał w Arlington w Wirginii. Kadeci skinęli sobie głowami. Nie znali się. Locke zniknął w gabinecie Hedgesa. Zapewne stawiał się z dziennym raportem. Codziennie przed kolacją komendant i pierwszy kapitan spotykali się na kilka minut, by omówić rozkład zajęć na następny dzień. Slaight z kolei śpieszył się do klubu oficerskiego na spotkanie z kapitanem Bassettem. Co do Locke'a grubo się mylił.

- Siadaj, Locke - powiedział Hedges, wskazując krzesło, które przed chwilą zajmował Slaight. - Pete, chcę, aby tego chłopaka usunięto z akademii. Nie wiem, jak to zrobisz. Ma wylecieć stąd na zbitą mordę.

- Nie rozumiem, sir - odparł pierwszy kapitan.

- Do cholery, chcę, aby Slaight został usunięty z akademii! Czy wyrażam się niejasno? Rada do spraw postawy żołnierskiej zapewne nic nie załatwi. Przez ten przekłety pozytywny raport swego dowódcy z POA awansował do drugiej piątki na swoim roku. Ale on ma wylecieć, Pete. Nagana, złamanie honoru... nie obchodzi mnie, jak to załatwisz. Masz to załatwić. Chcę, by go tu nie było, i to najpóźniej do Bożego Narodzenia. A teraz zmiataj.

Pierwszy kapitan zasalutował i opuścił pokój. Wiedział, że komendant wziął sobie Slaighta na żab, ale żeby aż tak? Nigdy jeszcze żaden oficer nie powiedział mu tak wyraźnie, że ma

zniszczyć jakiegoś kadeta za złamanie honoru. Zatrzymał się przy drzwiach sekretariatu komendanta. W telefonie paliły się światełka. Sekretarka dawno już skończyła pracę i poszła do domu. Zza drzwi gabinetu Hedgesa dobiegł dźwięk wykręcanej tarczy telefonu. Locke zaczął liczyć. Była to rozmowa międzystanowa. Usłyszał stłumiony głos komendanta:

- Poproszę z Billem Beattym. Mówi generał Hedges.

„A! Znow dzwoni to tego gościa z Pentagonu!” - pomyślał Locke. Ruszył po schodach, zastanawiając się, co ma zrobić. Komendant postawił go w trudnej... w niemożliwej wręcz do rozwiązania sytuacji. Jeśli spróbuje zniszczyć Slaughta, zarzucając mu niesłusznie złamanie honoru, sam złamie honor. Z drugiej strony, jeśli tego nie zrobi, dopuści się niesubordynacji. Postanowił zatem odwiedzić Rya Slaughta w Trzecim Pułku i dowiedzieć się, co jest grane.

Hedges rozmawiał przez telefon z przebywającym w Waszyngtonie Williamem Beattym. Komendant miał znow rozluźniony krawat i trzymał nogi na biurku.

- Wszystko gra. Możesz w przyszłym tygodniu zacząć z Rylanderem. Slaughta mam w garści i jeśli nie pomoże rada do spraw postawy żołnierskiej, pozbedziemy się go w jakiś inny sposób. Masz na to moje słowo. Na początku nowego roku ubierzemy go w zielony mundur z naszywkami starszego szeregowca, a wtedy trafi na twój dwór. Już ty będziesz wiedział, co z nim zrobić. Przelotna znajomość z naszym przyjacielem Charliem w Azji Południowo-Wschodniej wyjdzie mu tylko na dobre.

Obaj rozmówcy wybuchnęli śmiechem. Wszystko już mieli pod ścisłą kontrolą. Niebawem Hedges wykona ostatni ruch: przejdzie ulicę, minie centralny plac i wdrapie się po schodach do gabinetu głównego inspektora.

I już tam zostanie.

Pojawienie się tuż po kolacji w nowych koszarach południowych w pokoju dwieście dwadzieścia sześć pierwszego

kapitana Petera Locke'a kompletnie zaskoczyło Slaughter. Luga podniósł głowę i na widok wysokiego, przystojnego kadeta z sześcioma szewronami o mało nie stanął na baczność. Potrzebna była silna wola i koncentracja, by takiego gościa traktować jak... kolegę z roku, kogoś równego sobie. Pierwszy kapitan miał twarz młodego Gregory'ego Pecka oraz sylwetkę i prezencję urodzonego generała. Istniało niepisane prawo, by na pierwszych kapitanów i innych wysokiej szarży kadetów wybierać atrakcyjnych, a nie tylko przystojnych żołnierzy. Idoli. Mężczyzn stanowiących wzór amerykańskiego kadeta. Pete Locke spełniał wszystkie te warunki. Miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Był piłkarz i gracz w lacrosse\*, stanowił podręcznikowy wzór pierwszego kapitana. W pokoju zapadła niezręczna cisza.

\* Kanadyjska odmiana hokeja na trawie, z tym że zamiast kijów używa się rakiet (przyp. tłum.).

Slaughter spotykał Locke'a jedynie podczas zbiórek i apeli, kiedy stał przed kolumną w otoczeniu swego sztabu... No i spotkał go dziś po południu, gdy pierwszy kapitan szedł do komendanta. Locke wszedł do pokoju, przedstawił się, po czym zwrócił do Slaughter:

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności.
- Daj spokój, człowieku - odrzekł Slaughter. - Przy nim możesz mówić wszystko. - Wskazał głową Luga. - Przy nim też - dodał, kiedy z łazienki wyłonił się w szarym wojskowym płaszczu kąpielowym Leroy Buck.
- Nie wiem, jaką zadrę masz z komendantem, ale dzisiaj i ja zostałem w to wplątany - Locke przeszedł do rzeczy bez zbędnych wstępów.
- Jak to? - zdziwił się Slaughter.
- Komendant powiedział mi... a dokładniej rozkazał... abym się tobą zajął. Do Bożego Narodzenia ma cię już nie być w akademii. Powiedział, że nie interesuje go, jak to zrobię. Wspomniał o naganach i... - Locke urwał i popatrzył na czubki swych butów, lśniących niczym czarne zwierciadła.
- I?

- I o złamaniu kodeksu honorowego. Zamurowało mnie. Kazał mi cię zniszczyć pod pretekstem splamienia przez ciebie honoru; i nie obchodzi go, jak to zrobię. Postanowiłem więc przyjść bezpośrednio do ciebie i o wszystkim ci powiedzieć. Nikt... nikt jeszcze nie śmiał zwrócić się do mnie z podobną prośbą. A już na pewno nie komendant.

- Jezu! - wykrzyknął Slight. - Dzięki, człowieku!

Zaproponował Locke'owi coca-colę, włożoną do kubelka z lodem, który zwędzili po kolacji z kuchni. Locke wziął napój i usiadł.

- Posłuchaj, Slight. Nie wiem, co przeskrobałeś, ale moim zdaniem nic nie usprawiedliwia tego, o czym mówił dziś komendant. Wiem, że nieraz przegiął już pałę... Ot, choćby sprawa Charliego Napiera. Zakaz opuszczania pokoju w czasie wolnym przez sześć miesięcy. Nawet nie wiesz, ile mnie ta historia kosztowała.

- Wierzę - odparł Slight, uważnie obserwując twarz pierwszego kapitana.

Był zmęczony... Wszyscy kadeci z najwyższego roku sprawiali wrażenie zmęczonych... lecz twarz Locke'a wykazywała wyższy wymiar zmęczenia; jak para zimowych rękawic, podartych, zszytych i znów podartych.

- Tak czy owak, twoja osoba zajmuje mu dużo czasu. Mam obowiązek meldować się u komendanta dwa razy dziennie. Przez ostatnie dwa miesiące, ilekroć składał mu raporty, mamrocze coś o tobie lub gada przez telefon z jakimś gościem w Pentagonie.

- Z jakim gościem? - zapytał Slight, starając się bez powodzenia ukryć podniecenie.

- Dziś po moim wyjściu również do niego dzwonił. Facet nazywa się William Beatty. Znam to imię i nazwisko. Zna je zresztą wielu chłopaków z mojego roku. Ale nie mam zielonego pojęcia, dlaczego zawsze gada z nim o tobie.

- Skąd wiesz, że o mnie? - zapytał Slight.

- Bardzo często w mojej obecności rozmawia przez telefon z Beattym. I zawsze mówią o tobie. Oczywiście bardzo ogólnie. Nigdy nie zdołałem zorientować się, w czym rzecz, lecz prawdę mówiąc, nie zwracałem na to większej uwagi. Gdy

człowiek zostaje pierwszym kapitanem, szybko uczy się podstawowej zasady: czasami im mniej się wie, tym lepiej.

- Doskonale to rozumiem - mruknął Slaughter.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, o co chodzi? - zapytał Locke.

- To teren oznaczony wielką tablicą z napisem „Nie chciałbyś tego wiedzieć” - odparł Slaughter.

- Czy mogę spytać, jaki to ma związek z kodeksem honorowym?

- Chyba słyszałeś, że niedawno Hedges wytoczył mi zarzut, iż splamilem honor.

- Tak. Widziałem raport podkomisji.

- Ale trafił Panu Bogu w okno. Teraz to już tylko sprawa między mną a nim. Sprawa osobista. To najlepsze określenie. Sprawa osobista. Wkurza mnie, że próbuje wciągnąć w to ciebie.

- Cóż, mogę powiedzieć ci tylko jedno. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto postawiłby się Hedgesowi i wygrał.

- To prawda. Ale nie jestem pewien, czy chodzi o wygraną.

- No to o co? Dlaczego mu nie ustąpisz? Zostaw budę złemu Reksowi.

- Sam nie wiem, o co chodzi. Ale ugnę się, wyprostuję i poślę pod niebo całe to gówno.

- Rozumiem - mruknął Locke. - Powiem ci coś. Lepiej miej oczy i uszy szeroko otwarte. Napuści na ciebie wszystkich taktycznych. Będą śledzić każdy twój ruch. Jeśli podczas defilady pociągniesz nosem, nazwie to brakiem szacunku i pośle cię na plac marszowy. A jak już raz tam trafisz, to koniec z tobą. Będzie nieustannie wynajdywał ci kolejne przewinienia.

- Dzięki za ostrzeżenie, człowieku - powiedział Slaughter, wstając z krzesła.

Potężne bary napastnika *lacrosse* prawie całkowicie wypełniły drzwi.

- A gdybyś czegoś potrzebował... proś bez wahania - dodał Slaughter.

- Jasne - odparł pierwszy kapitan i zniknął za drzwiami.

Slaight udał się do najbliższego automatu telefonicznego i zadzwonił do Bassetta.

- Slaight, w najbliższy weekend weź przepustkę i zniknij z akademii - poradził prawnik.

- Teraz? W ten weekend? Przecież mamy masę rzeczy do zrobienia.

- Chcesz mojej porady prawnej? Jestem twoim prawnikiem. A więc wynoś się na weekend z akademii. Zobaczmy się w poniedziałek.

## 35.

Slaight spędził weekend w Nowym Jorku z Irit. Sobotnie popołudnie zeszło im na zwiedzaniu różnych galerii przy Madison Avenue, a na koniec wpadli do Parke Bernet obejrzeć wystawę starej biżuterii, która niebawem miała zostać sprzedana na aukcji. Irit od tygodni namawiała Slaighta, by zadzwonił do ojca, i wieczorem jej się to udało.

Slaight opowiedział ojcu całą historię, od początku do końca, aż do wizyty pierwszego kapitana. Ojciec zadał kilka pytań, lecz głównie „hmkał” i „hmkał”, mruczał „tak, tak” i „nie, nie”, podczas gdy Slaight ponownie przeorywał stary ugór, opowiadał o reakcjach ludzi, o miejscach, faktach, pytaniach i nierozwiązanych zagadkach. Kiedy skończył, ojciec kompletnie go zaskoczył.

- Trudno w to uwierzyć, synu, ale ja ci wierzę. I bez względu na to, co zrobisz, będę stać przy tobie murem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

Slaight nie wiedział, co odpowiedzieć. Od tak dawna, kiedy pojawiał się w domu podczas urlopów, wymieniał z ojcem jedynie zdawkowe „dzień dobry” przy śniadaniu... Cóż, nie wiedział, co ma teraz powiedzieć. Milczenie przerwał ojciec.

- Co zamierzasz dalej robić, synu?

- Nie wiem, tato. Powiem ci jedno. Hedges nie zdoła się mnie pozbyć. Będę maszerował po placu apelowym, aż zedrę sobie stopy. Aż do promocji będę nachodzić go w gabinecie. Ale nie pozbędzie się mnie.

- Czy masz jakiś konkretny plan, synu?

- Właściwie to nie. Ale stosuję się ściśle do rad mego prawnika, kapitana Bassetta. Trzymamy w rękawie kilka mocnych kart. Jeszcze nas nie wykończyli. A kiedy dojdzie do otwartej walki, a nastąpi to, gdy powołają radę do spraw postawy żołnierskiej, cisnę w nich brudem, o którym jeszcze nie wiedzą.

- Synu?

- Tak, tato?

- Nie rzucaj brudem, jak to określasz. Twój dziadek miał zwyczaj mawiać, że kto paprze się w gnoju, sam się nim przy okazji ubrudzi, choćby nie wiadomo jak był przebiegły.

- Zapamiętam to, tato. Zanim się rozłączymy, chciałbym cię jeszcze o coś zapytać.

- Pytaj, synu.

- Przez cały ten czas... Długo już przebywam w West Point i mam dwadzieścia jeden lat... Jak to się stało, że nigdy mi nie opowiedziałeś o wojnie?

- Nie sądziłem, synu, że... zrozumiesz. Nie chciałem, byś wstępując do akademii, miał romantyczne wyobrażenie o wojnie. Myślałem, że jeśli opowiem ci, co robiłem, chciałbyś być taki sam jak ja, robić te same rzeczy, zachowywać się tak, jak ja się zachowywałem. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie byłby dumy z tego, że poszedł na wojnę. Wojna to smutek. Nie chciałem, byś dorósł, synu. Nie chciałem, byś był smutny. Czy to rozumiesz?

Slaight słyszał w głosie ojca żalodne tony.

- Rozumiem tato.

- To dobrze, synu. Wydaje mi się jednak, że tylko cię zaintrygowałem.

Slaight usłyszał, jak ojciec szczęka zapalniczką i wydmuchuje dym z płuc.

- Słuchając ciebie, synu, zrozumiałem, że wiesz więcej o tym, co ludzie potrafią robić innym, niż ja, gdy byłem



dwukrotnie od ciebie starszy. Byłem na wojnie, widziałem, jak zabija się ludzi bronią ręczną i artyleryjską, ale nie sądziłem, że istnieje inna wojna... - Ojciec zakaszłał. - Nie wiedziałem, że są różne rodzaje wojny. Różne rodzaje przemocy, maleńkie wojny, które ludzie toczą ze sobą każdego dnia.

Oczywiście wyobraźni Slight widział ojca, jak siedzi w miękkim fotelu przed kominkiem. Czuł wdzięczność do Irit za to, że skłoniła go do zatelefonowania do ojca.

- O czym ty mówisz, tato? O tym, czego nauczyła cię mama?

- Cóż, nauczyła mnie prawdy o ludziach z Kansas City, którzy trzymają u nas konie. To ona sprawiła, iż zrozumiałem, o co im naprawdę chodzi. Przez wszystkie te lata, gdy trzymaliśmy ich konie, nauczyliśmy ich dzieci jazdy, każdej wiosny organizowali polowania i zawody hippiczne... przez wszystkie te lata nie wiedziałem. Nigdy do nich nie należałem, ale wydawało mi się, że przyjeźli mnie... nas... do swego grona. I dopiero twoja matka uświadomiła mi prawdę. Zaledwie nas tolerowali. Był to rodzaj przemocy, przemocy społecznej. Synu, mam nadzieję, że potrafisz uporać się z tym, czego nauczyłeś się o ludziach w West Point. I chcę ci wyznać, że gdyby nie twoja matka, ja bym sobie z tym nie poradził.

Ojciec umilkł. Slight czekał na jego dalsze słowa.

- Bez względu na to, co się dzieje, synu, staraj się zrozumieć tych ludzi, zrozumieć to, co ci robią. Jeśli ci się ta sztuka uda, będziesz prawie w domu. Nie zapominaj, że oni są tylko ludźmi. Stworzył ich Bóg i ciebie też stworzył. Nie pozwól, by wzięła w tobie górę nienawiść. Nie pozwól się im przekabacić, bo wtedy staniesz się taki jak oni. Proszę. Zrób to dla swego taty. Odrzuć nienawiść. Rób wszystko, co w twojej mocy, by nie znienawidzić swych prześladowców. Nadejdzie dzień, kiedy poczujesz radość, że nie dałeś się ponieść nienawiści.

- W porządku, tato. Spróbuję.

- Phe! - Był to ulubiony wykrzyknik ojca. - Phe, wszystko się ułoży. Uważaj na siebie. I dbaj o swoją dziewczynę. To chyba wspaniała kobieta.

Pożegnali się.

W poniedziałkowy ranek Slight zszedł do trzewi Thayer Hall, gdzie urzędował kapitan Bassett. Pochylony nad biurkiem, zerknął na niego zza zsuniętych na czubek nosa okularów.

- Po co przyszedłeś? Przejrzeć ubezpieczenie na życie? Doskonały pomysł. Proszę.

Roześmiali się. Nawet w najgorszej sytuacji poczucie humoru nie opuszczało starego Bassetta.

- Co nowego?

- Za tydzień rada do spraw postawy żołnierskiej. Właśnie otrzymałem oficjalne zawiadomienie. Coś się święci, Slight. Hedges jest zbyt pewny siebie. Od dłuższego czasu coś kombinuje. Czuję pismo nosem. Dużo czasu upłynęło między waszym spotkaniem podczas tygodnia reorganizacji a rozmową pod koniec października. Nie był to martwy okres. A teraz ostrzega cię z siedmiodniowym wyprzedzeniem. Daje ci siedem dni na przygotowanie się do spotkania z radą. Najwyraźniej warzą ci jakieś piwo, i to bardziej gorzkie niż sprawa Handa. Czuję to. Kiedy pracowałem na Wall Street, czułem, kiedy prawnik występujący przeciwko memu klientowi szykował jakiś niespodziewany numer. Oni są bardzo... cwani. Celowo popełniają drobne, nieistotne błędy, którymi mydlą ci oczy. Ostatnio bacznie obserwuję Hedgesa. Szykuje się do skoku. Zamierza zadać potężny cios. Nie jestem pewien, ale tu chodzi o coś więcej niż morderstwo Davida Handa.

- Co w takim razie zrobimy?

- Nic. Zadzwońisz do starszego sierżanta do Santa Fe. Niech skontaktuje się ze swoim kumplem w Pentagonie. Niech wyniucha, co się dzieje. Hedges jest związany z tymi kręgami. Przyznał to, zwołując radę do spraw postawy żołnierskiej i rozkazując pierwszemu kapitanowi oskarżyć cię o splamienie honoru. Z Pentagonem sprawa jest wciąż otwarta. Nie jestem pewien, ale jeśli szykuje jakiś numer, to wyraźnie na polecenie Pentagonu. Musimy wiedzieć, co dzieje się na poziomie Departamentu Armii. Musimy się tego dowiedzieć do środy lub czwartku. Gra idzie o wyższą stawkę niż śmierć Davida Handa.

Środowe popołudnie. Szósty listopada 1968 roku. O piętnastej dwadzieścia Slaight natknął się na przyklepioną do drzwi swego pokoju kartkę. Czytał:

SLAIGHT, ZADZWOŃ DO STARSZEGO SIERŻANTA ELDRIDGE'A. NATYCHMIAST.

Wrzucił do automatu dziesięć centów, wykręcił numer kierunkowy pięćset pięć, a następnie numer domowy szefa kompanii.

- Starszy sierżancie, tu Ry Slaight. O co chodzi?
- Masz czysty telefon?
- Dzwonię z automatu. Coś ważnego?
- Żebyś wiedział! Za takiego plociucha zastawiłbym duszę w lombardzie sierżanta kwatermistrza.

Były szef kompanii zachichotał. Jak tu nie kochać starego Eldridge'a? „Gdyby tacy ludzie trafiali się w życiu cywilnym - powiedział kiedyś John Lugar - przełożeni musieliby zatrudniać lingwistów, aby porozumiewać się ze swymi pracownikami”. W świecie cywilów nie istniało bowiem adekwatne słowo na określenie funkcji i wartości dobrego szefa kompanii.

- Proszę mówić - powiedział Slaight, opierając się o drewnianą ściankę kabiny telefonicznej. - Będę zapisywać.

- Ten Beatty, William Beatty, odleciał dziś specjalnym samolotem Departamentu Armii do West Point. Nie mam pojęcia, po co. Wiem tylko, że w pierwszej kolejności miał spotkać się z Hedgesem. Mówią, że zostanie u was tydzień lub półtora.

- A pańskim zdaniem, jaki jest cel jego wizyty w akademii?

- Na ten temat niewiele mogę ci powiedzieć. Moje źródła informacji nie są najlepsze, a wiadomości niekompletne. Wiem jedno. Wszyscy moi znajomi w Pentagonie utrzymują zgodnie, że przez ostatnie dwa tygodnie Beatty przejawiał niebywałą aktywność. Szukuje jakiś duży numer. Zatrudnił całą armię maszynistek i urzędniczek. Powiedział, iż zwerbował ich w biurach pośrednictwa pracy, takich jak Kelly Girls. Jeden z

moich znajomych dokładnie to sprawdził. Wszystkie pochodziły z Associated Electronics, jednego z tych nowych ośrodków badawczo-rozwojowych zajmujących się komputerami i bronią, związanych z Departamentem Obrony.

Starszy sierżant znów zachichotał.

- Zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. Następnie Beatty zapowiedział wizytę w West Point. Bassett ma rację. Coś się święci. Mam kontakty w centrali telefonicznej Pentagonu. Beatty przez ostatnie dwa tygodnie po pięć lub sześć razy dziennie konferował z Hedgesem. Codziennie też do Beatty'ego dzwonił Thompson. Nie wiem, co jest grane, Slaight, ale płacząc się w sprawę Handa, dotknąłeś bardzo czulego punktu. Mój znajomek twierdzi, że to największa afera, z jaką się dotąd zetknął. Mówi, że takiego zamętu nie spowodowała nawet ofensywa w *tet*\*. Nie wiem, co ma z tym wspólnego David Hand, ale najwyraźniej coś ma. Jeden z moich chłopców natknął się w sekretariacie Beatty'ego na plociucha dotyczącego właśnie Handa. Nie zdołał przestudiować dokumentu, ale widział w nim powtarzające się nazwisko Handa. Dotknąłeś bardzo czulego nerwu, Slaight.

\* Tet - wietnamski Nowy Rok, obchodzony w styczniu lub w lutym przez 3-4 dni. W roku 1968 Wietnam Północny złamał noworoczny rozejm i przystąpił do totalnej ofensywy. Jej kulminacją był słynny atak na ambasadę amerykańską w Sajgonie (przyp. tłum.).

- Jezu! Na to wygląda.
- Czy chcesz rady starego emerytowanego szefa kompanii?
- A niby po co do ciebie dzwonię, starszy sierżancie?
- Nadeszła pora, byś zmierzył się z Beattym. Jest już twój.

Na twoim miejscu spotkałbym się z nim w cztery oczy. Zablefuj, że sprawie śmierci Davida Handa nadasz rozgłos. Powiedz mu, że dysponujesz dowodami na to, iż jest zamieszany w sprawę Davida Handa, i bacznie go obserwuj. Jeśli zacznie się więc, naciśnij. Daj mu do zrozumienia, że nie będziesz się patyczkować i pójdziesz z tą sprawą do prasy. Nie wdawaj się w

szczegóły. Po prostu zapewnij go, że zamierzasz w ciągu najbliższego weekendu wykonać ruch. Kiedy zauważysz, że zaczyna się pocić, odejdz bez słowa. Niech myśli, że naprawdę zamierzasz zrobić to, co powiedziałeś. Beatty wierzy w duchy. Tam gdzie jest, musi w nie wierzyć. Nastrasza drania. Zacznie pociągać za wszystkie sznurki, byle tylko zachować anonimowość. Należy do wąskiej grupy ludzi podejmujących istotne decyzje polityczne i robi wszystko, by ten status zachować, a ty przekonaj go, że jesteś w stanie ujawnić jego rolę. Moim zdaniem to jedyny sposób, żebyś uratował swoją głowę.

- Dzięki, starszy sierżancie.

- Daj spokój z tytułami... Aha, Ry, o wszystkim mnie powiadom.

- Jasne.

Slaight odwiesił słuchawkę i wykręcił numer Bassetta. Przekazał prawnikowi to, czego dowiedział się od Eldridge'a.

- Zrób tak - oświadczył Bassett. - Zastosuj się do jego rady.

Slaight wrzucił kolejną dziesięciocentówkę i zadzwonił do kadeta z pierwszego pułku, który dobrze znał Beatty'ego. Nieoczekiwanie kadet poinformował go, że Beatty zatrzymał się w apartamencie Eisenhowera w hotelu Thayer i zapewne nie opuści go przez całe popołudnie. Właśnie przed chwilą z nim rozmawiał. Miał „odeskortować” go do kantyny na kolację o osiemnastej.

Była szesnasta. Slaight miał dwie godziny.

## 36.

William Beatty siedział za ogromnym biurkiem w apartamencie Eisenhowera. Slaight znał tego polityka ze zdjęć zamieszczanych w czasopiśmie „Assembly”, z fotografii robionych podczas wręczania nagród w Pentagonie, wizytowania

posterunków wojskowych oraz bankietów z okazji Dnia Ojców Założycieli\*.

\* W oryginale: *Founders Day*. Święto ku czci przywódców w walce o oswo-bodzenie spod brytyjskiej hegemonii trzynastu pierwszych stanów Ameryki Północnej; szczególnie tych, którzy stworzyli i ratyfikowali konstytucję (przyp. tłum.).

- Czym mogę służyć, młody człowieku? - zapytał z szerokim uśmiechem i zdjął okulary.

Nawet z odległego końca pokoju Slaughter zauważył, że pozbawiona zmarszczek twarz Beatty'ego jest gładka jak buzia dziecka. Zamknął za sobą drzwi. Pokój pełen był pamiątek świadczących o wielkości i tradycji West Point. Wszystkie w barwach czarno-szaro-złoty; motto: „Obowiązek, Honor, Ojczyzna”. Slaughter nie zwracał uwagi na plakietki, pamiątki, flagi i fotografie sławnych mieszkańców apartamentu. Zdecydowanie ruszył do biurka, za którym siedział Beatty.

- Nazywam się Ry Slaughter - powiedział, gdy przebył połowę dystansu.

- Wiem, kim pan jest - odrzekł Beatty.

- I przyszedłem tu, by porozmawiać o morderstwie Davida Handa.

Zatrzymał się, w lewym ręku trzymał czapkę, sztywny kołnierzyk szarego munduru uwierał go w szyję. Malujący się na twarzy Beatty'ego uśmiech znikł jak zdmuchnięty płomień świecy. Jego miejsce zajęło krańcowe zmęczenie. Twarz mu szarzała, stała się sucha i pomarszczona, jakby nagle przestały funkcjonować gruczoły potowe. Beatty sięgnął do kieszeni, wyciągnął fiolkę z pastylkami i połknął dwie pigułki.

- Rozumie pan... zdrowie już nie to... - wybąkał.

- Nie obchodzi mnie stan pańskiego zdrowia, panie Beatty. Przyszedłem pomówić o młodym człowieku, Davidzie Handzie, który odszedł cicho, bez fanfar i bez najmniejszego współczucia. A przecież bardzo się przyjaźniliście.

Slaughter uważnie obserwował Beatty'ego. Jego twarz zrobiła się obwisła, nabrała gąbczastej faktury.

- Niech pan siada, panie Slaughter - powiedział słabym głosem,

lecz kadet nie ruszył się z miejsca. - Od dawna wiedziałem, że ten dzień nadejdzie - rzekł zrezygnowanym tonem Beatty i spojrzął w okno, za którym widać było bezlistne drzewa i toń Hudsonu. - Co ma pan do powiedzenia, panie Slaight? Proszę mówić. Czekam.

Kadet zaczął przechadzać się przed biurkiem, po przykrytej dywanem posadze.

- Chłopak został zamordowany. Wiem o tym. Wie o tym również komendant Hedges. Wie o tym pan. I wszyscy wiemy, kto go zabił, prawda?

Beatty, nie odrywając wzroku od okna, skinął głową.

- VanRiper. Czy należał do jednego z pańskich chłopców, panie Beatty? Czy należał do chłopaków, którzy w zeszłym roku tłoczyli się wokół pana, a pan zapraszał ich do Pentagonu i rekomendował różnym szychom? Czyż nie należał do pańskich ulubieńców, a w przyszłości miał zostać generałem?

Beatty znów skinął głową.

- Do licha, wszyscy wiedzą, że to on zabił Handa, ale nie w tej sprawie nie zrobiono. Nic. Nie było dochodzenia zgodnie z artykułem trzydziestym drugim, żadnego formalnego oskarżenia, sądu wojskowego. Facet, który zamordował Handa, zrobił to z zimną krwią, łajdak, który trzymał mu głowę pod wodą tak długo, aż nieszczęśnik skonał, jest teraz wolny jak ptak. Czy nie miało to jakiegoś związku z tym, że był homoseksualistą?

Beatty gwałtownie odwrócił głowę w stronę Slaighta.

- I co pan na to, panie Beatty? Hand był ciotą. VanRiper był ciotą. Dokonano morderstwa i nic się nie stało. Żądam wyjaśnień. Chcę wiedzieć, dlaczego VanRiper przebywa w Wietnamie, gdzie hula sobie na wolności.

- Tu się pan grubo myli, panie Slaight. Przed dwoma dniami zginął podczas patrolu. Wczoraj otrzymałem wiadomość o jego śmierci.

- A więc dlatego pojawił się pan w akademii? Bo dowiedział się pan, że morderca Handa nie żyje. A więc nie ma już powodów, by wszczynać dochodzenie, należy jedynie załatać ostatnie dziury. Cóż, mam materiały dotyczące śmierci Handa, którymi udławi się nowojorski „Times”, jak również Kongres.

Jestem dziurą, panie Beatty, której nie uda się panu załatać. Siedzi pan w tej aferze po uszy...

Beatty wstał i zaskoczony Slaight zatrzymał się w pół kroku.

- Pan też, panie Slaight. Pan też. - Beatty podparł się dłońmi o zielony bibularz i pochylił w stronę Slaighta. - Na pana też mamy materiały, Slaight. Bardzo grubą teczkę pełną szczegółów o panu i pańskiej, nazwijmy to: zażyłości ze zmarłym Handem. Wiemy wszystko o pańskich „sesjach” wychowawczych z Handem, o wielu godzinach, jakie spędził w pańskim pokoju za zamkniętymi drzwiami. Wiemy, że często widziano was razem w łazienkach, gdzie tuż przed capstrzykiem przeprowadzał pan „specjalne inspekcje”. Podczas „chlewni” można było korzystać z pewnych swobód i jednocześnie stosować rygory, prawda, panie Slaight?

Beatty spoglądał na kadeta spod przymrużonych powiek.

- Nic pan na mnie nie ma, panie Beatty - odparł Slaight, wpatrując się w niego nieruchomym wzrokiem. - Pański błąd przypomina balon, z którego szybko uchodzi powietrze. Słyszę nawet jego syk.

- Och, co za tupet!

Slaighta wprost zatkało ze wściekłości.

- Strona po stronie, panie Slaight - ciągnął Beatty. - Cały dziennik, godzina po godzinie, każda chwila, którą spędził pan sam na sam z Handem. Informacje z pierwszej ręki. Oświadczenia złożone pod przysięgą przez członków pańskiej drużyny, przez dowódców innych drużyn, przez kadetów z wyższych lat. Imponująca kolekcja, panie Slaight. Równie obfita jak kolekcja pańskich tak zwanych dowodów.

- A co to da, panie Beatty? Proszę mi powiedzieć. Gdzie w pańskim katalogu dotyczącym mnie i Handa jest granat, z którego zamierza pan wyciągnąć zawleczkę? Czy ma pan taśmę z nagraniem w pańskim łóżku zwierzeniami słodziutkiego Handa, że pieprzył dowódcę drużyny? Niech pan nie żartuje, Beatty. To trwa już za długo i męczy mnie smród tego gówna. Wyłóż pan karty na stół albo się pan zamknij.

- Mamy wszystko, panie Slaight. Niech pan mi wierzy.

Slaight milczał. Najwyraźniej Beatty nie do końca blefował.



Zapewne miał cały stos zeznań złożonych pod przysięgą. Mógł nawet mieć zeznania Handa, który opowiadał mu bzdury o „chlewni”, by ukryć wstrząs psychiczny, jakiego doznał, gdy Slaight wyjawiał mu prawdę o Samancie. Jeśli nawet Beatty blefował, było to groźne. Był przygotowany na frontalny atak ze strony Slaighta. Teraz kadet zastanawiał się nad swoim położeniem. Nie było dobre. Beatty nazwał go pedziem, a to już nie był blef, lecz prowokacja. Slaight szybko przemyślał różne warianty postępowania. Postanowił wybać polityka.

- Jestem jak niewierny Tomasz, panie Beatty. Uwierzę, jak zobacze. Po to tu jestem. Wyciągnij pan karty. Jak dotąd miele pan tylko ozorem. Chce pan, bym dał sobie spokój ze sprawą Handa, chce mnie pan zmęczyć gadaniem. A ja dopraszam się konkretów.

Beatty wyciągnął z kieszeni marynarki okulary, po czym otworzył teczkę. Wyciągnął z niej grubą manilową kopertę. Wysypał na biurko jej zawartość. Slaight popatrzył na papiery. Wystarczyło jedno spojrzenie. Od razu poznał, że są to oficjalne dokumenty.

- Zobaczmy - powiedział Beatty, zakładając na lekko zadarte nos okulary. - Dużo tu tego... - Przebierał w papierach. - I niezwykle interesujące.

Słowo to wymówił z intonacją prawnika wygłaszającego w sądzie mowę końcową. Z ogromną pewnością siebie. Po twarzy przemknął mu uśmiech, kiedy wyciągnął co najmniej dwudziestostronicowy dokument i trzymał go przed sobą tak, że Slaight widział jedynie niezapisaną, ostatnią stronę.

- Wszystko tu mamy, panie Slaight - oświadczył Beatty.

Jego uśmiech graniczył z euforią. W milczeniu przekartkował dokument, po czym znów zaczął go przeglądać. Następnie zamknął go i mocno ścisnął w dłoniach. Slaight czujnie obserwował Beatty'ego. Wtedy też spostrzegł, że Beatty zaciska dłonie, w których trzyma dokument. Nieoczekiwanie energicznie rzucił go na blat tak, że papiery rozsypały się po całym biurku. Popatrzył na Slaighta, po czym lewą dłonią zdjął okulary. Twarz miał już poważną.

- To, co tu mamy, chłopcze, świadczy jedynie o zwykłym

przypadku młodzieńczej obsesji. To rzecz do zrozumienia. Zwykła. A nawet pod pewnymi względami chwalebna.

- Jakimi względami, panie Beatty? - zapytał Slaughter.

- Pańskiego... eee... zainteresowania przypadkiem śmierci Handa. Pańskie zainteresowanie tą sprawą, na co dał pan liczne dowody, wykracza poza zwykłe granice i odzwierciedla jedynie zazdrość. Straszliwą zazdrość.

- Zazdrość? O co?

- Miał pan problemy z jego siostrą, Samantha... David powiedział, że potrafiła zachowywać się jak skończona jędrza... więc przeniósł pan swoją wrogość do niej na jej brata i w ten sposób odzyskał spokój, lecz stracił Davida. Był ślicznym chłopcem i taka strata musiała pana bardzo dużo kosztować.

Beatty uśmiechnął się i z uwagą obserwował reakcję Slaughter. Karty zostały odkryte. Skończyło się blefowanie, licytował Beatty.

Umysł Slaughter zaczął dryfować... „Boże, dziękuję Ci za sztukę wojskową” - pomyślał. Zwiad. A teraz uderzenie. Całą siłą. Nie miał innego wyjścia. Kierował nim instynkt... Ścieżki za domem i sposób, w jaki jego ojciec zajmował się końmi. Mama, jej proste, życiowe mądrości, które wygłaszała swym przeciągłym kansaskim akcentem.

Uważaj, synu.

Miała rację. Roześmiał się w duchu. Tego uczono podczas zajęć z taktyki w West Point, ale on wołał matczyne „uważaj”, zamiast „ostrożnie”. Kiwając głową, jakby mówił „tak”, Slaughter opadł powoli na krzesło w udawanej rezygnacji. Głośno westchnął i założył ręce na piersi.

- Chryste, panie Beatty, to jest coś - powiedział, spoglądając na wyglansowane czubki swych butów.

Beatty wyraźnie się rozluźnił, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Slaughter wyciągnął nogi, skrzyżował je i zaczął kiwać jedną stopą.

- Rozumiem, że ma pan jakiś tajemniczy dokument, którego dotąd jeszcze nie widziałem; dużo pan o nim mówi, ale ja go nie widziałem...

Slaughter zawiesił głos, jakby nie wiedział, co ma dalej mówić. Beatty rozparł się na krześle. Spoglądali na siebie ponad

stosem porozrzucanych na biurku dokumentów, nad tkanką łączną wielkich i małych organizacji, nad krwioobiegami biurokracji. Plociuchy. Slaughter poczuł grunt pod nogami. Słowo pisane. Jak dotąd nie pokazano mu ani jednego.

- Zmierzam do tego, panie Beatty, że wszystko to jest... tak cholernie... zwykłe.

Zawiesił głos, lecz Beatty nie zareagował. Milczał. Slaughter oderwał wzrok od czubków butów i wbił go w twarz Beatty'ego.

- Tak, cholernie zwykłe. Z tego, co o panu słyszałem, spodziewałem się, że przybył tu pan, by dobić interesu, a tymczasem siedzi pan za tą stertą budżetów i gada: „Slaughter, jesteś albo biseksem, albo skończonym pedziem, czuleś do Handa to samo, co my. Jaki zazdrosny”. Oburzasz się, Beatty. Czy to wszystko, z czym przyszedłeś? To tani chwyt. Chryste, chłopie, twoje zachowanie się nie jest godne nawet pierdnięcia.

Slaughter popatrzył płonąącym wzrokiem na Beatty'ego, niepewny, czy jego taktyka odniosła sukces. Beatty milczał i też wiercił go spojrzeniem. Cwaniak. Jak dotąd potyczka toczyła się na poziomie słownym, a dopóki trwała, przewagę miał Beatty. Slaughter był przerażony, kulił się w duchu ze strachu, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że aby wziąć górę, musi działać, musi wykonać zdecydowany ruch.

- O co chodzi z tymi plociuchami? Dlaczego mi ich pan nie pokaże? Proszę pokazać, a czmychnę do koszar z podwiniętą kitą.

- To zbyteczne - odparł Beatty. - Ostatecznie zna pan fakty równie dobrze jak ja.

- Gówno znam! - ryknął Slaughter.

Podniósł się i rozrzucił na wszystkie strony leżące na biurku papiery. Rozsypały się jak stado mułów po strzale z armaty, na obrazie przedstawiającym bitwę podczas wojny domowej. Beatty zerwał się na równe nogi, jego twarz przybrała barwę purpury.

- Już moja w tym głowa, by ciupasem odesłano pana do Leavenworth! - wrzasnął piskliwym głosem. - To napad! Postawię

cię, wszarzu, przed sądem wojskowym za niesubordynację...

Urwał, zatykając się własną złością i słowami. Slaight usiadł i ponownie skrzyżował nogi.

- Figę z makiem pan masz, panie Beatty, w tych dokumentach. Gdybyś pan rzeczywiście coś na mnie miał, dawno już byś mnie przygwoździł do tego biurka. Spryziula z pana, panie Beatty. Ale o jednym pan zapomniał. Jeśli już wyciąga się broń, należy zrobić z niej użytek. Pan tego nie zrobił. Podstawowy błąd taktyczny. Uczą nas tego na pierwszym roku. Strzępiłeś sobie jedynie jęzor, panie Beatty. Siadaj pan!

Beatty sięgnął po słuchawkę telefonu i zaczął wykręcać numer. Zanim jednak dotarł do trzeciej cyfry, Slaight wyciągnął rękę przez biurko i gwałtownie nacisnął widełki. Pochylił się w stronę Beatty'ego.

- I tak oto sprawa się wydała. Nazywasz mnie, pan, pedziem. Chcesz pan, bym wymienił nazwiska? - Slaight wstał z krzesła i sięgnął po czapkę. - Chodźmy więc. Teraz. Tam. Nadamy sprawie wymiar publiczny, panie Beatty. Nie ma sensu wymieniać nazwisk za zamkniętymi drzwiami. Zrobimy to publicznie. Pan wyłoży swoje karty, a ja swoje. Sieci telewizyjne i dziennikarze pojawią się tu w sile batalionu, a wtedy zobaczymy, kto jest górą. Nazwiesz mnie pan pedziem? Mnie to pasuje. Ale zrobisz to pan przy ludziach, bo tu nie ma to znaczenia.

Slaight stał przy drzwiach. W lewym ręku trzymał czapkę, palcem prawej dłoni przyzywał Beatty'ego. Była to gra, śmiertelnie niebezpieczna gra, koszmar, który zacząłby się, gdyby Beatty podniósł się z krzesła. Ale Slaight nie miał innego wyboru. Czekał.

Beatty przez dłuższą chwilę nie ruszał się z miejsca. Siedząc za biurkiem, oderwał z kciuka lewej ręki kawałek naskórka przy paznokciu.

- Gra skończona, panie Beatty. A wie pan, dlaczego? W swoich papierach mam dosyć paskudztwa na temat morderstwa Davida Handa, by wzruszyć granitową opokę, na której spoczywa to miejsce. Drgania z West Point dotarły aż do pańskiego biura w Pentagonie. Ba, czuje pan te drgania w gabinecie

samego sekretarza obrony. A jeśli moje informacje są dobre, kiedy wyjdzie na jaw sprawa morderstwa Davida Handa, drżenia te poczują znacznie grubsze ryby niż pan. Czy wie pan, co to jest trzęsionka?

Beatty w milczeniu potrząsnął głową.

- Zaczyna się od kolan. Niech pan lepiej pozbiera te papieryska z biurka, bo kiedy skończę, trzęsionka przeniesie się na całe pańskie ciało. Panie Beatty, kiedy odkorkuję butelkę pełną dymania w styję i ciągnięcia lachy, kiedy już ujawnię okoliczności śmierci Handa, kiedy wyjawię, dlaczego... Cóż, resztę zostawiam pańskiej wyobraźni. Gdzie i kiedy, pana zdaniem, zaczęła się ta siekanina? Od pana? Od kogoś innego? Od któregoś z generałów, do którego napisał pan list o Handzie? Od Hedgesa? Od Thompsona? Gdzie po raz pierwszy spadł cios tej siekiery?

Slaight umilkł i obrzucił Beatty'ego płonąącym wzrokiem. Nie pytał dalej. Nie musiał. Odpowiedź na jego pytania malowała się na obliczu Beatty'ego. Wryty był na nim każdy układ, jaki w życiu zawarł, widać było każdy sznurek, za który pociągał, wszystkie koneksje i stosunki, każda intryga, jaką zawiązał, każda kariera, którą zniszczył lub poparł. Slaight spoglądał na Beatty'ego nieruchomym wzrokiem.

- Będę leciał, panie Beatty, bo widzę, że nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia. Do przyszłego tygodnia. Wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty. Ale zapamiętaj pan sobie jedno. Pański bliski przyjaciel David Hand... jego śmierć była tania. Podobnie jak każdego innego nieszczęsnego sukinsyna z West Point, który dawał się ładować w dupę; w taki czy w inny sposób. Od tej chwili jednak, panie Beatty, zacznie pan płacić. Hand był inteligentnym, uroczym, ślicznym chłopcem, jak sam pan powiedział. To, co was łączyło... Zasługiwał na lepszy los, prawda?

Slaight opuścił apartament Eisenhowera, wyszedł na dziedziniec przed hotelem i ruszył na północ, do koszar.

William Beatty wykonał kilka telefonów; trzy do Pentagonu i dwa miejscowe: do Hedgesa i Thompsona. Rozmowy były

krótkie. Nie było czasu na gładkie słówka. To był koniec.

Zastępca sekretarza obrony zaczął zbierać manatki. Jeszcze tego dnia zamierzał polecieć do Waszyngtonu. Najbliższe dni malowały się w bardzo ciemnych barwach. Musiał poskładać w całość wiele elementów. Przede wszystkim odwołać się do ludzi, którzy mieli wobec niego dług wdzięczności. Na tym polegała jego strategia obronna. Musiał działać bardzo szybko.

W jakiś sposób Hedges przeliczył się w swoich kalkulacjach. Slaight o tym wiedział. Beatty nie wiedział, skąd, ale teraz nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Slaight wiedział.

## 37.

Slaight porozmawiał z prawnikiem Bassettem, ze starszym sierżantem szefem kompanii, z doktorem Consorem oraz ze swoim ojcem. Podczas weekendu odbył naradę z Irit. Wtedy też podjął ostateczną decyzję. Bassett zarysował plan działania. Następnego ranka Slaight był gotów wykonać swój ruch.

Jedenastego listopada 1968 roku o dziewiętej piętnaście kadet Slaight zameldował się u głównego inspektora akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych. Miał ze sobą brązową metalową teczkę na dokumenty. Adiutant inspektora oświadczył, że jego przełożony jest „wyjątkowo zajęty”, kiedy jednak Slaight wyjaśnił, z jaką sprawą przychodzi, wprowadził go do gabinetu szefa.

Główny inspektor był do żywego poruszony otrzymaną wcześniej informacją, że podczas weekendu komendant generał Hedges oraz szef wydziału nauk społecznych pułkownik Thompson opuścili West Point na mocy specjalnego rozkazu. Thompson objął wysokie stanowisko w Radzie Bezpieczeństwa

Narodowego, a Hedgesa przeniesiono do czegoś noszącego nazwę Biura Sztabu Antykryzysowego. Nie podali żadnych powodów przejścia na tak wysokie stanowiska w rządzie federalnym.

Ale największym wstrząsem dla głównego inspektora były papiery, które w jakiś cudowny sposób pojawiły się na jego biurku podczas weekendu, kiedy to jego biuro było zamknięte. Śmierć kadeta zeszłego roku w maju... Inspektor nie pamiętał już nawet jego imienia i nazwiska... Przypadkowe utonięcie... ale odbite na ksero dokumenty, dokładnie posegregowane, wyraźnie mówiły, że to było morderstwo, a główny inspektor zatuszował aferę. Żadnych oficjalnych oskarżeń. Ani słowa o samej zbrodni. Jedynie żądanie Departamentu Armii, by Rylander podał się do dymisji. Żadnej daty. Główny inspektor był kompletnie oszołomiony.

Kiedy Slaughter wyjął z metalowej teczki dokumenty i zaczął spokojnie, na zimno, relacjonować zdarzenia ostatnich sześciu miesięcy, główny inspektor siedział w milczeniu i uważnie słuchał. Dopiero teraz cała historia zaczęła dla niego nabierać sensu. Ten sukinsyn Hedges nieustannie kopał pod nim dolki, a on, ślepy, stary głupiec, nie widział, co dzieje się za jego plecami. Sprawa morderstwa dokonanego na kadecie była skomplikowana i paskudna. Główny inspektor słuchał Slaughter'a z ponurą fascynacją.

„Tak to się w dzisiejszych czasach odbywa - myślał generał. - Oszukuje się samego siebie i nagradza medalami za wymyślone męstwo na wymyślonej wojnie. Jeśli człowiek jest zdolny do jednego świństwa, zdolny jest do wszystkiego”. I to było to: wojna w Wietnamie przeniesiona do domu na barkach toczących ją żołnierzy. Była to mała prywatna wojna Hedgesa. A główny inspektor został w tyle, w chmurach kurzu wzbijanego przez ludzi pokroju komendanta, myślących jedynie o swej karierze w wojsku.

Kiedy Slaughter skończył relację o zabójstwie Davida Handa i drobiazgowym zatuszowaniu afery, Rylander wstał od biurka i skinął na kadeta. Minęli sekretariat, wyszli na korytarz, po czym zaczęli piąć się coraz bardziej zwięzającymi się schodami. Główny inspektor pchnął drzwi i wyszli na dach wieży górującej nad kwaterą główną akademii.

- Zawsze tu przychodzę, kiedy chcę coś przemyśleć - zwierzył się Rylander. - Podoba się panu to miejsce?

Slaight rozejrzał się. Z góry rozciągał się rozległy widok na Hudson, aż do mostu Bear Mountain i Cold Spring, na koszary kadetów, kaplicę, Równinę...

- Dobrze pan zrobił, Slaight - odezwał się główny inspektor. - Nie musi już pan martwić się radą do spraw postawy żołnierskiej. Zanim odejdę, zajmę się wszystkim osobiście.

- Zanim pan odejdzie, sir? Po tym, co panu powiedziałem, bez trudu poradzi pan sobie z Hedgesem!

- Nie chodzi o Hedgesa. Mają już młodego kandydata na moje miejsce. Przyjdzie w przyszłym miesiącu. Wiem o tym od pewnego czasu. To wielki bohater z Wietnamu - największy, jak dotychczas. Dowodzi czymś, co nazywa się Amerykańską Dywizją. Zasłużony żołnierz. Przysyłają go tu, byście wy, kadeci, mogli obejrzeć sobie z bliska prawdziwego bohatera. Kiedy pojawi się tu, by objąć moje stanowisko, w zielonym berecie będzie wyglądać jak Chrystus.

- Nic o tym nie wiedziałem, sir.

- Najwyraźniej Hedges również, gdyż w przeciwnym razie nie wszczynałby tej głupiej intrygi z zacieraniem śladów morderstwa tylko po to, by mnie obciążyć. Hedges. On jest czujny. I ambitny.

- Nie zamierza pan go zniszczyć, sir? Za to, co zrobił? Z tego, co wiem, w kryminalny sposób pogwałcił co najmniej trzy paragrafy prawa wojskowego.

- Zniszczyć Hedgesa? On już piastuje wysokie stanowisko w Biurze Sztabu Antykryzysowego. Gdybym próbował się do niego dobrać, włączyłby się Biały Dom i cała afera nabrałaby rozgłosu. Nie możemy do tego dopuścić. Miałoby to fatalne skutki dla akademii.

Slaight stał na dachu i spoglądał na Hudson. Główny inspektor zachował milczenie ze względu na dobro akademii. Nie pozwoli obrzucać jej błotem. Akademia. Jezu!

- Jakie masz plany, synu? - zapytał główny inspektor, przenosząc wzrok na Slaighta. Zimne podmuchy listopadowego wiatru targały kłapami jego mundurowej marynarki. - Armia



potrzebuje takich ludzi jak ty, Slaughter. To, co zrobiłeś... świadczy o odwadze. Potrzebujemy oficerów takich jak ty.

- To, co zrobiłem, nie miało nic wspólnego z odwagą.

Główny inspektor nie spuszczał z kadeta wzroku. Oczy chłopaka wypełnione były nienawiścią i lękiem. Poszedł za daleko, za szybko. I zapłacił za to. Inspektor widział już w życiu podobny wyraz twarzy u innych ludzi.

- Jakie mam plany, sir? Chcę opuścić West Point. Mam dosyć. Akademia już nigdy nie będzie taka jak dotąd, sir. Nie po tym, co się wydarzyło. Robi pan wszystko, by uratować dobre imię West Point, sir, ale ja nie jestem przekonany, czy akademia jest tego warta.

Główny inspektor odwrócił się do Slaughter plecami i zapatrzył w płynącą w dole rzekę.

- Ale nie pójdziesz z tym materiałem do prasy? Jeśli podasz te informacje do gazet, wykorzystają je przeciwko nam. Nie zostawią na nas suchej nitki. Dostyc mamy kłopotów z demonstrantami i wojną. Wszyscy są przeciwko nam. Nie dawaj im dodatkowej broni do ręki.

Slaughter myślał szybko. Wykuł lekcję na blachę. Spłacił weksle. Teraz przyszła kolej, by dobić targu. Miał w ręku wszystkie karty.

- Nie ujawnię materiałów na temat Hedgesa, Beatty'ego, Thompsona i Davida Handa pod warunkiem, że pozwoli mi pan odejść z akademii, sir. Chcę zostać zwolniony ze służby. Nie zależy mi na dyplomie West Point. Nie chcę być oficerem. I nie chcę tego wszystkiego załatwiać na drodze urzędowej. Musiałbym odsłużyć cztery lata, sir, a wtedy dopiero by mnie dopadli. Sam pan o tym najlepiej wie.

Główny inspektor z uwagą studiował twarz kadeta. Chłopak miał rację. Jeśli zdobędzie patent oficerski i zostanie podporucznikiem, Hedges i jego ludzie dopadną go. Do licha! Skoro udało się im dopaść nawet głównego inspektora akademii wojskowej Stanów Zjednoczonych, prosty podporuczniczyna będzie dla nich kaszką z mleczkiem.

- Zgoda. Osobiście się tym zajmę. Daj mi kilka dni. Trochę czasu zabierze mi robota papierkowa, bez mieszania w nią Beatty'ego, Hedgesa i ich popleczników.

- A tymczasem chciałbym dostać urlop, sir. Skończyłem z West Point. Skończyłem.

- Załatwione. Sam wypiszę ci kartę urlopową. Teraz. Co zaś do akt, którymi dysponujesz...

- Proszę je wziąć, sir. Należą do pana. Ale pragnę zastrzec, że mam ich kopie. Musi pan uwierzyć mi na słowo, że nie dostaną się do prasy.

- Przyjmuję warunki.

Główny inspektor i kadet opuścili dach i zeszli po schodach. Slight wziął płaszcz, czapkę i ruszył do koszar. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Niebawem wróca z zajęć kadeci.

W pokoju czekali już na niego Lugar, Buck, Towne, a nawet Bloomingburg. Wszyscy wtajemniczeni w sprawę. Po chwili w pokoju pojawił się Kip, reprezentant kompanii w sprawie honoru. Ktoś nastawił płytę Bucka Owensa. Z korytarza dobiegały dźwięki krzątania: rekruci roznosili pocztę i zabierali brudy do prania. Ktoś wrzasnął i wyzwał ich od bandy bęcwałów, rozległ się trzask obcasów, gdy stanęli pod ścianą i przyjęli postawę zasadniczą. W drzwiach pojawił się rekrut z jadłospisem na lunch: klopsy, fasola, kartofle. Wszystko wracało do normy.

Z rana rozniosła się po korpusie wieść, że na mocy specjalnych rozkazów akademię opuścili Hedges i Thompson. Odeszli także Grimshaw i dowódca pułku King; wrócili do Wielkiej Czerwonej w Wietnamie. Ich odejście kadeci przyjęli z typowym dla siebie entuzjazmem. Pozbycie się Grimshawa i Kinga było „dobrym interesem”.

Slight opowiedział zebranim w pokoju chłopakom o swej rozmowie z głównym inspektorem. Opowiedział o tym, jak Hedges próbował zwalić winę za zatuszowanie sprawy zamordowania Handa na Rylandera. Opowiedział im wszystko. A następnie powiadomił o własnej rezygnacji. Nikt nie odezwał się słowem. Leroy Buck sięgnął po „Timesa” i zaczął przeglądać dział finansowy. Lugar zarzucił sobie koc na plecy. Zupełnie jakby spodziewali się takiej właśnie decyzji Slighta.

Milczenie przerwał pierwszy kapitan Pete Locke, który nieoczekiwanie pojawił się w pokoju.

- O twojej decyzji wiem od głównego inspektora. Wracam właśnie z jego biura. Powiedział mi o wszystkim. Posłuchaj, człowieku! Nie możesz tego zrobić. Nie możesz złożyć rezygnacji. Nie po tym, co się wydarzyło. Potrzebujemy ciebie, Slaughter. Jesteś symbolem tego, że... eee... system funkcjonuje. Wiesz o tym?

- Wiem - odrzekł Slaughter. - Rozumiem, o co ci chodzi.

- Mam wielkie kłopoty z kadetami naszego roku w Czwartym Pułku. Mówiłem ci o nich.

- Zgadza się.

- Więc jak, zostaniesz? Chłopaki na ciebie patrzą. Nawet ci, których nie znasz. Wszyscy są w ciebie wpatrzeni... ciekawi, co się z tobą stanie. A chłopcy z twojej kompanii. Twój przyjaciele. Oni się nie liczą?

- Właśnie - odezwał się Lugar, podnosząc się z łóżka i stając twarzą w twarz ze Slaughterem. - Jeśli teraz odejdziesz, to... to tak jakbyś przegrał. Tak jakbyś się poddał. A ty przecież wygrałeś, człowieku. Nie rozumiesz tego? Musisz zostać. Jeśli odejdziesz, jakie znaczenie będzie mieć to, co się przytrafiło tobie, co przytrafiło się nam?

Slaughter usiadł za biurkiem i zaczął bawić się ołówkami, układając z nich rozmaite figury. Unikał wzroku kolegów. Leroy Buck odłożył „Timesa” i odrzucił z czoła niesforny kosmyk włosów. Jego gwałtowny ruch zwrócił uwagę Slaughter’a.

- Slaughter, ty pierdoło - odezwał się z przeciągłym, południowym akcentem. - Rozejrzyj się po pokoju.

Wskazał półki i szafki pełne plociuchów, czasopism i gazet. Pokój był ich kwaterą główną, a dowództwo sprawował Slaughter. Obecność pierwszego kapitana Pete'a Locke'a jedynie ten fakt potwierdzała.

- Zamierzasz zostawić ten chłam, Slaughter? Ty ospały bęcwale! Nie widzisz, ile jeszcze zostało do zrobienia? Daj spokój, człowieku. Jeśli teraz odejdziesz, stary Hedges wygra. Przecież powiedział, że zobaczy, jak wynosisz swój tyłek za bramę uczelni, i... i do cholery ciężkiej, pozwalasz mu wygrać. Slaughter, nie możesz na to pozwolić.

Ry rozejrzał się po pokoju. Kadeci wlepiali w niego wzrok. Mieli rację. Poradził sobie. Był przywódcą; był urodzonym przywódcą. W dniu, kiedy postanowił dokopać się prawdy o śmierci Davida Handa, stał się ich przywódcą. Wzniósł wysoko proporzec, a oni za nim ślepo poszli. I teraz, gdy dopiął swego, mówił im coś, co przez cały czas krył zarówno przed nimi, jak i przed samym sobą. Nie mówiąc tego głośno, informował ich o swym ambiwalentnym stosunku do swoich zdolności przywódczych. Bał się ich, a jednocześnie były dlań niebywale atrakcyjne. Śmierć Davida Handa sprawiła, iż pojął własną siłę, wrodzoną zdolność sprawowania władzy. Przez długi czas czerpał wielką satysfakcję ze swych talentów i umiejętności wpływania na innych. Sądził, że zna wszystkie elementy i wymiary tej siły. I samego siebie poddawał próbie. Teraz jednak poznał inną prawdę, której istnienia nawet się nie domyślał. Tą nową wiedzą musiał podzielić się z przyjaciółmi, lecz nie wiedział, jakich słów użyć ani od czego zacząć.

- Buck, nikt nie wygrał ani nie przegrał. Naprawdę. Chodziło tylko o... Jezu... o sprawdzenie systemu. Czy ten pieprzony system funkcjonuje. To była część gry. Rzecz w tym, że postanowiliśmy tę grę doprowadzić do samego końca. Zaakceptowaliśmy ten system na słowo. Graliśmy zgodnie z regułami, jakie nam narzucał. Do diabła, od dnia, kiedy się tu pojawiłeś i na rozkaz postawiłeś torby na ziemi, grasz wedle ich reguł.

- Co ma piernik do wiatraka, co ma stawianie pierdzielonych toreb na ziemi do ceny jaj? - zapytał ze złością Buck.

- Nie przerywaj, człowieku! Chodzi mi o to, że przyjęliśmy warunki. A zatem i wyniki należy oceniać wedle ich kryteriów. Czy system zadziałał? Jasne. Hedges odszedł. Thompson odszedł. Grimshaw odszedł. Wszyscy oni, kurwa, odeszli. Człowieku, nie poradziłeś sobie ze mną. Ja też odchodzę, ale odchodzę na swoich warunkach. Dobiłem targu. Czy to rozumiesz? Nabieram wody w usta, a w zamian główny inspektor zwalnia mnie z wojska. To moja decyzja i mój targ. Nikt mnie do tego nie zmuszał.

- I co z tego? - zapytał Lugar, zrywając się na równe nogi.

- Nie mogłeś dobić targu z Hedgesem, więc dobiłeś go z głównym inspektorem. Co za różnica, Slaughter? Skutek taki sam, bez względu na to, z kim dobiłeś targu. Cała historia została wyciszona. Nikt nigdy nie dowie się, co się naprawdę zdarzyło. Slaughter, jesteś pełen gówna. Kiedy nadarzył ci się dobry interes, zrobiłeś go.

Lugar wpadł w furję, twarz miał jeszcze bardziej czerwoną niż czuprynę.

- Pocałuj się w dupę, John. Masz zamiar wyciągnąć sprawę Hedgesa i jego kolesiów na światło dzienne? Wyciągaj. Wiecie tyle samo co ja; ty też, Locke. Możecie pójść do nowojorskiego „Timesa”. Każdy z was. Nie jestem wam potrzebny, by postawić Hedgesa pod ścianą.

Decyzja należy do was. Ja nie zamierzam maczać w tym palców.

Zapadło głucho milczenie. Slaughter rzucił im wyzwanie; głos miał zmęczony, pełen skrywanej złości.

- W porządku, Ry - przerwał ciszę Kip, reprezentant honoru. - To twoja opinia. Ale co z opinią Lugara? Moim zdaniem to wielka różnica, kto dobija targu i czego ten targ dotyczy.

Spokojny głos Kipa sprawił, że panujące w pokoju napięcie opadło.

- Lugar ma rację. Zarzucacie mi, że wybrałem korzystniejszy dla mnie targ i odchodzę, bo to mi się opłaca najbardziej? Zgoda. Macie rację. Nie mam nic do powiedzenia.

Po prostu to robię. Ale wszyscy znacie trzecią odpowiedź: „Nie mam nic do powiedzenia, sir”.

Leroy Buck wybuchnął śmiechem. Po chwili zawtórowali mu pozostali. Każdy przypomniał sobie własne rekruckie doświadczenia, kiedy to „nie mam nic do powiedzenia” wcale nie stanowiło wymówki.

W drzwiach pokoju zmaterializował się rekrut z tuzinem butelek coca-coli. Któryś z kadetów wręczył mu dwa dolary i wszyscy zaczęli łapczywie pić z tekturowych kubków orzeźwiający napój.

- Chłopcy, uwierzcie, że decyzja o opuszczeniu West Point nie przychodzi mi łatwo.

W pokoju panowała cisza. Słomki w opróżnionych do połowy kubkach stały na baczność.

- Złamanie zobowiązań, zobowiązań, jakie złożyłem pierwszego dnia „chlewni”... tak, to trudne. Lecz rzecz nie sprowadza się wcale do tego, kto wygrał, ale kto przegrał. Nie dotyczy nawet Davida Handa. Chodzi o West Point. Musiałem głęboko zastanowić się i przemyśleć West Point.

Zrobiłem to. Wnioski są proste. Nie należę do tego miejsca.

I chyba nigdy nie należałem. Trzeba jednak było wylać mi na głowę trochę gnojówki, bym to zrozumiał. Zaciągnąłem w West Point olbrzymi dług. Miejsce to nauczyło mnie, że nie jestem stworzony na oficera armii. Czy rozumiecie, o co mi chodzi?

Slaight rozejrzał się po pokoju. W twarzach kolegów nie dostrzegł śladu najmniejszych emocji. Panowała głucha cisza, którą przerwał Leroy Buck.

- Do licha, Slaight, ty jesteś przywódcą. A do tego wszystko się sprowadza: właśnie być przywódcą. Zawsze taki byłeś. Kurczę, pamiętam, jak w czasach rekruckich...

- Posłuchaj - przerwał mu bezceremonialnie Slaight. - System mówi: albo się wpasujesz, albo zdechniesz. To jest jądro prawdy, którą nieustannie wbijają nam do łbów. Moim zdaniem Hand nie wpasował się, więc umarł. A w ciągu ostatnich miesięcy zrozumiałem, że ja też się nie zdołałem wpasować. Nie chcę zdychać. Do czego zmierzam: system działa. West Point jest w porządeczku.

Do Slaighta podszedł John Lugar. Pod spranym podkoszulkiem przeżyły się muskuły boksera.

- Czy ty wiesz, co mówisz? Mówisz, że Hedges i jego banda mieli rację. A ty jesteś wystarczająco mądry, by to wyczuć i uciec od tego smrodu. Nie jesteś tyle wypierdkiem.

Wszyscy o tym wiemy. Co zatem masz na myśli, mówiąc, że system działa? To, co mówisz, nie ma sensu; w każdym razie ja nie widzę w tym sensu.

Zgromadzeni w pokoju kadeci zgodnie skinęli głowami. Slaight zdawał sobie sprawę z tego, że trudno mu będzie wytłumaczyć to przyjaciółom. Przestał bawić się ołówkami, wstał od biurka i zaczął przechadzać się po pokoju. Czuł, jak spod pach spływają mu strużki potu, bolała go głowa.

- W West Point tak było zawsze. Pytacie mnie, co rozumiem przez to, że system działa. Dobrze, wyjaśnię wam. West Point przetrwa. To właśnie mam na myśli. Mówiąc, że system działa, chcę powiedzieć, że instytucja przetrwa. Taka jest właśnie pieprzona natura miejsc podobnych do West Point. Dzięki temu trwają i posuwają się do przodu. Słowa „system” używam w luźnym znaczeniu. Należy przestać traktować akademię jak maszynę, a zacząć myśleć o niej jak o żywej istocie. Żywej! Każda żywa istota reprodukuje się. Dzięki temu przetrwa jako gatunek. Pieprzone ameby rozmnażają się. Gdyby tego nie robiły, uległyby zagładzie i nie byłoby pieprzonych ameb. To samo dotyczy West Point. System działa, ponieważ to my jesteśmy systemem. Byliśmy chłopcami, cywilami. Teraz przekształciliśmy się w kadetów. W czerwcu otrzymamy szlify oficerskie... Znaczy wy otrzymacie. Zostaniecie elewami akademii. Absolwentami West Point. A w lipcu kołowrót zacznie się od początku. Kolejna fala fasolarzy, kolejna „chlewnia”, kolejny rok, kolejna klasa absolwentów. To działa. To żyje.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Ry - odezwał się Bloomingburg, którego Slight pierwszy raz widział bez Biblii.

Mimo że zniżył głos do szeptu, wszyscy go słyszeli.

- Wiem, Jay.

- Ja również - wtrącił Leroy Buck, podchodząc do adapteru, aby przełożyć płytę na drugą stronę.

- Tak zatem West Point przetrwa i zapewne wydzwignie się z tego gówna. Mam na myśli tych popaprańców, popleczników Hedgesa. Komendant był psychopatą. Grimshaw - paranoikiem. Thompson - ukrytym faszystą. Beatty - tajemniczą postacią z koneksjami na najwyższych szczeblach armii i władz cywilnych tego kraju. West Point ma rację. System działa, gdyż Hedges i jemu podobni nie mogą liczyć na takich jak my, na takich jak kapitan Bassett, starszy sierżant Eldridge, na chłopaków, którzy gotowi są zapłacić każdą cenę. Chcecie w coś wierzyć, a nie tylko siedzieć na tyłkach i wytrzeszczać gały, chcecie wiedzieć, na jakiej zasadzie to wszystko działa. Wehoczicie w ten układ i dzięki wam wszystko nadal funkcjonuje

należycie. Człowieku, Hedges nie chciał zapłacić tej ceny, więc przestał być komendantem. Podobnie jak jego kolesie. Przyjęli to za rzecz zrozumiałą samą przez się. Dzierżyli władzę i sprawowali ją tak długo, że zapomnieli, iż najpierw trzeba na nią zasłużyć. Te palanty... te ciule zrobiły ogromny błąd. Błąd ów czekał na nich cierpliwie jak dziura w jezdni. Podstawowy błąd, o jakim mówi księga. Zapomnieli, że władza jest przywilejem tych, którzy na nią zasłużyli, i zaczęli traktować ją jak swoje niezbywalne prawo.

- A co z Davidem Handem? - zapytał Pete Locke, pierwszy kapitan, który z założonymi na piersi rękami stał oparty o framugę drzwi. - Gdzie on jest w tym krajobrazie? I co z VanRiperem? Do licha, był dowódcą pułku. Miał zostać generałem. Wszyscy tak o nim mówili.

- VanRiper wierzył w duchy. Doszedł do przekonania, że Hand zacznie go szantażować, a więc go dopadł. Na tyle dobrze znałem Handa by wiedzieć, że VanRiper mylił się. Hand nigdy by go nie szantażował. Był na to zbyt wrażliwy. Tak więc duchy były tylko duchami. Zrodziły się w głowie VanRipera. Wymyślił je sobie i uwierzył w ich istnienie. Musiał więc zabić Handa, by wypędzić je spod czaszki. Zamordował chłopaka. Problem w tym, że VanRiper również był pedałem. Zabijając Handa, zabił część siebie, część pedzia. West Point nie dopuszcza możliwości, że człowiek jest sam sobie wrogiem.

Szczęknął automat adapteru i na jego talerz opadła płyta Marty Robbins. Z głośników popłynęły rzewne tony muzyki Nashville. Slight zatrzymał się w pół kroku, gdy uświadomił sobie, że zwykłą rozmowę z przyjaciółmi zakończył drętym wykładem. Poczul się głupio. Opuścił to, co naprawdę chciał im powiedzieć, to, co bolało go najbardziej; nie powiedział im o sobie.

- A co z Davidem Handem? - zapytał Leroy Buck. - Jak dotąd nic o nim nie powiedziałeś.

- Wiem. Hand... On był bardzo skomplikowany i nie jestem pewien, czy nawet teraz, kiedy opadł już cały szlam, naprawdę go rozumiem. Jednego jestem pewien: West Point nie mylił się co do Davida Handa. System mówi: „U moich bram porzuć całą młodzieńczą butę i zważaj na każdy swój krok”. David



Hand zlekceważył ten nakaz i nie żyje. Nie jestem pewien, czy Hand, mimo że złamał regułę, przegrałby, gdyby nie zamordował go VanRiper. Ostatecznie chłopaki codziennie łamią i ignorują reguły, a mimo to wielu z nich robi oszałamiające kariery w wojsku.

Lugar i reszta skwitowali tę uwagę śmiechem. Uśmiechnął się nawet Pete Locke.

- Z Handem było inaczej. Był doskonałym kadetem... wojsko miał we krwi... ale nudziły go wymagania stawiane kadetowi, stawiane rekrutowi, więc zaczął wnikliwie badać system. Przychodzi mi do głowy myśl, że Hand był tak wyśmienitym rekrutem, gdyż... - Slight urwał na chwilę i zapatrzył się w okno. - Gdyż był pedałem. Był już rekrutem, zanim jeszcze tu trafił, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Dlatego tak dobrze sobie radził.

- Chcesz powiedzieć, że pedały są najlepszym materiałem na rekrutów? - przerwał mu John Lugar. - Albo że sam stan rekrucki jest pedalstwem?

Pozostali kadeci zgromadzeni w pokoju zaczęli uważnie obserwować swoje kubki z coca-colą, jakby na dnie znajdowało się coś niebywale interesującego.

- Mówię, że Hand zrozumiał coś, co dzieje się w West Point, a czego my nie pojmujemy. W każdym razie ja nie rozumiałem, gdy byłem dowódcą jego drużyny podczas „chlewni”, i nie jestem przekonany, czy rozumiem to teraz. Jedno jest oczywiste: David włączył się do systemu i bardzo go to bawiło. Uwielbiał go.

- No tak - odezwał się Leroy Buck, unosząc głowę. - Ty też, kurwa, go uwielbiałeś.

W pokoju znów zapadła cisza, maćona jedynie głosem Marty Robbins, śpiewającej o pociągach, nieudanej miłości, o rzeczach, które tylko muzyka country and western była w stanie oddać. Slight nie wiedział, dlaczego, ale tak było.

- Na trzy i pół roku wpasowałem się w system, lecz dopiero po spotkaniu Handa zrozumiałem, że uwielbiam ten system. Kurczę, uwielbiałem równie mocno, jak uwielbiał go Hand. Pod tym względem byliśmy do siebie podobni. Zrozumiałem to podczas „chlewni” w zeszłym roku, ale nie chciałem się sam przed sobą do tego przyznać. Teraz już wiem.

Leroy Buck nastawił płytę Tammy Wynette, „Stand By Your Man”. Usiadł na łóżku i zaczął świstać przez zęby melodię.

- To mnie podkręciło... Chryste, trudno to wytłumaczyć. Dręczyło mnie to od chwili, gdy zrozumiałem, jak bardzo jestem podobny do Handa. Ale najmocniej uderzyło mnie to, że im bardziej walczyłem z systemem, z Hedgesem i całą resztą, tym bardziej się do nich upodabniałem. Proces ten całkowicie mnie wchłaniał. Nie było przed nim ucieczki, ponieważ otaczał mnie ze wszystkich stron i w końcu pochłoniął. Powoli stawiałem się tym, z czym walczyłem. Najpierw zauważyłem to w Handzie, kiedy już lepiej go poznałem. Początkowo sądziłem, że żadną miarą nie pasuje do systemu. Później pojąłem, że jest odwrotnie. Beatty, Thompson... oni zupełnie go nie rozumieli. Gdy zginął, zaczęły fruwać papiery - do Hedgesa i jeszcze wyżej. Bóg jeden wie, jak wysoko. O tym jednak nikt nie wiedział. Pozwól, że cię o coś spytam. Czy twoim zdaniem, gdyby Hand nie był pedziem, sprawy potoczyłyby się inaczej? Tak, tego możesz być pewien! Jezu, zalały nas potop płociuchów, wszędzie kręciliby się agenci prokuratury wojskowej i żandarmi. W przypadku Handa jednak... cicho, sza. On w tym siedział. Siedział po uszy. Nie jestem pewien, ale bez Handa nie byłoby tego czegoś, z czym walczymy. Dla nas Hand wpasował się w system. Myślę nawet, że Hand cały czas stanowił część systemu.

Kadeci studiowali bacznie paznokcie, bawili się sznurowadłami, połami koszul pucowali kłamry pasów. Słuchali z ogromną uwagą, lecz unikali wzroku Slaighta. Wszyscy z wyjątkiem Johna Lugara.

- Z myślą o porzuceniu akademii nosiłem się już od dłuższego czasu. Gdy dotarło do mnie, że dostaję takie same kopniaki jak Hand, doszedłem do wniosku, że powinienem jednak zrealizować czek. Nigdy wam o tym nie mówiłem, nie mówiłem nikomu... - Slight urwał i rozejrzał się po pokoju. Wiedział, że w końcu do tego dojdzie. - Bo gdybym wam o tym powiedział, musiałbym wyjaśnić powody mojej decyzji. A nie chciałem wyjaśniać wam powodów, dla których byłem tak opętany śmiercią Davida Handa. Chciałem jedynie, byście pomogli mi

przyszpilić drania, który go zamordował. Poza tym nie mógłbym wyjaśnić wam, jak bardzo widziałem w Handzie własne odbicie. Nie chciałem przyznawać się do tego, że porównuję się z pedałem.

Lugar popatrzył na Saighta. Jego wzrok wyraźnie mówił, iż od początku zdawał sobie sprawę z tego, że Saight coś ukrywa.

- I jeszcze coś - ciągnął Saight, starannie dobierając słów. - Znacie mnie, chłopcy. Zawsze byłem takim przywódcą podziemia, przywódcą kryjącym się pod powierzchnią rzeczy dziejących się w West Point. Lubilem uczucie, gdy stałem tuż poza zasięgiem wzroku, nieuchwytny, a jednocześnie zdolny uderzyć w każdej chwili, gdy tylko przyszlaby mi na to ochota. Później sprawa Handa zmusiła mnie do wynurzenia się na powierzchnię i po raz pierwszy zostałem poddany próbie, prawdziwej próbie. Odkryłem, że jestem dobry. Lepszy, niż sądziłem. I w pewnej chwili, w lecie, pojąłem, że mam ich w garści. Nie umiałem wyjaśnić sobie, jak to się stało i dlaczego; po prostu wiedziałem. A to wzbudziło mój niepokój... Bałem się jak jasna cholera.

Zaskoczony Lugar popatrzył na Saighta.

- Jak to?

- Dotarło bowiem do mnie, że święcie w te bzdury wierzę. Wiesz, zawsze stroiliśmy sobie z tego żarty. Kto wierzył w te bzdury, bzdety, którymi nas karmiono? Klepaliśmy się z uciechy po ramionach, gdy jakiś major lotnictwa, stojąc przy katedrze, dostawał orgazmu, gdy opowiadał o swoim helikopterze uzbrojonym w ciężkie karabiny maszynowe i rakiety, o lekkiej broni maszynowej, akcjach bojowych i tym podobnych głupotach.

Lugar skinął głową, a pozostali lekko się uśmiechnęli. Dobrze znali takie wykłady...

- Istniało w tym jednak drugie dno. Chodzi o to, że byliśmy od nich lepsi. Byliśmy wyjątkowi. Znaliśmy Sekret. Stworzyłem sobie prywatną wersję tego drugiego dna i dokładnie je zgłębiłem. Odkryłem, że mieli rację. Jestem wyjątkowy. Jestem lepszy. To wzbudziło mój niepokój. Ale nie to najbardziej mnie trwożyło.

Saight bez reszty przyciągał uwagę przyjaciół. Tak zresztą

było zawsze, ilekroć rozkręcał się, kiedy oczy błyszczały mu podnieceniem, a rękami wykonywał ruchy niczym doświadczony pianista, którego palce tańczą po klawiaturze instrumentu. Porwał ich za sobą bez reszty. Chciał, by zapamiętali każde jego słowo. I wiedział, że zapamiętają. Posiadał władzę, i po raz ostatni korzystał z niej, dotykał przyjaciół czubkiem niewidzialnego pędzla, malował... zmieniał ich...

- Wiara w takie bzdury jest rzeczą normalną. W każdym miejscu spotyka się podobne absurdy. W Harvardzie uważają, że dyplom magistra zarządzania daje prawo wstępu do skarbców Chase Manhattan Bank. Mowa trawa. Sekrety klubów w Yale, takich jak Trupia Czaszka, są mroczniejsze niż tajemnice grobowca Tutenchamona.

Śmiech. Kadeci byli rozbawieni. Slight musiał jednak ściągnąć cugle.

- Kiedy już zaakceptowałem fakt, że wierzę w te brednie, zacząłem je wnikliwie studiować. Czy naprawdę jesteśmy lepsi? Badałem własną wiarę. I wszystko się bilansowało.

Jeszcze większy śmiech. Po trzech latach wykładów z inżynierii ich poczucie humoru było łatwe do skalkulowania.

- I wtedy dopiero wystraszyłem się nie na żarty. Gdy to pieprzone równanie zbilansowało się, badałem dalej, lecz w żaden sposób nie mogłem go rozwiązać. Wyczerpałem wszystkie parametry. Nie zostało mi nic, co mógłbym testować. Stałem na krawędzi. Zacząłem strzelać na oślep, wpadałem w amok. I nagle wszystko zaczęło się zgadzać, zazębiać, jak w podręczniku polowym. Ale nie. Brało się to ze mnie, i wtedy właśnie dowiedziałem się czegoś, do czego West Point zupełnie mnie nie przygotował. Używałem siły, która pochodziła z miejsca, jakiego nie znałem, z miejsca poza mną. Nie rozumiałem tego, więc nie mogłem nad tym sprawować kontroli. Tutaj, w West Point, wszystko jest takie racjonalne. Przyzwyczajamy się do tego. Zależymy od tego. A uczucie siły przychodzącej znikąd było szaleństwem, owo uczucie przejmowało nade mną władzę. Podobnego uczucia doznałem tylko raz, przed rokiem, kiedy podczas „chlewni” Hand był w mojej drużynie. Nie wiem, jak to nazwać. Moc. Władza. Magia. Duch. On to miał w sobie. Niemal materialne.

Kadeci wlepiali wzrok w Slaughta, kiedy ten, niczym potężnymi uderzeniami hakiem w splot słoneczny, dźgał ich słowem „Hand”, a po każdym ciosie cały pokój chwiał się, próżnia zasyłała powietrze.

- Cholera jasna! - przerwał ciszę Leroy Buck, zaświadczać prawdziwość opisu Handa dokonanego przez Slaughta.

Zmienił płytę. Johnny Cash zaczął śpiewać „Orange Blossom Special”. Buck wtórował mu, gwizdząc linię melodyczną piosenki.

- West pieprzony Point - powiedział po chwili Leroy. - Coś ci powiem, Slaughter. Jesteś tak samo szary jak wszystko tutaj. Pojedziesz do Nowego Jorku, zaszyjesz się w mieszkaniu Irit Dov, zostaniesz cholernym cywilem, ale na zawsze już zostaniesz szarym sukinsynem, tak szarym jak podkoszulek i mundur, które nosisz.

- A poza tym jesteś zarozumiałym bęcwałem, człowieku - dodał ze śmiechem John Lugar.

Panujące w pokoju napięcie opadło. Pete Locke, pierwszy kapitan, oświadczył, że musi wracać do swoich zajęć. Poprosił Slaughta, by przed opuszczeniem West Point jeszcze do niego zajrzał. Kadeci po kolei opuszczali pokój ze słowami: „Do zobaczenia, człowieku” i „Będziemy spotykać się w Nowym Jorku”. Slaughter kiwał głową, ścisnął dłonie i mówił: „Jasne, pewnie”.

W końcu w pokoju pozostali tylko on, Buck i Lugar. John wyciągnął się na łóżku i nakrył kocem. Leroy Buck podszedł do drzwi, ale w progu zatrzymał się i odwrócił w stronę Slaughta.

- Muszę się trochę przekimać. Do zobaczenia na apelu przed kolacją.

Ruszył korytarzem. Kiedy zniknął za zakrętem, dotarł jego gromki okrzyk:

- Eeeej, pieprzony Slaughter!

- Eeeej! - odwrzasnął Slaughter.

Zszedł do automatu telefonicznego i wykręcił numer kierunkowy dwieście dwanaście. Kiedy usłyszał w słuchawce głos, powiedział:

- Irit, to ja. Czy możesz przyjechać dziś po południu i zabrać mnie stąd?

Obiecała, że przyjedzie, i odłożyła słuchawkę. Wracając do pokoju, złapał jakiegoś rekruta za kołnierz i kazał mu obudzić się o określonej godzinie. Pouczył go też, jak ma to zrobić: dwa puknięcia w drzwi, uchylene ich i odezwanie się szeptem.

Następnie położył się na łóżku, nakrył kocem i zapadł w kimkę przed obiadem.